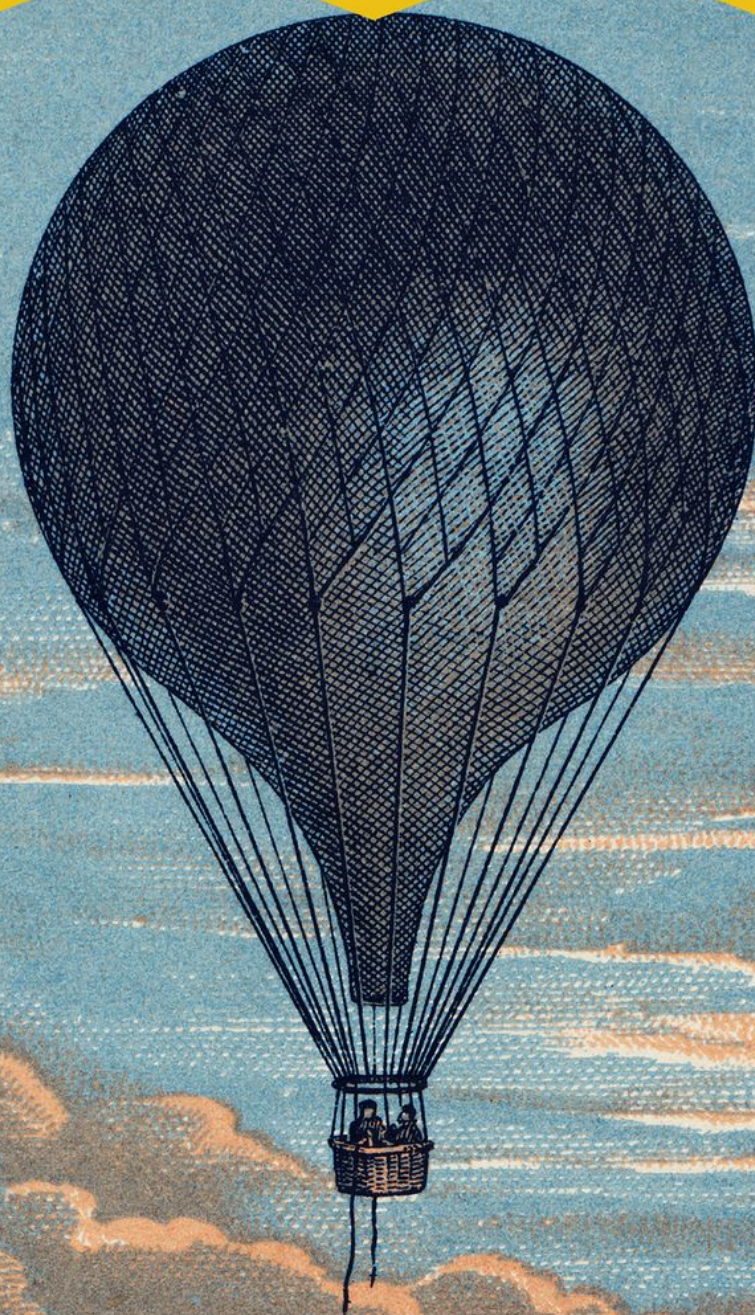


Tajemnicza wyspa





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

JULES GABRIEL VERNE

Tajemnicza wyspa

TEUM. J. PŁ.

Tajemnicza wyspa

CZEŚĆ PIERWSZA. ROZBITKOWIE W POWIETRZU

ROZDZIAŁ I

Huragan w 1865 roku. — Głosy w powietrzu. — Balon porwany trąbą powietrzną. — Powłoka balonu pęka. — Wokół tylko morze. — Pięciu pasażerów. — Co się dzieje w koszu? — Łódź na horyzoncie. — Rozwiązanie dramatu.

- Wznosimy się?
- Nie! Przeciwnie! Opuszczamy się!
- Gorzej, panie Cyrusie, spadamy!
- Na Boga! Wyrzucić balast!
- To już ostatni worek!
- Czy balon się wznosi?
- Nie!
- Słyszę jakby plusk fal!
- Pod nami morze!
- Nie więcej jak pięćset stóp¹ pod nami!

Wówczas w powietrzu rozległ się donośny głos:

- Wyrzucić wszelki ciężar!... Wszystko! I niech się dzieje wola boża!

Takie słowa zabrzmiały w powietrzu nad nieprzejrzanym pustkowiem wód Oceanu Spokojnego około godziny czwartej po południu dnia 23 marca 1865 roku.

Któż nie pamięta tego wściekłego wichru północno-wschodniego, który w owym roku rozszał się podczas zrównania dnia z nocą, kiedy barometr spadł do siedmiuset dziesięciu milimetrów?... Był to huragan, który trwał bez przerwy od 18 do 26 marca. Spowodował okropne spustoszenia w Ameryce, w Europie i Azji, ogarnąwszy pas o szerokości tysiąca osmiuset mil², przebiegający skośnie do równika, od trzydziestego piątego stopnia szerokości północnej aż do czterdziestego stopnia szerokości południowej. Poburzone miasta, lasy powyrywane z korzeniami, brzegi spustoszone przez góry wód toczące się wściekłym pędem, powyrzucane na ląd statki, których setki liczyły wykazy Bureau Veritas³, całe okolice zrównane z ziemią przez trąby, które w swym pochodzie miażdżyły wszystko, tysiące trupów na lądzie, tysiące pochłoniętych przez morze: takie ślady swej wściekłości pozostawił po sobie ten straszliwy huragan. W klęskach przewyższył obydwa huragany, które spustoszyły tak okropnie Hawanę i Gwadelupę, pierwszy 25 października 1810 roku, drugi 26 lipca 1825 roku.

Otóż w tej samej chwili, kiedy tak straszne katastrofy miały miejsce na lądzie i na morzu, we wzburzonych przestworzach rozgrywał się równie groźny dramat.

W tym czasie pewien balon, niesiony jak piłka na grzbiecie trąby, porwany wirem powietrznym, przelatywał przestrzeń z szybkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę⁴, kręcąc się dokoła własnej osi, jak gdyby nim miotał malstrom⁵ powietrzny.

U spodu balonu, przymocowany linami, kołysał się kosz, w którym siedziało pięciu pasażerów, ledwie widocznych wśród gęstych oparów zmieszanych z kropelkami rozpylonej wody, sięgających aż do samej powierzchni oceanu.

Skąd się wziął ten balon, ta igraszka straszliwej burzy? Z którego końca świata wyleciał? Niemożliwe, żeby wystartował podczas trwania huraganu. Huragan zaś trwał już od pięciu dni, a pierwsze jego objawy wystąpiły 18 marca. Można by więc było sądzić, że

Żywioty,
Niebezpieczeństwo

¹stopa — anglosaska jednostka długości, ok. 30 cm. [przypis edytorski]

²mila — daw. jednostka długości o różnej wartości, w krajach anglosaskich mila lądowa wynosi ok. 1600 m, zaś mila morska ok. 1850 m. [przypis edytorski]

³Bureau Veritas — zał. w 1828 francuska firma rzeczoznawcza zajmująca się dostarczaniem ubezpieczycielom informacji potrzebnych do szacowania ryzyka, gł. jednostek pływających. [przypis edytorski]

⁴90 mil na godzinę — tj. 46 metrów na sekundę albo 166 kilometrów na godzinę. [przypis autorski]

⁵malstrom — prąd morski o silnych wirach wywoływany pływami w fiordach północnej Norwegii. [przypis edytorski]

balon przybył z bardzo daleka, gdyż nie mógł w ciągu doby przelecieć co najmniej dwóch tysięcy mil.

W każdym razie pasażerowie byli pozbawieni sposobu obliczania drogi przebytej od chwili swego odlotu, brakowało im bowiem wszelkiego punktu odniesienia. Ponadto, co ciekawe, nie czuli nawet gwałtowności burzy, która nimi miotła. Nie czuli ani wiru, który nimi kręcił, ani pędu w kierunku poziomym! Nie byli w stanie przeniknąć wzrokiem gęstej mgły kłębiącej się pod nimi. Dokoła nie widzieli nic prócz mgły. Otaczające ich chmury były tak gęste, że nie mogli rozróżnić, czy to dzień, czy noc. Dopóki unosili się na większej wysokości, w tej ciemnej, głuchej nieskończoności nie mógł do nich dolecieć ani promień światła, ani żaden gwar z ziemi, ani szum oceanu. Dopiero nagle spadanie balonu uświadomiło im niebezpieczeństwo, jakie gotowały im huczące pod nimi bałwany morskie.

Tymczasem balon, opróżniony z ciężkich przedmiotów, jak amunicja, broń i zapasy żywności, wzniósł się znowu w wyższe warstwy atmosfery, do wysokości czterech i pół tysiąca stóp. Pasażerowie, przekonawszy się, że mają pod sobą morze, i wiedząc, że mniejsze niebezpieczeństwo grozi im u góry niż w dole, bez wahania wyrzucali z kosza najpotrzebniejsze przedmioty, żeby tylko nic nie utracić z gazu, tej duszy balonu, która ich unosiła ponad otchłanią morską.

Noc upłynęła wśród ciągłego niepokoju, który byłby w stanie przyprawić śmierć o ludzi obdarzonych mniejszym hartem i siłą ducha. Wreszcie zaświtał dzień, a z brzaskiem huragan zdawał się tracić nieco na gwałtowności. Tego dnia, 24 marca, można było zauważyć niektóre objawy przesilenia burzy. O świcie chmury stały się lżejsze i powróciły w wyższe regiony nieba. Po kilku godzinach trąba powietrzna wydeła się i załamała. Huragan zmienił się w silny wicher, prędkość warstw atmosferycznych zmniejszyła się o połowę. Był to nadal, jak powiadają marynarze francuscy, „wiatr na trzy refy⁶”, niemniej zamęt żywiołów znacznie się uspokoił.

Okolo godziny jedenastej niższe warstwy powietrza znacznie się oczyściły. Atmosfera wydzielala z siebie tę przezroczystą wilgoć, którą widać, a nawet czuć po przejściu każdego wielkiego zjawiska atmosferycznego. Nieprawdopodobne było, żeby huragan tylko przesuwał się dalej na zachód, zdawało się raczej, że zdusił się sam w sobie. Być może rozplynął się cały w kaskadzie elektrycznej po załamaniu trąby, jak to się zdarza czasem z tajfunami na Oceanie Indyjskim.

Ale w tym samym czasie dało się na nowo odczuć opadanie balonu, powolne, lecz ustawiczne, w niższe warstwy powietrza. Zdawało się nawet, że balon z wolna opróżnia się i że jego powłoka, rozszerzając się coraz bardziej, przechodzi z kształtu kulistego w owalny.

Okolo południa balon wznosił się już tylko dwa tysiące stóp nad powierzchnią morza. Cała jego pojemność wynosiła pięćdziesiąt tysięcy stóp sześciennych⁷ i najwyraźniej dzięki temu mógł się przez długi czas utrzymywać w powietrzu, bądź wzbijając się wysoko, bądź też przesuując się w kierunku poziomym.

W tej chwili podróżni wyrzucili ostatnie przedmioty obciążające jeszcze kosz, chwytając tylko po kieszeniach niektóre drobniejsze narzędzia, a jeden z nich, wspiąwszy się na pierścień, gdzie zbiegały się liny siatki, usiłował mocniej związać rękaw balonu.

Było oczywiste, że podróżni nie mogli już dłużej utrzymać balonu w górnych warstwach atmosfery i że brakło im gazu.

Byli zatem zgubieni!

Jak daleko sięgał ich wzrok, nie widać było ani lądu, ani żadnej wyspy. Na całej przestrzeni nie było ani jednego punktu do lądowania, ani kawałka stałego gruntu, o który mogliby zaczepić kotwicę.

Dokoła nie było nic, tylko nieskończone morze, którego bałwany łamały się z niezwykłą gwałtownością. Bezgraniczny ocean, którego krańców nie mogli dostrzec, pomimo że ze swej wysokości obejmowali dokoła wzrokiem przestrzeń w promieniu czterdziestu mil. Była to równina wodna, bezlitośnie chłostana przez huragan, wyglądająca jak stado

⁶ref — dolna część żagla, o którą można zmniejszyć jego powierzchnię poprzez skrócenie wszytych w niego rzędami linek (reflinek), czyli refowanie; zwykle używano 2–3 rzędów reffinek, stąd „wiatr na trzy refy” to wiatr, przy jakim pływa się na maksymalnie zrefowanych żaglach. [przypis edytorski]

⁷pięćdziesiąt tysięcy stóp sześciennych — około 1700 metrów sześciennych. [przypis autorski]

rozhułkanych rumaków ze śnieżystymi grzywami... Ani skrawka ziemi na horyzoncie, ani jednego statku!

Należało więc za wszelką cenę powstrzymać spadanie balonu, aby nie pochłonęły go fale morskie. Podróżni w koszu byli pochłonięci tą pilną sprawą. Lecz pomimo ich usiłowań balon spadał coraz niżej, a jednocześnie posuwał się z olbrzymią szybkością w kierunku, w który pchał go wicher, z północnego wschodu na południowy zachód.

Jakże straszna była sytuacja tych nieszczęsnych ludzi! Nie panowali już dłużej nad balonem. Ich wysiłki były bezskuteczne. Powłoka balonu wiotczała coraz bardziej. Gaz uchodził i nie było sposobu go powstrzymać. Tempo spadania wyraźnie rosło i około pierwszej po południu kosz znajdował się już tylko o sześćset stóp nad powierzchnią oceanu.

W istocie nie sposób było zapobiec ulatywaniu gazu, który swobodnie wymykał się przez szczelinę w powłoce balonu.

Stopniowo opróżniając kosz ze wszystkich znajdujących się w nim przedmiotów, podróżni mogliby jeszcze przez kilka godzin utrzymać się w powietrzu. Lecz tym sposobem zdołano by tylko opóźnić nieuniknioną katastrofę, a jeśliby przed zapadnięciem nocy nie ukazał się jakiś ląd, podróżni wraz z koszem i balonem musieliby zginąć w morzu.

W tej chwili spróbowali ostatniego sposobu, jaki im jeszcze pozostał. Podróżni byli widać ludźmi niepospolitego męstwa, którzy umieją patrzeć śmierci w oczy. Z ust żadnego nie wyrwało się ani jedno słowo skargi. Byli zdecydowani walczyć do ostatniej chwili i użyć wszelkich sposobów, aby opóźnić swą zgubę. Kosz był rodzajem pudła z wikliny, nie mógł pływać i nie było możliwości utrzymania go na powierzchni fal, gdyby w nie wpadł.

O godzinie drugiej balon wznosił się już zaledwie czterysta stóp nad morzem.

W tej chwili rozległ się męski głos, głos człowieka, którego serce nie zna trwogi. Odpowiedziały mu inne, nie mniej mężne głosy.

— Wszystko już wyrzucone?

— Nie, jest jeszcze dziesięć tysięcy franków w złocie.

Ciężki worek natychmiast spadł w morze.

— Podnosi się balon?

— Trochę, lecz wkrótce spadnie znowu!

— Czy jest coś jeszcze do wyrzucenia?

— Nic!

— Jak to? A kosz?

— Złapmy się siatki! A kosz do morza!

Był to istotnie jedyny i ostatni sposób ulżenia balonowi. Odcięto sznury mocujące kosz do pierścienia i balon wzniósł się w górę o dwa tysiące stóp.

Pięciu podróżnych wspięło się po sznurach na wierzch pierścienia i uczepiwszy się siatki, spoglądało w otchłań.

Wiadomo, jak wrażliwe na zmianę obciążenia są balony. Wystarczy wyrzucić najlżejszy przedmiot, aby wywołać ruch w kierunku pionowym. Unoszący się w powietrzu balon zachowuje się jak niezwykle precyzyjna waga. Łatwo więc pojąć, że gdy pozbawia się go stosunkowo dużego ciężaru, znacznie i raptownie zmienia położenie. To samo stało się teraz.

Lecz pokołysawszy się zaledwie przez chwilę w wyższych rejonach, balon zaczął znowu spadać. Gaz wciąż ulatywał przez szparę, której nie można było naprawić.

Podróżni uczynili wszystko, co było w ich mocy. Odtąd już żadna ludzka siła nie mogła ich ocalić. Mogli liczyć już tylko na pomoc boską.

O czwartej balon oddalony był już tylko o pięćset stóp od powierzchni morza.

Nagle rozległo się głośnie szczekanie. Podróżnym towarzyszył pies, który uczepił się sznurów siatki tuż obok swego pana.

— Top coś zobaczył! — krzyknął jeden z podróżnych.

Zaraz potem donośny głos zawołał:

— Ziemia! Ziemia!

Balon, pędzony ustawicznie wichrem w kierunku południowo-wschodnim, przeleciał od świtu znaczną przestrzeń, liczącą setki mil, i w tym kierunku ukazał się dość wysoki kawałek ziemi.

Lecz ziemia ta była oddalona jeszcze o trzydzieści mil. Potrzeba było co najmniej dobrej godziny, aby do niej dolecieć, i to pod warunkiem, że nie nastąpiłaby żadna zmiana kursu. Całej godziny! Ale czy wcześniej nie uleci reszta gazu, która jeszcze pozostała w balonie?

Oto było straszne pytanie! Podróżni wyraźnie widzieli przed sobą ten stały punkt, do którego za wszelką ceną musieli dotrzeć. Nie wiedzieli, co to było, ląd stały czy też wyspa, bo nie wiedzieli, w jaką stronę świata zagnał ich huragan. Lecz czy to ziemia zamieszkała, czy nie, czy gościnnie ich przyjmie, czy nie — musieli do niej dotrzeć!...

O godzinie czwartej stało się oczywiste, że balon nie jest już w stanie dłużej utrzymać się w powietrzu. W przelocie muskał powierzchnię morza. Już grzbiety olbrzymich fal zmoczyły kilkakrotnie spód siatki, przez co stała się jeszcze cięższa i balon podnosił się już tylko w połowie, jak ptak z przestrzelonym skrzydłem.

W pół godziny potem ziemia była już tylko o milę, lecz balon, wyczerpany, zwiotczały, zmięty i pofałdowany, utrzymał jeszcze tylko odrobinę gazu w górnej części. Uczepieni siatki podróżni ciążyli mu już zanadto i wkrótce, na wpół zanurzeni w morzu, wystawieni byli na wściekłość morskich bałwanów. Powłoka balonu wydeła się jak olbrzymia półkuliasta kieszeń, a wiatr, dmąc w nią z tyłu, pędził balon niczym okręt po morzu. Może w ten sposób dotrze do brzegu!

Brakowało już tylko dwóch kabli⁸, gdy nagle równocześnie z czterech piersi wyrwały się straszliwe okrzyki. Balon, który jak się zdawało, nie mógł się już więcej podnieść, popchnięty naraz gwałtownie przez morskie bałwany, poderwał się niespodziewanie w górę. Jak gdyby w tej chwili pozbył się nowej części swojego ładunku, wzniósł się na wysokość pięciuset stóp i tutaj napotkał rodzaj powietrznego wiru, który zamiast popędzić go ku brzegowi, popchnął go w kierunku prawie równoległym. Wreszcie dwie minuty później zbliżył się ukośnie do lądu i upadł na piasek wybrzeża w miejscu, gdzie już nie sięgały fale morskie.

Podróżni, pomagając sobie nawzajem, wyplątali się z siatki. Balon, pozbywszy się reszty ciężaru, popędził dalej z wiatrem jak zraniony ptak, który na chwilę odzyskał życie, i zniknął w przestworzach.

W koszu było pięciu podróżnych i pies, a balon wyrzucił na brzeg tylko czterech.

Jeden z podróżnych musiał widocznie zostać porwany przez falę, która uderzyła w siatkę, i to zapewne sprawiło, że balon, pozbywszy się części swego ciężaru, wzniósł się raz jeszcze, a kilka minut później dotarł do brzegu.

Zaledwie czterej rozbitkowie — można ich tak nazwać — dotknęli stopą lądu, gdy wtem, spostrzegłszy stratę towarzysza, wszyscy zawołali:

— Może usiłuje dostać się wpław! Ratujmy go! Ratujmy!

ROZDZIAŁ II

Epizod z wojny secesyjnej. — Inżynier Cyrus Smith. — Gedeon Spilett. — Murzyn Nab. — Marynarz Pencroff. — Młody Harbert. — Niespodziewana propozycja. — Spotkanie o godzinie dziesiątej wieczorem. — Odlot podczas burzy.

Ludzie, których huragan wyrzucił na to wybrzeże, nie byli ani zawodowymi aeronautami⁹, ani miłośnikami wypraw powietrznych. Byli to jeńcy wojenni, których odwaga popchnęła do ucieczki z niewoli w tak niezwykłych okolicznościach. Sto razy wystawieni byli na niechybną śmierć! Sto razy rozdarty balon powinien był pogrążyć ich w otchłani morskiej! Ale niebiosa przeznaczyły im dziwny los i po ucieczce w dniu 20 marca z miasta Richmond¹⁰, oblężonego przez wojska generała Ulyssesa Granta¹¹, znaleźli się

⁸kabel — jednostka odległości stosowana w nawigacji; tu: kabel amerykański równy ok. 220 m. [przypis edytorski]

⁹aeronauta (daw.) — pilot statku powietrznego; tu: baloniarz. [przypis edytorski]

¹⁰Richmond — miasto w USA, stolica stanu Wirginia, podczas wojny secesyjnej stolica Konfederacji Południa, państwa 11 stanów południowych, które odłączyły się od Unii. [przypis edytorski]

¹¹Grant, Ulysses (1822–1885) — amerykański generał, główny dowódca wojsk Unii podczas wojny secesyjnej (od 1863); prezydent USA (1869–1877). [przypis edytorski]

nagle o siedem tysięcy mil od stolicy Wirginii, głównej twierdzy separatystów w czasie straszliwej wojny secesyjnej¹². Ich napowietrzna żegluga trwała pięć dni.

Oto, w jakich niezwykłych okolicznościach nastąpiła ucieczka tych jeńców, ucieczka, która miała się zakończyć opisaną wyżej katastrofą.

W lutym 1865 roku, podczas jednej z tych bezowocnych wypraw przeprowadzanych przez generała Granta w celu opanowania Richmond, kilku jego oficerów dostało się do niewoli i zostało internowanych w tym mieście. Jednym z najwybitniejszych jeńców był oficer sztabu wojsk federacyjnych, Cyrus Smith.

Cyrus Smith, rodem z Massachusetts, był inżynierem, wybitnym uczonym; rząd Unii powierzył mu podczas wojny nadzór i kierownictwo nad kolejami żelaznymi, które odgrywały ważną rolę strategiczną. Był to typowy Amerykanin z Północy, chudy, kościsty, liczył około czterdziestu pięciu lat, miał szpakowate, krótko podstrzyżone włosy oraz siwiejący zarost, który golił, pozostawiając tylko pełne, gęste wąsy. Miał piękną i pełną wyrazu „numizmatyczną” głowę, jakby stworzoną do tego, aby ją umieszczać na medalach, płomienne oczy, usta surowe i poważne, twarz taką, jaką mają zazwyczaj uczeni wojskowi. Był to jeden z tych inżynierów, którzy chcieli rozpocząć swój zawód od młotka i kilofa, podobni do tych bohaterów, którzy rozpoczynali swoją karierę wojskową od prostego żołnierza. Genialność umysłu łączył z niepospolitą zręcznością manualną. Jego ramiona odznaczały się rzadką tężyzną mięśni. Był zarówno prawdziwym człowiekiem czynu, jak i myślicielem, łatwo przechodził do działania, party żywą przedsiębiorczością swego ducha i wytrwałością pokonującą wszelkie przeciwności. Wysoce wykształcony, bardzo praktyczny, był to, jak powiadają, człowiek, który wszędzie i zawsze da sobie radę. Miał godne pozazdrosczenia usposobienie. Panował nad sobą w każdych okolicznościach i spełniał w najwyższym stopniu owe trzy warunki, których połączenie decyduje o powodzeniu człowieka: rzutkość umysłu i ciała, gwałtowność pragnień i siłę woli. Mógł przyjąć za swoją dewizę słowa Wilhelma Orańskiego¹³ z siedemnastego wieku¹⁴: „Nie potrzeba mi nadziei, żeby coś przedsięwziąć, ani powodzenia, by wytrwać”.

Cyrus Smith był zarazem wcielonym męstwem. Brał udział we wszystkich bitwach wojny secesyjnej. Wstąpiwszy najpierw w szeregi ochotników z Illinois pod wodzą generała Granta, walczył pod Paducah, Belmont, Pittsburg-Landing, przy oblężeniu Corinthu, pod Port Gibson, nad Czarną Rzeką, pod Chattanooga, Wilderness, nad Potomakiem, zawsze mężnie jak żołnierz godny swojego generała, który zwykł mawiać: „Nie liczę nigdy swoich poległych!”. I sto razy powinien był Cyrus Smith znaleźć się w liczbie tych, których nie liczył groźny Grant, ale we wszystkich tych walkach, pomimo że wcale się nie oszczędzał, sprzyjało mu szczęście, aż do chwili, kiedy ranny dostał się do niewoli w bitwie pod Richmond.

Przy tej samej okazji i tego samego dnia, co Cyrus Smith, wpadł w niewolę południowców także inny znakomity człowiek. Był nim nikt inny, jak szanowny Gedeon Spilett, reporter dziennika „New York Herald”¹⁵, wysłany do wojsk armii północnej w celu obserwowania przebiegu wojny.

Gedeon Spilett należał do typu tych godnych podziwu reporterów pism angielskich i amerykańskich, w rodzaju Stanleya¹⁶ i jemu podobnych, którzy nie cofną się przed niczym, gdy chodzi o uzyskanie dokładnych informacji i jak najszybsze przekazanie ich swemu dziennikowi. Gazety Stanów, takie jak „New York Herald”, to prawdziwe po-

¹²wojna secesyjna (1861–1865) — wojna domowa w USA pomiędzy stanami południowymi (tzw. Konfederacja) a stanami północnymi (tzw. Unia); nazwa pochodzi od secesji (odłączenia się) od Unii stanów południowych, spowodowanej sporem o niewolnictwo. [przypis edytorski]

¹³Wilhelm I Orański, zwany Milczącym (1553–1584) — książę Oranii od 1544, namiestnik Niderlandów (obecnej Holandii) od 1572. [przypis edytorski]

¹⁴słowa Wilhelma Orańskiego z siedemnastego wieku... — omyłka autora, słowa Wilhelma I Orańskiego przypisał jednemu z jego następców, Wilhelmowi III Orańskiemu (1650–1702). [przypis edytorski]

¹⁵New York Herald — wysokonakładowa gazeta codzienna wydawana w Nowym Jorku w latach 1835–1924; dzięki publikowaniu sensacyjnych i skandalizujących tekstów po 10 latach istnienia stała się najbardziej popularną i dochodową gazetą w Stanach Zjednoczonych, w roku 1861 osiągając ogromny jak na ówczesne czasy nakład 84.000 egzemplarzy. [przypis edytorski]

¹⁶Stanley, Henry właśc. John Rowlands (1841–1904) — amerykański dziennikarz i korespondent pochodzenia walijskiego, badacz Afryki; jako reporter gazety „New York Herald” w 1871 wslawił się wyprawą na poszukiwanie zaginionego misjonarza i badacza Afryki, doktora Davida Livingstone’a. [przypis edytorski]

tęgi, a ich wysłannicy są osobistościami, z którymi każdy musi się liczyć. Wśród tych wysłanników Gedeon Spilett zajmował jedno z pierwszych miejsc.

Był to człowiek wielkich zasług, energiczny, zręczny, gotów na wszystko, pełen pomysłów, podróżnik, który przemierzył cały świat, żołnierz i artysta zarazem; skory do rady, zdecydowany w czynie, niezważający na kłopoty, na trudy ani na niebezpieczeństwa, gdy chodziło o to, aby się o wszystkim dowiedzieć, najpierw dla siebie, a potem dla swego dziennika; prawdziwy bohater tropiący ciekawe informacje, wszystko, co nieopublikowane, nieznanne, niemożliwe, jeden z tych nieustraszonych obserwatorów, którzy piszą spokojnie wśród gradu kul, spisują notatki wśród pocisków i dla których każde niebezpieczeństwo jest szczęśliwą okazją.

On także brał udział we wszystkich bitwach, zawsze na przedzie, z rewolwerem w jednej ręce, z notatnikiem w drugiej, a wśród huku armat nie zadrżał mu ołówek w ręku. Nigdy nie zajmował na próżno drutów telegraficznych, jak to czynią ci, którzy mówią wtedy, gdy nic nie mają do powiedzenia, ale każda jego wiadomość, krótka, treściwa i jasna, rzucała nowe światło na jakąś ważną sprawę. Zresztą nie brakowało mu nigdy ani dobrego humoru, ani pomysłowości. To właśnie on podczas bitwy nad Czarną Rzeką¹⁷, aby nie stracić pierwszego miejsca przy okienku biura telegraficznego i donieść swojemu dziennikowi o wyniku bitwy, przez dwie godziny nadawał telegraficznie pierwsze rozdziały Biblii. Pomysł ten kosztował „New York Herald” dwa tysiące dolarów, ale „New York Herald” otrzymał wiadomość jako pierwszy.

Gedeon Spilett był wysokiego wzrostu. Miał najwyżej czterdzieści lat. Jego twarz okalały blond bokobrody wpadające w kolor rudawy. Wzrok miał spokojny, bystry, szybko przenoszący się z jednego przedmiotu na drugi. Było to spojrzenie człowieka jednym rzutem oka ogarniającego wszystkie szczegóły dookoła. Mocno zbudowany, zahartowany się w różnych klimatach jak stalowa sztaba w zimnej wodzie.

Gedeon Spilett od dziesięciu lat był stałym reporterem „New York Herald”, wzbogacając to pismo swoimi doniesieniami i rysunkami, gdyż równie zręcznie władał ołówkiem, jak piórem. W chwili gdy został wzięty do niewoli, pracował właśnie nad opisem i szkicem planu bitwy. Ostatnie słowa nakreślone w jego notatniku brzmiały: „Jeden z południowców bierze mnie na cel i...”. I chybił Gedeona Spilleta, który jak zwykle wyszedł z tych oparów bez jednego draśnięcia.

Cyrus Smith i Gedeon Spilett, którzy znali się tylko ze słyszenia, zostali obaj odwiezieni do Richmond. Inżynierowi szybko zagoiła się rana i właśnie w czasie swej rekonwalescencji zawarł znajomość z reporterem. Ci dwaj ludzie polubili się i nabrali do siebie nawzajem szacunku. Wkrótce ożywiła ich obu tylko jedna myśl, jeden cel: uciec z niewoli, przyłączyć się do armii Granta i znowu walczyć w jej szeregach o jedność federacji.

Obaj Amerykanie postanowili zatem skorzystać z każdej sposobności do ucieczki; lecz chociaż w mieście pozostawiono im zupełną swobodę, to jednak Richmond było tak dokładnie strzeżone dokoła, że ucieczka wydawała się niemożliwa.

W tym stanie rzeczy do Cyrusa przedostał się nowy sprzymierzeniec w osobie jego sługi, oddanego mu na śmierć i życie. Tym śmiałkiem był pewien Murzyn, urodzony w posiadłościach inżyniera jako syn niewolników, którego jednak Cyrus Smith dawno temu wyzwolił, rozumem i sercem będąc za zniesieniem niewolnictwa. Niewolnik, choć uzyskał wolność, nie chciał mimo to porzucić swego pana. Kochał go tak, że z radością oddałby za niego życie. Był to chłopak trzydziestoletni, dziarski, obrotny, zręczny, inteligentny, łagodny i spokojny, czasem naiwny, zawsze uśmiechnięty, usłużny i poczciwy. Miał na imię Nabuchodonozor¹⁸, wołał jednak, żeby zwracano się do niego krótko i poufale: „Nab”.

Otóż Nab, dowiedziawszy się, że jego pan dostał się do niewoli, bez wahania opuścił Massachusetts, przybył pod Richmond i tu postępem i zręcznością, naraziwszy swe życie najmniej dwadzieścia razy, zdołał przeniknąć do oblężonego miasta. Trudno opisać słowami radość Cyrusa, gdy ujrzął wiernego służącego, i Naba, gdy odnalazł swego pana.

¹⁷*bitwa nad Czarną Rzeką* (17 maja 1863) — stoczona podczas amerykańskiej wojny secesyjnej, stanowiąca część kampanii wojsk Unii mającej na celu opanowanie Vicksburga; nad Czarną Rzeką siły Unii pod dowództwem Ulissesa Granta zwyciężyły wycofujące się oddziały Konfederacji dowodzone przez Johna Pemberton. [przypis edytorski]

¹⁸*Nabuchodonozor* — biblijny król Babilonii. [przypis edytorski]

Lecz chociaż Nabowi udało się dostać do Richmond, to jednak o wiele trudniej było wydostać się stamtąd, gdyż jeńców federalnych pilnie strzeżono. Tylko jakiś nadzwyczajny przypadek mógł stworzyć okazję do ucieczki mającą choć niewielkie szanse powodzenia, a taka okazja nie tylko nie nadarzała się sama, ale i niełatwo ją było stworzyć.

Tymczasem Grant nie zaprzestawał energicznych działań wojennych. Zwycięstwo pod Petersburgiem¹⁹ drogo go kosztowało. Jego siły, połączone z siłami Butlera²⁰, nie osiągnęły dotychczas pod Richmond żadnego rezultatu i nic nie zapowiadało naszym jeńcom bliskiego oswobodzenia. Reporter, któremu nudna niewola nie zapewniała żadnych ciekawych tematów do notatek, nie mógł już dłużej wytrzymać. Jedna myśl opanowała go całego: za wszelką cenę wydostać się z Richmond. Kilkakrotnie już próbował szczęścia, lecz każdym razem powstrzymywały go przeszkody nie do przezwyciężenia.

Tymczasem oblężenie trwało dalej i jeśli jeńcy pragnęli uciec i przyłączyć się do armii Granta, to i między oblężonymi byli tacy, którzy nie mniej chętnie wydostaliby się z miasta, żeby przyłączyć się do armii secesjonistów. Wśród nich był niejaki Jonathan Forster, zagorzały południowiec. Rzeczywiście tak samo jeńcy, jak i południowcy nie mogli opuścić miasta otoczonego przez armię północną. Gubernator Richmond od dawna już nie mógł skontaktować się z generałem Lee²¹, a rzeczą najwyższej wagi było zawiadomienie go o położeniu, w jakim znajdowało się miasto i przyspieszenie odsieczy. Otóż Jonathan Forster wpadł na pomysł, by wzbic się w powietrze balonem, przelecieć nad liniami oblegających wojsk i dotrzeć do obozu separatystów.

Gubernator zezwolił na ten projekt. Sporządzono balon i oddano go do dyspozycji Jonathana Forstera, któremu w powietrznej wyprawie miało towarzyszyć pięciu innych śmialków. Balon zaopatrzono w broń, na wypadek gdyby lądując, byli zmuszeni się bronić, oraz w żywność, na wypadek gdyby ich lot miał się przedłużyć.

Czas odlotu balonu wyznaczono na 18 marca. Miało nastąpić w nocy, przy umiarkowanym wietrze północno-zachodnim, zaś aeronauci spodziewali się w ciągu kilku godzin dotrzeć do kwatery generała Lee.

Ten północno-zachodni wiatr nie był jednak zwyczajnym wiatrem. Już od 18 marca zauważono, że zmienia się w huragan. Wkrótce burza wzmogła się do tego stopnia, że wyjazd Forstera musiano odłożyć, gdyż nie można było narażać balonu i jego załogi na wściekłość rozszalałego żywiołu.

Balon, napełniony gazem, czekał na głównym placu miejskim, gotów odlecieć w każdej chwili, gdyby tylko wicher nieco przycichł, a całe miasto niecierpliwilo się, widząc, że warunki atmosferyczne wcale się nie zmieniają.

Upłynął 18 i 19 marca, a burza nie uspokajała się ani na chwilę. Z trudem zdołano uchronić od zniszczenia uwiązany do gruntu balon, którym podmuchy wiatru rzucały o ziemię.

Minęła noc z 19 na 20 marca, ale nad ranem huragan wybuchnął z jeszcze większą wściekłością. Odlot był niemożliwy.

Tego dnia na jednej z ulic Richmond zaczął Cyrusa Smitha jakiś zupełnie mu nieznaną człowiek. Był to marynarz nazwiskiem Pencroff, w wieku około trzydziestu pięciu lub czterdziestu lat, silnie zbudowany, mocno ogorzały, z żywymi, ustawicznie mrugającymi oczyma, ale z pocziwym wyrazem twarzy. Pencroff był z urodzenia Amerykaninem z Północy, przepłynął wszystkie morza na całej kuli ziemskiej i doznał najniezwykleszych przygód, jakie mogą się przydarzyć istocie dwunożnej bez pierza²². Nie potrzeba dodawać, że był to człowiek przedsiębiorczy, gotowy na wszystko, którego nigdy nic nie zdołało wprawić w zdziwienie. Na początku roku Pencroff udał się w interesach do Richmond

¹⁹*Petersburg* — tu: miasto w USA, w stanie Wirginia, ok. 45 km od Richmond. W pobliżu Petersburga podczas amerykańskiej wojny secesyjnej toczyły się trwające dziewięć miesięcy walki pozycyjne (czerwiec 1864 – marzec 1865), nazywane bitwą pod Petersburgiem lub kampanią Richmond-Petersburg; w pierwszym natarciu unioniści ponieśli ciężkie straty. [przypis edytorski]

²⁰*Butler, Benjamin Franklin* (1818–1893) — amerykański generał major w armii Unii podczas wojny secesyjnej, polityk. [przypis edytorski]

²¹*Lee, Robert Edward* (1807–1870) — amerykański generał, dowódca wojsk Konfederacji Południa w czasie wojny secesyjnej. [przypis edytorski]

²²*Istota dwunożna bez pierza* — definicja człowieka podawana przez Platona; kiedy w odpowiedzi Diogenes z Synopy przyniósł oskubanego koguta, Platon dodał do niej: „oraz o płaskich paznokciach” (Diogenes Laertios, *Żywoty sławnych filozofów*, VI 40). [przypis edytorski]

w towarzystwie piętnastoletniego chłopca, Harberta Browna z New Jersey. Harbert był sierotą, synem zmarłego kapitana statku i marynarz kochał go własne dziecko. Nie mogąc wyjechać z miasta przed rozpoczęciem oblężenia, ku swemu wielkiemu niezadowoleniu Pencroff znalazł się w pułapce. W tym położeniu jego także opanowała jedna myśl: uciec stąd jakimkolwiek sposobem. Inżyniera Cyrusa Smitha znał ze słyszenia. Wiedział, jak niecierpliwie ten śmiały człowiek pragnął wydostać się z niewoli. Otóż tego dnia postanowił porozumieć się z nim i spotkawszy go, zagadnął bez wstępu:

— Panie Smith, nie ma pan już dość Richmond?

Inżynier spojrzał uważnie na pytającego, a ten, zniżając głos, dodał:

— Panie Smith, chce pan uciekać?

— A kiedy?... — zapytał żywo inżynier i można słusznie twierdzić, że odpowiedź ta wymknęła mu się mimo woli, gdyż nie wybadał jeszcze nieznanego, który się do niego zwrócił.

Lecz zmierzwszy przenikliwym wzrokiem szczerą twarz marynarza, nie wątpił już, że ma do czynienia z uczciwym człowiekiem.

— Kim pan jest? — zapytał krótko.

Pencroff przedstawił się.

— No dobrze — odparł Cyrus Smith. — A w jaki sposób zamierza pan uciec?

— Tym balonem, który wisi tu beczynn timer i wydaje mi się, jakby umyślnie na nas czekał!...

Marynarz nie potrzebował kończyć zdania. Inżynier zrozumiał wszystko od razu. Chwycił Pencroffa pod ramię i zabrał go ze sobą do swego mieszkania.

Tam marynarz rozwinął cały swój projekt, istotnie bardzo prosty. Rzykowało się tylko własnym życiem. Prawda, że huragan szalał z największą gwałtownością, ale taki zręczny i śmiały inżynier, jak Cyrus Smith, potrafiłby przecież kierować balonem. Gdyby znał tę sztukę on sam, Pencroff, ani chwili by się nie wahał polecić, oczywiście z Harbertem. Nie takie burze widział i nic sobie z żadnej nie robił!

Cyrus Smith słuchał marynarza w milczeniu, ale oczy mu płonęły. Nadarzała się więc okazja, a nie należał do osób, które by ją przepuściły. Projekt był wprawdzie bardzo niebezpieczny, ale właśnie dlatego był wykonalny. Pomimo czujnej straży można było podkraść się w nocy pod balon, wślizgnąć do kosza, a potem odciąć liny, którymi był przywiązany do ziemi. Prawda, można zginąć, ale z drugiej strony może się udać i gdyby nie ta burza... Lecz gdyby nie ta burza, balon już by odleciał, a tak wyczekiwanej sposobności do ucieczki w tej chwili wcale by nie było!

— Nie jestem sam — powiedział na koniec Cyrus Smith.

— Ile osób chce pan zabrać ze sobą? — zapytał marynarz.

— Dwie: mego przyjaciela Spilletta i służącego Naba.

— Razem trzy — odparł Pencroff — a ze mną i z Harbertem — pięć. Balon miał zabrać sześć...

— Więc lećmy! — powiedział Cyrus Smith.

To „lećmy” dotyczyło także reportera, ale ten nie należał do ludzi, którzy cofają się przed podobnymi przedsięwzięciami i ledwie przedstawiono mu projekt, zgodził się od razu. Dziwiło go tylko, że sam wcześniej nie wpadł na tak prosty pomysł. Co do Naba, to ten poszedłby za swoim panem wszędzie.

— A zatem do zobaczenia wieczorem — powiedział Pencroff. — Będziemy się tam wszyscy przechadzać, udając ciekawskich.

— Dziś wieczorem, o dziesiątej — odparł Cyrus Smith — i dałby Bóg, aby ta burza nie uspokoiła się przed naszym odlotem!

Pencroff pożegnał inżyniera i powrócił do swego mieszkania, gdzie zostawił młodego Harberta Browna. Ten odważny chłopiec znał plan marynarza i pełen niepokoju oczekiwał rezultatu rozmowy z inżynierem. Jak więc widzimy, była to piątka ludzi śmiałych i gotowych na wszystko, którzy postanowili zdać się na losy burzy, rozszalałego z pełną mocą huraganu.

Nie, huragan wcale się nie uspokajał i ani Jonathanowi Forsterowi, ani jego towarzyszom nie przyszło nawet do głowy, by narażać się na jego wściekłość w tym kruchym koszu. Pogoda była straszna. Inżynier obawiał się tylko jednego: żeby balon, przymocowany do ziemi i targany wichrem, nie pękł na tysiąc kawałków. Przez kilka godzin

wałesał się po prawie pustym placu, nie spuszczać balonu z oka. To samo robił Pencroff z przeciwnej strony, z rękami w kieszeniach, ziewając od czasu do czasu jak człowiek, który nie wie, czym zabić czas. Lecz on także obawiał się, czy balon nie pęknie lub czy nie zerwie się z więzów i nie uleci w powietrze.

Nadszedł wieczór. Noc była bardzo ciemna. Gęste wyziewy unosiły się ponad ziemią niczym chmury. Padał deszcz ze śniegiem, było przenikliwie zimno. Nad Richmond zawisła ciężka mgła. Wydawało się, że burza przyniosła chwilowy rozjem między obłożonymi a oblegającymi i że nawet armaty zamilkły wobec groźnych ryków huraganu. Ulice miasta opustoszały. Podczas tak okropnej pogody nie widziano nawet potrzeby pilnować placu miejskiego, pośrodku którego rozpaczliwie szamotał się uwiązany do ziemi balon. Wszystko zdawało się sprzyjać ucieczce jeńców. Ale ten lot wśród rozhukanych wichrów!....

— Przebrzydła chlapawica! — powiedział Pencroff, uderzając z góry pięścią w kapelus, który wicher zrywał mu z głowy. — Ale cóż, jakoś damy sobie z tym wszystkim radę!

O wpół do dziesiątej Cyrus Smith i jego towarzysze podkradli się chyłkiem z różnych stron na plac pogrążony w zupełnej ciemności, ponieważ wiatr zdmuchnął wszystkie latarnie gazowe. Nie widać było nawet olbrzymiego balonu, który wicher przygniótł do samej ziemi. Do sznurów siatki były przywiązane worki z balastem, prócz tego koszyk uwiązany był za pomocą grubej liny, przewleczonej przez osadzony w bruku pierścień i umocowanej do burt.

Pięciu jeńców spotkało się przy koszu. Nikt ich nie spostrzegł, było tak ciemno, że nie widzieli nawet jeden drugiego.

W głębokim milczeniu Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Nab i Harbert wsiedli do kosza, podczas gdy Pencroff na polecenie inżyniera odwiązywał po kolei worki z balastem. Trwało to zaledwie kilka chwil, po czym marynarz zajął miejsce w koszu obok swoich towarzyszy.

Balon przytrzymała jeszcze tylko podwójnie złożona lina, a Cyrus Smith miał już wydać rozkaz odlotu.

Wtem jakiś pies jednym susem wskoczył do środka. Był to Top, pies inżyniera, który urwawszy się z łańcucha, pobiegł za swoim panem. Cyrus Smith, obawiając się nadmiernego ciężaru, chciał odpędzić biedne zwierzę.

— Cóż, jeden więcej! — powiedział Pencroff i wyrzucił z kosza dwa worki z balastem.

Następnie puścił linę, a balon wzniósł się ukośnie w górę i znikł w obłokach, potrąciwszy najpierw koszem o dwa kominy, które rozwalił w szalonym pędzie.

Huragan rozszalał się z wściekłą gwałtownością. Dopóki trwała noc, inżynier nie mógł nawet myśleć o lądowaniu, a gdy zaświtał dzień, gęste mgły zasłoniły ziemię. Pięć dni później, gdy się rozjaśniło, pod balonem, pędzonym przez wicher z przerażającą szybkością, ujrzeli bezkresne morze.

Widzieliśmy już, w jaki sposób spośród tych pięciu ludzi, którzy 20 marca opuścili Richmond, czterech zostało wyrzuconych 24 marca na bezludne wybrzeże, oddalone o sześć tysięcy mil od ich kraju²³.

A tym, którego stracili i na ratunek którego pospieszyli natychmiast czterej ocaleni rozbitkowie, był ich przywódca, inżynier Cyrus Smith!...

ROZDZIAŁ III

Piąta po południu. — Stracony towarzysz. — Rozpacz Naba. — Poszukiwania na północy. — Wysepka. — Noc pełna udręczeń. — Poranna mgła. — Nab rzuca się w pław. — Widok lądu. — Przez cieśninę w bród.

Siatka rozerwała się pod Cyrusem Smithem i uderzająca fala porwała go ze sobą. Z nim razem zniknął także jego pies. Wierne zwierzę dobrowolnie rzuciło się w morze na pomoc swojemu panu.

— Dalej, naprzód! — zawołał reporter.

²³ 20 marca opuścili Richmond, czterech zostało wyrzuconych 24 marca na bezludne wybrzeże... — 3 kwietnia miasto Richmond wpadło w ręce generała Granta, bunt separatystów został stłumiony, generał Lee cofnął się na zachód, a sprawa jedności amerykańskiej zatriumfowała. [przypis autorski]

I wszyscy czterej: Gedeon Spilett, Harbert, Pencroff i Nab, nie zważając na własne wyczerpanie, rozpoczęli poszukiwania.

Biedny Nab płakał z wściekłości i z rozpacz na myśl, że utracił wszystko, co kochał na świecie.

Między chwilą, kiedy Cyrus Smith zniknął, a chwilą, w której jego towarzysze zostali wyrzuceni na ląd, nie upłynęło więcej niż dwie minuty. Mogli mieć nadzieję, że zdążą na czas, żeby go uratować.

— Szukajmy go, szukajmy go! — krzyczał Nab.

— Dobrze, Nabie — odparł Gedeon Spilett. — Znajdziemy go!

— Żywego?

— Żywego!

— A umie pływać? — zapytał Pencroff.

— Umie! — odparł Nab. — Zresztą Top jest przy nim!

Marynarz, słysząc wściekły ryk morza, pokiwał tylko głową.

Inżynier wpadł do morza na północ od brzegu, mniej więcej o pół mili od miejsca, gdzie wylądowali rozbitkowie. Najbliższy zatem punkt wybrzeża, do którego mógłby dopłynąć, był odległy o co najwyżej pół mili.

Była prawie szósta po południu. Podniosła się mgła i noc stała się ciemniejsza. Rozbitkowie powędrowali na północ wzdłuż wschodniego wybrzeża lądu, na który wyrzucił ich los, lądu zupełnie nieznanego, którego położenia geograficznego nie mogli się nawet domyślać. Pod nogami mieli piaszczysty grunt zmieszany z kamykami, pozbawiony, jak się zdawało, wszelkiej roślinności. Teren, nierówny i wyboisty, poprzecinany był tu i ówdzie małymi rozpadlinami, które niezmiernie utrudniały posuwanie się naprzód. Z tych dołów zrywały się co chwilę jakieś duże ptaki o ciężkim locie, niemożliwe do rozpoznania w ciemności. Inne, szybsze i mniejsze, wlatywały stadami jak chmury. Marynarzowi sądził, że rozpoznaje w nich mewy i drobniejsze ptactwo morskie, którego przeraźliwe ostre krzyki zagłuszały nawet szum oceanu.

Od czasu do czasu rozbitkowie zatrzymywali się i wołali z całych sił, wyęzając słuch, czy nie odezwie się jakiś głos od strony oceanu. Przypuszczali słusznie, że gdyby zbliżyli się do miejsca, gdzie wylądował Cyrus Smith, to nawet w przypadku, gdyby on sam nie był w stanie dać znaku życia, dobiegłoby ich szczekanie Topa. Lecz wśród ponurego grzmotu łamiących się o brzegi fal morskich nie słychać było żadnego głosu. Rozbitkowie poszli więc znowu naprzód, przeszukując po drodze najmniejsze załomy wybrzeża.

Po dwudziestu minutach marszu czterem rozbitkom nagle stanęły na drodze spienione fale morskie. Nie było dalej lądu. Znalezli się na samym krańcu cypla, o który z wściekłością rozbijały się fale morskie.

— To cypel — powiedział marynarz. — Musimy zawrócić, trzymając się prawej strony, i w ten sposób dojdziemy do stałego lądu.

— Ale jeśli on tu jest? — odparł Nab, wskazując na ocean, którego olbrzymie fale białały w mroku.

— Więc zawołajmy go!

I wszyscy czterej razem wydali donośny okrzyk — żadnej odpowiedzi. Wyczekali chwili, w której morze, jakby nabierając tchu, przycichło i ponowili okrzyk, ale na próżno.

Wówczas zawrócili, idąc drugim brzegiem cypla, po gruncie tak samo piaszczystym i kamienistym. Pencroff zauważył jednak, że brzeg jest coraz bardziej stromy, a teren się wznosi, i przypuszczał, że to wydłużone wzniesienie łączy się z wysokim wybrzeżem, którego masyw niewyraźnie rysował się w cieniach zmroku. W tej części wybrzeża było mniej ptactwa. Morze zdawało się mniej wzburzone, mniej hałaśliwe i nawet prąd fal znacznie się zmniejszył. Ledwie słychać było jak łamały się o brzegi. Ta strona cypla tworzyła widocznie półkolistą zatokę, którą ostry koniec cypla zasłaniał przed falami pełnego morza.

Lecz idąc w tym kierunku, szli na południe, a więc oddalali się coraz bardziej od tej części wybrzeża, gdzie mógł wylądować Cyrus Smith. Po półtożej mili drogi nie napotkali jeszcze takiego zakrętu, który by im pozwolił skierować się znowu na północ. A przecież cypel, którego najbardziej wysunięty punkt już obesli, musiał gdzieś łączyć się ze stałym

ładem. Rozbitkowie pomimo wyczerpania dążyli mężnie naprzód, mając nadzieję lada chwila znaleźć jakiś ostry skręt wybrzeża, który zawróci ich na pierwotny kierunek.

Jakież było ich rozczarowanie, gdy po przejściu dwóch mil znaleźli się na dość wysokim szczycie z oślizłych skał, a przed sobą ujrzeli morze.

— Jesteśmy na wysepce! — powiedział Pencroff — i przeszliśmy ją od jednego końca na drugi!

Marynarz miał słuszność. Rozbitkowie nie zostali wyrzuceni na ląd stały ani nawet na wyspę, lecz na małą wysepką mającą zaledwie dwie mile długości, zapewne także niezbyt szeroką.

Czy ta mała, kamienista wysepka, pozbawiona wszelkiej roślinności, opustoszałe schronienie ptaków morskich, stykała się z jakimś większym archipelagiem? Trudno to było stwierdzić. Pasażerowie balonu, ujrawszy z kosza wynurzającą się z mgły ziemię, nie mogli dostatecznie ocenić jej wielkości. Lecz Pencroff, mający wprawne oczy marynarza nawykłe do przeszywania ciemności, był niemal pewien, że dostrzega na zachodzie niewyraźne zarysy jakiegoś wysokiego brzegu.

Ciemność nie pozwalała ustalić, czy to samotna wysepka, czy też należąca do jakiejś grupy wysp. Nie można jej było opuścić, gdyż otaczało ją morze. Trzeba więc było odłożyć do następnego dnia poszukiwania inżyniera, który niestety ani jednym okrzykiem nie dał znaku swojej obecności.

— Milczenie Cyrusa niczego nie dowodzi — powiedział reporter. — Może zemdlął, może jest ranny i chwilowo niezdolny odpowiedzieć, ale nie traćmy nadziei.

Reporter wpadł zatem na myśl, żeby gdzieś na wysepce rozpałcić ognisko, które służyłoby jako sygnał dla inżyniera. Na próżno jednak szukali drewna lub suchych gałązek. Wszędzie tylko piasek i kamienie.

Łatwo wyobrazić sobie żal Naba i jego towarzyszy, którzy szczerze przywiązali się do nieustraszonego Cyrusa. Było aż nadto oczywiste, że nie mogą mu teraz w niczym pomóc. Musieli czekać do rana. Albo inżynier zdołał się sam uratować i znalazł już schronienie gdzieś na wybrzeżu, albo też był stracony na zawsze!

Mijały długie i ciężkie godziny. Przejmujące zimno dokuczalo rozbitkom, lecz ledwie je czuli. Nie przyszło im nawet do głowy, żeby wypocząć. Myśl o ich przywódcy nie pozwoliła im pamiętać o sobie i nie chcąc tracić nadziei, chodzili tam i z powrotem po jałowej wysepce, ciągle powracając do jej północnego krańca, aby być bliżej miejsca katastrofy. Na przemian to przysłuchując się, to znów wołając, spodziewali się usłyszeć wołanie o pomoc, a ich głosy musiały sięgać daleko, gdyż w powietrzu zapanowała cisza, fale się uspokoiły, a ich huk przycichł.

Raz nawet wydawało im się, że na krzyk Naba odpowiedziało echo. Harbert zwrócił na to uwagę Pencroffa, dodając:

— To dowodzi, że gdzieś niedaleko na zachodzie jest brzeg.

Marynarz skinął na to potakująco. Zresztą czy nie mogli go omylić. Jeśli dostrzegł w tamtym kierunku ląd, choćby niezbyt niewyraźnie, to z pewnością był tam ląd.

Lecz to dalekie echo było jedyną odpowiedzią na krzyk Naba, a całą wschodnią część wysepki zaległa ponura cisza.

Tymczasem niebo powoli się wypogadzało. Koło północy zamigotało kilka gwiazdek i gdyby inżynier był z nimi, dostrzegłby, że nie były to gwiazdy półkuli północnej. Na tym nowym firmamencie²⁴ nie było Gwiazdy Polarnej, konstelacje w zenicie były różne od tych, jakie można dostrzec na północy Nowego Świata²⁵, a nad południowym biegunem kuli ziemskiej jaśniał Krzyż Południa²⁶.

²⁴*firmament* — sklepienie niebieskie, niebo. [przypis edytorski]

²⁵*Nowy Świat* — określenie kontynentów półkuli zachodniej: Ameryki Płn. i Płd., powstałe w epoce wielkich odkryć geograficznych dla odróżnienia od znanych Europejczykom od starożytności lądów Europy, Azji i Afryki. [przypis edytorski]

²⁶*Krzyż Południa* (astr.) — najbardziej charakterystyczny, łatwo rozpoznawalny gwiazdozbiór nieba południowego. Jego gwiazdy tworzą figurę krzyża, którego dłuższe ramię wskazuje w przybliżeniu południowy biegun niebieski, podobnie jak na niebie północnym Gwiazda Polarna w Małej Niedźwiedzicy wskazuje biegun północny. Na półkuli północnej Krzyż Południa jest widoczny wyłącznie w okolicach tropikalnych, położonych nie dalej niż ok. 20° od równika, przez kilka godzin nocnych zimą i wiosną, nisko nad horyzontem. [przypis edytorski]

Minęła noc. Około piątej nad ranem dnia 25 marca niebo zaczęło jaśnieć. Horyzont pogrążony był jeszcze w ciemności, lecz z pierwszym brzaskiem dnia podniosła się z morza mgła tak gęsta, że nie sięgało się wzrokiem dalej niż na dwadzieścia kroków przed sobą. Mgła rozwinęła w ciężkie kłęby, powoli sunące nad ziemią.

Była to nowa niesprzyjająca okoliczność. Rozbitkowie nie mogli nic rozróżnić dokoła siebie. Podczas gdy oczy Naba i reportera błądziły po oceanie, marynarz z Harbertem wypatrywali wybrzeża na zachodzie. Nie było jednak widać ani skrawka lądu.

— Mniejsza o to — powiedział Pencroff — chociaż nie widzę ziemi, to ją czuję... jest tam... tam... To tak pewne, jak to, że nie jesteśmy już w Richmond!

Niebawem mgła zaczęła się rozwiewać. Była tylko zapowiedzią dobrej pogody. Ciepłe promienie słoneczne ogrzały najpierw górne warstwy powietrza, a następnie przedarły się do samej powierzchni wysepki.

Około godziny wpół do siódmej, w trzy kwadrans po wschodzie słońca, mgła stała się bardziej przejrzysta. Zgęstniała u góry, lecz za to przeredziła się u dołu. Niebawem oczom rozbitków ukazała się cała wysepka, jak gdyby wynurzyła się z chmur, następnie dokoła zaczęło odsłaniać się morze, bezkresne na wschodzie, ale za to na zachodzie ograniczone wysokim, urwistym wybrzeżem.

Tak! Tam był ląd! Tam był ich ratunek, przynajmniej na jakiś czas. Wysepkę od tego lądu oddzielała szeroka na pół mili cieśnina, przez którą z szumem toczył się gwałtowny nurt. Tymczasem jeden z rozbitków, słuchając tylko głosu swego serca, rzucił się nagle w prąd morski, nie zasięgając rady towarzyszy, a nawet nie mówiąc im ani słowa. Był to Nab. Pilno mu było dostać się do tego wybrzeża i pójść nim na północ. Nikt nie był w stanie go powstrzymać. Pencroff wołał za nim, ale na próżno. Reporter szykował się, aby płynąć za Nabem.

Pencroff, przystąpiwszy do niego, zapytał:

— Chce pan przepłynąć tę cieśninę?

— Tak — odparł Gedeon Spilett.

— Więc proszę mi uwierzyć i zaczekać trochę — powiedział marynarz. — Sam Nab wystarczy, żeby przyjść z pomocą swojemu panu. Jeśli rzucimy się do cieśniny, narazimy się tylko na to, że prąd porwie nas ze sobą. Teraz, jeżeli się nie mylę, jest to prąd spowodowany odpływem morza. Niech pan spojrzy, woda na piasku wyraźnie opada. Miejmy więc cierpliwość, a gdy odpływ się skończy, może uda nam się przejść w bród.

— Ma pan słuszość — odparł reporter. — Nie rozdzielajmy się, dopóki się da...

Tymczasem Nab walczył mężnie z prądem wody. Płynął przez cieśninę na ukos. Za każdym wymachem nad powierzchnię wody wynurzały się jego czarne ramiona. Prąd unosił go wprawdzie z wielką szybkością, lecz pomimo to zbliżał się wciąż do brzegu. Połowę mili, dzielącą wysepkę od lądu, przepłynął w ciągu przeszło pół godziny i dotarł do brzegu w odległości zaledwie kilku tysięcy stóp w bok od miejsca leżącego naprzeciw punktu, z którego wypłynął.

Nab wyszedł na brzeg u podnóża wysokiej granitowej ściany, energicznie się otrząsnął, następnie pobiegł pędem i wkrótce zniknął za wierzchołkami skał, wysuniętych w morze mniej więcej do wysokości północnego krańca wysepki.

Towarzysze Naba ze ściśniętym sercem przyglądali się jego śmiałym poczynaniom, a gdy zniknął im z oczu, ponownie przenieśli wzrok na ziemię, na której chcieli szukać schronienia. Zjedli trochę małży, którymi usiany był piasek. Był to skromny posiłek, ale zawsze posiłek.

Przeciwniegi brzeg tworzył obszerną zatokę, zakończoną na południu ostrym cyplem, pozbawionym wszelkiej roślinności, wyglądającym ponuro i dziko. Cyplem ten łączył się z wybrzeżem poszarpaną, kapryśną linią i opierał się na olbrzymich skałach granitowych. Natomiast na północy zatoka rozszerzała się, tworząc wybrzeże bardziej zaokrąglone, biegnące od południowego zachodu na północny wschód i kończące się ostrym cyplem. Odległość pomiędzy tymi dwoma krańcami, o które opierał się łuk zatoki, mogła wynosić około ośmiu mil. O pół mili od brzegu wąski pas morza zajmowała wysepka przypominająca cielsko olbrzymiego wieloryba. W najszerszym miejscu nie miała więcej niż ćwierć mili.

Na wprost wysepki na pierwszym planie wybrzeża widać było piaszczystą plażę gęsto pokrytą ciemnymi skałami, które w tej chwili powoli wynurzały się z wody, cofającej

się wskutek odpływu. Na drugim planie wznosił się jakby mur kurtynowy²⁷ z granitu, zwieńczony na wysokości co najmniej trzystu stóp kapryśnie postrzępionym grzbietem. Ściana ta ciągnęła się na długości trzech mil i kończyła się z prawej strony raptownie ściętym urwiskiem, jak gdyby wyciosaną ręką ludzką. Po lewej natomiast, powyżej cypla, to nieregularne, postrzępione wybrzeże, powstałe ze spiętrzonych brył skalnych i osypisk, obniżało się stopniowo w podłużny grzbiet, który stopniowo łączył się ze skałami południowego krańca.

Na głównym płaskowyżu nie było ani jednego drzewa. Była to płaszczyna gładka jak stół, podobna do tej, która wznosi się nad Capetown²⁸, na Przylądku Dobrej Nadziei, tylko nieco mniejszych rozmiarów. Przynajmniej tak to wyglądało z wysepki. Nie brakowało za to zieleni po prawej stronie, w głębi za urwiskiem. Łatwo było dostrzec ogromne masy wielkich drzew, ciągnące się jak daleko wzrok sięgał. Widok tej roślinności rozweselał nieco oko, znużone surowymi liniami granitowych ram, które go otaczały.

Na ostatnim wreszcie planie, ponad płaskowyżem, w kierunku północno-zachodnim, w odległości co najmniej siedmiu mil, błyszczał okryty śniegiem szczyt, ozłocony promieniami słońca. Była to czapa śnieżna zdobiąca jakąś oddaloną górę.

Nie można więc było rozstrzygnąć kwestii, czy ziemia, którą widzieli przed sobą, była wyspą, czy też częścią lądu stałego. Jednak na widok skał piętrzących się po lewej stronie, dziwnie poszarpanych i urwistych, geolog bez wahania stwierdziłby, że mają pochodzenie wulkaniczne, bez wątplenia bowiem były wytworem podziemnych sił.

Gedeon Spilett, Pencroff i Harbert uważnie przypatrywali się tej ziemi, gdzie być może mieli żyć przez wiele lat, a może nawet i umrzeć, jeśli nie leżała blisko szlaku statków.

— No i co ty na to, Pencroffie? — zapytał Harbert.

— Cóż, widzę w tym dobre i złe strony, jak we wszystkim — odparł marynarz. — Zresztą, zobaczymy. Ale właśnie zaczyna się odpływ. Za trzy godziny spróbujemy przedostać na drugą stronę, a gdy już tam będziemy, postaramy się dać sobie radę i znaleźć pana Smitha.

Pencroff nie omylił się w swoich przewidywaniach. Trzy godziny później, gdy woda opadła, został odsłonięty niemal cały piasek na dnie cieśniny. Wysepkę od przeciwnego wybrzeża oddzielał już tylko wąski pas wody, zapewne łatwy do przebycia.

Około godziny dziesiątej Gedeon Spilett i jego dwaj towarzysze, rozebrawszy się i przymocowawszy na głowie zawiniątka z ubraniami, weszli do wody, której głębokość nie przekraczała pięciu stóp. Harbert, dla którego było zbyt głęboko, płynął jak ryba i doskonale sobie poradził. Wszyscy trzej dostali się bez trudności na drugą stronę. Tam, osuszony się szybko na słońcu i włożywszy znowu ubrania, które udało im się ochronić od zmoczenia, urządzili naradę.

ROZDZIAŁ IV

Litodomy. — Przy ujściu rzeki. — „Kominy”. — Dalsze poszukiwania. — Las zielonych drzew. — Zapas opału. — Czekając na odpływ. — Ze szczytu uniesienia. — Splot drzewa. — Powrót na wybrzeże.

Reporter umówił się z marynarzem, aby czekał na niego w tym samym miejscu, po czym nie tracąc ani chwili, poszedł w tę samą stronę, dokąd kilka godzin wcześniej udał się Nab. Szybko znikł za zakrętem wybrzeża, tak pilno mu było zasięgnąć wieści o inżynierze.

Harbert chciał mu towarzyszyć, ale marynarz powiedział:

— Zostań tutaj, mój chłopcze. Musimy przygotować jakieś obozowisko i sprawdzić, czy nie dałoby się poszukać dla naszych żołądków czegoś pożywniejszego od małży. Nasi przyjaciele będą po powrocie potrzebowali posiłku. Niech każdy robi to, co do niego należy.

— Jestem gotowy — odparł Harbert.

— Dobrze! — powiedział marynarz. — Jakoś to będzie. Trzeba tylko postępować planowo. Czujemy znużenie, zimno i głód, powinniśmy więc poszukać sobie schronienia,

²⁷mur kurtynowy (archit.) — odcinek muru obronnego pomiędzy dwiema basztami. [przypis edytorski]

²⁸Capetown — Kapsztad, miasto w Afryce Płd., dawna stolica bryt. Kolonii Przylądkowej. [przypis edytorski]

ognia i pożywienia. W lesie znajdziemy drewno, w ptasich gniazdach jaja, pozostaje tylko znalezienie domu.

— A więc poszukam jakiejś jaskini w tych skałach — odparł Harbert — i pewnie uda mi się znaleźć dziurę, w której się wszyscy pomieścimy.

— Otóż to! — powiedział Pencroff. — W drogę, mój chłopcze!

I obaj ruszyli wzdłuż podnóża wysokiej ściany skalnej, po piaszczystej plaży, którą odkryła opadająca woda. Lecz zamiast iść na północ, udali się na południe. Pencroff zauważył, że o kilkaset kroków od miejsca, gdzie wylądowali, brzeg wyginał się w wąski lej, który jego zdaniem był ujściem jakiejś rzeki lub potoku. Z jednej więc strony ważne było osiedlenie się w pobliżu źródła słodkiej wody, z drugiej zaś strony było całkiem możliwe, że prąd morski poniosł Cyrusa w tę stronę.

Jak już powiedzieliśmy, ściana skalna wznosiła się do wysokości trzystu stóp, ale od góry do dołu była jak wyciosana z jednego kamienia i nawet u jej podnóża, ledwie omywanego przez morze, nie było żadnej szczeliny mogącej służyć za tymczasowe schronienie. Był to solidny mur z twardego granitu, którego fale nigdy nie nadgryzły. Ponad jego szczytem unosiły się chmary wodnego ptactwa, w szczególności rozmaite gatunki pletwonogich o długich, spłaszczonych, spiczastych dziobach — krzykliwe i wcale nie zaniepokojone widokiem ludzi, którzy pewnie po raz pierwszy naruszali ich samotność. Wśród tego pletwonogiego ptactwa Pencroff rozpoznał kilka wydrzyków oraz małe żarłoczne mewki, gnieźdzące się w szczelinach granitowej ściany. Jednym strzałem w środek tego ptasiego roju można by ubić mnóstwo z nich, lecz do strzału potrzebna była strzelba, której ani Pencroff, ani Harbert nie mieli. Zresztą te mewki i wydrzyki ledwie dają się zjeść i nawet ich jaja mają obrzydliwy smak.

Tymczasem Harbert, zboczywszy nieco na lewo, natrafił wkrótce na kilka brył skalnych pokrytych wodorostami, które za kilka godzin przybierające morze miało znowu skryć pod wodę. Na tych skałach, wśród oślizłych porostów, roilo się od mięczaków w dwuczęściowych muszlach, pokarmu nie do pogardzenia dla zgłodniałych ludzi. Harbert przywołał zatem Pencroffa, który przybiegł z pośpiechem.

— O, to jadalne małże! — zawołał marynarz. — Zastąpią nam jaja.

— To nie są zwykłe małże — odparł Harbert, który uważnie przypatrywał się tym uczeptionym do skał mięczakom. — To litodomy²⁹.

— A dadzą się jeść? — zapytał Pencroff.

— Oczywiście.

— Więc bierzmy się do nich.

Marynarz mógł co do tego polegać na zdaniu Harberta. Chłopak był bardzo mocny w naukach przyrodniczych i pasjonował się nimi od najmłodszych lat. Ojciec pchnął go więc w tym kierunku, posyłając na wykłady najlepszych profesorów w Bostonie, którzy polubili tego inteligentnego i pracowitego chłopca. Później jeszcze nieraz przydały się jego wiadomości przyrodnicze, a i teraz się nie pomylił.

Owe litodomy były to podłużne małże, skupione w grona i mocno przyczepione do skał. Należały do gatunku mięczaków-skałotoczy, drążących najtwardszy kamień; ich muszla zaokrąglą się na obu końcach, inaczej niż u zwykłych małży.

Pencroff z Harbertem mieli niezły posiłek z litodomów, których muszle pootwierały się na słońcu. Jedli je jak ostrzygi i przekonali się, że są tak ostre w smaku, że nie trzeba było do nich ani pieprzu, ani innej przyprawy.

Tym sposobem zaspokoiли chwilowo głód, ale po takiej potrawie jeszcze bardziej zaczęło im dokuczać pragnienie. Trzeba więc było poszukać słodkiej wody, a nie ulegało wątpliwości, że nie może jej brakować w okolicy tak bardzo urozmaiconej. Pencroff i Harbert, zaopatrzwszy się najpierw w obfity zapas litodomów, którymi napełnili kieszenie i chustki, wrócili do podnóża skały.

Po dwustu krokach doszli do wygięcia wybrzeża, które według przypuszczenia Pencroffa miało być ujściem rzeczki. W tym miejscu granitowa ściana urywała się, jakby rozerwana gwałtownymi podziemnymi siłami. U jej podnóża znajdowała się mała zatoczka, tworząca w głębi dosyć ostry kąt. Nurt wody miał około stu stóp szerokości, zaś

²⁹litodomy — dziś popr.: *wkamienniki* (*Lithophaga*), rodzaj średniej wielkości małży o wydłużonej muszli przypominającej daktyl; w org.: *lithodomes*, od *Lithodomus* w klasyfikacji Cuviera z 1816. [przypis edytorski]

jego strome brzegi po obu stronach nie były szersze niż dwadzieścia stóp. Rzeka ta przeciskała się pomiędzy dwiema granitowymi ścianami, które nieco obniżały się przy ujściu. Trochę dalej rzeka nagle zakręcała i ginęła w zaroślach małego lasu odległego o pół mili od brzegu.

— Tu woda! Tam las! — zawołał Pencroff. — Cóż, Harbercie, brakuje nam tylko domu.

Woda w rzece była przejrzysta. Marynarz przekonał się, że podczas odpływu, kiedy fale morskie do niej nie docierają, jest słodka. Po ustaleniu tego ważnego faktu Harbert zaczął poszukiwania jakiejś grotty, która mogłaby posłużyć im za schronienie, ale daremnie. Skąła była wszędzie pionowa, gładka i równa.

Przy samym jednak ujściu rzeki, poza zasięgiem fal morskich podczas przyprływu, rumowiska skał utworzyły wprawdzie nie pieczarę, lecz spiętrzenie olbrzymich głazów, zwane kominami, jakie często napotyka się w okolicach obfitujących w pokłady granitowe.

Pencroff i Harbert zapuścili się dość daleko pomiędzy skały, w piaszczyste korytarze, gdzie światło wdzierало się przez szczeliny pomiędzy bryłami granitu, niekiedy utrzymującymi równowagę w sposób niepojęty dla oka. Lecz razem ze światłem wdzierал się także wiatr, prawdziwy przeciąg, a z wiatrem wlatywał z zewnątrz ostry, przenikliwy chłód. Marynarz jednak sądził, że zablokowanie pewnych odcinków tych korytarzy i zatkanie niektórych otworów mieszaniną kamieni i piasku, mogłoby te kominy uczynić zdarnymi do zamieszkania. Ich układ geometryczny przypominał znak &, oznaczający skrócone *et caetera*³⁰. Po odcięciu górnej pętli znaku, którą wciśnięto do środka południowo i zachodnie wiatry, można by było wykorzystać dolną część na mieszkanie.

— Oto czego nam było potrzeba! — zawołał Pencroff. — Jeśli kiedyś znów będziemy mieli przy sobie pana Smitha, na pewno będzie umiał coś zrobić z tego labiryntu!

— Ujrzymy go jeszcze, ujrzymy — zawołał Harbert. — A kiedy powróci, trzeba, żeby zastał tutaj mieszkanie przynajmniej znośne. Doprowadzimy do tego, jeżeli nam się uda w lewym korytarzu urządzić ognisko i pozostawić otwór, przez który będzie wylatywał dym.

— Uda się nam, uda, mój chłopcze — odparł marynarz — a te Kominy (Pencroff pozostawił tę nazwę temu prowizorycznemu schronieniu) będą dla nas odpowiednie. Ale najpierw trzeba przygotować zapas opału. Sądzę, że drewno przyda się też do zatkania tych dziur, przez które diabeł teraz dmie jak w trąbkę.

Harbert i Pencroff opuścili Kominy i powróciwszy nad zatokę, poszli lewym brzegiem rzeki. Prąd był w tym miejscu dość wartki i unosił ze sobą kłody uschniętych drzew. Przyprływ morza, który już dawał się zauważyć, powinien wepchnąć je z powrotem na sporą odległość. Marynarz wpadł więc na myśl, że można by wykorzystać przyprływ i odpływ morza do transportowania ciężarów.

Po kwadransie marynarz z Harbert dotarli do ostrego łuku, jaki tworzyła rzeka, skręcając w lewo. Od tego miejsca płynęła przez las, gdzie rosły wspaniałe drzewa. Drzewa te, pomimo późnej pory roku, zachowały zielen, należąc rodziny drzew iglastych, rosnących we wszystkich częściach świata, zarówno w klimacie północnym, jak i w regionach podzwrotnikowych. Młody przyrodnik rozpoznał wśród nich pospolite w strefie himalajskiej cedry³¹, roztaczające bardzo przyjemną, żywiczną woń. Spomiędzy tych pięknych drzew strzelały w niebo kępy sosen, szeroko rozpościerających gęste, nieprzepuszczające światła korony. Idąc przez wysoką trawę, Pencroff poczuł, jak pod jego stopami łamią się suche gałęzie, trzaskając jak fajerwerki.

— No dobrze, mój chłopcze — powiedział do Harberta — może i nie znam nazw tych drzew, ale tyle przynajmniej wiem, że należą do kategorii „drzewo opałowe”, a w tej chwili tylko ten rodzaj nas obchodzi.

— Róbmy zapasy! — odparł Harbert i natychmiast wziął się do dzieła.

Zbieranie szło z łatwością. Nie trzeba było nawet odłamywać gałęzi, gdyż mnóstwo suchych leżało pod nogami. Lecz chociaż nie brakło opału, środki transportu pozostawiały

³⁰*et caetera* (łac.) — i tak dalej; znak &, oznaczający skrócone „et caetera”: w rzeczywistości „&” jest połączeniem liter łac. spółnika *et*, wyrażenie *et caetera* zapisuje się skrótno jako „etc.” lub jako „&c.”. [przypis edytorski]

³¹*cedr himalajski, Cedrus deodara* (bot.) — drzewo z rodziny sosnowatych, gatunek cedru występujący w Himalajach, osiągający do 50 m wysokości. [przypis edytorski]

wiele do życzenia. Drewno było bardzo suche i na pewno szybko się spalało. Dlatego należało sprowadzić je do Kominów w większej ilości, a we dwóch nie mogli zbyt wiele udźwignąć. Harbert zwrócił na to uwagę.

— Ech, mój chłopcze — odparł marynarz — musi się znaleźć jakiś sposób przetransportowania tego drewna. Na wszystko znajdzie się sposób! Gdybyśmy mieli wózek lub łódkę, to byłoby zbyt łatwe.

— Ale mamy rzekę! — zawołał Harbert.

— Słusznie — odparł Pencroff. — Rzeka będzie dla nas drogą, która sama jedzie, a nie na darmo wynaleziono tratwy i spławy.

— Tylko że nasza droga — zauważył Harbert — porusza się w tej chwili w przeciwną stronę, niż potrzebujemy, bo zaczyna się przypływ.

— Zaczekajmy na odpływ — odparł marynarz — a wtedy morze samo powiezie nasz opał do Kominów. Tymczasem przygotujmy tratwę!

Marynarz z Harbertem skierowali się ku miejscu, gdzie las zbliżał się do rzeki. Każdy z nich niósł tyle powiązanego w wiązki drewna, ile mógł udźwignąć. Na brzegu, w trawie, na której zapewne nigdy nie powstała ludzka stopa, również leżało mnóstwo suchych gałęzi. Pencroff natychmiast zabrał się do sporządzenia tratwy.

W malutkiej zatoczce, utworzonej przez występ brzegu, o który załamywał się nurt rzeki, marynarz z Harbertem spuszczała na wodę duże kawały drzewa powiązane suchymi lianami. W ten sposób sporządzili rodzaj tratwy, na której położyli całe zebrane drewno: mniej więcej tyle, że do dźwigania potrzeba by było dwudziestu ludzi. W ciągu godziny skończyli pracę i przywiązana do brzegu tratwa miała już tylko czekać na odpływ.

Mając zatem jeszcze kilka godzin wolnych, Pencroff i Harbert postanowili wspiąć się na górny płaskowyż i stamtąd rozejrzeć się dokładniej po okolicy.

W odległości dwustu kroków za załamaniem tworzonym przez rzekę skalista ściana wybrzeża, zakończona bezładnie natłoczonymi skałami, lekko nachylonym zboczem opadała do skraju lasu, tworząc jak gdyby naturalne schody. Marynarz i Harbert zaczęli wspinać się po nich. Dzięki swym silnym nogom w kilka minut dotarli na szczyt i stanęli na krawędzi urwiska ponad ujściem rzeki.

Pierwsze spojrzenie rzucili na ocean, który przebyli w tak okropnych okolicznościach. Ze wzruszeniem patrzyli na północną część wybrzeża, gdzie nastąpiła katastrofa. To tam zniknął Cyrus Smith. Szukali wzrokiem jakichś szczątków balonu, których mógłby uczyć się człowiek. Nic! Wokół tylko bezkresne wodne pustkowie. Brzeg również był pusty. Nigdzie nie było widać ani reportera, ani Naba. Możliwe jednak, że w tej chwili byli tak daleko, że nie można było ich dostrzec.

— Coś mi powiada — odezwał się Harbert — że taki dzielny człowiek, jak pan Cyrus, nie mógł pójść na dno jak pierwszy lepszy. Musiał gdzieś przypłynąć do brzegu. Prawda, Pencroffie?

Marynarz ze smutkiem potrząsnął głową. Nie spodziewał się już kiedykolwiek zobaczyć Cyrusa Smitha, lecz nie chcąc odbierać Harbertowi resztek nadziei, odparł:

— Niewątpliwie, niewątpliwie. Nasz inżynier da sobie radę nawet tam, gdzie każdy inny przepadłby z kretesem!...

Jednocześnie z wielką uwagą obserwował wybrzeże. Na dole rozciągała się piaszczysta plaża, zakończona na prawo od ujścia rzeki szeregiem sterczących z morza raf. Te wynurające się z wody skały wyglądały jak stada dużych płazów wylegujących się w kąpielni morskiej. Za pasem raf morze połyskiwało w promieniach słonecznych. Na południu widnokrąg zamykał ostry cypel, tak że nie można było rozpoznać, czy ląd ciągnie się dalej w tym kierunku, czy też wygina się na południowy wschód albo na południowy zachód, co oznaczałoby, że ta część wybrzeża tworzy rodzaj wydłużonego półwyspu. Na północnym krańcu zatoki linia brzegowa biegła daleko, mając bardziej zaokrąglony kształt. Tam wybrzeże było płytkie, płaskie, bez urwistych brzegów, z wielkimi ławicami piasku odkrywanymi przez odpływ morza.

Pencroff i Harbert spojrzeli teraz na zachód. Ich wzrok spoczął najpierw na górze ośnieżonym szczycie, piętrzącej się w odległości sześciu lub siedmiu mil. Począwszy od najbliższych stoków aż do miejsca odległego mniej więcej o dwie mile od brzegu ciągnęły się wielkie obszary lasów, ogołocone z liści, gdzieniegdzie tylko przerywane dużymi zielonymi plamami drzew iglastych. Dalej, od skraju tego lasu aż do samego brzegu morza,

zeleniła się szeroka równina porośnięta nieregularnie porozrzucanymi kępami drzew. Po lewej stronie tu i ówdzie przez zielen przeblyskiwała rzeka; wydawało się, że jej kręty bieg prowadzi pomiędzy zbocza górskie, gdzie zapewne miała źródło. W miejscu, gdzie marynarz zostawił tratwę, rzeka zaczynała płynąć pomiędzy dwiema wysokimi ścianami z granitu; po lewej jej brzegi były gładkie i strome, po prawej natomiast stopniowo się obniżały, lita skała zmieniała się w pojedyncze głazy, głazy w kamienie, kamienie w kamyki, pokrywające brzeg aż do końca cypla.

— Czyżbyśmy byli na wyspie?... — mruknął marynarz.

— W każdym razie wydaje się dość rozległa — odparł chłopak.

— Nawet największa wyspa jest tylko wyspą — powiedział Pencroff.

Jednak tej ważnej kwestii nie dało się na razie rozstrzygnąć. Trzeba to było odłożyć na później. W każdym razie ten ład, czy był wyspą, czy też kontynentem, wydawał się żyzny, malowniczy i obfitujący w różne zasoby.

— To szczęście w nieszczęściu — powiedział Pencroff — i powinniśmy za to podziękować Opatrzności.

— Niech więc Bogu będzie chwała! — odparł Harbert, którego pobożna dusza była przepełniona wdzięcznością dla Stwórcy wszechrzeczy.

Pencroff i Harbert długo przyglądali się krainie, na którą rzucił ich los, lecz po takich powierzchownych obserwacjach trudno było przewidzieć, co przyniesie im przyszłość.

Następnie powrócili, podążając południowym grzbietem granitowego płaskowyżu, na którym rysowały się długie festony³² skał o najdziwniejszych kształtach. Tutaj w szczelinach skał gnieździły się setki ptaków. Skacząc ze skały na skałę, Harbert spłoszył całą skrzydlatą gromadę.

— Ach, to nie są mewy! — wykrzyknął.

— A cóż to za ptaki? — zapytał Pencroff. — Na honor, wyglądają na gołębie!

— Owszem — odparł Harbert — to są gołębie, ale dzikie, zwane skalnymi. Poznają je po podwójnym czarnym pasku na skrzydłach, po białym ogonie i niebieskopopielatym upierzeniu. A ponieważ gołąb skalny jest bardzo smaczny, więc i jego jaja muszą być wyśmienite. Zaraz zobaczymy, czy zostawiły jakieś jaja w gniazdach.

— Nie pozwolimy im się wykluć, chyba że pod postacią jajecznicy! — odparł wesoło Pencroff.

— A w czym zrobisz jajecznicę? — zapytał Harbert. — W kapeluszu?

— Prawda — odparł marynarz — nie jestem sztukmistrzem. W takim razie uruczmy się jajami na twardo, mój chłopcze, a ja podejmuję się sprzątnąć najtwardsze!

Pencroff i Harbert przeszukali rozpadliny skalne i rzeczywiście w niektórych zagłębieniach znaleźli jaja. Zebrali kilka tuzinów, zawinęli w chustkę marynarza i ponieważ zbliżał się szczyt przypływu, zaczęli schodzić w kierunku rzeki.

Kiedy doszli do zakrętu, była pierwsza po południu. Prąd zaczął już zmieniać kierunek. Trzeba więc było korzystać z odpływu, aby tratwę z drewnem doprowadzić do ujścia rzeki. Pencroff nie zamierzał zostawić ładunku na łasce nurtu, ale nie miał też ochoty wsiąść na tratwę, żeby nią kierować. Marynarz jednak nigdy nie jest w kłopotcie, gdy chodzi o linę lub sznur. Pencroff skręcił naprędce z suchych lian linę długości kilku sążni³³ i przywiązał do tylnej części tratwy. Chwycił za drugi koniec liny, podczas gdy Harbert długą żerdzią odpychał tratwę od brzegu, nakierowując ją na prąd wody.

Pomysł powiódł się doskonale. Wielki ładunek drzewa wstrzymywany ręką idącego brzegiem marynarza płynął prosto z prądem rzeki. Brzegi były bardzo strome, więc nie było obaw, że tratwa osiadzie na piasku. Zanim minęły dwie godziny, ładunek dotarł do ujścia rzeki, o kilka kroków od Kominów.

ROZDZIAŁ V

³²feston — dekoracja z podwieszanej tkaniny. [przypis edytorski]

³³sążeń — daw. jednostka długości, równa szerokości rozpostartych ramion dorosłego mężczyzny; tu: sążeń amerykański wynoszący ok. 1,8 m. [przypis edytorski]

Urządzenie Kominów. — Ważna kwestia ognia. — Pudełko z zapalkami. — Poszukiwania na wybrzeżu. — Powrót reportera i Naba. — Tylko jedna zapalka! — Ognisko. — Pierwsza kolacja. — Pierwsza noc na lądzie.

Kiedy tylko tratwa z drewnem została wyładowana, pierwszą troską Pencroffa było przystosować Kominę do zamieszkania, zatykając otwory i dziury, którymi wpadał wiatr. Za pomocą piasku, kamyków, splecionych gałęzi i mokrej ziemi pozapychali szczelnie górną pętlę znaku & oraz wszystkie boczne krużganki wystawione na południowy wiatr. Zostawili tylko jedną boczną odnogę, wąską i krętą, aby dym miał którędy uchodzić, a ognisko miało potrzebny ciąg. Tym sposobem podzielili Kominę na kilka pokojów, jeśli można tak nazwać ciemne jamy, z których dzikie zwierzę niezbyt byłoby zadowolone. Tyle przynajmniej było z nich korzyści, że były suche i że można było w nich prosto stanąć, zwłaszcza w głównym pokoju, zajmującym środkową część Kominów. Podłogę stanowił drobny piasek i wzięwszy wszystko razem w rachubę, można tam było jako tako wytrzymać, dopóki by się nie trafiło coś lepszego.

Podczas pracy Harbert i Pencroff rozmawiali ze sobą.

— A może nasi towarzysze — powiedział Harbert — znajdą gdzieś schronienie lepsze od naszego.

— Możliwe — odparł marynarz — ale w razie wątpliwości potrzeba przezorności! Lepiej mieć dwie cięciwy do jednego łuku, niż nie mieć żadnej.

— Ach — powiedział Harbert — żeby tylko przyprowadzili ze sobą pana Smitha, żeby go odszukali. O, to byśmy Bogu za to podziękowali!...

— Prawda! Prawda! — mruknął Pencroff. — Był to człowiek jakich mało!

— Jak to „był”...? Więc nie masz nadziei znów go zobaczyć?

— Broń Boże! — zaprzeczył marynarz.

Robota była tymczasem gotowa i Pencroff oświadczył, że jest z niej bardzo zadowolony.

— Teraz — powiedział — nasi przyjaciele mogą powrócić. Znajdą całkiem znośne schronienie.

Pozostało tylko urządzić palenisko i przygotować posiłek. Było to zadanie doprawdy proste i łatwe. Na dnie pierwszego korytarza po lewej stronie, przy wylocie specjalnie pozostawionego wąskiego otworu, położyli duże płaskie kamienie. Ciepło unoszące się z paleniska, które nie uleci na zewnątrz z dymem, wystarczy do utrzymania wewnątrz przyzwoitej temperatury. Jedną z komór przeznaczyli na skład drzewa. Pencroff położył na płytach paleniska kilka polan i nieco drobniejszych gałązek.

Marynarz był zajęty tą pracą, gdy Harbert zapytał go, czy ma zapalki.

— Rozumie się — odparł Pencroff — i muszę dodać: na szczęście, bo bez zapalek lub hubki³⁴ byłibyśmy w nie lada kłopotcie!

— Moglibyśmy poradzić sobie tak jak dzicy — powiedział Harbert — pocierając o siebie dwa kawałki suchego drzewa.

— Spróbuj, mój chłopcze — odparł marynarz — a zobaczymy, czy oprócz tego, że nadwyrężysz ręce, dojdiesz do jakiegoś rezultatu.

— Przecież to sposób zupełnie prosty i bardzo rozpowszechniony na wyspach Pacyfiku.

— Nie przeczę — powiedział Pencroff. — Sądzę jednak, że dzicy muszą wiedzieć lepiej, jak się do tego zabrać, lub używają jakiegoś szczególnego gatunku drzewa. Nieraz już próbowałem rozniecić w ten sposób ogień, ale nigdy mi się nie udało. Przyznaję się więc, że wolę zapalki. Gdzie są moje zapalki?

Pencroff sięgnął do kamizelki po pudełko z zapalkami, które jako namiętny palacz zawsze nosił przy sobie. W kamizelce go nie było. Przetrzęsł kieszenie u spodni, lecz ku swemu największemu zdziwieniu tam też go nie znalazł.

³⁴hubka — wysuszony miąższ huby lub inny materiał łatwo się tłący, stosowany przy rozpalaniu ognia za pomocą krzesiwa. [przypis edytorski]

— Głupia sprawa, a nawet gorzej niż głupia! — zawołał, patrząc na Harberta. — Pudełko musiało mi wylecieć z kieszeni i je zgubiłem. A ty, Harbercie, nie masz przy sobie nic, ani krzesiwa³⁵, ani nic takiego, czym by można rozniecić ogień?

— Nie mam nic!

Drapiąc się w głowę, marynarz wyszedł, a za nim Harbert.

Obaj szukali uważnie w piasku pomiędzy skałami i nad brzegiem rzeki, ale na próżno. Pudełko było mosiężne i powinno od razu wpaść w oko.

— Słuchaj, Pencroffie — powiedział Harbert — nie wyrzucisz przypadkiem tego pudełka z kosza do morza?

— Nie jestem aż tak nierozsądny — odparł marynarz. — Ale kiedy człowiekiem tak rzuca na wszystkie strony, jak nami rzucano, to taka mała rzecz może łatwo się wytrząść. Nawet fajka gdzieś przepadła! Przekłete pudełko! Gdzie ono może być?

— Zaczyna się odpływ — powiedział Harbert — biegnijmy na miejsce, gdzieśmy wylądowali.

Istniało małe prawdopodobieństwo, żeby udało im się odnaleźć pudełko, które fale w czasie przyływu musiały toczyć pomiędzy kamieniami, mimo to jednak należało sprawdzić tę możliwość. Harbert i Pencroff pospieszyli więc co tchu na miejsce, w którym dzień przedtem wylądowali, oddalone mniej więcej o dwieście kroków od Kominów.

Skrupulatnie szukali pomiędzy kamykami i w rozpadlinach skał, ale bez skutku. Jeżeli pudełko wypadło w tym miejscu, fale musiały je porwać i unieść ze sobą. W miarę jak morze ustępowało, marynarz przeszukiwał najdrobniejsze szczeliny między skałami, wszystko daremnie. W tych okolicznościach była to ciężka strata i jak na teraz niepowetowana.

Pencroff nie ukrywał bolesnego rozczarowania. Zmarszczył czoło, lecz nie odezwał się ani słowem. Harbert, chcąc go pocieszyć, zauważył, że zapalki prawdopodobnie i tak byłyby zamoczone wodą morską i nie nadawałyby się do użytku.

— Ależ nie, mój chłopcze — odparł marynarz. — Były w mosiężnym pudełku, szczelnie zamkniętym! I co teraz zrobimy?

— Z pewnością znajdziemy jakiś sposób zdobycia ognia. Pan Smith lub pan Spiletta dadzą sobie z tym radę.

— Być może — odparł Pencroff — ale tymczasem nie mamy ognia, a nasi towarzysze po powrocie zastaną marny posiłek.

— Ale to niemożliwe — zawołał żywo Harbert — żeby nie mieli przy sobie ani hubki, ani zapalek!

— Wątpię — odparł marynarz, potrząsając głową. — Przede wszystkim ani Nab, ani pan Smith nie palą, a co do pana Spilletta, obawiam się, że prędzej zachował swój notatnik niż pudełko zapalek.

Harbert nie odpowiedział na to ani słowa. Strata pudełka była oczywiście bardzo przykra. Chłopiec miał jednak nadzieję, że w taki czy inny sposób uda im się uzyskać ogień. Pencroff, bardziej doświadczony, chociaż nie należał do ludzi, których trudności wprawiają w zakłopotanie, był innego zdania. W każdym razie nie pozostawało im nic innego, jak oczekiwać powrotu Naba i reportera. Ale trzeba było zrezygnować z jaj na twardo, które chciał dla nich przygotować, a dieta z surowego mięsa nie wydawała mu się przyjemną perspektywą ani dla nich, ani dla pozostałych.

Przed powrotem do Kominów marynarz i Harbert zebrali świeży zapas litodomów, na wypadek gdyby nie udało się rozpalić ognia, i w milczeniu zawrócili do schroniska.

Z oczyma wlepionymi w ziemię Pencroff wciąż szukał utraconego pudełka. Przeszedł nawet cały lewy brzeg rzeki, od ujścia aż do tego zakrętu, gdzie był uwiązany splaw z drzewem. Wrócił na górny płaskowyż i przemierzył go od końca do końca, przeszukał wysoką trawę na skraju lasu — wszystko bezskutecznie.

Gdy Harbert z marynarzem powrócili do Kominów, była piąta po południu. Nie trzeba dodawać, że przeszukali wszystkie najciemniejsze zakątki korytarzy, zanim pożegnali się zupełnie z nadzieją.

³⁵krzesiwo — narzędzie służące do uzyskiwania iskry przez uderzanie nim w krzemień, zwykle wykonane ze stali. [przypis edytorski]

Okolo godziny szóstej, gdy słońce znikalo za pasmem wzgórz na zachodzie, Harbert, który kręcił się tam i z powrotem po plaży, dał znać, że Nab i Spilett wracają.

Niestety, powracali sami!... Serce Harberta ścisnęło się w niewymownym żalu. Marynarza nie omyliły przecucia. Inżynier Cyrus Smith zginął bez wieści!

Reporter, nie mówiąc ani słowa, usiadł na jednej ze skał. Omdlewając ze zmęczenia, umierając prawie z głodu, nie miał siły wymówić ani słowa.

Zaczerwione od płaczu oczy Naba i świeże łzy, których nie mógł powstrzymać, świadczyły aż nazbyt wyraźnie, że stracił wszelką nadzieję!

Reporter opowiedział, jak poszukiwali Cyrusa Smitha. Razem z Nabem przemierzili wybrzeże na przestrzeni ponad ośmiu mil, więc znacznie dalej, niż znajdowało się miejsce, gdzie nastąpił przedostatni upadek balonu, któremu towarzyszyło zniknięcie Cyrusa z jego psem Topem. Brzeg był bezludny. Nigdzie ani śladu, ani znaku żywej duszy. Na całej tej polaci wybrzeża nie znaleźli ani świeżo poruszonego kamyka, ani śladu stopy ludzkiej na piasku. Było oczywiste, że nigdy noga żadnego z mieszkańców wyspy nie powstała w tej części wybrzeża. Morze było równie puste jak brzegi, i właśnie tam, o kilkaset stóp od brzegu, inżynier musiał znaleźć swój grób.

W tej chwili Nab zerwał się na nogi i głosem, który zdradzał, że w jego piersi wciąż walczy nadzieja, zawołał:

— Nie, nie! On nie zginął! Nie, to niemożliwe! On! Przenigdy! Ja! Ktokolwiek inny, co innego! Ale on! Nigdy! To człowiek, co zawsze da sobie radę!...

Po tych słowach opuściły go siły i slaniając się, wyszeptał:

— Ach, już nie mam sił!

Harbert podbiegł do niego.

— Nabie — zawołał — odszukamy go jeszcze! Bóg go nam zwróci! Ale teraz jesteś głodny! Zjedz, zjedz trochę, proszę cię!

I mówiąc to, podał biednemu Murzynowi parę garści mały; nędzne i niedostateczne to było pożywienie.

Nab od dawna nic nie miał w ustach, mimo to nie przyjął posiłku. Osierocony przez swojego pana nie mógł i nie chciał już żyć.

Natomiast Gedeon Spilett chciwie połykał mięczaki; potem położył się na piasku u podnóża skały. Był wycieńczony, ale spokojny.

Wtedy Harbert zbliżył się do niego, wziął go za rękę i powiedział:

— Drogi panie, znaleźliśmy schronienie, gdzie będzie panu wygodniej niż tu. Nadchodzi noc. Niech pan sobie odpocznie, a jutro zobaczymy...

Reporter wstał i podążył za chłopakiem w stronę Kominów.

W tej chwili podszedł do niego Pencroff i tonem najnaturalniejszym w świecie zapytał go, czy przypadkiem nie ma przy sobie zapalek.

Reporter zatrzymał się, poszukał w kieszeniach i nie znalazłszy, odparł:

— Miałem je przy sobie, lecz musiałem razem z innymi rzeczami wyrzucić w morze...

Marynarz zadał wówczas to samo pytanie Nabowi i otrzymał tę samą odpowiedź.

— Do kroćset diabłów! — zawołał, nie mogąc już dłużej wytrzymać.

Usłyszawszy to, reporter podszedł do Pencroffa i zapytał:

— Nie ma ani jednej zapalki?

— Ani jednej, więc nie ma ognia!

— Ach, gdyby pan mój był tutaj — zawołał Nab — on by na to poradził!

Czterej rozbitkowie znieruchomieli i popatrzyli po sobie z niepokojem. Harbert pierwszy przerwał milczenie:

— Panie Spilett — powiedział — pan przecież pali i zawsze ma pan przy sobie zapalki. Może pan źle szukał? Niech pan poszuka jeszcze raz! Wystarczyłaby nam jedna, jedyna zapalka!

Reporter przetrząsnął na nowo wszystkie kieszenie spodni, kamizelki, palta, i wreszcie, ku wielkiej radości Pencroffa i własnemu zdumieniu, namacał mały kawałeczek drewna pod podszewką kamizelki. Palce jego dotknęły tego kawałeczka przez materiał, ale nie mogły go wyciągnąć. Ponieważ była to zapewne zapalka, i to jedyna, jaką posiadali, musieli więc być ostrożni, żeby nie zdrapać z niej fosforu.

— Może pan pozwoli, że ja ją wyjmę? — powiedział chłopiec.

I bardzo zręcznie wyciągnął w całości zapalkę, to nędzne, a tak cenne źdźbło drewna, które dla tych nieszczęsnych ludzi miało wielką wartość. Zapalka była nienaruszona.

— Zapalka! — zawołał Pencroff. — To tak, jakbyśmy mieli cały magazyn!

Wziął zapalkę do ręki i wszyscy poszli do Kominów.

Ten kawałek drewna, który w krajach zamieszkałych marnuje się tak obojętnie i który nie ma tam żadnej wartości, tutaj należało traktować z największą ostrożnością. Marynarz przekonał się, że zapalka jest sucha, po czym powiedział:

— Potrzeba kawałka papieru.

— Proszę — odparł Gedeon Spilett, wydarłszy po chwili wahania jedną kartkę ze swojego notatnika.

Pencroff wziął papier do ręki i przykucnął koło ogniska. Wsunął pod chrust kilka garści suchych liści, trawy i mchu w ten sposób, aby powietrze miało swobodny dostęp i aby drewno mogło się szybko zająć płomieniem.

Potem Pencroff zwinął papier w rożek, jak to robią palacze fajki podczas silnego wiatru, i wsunął go pomiędzy mech. Wybrał następnie nieco chropowaty kamyk, starannie go oczyścił i z bijącym sercem leciutko potarł o niego zapalkę, wstrzymując oddech w piersi.

Pierwsze potarcie było bez skutku. Pencroff nie dość silnie przycisnął lebek zapalki, obawiając się zetrzeć fosfor.

— Nie, nie mogę — powiedział po chwili. — Ręka mi drży... Zapalka mi zgaśnie... Nie mogę... Nie chcę... — I podnosząc się, powiedział do Harberta, aby go zastąpił.

Chłopak pewnie w całym swym życiu nigdy tak nie był wzruszony, jak teraz. Serce biło mu gwałtownie. Prometeusz³⁶, kiedy kradł ogień z nieba, nie mógł być bardziej przejęty! Jednak nie wahając się długo, szybko potarł zapalkę o kamień. Rozległ się cichy trzask, po czym zamigotał mały niebieskawy płomyczek, wydając ze siebie gryzący dym. Harbert delikatnie odwrócił zapalkę, aby podsyć płomień i wsunął ją w papierowy rożek. Papier zajął się w ciągu kilku sekund, a zaraz potem od niego zapalił się mech.

W kilka chwil później słychać było trzask suchego drzewa i wesoły płomień, podsycany gorliwym dmuchaniem przez marynarza, oświetlił ponurą ciemność.

— Nareszcie! — zawołał Pencroff, wstając ze ziemi. — Nigdy w życiu nie byłem tak przejęty!

Bez wątplenia palenisko z kamiennych płyt było dobrze urządzone. Dym z łatwością ulatywał przez wąski otwór, ciąg był dostateczny i wkrótce rozeszło się przyjemne ciepło.

Teraz należało czuwać, by ognisko nigdy nie zgasio i zawsze przechowywać pod popiołem trochę żaru. Zresztą była to tylko kwestia pilności i uwagi. Drewna bowiem nie brakowało, a zapas zawsze można było uzupełnić w odpowiednim czasie.

Pencroff zamierzał przede wszystkim skorzystać z ognia do ugotowania kolacji pożywniejszej od dania z litodomów. Harbert przyniósł dwa tuziny jaj. Reporter, siedząc w kącie, przypatrywał się w milczenia tym przygotowaniom. Jego myśli zaprzętały trzy pytania: Czy Cyrus nadal żyje? Jeżeli żyje, to gdzie może się znajdować? Jeśli ocalał, to jak wytłumaczyć, że nie znalazł sposobu, żeby dać im znak życia? Natomiast Nab błąkał się po wybrzeżu. Był tylko ciałem bez duszy.

Pencroff znał pięćdziesiąt dwa sposoby przyrządzania jaj, lecz w tej chwili nie miał pomiędzy nimi żadnego wyboru. Włożył więc jaja w gorący popiół i czekał, aż upieką się na wolnym ogniu.

Po kilku minutach jaja były gotowe i marynarz zaprosił reportera na kolację. Był to pierwszy posiłek rozbitków na tym nieznanym wybrzeżu. Pieczone jaja były bardzo smaczne, a ponieważ jajo zawiera wszystkie potrzebne składniki odżywcze, więc biedni rozbitkowie poczuli się wzmocnieni na siłach.

Ach, gdyby nie to, że jednego z nich brakowało przy tym posiłku! Gdyby pięciu więźniów, którzy uciekli Richmond, znalazło się tutaj razem, pod tym sklepieniem ze skał, przy tym jasnym, wesołym ognisku, na suchym piasku, wówczas mogliby tylko gorąco dziękować Bogu! Ale niestety, nie było wśród nich najbardziej pomysłowego,

³⁶Prometeusz (mit. gr.) — bohater, który wykradł ogień z nieba i przyniósł go ludziom. Za karę został przykuty do skał Kaukazu, gdzie sęp wyjadał mu codziennie odrastającą wątrobę. [przypis edytorski]

najlepiej wykształconego z nich, ich niekwestionowanego przywódcy, Cyrusa Smitha, i nawet jego ciało zostało bez pogrzebu.

Tak minął dzień 25 marca. Nadeszła noc. Na zewnątrz świszczał wiatr i słychać było monotony plusk morza o brzeg. Miotane falami kamienie toczyły się tam i z powrotem z ogłuszającym hałasem.

Reporter spisał pokrótce zdarzenia tego dnia: pierwsze pojawienie się nowego łądu, zniknięcie inżyniera, zbadanie wybrzeża, zajście z zapalkami i tak dalej. Po czym oddalił się w ciemny kąt jednego z korytarzy i znużenie spowodowało ożywczy sen na jego powieki.

Harbert także niebawem usnął. Marynarz, śpiąc jednym okiem, a drugim czuwając, spędził całą noc przy ognisku, dokładając ustawicznie świeżego drewna. Tylko jeden z rozbitków nie położył się spać w Kominach. Był nim zrozpaczony, niepocieszony Nab, który głuchy na namowy towarzyszy doradzających mu kilka godzin spoczynku, całą noc błąkał się po wybrzeżu, wołając swojego pana.

ROZDZIAŁ VI

Inwentarz rozbitków. — Zupełnie nic. — Kawatek spalonego płótna. — Wycieczka do lasu. — Roślinność w lesie. — Uciekający złotopiór. — Ślady dzikich zwierząt. — Kuruku. — Preriokury. — Niezwykły polów na wędkę.

Podamy teraz dokładny spis przedmiotów, jakie posiadali nasi rozbitkowie, wyrzuceni na ziemię, jak się zdawało, bezludną.

Oto nie posiadali zupełnie nic, oprócz ubrań, które mieli na sobie w chwili ostatecznej katastrofy. Musimy jednak wspomnieć także o notatniku i o zegarku, które Gedeon Spilett zachował zapewne przez zapomnienie. Nie mieli ani broni, ani narzędzi, ani nawet scyzoryka. Wszystko wyrzucili z kosza, aby ulżyć balonowi.

Fantastyczni bohaterowie Daniela Defoe³⁷ lub Wyssa³⁸, Selkirk³⁹ czy Raynalowie, których statki rozbiły się na Juan Fernandez lub na archipelagu Auckland, nie byli nigdy pozbawieni zupełnie wszystkiego. Czerpali z obfitych zapasów swego rozbitego statku, zabierali z niego zboże, bydło, narzędzia czy amunicję, albo też morze wyrzucało im na brzeg szczątki jakiegoś wraku, dzięki czemu mogli zaspokoić najważniejsze potrzeby życiowe. Nigdy nie stawali od pierwszej chwili całkiem bezbronni wobec dzikiej przyrody. Nasi rozbitkowie nie mieli ani narzędzi, ani sprzętu. Od niczego musieli dojść do wszystkiego!

Gdyby choć jeszcze był z nimi Cyrus Smith, gdyby mógł przywołać na pomoc swoją wiedzę praktyczną i pomysłowość, może sytuacja nie byłaby tak beznadziejna! Niestety, nie mogli się już spodziewać, że znów go zobaczą. Rozbitkowie mogli liczyć tylko na siebie i na Opatrzność, która nie opuszcza nigdy tych, co jej szczerze ufają.

Przed wszystkim należało zdecydować: czy mieli osiedlić się w tej części wybrzeża, nie próbując nawet dowiedzieć się, czy należy ono do jakiegoś kontynentu, czy jest zamieszkane, czy też może jest tylko częścią samotnej, bezludnej wyspy?

Była to ważna kwestia, którą trzeba było rozstrzygnąć w jak najkrótszym czasie. Od odpowiedzi bowiem zależały dalsze decyzje. Pencroff radził jednak, żeby poczekać jeszcze kilka dni przed podjęciem wyprawy badawczej. Trzeba było przygotować zapasy żywności i postarać się o pożywienie bardziej posilne niż jaja i mięczaki. Wybierając się na dłuższą wyprawę, w której czekały ich długotrwałe trudy, bez schronienia, gdzie mogliby odpocząć, musieli najpierw przede wszystkim wzmocnić nadwątlone siły.

³⁷Defoe, Daniel, właśc. Daniel Foe (1660–1731) — pisarz ang., autor słynnej powieści przygodowej *Przypadki Robinsona Cruzo* (1719), opowiadającej dzieje rozbitka, który spędził wiele lat na bezludnej, tropikalnej wyspie. [przypis edytorski]

³⁸Wyss, Johann David (1743–1818) — autor szwajcarski, znany z popularnej niegdyś powieści przygodowo-pedagogicznej *Robinson szwajcarski* (1812), inspirowanej książką Daniela Defoe, opisującej losy szwajcarskiej rodziny Raynal, ocalałej z katastrofy statku płynącego do Australii i zmuszonej wieść życie na bezludnej wyspie. [przypis edytorski]

³⁹Selkirk, Aleksander, właśc. Alexander Selcraig (1676–1721) — szkocki żeglarz i korsarz, który spędził samotnie cztery lata na bezludnej wyspie niewielkiego archipelagu Juan Fernández na Oceanie Spokojnym; jego losy były inspiracją dla Daniela Defoe do napisania książki o Robinsonie Cruzo. [przypis edytorski]

Na razie Kominy stanowiły dostateczne schronienie. Ogień był rozpalony i nietrudno było utrzymać żar. Wśród skał i na plaży nie brakowało małży i jaj. Może znaleźliby się sposób, żeby zabić kilka gołębi, które setkami unosiły się nad płaskowyżem, choćby kijami lub kamieniami. A może drzewa pobliskiego lasu rodziły jakieś jadalne owoce? Prócz tego mieli niedaleko słodką wodę. Postanowiono zatem pozostać jeszcze kilka dni w Kominach, żeby przygotować się na dłuższą wyprawę wzdłuż wybrzeża lub w głąb łądu.

Projekt ten szczególnie odpowiadał Nabowi. Uparty w swoich myślach i przecuciach, nie palił się do porzucenia tej części wybrzeża, gdzie wydarzyła się katastrofa. Nie wierzył i nie chciał wierzyć w śmierć Cyrusa. Wydawało mu się niemożliwe, aby taki człowiek zginął w tak pospolity sposób, porwany przez falę, utonął o kilkaset kroków od brzegu. Dopóki fale nie wyrzuciły na brzeg ciała inżyniera, dopóki on, Nab, własnymi oczyma nie zobaczy, własnymi rękami nie dotknie zwłok swojego pana, dopóty nigdy nie uwierzy w jego śmierć. Ta myśl zagnieżdżyła się w sercu Naba uporczywiej niż kiedykolwiek. Była to może mrzonka, ale mrzonka godna szacunku, której marynarz nie chciał go pozbawiać. Sam nie miał już żadnej nadziei, dla niego Cyrus zginął bezpowrotnie w toni morskiej, ale z Nabem nie warto było się sprzeczać. Był jak pies, który nie chce porzucić miejsca, gdzie zginął jego pan, a jego boleść była tak wielka, że najpewniej nie przeżyłby jego śmierci.

Tego ranka, 26 marca, o świcie Nab poszedł wzdłuż brzegu na północ i zaszedł aż do miejsca, gdzie morze prawdopodobnie pochłonęło nieszczęsnego Cyrusa. Śniadanie składało się tego dnia z jaj gołębich i litodomów. Harbert znalazł sól, która osadziła się w zagłębieniach skał wskutek parowania wody morskiej; w sam raz przydała się rozbitkom.

Po jedzeniu zapytał Pencroff reportera, czy nie zechciałby towarzyszyć jemu i Harbertowi do lasu, gdzie się wybierali, aby spróbować szczęścia w polowaniu. Po głębszym zastanowieniu uznali jednak, że ktoś musi zostać, by podtrzymywać ogień oraz na wypadek, zresztą mało prawdopodobny, gdyby Nab potrzebował pomocy. Reporter zatem pozostał w Kominach.

— A nam, Harbercie, czas na łowy — powiedział marynarz. — Amunicję znajdziemy po drodze, a strzelby wytniemy sobie w lesie.

Już mieli odejść, gdy Harbert zauważył, skoro nie mają hubki, roztropnie byłoby zastąpić ją czymś innym.

— A czym? — zapytał Pencroff.

— Spalonym płótnem — odparł chłopak. — W razie potrzeby może zastąpić hubkę.

Marynarz pochwalił ten pomysł. Cała niedogodność polegała tylko w tym, że trzeba było poświęcić kawałek chustki. Sprawa była jednak tego warta i wkrótce część kraciatej chustki Pencroffa przemieniła się w na wpół spaloną szmatę. Otrzymaną w ten sposób łatwopalną substancję schowano w środkowym pokoju, w małym wydrążeniu skalnym, chronionym przed wiatrem i wilgocią.

Była dziewiąta rano. Niebo było pochmurne, wiatr wiał z południowego wschodu. Harbert i Pencroff skręcili za Kominami, rzuciwszy jeszcze ostatnie spojrzenie na smugę dymu wijącą się nad szczytem skały, po czym podążyli dalej lewym brzegiem rzeki.

Gdy przybyli do lasu, Pencroff zaraz wylał z drzewa duże, grube gałęzie, z których zrobił mocne pałki, a Harbert zaostriął ich końce, przycierając o skałę. Ach, co by oddał za dobry nóż! Następnie obaj myśliwi poszli dalej przez wysoką trawę wzdłuż stromej skarpy. Począwszy od zakrętu rzeki, który kierował jej bieg na południowy zachód, jej koryto stopniowo się zwężało, a wysokie brzegi tworzyły wąskie łożysko, obramowane podwójną arkadą⁴⁰ drzew. Ażeby nie zablądzić, Pencroff postanowił trzymać się skraju rzeki, który w razie potrzeby zaprowadziłby ich z powrotem do punktu wyjścia. Jednak droga wzdłuż brzegu była pełna przeszkód: tu drzewa, których giętkie gałęzie zwisały do samej wody, tam znów liany albo ciernie, przez które trzeba się było przedzierać, torując sobie drogę kijem. Miejscami Harbert zwinnie jak młody kot przemykał wśród połamanych gałęzi i zwalonych pni i znikał w gęstwinie. Pencroff przywoływał go natychmiast, prosząc, by zbytnio się nie oddalał.

Tymczasem marynarz uważnie obserwował ukształtowanie i charakter okolicy. Na lewym brzegu, którym szli, teren był płaski i stopniowo wznosił się w miarę oddalania się

⁴⁰arkada — element architektoniczny składający się z dwóch podpór (filarów, kolumn) połączonych od góry łukiem. [przypis edytorski]

od rzeki. Miejscami mokry, robił wrażenie bagnistego. Pod powierzchnią była zapewne cała sieć wód podskórnych, sączących się podziemnymi kanałami i wpadających do rzeki. Tu i ówdzie przez gęstwinę płynął strumyk, który z łatwością można było przeskoczyć. Przeciwny brzeg wydawał się bardziej pagórkowaty, a dolina, w której rzeka wyłobyla sobie koryto, rysowała się tam wyraźnie. Dalszy widok zasłaniało wzgórze pokryte drzewami, których korony układały się w tarasy. Prawym brzegiem byłoby trudniej iść, grunt był bowiem bardziej nierówny i spadzisty, a przechylone do samej wody drzewa utrzymywały się tylko siłą swych korzeni.

Nie trzeba dodawać, że las ten, podobnie jak część wybrzeża, którą już przeszli, nie zdradzał śladu ludzkiej stopy ani ręki. Pencroff zauważył tylko świeże ślady jakichś czworonożnych zwierząt, których gatunku nie potrafił rozpoznać. Sądził jednak, a jego zdanie podzielał także Harbert, że niektóre z tych śladów należały do straszliwych drapieżników, z którymi lepiej się nie spotkać. Nigdzie jednak nie znaleźli ani śladów siekiery na pniu drzewa, ani resztek wygasłego ogniska, ani odcisków stopy ludzkiej. Zresztą być może powinni się z tego cieszyć, gdyż obecność ludzi na tym kawałku ziemi pośrodku Pacyfiku mogła wzbudzać raczej obawę niż radość.

Harbert i Pencroff, którym ciągle przeszkody nie pozwalały na swobodniejszą rozmowę, posuwali się naprzód bardzo powoli, tak że po godzinie uszli zaledwie milę. Dotychczas nic nie upolowali. W gałęziach jednak świergotało i trzepotało się trochę bardzo płochliwych ptaków, w których widok ludzi zdawał się wzbudzać instynktowny lęk. W bagnistej części lasu Harbert spostrzegł ptaka z ostrym i długim dziobem, podobnego z wyglądu do zimorodka, od którego różnił się jednak upierzeniem o metalicznym połysku.

— To musi być złotopiór⁴¹ — powiedział Harbert, próbując zbliżyć się nieco do ptaka.

— To dobra okazja skosztować mięsa złotopióra — odparł marynarz — gdyby miał ochotę dać się upiec.

W tej chwili kamień zręcznie i silnie rzucony ręką Harberta trafił ptaka pod samo skrzydło, ale uderzenie nie było dość mocne, bo złotopiór zerwał się i pełnym pędem swych nóg umknął w mgnieniu oka w gęstwinę.

— Ależ ze mnie niezłota! — zawołał Harbert.

— Wcale nie, mój chłopcze! — odparł marynarz. — Rzut był dobry, a niejeden chybiłby ptaka. Nie przejmuj się. Następnym razem nam się nie wywinie!

I podążyli dalej w las. Im dalej szli, tym drzewa były rzadsze i bardziej okazałe, ale żadne nie rodziło jadalnych owoców. Nadaremnie Pencroff szukał tych cennych palm, mających tyle zastosowań w życiu codziennym, spotykanych aż do czterdziestego równoleżnika półkuli północnej i do trzydziestego piątego półkuli południowej. Ale w tym lesie rosły tylko drzewa iglaste: cedry himalajskie, które wcześniej rozpoznał Harbert, daglezie⁴², podobne do tych, które rosną na północno-zachodnim wybrzeżu Ameryki, i wspinałe jodły, mające sto pięćdziesiąt stóp wysokości.

W tej chwili chmura małych ptaszek o pięknym upierzeniu i długich, mieniącym się ogonach rozpierzchła się wśród gałęzi, gubiąc słabo przytwierdzone pióra, które pokryły ziemię delikatnym puchem. Harbert podniósł kilka tych piórek i przyjrawszy im się dokładnie, powiedział:

— To są kuruku⁴³.

— Wołałbym perliczkę lub głuszca — odparł Pencroff — no, ale jeśli nadają się do jedzenia?...

— Nadają się — powiedział Harbert — a nawet ich mięso jest bardzo delikatne. Zresztą, jeśli się nie mylę, łatwo się do nich zbliżyć i zabić kijem.

Czołgając się w trawie, marynarz i chłopiec podkradli się aż pod drzewo, którego dolne gałęzie pokryte były tymi ptaszkami. Kuruku czatowały tutaj na przelatujące owady, którymi się żywią. Opierzonymi łapkami uczepiły się mocno gałązek, na których siedziały.

⁴¹złotopiór a. złotka (biol.) — ptak z rzędu dzięciołowych zamieszkujący polany w tropikalnych lasach deszczowych Ameryki Środkowej i Południowej. [przypis edytorski]

⁴²daglezia (bot.) — jedlica, rodzaj drzew szpilkowych z rodziny sosnowatych; tu: daglezia zielona z zach. części Ameryki Płn., osiągająca do 120 m wysokości. [przypis edytorski]

⁴³kuruku (biol.) — właśc.: trogon niebieskogłowy (*Trogon curucui*), średniej wielkości ptak o połyskliwych piórach, zamieszkujący lasy dorzecza Amazonki. [przypis edytorski]

Myśliwi szybko wstali i wywijając kijami zmiotali całe rzędy kuruku, które nie myśląc nawet o ucieczce, pozwalały się zabijać. Dopiero gdy prawie setka ptaków leżała już na ziemi, pozostałe zdecydowały się uciekać.

— Brawo! — zawołał Pencroff. — Oto zwierzyna jakby stworzona dla takich myśliwych jak my! Można by je gołą ręką chwycić!

Marynarz ponawlekał kuruku na giętką witekę, po czym ruszyli dalej. Widać było, że brzeg rzeki zaczął się lekko wyginać w kierunku południowym, tworząc łuk, ale zakręt prawdopodobnie nie sięgał daleko, gdyż rzeka zapewne miała swoje źródło w górach i była zasilana wodami z topniejącego śniegu pokrywającego stoki środkowego szczytu.

Głównym celem tej wyprawy było, jak wiemy, dostarczenie mieszkańcom Kominów jak największej ilości zwierzyny. Nie można było powiedzieć, żeby ten cel został osiągnięty, toteż marynarz nadal gorliwie prowadził poszukiwania i zaklął niemiłosiernie, gdy nagle jakieś zwierzę, którego nawet nie zdążył rozpoznać, przemknęło wśród bujnych traw. Gdyby choć miał przy sobie Topa! Ale Top zniknął równocześnie z swoim panem i zapewne razem z nim utonął w morzu.

Okolo trzeciej po południu poprzez drzewa zobaczyli nowe chmary ptaków, które dziobały różne aromatyczne jagody, między innymi z jałowców. Nagle rozległ się w lesie głos podobny zupełnie do dźwięku trąbki. Te dziwne, donośne tony wydawały z siebie kuraki, które w Stanach Zjednoczonych nazywane są preriokurami⁴⁴. Wkrótce ujrzeli kilka par tych ptaków, o płowobrunatnym upierzeniu i z brunatnymi ogonami. Harbert rozpoznał samce po wystających nad głowę dwóch spiczastych skrzydełkach, utworzonych z najeżonych na szyi piórek. Pencroff uznał, że trzeba koniecznie schwytać choć jednego takiego preriokura, wielkości naszej kury, którego mięso jest równie smaczne jak mięso jarzabka⁴⁵; było to jednak trudne, gdyż nie dawały się podejść. Po kilku bezowocnych próbach, którymi tylko ploszyli ptaki, marynarz powiedział do Harberta:

— Ha, skoro nie można zabić ich w locie, spróbujemy chwycić je na wędkę.

— Jak to, tak jak karpia?! — zawołał Harbert, zdumiony tą propozycją.

— Tak samo — odparł marynarz zupełnie poważnie.

Pencroff znalazł w zaroślach pół tuzina gniazd preriokurów, a w każdym po dwa do trzech jaj. Bardzo uważał, żeby nie dotknąć gniazd, do których właściciele musieli kiedyś powrócić. Właśnie w pobliżu gniazd postanowił zarzucić swe sidła, i to nie takie z pętlami, jak na przepiórki lub zające, ale prawdziwe wędki, z haczykami. Oddalił się więc z Harbertem na pewną odległość i tam zaczął sporządzać swój przedziwny sprzęt z taką troskliwą starannością, jaka przyniosłaby zaszczyt każdemu uczniowi Izaaka Waltona⁴⁶. Harbert przyglądał się tej pracy z łatwym do zrozumienia zainteresowaniem, powątpiewając jednak w pomyślne wyniki. Wędki zostały splecione z cienkich, powiązanych ze sobą lian i miały piętnaście do dwudziestu stóp długości. Jako haczyki marynarz przymocował na końcach lian duże, mocne ciernie z zakrzywionymi końcami, zerwane z krzaka karłowatej akacji. Za przynętę posłużyły duże, czerwone robaki pelzające po ziemi.

Po tych przygotowaniach Pencroff, podkradłszy się zęcinnie przez zarośla, umieścił uzbrojone w haczyki końce wędek przy gniazdach, po czym chwyciwszy drugie końce w ręce, schował się wraz z Harbertem za grubym drzewem. Obaj czekali cierpliwie. Chociaż Harbert, jak powiedzieliśmy, nie bardzo ufał wynalazkowi Pencroffa.

Upłynęło dobre pół godziny i kilka par preriokurów, jak przewidział Pencroff, powróciło do swoich gniazd. Skacząc i dziobiąc po ziemi, zupełnie nie domyślały się obecności myśliwych, którzy zresztą przezornie ulokowali się pod wiatr.

Harbert czuł się w tej chwili bardzo podekscytowany. Wstrzymał oddech, a Pencroff z wytrzeszczonymi oczami, z otwartymi ustami, z wargami wysuniętymi, jak gdyby już miał skosztować kawałka preriokura, też ledwie oddychał.

Polowanie

⁴⁴preriokur (biol.) — ptak z grupy głuszcowatych zamieszkujący Amerykę Płn., tu zapewne: preriokur dwuczuby (*Tympanuchus cupido*, daw. *Tetrao cupido*), czyli cietrzew preriowy, dawniej pospolity, obecnie rzadki. [przypis edytorski]

⁴⁵jarzabek — średniej wielkości ptak żyjący w lasach iglastych, najmniejszy europejski kurak leśny. [przypis edytorski]

⁴⁶Izaak Walton [(1593–1683)] — autor słynnej rozprawy o wędkarstwie. [przypis autorski]

Prerokury tymczasem przechadzały się pomiędzy haczykami, nie zwracając na nie uwagi. Wtedy Pencroff kilka razy lekko szarpnął wędkami i przynęta zaczęła się poruszać, jakby robaki wciąż były żywe.

Marynarz w tej chwili odczuwał na pewno silniejsze emocje niż wędkarz, który nie widzi, jak w wodzie zbliża się zdobycz.

Poruszenia wkrótce zwróciły uwagę prerokurów, które rzuciły się z otwartymi dziobami na przynętę. Trzy prerokury, najżarłoczniejsze zapewne, połknęły przynętę razem z haczykami. Wówczas Pencroff ściągnął nagle wędkę, a trzepotanie skrzydeł dowodziło, że ptaki zostały schwytane.

— Hurra! — zawołał marynarz, rzucając się na zdobycz i opanowując ją w jednej chwili.

Harbert klaskał w ręce. Pierwszy raz w życiu widział łapanie ptaków na wędkę. Ale skromny marynarz powiedział, że nie robił tego pierwszy raz, a poza tym wynalezienie tego sposobu nie jest jego zasługą.

— A zresztą — dodał — w naszej sytuacji trzeba być gotowym na wszelkiego rodzaju wynalazki.

Powiązali zdobycz za łapki, a Pencroff uszczęśliwiony, że nie wracają z próżnymi rękami, i widząc, że dzień zaczyna się już chylić ku końcowi, oświadczył, że czas wracać do domu.

Bieg rzeki wskazywał im drogę powrotu i około godziny szóstej Harbert i Pencroff, zmęczeni nieco wyprawą, powrócili do Kominów.

ROZDZIAŁ VII

Nab jeszcze nie wrócił. — Domysły reportera. — Kolacja. — Zapowiada się zła noc. — Straszliwa burza. — Nocna wyprawa. — Walka z deszczem i wiatrem. — O osiem mil od pierwszego obozowiska.

Gedeon Spilett ze skrzyżowanymi na piersiach rękami stał nieruchomo na brzegu i patrzył na ocean, z którego na widnokręgu wynurzała się wielka, czarna chmura, podnosząca się szybko w górę. Wiatr był już dość gwałtowny, a z upływem dnia stawał się coraz zimniejszy. Niebo źle wróżyło, a pierwsze objawy wichury dawały się już wyraźnie odczuć.

Harbert wszedł do Kominów, a Pencroff podszedł do reportera. Spilett, zatopiony w myślach, nawet go nie zauważył.

— Będziemy mieli fatalną noc, panie Spilett! — odezwał się marynarz. — Wicher i deszcz, że petrele⁴⁷ będą miały uciechę.

Reporter odwrócił się i zobaczywszy Pencroffa, zapytał go:

— W jakiej odległości od brzegu, pańskim zdaniem, uderzyła w kosz ta fala, która porwała naszego towarzysza?

Marynarz nie spodziewał się tego pytania. Pomyślawszy chwilę, odparł:

— Najdalej o dwa kable.

— A co to jest ten kabel? — zapytał Gideon Spilett.

— Sto dwadzieścia sążni lub sześćset stóp⁴⁸.

— A zatem Cyrus Smith wpadł do morza najwyżej o tysiąc dwieście stóp od brzegu?

— Mniej więcej — odparł Pencroff.

— I jego pies też?

— Też.

— Przyjmując, że nasz towarzysz poniósł śmierć, dziwi mnie i zastanawia — mówił dalej reporter — że Top także zginął i że morze nie wyrzuciło dotychczas zwłok ani psa, ani pana!

— Nie ma w tym nic dziwnego przy tak wzburzonym morzu — odparł marynarz. — Zresztą prądy mogły je unieść i wyrzucić gdzieś dalej.

— Więc sądzi pan, że nasz towarzysz zginął w falach? — spytał raz jeszcze reporter.

⁴⁷petrele — ptaki morskie, które najchętniej latają podczas największej burzy. [przypis autorski]

⁴⁸Sto dwadzieścia sążni lub sześćset stóp — w rzeczywistości sążeń amerykański (*fathom*) liczy 6 stóp, stąd kabel morski to 120 sążni lub 720 stóp. [przypis edytorski]

— Takie jest moje zdanie.

— A moim zdaniem — powiedział Gedeon Spilett — przy całym szacunku, jaki mam dla pańskiego doświadczenia, panie Pencroff, to równoczesne kompletne zniknięcie Cyrusa i Topa, żywych czy martwych, ma w sobie coś niewytłumaczalnego i nieprawdopodobnego.

— Chciałbym być pańskiego zdania, panie Spilett — odpowiedział marynarz. — Niestety, jestem przekonany, że jest inaczej.

Po tych słowach marynarz powrócił do Kominów. Na palenisku płonął wesoły ogień. Harbert dorzucił wiązkę suchego drzewa i jasny płomień roztoczył blask po ciemnych zakątkach korytarzy.

Pencroff wziął się natychmiast do przygotowania kolacji. Uznał, że powinno to być pożywniejsze danie, gdyż wszyscy potrzebowali wzmocnić nadwątlone siły. Wianki z kuruku pozostawił na następny dzień, a tymczasem oskubał z pierza dwa preriokury i nadziawszy na patyk, piekł je wolno na ogniu.

Była już siódma wieczorem, a Naba jeszcze nie było. Pencroff zaczął się niepokoić. Obawiał się, że albo spotkał go jakiś wypadek na nieznanym lądzie, albo że nieszczęśnik dopuścił się jakiegoś rozpaczliwego kroku. Harbert jednak z nieobecności Naba wyciągał zupełnie inne wnioski. Jego zdaniem, jeżeli Nab dotychczas nie wrócił, to dlatego, że musiały zajść jakieś nowe okoliczności, które skłoniły go do dłuższych i dalszych poszukiwań. A każda nowa okoliczność mogła być tylko na korzyść Cyrusa Smitha. Dlaczegoż Nab miałby nie wrócić, jeżeli nie dlatego, że powstrzymała go jakaś nowa nadzieja? Może trafił na jakąś wskazówkę, jakiś odcisk stopy ludzkiej lub resztki przedmiotów wyrzuconych przez morze, które mu wskazały dalszą drogę? Może w tej chwili jest już na pewnym tropie? A może, może nawet przy swoim panu?...

Tak rozumował chłopak i tak mówił. Wysłuchali go bez przerywania, ale tylko reporter się z nim zgadzał. Pencroff był przekonany, że Nab zapuścił się w swoich poszukiwaniach dalej niż poprzedniego dnia i dlatego nie zdążył jeszcze wrócić.

Harbert, rozgorączkowany jakimś wewnętrznym przecuciem, kilka razy podrywał się, żeby wyjść na spotkanie Naba. Pencroff jednak przekonał go, że byłaby to wycieczka całkiem daremna, że w tej ciemności i ulewie nie znajdzie śladów Naba i że lepiej czekać do jutra. Jeśli Nab nie wróci do rana, wówczas on sam nie zawaha się ani chwili i razem z Harbertem pójdzie go odszukać.

Gedeon Spilett podzielał zdanie marynarza, że nie należy się rozłączać, i Harbert musiał odstąpić od swojego zamiaru, ale dwie wielkie łzy spłynęły mu po policzkach.

Reporter nie mógł się powstrzymać, żeby nie uściskać szlachetnego chłopca.

Tymczasem burza wszczęła się na dobre. Nad wybrzeżem z wściekłością dał południowo-wschodni wicher. Słychać było, jak opadające morze z szalonym rykiem rozbijało się na przybrzeżnych skałach. Krople deszczu, rozpylone przez huragan, unosiły się jak wilgotna mgła; strzępy tej mgły wlokły się po ziemi, a otoczaki grzechotały, jakby ktoś wywracał wózki z kamieniami. Miotany wichrem piasek mieszał się z ulewą i siekł jakby różgą po twarzy; w powietrzu było tyle samo pyłu mineralnego, co rozpylonej wody. Pomiędzy ujściem rzeki a ścianą skalną wściekły wir powietrza rozpoczął szalony taniec, a wiatry odrywające się z tego malstromu, nie znajdując innego ujścia poza wąwozem, w głębi którego płynęła rzeka, wdzierały się do niego z całą gwałtownością. Dym ulatujący z ogniska przez wąski wylot, wtłoczony wichrem z powrotem, opadał ku ziemi i napełniał korytarze, tak że nie dało się w nich przebywać. Dlatego też Pencroff, gdy preriokury zostały upieczone, przygasił ogień, zostawiając tylko trochę żarzących się węgli pod popiołem.

Była już ósma, a Nab jeszcze się nie pojawił. Teraz jednak można było przypuszczać, że to burza powstrzymywała go od powrotu, że schroniwszy się w jakiejś jaskini, czekał, aż nawałnica przeminie lub przynajmniej zaświta dzień. W tych warunkach nie sposób było wyjść mu naprzeciw lub próbować go odszukać.

Całą kolację rozbitków stanowiły preriokury. Mięso było wyborne, a Pencroff i Harbert, których apetyt zaostrzyła dłuższa wycieczka, pochłaniali je łapczywie.

Potem każdy wcisnął się w kąt, w którym spędził poprzednią noc. Harbert usnął koło marynarza, który rozciągnął się jak długi przy ognisku.

Na zewnątrz im noc stawała się ciemniejsza, tym straszliwsze rozmiary przybierała burza. Był to huragan podobny do tego, który z Richmond zapędził więźniów na ten skrawek łądy na Pacyfiku. Takie burze często zdarzają się podczas zrównania dnia z nocą i powodują wiele klęsk. Z jeszcze straszliwszą siłą szaleją na ogromnych przestrzeniach oceanu nie stawiających im żadnej zapory. Łatwo zatem zrozumieć, lecz nie sposób opisać, z jaką wściekłością, z jakim szalonym impetem uderzał rozkielzany huragan w wybrzeże nieosłonięte niczym od wschodu, a zatem wystawione wprost na jego działanie.

Na szczęście formacja skał tworzących Kominy była dość mocna. Tworzyły ją olbrzymie bloki granitowe, choć niektóre z nich, widocznie niezbyt pewnie usadowione, zdawały się chwiać w podstawach. Pencroff, oparty ręką o skałę, wyczuwał to nagłe drżenie. Lecz powtarzał sam sobie, i słusznie, że nie ma się czego obawiać, że ich improwizowane schronienie nie zawali się nad nimi. Od czasu do czasu słyszał jednak, jak ze szczytu płaskowyżu odrywały się kamienie porwane przez wichur i jak z łoskotem spadały na brzeg morski. Niektóre z nich staczały się nawet po górnej części Kominów lub spadając pionowo roztrzaskiwały się na kawałki. Dwa razy marynarz wstawał i czołgał się do wyjścia z Kominów, żeby zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz. Przekonawszy się jednak, że osuwiska były nieznaczne i nie ma żadnego niebezpieczeństwa, powracał na swoje miejsce przy ognisku, w którym trzaskały tłące pod popiołem węgielki.

Harbert spał twardo pomimo wycia huraganu i grzmotów nawałnicy. W końcu sen ogarnął i Pencroffa, który jako marynarz przyzwyczajony był do tego rodzaju niebezpieczeństw. Tylko Gedeon Spilett sam jeden czuwał. Jakiś wewnętrzny niepokój płoszył mu sen z powiek. Wyrzucał sobie, że nie poszedł razem z Nabem. Widocznie nie stracił jeszcze wszelkiej nadziei. Przeczucia, które poruszyły Harberta, jemu także nie dawały spokoju. Wszystkie jego myśli koncentrowały się na Nabie. Dlaczego nie powrócił? Tysiąc razy zadawał sobie to pytanie. Przewracał się niespokojnie na swym posłaniu z piasku, prawie nie zwracając uwagi na walkę żywiołów. Od czasu do czasu jego powieki, ociężałe ze zmęczenia, przymykały się na chwilę, lecz natychmiast otwierał je ponownie pod wpływem jakiejś nagłej myśli.

Tak mijała noc. Było około drugiej, kiedy pogrążony w głębokim śnie Pencroff poczuł, że ktoś gwałtownie szarpie go za ramię.

— Co się stało? — zawołał, budząc się i przytomniejąc z szybkością właściwą marynarzom.

Ujrzał pochylonego nad sobą reportera, który powiedział:

— Proszę posłuchać, Pencroffie, proszę posłuchać!

Marynarz wyteżył słuch, lecz nie słyszał nic prócz wycia wichru.

— To wiatr — powiedział.

— Ależ nie — odparł Gedeon Spilett, wsłuchując się znowu — wydawało mi się, że słyszałem...

— Co takiego?

— Szczekanie psa!

— Psa! — zawołał Pencroff, zrywając się na równe nogi.

— Tak jest... szczekanie...

— To niemożliwe — odparł marynarz. — A zresztą, w jaki sposób w ryku nawałnicy...

— Teraz... niech pan słucha.... — powiedział reporter.

Pencroff wsłuchał się uważniej i rzeczywiście, gdy burza nieco przycichła, zdawało mu się, że usłyszał dalekie szczekanie.

— I cóż? — powiedział reporter, ściskając nerwowo rękę marynarza.

— Tak... Tak... — odparł Pencroff.

— To Top! To Top!... — zawołał Harbert, który tymczasem się przebudził, i wszyscy trzej rzucili się ku wyjściu.

Z wielkim trudem udało im się wydostać się na zewnątrz, gdyż wiatr odpychał ich z powrotem, a gdy wyszli, musieli opierać się o skały, aby utrzymać się na nogach. Patrzyli dokoła, ale wiało tak, że nie mogli rozmawiać.

Dookoła panowały nieprzeniknione ciemności. Morze, niebo i ziemia zlewały się w jedno w głębokim mroku. Zdawało się, że w całej atmosferze nie ma ani cząstki rozproszonego światła.

Przez kilka minut reporter i jego towarzysze stali w miejscu targani wichrem, przemoczeni deszczem, oślepieni piaskiem. Potem, gdy burza uciszyła się na chwilę, usłyszeli znowu szczekanie, dobiegające, jak się zdawało, z dość daleka.

To mógł być tylko Top. Ale czy był sam, czy też jeszcze z kimś? Prawdopodobnie sam, bo gdyby był z nim Nab, przybiegłby do Kominów.

Nie mogli się słyszeć, więc marynarz ścisnął reportera za rękę, jakby chciał powiedzieć: „Proszę zaczekać!”, i wrócił do korytarza.

Po chwili wyszedł z wiązką płonącego chrustu, rzucił ją w ciemności i przenikliwie zagwizdał.

Na ten jakby oczekiwany znak szczekanie przybliżyło się i po chwili do korytarza wpadł pędem pies. Pencroff, Harbert i Gedeon Spilett weszli za nim.

Dorzucono do ognia naręcze suchego drewna. Jasny płomień oświetlił korytarz.

— To Top! — zawołał Harbert.

Rzeczywiście, to był Top, wspaniały pies rasy anglonormandzkiej, który po swoich przodkach odziedziczył nadzwyczajną szybkość nóg i czuły węch, nieodzowne cechy psów gończych.

Był to pies inżyniera Cyrusa Smitha.

Ale był sam! Nie było przy nim ani jego pana, ani Naba.

W jaki sposób instynkt mógł go zaprowadzić do Kominów, których nie znał i w których nigdy nie był? Wydawało się to niepojęte, szczególnie w tak ciemną noc i podczas tak strasznej burzy. Ale co jeszcze dziwniejsze, Top nie był wcale zmęczony, ani nawet powalany mułem czy piaskiem!...

Harbert przyciągnął go do siebie i ujął w dłonie jego łeb. Pies pozwalał się pieścić i ocierał się karkiem o dłoń chłopca.

— Skoro pies się znalazł, znajdzie się teraz i pan! — powiedział reporter.

— Daj Boże! — odparł Harbert. — Chodźmy! Top nas poprowadzi.

Pencroff nie sprzeciwiał się temu. Czuł, że przybycie Topa może obalić jego przypuszczenia.

— W drogę zatem! — zawołał.

Pencroff starannie przykrył popiołem węgle w ognisku. Pod popiół wsunął parę kawałków drewna, aby podtrzymać ogień do czasu, aż wrócą. Po czym zabrawszy ze sobą resztki kolacji, wyruszył w drogę wraz z reporterem i Harbertem. Przed nimi biegł Top, który krótko poszczekując, zdawał się ich zachęcać, żeby szli za nim.

Burza szalała z wściekłością i chyba właśnie osiągnęła szczyt gwałtowności. Księżyc był w nowiu, więc przez chmury nie docierał ani jeden promyk światła. Trudno było trzymać się kierunku na wprost, najlepiej zatem było zdać się na instynkt Topa. I tak też zrobili. Reporter z Harbertem szli tuż za psem, marynarz zamykał pochód. Nie mogli zamienić ze sobą ani słowa. Wprawdzie deszcz nie był rześisty, gdyż wiatr rozpylał go na drobne cząsteczki, ale huragan szalał straszliwie.

Szczęśliwie jedna okoliczność sprzyjała marynarzowi i jego towarzyszom. Mianowicie wiatr wiał z południowego wschodu, a więc popychał ich od tyłu. Miotany wichrem piasek, który inaczej byłby nie do zniesienia, uderzał ich w plecy i byle się nie odwracali, nie przeszkadzał w marszu. W rezultacie niekiedy szli nawet szybciej, niż sami chcieli, musieli przyspieszać kroku, żeby nie dać się przewrócić, jednak nadzieja, potężna nadzieja podwajała ich siły i tym razem już nie ślepy traf kierował ich krokami. Nie wątpili, że Nab znalazł swojego pana i że to on przysłał do nich wiernego psa. Ale czy inżynier żył, czy może Nab przysłał po towarzyszy tylko po to, żeby wspólnie oddali ostatnią przysługę zwłokom nieszczęsnego Smitha?

Minąwszy szczyt skalnej ściany, od której przezornie trzymali się z daleka, Harbert, reporter i Pencroff zatrzymali się, aby zaczerpnąć tchu. Załom ściany zasłaniał ich przed wichrem i ciężko oddychali po kwadransie tego marszu, a właściwie biegu.

Teraz mogli się nawzajem słyszeć i rozmawiać ze sobą, a gdy Harbert wymówił imię Cyrusa Smitha, Top kilka razy szczeknął, jakby chciał dać do zrozumienia, że jego pan żyje.

— Żyje, Top? — powtarzał Harbert. — Prawda, Top, że żyje?

A pies szczekał, jakby odpowiadał.

Ruszyli w dalszą drogę. Było około w pół do trzeciej nad ranem. Morze zaczęło przybierać, a przyływ podczas nowiu i przy takim wicherze zapowiadał groźnie. Olbrzymie bałwany, grzmiąc, rozbiły się o szereg raf przed wysepką z taką gwałtownością i siłą, że prawdopodobnie przewalały się przez całą wysepkę, której w tej chwili zupełnie nie było widać. Ta długa grobla nie zasłaniała już wybrzeża, wystawionego teraz wprost na impet rozhukanego morza.

Gdy tylko marynarz z towarzyszami oddalili się od szczytu w ścianie skalnej, wicher uderzył na nich z podwójną wściekłością. Zgięci w pół, zwracając się tyłem do wiatru, szli szybko za Topem, który bez wahania wybierał kierunek drogi. Szli na północ, mając po prawej ręce rozhukane morze, a po lewej pogrążoną w nocnym mroku nieznaną okolicę, w której nic nie widzieli. Domyślali się jednak, że musiała być raczej płaska, huragan bowiem przelatywał teraz ponad nimi i nie zawracał, jak tego doświadczyli wcześniej, kiedy spotykał na drodze granitową ścianę.

Do czwartej nad ranem przebyli około pięciu mil. Chmury uniosły się nieco w górę i nie wlokły się już po ziemi jak przedtem. W powietrzu było mniej wilgoci, a wiatr stał się ostry, suchy i zimny. W swoich niezbyt ciepłych ubraniach Pencroft, Harbert i Spilett cierpieli z powodu zimna, ale z ust żadnego z nich nie wymknęła się skarga. Byli zdecydowani iść za Topem wszędzie, dokąd to mądre zwierzę ich poprowadzi.

Okolo piątej zaczęło świtać. Najpierw w górze, gdzie mgły nie były tak gęste, szarymi smugami zarysowały się krawędzie chmur, a wkrótce na czarnym tle nieba jaśniejszą linią zarysowało się na widnokręgu morze. Grzbiety fal zamigotały płowymi światłkami i zabielały pianą. Równocześnie po lewej stronie zaczęły się powoli wynurzać z mroku strome części wybrzeża, wciąż jeszcze niewyraźne, szare na czarnym tle.

O szóstej rozwidniło się całkiem. Chmury pędziły z niezwykłą szybkością na dość znacznej wysokości. Wędrowcy byli wówczas o sześć mil od Kominów. Szli zupełnie płaskim brzegiem, wzdłuż którego wynurzał się z morza szereg skał; teraz, podczas przyływu, sterczały z wody tylko ich wierzchołki. Po lewej rozciągało się smętne piaszczyste pustkowie, urozmaicone tylko kilkoma wydmami porośniętymi ostami. Brzeg był dość niski i nie miał od strony morza innej osłony prócz łańcucha nieregularnie porozrzucanych pagórków. Tu i ówdzie kilka drzew pochylało się na zachód i wyciągało w tamtym kierunku konary. Daleko w tyle, na południowym zachodzie, widniał skraj lasu.

W tej chwili Top zaczął okazywać żywe podniecenie. Biegł naprzód, to znów powracał do marynarza, jak gdyby zachęcając go do pośpiechu. Zbiegł z brzegu i wiedziony swym dziwnym instynktem, nie wahając się ani chwili, popędził między wydmy.

Wszyscy pospieszyli za nim. Okolica zdawała się zupełnie bezлюдna, wokół nie było widać żadnej żywej istoty.

Nieregularnie porozrzucane wydmy tworzyły mniejsze i większe pagórki. Była to jakby mała Szwajcaria z piasku i trzeba było prawdziwie cudownego instynktu, aby się w niej zorientować.

Pięć minut później marynarz i jego towarzysze stanęli przed jamą wydrążoną w zboczu wysokiej wydmy. Top zatrzymał się i zaczął głośno szczeleć. Spilett, Harbert i Pencroft weszli do środka.

Tam ujrzeli Naba kłęczącego przy ciele leżącym na posłaniu z trawy...

Było to ciało inżyniera Cyrusa Smitha.

ROZDZIAŁ VIII

Czy Cyrus Smith żyje? — Opowiadanie Naba. — Ślady stóp. — Nierozstrzygnięta kwestia. — Pierwsze słowa Cyrusa Smitha. — Sprawdzenie śladów. — Powrót do Kominów. — Nowy cios.

Nab nie poruszył się. Marynarz rzucił mu tylko jedno słowo:

— Żyje?

Nab milczał. Gedeon Spilett i Pencroft pobledli. Harbert załamał ręce i stanął jak wryty. Było jednak oczywiste, że biedny Murzyn, pogrążony w boleści, nie widział swoich towarzyszy ani nie słyszał pytania marynarza.

Reporter ukląkł przy tym nieruchomym ciele, rozchylił ubranie na piersi inżyniera i przyłożył do niej.

Upłynęła chwila — wiek cały! — kiedy wyteżał słuch i usiłował uchwycić bodaj najslabsze bicie serca.

Nab wyprostował się i patrzył przed siebie szklanym, niewidzącym wzrokiem. Rozpacz zupełnie zmieniła jego twarz. Wycieńczony trudami, złamany boleścią, Nab był nie do poznania. Myślał, że jego pan nie żyje.

Po długim nasłuchiwaniu Gedeon Spilett powstał.

— Żyje! — powiedział.

Teraz z kolei Pencroff ukląkł przy Cyrusie. On także pochwyił uchem słabe bicie serca, a na wargach zbliżonych do ust inżyniera poczuł słaby oddech.

Harbert na skinienie reportera wybiegł na zewnątrz po wodę. W odległości stu kroków natrafił na przesączający się przez piasek czysty strumyk, zasilony widać wczorajszym deszczem. Ale w co nabrać wody? Wśród wydm nie było nawet muszelki. Harbert poprzestał na tym, że zmoczył swoją chustkę w wodzie i pędem powrócił do groty.

Na szczęście mokra chustka wystarczyła Spilettowi, który chciał tylko zwilżyć usta inżyniera. Kilka kropeł świeżej wody sprawiło bezzwłoczny skutek. Z piersi Cyrusa wyrwało się westchnienie i zdawało się nawet, że próbował wymówić parę słów.

— Uratujemy go! — powiedział reporter.

Usłyszawszy to, Nab nabrał nowej otuchy. Rozebrał swojego pana do naga, aby się przekonać, czy nie ma na ciele jakiejś rany. Ani na głowie, ani na tułowiu, ani na kończynach nie znalazł ran, stłuczeń, ani nawet lekkiego draśnięcia, co było tym dziwniejsze, że ciało Cyrusa musiało się obijać o skały. Nawet dłonie miał nietknięte i trudno było sobie wytłumaczyć, w jaki sposób na ciele inżyniera nie było śladu wysiłków, jakie musiał podjąć, żeby się przedrzeć przez pas raf sterczących w morzu.

Wyjaśnienie tej sprawy trzeba było odłożyć na później. Gdy Cyrus będzie już mógł mówić, wówczas sam opowie im, co i jak się wydarzyło. Teraz należało przywrócić go do życia i wydawało się, że rozcieranie powinno przynieść odpowiedni skutek. Zabrali się do tego, używając bluzy marynarza. Inżynier, rozgrzany solidnym masażem, poruszył z lekka rękami, a jego oddech stał się bardziej równomierny. Umierał z wyczerpania i gdyby nie przybycie reportera i jego towarzyszy, byłoby już po nim.

— Więc myślałeś, że twój pan nie żyje? — zapytał marynarz Naba.

— Tak, myślałem, że umarł — odpowiedział Nab — i gdyby was Top nie odszukał i nie przyprowadził tutaj, byłbym pochował mego pana i sam umarł na jego grobie.

Na takim oto włosku wisiało życie Cyrusa Smitha.

Potem Nab opowiedział, co się z nim działo. Poprzedniego dnia, ruszywszy w drogę o świcie, udał się na północ i doszedł do tej części wybrzeża, gdzie już był poprzednio.

Tam bez żadnej nadziei — jak sam przyznawał — szukał na brzegu, między skałami, na piasku, najlżejszych śladów, które by go mogły naprowadzić na jakiś trop. Szczególnie uważnie zbadał tę część wybrzeża, do której nie sięgał przypływ, gdyż na samym brzegu przypływ i odpływ morza musiały zmyć wszelkie ślady. Nab nie miał już nadziei znaleźć swojego pana przy życiu. Szukał tylko jego zwłok, aby je pogrzebać własnymi rękami.

Szukał długo i bezowocnie. Zdawało się, że na tym opuszczonym brzegu nigdy nie powstała ludzka stopa. Muszle, których morze nie dosięgło — a były ich poza zasięgiem przypływu miliony — leżały zupełnie nietknięte. Ani jedna muszla nie była zgnieciona. Na przestrzeni dwustu czy trzystu jardów⁴⁹ nie było żadnego śladu, aby ktoś wylądował, ani dawnego, ani świeżego.

Nab postanowił przejść jeszcze kilka mil. Prądy morskie mogły ponieść ciało gdzieś dalej. Kiedy zwłoki unoszą się w pobliżu niskiego brzegu, rzadko się zdarza, aby prędzej czy później nie zostały wyrzucone przez fale na ląd. Nab wiedział o tym i chciał po raz ostatni ujrzeć swego pana.

— Szedłem wzdłuż brzegu jeszcze ze dwie mile, szukałem między podwodnymi skałami, które wynurzają się podczas odpływu, i po brzegu zalewanym przez przypływ, i straciłem już wszelką nadzieję, gdy wczoraj, około piątej po południu, dostrzegłem na piasku odciski stóp.

⁴⁹jard — amerykańska miara długości wynosząca 0,9144 m. [przypis autorski]

— Odciski stóp?! — zawołał Pencroff.
— Tak jest! — odparł Nab.
— I te ślady zaczynały się przy samych rafach? — zapytał reporter.
— Nie — odparł Nab — dopiero od miejsca, dokąd sięga przypyływ, między nim a rafami musiało je zmyć morze.

— Mów dalej, Nabie — powiedział Gedeon Spilett.
— Na widok tych śladów mało nie oszalałem. Były bardzo wyraźne i zmierzały wprost ku tym wydmom. Biegłem za nimi ćwierć mili, uważając, żeby ich nie zatrzeć. Po pięciu minutach, gdy zaczął zapadać zmrok, usłyszałem szczekanie psa. To był Top i to on przyprowadził mnie tutaj, do mojego pana.

Nab opowiedział na koniec o rozpaczy, jakiej doznał na widok nieruchomego ciała. Szukał w nim resztek życia. Teraz, gdy znalazł martwego pana, chciał, żeby żył. Lecz wszystkie jego usiłowania były daremne. Pozostało mu tylko oddać ostatnią przysługę człowiekowi, którego tak kochał.

Wtedy przyszli mu na myśl towarzysze, którzy na pewno pragnęliby ujrzeć raz jeszcze nieszczęsnego Cyrusa. Top był przy nim. Czy nie mógłby zaufać sprytowi wiernego zwierzęcia? Wymówił kilka razy nazwisko reportera, gdyż jego spośród towarzyszy inżyniera Top znał najlepiej. Potem wskazał ręką na południe i pies popędził jak strzała w wskazanym kierunku.

Wiemy już, jak Top, wiedziony jakby nadprzyrodzonym instynktem, przybył do Kominów, gdzie nigdy wcześniej nie był.

Towarzysze Naba z wielką uwagą słuchali jego opowiadania. Było dla nich niepojęte, że Cyrus Smith po wyczynach, jakich musiał dokonać, żeby wydostać się z morza, przepływając się przez nadbrzeżne rafy, nie miał na ciełe ani jednego draśnięcia. Podobnie nie mogli sobie wytłumaczyć, w jaki sposób inżynier mógł dotrzeć do tej groty, położonej między wydrami o przeszło milę od brzegu morskiego.

— Więc to nie ty, Nabie, przyniosłeś tutaj swojego pana? — zapytał reporter.

— Nie, to nie ja — odparł Nab.

— Widać zatem, że pan Smith przyszedł tu sam — powiedział Pencroff.

— Widać tak, to prawda — odparł Gedeon Spilett — ale trudno w to uwierzyć.

Tylko sam inżynier mógł wyjaśnić tę sprawę. Należało więc czekać, aż będzie mógł mówić. Na szczęście z każdą chwilą powracało mu życie. Nacieranie przywróciło obieg krwi w ciełe, Cyrus Smith poruszył znowu rękami, potem głową, a z jego ust znowu wydobyło się kilka niezrozumiałych słów.

Pochylny nad nim Nab nieustannie wołał go po imieniu, lecz inżynier zdawał się tego nie słyszeć i nie otwierał oczu. Jedyłą oznaką życia były ruchy, nadal bez udziału zmysłów.

Pencroff bardzo żałował, że nie mają ognia ani możliwości rozniecienia go, na nieszczęście bowiem zapomniał zabrać spalonego płótna, które łatwo można by zapalić od iskry skrzesanej uderzeniami dwóch kamieni. W kieszeniach inżyniera nie znaleźli nic, prócz zegarka w kieszonce kamizelki. Należało zatem koniecznie przenieść Cyrusa Smitha do Kominów i to jak najszybciej. Wszyscy byli tego zdania.

Tymczasem pieczołowita troskliwość, jaką otaczali inżyniera, przywróciła mu przytomność prędzej niż się spodziewali. Woda, którą zwilżali mu usta, ożywiła go pomału. Pencroff wpadł na pomysł, aby do wody dodać trochę soku wyciśniętego z mięsa prerio-kurów, które przyniósł ze sobą. Harbert pobiegł na brzeg morza i wrócił z dwiema dużymi muszlami. Marynarz sporządził coś w rodzaju mikstury i wlewał ją w usta inżynierowi, który zdawał się chciwie połykać tę mieszaninę.

Po czym otworzył oczy. Nab i reporter stali nad nim pochyleni.

— Mój panie! Drogi panie! — zawołał Nab.

Inżynier usłyszał go. Poznał Naba i Spiletta, potem dwóch pozostałych towarzyszy, Harberta i marynarza, i jego dłoń lekko ścisnęła ich dłonie.

Jego usta znów wyszeptaly kilka słów, niewątpliwie tych samych, które próbował wypowiedzieć wcześniej. Świadczyły o tym, jakie myśli nawet wtedy nie dawały mu spokoju. Tym razem je zrozumieli:

— Wyspa czy kontynent? — szepnął.

— Do kroćset diabłów! — zawołał Pencroff, nie mogąc się powstrzymać od tego wykrzyknika. — Co nas to teraz obchodzi, oby pan tylko żył, panie Cyrusie! Wyspa czy kontynent? Zobaczymy później.

Inżynier skinął potakująco głową i jakby zapadł w drzemkę.

Zachowywali się więc cicho, a reporter natychmiast rozpoczął przygotowania do przeniesienia inżyniera w najwygodniejszy dla niego sposób. Nab, Harbert i Pencroff wyszli z grotu i skierowali się w stronę wysokiej wydmy, na której szczycie rosło kilka karłowatych drzew. Po drodze marynarz, nie mogąc wytrzymać, powtarzał raz po raz:

— Wyspa czy kontynent! No proszę, komu by to przyszło na myśl, kiedy ledwie dyszy! Co za człowiek!

Przybywszy na wierzchołek wydmy, Pencroff i jego dwaj towarzysze, nie mając innych narzędzi prócz własnych rąk, oblamali grubsze gałęzie z chuderławego drzewka. Był to rodzaj karłowatej sosny nadmorskiej, wyniszczonej przez wichry. Z gałęzi zrobili nosze, na których, po wyścieleniu ich liśćmi i trawą, można było wygodnie przenieść inżyniera.

Cała praca trwała jakieś czterdzieści minut. Dochodziła dziesiąta rano, gdy marynarz, Nab i Harbert powrócili do Cyrusa Smitha, przy którym czuwał Gedeon Spilett.

Inżynier przebudził się właśnie z tego snu, czy raczej z letargu, w którym go znaleźli. Na jego policzki, dotąd pokryte śmiertelną bladością, powróciły rumieńce. Uniósł się nieco, popatrzył wokół, jak gdyby pytając wzrokiem, gdzie się znajduje.

— Czy może mnie pan słuchać, nie będzie to pana męczyć, panie Cyrusie? — zapytał reporter.

— Mogę — odparł inżynier.

— A ja sądzę — powiedział marynarz — że pan Smith jeszcze lepiej będzie mógł pana słuchać, gdy najpierw skosztuje tego sosu z preriokurów, bo to są preriokury, panie Cyrusie — objaśniał, podając mu odrobinę sosu, do którego tym razem dodał kilka kawałeczków mięsa.

Cyrus Smith zjadł swoją porcję, a resztę mięsa podzielili pomiędzy siebie jego trzej zgłodniaли towarzysze, którzy uskarżali się na zbyt skąpe śniadanie.

— To nic — powiedział marynarz. — W Kominach czeka na nas lepszy posiłek. Bo musi pan wiedzieć, panie Cyrusie, że tam na południu mamy dom z pokojami, posłaniami i paleniskiem, a w spiżarni kilka tuzinów ptaków, które nasz Harbert nazywa kuruku. Nosze są gotowe i kiedy się pan tylko poczuje na siłach, poniesiemy pana do domu.

— Dziękuję ci, przyjacielu — odparł inżynier. — Za godzinę lub dwie będziemy mogli wyruszyć... A teraz proszę mówić, panie Spilett.

Wtedy reporter zaczął opowiadać wszystko, co zaszło. Opowiadał o wydarzeniach, których Cyrus nie mógł znać, o ostatnim upadku balonu, o wylądowaniu na nieznannej ziemi, która wydawała się bezludna, bez względu na to, czy była wyspą, czy kontynentem, o odkryciu Kominów, o poszukiwaniach inżyniera, o poświęceniu Naba, o tym, co zawdzięczali zmyślności wiernego Topa i tak dalej.

— Więc nie znaleźliście mnie na brzegu? — zapytał Cyrus słabym jeszcze głosem.

— Nie — odparł marynarz.

— I to nie wy przynieśliście mnie do tej grotu?

— Nie.

— Jak daleko jest ta grota od raf?

— Około pół mili — odparł Pencroff. — Nie tylko pana to dziwi, panie Cyrusie, ale i nas samych nie mniej zdumiewa, że znaleźliśmy pana w tym miejscu.

— Istotnie — powiedział, ożywiając się coraz bardziej inżynier, którego te szczegóły mocno zainteresowały — istotnie, to bardzo dziwne!

— Czy mógłby nam pan opowiedzieć — zagadnął znowu marynarz — co się z panem działo po tym, gdy porwała pana fala?

Cyrus Smith wyteżył pamięć, ale niewiele mógł sobie przypomnieć. Uderzenie fali oderwało go od siatki balonu. Początkowo zanurzył się na kilka sążni. Gdy wypłynął znowu na powierzchnię morza, wyczuł w półmroku, że jakaś żywa istota porusza się tuż obok niego. Był to Top, który skoczył za nim na ratunek. Kiedy inżynier spojrzął do góry, nie zobaczył już balonu, który, uwolniony od ciężaru jego i psa, poleciał jak strzała. Smith znajdował się wśród wzburzonych fal, w odległości pół mili od brzegu. Usiłował walczyć z falami i płynął, ile mu sił starczyło. Top podtrzymywał go za ubranie; lecz gwałtowny

prąd porwał go, uniósł na północ i po półgodzinnym szamotaniu się inżynier poszedł na dno, pociągając Topa za sobą. Od tego momentu aż do chwili, gdy znalazł się w objęciach przyjaciół, nie pamiętał, co się z nim działo.

— A jednak morze musiało pana wyrzucić na brzeg — zagadnął znowu Pencroff — i musiał pan mieć dość sił, żeby dojść aż tutaj, skoro Nab znalazł odciski pańskich stóp!

— Zapewne... musiałem... — odparł inżynier, zamysławiając się. — A nie spotkaliście śladów ludzkich istot na tym wybrzeżu?

— Nie — odparł reporter. — A zresztą, gdyby się nawet przypadkiem znalazł w tym czasie jakiś wybawca, to dlaczego wydarłszy pana falom, miałby potem pana opuścić?

— Ma pan słuszność, drogi Spilett. Słuchaj, Nabie — dodał inżynier zwracając się do swego sługi — więc także i ty nie... a może w jakimś chwilowym zamroczeniu... ale nie, to nie ma sensu... Czy pozostał jeszcze któryś z tych śladów? — zapytał Cyrus Smith.

— Tak jest, panie — odparł Nab, — o tam, zaraz przy wejściu, po drugiej stronie wydmy, w miejscu osłoniętym od wiatru i deszczu. Resztę śladów zatarła burza.

— Panie Pencroff — powiedział Cyrus Smith — czy będzie łaskaw wziąć moje buty i przymierzyć, czy dobrze pasują do śladów?

Marynarz wykonał prośbę inżyniera. Razem z Harbertem poszedł za Nabem w miejsce, gdzie były ślady, a tymczasem Cyrus powiedział reporterowi:

— Tu stało się coś niepojętego!

— Rzeczywiście, coś niepojętego! — odparł Gedeon Spilett.

— Ale teraz dajmy temu spokój, drogi Spilett, później o tym pomówimy.

Po chwili wrócił marynarz z Nabem i Harbertem.

Nie było żadnej wątpliwości. Buty inżyniera dokładnie pasowały do zachowanych śladów. Zatem to Cyrus Smith odcisnął je na piasku.

— No cóż — powiedział — więc to ja musiałem ulec halucynacji, temu zamroczeniu, o które przed chwilą posądzałem Naba! Szedłem jak lunatyk, nie wiedząc, dokąd idę, a Top, wiedziony instynktem, przyprowadził mnie tutaj, wyciągnąwszy mnie wcześniej z toni morskiej... Chodź tu do mnie, Top, chodź tu, mój psie!

Wspaniałe zwierzę jednym susem skoczyło do swojego pana, głośno szczekając, a ten nie szczędził mu pieszczot i pochwiał.

Trzeba przyznać, że nie można było w inny sposób wytłumaczyć okoliczności ocalenia Cyrusa Smitha i że Topowi należała się cała zasługa.

Koło południa Pencroff zapytał Cyrusa, czy jest gotowy do podróży. Zamiast odpowiedzi inżynier z wysiłkiem, który świadczył o nieugiętej sile woli, podniósł się na nogi. Musiał jednak oprzeć się na ramieniu marynarza, aby nie upaść.

— Brawo, brawo! — powiedział Pencroff. — Proszę przynieść lektykę pana inżyniera.

Przyniesiono nosze. Poprzeczne gałęzie wyścielili mchem i trawą. Następnie ułożyli Cyrusa Smitha na tym posłaniu, za jeden koniec noszy chwycił Pencroff, a za drugi Nab i wszyscy ruszyli w stronę brzegu.

Mieli przed sobą osiem mil drogi, lecz ponieważ nie można było iść szybko, a prócz tego należało się spodziewać częstych postojów, więc przewidywali, że dojdzie do Kominów zajmie im co najmniej sześć godzin.

Wiatr był nadal silny, ale na szczęście deszcz nie padał. Leżąc na noszach, inżynier wspierał się na łokciu, bacznie przyglądając się wybrzeżu, zwłaszcza po stronie przeciwnej od morza. Nie mówił ani słowa, ale patrzył uważnie i bez wątplenia w jego pamięci utrzymywał się ukształtowanie całej okolicy z wszystkimi nierównościami terenu, z lasami i bogactwami naturalnymi. W końcu jednak po dwóch godzinach drogi zmogło go zmęczenie i zasnął na noszach.

O wpół do szóstej mały orszak dotarł do urwiska, a w kilka minut później do Kominów.

Zatrzymano się, a nosze postawiono na piasku. Cyrus Smith spał twardo i nie przebudził się.

Dopiero wtedy Pencroff zauważył, ku swemu największemu zdumieniu, że wczorajsza nawałnica zmieniła wygląd okolicy. W wielu miejscach widać było świeże zwałiska skał. Olbrzymie bloki granitu leżały w przybrzeżnym piasku, a gęsty kobierzec wodorostów pokrywał cały brzeg. Widać było, że morze, przelewając się przez wysepkę, dotarło aż do stóp olbrzymiej granitowej ściany.

Przed wejściem do Kominów głęboko podmyty grunt świadczył o gwałtownym szturmie fal morskich.

Pencroffa ogarnęło wówczas jakieś złe przeczucie i jednym skokiem zniknął we wnętrzu korytarzy.

Wybiegł stamtąd niemal natychmiast, stanął milczący i nieruchomy i powiódł wzrokiem po swoich towarzyszach...

Ogień zgasł. Zalany wodą popiół przemienił się w błoto. Kawalek spalonego płótna, który miał służyć za hubkę, przepadł bez śladu. Morze wtargnęło w głąb korytarzy i zniszczyło wszystko we wnętrzu Kominów.

ROZDZIAŁ IX

Cyrus jest przy nich. — Próby Pencroffa. — Tarcie drzewa. — Wyspa czy kontynent? — Plany inżyniera. — W jakim punkcie Pacyfiku? — W głębi lasu. — Pinia. — Polowanie na kapibarę. — Dym jako znak dobrej wróżby.

Marynarz w kilku słowach opowiedział Gedeonowi Spilettowi, Harbertowi i Nabowi o sytuacji. Wydarzenie, które mogło mieć bardzo poważne następstwa — tak przynajmniej sądził Pencroff — wywarło na każdym z towarzyszy zacnego marynarza nieco odmienne wrażenie.

Nab, cały w radosnym uniesieniu z powodu odszukania swego pana, nie słuchał, a raczej nie chciał zwracać uwagi na to, co mówił Pencroff.

Harbert zdawał się do pewnego stopnia podzielać obawy marynarza. Co do reportera, ten na słowa marynarza odparł tylko:

— Słowo ci daję, Pencroff, że jest mi to zupełnie obojętne!

— Ależ powtarzam panu, że nie mamy ognia!

— Phi!

— Ani możliwości rozpalenia go ponownie.

— Ba!

— Ależ panie Spilett....

— Czyż Cyrus Smith nie jest z nami? — odparł reporter. — Czy nasz inżynier nie żyje? Już on znajdzie jakiś sposób, żeby rozpalic ogień!

— Ale czym?

— Niczym.

Co miał na to odpowiedzieć Pencroff? Nic nie odpowiedział, bo w głębi duszy sam podzielał zaufanie, jakim jego towarzysze darzyli Cyrusa. Inżynier był dla nich mikrokosmosem, skarbnicą wszelkiej ludzkiej wiedzy i mądrości. Znajdować się razem z Cyrusem na bezludnej wyspie znaczyło dla nich to samo, co bez niego w najbardziej uprzemysłowionym mieście Stanów Zjednoczonych. Gdzie był on, tam niczego nie mogło braknąć. Przy nim nie można było stracić nadziei. Gdyby ktoś powiedział tym dzielnym ludziom, że wybuch wulkanu zniszczy tę ziemię lub że pochłona ją otchłania oceanu, odpowiedzieliby z największym spokojem: „Przecież Cyrus jest z nami. Zwróć się do Cyrusa”.

Tymczasem jednak inżynier znowu leżał nieprzytomny z wyczerpania, gdyż podróż bardzo go zmęczyła, i w tej chwili nie można było korzystać z jego pomysłowości. Trzeba było poprzestać na skąpej kolacji. Całe mięso preriokurów już zjedzono, a nie było sposobu upiec innej zwierzyny. Zresztą zapas kuruku gdzieś zniknął. Trzeba więc było pójść po rozum do głowy.

Przed wszystkim zanesiono Cyrusa do środkowego korytarza Kominów. Tam sporządzono mu posłanie z suchych porostów i wodorostów. Głęboki sen, w który zapadł, zapewne zdoła przywrócić mu siły prędkiej i lepiej niż najobfitsze pożywienie.

Tymczasem zapadła noc, a wraz z nią, wskutek zmiany kierunku wiatru na północno-wschodni, temperatura bardzo się obniżyła. Ponieważ morze zburzyło przegrody postawione przez Pencroffa w niektórych miejscach korytarzy, powstały więc na nowo przeciągi, przez które Kominy stały się niemal niezdatne do zamieszkiwania. Inżynier znalazłby się w bardzo złych warunkach, gdyby jego towarzysze nie zdjęli z siebie kamizelek i bluz i nie pookrywali go troskliwie.

Tego wieczoru kolacja składała się z niezastąpionych litodomów, których obfity zapas nabierali nad brzegiem morza Harbert i Nab. Do mięczaków Harbert dodał trochę jadalnych wodorostów, uzbieranych na wyższych skałach, do których morze sięgało tylko podczas wielkich przyptywów. Wodorosty te, należące do rzędu *Fucales*, są rodzajem gronostów⁵⁰ i po wysuszeniu dają galaretowatą substancję bogatą w składniki odżywcze. Reporter i jego towarzysze, pochłonawszy sporą liczbę litodomów, ssali następnie gronosty, które okazały się całkiem znośne w smaku. Należy wspomnieć, że na wybrzeżach azjatyckich wodorosty te stanowią ważną część pożywienia krajowców.

— Mimo wszystko — powiedział marynarz — najwyższy czas, żeby pan Cyrus nam pomógł.

Tymczasem zimno stało się coraz bardziej przenikliwe, a niestety nie było sposobu, żeby się przed nim ochronić.

Mocno rozdrażniony marynarz próbował na wszelkie sposoby rozniecić ogień. Pomagał mu w tym Nab. Znalazł trochę suchego mchu i uderzając o siebie dwa kamienie, krzesał z nich iskry: ale mech nie był wystarczająco łatwopalny i nie zajął się, a zresztą iskry te, które były tylko rozżarzonymi cząstkami krzemienia, nie miały tych własności, co iskry ulatujące ze stali w zwykłym krzesiwie⁵¹. Próba zatem nie udała się.

Następnie Pencroff, chociaż nie miał żadnego zaufania do tej metody, próbował pocierać o siebie dwa kawałki suchego drzewa, jak to robią dzicy. Gdyby ruch, jakiego wraz z Nabem użyli do tych czynności, zgodnie z nową teorią przemienił się w ciepło⁵², wystarczyłoby z pewnością na doprowadzenie do wrzenia kotła parowca. Lecz rezultatu nie było żadnego. Wprawdzie kawałki drewna rozgrzały się trochę, ale o wiele mniej niż ci, którzy się nad nimi wysilali.

Po godzinie daremnych usiłowań Pencroff spociał się jak mysz i z gniewem odrzucił kawałki drewna.

— Jeżeli mnie ktoś przekona — zawołał — że dzicy tym sposobem rozpalają ogień, to uwierzę nawet, że w zimie panują upały! Prędkiej bym swoje ręce zapalił, trąc jedną o drugą!

Marynarz jednak mylił się, zaprzeczając zupełnie skuteczności tej metody. Wiadomo bowiem, że dzicy zapalają kawałki drewna, pocierając je szybko o siebie. Ale nie każdy gatunek drzewa się do tego nadaje, a oprócz tego trzeba znać odpowiedni sposób, jak to się mówi: sztuczkę, której Pencroff najwyraźniej nie znał.

Zły humor marynarza nie trwał długo. Harbert podniósł odrzucone przez niego kawałki drewna i z całych sił zaczął pocierać jeden o drugi. Silny jak lew marynarz nie mógł się powstrzymać od śmiechu, widząc, jak młodzik próbuje dokonać tego, czego on nie dał rady.

— Trzyj, mój chłopcze, trzyj, ile masz sił! — zawołał.

— Trę — odparł Harbert, śmiejąc się — ale tylko po to, żeby się trochę rozgrzać, zamiast dzwonić zębami z zimna, i wkrótce będzie mi tak ciepło jak tobie, Pencroffie!

Tak też się stało. Tak czy inaczej, trzeba się było pożegnać z myślą o rozpaleniu ognia na tę noc. Gedeon Spilett ze dwadzieścia razy z rzędu powtórzył, że Cyrusowi taka drobnotka nie sprawiłaby kłopotu. A tymczasem położył się na piasku w jednym z korytarzy. Harbert, Nab i Pencroff poszli za jego przykładem. Top spał u nóg swojego pana.

Nazajutrz, 28 marca, inżynier, obudziwszy się około ósmej rano, ujrzał zgromadzonych wokół siebie towarzyszy, którzy z niecierpliwością wyczekiwali jego przebudzenia. Podobnie jak poprzedniego dnia pierwsze jego słowa brzmiały:

⁵⁰gronosty a. *sargasy*, *Sargassum* (biol.) — rodzaj glonów z gromady brunatnic posiadających pęcherze pławne umożliwiające im unoszenie się w wodzie; porastają głównie podwodne skały u wybrzeży ciepłych mórz, szczególnie na półkuli południowej. [przypis edytorski]

⁵¹krzesiwo — narzędzie służące do uzyskiwania iskry przez uderzanie nim w krzemień, zwykle wykonane ze stali. [przypis edytorski]

⁵²Gdyby ruch (...) zgodnie z nową teorią przemienił się w ciepło — do połowy XIX w. w fizyce uznawano, że ciepło jest niezniszczalną substancją (tzw. ciepłikiem), mogącą przepływać od ciał gorących do zimnych. Pomimo pomiarów mechanicznej równoważności ciepła dokonanych przez Joule'a w latach 1843–50, teoria ciepłika występowała w części literatury naukowej do końca XIX w., kiedy została ostatecznie wyparta przez nową, współczesną teorię. Zgodnie z nią ciepło i praca to dwa sposoby przekazywania energii, której zmianę można w związku z tym przeliczać z ilości wykonanej pracy na ilość dostarczonego ciepła i odwrotnie. [przypis edytorski]

— Wyspa czy kontynent?
Jak widać, ta natrętna myśl nie opuszczała go.
— Cóż, tego jeszcze nie wiemy, panie Smith — odparł Pencroff.
— Jeszcze nie wiecie?
— Ale dowiemy się — wtrącił Pencroff — gdy zostanie pan naszym sternikiem w tym kraju.
— Ano spróbuję — powiedział inżynier, wstając bez wielkiego wysiłku na nogi.
— Brawo, to mi się podoba! — zawołał marynarz.
— Konałem przede wszystkim z wyczerpania — powiedział Cyrus Smith. — Trochę jedzenia, przyjaciele, a dojdę do siebie. Macie ogień, prawda?
Przez kilka chwil pytanie pozostało bez odpowiedzi. Wreszcie Pencroff powiedział:
— Niestety, nie mamy ognia, a właściwie, panie Cyrusie, już go nie mamy!
Po czym marynarz opowiedział, co się działo poprzedniego dnia. Rozbawił inżyniera historią o jedynej zapalce, a następnie o nieudanych próbach rozniecenia ognia metodą używaną przez dzikich.
— Pomyślimy, co się da zrobić — powiedział inżynier — a jeśli nie znajdziemy jakiejś substancji podobnej do hubki, to...
— To co wtedy? — zapytał marynarz.
— To zrobimy zapalki.
— Chemiczne?
— Chemiczne!
— Nic łatwiejszego! — zawołał reporter, klepiąc marynarza po ramieniu.
Marynarz nie podzielał tego zdania, lecz nie sprzeciwiał mu się. Po czym wszyscy wyszli na zewnątrz. Na niebie zapanowała znów pogoda. Jaskrawe słońce wynurzało się z fal oceanu i tysiącem złocistych cętek posypało chropowatą powierzchnię olbrzymiej ściany skalnej.
Rzuciwszy okiem dookoła, inżynier usiadł na bryle skalnej. Harbert podał mu kilka garści małży i gronostów, mówiąc:
— To wszystko, co w tej chwili posiadamy, panie Cyrusie.
— Dziękuję ci, mój chłopcze — odparł inżynier. — To wystarczy, przynajmniej na dziś rano.
Zjadał z apetytem ten skromny posiłek i popijał świeżą wodą, zacerpniętą z rzeki do dużej muszli.
Towarzysze spoglądali na niego w milczeniu. Zaspokoiwszy pierwszy głód, Cyrus Smith skrzyżował ramiona i powiedział:
— A zatem, przyjaciele, nie wiecie dotąd, czy los rzucił nas na kontynent, czy na wyspę?
— Nie wiemy, panie Cyrusie — odpowiedział chłopak.
— Więc dowiemy się jutro — powiedział inżynier. — Dopóki tego nie będziemy wiedzieli, nie ma co robić.
— I owszem — odparł Pencroff.
— Cóż takiego?
— Postarać się o ogień — powiedział marynarz, który także miał myśl nie dającą mu spokoju.
— Będziemy go mieli, Pencroffie — odparł inżynier. — Wczoraj po drodze spostrzegłem na zachodzie górę dominującą nad całą okolicą.
— Tak jest — powiedział Gedeon Spilett — ta góra wydaje się dość wysoka...
— Otóż jutro — ciągnął dalej inżynier — wdrapiemy się na sam szczyt i przekonamy się, czy ten ład jest wyspą, czy też kontynentem. Do jutra, powtarzam jeszcze raz, nie ma co robić.
— Ależ jest co robić, rozpalic ogień — powtórzył uparty marynarz.
— Będziemy go mieli, będziemy! — odparł Gedeon Spilett. — Trochę cierpliwości, Pencroffie!
Marynarz popatrzył na Gedeona Spiletta z miną, która zdawała się mówić: „No, jeżeli pan się tym zajmie, to pewnie nieprędko skosztujemy pieczeni”. Lecz nie powiedział ani słowa.

Cyrus Smith także milczał. Sprawa ognia zdawała się go mało interesować. Przez kilka chwil siedział zatopiony w myślach, po czym odezwał się znowu:

— Nasza sytuacja, przyjaciele, jest może oplakana, lecz w każdym razie bardzo prosta. Albo jesteśmy na kontynencie, a wtedy z większym lub mniejszym trudem dotrzemy wreszcie do jakiegoś miejsca, gdzie mieszkają ludzie, albo też jesteśmy na wyspie. W tym drugim przypadku czeka nas jedno z dwojga: jeśli ta wyspa jest zamieszkała, spróbujemy dać sobie radę przy pomocy jej mieszkańców, jeśli zaś jest bezludna, będziemy musieli radzić sobie sami.

— Rzeczywiście, nic prostszego — odparł Pencroff.

— Ale niezależnie od tego — zagadnął Gedeon Spilett — czy to kontynent czy wyspa, jak pan sądzi, Cyrusie, dokąd nas mógł zapędzić ten huragan?

— Prawdę mówiąc, nie wiem na pewno — odparł inżynier — ale wiele przemawia za tym, że na jakiś ląd na Pacyfiku. Gdy opuszczaliśmy Richmond, wicher dął z północnego wschodu i sama jego gwałtowność pozwala przypuszczać, że nie zmienił kierunku. Jeśli więc ten kierunek z północnego wschodu na południowy zachód się utrzymał, przelecieliśmy stany Karoliny Północnej, Karoliny Południowej, Georgii, Zatokę Meksykańską, Meksyk, a następnie część Pacyfiku. Oceniam odległość, jaką przebyliśmy balonem, na co najmniej sześć do siedmiu tysięcy mil, a jeśli wiatr w tym czasie zmienił kierunek o pół kwadranta⁵³, to zapędził nas albo na Archipelag Mendany⁵⁴, albo na wyspy Paumotu⁵⁵, albo nawet, jeśli siła jego była większa, niż przypuszczam, na Nową Zelandię. Gdyby ta ostatnia hipoteza okazała się słuszna, nasz powrót do ojczyzny nie byłby trudny. Czy trafilibyśmy na Anglików, czy na Maorysów⁵⁶, jakoś byśmy się dogadali. Jeśli zaś wybrzeże, na którym się znajdujemy, należy do jednej z bezludnych wysp jakiegoś malutkiego archipelagu, o czym być może zdołamy się przekonać z tego szczytu górującego nad okolicą, wówczas trzeba będzie pomyśleć nad urządzeniem się tutaj tak, jak gdybyśmy już nigdy nie mieli się stąd wydostać.

— Nigdy! — zawołał reporter. — Pan mówi „nigdy”, drogi Cyrusie?

— Lepiej od razu spodziewać się najgorszego — odparł inżynier — a wówczas lepsze będzie miłą niespodzianką.

— Dobrze powiedziane! — powiedział Pencroff. — A zresztą miejmy nadzieję, że ta wyspa, jeśli to jest wyspa, nie leży poza szlakami, którymi pływają statki. Inaczej to byłby prawdziwy pech.

— Będziemy wiedzieli, czego się trzymać — powiedział inżynier — dopiero wtedy, kiedy wdrapiemy się na tamtą górę i stamtąd się rozejrzemy.

— Ale czy jutro będzie pan miał dość sił, żeby znieść trudy takiej wyprawy? — zapytał Harbert.

— Mam nadzieję — odparł inżynier — ale pod warunkiem, że pan, panie Pencroffie, i ty, mój chłopcze, spiszecie się dziś, jak na zręcznych myśliwych przystało.

— Panie Cyrusie — odparł marynarz — ponieważ mówi pan o zwierzyńcu, to powiem panu, że gdybym był tak samo pewny, że po powrocie będę ją mógł upiec przy ogniu, jak jestem pewny, że ją dostarczę...

— Niech pan ją tylko dostarczy, panie Pencroffie — odparł Cyrus Smith.

Postanowiono zatem, że inżynier z reporterem spędzą dzień w Kominach, ażeby zbadać brzeg morza i górny płaskowyż. Przez ten czas Nab, Harbert i marynarz mieli wrócić do lasu, uzupełnić zapas drzewa i złować każde pierzaste czy pokryte sierścią stworzenie, jakie im wpadnie pod rękę.

Ruszyli zatem w drogę około dziewiątej rano: Harbert pełen najlepszej otuchy, Nab wesoły, Pencroff na odchodnym mruczący pod nosem:

⁵³kwadrant — ćwiartka koła lub kąt odpowiadający takiej ćwiartce, czyli kąt prosty; pół kwadranta to 45°. [przypis edytorski]

⁵⁴Archipelag Mendany, fr. *Archipel de Mendana* — daw. fr. nazwa Markizów, grupy wysp wulkanicznych na Pacyfiku, ok. 4800 km na zach. od Meksyku. Zostały odkryte w 1595 przez hiszp. żeglarza Álvaro de Mendañę i nazwane na cześć markiza de Mendosy, ówczesnego wicekróla Peru. Od 1842 Markizy są francuską kolonią w ramach Polinezji Francuskiej. [przypis edytorski]

⁵⁵Paumotu, wyspy — daw. nazwa wysp Tuamotu, archipelagu na Oceanie Spokojnym z wielką liczbą atoli i wysepek, należącego do Polinezji Francuskiej. [przypis edytorski]

⁵⁶Maorysi — rdzenna ludność Nowej Zelandii, potomkowie Polinezyjczyków, którzy jako pierwsi ludzie dotarli tam w XIII w. [przypis edytorski]

— Jeżeli po powrocie znajdę ogień w domu, to chyba sam piorun we własnej osobie przyszedł go rozpalić!...

Poszli brzegiem w górę rzeki, a kiedy dotarli do jej zakrętu, marynarz zatrzymał się i powiedział:

— Czym będziemy najpierw: myśliwymi czy drwalami?

— Myśliwymi — odparł Harbert. — Top już jest na tropie.

— Więc chodźmy na polowanie — powiedział marynarz. — Potem wrócimy tu po drzewo.

Po czym Harbert, Nab i Pencroff, wylamawszy trzy potężne konary ze świerków, pospiechali w ślad za Topem, który skacząc, przedzierał się przez wysoką trawę.

Tym razem myśliwi, zamiast iść wzdłuż rzeki, zapuścili się prosto w głąb lasu. Napotykali te same drzewa, co poprzednio, należące w większości do rodziny sosen. Gdzieś tam gdzie sosny te rosły w mniejszych skupiskach i miały wspaniałe rozmiary, co wskazywało, że kraina leży na większej szerokości geograficznej, niż przypuszczał inżynier. Tu i ówdzie napotykali polanki, gdzie sterczały pnie nadszczerbione zębem czasu, a na ziemi wokoło leżało mnóstwo suchych gałęzi stanowiących niewyczerpany zapas paliwa. Kiedy minęli te polanki, las stał się tak gęsty, że prawie nie do przebycia.

Nie było łatwo utrzymać kierunek w gęstwinie drzew, bez żadnej ścieżki. Toteż marynarz od czasu do czasu nadłamywał po drodze gałęzie, tworząc tym sposobem łatwo wpadające w oko drogowskazy. Ale być może tym razem źle zrobił, nie trzymając się biegu rzeki, jak na pierwszej wędrowce z Harbertem, gdyż po całodziennym chodzeniu nie trafili jeszcze na żadną zwierzynę. Top, biegnąc pod niskimi gałęziami, płoszył tylko ptaki, do których nie można było się zbliżyć. Nie było widać nawet kuruku, wydawało się więc, że marynarz będzie musiał wrócić do bagnistej części lasu, gdzie tak pomyślnie łowił preriokury.

— Ano, panie Pencroffie — odezwał się Nab z lekkim sarkazmem — jeżeli to ma być ta zwierzyna, którą obiecał pan dostarczyć mojemu panu, to niewiele potrzeba będzie ognia, żeby ją upiec!...

— Cierpliwości, Nabie — odparł marynarz. — Z pewnością to nie zwierzyny zabraknie po naszym powrocie!

— Więc nie ma pan zaufania do pana Smitha?

— Owszem.

— Ale nie wierzy pan, że rozpali ogień?

— Uwierzę, gdy drzewo zapłonie na ognisku.

— Będzie płonąć, bo mój pan tak powiedział!

— Zobaczymy!

Tymczasem słońce w swojej wędrowce nie osiągnęło jeszcze najwyższego punktu nad horyzontem. Poszukiwania trwały dalej, a Harbert dokonał niebawem bardzo pożytecznego odkrycia, znalazł bowiem drzewo z jadalnymi owocami. Była to pinia⁵⁷, rodząca doskonale orzeszki, cenione w umiarkowanych strefach Ameryki i Europy. Orzeszki były zupełnie dojrzałe i Harbert wskazał je swoim towarzyszom, którzy uraczyli się nimi do syta.

— Cóż — powiedział Pencroff — wodorosty jako chleb, surowe małże jako mięso i orzeszki sosnowe na deser — oto obiad ludzi, którzy nie mają w kieszeni ani jednej zapalki.

— Nie należy narzekać — odpowiedział Harbert.

— Ja nie narzekam, mój chłopcze — odparł Pencroff — powtarzam tylko, że w naszych posiłkach trochę daje się odczuć brak mięsa.

— Top jest innego zdania!... — zawołał w tej chwili Nab i podbiegł ku gęstwinie, skąd dolatywało szczekanie psa. Ze szczekaniem Topa mieszały się dziwne chrząkania.

Marynarz z Harbertem pospiechali w ślad za Nabem. Jeśli to była zwierzyna, to zamiast rozprawić nad tym, jak się ją upiecze, należało przede wszystkim pomyśleć, jak ją złapać.

Kiedy tylko weszli w gęstwinę, ujrzeni Topa szamoczącego się z jakimś zwierzęciem, które trzymał zębami za ucho. Czworonożne stworzenie podobne było do świni, miało

⁵⁷pinia — drzewo iglaste z gęstą, szeroką koroną, rosnące w krajach śródziemnomorskich, mające duże, jadalne nasiona (orzeszki piniowe). [przypis edytorski]

około dwóch i pół stopy długości, było ciemnobraunatne, jaśniejsze na brzuchu, pokryte twardą i rzadką sierścią; jego palce u nóg, którymi właśnie z całej siły uczepiło się ziemi, były połączone błoną.

Harbert rozpoznał w nim kapibarę⁵⁸, która jest jednym z największych przedstawicieli gryzoni.

Tymczasem kapibara wcale nie walczyła z psem. Przewracała tylko bezmyślnie swoimi wielkimi oczami, osadzonymi głęboko w grubej warstwie tłuszczu. Prawdopodobnie pierwszy raz w życiu widziała ludzi.

Nab, ująwszy silniej kij w rękę, zamierzał właśnie powalić gryzonia, gdy ten wydarł się Topowi, zostawiając mu w zębach kawałek ucha, chrząknął głośno, rzucił się na Harberta, omal nie powalając go z nóg, i zniknął w gęstwinie.

— A to drab! — zawołał Pencroff.

Wszyscy trzej popędzili co tchu w ślad za Topem, ale w chwili gdy go doganiali, gryzoń rzucił się do dużego bajora, ocienionego dokoła stuletnimi sosnami, i zniknął pod wodą.

Nab, Harbert i Pencroff stanęli na brzegu jak wryci. Top wskoczył do wody, ale kapibara ukryła się na dnie bajora i już się nie pokazała.

— Zaczekajmy — powiedział Harbert — wkrótce będzie musiała wypłynąć, żeby nabrać tchu.

— A nie utonie? — zapytał Nab.

— Nie — odparł Harbert — ma płetwovate nogi i jest zwierzęciem ziemnowodnym. Czatuujemy tu na nią.

Top został w wodzie. Pencroff i jego dwaj towarzysze rozstawili się dokoła brzegu, aby odciąć kapibarze drogę ucieczki, a pies szukał jej po całym bajorze.

Słowa Harberta sprawdziły się. Po kilku minutach zwierzę wypłynęło znów na powierzchnię wody. Top jednym susem rzucił się na nie i nie dał mu się ponownie zanurzyć. W kilka chwil później Top przyciągnął kapibarę do brzegu, a Nab jednym uderzeniem pałki ubił ją na miejscu.

— Hurra! — krzyknął Pencroff, który miał słabość do tego tryumfalnego okrzyku. — Dajcie mi tylko jeden rozżarzony węgielek, a ogryziemy tego gryzonia do kości!

Pencroff zarzucił kapibarę na ramię, a sądząc według słońca, że może już być około drugiej po południu, dał znak do powrotu.

Instynkt Topa przydał się myśliwym, którzy dzięki temu sprytnemu przewodnikowi łatwo odnaleźli drogę powrotną. Po pół godzinie dotarli do zakrętu rzeki.

Tak jak pierwszym razem Pencroff szybko sporządził tratwę i załadował ją drewnem, chociaż z powodu braku ognia ta praca wydawała mu się niepotrzebna, po czym prowadząc tratwę z prądem wody, wracali do Kominów.

Ale pięćdziesiąt kroków przed Kominami marynarz zatrzymał się nagle, krzyknął z całych sił „Hurra!” i wskazując ręką na róg skalnego urwiska, zawołał:

— Harbercie! Nabie! Patrzcie!

Ponad skałami unosiły się gęste kłęby dymu.

ROZDZIAŁ X

Wynalazek inżyniera. — Pytanie nurtujące Cyrusa Smitha. — Wyprowa na szczyt. — Las. — Grunt wulkaniczny. — Tragopany. — Muflony. — Pierwszy taras. — Nocleg. — Ze szczytu góry.

Kilka chwil później myśliwi znaleźli się przy płonącym ognisku. Zastali przy nim Cyrusa Smitha i reportera. Pencroff w milczeniu patrzył to na jednego, to na drugiego, stojąc jak wryty, z kapibarą w rękę.

— A widzi pan, przyjacielu! — zawołał reporter. — Oto i ogień, prawdziwy ogień, przy którym doskonale upiecze się ta wspaniała zwierzyna, którą się niebawem uraczymy!

— Ale kto go rozpałił?... — zapytał Pencroff.

Ogień

⁵⁸kapibara (biol.) — rodzaj lądowo-wodnych gryzoni mieszkających w Ameryce Płd.; kapibara wielka jest największym z żyjących gryzoni (do 65 kg). [przypis edytorski]

— Słońce!

Gedeon Spilett powiedział prawdę. To słońce było źródłem ognia, który się tak zadziwił Pencroffa. Marynarz nie chciał wierzyć własnym oczom i tak był osłupiały z podziwu, że nie przyszło mu nawet na myśl zapytać inżyniera, jak to się stało.

— Więc miał pan przy sobie soczewkę? — zagadnął Harbert Cyrusa Smitha.

— Nie, mój chłopcze — odparł inżynier — ale ją zrobiłem.

I pokazał przyrząd, który mu posłużył za soczewkę. Były to po prostu dwa szkiełka, wyjęte z zegarka reportera i jego własnego. Napelniając je wodą i sklejjąc brzegi za pomocą glinki, sporządził tym sposobem prawdziwą soczewkę, która skupiając promienie słoneczne na kupce suchego mchu, spowodowała, że się zapalił.

Marynarz najpierw przyjrzał się przyrządowi, a potem spojrzął na inżyniera i nie powiedział ani słowa. Za to jego wzrok mówił wszystko. Jeżeli dla niego Cyrus Smith nie był bogiem, to w każdym razie kimś więcej niż człowiekiem. Wreszcie odzyskał mowę i zawołał:

— Niech pan to zapisze, panie Spilett, niech pan to zapisze w swoich notatkach!

— Już zapisałem — odparł reporter.

Następnie przy pomocy Naba marynarz sporządził rozeń i wkrótce kapibara, wypatroszona jak należy, piekła się nad jasnym, trzaskającym ogniem jak zwyczajne prosię.

Kominy znowu nadawały się do zamieszkiwania, nie tylko dlatego, że ogień ogrzewał korytarze, lecz także dzięki temu, że odbudowano dawne przegrody z kamieni i piasku. Jak widać, inżynier ze swoim towarzyszem nie zmarnowali dnia. Cyrus Smith prawie całkiem odzyskał siły i wypróbował je, wchodząc na górny płaskowyż. Z tego miejsca okiem przywykłym do oceniania wysokości i odległości długo przyglądał się stożkowi góry, na której szczyt zamierzał wspiąć się nazajutrz. Góra, odległa o jakieś sześć mil na północny zachód, według jego przypuszczeń wznosiła się na trzy tysiące pięćset stóp ponad poziom morza. Stanąwszy więc na jej szczycie, można było przejrzeć dokoła widnokrąg w promieniu co najmniej pięćdziesięciu mil. Zdawało się zatem, że Cyrus Smith będzie mógł stamtąd z łatwością rozstrzygnąć kwestię „kontynent czy wyspa?“, którą nie bez powodu uważał za ważniejszą od wszystkich innych.

Spożyto obfitą kolację. Wszyscy uznali, że mięso kapibary jest wyśmienite. Wodorosty i orzeszki pinii uzupełniły posiłek, podczas którego inżynier niewiele się odzywał. Był zaprzątnięty planami na następny dzień.

Raz czy dwa razy Pencroff wysunął swoje pomysły, co należałoby robić w najbliższej przyszłości, lecz Cyrus Smith, który najwidoczniej był człowiekiem bardzo systematycznym, kiwał tylko głową i powtarzał:

— Jutro będziemy wiedzieli, czego się trzymać, i odpowiednio do tego ustalimy dalsze postępowanie.

Po kolacji dorzucono świeżego chrustu do ognia i mieszkańcy Kominów, nie wyłączając wiernego Topa, zasnęli wszyscy kamiennym snem. Żaden wypadek nie przerwał spokoju tej nocy i nazajutrz, 29 marca, przebudzili się rześcy i wypoczęci, gotowi do wyprawy, która miała zdecydować o ich losie.

Wszystko było gotowe do podróży. Resztki kapibary mogły wystarczyć Cyrusowi Smithowi i jego towarzyszom jeszcze na cały dzień. Zresztą mieli nadzieję po drodze zaopatrzyć się w żywność. Ponieważ szkiełka zostały z powrotem wstawione do zegarków inżyniera i reportera, więc Pencroff nadpalił trochę płótna, które miało posłużyć zamiast hubki. O krzemień nie było potrzeby się troszczyć na terenie pochodzenia wulkanicznego.

O godzinie wpół do ósmej rano podróżni, uzbrojeni w kostury⁵⁹, opuścili Kominy. Zdaniem Pencroffa najlepiej było pójść znaną już drogą przez las, a powracać można będzie inną. Była to jednocześnie najkrótsza droga wiodąca do celu ich wyprawy. Skręcili zatem na południe i podążyli lewym brzegiem rzeki. W miejscu, gdzie rzeka skręcała na południowy zachód, zesłi w bok, odszukali utorowaną już pomiędzy drzewami ścieżkę i o godzinie dziewiątej Cyrus Smith i jego towarzysze dotarli na zachodni kraniec lasu.

Grunt dotychczas dość równy, początkowo bagnisty, a później suchy i piaszczysty, podnosił się teraz lekko, od wybrzeża w głąb lądu. Między drzewami przemknęły przed

⁵⁹kostur — kij podróżny, laska używana przez wędrowców do podpierania się. [przypis edytorski]

nimi jakieś bardzo płochliwe zwierzęta. Top żwawo skoczył za nimi, ale jego pan zaraz go przywołał, gdyż nie był to czas na polowanie. Zobaczysz, co będzie później. Inżynier nie należał do ludzi, których łatwo odwieść od powziętego planu. Można było z pewnością powiedzieć, że nie zwracał uwagi na okolicę, którą szli, ani na jej ukształtowanie, ani na jej bogactwa naturalne. Jego jedynym celem była góra, na którą chciał się wdrzeć, i zmierzał prosto do niej.

O dziesiątej zrobili kilkuminutowy odpoczynek. Przy wyjściu z lasu roztoczył się przed ich oczyma układ orograficzny⁶⁰ całej okolicy. Góra składała się z dwóch stożków. Jeden z nich, ścięty na wysokości dwóch tysięcy pięciuset stóp, podtrzymywany był poprzecznymi pasmami górskimi, które rozgałęziały się fantastycznie niczym wbite w ziemię szpony olbrzymiej łapy. Pomiedzy tymi pasmami ciągnęły się wąskie doliny najeżone drzewami; wierzchołki najwyższych rosnących drzew wznosiły się aż do krawędzi pierwszego stożka. Roślinność wydawała się uboższa po północno-wschodniej stronie góry, gdzie ciemniały dość głębokie wyżłobienia, zapewne wystygłe potoki lawy.

Na pierwszym stożku spoczywał drugi, lekko zaokrąglony na wierzchołku i nieco przekrzywiony. Wyglądał jak duży okrągły kapelusz zsunięty na jedno ucho. Wydawał się cały składać tylko z nagiej ziemi, którą w wielu miejscach przecinały czerwone skały.

Tak wyglądał szczyt drugiego stożka, na który chcieli się dostać, a najwygodniejsza droga prowadziła grzbietami poprzecznych pasm.

— Znajdujemy się na gruncie wulkanicznym — powiedział Cyrus Smith, po czym cała drużyna zaczęła powolną wspinaczkę po grzbiecie jednego z poprzecznych pasm, krętych, a tym samym wygodniejszych, które sięgało aż do szczytu pierwszego stożka.

Powierzchnia ziemi w wielu miejscach była wybrzuszona, widocznie nieraz wstrząsała nią podziemne siły wulkaniczne. Tu i ówdzie leżały bezładnie nieregularne bryły kamieni, liczne odłamy bazaltu⁶¹, pumeksu⁶² i obsydianu⁶³. Rzadkimi kępami rosły drzewa iglaste, które o kilkaset stóp niżej, na dnie wąskich parowów, tworzyły zbity gąszcz, prawie nieprzepuszczający promieni słonecznych.

Podczas pierwszego etapu wspinaczki po dolnych grzbietach, tworzących jakby olbrzymie schody wiodące do góry, Harbert zauważył tropy dużych zwierząt, zapewne drapieżników.

— Chyba te zwierzęta nie ustąpią nam dobrowolnie swojego królestwa? — powiedział Pencroff.

— W takim razie — odparł reporter, który polował niegdyś na tygrysy w Indiach i na lwy w Afryce — zobaczymy, jak się ich pozbyć. Ale na razie zachowajmy czujność!

Tymczasem podróżni powoli zdążyli w górę, jednak częste zakręty, urwiska i przeszkody, których nie dało się przebyć na wprost, znacznie przysparzały drogi. Czasem ziemia urywała się nagle i stawali nad brzegiem głębokich rozpadlin, które trzeba było obejść. Za każdym razem kosztowało ich wiele czasu i trudów, żeby znowu trafić na wygodniejszą ścieżkę. Około południa, gdy drużyna zatrzymała się, aby zjeść śniadanie w cieniu kępy świerków, niedaleko spływającego kaskadami strumyka, stwierdzili, że są w połowie drogi na szczyt pierwszego stożka, więc było jasne, że nie zdołają tam dotrzeć przed zmrokiem.

Z miejsca, w którym się znajdowali, roztaczał się rozległy widok na morze; lecz na prawo, na południowym wschodzie, zasłaniał go ostry cypel, który nie pozwalał rozróżnić, czy wybrzeże nie łączy się ostrym zakrętem z jakimś lądem położonym na dalszym planie. Po lewej wzrok sięgał kilka mil na północ, lecz w kierunku północno-zachodnim od miejsca, gdzie się znajdowali podróżni, dalszy widok zagradzał sterczący narożnik jednej z poprzecznych ostróg o dziwacznych kształtach, tworzącej jakby potężną skar-

⁶⁰układ orograficzny — ukształtowanie gór; od: *orografia* (z gr. *oros*: góra, *grapho*: piszę), nauka zajmująca się opisem gór lub innych dużych form rzeźby powierzchni Ziemi (morfografia). [przypis edytorski]

⁶¹bazalt — skała wulkaniczna (wylewna) o drobnoziarnistej strukturze, mająca barwę czarną, szarą lub zieloną. [przypis edytorski]

⁶²pumeks — skała wulkaniczna zbudowana z porowatego szkliwa wulkanicznego powstałego z pienistej lawy. [przypis edytorski]

⁶³obsydian — skała wulkaniczna złożona niemal wyłącznie ze szkliwa wulkanicznego, powstająca w wyniku natychmiastowego stygnięcia lawy. [przypis edytorski]

peę⁶⁴ centralnego stożka. A zatem nie można było jeszcze rozstrzygnąć kwestii, o którą chodziło Cyrusowi.

O pierwszej ruszyli dalej. Trzeba było iść ukośnie na południowy zachód i znowu zapuścić się w gęstwinę. Tutaj, pomiędzy rozłożystymi drzewami, trzepotały się pary kuraków z rodziny bażantów. Były to tragopany⁶⁵, ozdobione mięsistymi podgardlami i dwoma walcowatymi różkami osadzonymi za oczyma. Ptaki te były mniej więcej wielkości koguta, samice jednolicie brunatne, podczas gdy samce połyskiwały czerwonym upierzeniem usianym drobnymi białymi cętkami. Gedeon Spilett rzuconym celnie i silnie kamieniem ubił jednego tragopana, a Pencroff, którego apetyt zaostrzyło świeże powietrze, spoglądał na niego łakomym okiem.

Po opuszczeniu gąszczy musieli iść jakieś stóp pod górę po bardzo stromej pochyłości, podsadzając się wzajemnie, aż dotarli na wyższą kondygnację, gdzie rosło kilka drzew, a gleba miała wygląd wulkaniczny. Stąd trzeba było skręcić znowu na wschód i iść zakosami, co znacznie ułatwiało wspinaczkę po zboczach, gdyż były strome i musieli uważnie wybierać miejsca, gdzie postawić stopę. Straż przednią tworzyli Nab z Harbertem, straż tylną Pencroff, a w środku szli Cyrus i reporter. Zwierzęta, które przebywały na tych wysokościach — a napotykali wiele ich śladów — musiały być jakimś gatunkiem kozic, obdarzonych przez naturę pewnymi nogami i giętkim grzbietem. Spostrzegli nawet kilka sztuk, lecz Pencroff nadał im inną nazwę, zawoławszy nagle:

— Barany!

Na ten okrzyk wszyscy zatrzymali się o pięćdziesiąt kroków od stadka kilku dużych zwierząt o silnych, wygiętych do tyłu rogach, spłaszczonych na końcach, oraz wełnistym runie pokrytym długą, miękką sierścią płowego koloru.

Nie były to zwykłe barany, lecz pewien gatunek rozpowszechniony w górskich okolicach stref umiarkowanych; Harbert nazwał je muflonami⁶⁶.

— A można z nich robić udźce i kotlety? — zapytał marynarz.

— Można — odparł Harbert.

— A więc to barany! — powiedział Pencroff.

Zwierzęta stały nieruchomo wśród odłamów bazaltowych i patrzyły zdumionym wzrokiem, jak gdyby po raz pierwszy widziały dwunożne istoty ludzkie. Po chwili spłoszyły się nagle i skacząc po skałach, zniknęły pomiędzy urwiskami.

— Do widzenia! — zawołał Pencroff tonem tak komicznym, że Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Harbert i Nab wybuchnęli głośnym śmiechem.

Ruszyli dalej. Na stromiznach coraz częściej widoczne były ślady lawy zastygłej w fantastyczne wzory. Od czasu do czasu drogę przecinały małe solfatary⁶⁷, które trzeba było obchodzić wzdłuż brzegów. W niektórych miejscach siarka osadziła się w postaci nalotu z kryształków pomiędzy minerałami, które zazwyczaj poprzedzają wylew lawy, to znaczy między nieregularnymi, skamieniałymi grudkami pucolany⁶⁸ oraz białawego popiołu, składającego się z niezliczonej liczby małych kryształków skaleni⁶⁹.

Im bardziej zbliżali się do pierwszego tarasu, który tworzył ścięty wierzchołek niższego stożka, tym trudniej było wdrapywać się pod górę. Około godziny czwartej minęli ostatni pas lasu. Tu i ówdzie sterczało jeszcze tylko kilka pokurczonych i nagich sosen, którym przypadł w udziale twardy los stawiania oporu szalejącym na tej wysokości wichrom. Na szczęście dla inżyniera i jego towarzyszy pogoda była piękna, powietrze

⁶⁴skarpa (archit.) — przypora, rozszerzający się ku dołowi mur odchodzący na zewnątrz od ściany budynku, mający za zadanie wzmacniać ścianę i przenosić ciężar sklepienia budowli na podłoże. [przypis edytorski]

⁶⁵tragopan (biol.) — rodzaj ptaków z rodziny bażantowatych (kurowatych), występujących w pld. i pld.-wsch. Azji; wyróżniają się wśród innych bażantowatych gniazdowaniem na drzewach. [przypis edytorski]

⁶⁶muflon *śródziemnomorski*, *Ovis aries musimon* (biol.) — podgatunek dzikiej owcy, żyjący pierwotnie w górach Sardynii i Korsyki, ob. w większości krajów Europy; przodek owcy domowej. Jako określenie ogólne słowo *muflon* może oznaczać, szczególnie w jęz. francuskim, rozmaite gatunki dzikich owiec i in. zwierząt podrodziny koziorożców. [przypis edytorski]

⁶⁷solfatara (z wł. *solfo*: siarka) — obszar na terenie wulkanicznym, na którym z kraterów i szczelin wydobywają się na powierzchnię gorące wyziewy zawierające duże ilości siarki; także nazwa tych wyziewów. [przypis edytorski]

⁶⁸pucolana — drobny popiół lub pył wulkaniczny, składający się głównie z krzemionki; wykorzystywany w budownictwie z powodu zdolności do wiązania wapna. [przypis edytorski]

⁶⁹skalenie — grupa pospolitych minerałów skałotwórczych, stanowiących ok. 60% objętości skał magmowych. [przypis edytorski]

spokojne, bowiem na wysokości trzech tysięcy stóp silny wiatr utrudniałby im marsz. Poprzez przejrzyste powietrze wzrok sięgał w przestworza. Dokoła panowała zupełna cisza. Słońce skryło się właśnie za wyższym stożkiem, który zasłaniał zachodnią część horyzontu, a olbrzymi cień, rozciągający się aż do brzegu morza, wydłużał się, w miarę jak promienna gwiazda zbliżała się do kresu swej codziennej wędrówki. Na wschodzie zaczęły się ukazywać jakieś opary, raczej mgły niż chmury, zabarwione przez promienie słoneczne wszystkimi kolorami tęczy.

Już tylko pięćset stóp dzieliło podróżnych od tarasu, do którego zamierzali dotrzeć, aby rozbić obóz na noc, lecz zygaki, którymi musieli iść, wydłużały te pięćset stóp do dwóch tysięcy. Często grunt kończył im się tuż pod nogami. Zbocza były nieraz tak strome, że zsuwali się po pokładach zastygłej lawy, gdy zwierzałe wskutek działania powietrza wyzłobienia nie dawały dostatecznego oparcia stopom. Robiło się coraz ciemniej i już prawie zapadła noc, gdy Cyrus Smith i jego towarzysze, śmiertelnie zmęczeni siedmiogodzinną wspinaczką, dotarli na taras stanowiący szczyt pierwszego stożka.

Należało teraz urządzić obozowisko i wzmocnić siły, najpierw jedzeniem, a potem snem. Drugie piętro góry spoczywało na podstawie ze skał, pomiędzy którymi znaleźli łatwo stosowne schronienie. Opału nie było wiele. Można jednak było rozpalić ognisko z mchu i rosnących miejscami suchych krzaków. Podczas gdy marynarz układał palenisko z kamieni, żeby rozpalić na nim ogień, Nab z Harbertem zbierali opał i wkrótce powrócili z potrzebnym zapasem. Skrzesano ogień, nadpalone płótno, na które dmuchał Nab, zajęło się od padających z krzemienia iskier i po kilku chwilach pod osłoną skał zapłonął jasny płomień.

Ogień miał posłużyć tylko do zabezpieczenia się przed nocnym chłodem, nie zaś do pieczenia bażanta, którego Nab zostawił na następny dzień. Ich wieczorny posiłek stanowiły resztki kapibary i garść orzeszków pinii.

Okolo wpół do siódmej zakończyli kolację.

Cyrusowi Smithowi przysła wtedy do głowy myśl, by w półmroku zbadać dokoła tę szeroką kolistą podstawę, na której spoczywał górny stożek. Przed odpoczynkiem koniecznie chciał się przekonać, czy nie dałoby się obejść podnóża stożka, na wypadek gdyby zbyt stroma zbocza nie pozwoliła dotrzeć na sam szczyt. Sprawa ta nie przestawała go zaprzątać, gdyż możliwe, że od strony, na którą przechylał się wierzchołek, czyli od północy, nie dało się na niego wspiąć. Gdyby więc okazało się, że z jednej szczyt góry jest nieosiągalny, a z drugiej, że nie można obejść podstawy stożka, wówczas zbadanie zachodniej części łądu byłoby niemożliwe i cel wyprawy nie zostałby w pełni osiągnięty.

Nie uważając zatem na trud i zmęczenie, inżynier zostawił Pencroffa i Naba zajętych przygotowaniami do noclegu, a Gedeona Spilletta pogrążonego w opisywaniu wydarzeń minionego dnia, sam zaś poszedł skrajem kolistego tarasu, kierując się na północ. W wycieczce tej towarzyszył mu Harbert.

Noc była piękna i pogodna, a mrok jeszcze niezbyt gęsty. Cyrus Smith i Harbert szli obok siebie w milczeniu. Miejscami taras był szeroki i płaski i bez przeszkód poruszali się naprzód. Gdzie indziej nagromadzone rumowiska skał pozostawiały zaledwie wąziutką ścieżynkę, po której dwie osoby nie mogły iść obok siebie. Po dwudziestu minutach marszu Cyrus i Harbert musieli się zatrzymać. Poczynając od tego miejsca zbocza stożków łączyły się ze sobą. Nie było dalej skarpy oddzielającej obie części góry. A obejście stało się niemożliwe, gdyż stoki były nachylone pod kątem siedemdziesięciu stopni.

Inżynier i Harbert musieli zrezygnować z zamiaru okrążenia góry, ale w zamian pojawiła się możliwość wspięcia się wprost na jej szczyt.

Mianowicie otwarła się przed nimi głęboka rozpadlina. Było to ujście górnego krateru, gardziel, przez którą, w czasie gdy wulkan był jeszcze czynny, wypływały ogniste potoki magmy.

Zastygła lawa i zaskorupiały żużel tworzyły rodzaj naturalnych schodów o szerokich stopniach, ułatwiających dostęp na szczyt góry.

Cyrus Smith za pierwszym rzutem oka dostrzegł tę sposobność i nie wahając się ani chwili, mimo narastającej ciemności zagłębił się w olbrzymią rozpadlinę. Harbert podążył za nim.

Mieli do pokonania jeszcze tysiąc stóp wysokości. Czy po wewnętrznych ścianach krateru można się dostać na górę? O tym mieli się wkrótce przekonać. Inżynier postanowił

wspinać tak wysoko, jak tylko się da. Na szczęście te wzniesienia, bardzo wydłużone i kręte, opasywały wnętrze krateru po spirali, co bardzo ułatwiało drogę pod górę.

Co do wulkanu, to nie było żadnej wątpliwości, że całkowicie wygaś. Nie widać było ani dymu wydobywającego się ze ścian, ani ognia na dnie głębokich czeluści. Żaden podziemny grzmot, żaden pomruk ani żaden wstrząs nie wydobywał się z tego ciemnego lochu, który sięgał może aż do samego wnętrza ziemi. W powietrzu wewnątrz krateru nie dawał się wyczuć najbliższy zapach siarki. To nie była drzemka wulkanu, to była jego zupełna śmierć.

Wyglądało na to, że zamiar Cyrusa się powiedzie. Wspinając się wraz z Harbertem po stokach krateru, widzieli, jak jego otwór coraz bardziej rozszerzał się nad ich głowami. Wycinek nieba ograniczany brzegami krateru powiększał się z każdą chwilą. Za każdym krokiem ukazywały im się nowe gwiazdy. Wspaniałe konstelacje południowego nieba jaśniały nad ich głowami. W zenicie lśnił wspaniałym blaskiem Antares z konstelacji Skorpiona⁷⁰, a niedaleko niego owa Alfa Centaura⁷¹, o której twierdzą, że jest najbliższa ziemskiemu globowi. W miarę jak otwór krateru rozszerzał się, ujrzeli gwiazdę zwaną Fomalhaut, należącą do konstelacji Ryby⁷², Trójkąt Południowy⁷³, a wreszcie na samym prawie biegunie antarktycznym połyskujący Krzyż Południa, który zastępuje Gwiazdę Polarną półkuli północnej.

Dochodziła ósma, gdy Cyrus i Harbert stanęli na najwyższym punkcie góry, na samym szczycie stożka.

Panowała wtedy zupełna ciemność i nie pozwalała spojrzeń sięgnąć dalej niż w promieniu dwóch mil dookoła. Czy tę nieznaną krainę otaczało morze, czy też łączyła się na zachodzie z jakimś kontynentem Pacyfiku? Tego nie można było rozpoznać. Na zachodzie pasmo chmur wyraźnie zarysowane na horyzoncie pogłębiało jeszcze ciemności, a wzrok daremnie usiłował odgadnąć, czy niebo i woda łączą się tam ze sobą.

Lecz nagle w jednym punkcie horyzontu ukazało się mgliste światelko, które obniżało się powoli, w miarę jak chmury wznosiły się na niebie.

Był to wąski sierp księżyca w nowiu, już prawie znikającego. Jednak jego światło wystarczało, aby wyraźnie pokazać linię horyzontu, uwolnionego już wówczas od chmur, a inżynier zdołał dojrzeć przez moment drżące odbicie księżyca na powierzchni wody.

Cyrus Smith pochwycił dłoń Harberta i powiedział poważnym głosem:

— To wyspa!...

W tej chwili sierp księżyca zanurzył się w fale oceanu.

ROZDZIAŁ XI

Na szczycie stożka. — Wnętrze krateru. — Morze dookoła. — Ani śladu ziemi. — Widok wybrzeża z lotu ptaka. — Hydrografia i orografia. — Czy wyspa jest zamieszkała, czy nie? — Nazwy nadane zatokom, przylądkom, rzekom itd. — Wyspa Lincoln.

W pół godziny później Cyrus Smith i Harbert powrócili do obozowiska. Inżynier powiedział na razie towarzyszom tylko tyle, że ziemia, na którą los ich rzucił, jest wyspą i że układanie planów na przyszłość trzeba odłożyć do następnego dnia. Następnie ułożyli się wszyscy, jak kto mógł, do snu i w bazaltowej pieczarze, położonej dwa tysiące pięćset stóp nad poziomem morza, w cichą, spokojną noc wyspiarze używali błęgiego wypoczynku.

⁷⁰Skorpion (astr.) — gwiazdozbiór zodiakalny nieba południowego, zawierający wiele jasnych gwiazd. [przypis edytorski]

⁷¹Alfa Centaura a. alfa Centauri (astr.) — pierwsza co do jasności gwiazda w gwiazdozbiorze Centaura; o której twierdzą, że jest najbliższa ziemskiemu globowi: za najbliższą Ziemi gwiazdę inną niż Słońce jest uznawana Proxima Centauri, odległa o ok. 4 lata świetlne i stanowiąca część układu Alfa Centauri. [przypis edytorski]

⁷²konstelacja Ryby (astr.) — właśc. konstelacja Ryby Południowej, różna od zodiakalnego gwiazdozbioru Ryb; wyróżnia się swoją najjaśniejszą gwiazdą Fomalhaut, będącą jednocześnie jedną z najjaśniejszych gwiazd półkuli południowej. [przypis edytorski]

⁷³Trójkąt Południowy (astr.) — niewielka konstelacja nieba południowego, której gwiazdy układają się w kształt prawie równobocznego trójkąta; różna od konstelacji Trójkąta na niebie północnym. [przypis edytorski]

Nazajutrz, 30 marca, po krótkim śniadaniu złożonym z upieczonego tragopana inżynier oznajmił zamiar powtórnego wejścia na szczyt wulkanu, aby dokładnie przypatrzeć się wyspie, która być może zostanie dożywotnim więzieniem dla niego i towarzyszy, gdyby się okazało, że znajduje się zbyt daleko od lądu i od szlaku, którym zwykły pływać statki odwiedzające archipelagi Pacyfiku. Tym razem w tej nowej wyprawie towarzyszyli mu koledzy. Oni również chcieli obejrzeć tę wyspę, która miała im zapewnić wszystko, co potrzebne do życia.

Było około siódmej rano, gdy Cyrus Smith, Harbert, Pencroff, Gedeon Spilett i Nab opuścili nocne obozowisko. Żaden z nich nie martwił się sytuacją, w jakiej się znaleźli. Wszyscy oczywiście wierzyli w swoje siły, ale trzeba powiedzieć, że podstawa tej wiary była zupełnie inna u Cyrusa, a inna u jego towarzyszy. Inżynier był pewny siebie, gdyż czuł, że potrafi wydrzeć dzikiej naturze wszystko, co okaże się potrzebne do życia dla niego i jego kolegów; ci zaś nie obawiali się niczego właśnie dlatego, że Cyrus Smith był z nimi. Tę subtelną różnicę można zrozumieć. Zwłaszcza Pencroff, od czasu sprawy z ponownym rozpaleniem ognia, nie rozpaczałby ani chwili, nawet gdyby się znalazł na nagiej skale, jeśliby razem z nim był tam inżynier.

— Ba! — zawołał. — Opuściliśmy Richmond bez pozwolenia władz. Chybaby się licho wzięło, gdybyśmy prędzej czy później nie mieli wydostać się z miejsca, gdzie na pewno nikt nas nie będzie zatrzymywał.

Cyrus podążał tą samą drogą, co poprzedniego dnia. Okrążyli stożek, idąc po dźwi-gającym go kolistym tarasie, aż dotarli do gardzieli ogromnej rozpadliny. Pogoda była wspaniała. Słońce wschodziło na czystym niebie i złościło swymi promieniami wschodnią stronę góry.

Stanęli nad brzegiem krateru. Inżynier w mroku nocnym trafnie ocenił jego kształt: był to lejkaty otwór, który rozszerzając się, wznosił się na wysokość tysiąca stóp ponad taras pierwszego stożka. U dołu rozpadliny na zboczach widniały szerokie i grube strumienie zastygłej lawy, wiły się jak węże i znaczyły drogę, którą płynęły się niegdyś potoki wulkaniczne, aż do niższych dolin przecinających północną część wyspy.

Wspinanie się po wewnętrznych ścianach krateru, których nachylenie nie przekraczało trzydziestu pięciu do czterdziestu stopni, nie przedstawiało żadnych trudności.

Widać tam było ślady bardzo dawno zakrzepłej lawy, która musiała zapewne dawniej wylewać się przez otwór na szczycie stożka, zanim boczna czeluść nie otworzyła jej nowej drogi.

Co do komina wulkanu, który łączył podziemie z kraterem, to jego głębokości nie dało się ocenić wzrokiem, gdyż ginął w ciemnościach. Ale nie ulegało wątpliwości, że wulkan był całkowicie wygasły.

Zanim nadeszła ósma, Cyrus i jego towarzysze stanęli na szczycie krateru, na stożko-watym pagórku, który wyrastał na jego północnym brzegu.

— Morze! Wszędzie morze! — wykrzyknęli, jakby nie mogli powstrzymać cisnącego im się na usta słowa, które czyniło z nich wyspiarzy.

W istocie, tylko morze, nic tylko morze, nieprzejrzana okrągła płaszczyna wody otaczała ich dokoła! Być może Cyrus, wdrapując się ponownie na szczyt stożka, miał nadzieję odkryć w pobliżu jakiś ląd lub wyspę, której poprzedniego dnia nie mógł dostrzec w nocnych ciemnościach. Lecz jak daleko sięgał widnokrąg, to jest w promieniu ponad pięćdziesięciu mil, nic dookoła nie było widać. Ani ziemi, ani żagla. Cały ten bezmiar był pusty, a wyspa zajmowała środek olbrzymiego, nieskończonego, zdawałoby się, koła.

Inżynier i jego towarzysze przez kilka minut w głuchym milczeniu śledzili wzrokiem dokoła cały ocean. Ich spojrzenia docierały aż jego najdalszych krańców na widnokręgu. Jednak Pencroff, obdarzony tak cudowną bystrością oka, nie dostrzegł nic, a gdyby jakaś ziemia wznosiła się na horyzoncie, choćby tylko niewyraźnie jak mgła, marynarz bez wątpienia byłby ją dostrzegł, bo natura ukryła pod łukami jego brwi istne dwie lunety.

Z oceanu przenieśli wzrok na wyspę, którą z tego miejsca ogarniali od końca do końca, a pierwsze pytanie zadał Gedeon Spilett:

— Jak wielka może być ta wyspa?

Doprawdy nie wydawała się zbyt wielka wśród tej nieskończoności oceanu.

Cyrus Smith zastanawiał się przez chwilę. Uważnie szacował wzrokiem obwód wyspy, biorąc pod uwagę wysokość, na jakiej się znajdowali, po czym powiedział:

Wyspa

— Przyjaciele, sądzę, że się nie pomylę, jeśli powiem, że jej obwód wynosi ponad sto mil.

— A zatem jej powierzchnia?...

— Trudno ją oszacować — odparł inżynier — bo kontury są zbyt nieregularnie powycinane.

Jeżeli Cyrus nie mylił się w ocenie, wyspa miała mniej więcej takie same rozmiary, jak Malta lub Zante na Morzu Śródziemnym⁷⁴, ale kształt bardziej nieregularny, a przy tym mniej obfitowała w rozmaite cypłe, zatoki i zatoczki. Jej dziwaczny kształt przyciągał wzrok, a gdy Gedeon Spilett za radą inżyniera narysował jej kontury, wszyscy uznali, że jest podobna do jakiegoś fantastycznego zwierzęcia, potwornego jaszczura uśpionego na powierzchni oceanu.

Ponieważ trzeba było poznać konfigurację wyspy, reporter zaraz sporządził dość dokładną mapę.

Wschodnia część wybrzeża, ta na której wylądowali rozbitkowie, zaokrąglą się w duże półkole i tworzyła obszerną zatokę, zakończoną na południowym wschodzie ostrym przylądkiem, którego Pencroff nie zauważył podczas pierwszej wycieczki, gdyż zasłaniał go cypel. Od strony północno-wschodniej zatokę zamykały dwa inne przylądki, a pomiędzy nie wciśnięta była wąska odnoga podobna do na wpół otwartej paszczy olbrzymiego rekina.

Z północnego wschodu w stronę północnego zachodu brzeg zaokrąglął się niczym spłaszczona czaszka zwierzęcia i wznosił się stopniowo aż do wzgórza, pośrodku którego wznosiła się góra wulkaniczna.

Od tego miejsca wybrzeże biegło dość regularnie na północ i południe, przedzielone wąską zatoczką w dwóch trzecich długości, od której zwężało się w długi ogon podobny do ogona olbrzymiego aligatora.

Ogon ten tworzył prawdziwy półwysep, wysunięty na ponad trzydzieści mil w morze, począwszy od południowo-wschodniego przylądka wyspy, o którym już wspomniano, i zaokrąglając się, formował szeroko rozwartą redę⁷⁵ o dziwnie powycinanym wewnętrznym brzegu.

W najwęższym miejscu, to znaczy pomiędzy Kominami a zatoczką na przeciwległym zachodnim brzegu, wyspa mierzyła tylko dziesięć mil. Za to jej długość, od paszczy rekina na północnym wschodzie aż do końca ogona na południowym zachodzie, przekraczała trzydzieści mil.

Wnętrze wyspy miało ogólnie następujący wygląd: cała jej południowa część, od góry aż do wybrzeża, była bardzo lesista, za to północna — sucha i piaszczysta. Pomiedzy wulkanem a wschodnią stroną wybrzeża Cyrus i jego towarzysze odkryli ze zdziwieniem otoczone zielenią jezioro, którego istnienia wcale się nie spodziewali. Widziane z tej wysokości wydawało się położone na równi z poziomem morza, lecz po głębszym namyśle inżynier wytłumaczył swoim towarzyszom, że to małe zwierciadło wody musiało rozpościerać się na wysokości około trzystu stóp, gdyż płaskowyż, na którym się znajdowało, był tylko przedłużeniem wyżyny wybrzeża.

— Zatem woda w tym jeziorze powinna być słodka? — zagadnął Pencroff.

— Oczywiście, gdyż zasilają je wody spływające z góry — odparł inżynier.

— Widzę wpadającą do niego małą rzeczkę — powiedział Harbert, wskazując na wąski strumień, którego źródło musiało znajdować się w którymś z zachodnich bocznych pasm góry.

— Rzeczywiście — powiedział Cyrus. — A ponieważ ten strumień zasila jezioro, zapewne więc od strony morza istnieje odpływ, przez który uchodzi nadmiar wody. Zobaczymy, gdy będziemy wracać.

Ta mała, dość kręta nić wody i znana już wcześniej rzeka stanowiły system wodny wyspy, a przynajmniej tyle z niego widzieli badacze. Całkiem możliwe jednak, że wśród

⁷⁴te same mniej więcej rozmiary, co Malta lub Zante na Morzu Śródziemnym — Malta, wyspa położona na pld. od Sycylii, ma długość 27 km, szerokość 15 km, jej linia brzegowa liczy ok. 140 km, zaś powierzchnia ok. 250 km². Zante, ob. Zakintos, przy zach. wybrzeżu Grecji, ma długość 40 km, szerokość 20 km, ok. 120 km linii brzegowej oraz ok. 400 km² powierzchni. [przypis edytorski]

⁷⁵reda — zwykle: obszar morski znajdujący się przed wejściem do portu; tu: akwen przybrzeżny dogodny do zakotwiczenia. [przypis edytorski]

olbrzymich lasów, które pokrywały dwie trzecie wyspy, biegły do morza jeszcze jakieś inne rzeczułki. A nawet, sądząc po żyzności okolicy i wspaniałych okazach roślinności właściwej strefom umiarkowanym, było to bardzo prawdopodobne. Natomiast w północnej części wyspy nie było śladu płynącej wody; bagnista część na północnym wschodzie posiadała może wodę stojącą, lecz na tym koniec, poza tym same wydmy, piasek, sucha jałowość żywo kontrastująca z bujną żyznością charakteryzującą większość wyspy.

Wulkan nie zajmował środkowej części wyspy. Przeciwnie, wznosił się w części północno-zachodniej i zdawał tworzyć granicę między obiema strefami. W części południowo-zachodniej i południowo-wschodniej dolne zbocza poprzecznych pasm góry ginęły wśród mas zieloności. Natomiast na północy można było ujrzeć ich rozliczne rozgałęzienia, zanikające stopniowo wśród piaszczystej równiny. Z tej właśnie strony w czasach wybuchów wulkanu utorowały sobie drogę potoki lawy, a szerokie pasmo jej zastygłych pokładów ciągnęło się aż do tej wąskiej paszczęki, która w części północno-wschodniej tworzyła zatokę.

Cyrus Smith i jego towarzysze stali na szczycie góry przez blisko godzinę. Przed ich oczyma roztaczała się cała wyspa, niby plan wykonany w płaskorzeźbie z rozmaitymi kolorami, z których zielony oznaczał lasy, żółty — piasek, a błękitny — wodę. Ogarniali ją wzrokiem całą i tylko ta ziemia ukryta pod zielonymi gąszczami, kotliny cienistych dolin i wewnątrz czeluści u stóp wulkanu uszły ich badawczemu spojrzeniu.

Pozostawało jeszcze do rozstrzygnięcia ważne pytanie, które w szczególny sposób miało wpłynąć na przyszły los rozbitków.

Czy wyspa jest zamieszkała?

Pytanie to postawił reporter i wydawało się, że po tak szczegółowym zbadaniu rozmaitych okolic wyspy można już było odpowiedzieć na nie przecząco.

Nigdzie nie było widać śladu ręki ludzkiej. Nigdzie osady, nigdzie samotnego szałasów ani łowiska na wybrzeżu. Nigdzie dym nie wznosił się w niebo i nie zdradzał obecności istot ludzkich. Co prawda prawie trzydzieści mil oddzielało rozbitków od najdalszych krańców wyspy, to znaczy od tego ogona ciągnącego się w kierunku południowo-zachodnim, i nawet oczom Pencroffa trudno by przyszło dostrzec w takim oddaleniu siedliska ludzkie. Nie dało się także podnieść tej zasłony z bujnej zieloności, która pokrywała trzy czwarte wyspy, i przekonać się, czy nie używała schronienia ludzkim osadom. Jednak na ogół mieszkańcy wysp rozsianych po oceanie osiedlają się raczej na wybrzeżach morza, a wybrzeże wydawało się zupełnie bezлюдne.

Aż do bliższego zbadania tej kwestii można było przypuszczać, że wyspa jest niezamieszkała.

Lecz czy była przynajmniej czasami odwiedzana przez mieszkańców sąsiednich wysp? Na to pytanie trudno było odpowiedzieć. W promieniu pięćdziesięciu mil nie było widać żadnej ziemi. Ale pięćdziesiąt mil łatwo mogły przepłynąć i czółna Malajów⁷⁶, i duże pirogi⁷⁷, jakimi się posługują Polinezyjczycy⁷⁸. Wszystko zależało więc od położenia wyspy i od tego, czy była samotna na oceanie, czy też leżała w pobliżu któregoś z archipelagów. Czy Cyrus potrafiłby wyznaczyć jej szerokość i długość geograficzną bez żadnych instrumentów? Byłoby to bardzo trudne. Wobec tej wątpliwości zdawało się właściwe przedsięwziąć pewne środki ostrożności przeciw możliwemu najazdowi dzikich krajowców.

Na tym zakończono badania wyspy, określono jej kształt, rzeźbę terenu, oszacowano rozmiary, rozpoznano jej układ hydrograficzny⁷⁹ i orograficzny. Na mapie reportera w ogólnych zarysach zaznaczono położenie lasów i równin. Nie pozostawało nic, jak tylko zejść z powrotem na dół po stokach góry i zająć się szczegółowym zbadaniem bogactw naturalnych tej ziemi z potrójnego punktu widzenia: zasobów mineralnych, roślinnych i zwierzęcych.

⁷⁶Malajowie — grupa ludów austronezyjskich zamieszkująca Plw. Malajski oraz część Archipelagu Malajskiego, pomiędzy pld.-wsch. Azją a Australią. [przypis edytorski]

⁷⁷piroga — długa łódź rdzennych mieszkańców Ameryki lub Polinezji wykonana z wydrążonego pnia. [przypis edytorski]

⁷⁸Polinezyjczycy — rdzenni mieszkańcy Polinezji, wsch. części Oceanii, czyli wysp na Pacyfiku położonych na wsch. i pln. wsch. od Australii. [przypis edytorski]

⁷⁹układ hydrograficzny — tu: system wodny; od: *hydrografia*, dział geografii zajmujący się opisywaniem stonków wodnych. [przypis edytorski]

Lecz zanim Cyrus Smith dał swoim towarzyszom znak do powrotu, powiedział do nich swym łagodnym i poważnym głosem:

— Oto, przyjaciele, mały skrawek ziemi, na który rzuciła nas ręka Wszechmocnego. Tu mamy żyć, i może długo żyć. A może też przybędzie nam jakaś niespodziewana pomoc, gdyby jakiś statek przypadkiem... Powiadam „przypadkiem”, gdyż wyspa jest mało znacząca, nie ma nawet przystani, do której mogłaby przybić statki; obawiam się, że leży zbyt daleko od uczęszczanych szlaków, to znaczy albo zanadto na południe od szlaku, którym płyną statki odwiedzające archipelagi Pacyfiku, albo też zbyt daleko na północ od szlaku, którym udają się statki w drodze do Australii, okrążając przylądek Horn⁸⁰. Nie chcę bynajmniej zatajać przed wami sytuacji...

— Ma pan słuszość, drogi Cyrusie — odparł żywo reporter. — Ma pan do czynienia z mężczyznami, którzy panu ufają i na których może pan liczyć. Prawda, przyjaciele?

— Będę panu we wszystkim posłuszny, panie Cyrusie — powiedział Harbert, ściskając rękę inżyniera.

— Tyś moim panem zawsze i wszędzie! — zawołał Nab.

— Jeśli chodzi o mnie — powiedział marynarz — niech się nie nazywam Pencroff, gdybym kiedykolwiek miał się uchylać od pracy, i jeśli pan sobie tego życzy, panie Smith, zrobimy z tej wyspy małą Amerykę! Pobudujemy w niej miasta, przeprowadzimy linie kolejowe, założymy telegrafy; a pewnego pięknego poranka, gdy już będzie wyglądać jak należy, zagospodarowana, ucywilizowana, подарujemy ją rządowi Stanów Zjednoczonych! Sam proszę tylko o jedno.

— Cóż takiego? — zapytał reporter.

— O to, żebyśmy się już nie uważali za rozbitków, lecz za kolonistów, którzy przybyli osiedlić się na tej wyspie!

Cyrus Smith nie mógł powstrzymać lekkiego uśmiechu i wnioski marynarza zostały przyjęte. Po czym inżynier podziękował swoim towarzyszom za ich zaufanie i dodał, że liczy na ich energię i na pomoc nieba.

— A teraz wracamy do Kominów! — zawołał Pencroff.

— Chwilkę jeszcze cierpliwości, moi przyjaciele — powiedział inżynier. — Moim zdaniem należałoby nadać jakąś nazwę tej wyspie, podobnie jak jej przylądkom, zatokom i strumieniom, które mamy przed oczyma.

— Bardzo dobrze — powiedział reporter. — To nam na przyszłość ułatwi porozumiewanie się między sobą co do miejsc.

— Istotnie — powiedział marynarz. — To już coś, jeśli można powiedzieć, dokąd się idzie lub skąd przychodzi. Wtedy się wie przynajmniej, że się gdzieś jest.

— W Kominach na przykład — powiedział Harbert.

— Właśnie! — odparł Pencroff. — Z tą nazwą już nam było wygodniej, a przecież sama mi przyszła do głowy. Czy zachowamy dla naszej pierwszej siedziby nazwę Kominów, panie Cyrusie?

— Tak, Pencroffie, skoro tak ją nazwaliście.

— Świetnie! Z innymi miejscami pójdzie łatwo — ciągnął z werwą marynarz. — Ponazywajmy je tak, jak to czynili Robinsonowie, o których Harbert czytał mi tyle historii: „Zatoka Opatrzności”, „Przylądek Kaszalotów”, „Przylądek Zawiedzionej Nadziei”...

— Albo lepiej imionami pana Smitha, pana Spiletta, Naba... — zaproponował Harbert.

— Moim imieniem! — zawołał Nab, wyszczerzając swe białe lśniące zęby.

— Czemu nie? — odparł Pencroff. — „Port Naba” brzmi świetnie! Albo „Przylądek Gedeona”...

— Wolalbym nazwy zapożyczone z naszej ojczyzny — powiedział reporter — przypominałyby nam Amerykę.

— Tak, zgadzam się z tym — odezwał się Cyrus Smith — ale tylko co do głównych miejsc, na przykład zatok lub jezior. Nazwijmy na przykład tę dużą zatokę na wschodzie Zatoką Stanów Zjednoczonych, to szerokie wcięcie na południu Zatoką Waszyngtona, górę, na której obecnie stoimy, Górą Franklina, jezioro, które się przed nami rozpościera, Jeziorem Granta, nic lepszego, moi przyjaciele. Te nazwy przypominać nam będą naszą

⁸⁰przylądek Horn — najbardziej na pld. wysunięty przylądek Ameryki Płd. [przypis edytorski]

ojczyznę i naszych wielkich współobywateli, którzy ją wslawili; ale dla rzek, przystani i przylądków, które stąd widzimy, wybierzmy raczej nazwy, które by nam przypominały ich charakterystyczny kształt. Nazwy takie łatwiej zapadną nam w pamięć, a zarazem będą praktyczniejsze. Kształt samej wyspy jest zbyt dziwaczny, żebyśmy mogli dać jej jakąś obrazową nazwę. Co do potoków, których jeszcze nie znamy, rozmaitych części lasu, które zwiedzimy później, zatoczek, które poodkrywamy w przyszłości, będziemy je nazywać w miarę, jak je będziemy poznawali. Zgoda, przyjaciele?

Wniosek inżyniera został jednomyślnie przyjęty. Przed ich oczyma leżała cała wyspa, jak rozwinięta mapa. Pozostawało tylko pooznaczać nazwami wszystkie wypukłości i wklęsłości konturu, wszystkie zagłębienia i wzniesienia terenu. Gedeon Spilett miał spisywać po kolei wszystkie nazwy i w ten sposób miało powstać całe nazewnictwo geograficzne wyspy.

Najpierw nazwano Zatoką Stanów Zjednoczonych, Zatoką Waszyngtona i Górą Franklina obie zatoki i górę, zgodnie z propozycją inżyniera.

— A teraz — ozwał się reporter — proponowałbym nazwać ten półwysep, który się ciągnie wzdłuż południowo-zachodniej części wyspy, Półwyspem Wężowym, a zakręcony ogon na jego końcu Jaszczurczym Cyplem, bo naprawdę wygląda jak ogon jaszczurki.

— Zgoda — powiedział inżynier.

— Teraz drugi koniec wyspy — powiedział Harbert. — Tę zatokę, która tak dziwnie przypomina rozwartą paszczę, nazwijmy Zatoką Rekinów.

— Znakomicie! — zawołał Pencroff. — Do kompletu nazwijmy obie części tej paszczy Przylądkiem Szczęki.

— Ależ tam są dwa przylądki — zauważył reporter.

— No cóż — odparł Pencroff — będziemy mieli Północny Przylądek Szczęki i Południowy Przylądek Szczęki.

— Zanotowałem — powiedział Gedeon Spilett.

— Pozostaje jeszcze nazwać cypel na południowo-wschodnim krańcu wyspy — powiedział Pencroff.

— To znaczy zakończenie Zatoki Stanów Zjednoczonych? — zapytał Harbert.

— Przylądek Szponu! — zawołał w tej chwili Nab, który chciał także zostać chrześnym ojcem jakiegoś kawałka swej nowej ojczyzny.

Nabowi udało się znaleźć rzeczywiście doskonałą nazwę, przylądek wyglądał bowiem całkiem jak olbrzymie szpony fantastycznego zwierzęcia, którego obrazem była ta dziwnego kształtu wyspa.

Pencroff nie posiadał się z radości, że wszystko szło tak dobrze, i wkrótce z podnieconych wyobraźni wyspiarzy wysnuły się następujące nazwy:

Rzekę, która dostarczała kolonistom wody do picia i niedaleko której spadł balon, nazwano Rzeką Dziękczynienia — w akcie podziękowań dla Opatrzności.

Wysepkę, na której najpierw wylądowali, nazwali Wysepką Wybawienia.

Plaskowicz rozpościerający się na szczycie granitowej ściany, ponad Kominami, skąd był widok na dużą zatokę, ochrzczili mianem Plaskowiczu Pięknego Widoku.

Wreszcie cały kompleks nieprzebranych lasów pokrywający Półwysep Wężowy nazwano Lasem Dalekiego Zachodu.

Na tym zakończono nadawanie nazw widzianych i znanym częściom wyspy, a resztę nazw miano uzupełniać w miarę nowych odkryć.

Jeśli chodzi o orientację wyspy, inżynier ustalił ją w przybliżeniu, na podstawie wysokości i położenia słońca, z których wynikało, że Zatoka Stanów Zjednoczonych i Plaskowicz Pięknego Widoku leżą na wschodzie. Nazajutrz jednak Cyrus spodziewał się, ustalwszy najpierw dokładną godzinę wschodu i zachodu słońca, a następnie zmierzwszy jego położenie w połowie czasu między wschodem a zachodem, oznaczy dokładnie północ wyspy, gdyż wyspa leżała na półkuli południowej, a zatem słońce w momencie kulminacji przechodziło przez punkt na północy, a nie południu, jak to w pozornym ruchu zdaje się robić w krajach położonych na półkuli północnej.

Wszystko było już ukończony i wyspiarze mieli właśnie zacząć schodzić z Góry Franklina i wracać do Kominów, gdy nagle Pencroff zawołał:

— Ależ z nas roztrzępańcy!

— A to czemu? — zapytał Gedeon Spilett, który właśnie schował swój notes, gotów do drogi.

— A nasza wyspa? Przecież zapomnieliśmy ją nazwać!

Harbert zaproponował, aby nazwać ją nazwiskiem inżyniera, a reszta kolegów bez wątpienia przyklasnęła temu wnioskowi, gdyby nie odezwał się Cyrus Smith:

— Nazwijmy ją imieniem wielkiego naszego obywatela, który walczy właśnie w obronie jedności amerykańskiej! Nazwijmy ją Wyspą Lincoln⁸¹!

Trzy głośne „hurra!” odpowiedziały na propozycję inżyniera.

Tego wieczora, zanim ułożyli się do snu, nowi koloniści rozmawiali o swej dalekiej ojczyźnie. Rozmawiali o tej straszliwej wojnie, która ją zalała potokami krwi; wierzyli silnie, że stany południowe wkrótce zostaną pokonane, a sprawa Północy, sprawa święta i sprawiedliwa, dzięki Grantowi i Lincolnowi odniesie tryumf.

Działo się to 30 marca 1865 roku i rozbitkowie nie domyślali się wcale, że w szesnaście dni później miała się spełnić w Waszyngtonie straszliwa zbrodnia i że w sam Wielki Piątek Abraham Lincoln miał zginąć od kuli dzikiego fanatyka....

ROZDZIAŁ XII

Regulowanie zegarków. — Pencroff zadowolony. — Podejrzany dym. — Czerwony Potok. — Świat roślinny na Wyspie Lincoln. — Świat zwierzęcy. — Górskie bażanty. — Pogoń za kangurami. — Aguti. — Jezioro Granta. — Powrót do Kominów.

Koloniści Wyspy Lincoln rzucili jeszcze ostatnie spojrzenie dokoła, po czym obeszli krater po wąskim grzbiecie, znaleźli się w pół godziny później z powrotem na szczycie niższego stożka, przy nocnym obozowisku.

Pencroff sądził, że była już pora na śniadanie i z tego powodu poruszył sprawę uregulowania zegarków należących do Cyrusa Smitha i reportera.

Zegarek Gedeona Spiletta, jak wiadomo, pozostał nietknięty wodą morską, gdyż reporter pierwszy został wyrzucony na piasek, poza zasięg fal. Był to instrument doskonałej konstrukcji, prawdziwy chronometr⁸² kieszonkowy, którego Gedeon Spilett nigdy nie zapominał codziennie starannie nakręcić.

Natomiast zegarek inżyniera oczywiście stanął, kiedy Cyrus Smith leżał wśród piaszczystych wydm.

Cyrus nakręcił go więc i sądząc z wysokości słońca, że jest około dziewiątej rano, nastawił wskazówki na tę godzinę.

Gedeon Spilett chciał zrobić to samo, lecz inżynier przytrzymał go za rękę i powiedział:

— Nie, niech pan zaczeka, drogi przyjacielu. Pański zegarek chodzi nadal według czasu Richmond, prawda?

— Tak jest, Cyrusie.

— A zatem nastawiony jest według południka tego miasta, mniej więcej tego samego, który przechodzi przez Waszyngton?

— Bez wątpienia.

— Niech więc pan pozostawi swój zegarek na tej godzinie, którą teraz wskazuje. Niech pan go bardzo regularnie nakręca, ale nie przesuwa wskazówek. To nam się może przydać.

„Na co u licha?” — pomyślał marynarz.

Po czym zabrali się do jedzenia i to z takim apetytem, że resztki zwierzyny i surowych orzeszków zniknęły do szczętu. Pencroff nie wcale się tym nie przejmował. Spodziewał

⁸¹*Lincoln, Abraham* (1809–1865) — amer. prawnik i polityk, prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki, przeciwnik niewolnictwa. Za jego prezydentury wojska konfederackie zaatakowały i zajęły Fort Sumter w Karolinie Południowej (12 IV 1861), co uznaje się za początek wojny secesyjnej. Proklamował zniesienie niewolnictwa na terenach Konfederacji (1863), popierał poprawkę do konstytucji znoszącą niewolnictwo (przyjęta w 1865). Był pierwszym prezydentem USA, który zginął z ręki zamachowca: 14 kwietnia 1865, 5 dni po kapitulacji armii konfederatów pod wodzą gen. Lee pod Appomattox, został śmiertelnie postrzelony w teatrze przez fanatycznego zwolennika Południa. [przypis edytorski]

⁸²*chronometr* — bardzo dokładny zegar, stosowany w nawigacji, astronomii itp.; daw.: zegarek kieszonkowy. [przypis edytorski]

się zebrać po drodze nowe zapasy żywności i nie wątpił, że Top, który także otrzymał swą porcję, wyszuka w gąszczu leśnym nową zwierzynę. Zresztą zamierzał po prostu poprosić inżyniera, żeby wyprodukował proch i kilka strzelb, nie przypuszczając, aby to mogło sprawić mu większe trudności.

Gdy schodzili z tarasu niższego stożka, Cyrus zaproponował, aby wracać do Kominów inną drogą. Ciekaw był poznać z bliska Jezioro Granta, ujęte w tak wspaniałe ramy z zielonych drzew. Poszli więc grzbietem jednego z pobocznych pasm, spomiędzy których musiało prawdopodobnie wytryskiwać źródło potoku wpadającego do jeziora. W rozmowie koloniści używali już tylko świeżo przyjętych nazw, co znacznie ułatwiało wzajemne porozumiewanie się. Harbert i Pencroff — jeden młody, a drugi spontaniczny jak dziecko — nie posiadali się z radości i uniesienia. Marynarz powiedział:

— Hej, Harbercie! Jak świetnie idzie! Nie możemy zablądzić, mój chłopcze, bo czy pójdziemy drogą na Jezioro Granta, czy też przez Lasy Dalekiego Zachodu do Rzeki Dziękczynnej, zawsze dojdziemy w końcu do Płaskowizny Pięknego Widoku, a tym samym do Zatoki Stanów Zjednoczonych.

Postanowili nie iść jedną gromadą, ale też nie oddalać się zbyt daleko od siebie. Z pewnością w gęstych lasach mieszkwały niebezpieczne zwierzęta, roztropność więc nakazywała mieć się na baczności. Najczęściej Pencroff, Harbert i Nab stanowili straż przednią, przed nimi biegł Top, myszkuje po wszystkich krzakach. Reporter z inżynierem szli razem, Gedeon Spilett z notatnikiem w pogotowiu, inżynier milczący, zbacał tylko czasem z drogi, aby podnieść to czy owo, jakiś okaz mineralny lub roślinny, które chował do kieszeni, nic jednak przy tym nie mówiąc.

— Co on u licha tak zbiera? — mruczał pod nosem marynarz. — Ja przecież też patrzę, a nie widzę nic takiego, po co warto by się było schylać.

Około dziesiątej drużyna schodziła z ostatnich pagórków, stanowiących podnóże Góry Franklina. Rosły tu tylko krzaki i z rzadka porozrzucane drzewa. Szli po żółtawej, spalonej ziemi tworzącej równinę długości około mili, sięgającą do samego krańca lasu. Tu i ówdzie na równinie leżały olbrzymie bryły bazaltowe, które według badań Bischofa⁸³ potrzebowały trzysta pięćdziesiąt milionów lat, aby się oziębici. Nigdzie jednak nie widać było śladów lawy, która spłynęła głównie północnymi zboczami.

Cyrus Smith sądził, że bez żadnych wypadków dotrą do potoku, który jego zdaniem powinien płynąć pod drzewami na skraju równiny, gdy wtem zobaczył, że Harbert biegnie z powrotem, podczas gdy Nab i marynarz ukryli się za skały.

— Co się stało, mój chłopcze? — zapytał Gedeon Spilett.

— Dym!... — odparł Harbert. — Zobaczyliśmy dym wznoszący się między skałami, o sto kroków od nas.

— Czyżby ludzie? — zapytał reporter.

— Nie pokazujemy się, dopóki się nie dowiemy, z kim mamy do czynienia — powiedział Cyrus Smith. — Bardziej obawiałbym się tubylców, jeśli są na wyspie, niż życzył sobie spotkania z nimi. Gdzie Top?

— Pobiegnął przodem.

— Nie szczeka?

— Nie.

— To dziwne. Ale spróbuję go przywołać.

W kilka minut później inżynier, Gedeon Spilett i Harbert dołączyli do pozostałych towarzyszy i tak samo jak oni ukryli się za bryły bazaltowe.

Stąd ujrzeli wyraźnie unoszący się kłębammi w powietrze dym o bardzo charakterystycznym żółtawym kolorze. Top powrócił na ciche gwizdnięcie swojego pana, a inżynier, dawszy towarzyszom znak, aby czekali na niego, podkraść się chyłkiem między skały.

Koloniści znieruchomieli i z pewnym niepokojem oczekiwali wyniku zwiadu, kiedy nagle usłyszeli wołanie Cyrusa. Podbiegli do niego i poczuli przede wszystkim bardzo ostry i nieprzyjemny zapach roztaczający się w powietrzu.

⁸³Bischof, *Karl Gustav* (1792–1870) — niemiecki chemik i geolog; zapoczątkował geochemię, był autorem fundamentalnej pracy *Lehrbuch der chemischen und physikalischen Geologie* (Podręcznik geologii chemicznej i fizycznej, 1847–1854); badał m.in. czas stygnięcia kul roztopionego bazaltu, szacując na tej podstawie wiek Ziemi na 350 mln lat. [przypis edytorski]

Ten łatwy do zrozumienia zapach wystarczył inżynierowi, aby domyśleć się, skąd pochodził dym, który go początkowo nie bez przyczyny zaniepokoił.

— Ten ogień — powiedział — a raczej dym jest wytworem samej przyrody. Pochodzi ze źródła siarczanego, które dostarczy nam skutecznego lekarstwa na wszystkie choroby gardła i płuc.

— Doskonale! — zawołał Pencroff. — Jaka szkoda, że nie mam kataru!

Koloniści udali się na miejsce, skąd się wznosił dym. Tu ujrzeli źródło siarczanowe, wypływające dość obficie między skałami, którego wody po wchłonięciu tlenu z atmosfery wydawały silną woń siarkowodoru.

Cyrus Smith, zanurzwszy rękę, poczuł, że woda była dość oleista, a skosztowawszy jej, przekonał się, że miała słodkawy smak. Jej temperaturę ocenił na mniej więcej dziewięćdziesiąt pięć stopni Fahrenheita⁸⁴, a zapytany przez Harberta, jak to ustalił, odparł:

— To całkiem proste, mój chłopcze. Zanurzyłem dłoń w wodę i nie poczułem ani zimna, ani ciepła. To dowodzi że ma ona tę samą temperaturę, co ciało ludzkie, to jest mniej więcej dziewięćdziesiąt pięć stopni.

Ponieważ w tej chwili ze źródła siarczanego nie mieli żadnego pożytku, porzucili je i skierowali się w stronę gęstego lasu rozpoczynającego się o kilkaset kroków dalej.

Tutaj, jak się słusznie domyślał inżynier, płynął potok, tocząc swoje wartkie, kryształowe wody pomiędzy wysokimi brzegami z czerwonej ziemi, której kolor zdradzał wyraźnie, iż zawierała w sobie tlenek żelaza. Z tego powodu nazwali zaraz ten strumień Czerwonym Potokiem.

Był to szeroki strumień, głęboki i przezroczysty, zasilany górkimi wodami, który miejscami pełną leniwie po piasku jak rzeczka, a miejscami hucząc po skałach i spadając w kaskadach jak górski potok, płynął do jeziora wstęgą długą na milę, a szeroką na trzydzieści do czterdziestu stóp. Woda w nim była słodka, co pozwalało przypuszczać, że taka sama była w jeziorze. Stanowiło to nader pomyślną okoliczność, na wypadek gdyby nad jego brzegami udało im się znaleźć lepsze miejsce do zamieszkania niż w Kominach.

Drzewa, które o kilkaset stóp poniżej ocieniały z obu stron brzegi strumienia, należały do gatunków bardzo rozpowszechnionych w umiarkowanej strefie Australii i Tasmanii. Nie były to drzewa iglaste, które rosły na znanej już kolonistom części wyspy, o kilka mil od Płaskowyzu Pięknego Widoku. O tej porze roku, z początkiem kwietnia, który na tej półkuli świata odpowiada październikowi, a zatem na początku jesieni, nie były one jeszcze огоłoczone z liści. Były tam zwłaszcza kazuaryny⁸⁵ i eukaliptusy⁸⁶, a niektóre z nich dawały na wiosnę słodką mannę⁸⁷, zupełnie podobną do manny ze Wschodu. Grupy cedrów australijskich⁸⁸ rosły na polankach porośniętych były wysoką trawą, zwaną w Nowej Holandii⁸⁹ *tussac*. Wydawało się jednak, że nie ma tu wcale drzew kokosowych, tak obficie rosnących na archipelagach Pacyfiku; widocznie wyspa leżała zbyt daleko od równika.

— Jaka szkoda! — powiedział Harbert. — Takie użyteczne drzewa i rodzą takie wspaniałe orzechy!

Między stosunkowo rzadkimi gałęziami eukaliptusów i kazuaryn gnieździły się rozmaite rodzaje ptaków, swobodnie używając między nimi skrzydeł. Czarne, białe i popielate

⁸⁴*dziewięćdziesiąt pięć stopni Fahrenheita* — przybliżona średnia temperatura ludzkiego ciała w skali zaproponowanej przez niemieckiego inżyniera i fizyka z Gdańska, Daniela Gabriela Fahrenheita (1686–1736), używanej w Wlk. Brytanii i daw. koloniach brytyjskich do połowy XX wieku. W pierwotnej wersji tej skali temperatura ludzkiego ciała wynosiła 96°F, w zmodyfikowanej: 98,6°F. [przypis edytorski]

⁸⁵*kazuaryna* a. *rzeumia* (biol.) — rodzaj drzew i krzewów z suchych terenów pld. Azji i Australii, charakteryzujący się bardzo twardymi liśćmi przypominającymi igły sosny; uznawane za najlepsze drewno opałowe na świecie. [przypis edytorski]

⁸⁶*eukaliptus* (biol.) — rodzaj drzew i krzewów o wiecznie zielonych, skórzastych liściach, pochodzących z Australii, Nowej Gwinei i pld.-wsch. Indonezji. [przypis edytorski]

⁸⁷*manna* — jadalne grudki słodkiego soku wydzielanego na powierzchni uszkodzonych pędów krzewów i drzew, szczególnie tamaryszkowych z Bliskiego Wschodu. [przypis edytorski]

⁸⁸*cedr [czerwony] australijski* (fr. *cedre rouge d'Australie*) — fr. nazwa potoczna liściastego drzewa *Toona ciliata* z rodziny meliowatych, rosnącego lasach deszczowych pld. Azji i Australii. Jego czerwone, łatwe do obróbki drewno wykorzystuje się do produkcji mebli. [przypis edytorski]

⁸⁹*Nowa Holandia* — daw. nazwa Australii, w 1644 nadana zach. wybrzeżu tego kontynentu przez holenderskiego odkrywcę Abła Tasmana; używana do poł. XIX wieku. [przypis edytorski]

kakadu, papugi rozmaitego gatunku i upierzenia, zielone, czerwone i modre, ukazywały się oczom wędrowców jakby widziane przez pryzmat i wśród głośnego pisku i szczebiotania skakały z gałęzi na gałąź.

Nagle w gęstwinie zabrzmiał dziwny koncert przeraźliwych, poplątanych tonów. Koloniści usłyszeli po kolei śpiewanie ptaków, głosy czworonożnych zwierząt i rodzaj bełkotania, które łatwo można było wziąć za mowę dzikich ludzi. Nab i Harbert, zwołując o głównych zasadach ostrożności, rzucili się w te krzaki. Na szczęście nie było tam ani drapieżnych zwierząt, ani dzikich ludzi, lecz tylko z pół tuzina ptaków, które razem śpiewały i naśladowały rozmaite dźwięki; poznali od razu, że były to „górskie bażanty”. Kilka celnych uderzeń kosturami zakończyło tę scenę naśladownictwa i dostarczyło naszym podróżnym parę sztuk doskonałego jedzenia na wieczorny posiłek.

Harbert spostrzegł także piękne gołębie z brązowymi skrzydłami, jedne ze wspaniałymi czubami, inne z zielonym upierzeniem, podobne do swoich pobratymców z Port Macquarie⁹⁰; lecz nie dało się ich podejść z bliska. Tę samą trudność sprawiało osiągnięcie kruków i srok, które zrywały się całymi gromadami. Jeden ładunek śrutu spowodowałby wśród nich wielką rzeź, lecz cała broń miotana naszych myśliwych składała się z kamieni, a broń sieczna z kijów, była więc zbyt prymitywna, żeby była skuteczna.

Niedostatki broni ukazały się jeszcze dobitniej, gdy nagle susami przemknęło stado czworonogów, skacząc po trzydzięci stóp, istne ssaki latające, tak szybko i w tak wysokich podskokach, że wyglądały jak wiewiórki przeskakujące z drzewa na drzewo.

— To kangury! — zawołał Harbert.

— A można je jeść? — zapytał Pencroff.

— Przyprawione we właściwy sposób są lepsze niż najlepsza dziczyzna — odparł reporter.

Zanim jeszcze Gedeon Spilett dokończył tych pełnych zachęty słów, marynarz, Nab i Harbert puścili się w pogoń za kangurami. Cyrus Smith wołał ich, ale na próżno. Lecz na próżno także zapaleni łowcy gonili tę zwierzynę, szybką i odskakującą od ziemi jak piłka. Po pięciu minutach zadyszeli się, a stado zniknęło w gęstwinie. Top również nie miał więcej szczęścia od swoich panów.

— Panie Cyrusie — powiedział Pencroff, gdy inżynier i reporter dołączyli do nich — panie Cyrusie, sam pan widzi, że koniecznie potrzebujemy strzelb. Czy dałoby się to zrobić?

— Może — odparł inżynier — ale na razie zaczniemy od wytwarzania łuków i strzał, a nie wątpię, że wkrótce będzie się pan z tą bronią obchodzić równie zręcznie jak myśliwi australijscy.

— Łuki, strzały! — powiedział Pencroff pogardliwie. — To zabawki dobre dla dzieci!

— Nie należy ich lekceważyć, panie Pencroff — odparł reporter. — Łuki i strzały przez całe wieki służyły do przelewania krwi. Proch istnieje dopiero od niedawna, a wojny są tak stare jak rodzaj ludzki, niestety.

— Na honor, ma pan słuszność, panie Spilett — powiedział marynarz. — Ja zawsze coś powiem, nim się zastanowię. Proszę wybaczyć.

Tymczasem Harbert, zapalony miłośnik przyrody, ponownie skierował rozmowę na kangury, mówiąc:

— Mielśmy zresztą do czynienia z gatunkiem kangurów, które najtrudniej jest schwytać. To były istne olbrzymy, z długą popielatą sierścią. Lecz jeśli się nie mylę, istnieją jeszcze kangury czarne i rude, kangury skalne i kanguroszcury⁹¹, które łatwiej schwytać. Jest ich ze dwanaście gatunków...

— Harbercie — odparł marynarz sentencjonalnie — dla mnie istnieje tylko jeden rodzaj: kangury pieczone, a właśnie tego rodzaju będzie nam dziś wieczorem brakować.

Wszyscy parsknęli śmiechem na tę nową klasyfikację pana Pencroffa. Dzielny marynarz nie ukrywał bynajmniej swego niezadowolenia, widząc, że będzie musiał się za-

⁹⁰Port Macquarie — miasto portowe w stanie Nowa Południowa Walia w Australii, u ujścia rz. Hastings do Pacyfiku; daw. kolonia karna, od 1830 udostępnione osadnikom. [przypis edytorski]

⁹¹kanguroszcury (biol.) — rodzina australijskich torbaczy spokrewnionych z kangurami, mierzących ok. 30–40 cm długości; niegdyś liczne na całym kontynencie, ob. występują tylko na pld. wybrzeżach. [przypis edytorski]

dowolić na obiad tylko bażantami; lecz tego dnia szczęście miało się do niego jeszcze uśmiechnąć.

Top, jakby przeczuwając, że w grę wchodzi jego własny interes, biegał i myszkował z instynktem zdwojonym przez wściekły apetyt. Bardzo możliwe nawet, że gdyby jakaś zwierzyna wpadła mu w łapy, niewiele pozostałoby z niej dla myśliwych. Top polował tym razem na własny rachunek, lecz Nab czuwał nad nim i dobrze zrobił.

Około trzeciej pies zniknął w zaroślach i wkrótce przygłuszony warkot dał znać myśliwym, że toczy walkę z jakimś zwierzęciem.

Nab pobiegł w tę stronę i rzeczywiście zobaczył Topa, który z wielką żarłocznością zajadał jakiegoś czworonoga; dziesięć sekund później nie dałoby się już rozróżnić, do jakiego rodzaju należało to zwierzę. Na szczęście pies trafił widać na całe gniazdo i zaatakował od razu trzy sztuki, z czego dwa gryzonie — gdyż do tego rzędu należały zwierzęta — leżały uduszone na ziemi.

Wkrótce pojawił się Nab, tryumfalnie niosąc w każdej ręce po jednym gryzoniu, większym od zajęcia. Miały żółte futerka upstrzone zielonawymi plamami oraz szczątkowe ogony.

Obywatele Stanów Zjednoczonych ani przez chwilę nie mieli kłopotu, jak nazywać te zwierzątka. Były to mary⁹², zwierzęta podobne do aguti⁹³, ale trochę większe od swoich pobratymców z krajów tropikalnych, amerykańskie króliki, o długich uszach i pyszczkach uzbrojonych w pięć trzonowych zębów po każdej stronie, co głównie odróżnia je od aguti.

— Hura! — zawołał Pencroff. — Otóż mamy pieczone! Teraz możemy wracać do domu!

Po tej krótkiej przerwie ruszono dalej w drogę. Czerwony Potok toczył bezustannie swe kryształowe wody pod sklepieniem z kazuaryn, banksji⁹⁴ i olbrzymich drzew gumowych⁹⁵. Wspaniałe rośliny liliowate wyrastały na dwadzieścia stóp. Inne gatunki nieznanymi młodocianemu przyrodnikowi drzew i krzewów pochylały się nad strumieniem szemrzącym wśród zieleni leśnej.

Koryto potoku z każdym krokiem rozszerzało się i Cyrus spodziewał się dojść wkrótce do ujścia. Istotnie, przedarłszy się przez gęstą grupę wspaniałych drzew, znaleźli się nagle nad brzegiem jeziora.

Był to północny brzeg Jeziora Granta. Okolice była godna podziwu. Tafla wody, licząca około siedem mil obwodu, a dwieście pięćdziesiąt akrów⁹⁶ powierzchni, obramowana była rozmaitymi drzewami. Na wschodzie przez zasłonę zieleni, malowniczo miejscami uniesioną, przeblyskiwało zwierciadło morza. Na północy brzegi jeziora tworzyły lekko zaokrąglony łuk, silnie kontrastujący z ostrymi liniami wewnętrznych krawędzi. Liczne ptaki wodne tłoczyły się u brzegów tego małego Ontario⁹⁷, a „tysiąc wysp”, z których słynie jego amerykański imiennik, reprezentowała tutaj skała stercząca ponad powierzchnią wody o kilkaset stóp od południowego brzegu. Na skale żyło w sąsiedzkiej zgodzie kilka rodzin zimorodków. Siedziały poważnie i nieruchomo na kamieniach, czatując na przepływające ryby, nagle zrywały się z ostrym krzykiem, zanurzały się w wodę i po chwili wypływały na wierzch, unosząc w dziobach zdobycz.

Tu i ówdzie, po brzegach i na wysepce, rozsiadły się dumnie dzikie kaczki, pelikany, kurki wodne, miodojady⁹⁸ z jęczykami jak pędzle i kilka wspaniałych lirogonów⁹⁹, których ogon układa się wdzięcznie w kształt liry.

⁹² *mara* (biol.) — rodzaj dużych roślinożernych gryzoni zamieszkujących Amerykę Płd., obejmujący dwa gatunki: mara patagońska (*Dolichotis patagonum*) oraz mara solniskowa (*Dolichotis salinicola*). [przypis edytorski]

⁹³ *aguti* (biol.) — rodzaj roślinożernych gryzoni, żyjących w Ameryce Płd. i Środkowej; rodzina agutiowatych razem z m.in. rodziną marowatych należy do jednego infrarzędu jeżozwierzkształtnych w rzędzie gryzoni. [przypis edytorski]

⁹⁴ *banksja*, łac. *Banksia* (biol.) — rodzaj wiecznie zielonych drzew i krzewów z Australii. [przypis edytorski]

⁹⁵ *drzewo gumowe*, właśc. *figowiec sprężysty*, *Ficus elastica* (biol.) — wiecznie zielone drzewo z płd.-wsch. Azji, uprawiane jako źródło naturalnego kauczuku. [przypis edytorski]

⁹⁶ *akr* — anglosaska miara powierzchni gruntów; 250 akrów to ok. 100 hektarów. [przypis edytorski]

⁹⁷ *Ontario* — jezioro na pograniczu Kanady i Stanów Zjednoczonych, najmniejsze i wysunięte najdalej na wschód w kompleksie pięciu Wielkich Jezior Ameryki Północnej. [przypis edytorski]

⁹⁸ *miodojady* (biol.) — rodzina ptaków z rzędu wróblowych, występujących w Australii, na Nowej Gwince i wyspach Pacyfiku, żywiących się nektarem, owadami i owocami. [przypis edytorski]

⁹⁹ *lirogony* (biol.) — rodzina ptaków z rzędu wróblowych, żyjących w Australii, mających charakterystyczny długi, ozdobny ogon i potrafiących naśladować różne dźwięki. [przypis edytorski]

Woda jeziora była słodka, przezroczysta, nieco ciemnawa i sądząc po wypływających na wierzch pęcherzykach powietrza i koncentrycznych kręgach na powierzchni, musiało w nim być pełno ryb.

— Zaiste, przesłiczne jezioro — odezwał się Gedeon Spilett. — Dobrze byłoby mieszkać nad jego brzegami.

— Będziemy tu mieszkali! — odparł Cyrus Smith.

Chcąc wrócić do Kominów najkrótszą drogą, koloniści doszli do kąta, jaki tworzyły wygięte brzegi jeziora na południu. Nie bez trudności torowali sobie drogę wśród krzaków i zarośli, nietkniętych jeszcze nigdy ręką ludzką, i skierowali się ku wybrzeżu, tak aby wyjść na północną stronę Płaskowyżu Pięknego Widoku. Przeszli dwie mile w tym kierunku, a gdy minęli ostatnie grupy drzew, ich oczom ukazało pokryte gęstą trawą wzniesienie, a dalej za nim — bezkresne morze.

Ażeby dostać się do Kominów trzeba było przejść około mili na ukos przez płaskowzgórze aż do pierwszego zakrętu Rzeki Dziękczynienia. Inżynier chciał się jednak przekonać, w jaki sposób i którędy odpływają wody z jeziora, ruszyli więc dalej między drzewa, półtorej mili na północ. Bez wątplenia musiał gdzieś istnieć przelew wody, prawdopodobnie przez jakieś wyszczerbienie w skale. Jezioro było w rzeczywistości tylko wielką niecką, która stopniowo wypełniła się wodą z potoku, nadmiar wody musiał zatem uchodzić jakąś szczeliną do morza. W takim razie, jak mniemał inżynier, można by było wykorzystać ten odpływ wody i siłę jej prądu, która inaczej marnowałaby się bezużytecznie. Szli zatem dalej wzdłuż brzegu jeziora, wchodząc na płaskowyż, lecz pomimo że uszli jeszcze całą milę w tym kierunku, Cyrus Smith nie mógł znaleźć odpływu, który przecież musiał gdzieś istnieć.

Było wpół do piątej. Przygotowania do obiadu wymagały powrotu do Kominów. Drużyna zawróciła więc i idąc lewym brzegiem Rzeki Dziękczynienia, Cyrus Smith ze swoimi towarzyszami doszli do Kominów.

Rozpalono ogień, a Nabowi i Pencroffowi powierzono funkcje kucharzy. Obaj, pierwszy jako Murzyn, drugi jako marynarz, czuli do tego powołanie. Nie bawiąc się długo, sporządzili pieczeń z aguti i całe towarzystwo uraczyło się do syta.

Po jedzeniu, gdy się już udawano na spoczynek, Cyrus Smith wyjął z kieszeni kilka próbek różnych minerałów i powiedział krótko:

— Przyjaciele, tu mamy żelazo, tu piryty¹⁰⁰, tu glinę, tu wapno, a tu węgiel. Oto co nam daje przyroda i to jest jej udział we wspólnej pracy. Jutro przyjdzie kolej na nas!

ROZDZIAŁ XIII

Co Top ma na sobie. — Wyrób luków i strzał. — Cegielnia. — Piec garncarski. — Rozmaite naczynia kuchenne. — Pierwszy rosół i pierwsza sztuka mięsa. — Piołun. — Krzyż Południa. — Ważna obserwacja astronomiczna.

— No cóż, panie Cyrusie, od czego zaczniemy? — zagadnął nazajutrz rano Pencroff inżyniera.

— Zaczniemy od początku — odparł Cyrus Smith.

I rzeczywiście koloniści musieli zacząć „od początku”. Nie mieli nawet narzędzi potrzebnych do wyrobu innych narzędzi i nie znajdowali się nawet w tych warunkach, co przyroda, która „mając pod dostatkiem czasu, oszczędza przez to trudu”. Brakło im czasu, gdyż potrzeby życia musieli zaspokajać niezwłocznie, a chociaż korzystając z doświadczenia innych, nie potrzebowali niczego wynajdować od nowa, to jednak musieli wszystko na nowo wytwarzać. Ich żelazo i stal miały jeszcze postać rudy, ich naczynia były nadal glina, ich płótna i ubrania — surowymi włóknami.

Trzeba tu jednak dodać, że koloniści nasi byli ludźmi w najpiękniejszym i najpełniejszym tego znaczeniu słowa. Inżynier Smith nie mógł mieć do pomocy towarzyszy bardziej inteligentnych, oddanych i gorliwych. Wybadał każdego z nich i znał ich umiejętności.

¹⁰⁰piryt — minerał żelaza z gromady siarczków, występujący w różnych rodzajach skał, wykorzystywany jako surowiec do otrzymywania półproduktów, z których wytwarza się kwas siarkowy i żelazo. [przypis edytorski]

Gedeon Spilett, dziennikarz niepospolitych zdolności, który uczył się wszystkiego, aby móc mówić o wszystkim, mógł głową i rękami w dużej mierze przyczynić się do kolonizacji wyspy. Nie cofnąłby się pewnie przed żadnym obowiązkiem. Jako zapalony myśliwy miał teraz poświęcić się zawodowo temu, czemu się dotąd oddawał tylko dla przyjemności.

Harbert, poczciwy, dzielny chłopak, posiadający dość obszerne wiadomości w zakresie nauk przyrodniczych, miał także przyczynić się w znakomitej mierze do wspólnego dobra.

Nab był wcielonym poświęceniem. Zręczny, inteligentny, niezmordowany, silny, o żelaznym zdrowiu, znał się nieco na kowalstwie i mógł być bardzo przydatny dla kolonii.

Jeśli chodzi o Pencroffa, to był zarazem marynarzem, który przemierzył wszystkie oceanach świata, cieślą w stoczni brooklińskiej, pomocnikiem krawieckim na okrętach państwowych, podczas urlopów ogrodnikiem i rolnikiem i tak dalej. Jako marynarz był do wszystkiego i umiał wszystko.

Trudno byłoby zaiste dobrać pięciu ludzi bardziej gotowych do walki z losem i dających większą rękojmię, że wyjdą z niej zwycięsko.

„Zacniemy od początku” — powiedział Cyrus Smith. Otóż początkiem, o którym mówił inżynier, miało być sporządzenie urządzenia służącego do przetwarzania bogactw naturalnych. Wiemy, jak ważną rolę w takim przetwarzaniu odgrywa ciepło. Opał, drewno lub węgiel, mieli od razu gotowe do użytku. Potrzebowali więc tylko zbudować piec, żeby z nich skorzystać.

— Do czego ma służyć ten piec? — zapytał Pencroff.

— Do wyrabiania potrzebnych nam naczyń — odparł Cyrus Smith.

— A z czego zrobimy piec?

— Z cegieł.

— A cegły?

— Z gliny. Dalej w drogę, przyjaciele. Ażeby uniknąć niepotrzebnego transportu, urządzimy warsztat na miejscu produkcji. Nab przyniesie nasze zapasy żywności, a do ich upieczenia nie zabraknie nam ognia.

— Zapewne — odparł reporter — ale jeśli z powodu braku broni myśliwskiej zabraknie nam żywności?

— Żebyśmy mieli choć jeden nóż! — zawołał marynarz.

— To co wtedy? — zapytał Cyrus Smith.

— Co wtedy? Wtedy wystrugałbym czym prędzej łuk i strzały i mielibyśmy masę dziczyzny w spizarni.

— Tak, tak, żeby jakiś nóż lub coś ostrego... — powiedział inżynier sam do siebie.

W tej chwili jego wzrok padł na Topa, biegnącego tam i z powrotem po brzegu.

Oczy Cyrusa Smitha nagle zabłyśły.

— Top, do nogi! — zawołał.

Pies przybiegł natychmiast na wezwanie swojego pana. Ten ujął jego łeb w dłonie, zdjął mu obrozę z karku, rozłamał ją na dwa kawałki i powiedział:

— Oto dwa noże, Pencroffie!

Odpowiedzią były dwa głośnie „hurra” marynarza. Obroza Topa zrobiona była z cienkiej hartowanej stali. Wystarczyło więc najpierw na grubszym kamieniu zaostrzyć każdy kawałek z jednej strony w szpic, a potem na drobnoziarnistym piaskowcu naostrzyć klingę. Takich piaskowców było na wybrzeżu pod dostatkiem i w dwie godziny później wyposażenie kolonii składało się z dwóch ostrych kling, które bez trudu osadzono w mocnych trzonkach.

Zdobycie tych pierwszych narzędzi powitali z wielkim triumfem. Był to istotnie nader cenny nabytek i w bardzo odpowiedniej chwili.

Ruszyli w drogę. Cyrus zamierzał powrócić do północnego brzegu jeziora, gdzie poprzedniego dnia zauważył gliniastą ziemię, z której pobrał próbkę. Udali się więc wzdłuż brzegów Rzeki Dziękczynienia, przeszli Płaskowyż Pięknego Widoku i po przebyciu pięciu mil dotarli do polanki położonej o dwieście kroków od Jeziora Granta.

Po drodze Harbert spostrzegł drzewo, z którego gałęzi Indianie z Ameryki Południowej sporządzają łuki. Było to drzewo *crejimba* z rodzaju palmowców, które nie rodzi jadalnych owoców. Wycięli z niego długie, proste gałęzie, ogołocili je z liści i ostrugali

je tak, że były grubsze pośrodku, a cieńsze po obu końcach. Pozostawało jeszcze tylko znaleźć jakąś roślinę, która dałaby się użyć za cięciwę do łuku. Znaleźli krzew z gatunku należącego do rodziny ślazowatych, zwanego przez botaników *Hibiscus heterophyllus*¹⁰¹. Mają one niezwykle giętkie i mocne włókna, które można porównać z ścięgnami zwierząt. W ten sposób Pencroff sporządził kilka mocnych łuków. Brakowało jeszcze tylko strzał. Łatwo dało się je wystrugać z prostych i sztywnych gałązek bez sęków, lecz dużo trudniej było uzbroić je w groty, to znaczy znaleźć materiał, który mógłby zastąpić żelazo. Pencroff jednak powiedział sobie, że skoro on zrobił swoje, reszty dokona przypadek.

Koloniści przybyli na miejsce poznane już poprzedniego dnia. Gleba składała się z tłustej gliny, takiej jak używanej na cegły i dachówki, a zatem nadającej się do tego, co chcieli wykonać. Sama praca nie sprawiała najmniejszych trudności. Trzeba było tylko odtłuścić glinę za pomocą piasku, uformować z niej cegły i wypalać je w ogniu.

Zazwyczaj cegły wyrabia się w przeznaczonych do tego formach, inżynier jednak postanowił, że wykonają je ręcznie. Na tej pracy upłynął im cały ten dzień i następny. Glina, najpierw zmoczona wodą, potem mieszana nogami i rękami robotników, dzielona była następnie na kostki jednakowej wielkości. Jeden wprawny robotnik jest w stanie bez maszyny uformować w ten sposób do dziesięciu tysięcy cegieł w ciągu dwunastu godzin. Jednak pięciu ceglarzy z Wyspy Lincoln zdołało przez te dwa dni ulepić zaledwie trzy tysiące sztuk. Poukładali je rzędami, jedną przy drugiej, i pozostawili, żeby całkiem wyschły i nadawały się do wypalania, na co potrzeba było trzech do czterech dni.

Dnia 2 kwietnia Cyrus zajął się ustaleniem położenia wyspy.

Dzień wcześniej odnotował dokładnie godzinę, o której słońce zaszło za horyzont, uwzględniając przy tym refrakcję¹⁰². Tęgo ranka również dokładnie odnotował godzinę, w której znów się pojawiło. Pomiedzy tym zachodem a wschodem słońca upłynęło dokładnie dwanaście godzin i dwadzieścia cztery minuty¹⁰³. A zatem tego dnia w sześć godzin i dwanaście minut po wschodzie słońce powinno przechodzić dokładnie przez południk wyspy, a punkt nieba, w którym będzie się wówczas znajdowało, wyznaczy północ.

O wyznaczonej godzinie Cyrus ustalił ten punkt i oznaczając na jednej linii ze słońcem dwa drzewa, które miały mu służyć za znaki orientacyjne, uzyskał stałą linię południka do dalszych obliczeń.

Dwa dni, które poprzedzały wypalanie cegieł, spożytkowano na zgromadzenie opału. Ścinali gałęzie z drzew rosnących wokół polany i zbierali suche, spadłe na ziemię. Pracę przeplatali polowaniem w okolicznych lasach, zwłaszcza że Pencroff miał już teraz kilka tuzinów strzał o ostrych końcach. Groty zawdzięczali Topowi, który pewnego razu przyniósł jeżozwierza¹⁰⁴. Jeżozwierz niezbyt nadawał się na piecyste, lecz miał dla nich nieocenioną wartość z powodu kolców, którymi był pokryty. Kolce te zostały mocno przytwierdzone na jednym końcu strzał, a kierunek lotu utrzymywały osadzone na drugim końcu pióra kakadu. Reporter i Harbert w krótkim czasie wyćwiczyli się na bardzo celnych łuczników. Toteż nie brakowało nigdy w Kominach zwierzyny i ptactwa: kapibar, gołębi, aguti, głuszców i innych. Większość tych zwierząt upolowali w lesie położonym na lewym brzegu Rzeki Dziękczynienia, który nazwali Lasem Złotopióra, na pamiątkę ptaka, za którym uganił się Pencroff z Harbertem na swej pierwszej wyprawie łowieckiej.

Zwierzynę jedli na świeżo, przechowywali tylko szynki z kapibary, uwędzone na wolnym ogniu z wilgotnego drzewa i przyprawione wonnymi ziołami. Jednak jedzenie, cho-

¹⁰¹ *Hibiscus heterophyllus* (biol.) — jeden z gatunków ketmii (hibiskusa), występujący wyłącznie w Australii. [przypis edytorski]

¹⁰² *refrakcja* — tu: refrakcja astronomiczna, zjawisko ugięcia promieni świetlnych w atmosferze ziemskiej spowodowane znaczącymi różnicami gęstości powietrza na różnej wysokości od powierzchni Ziemi; refrakcja atmosferyczna zmienia pozorne położenie obiektów na niebie, przesuując je w stronę zenitu. [przypis edytorski]

¹⁰³ *Pomiedzy tym zachodem a wschodem słońca upłynęło dokładnie dwanaście godzin i dwadzieścia cztery minuty* — rzeczywiście o tej porze roku i na tej szerokości słońce wschodziło o godz. 5:33 rano, a zachodziło o godz. 18:17. [przypis autorski]

¹⁰⁴ *jeżozwierz* (biol.) — kolczasty ssak z rzędu gryzoni, zamieszkujący płd. Europę, Afrykę i Azję od Indii po Borneo; niekiedy potocznie nazwą jeżozwierz określa się podobne z wyglądu, żyjące w Ameryce Płn. ursony. [przypis edytorski]

ciężko bardzo posilne, składało się ciągle tylko z pieczystego i koloniści tęsknili z całej duszy za słodką muzyką szumiącego garnka z rosółem i sztuką mięsa. Lecz na to trzeba było czekać, aż zostaną wyprodukowane garnki, a zatem aż zostanie postawiony piec.

Podczas wypraw, podejmowanych tylko w najbliższe okolice cegielni, myśliwi natykali nieraz świeże ślady wielkich zwierząt uzbrojonych w potężne pazury, których gatunku nie mogli rozpoznać. Cyrus Smith zalecał im więc jak największą ostrożność, gdyż prawdopodobnie las skrywał niebezpieczne drapieżniki.

Cyrus miał słuszną rację. Pewnego dnia Gedeon Spilett z Harbertem zobaczyli zwierzę bardzo podobne do jaguara. Drapieżnik jednak na szczęście zostawił ich w spokoju, gdyż w przeciwnym razie prawdopodobnie nie wyszliby z walki bez poważnych ran. Gedeon Spilett obiecał sobie, że gdy tylko będą mieli lepszą broń, to znowy przynajmniej jedną taką strzelbę, jakiej domagał się Pencroff, wyda zaciętą wojnę wszystkim drapieżnikom i oczyści z nich całą wyspę.

Przez tych kilka dni nie zajmowano się wcale wygodniejszym urządzeniem Kominów, gdyż inżynier zamierzał znaleźć lub w razie potrzeby zbudować lepsze chronienie. Poprzestano więc tylko na tym, że wyścielono korytarze świeżą podściółką z mchu i suchych liści i na tym nieco prymitywnym posłaniu zmordowani całodzienną pracą robotnicy zasypiali twardo i smacznie.

Obliczyli także dokładnie dni spędzone na Wyspie Lincoln, od chwili gdy po raz pierwszy na niej wylądowali, i odtąd regularnie je notowali. W środę 5 kwietnia upływało dwanaście dni od chwili, gdy huragan wyrzucił rozbitków na to wybrzeże.

6 kwietnia o świcie inżynier i jego towarzysze zebrali się na polanie, gdzie się miało odbywać wypalanie cegieł. Operacja ta miała oczywiście dokonać się pod wolnym niebem, a nie w piecu, albo raczej cały ten stos cegieł miał stworzyć jeden olbrzymi piec, który miał się sam wypalić. Rozłożyli na ziemi opał w postaci wiązek chrustu i otoczyli go kilkoma rzędami wysuszonych cegieł, które utworzyły wielki sześcian z prowadzącymi na zewnątrz otworami dla przewiewu. Praca trwała cały dzień i dopiero wieczorem podłożyli ogień pod wiązki drewna.

Tej nocy żaden nie kładł się spać, wszyscy czuwali pilnie nad tym, aby ogień nie przygasł.

Operacja trwała czterdzieści osiem godzin i powiodła się doskonale. Następnie trzeba było zaczekać, aż dymiąca masa nieco ostygnie. Tymczasem zaś Nab i Pencroff pod kierunkiem Cyrusa Smitha naznosili na splecionych z gałęzi noszach bryły węgla wapnia¹⁰⁵, pospolitego kamienia, który w wielkich ilościach występował na północ od jeziora. Bryły te, ulegające rozkładowi pod wpływem ciepła, zmieniały się w bardzo tłuste wapno niegaszone, silnie pęczniące podczas gaszenia, a do tego tak czyste, jak gdyby powstało z prażenia kredy lub marmuru. Po zmieszaniu z piaskiem, dzięki któremu masa mniej się kurczy podczas twardnienia, z wapna otrzymano doskonałą zaprawę.

Dzięki tym różnym zabiegom 9 kwietnia inżynier miał do dyspozycji pewną ilość gotowego wapna i kilka tysięcy cegieł.

Nie tracąc czasu, przystąpili natychmiast do stawiania pieca, mającego służyć do wypalania rozmaitych naczyń niezbędnych do domowego użytku. Przedsięwzięcie to powiodło się bez większych trudności. Pięć dni później napelnili piec węglem kamiennym, którego odkryte pokłady inżynier odkrył u ujścia Czerwonego Potoku, i z wysokiego na dwadzieścia stóp kominu wzbil się pierwszy dym. Polana przekształciła się w wytwornię, a Pencroff był bliski przekonania, że z tego pieca wyjdą wszystkie wyroby nowoczesnego przemysłu.

Na razie jednak koloniści wyprodukowali tylko zwykłe wyroby ceramiczne, bardzo przydatne do gotowania jedzenia. Surowcem była ta sama glina, do której Cyrus Smith dodał trochę wapna i kwarcu. Masa ta nie była niczym innym jak tylko prawdziwą gliną fajkową¹⁰⁶. Zrobili z niej garnki, kubki, uformowane na kamieniach odpowiedniego kształtu, dalej talerze, duże dzbany i kadzie na wodę i inne. Wprawdzie były koślawe, lecz

¹⁰⁵węglan wapnia (chem.) — sól kwasu węglowego i wapnia, podstawowy składnik wielu minerałów i niektórych skał; tu zamiast: wapień, skała zbudowana głównie z węgla wapnia. [przypis edytorski]

¹⁰⁶glina fajkowa — dawna potoczna nazwa plastycznej gliny wypalającej się na biało, używanej do produkcji fajansu, statuetek, cegieł ogniotrwałych itp. [przypis edytorski]

ich wypaleniu w wysokiej temperaturze stały się wyposażeniem kuchni w Kominach równie cennym, jak gdyby do ich wyrobu użyto najlepszego kaolinu¹⁰⁷.

Trzeba dodać, że Pencroff, chcąc się przekonać, czy spreparowana w ten sposób glina zasługuje na nazwę gliny fajkowej, ulepił z niej sobie kilka niezgrabnych fajek. Wprawdzie uznał je za urocze, lecz niestety brakowało do nich tytoniu. Ten brak marynarz odczuwał bardzo dotkliwie.

— Ale będzie i tytoń, tak jak wszystko! — powtarzał w przyływach bezgranicznej ufności.

Prace te trwały aż do 15 kwietnia i nietrudno się domyślić, że czas ten został spóżytkowany sumiennie. Koloniści, którzy przemienili się w garncarzy, nie zajmowali się niczym innym niż garncarstwem. Gdy Cyrus Smith zechce z nich zrobić kowali, będą kowalami. Ale ponieważ nazajutrz przypadała niedziela i to Niedziela Wielkanocna, postanowili jednogłośnie uświęcić ten dzień odpoczynkiem. Amerykanie ci byli ludźmi religijnymi i skrupulatnie przestrzegali przepisów Biblii, a sytuacja, w jakiej się znaleźli, jeszcze bardziej rozwinęła w nich uczucie ufności ku Stwórcy wszechrzeczy.

Tego wieczora więc, dnia 15 kwietnia, wrócili do Kominów. Zabrali ze sobą resztę naczyń, a piec wygasili do czasu jego nowego przeznaczenia. Podczas powrotu zdarzył się pomyślny przypadek: inżynier odkrył pewną substancję mogącą zastąpić hubkę. Jak wiadomo, ten gąbczasty, miękki materiał pochodzi z pewnego gatunku pasożytniczych grzybów nadrzewnych. Odpowiednio spreparowany staje się bardzo łatwo zapalny, zwłaszcza gdy się go uprzednio przesyci prochem armatnim lub wygotuje w roztworze azotanu lub chlorku potasu. Dotychczas jednak nie znaleźli takiego grzyba ani nawet żadnego ze smardzów¹⁰⁸, które mogą go zastąpić. Otóż tego dnia inżynier spostrzegł pewną roślinę należącą do bylic¹⁰⁹, których głównymi gatunkami są piołun, trawa cytrynowa¹¹⁰, estragon i inne. Uszczknął z niej kilka kępek i wskazując je marynarzowi, powiedział:

— Niech pan spojrzy, Pencroffie, to pana z pewnością ucieszy.

Pencroff przypatrzył się uważnie roślinie porośniętej długimi, jedwabistymi włoskami, z listkami pokrytymi puszkami podobnym do bawełny, i po chwili zapytał:

— Cóż to takiego, panie Cyrusie? Na miłość boską! Czy to tytoń?...

— Nie — odparł Cyrus Smith — to artemizja, dla uczonych to bylica chińska¹¹¹, a dla nas będzie to hubka.

Rzeczywiście bylica, wysuszona jak należy, dała substancję łatwo zapalną, zwłaszcza gdy później inżynier przesycił ją azotanem potasu, którego kilka pokładów znajdowało się na wyspie, a który jest niczym innym jak po prostu saletrą.

Tego wieczora koloniści, zgromadzeni w środkowym pokoju Kominów, zjedli przyzwoitą kolację. Nab przygotował rosół z aguti, szynkę z kapibary przyprawioną wonnymi ziołami, do której dodał gotowane bulwy rośliny zwanej *Caladium macrobizum*¹¹², z rodziny obrazkowatych¹¹³, która pod niebem południowym występuje w postaci krzewu. Kłącza te miały doskonały smak, były bardzo pożywne, przypominały przyprawę znaną w Anglii pod nazwą portlandzkiego sago¹¹⁴ i mogły nawet do pewnego stopnia zastąpić chleb, którego brakowało jeszcze mieszkańcom Wyspy Lincoln.

Po kolacji, przed nocnym spoczynkiem, Cyrus Smith wyszedł ze swoimi towarzyszami na brzeg morza odetchnąć świeżym powietrzem. Była wówczas ósma wieczorem.

¹⁰⁷kaolin — ilasta skała osadowa, składająca się głównie z kaolinitu, używana jako surowiec do produkcji szlachetnej ceramiki (stąd potocznie: glina porcelanowa). [przypis edytorski]

¹⁰⁸smardz — rodzaj grzybów, których kapelusz ma formę dużej, pomarszczonej główki. [przypis edytorski]

¹⁰⁹bylica, *Artemisia* (biol.) — rodzaj roślin z rodziny astrowatych, liczący 300 gatunków, na ogół aromatycznych. [przypis edytorski]

¹¹⁰trawa cytrynowa, *Cymbopogon nardus* (biol.) — aromatyczna trawa pochodząca z Azji, używana w kuchni oraz w przemyśle perfumeryjnym. [przypis edytorski]

¹¹¹bylica chińska — właśc. bylica roczna (*Artemisia annua*), pochodząca z Azji, zawleczona przez człowieka do innych części świata. [przypis edytorski]

¹¹²*Caladium macrobizum* — jeden z gatunków rodzaju *Caladium* (obraznica), wieloletnich roślin zielnych, którym daw. nadawano rozmaite nazwy; *macrobizum* oznacza „o dużych kłączach”. [przypis edytorski]

¹¹³obrazkowate, *Araceae* (biol.) — rodzina roślin zielnych, rzadziej krzewów, występujących gł. w lasach tropikalnych. [przypis edytorski]

¹¹⁴portlandzkie sago — pieczone bulwiaste kłącza rośliny *Arum maculatum*, z których dawniej wyrabiano mączkę skrobiową, używane też do wyrobu salepu, popularnego napoju przed upowszechnieniem się kawy i herbaty. [przypis edytorski]

Noc roztoczyła wszystkie swe czary. Przed pięcioma dniami była pełnia, tego dnia księżyc jeszcze nie wzeszedł, lecz już cały widnokrąg srebrzył się od łagodnej, bladej jasności, którą można by nazwać księżycowym świtem. Na południowym zenicie jaśniały konstelacje podbiegunowe, a spomiędzy wszystkich najbardziej Krzyż Południa, który kilka dni wcześniej inżynier powitał ze szczytu Góry Franklina.

Cyrus Smith przypatrywał się czas jakiś tej wspaniałej konstelacji, która na wierzchołku i u podstawy ma po dwie gwiazdy pierwszej wielkości¹¹⁵, na prawym ramieniu jedną drugiej wielkości, zaś na lewym jedną gwiazdę trzeciej wielkości.

Po czym zamyśliwszy się chwilę, zapytał, zwracając się do Harberta:

— Słuchaj Harbercie, czy nie mamy dziś przypadkiem 15 kwietnia?

— Tak jest, panie Cyrusie — odparł chłopak.

— Więc, jeśli się nie mylę, jutro przypada jeden z tych czterech dni w roku, w których czas prawdziwy pokrywa się z czasem średnim¹¹⁶, to znaczy, mój chłopcze, że jutro, z dokładnością do kilku sekund, słońce przejdzie przez południk dokładnie wtedy, kiedy na zegarkach będzie południe. Jeśli więc będzie dobra pogoda, to mam nadzieję oznaczyć długość geograficznej naszej wyspy z dokładnością do kilku stopni.

— Jak to, bez instrumentów, bez sekstantu¹¹⁷? — zapytał Gedeon Spilett.

— Tak jest — odparł inżynier. — A ponieważ noc taka pogodna, spróbuję więc jeszcze dziś wieczorem ustalić naszą szerokość geograficzną, wyznaczając wysokość Krzyża Południa, a tym samym i bieguna południowego, nad horyzontem. Rozumiecie przecież dobrze, przyjaciele, że zanim rozpoczniemy poważne prace nad osiedleniem się tutaj, nie wystarczy stwierdzić, że ta ziemia jest wyspą, potrzeba jeszcze w miarę możliwości przekonać się, jak daleko znajduje się od kontynentu amerykańskiego bądź od australijskiego, bądź też od głównych archipelagów Pacyfiku.

— Rzeczywiście — odezwał się reporter. — Może zamiast budować dom, wypadnie nam wybudować statek, jeśli przypadkiem od łądów zamieszkałych przez ludzi oddziela nas tylko sto mil.

— Dlatego właśnie — ciągnął dalej Cyrus — spróbuję dziś wieczorem ustalić szerokość geograficzną Wyspy Lincolna, a jutro w południe spróbuję obliczyć długość.

Gdyby inżynier posiadał sekstant, przyrząd za pomocą którego da się z dużą dokładnością obliczyć odległość kątową obiektów dzięki odbiciom w zwierciadłach, pomiar nie sprawiałby najmniejszej trudności. Tego wieczoru z wysokości bieguna, a nazajutrz z przejścia słońca przez południk otrzymałby obie współrzędne wyspy. Lecz nie mając takiego przyrządu, trzeba go było czymś zastąpić.

Cyrus Smith powrócił więc do Kominów. Tam przy świetle ogniska wystrugał dwie płaskie linijki i połączył je ze sobą na jednym końcu, tak że tworzyły rodzaj cyrkla, którego ramiona można było dowolnie rozsuwać i przybliżać ku sobie. Do połączenia użył twardego kolca akacji, znalezionej w stosie suchego drewna na ognisko.

Sporządziwszy ten instrument, inżynier powrócił na plażę. Ponieważ jednak potrzebował zmierzyć wysokość bieguna ponad horyzontem jasno i wyraźnie zarysowanym, to znaczy ponad horyzontem morza, a Przyłodek Szponu zasłaniał mu południową część widnokręgu, musiał poszukać innego, odpowiedniejszego stanowiska. Najlepsze byłoby bez wątpienia wybrzeże zwrócone wprost na południe, lecz aby się do niego dostać, trzeba by było przejść na drugą stronę Rzeki Dziękczynienia, która o tej porze była dość głęboka, co powodowało pewne trudności.

¹¹⁵gwiazdy pierwszej wielkości — w astronomii używa się tzw. wielkości gwiazd, które odpowiadają sile ich blasku; od czasów Ptolemeusza najjaśniejsze gwiazdy mają wielkość 1, zaś najslabsze widoczne gołym okiem mają wielkość równą 6; tradycyjnie najjaśniejsza gwiazda w danym gwiazdozbiornie oznaczana jest małą grecką literą alfa, kolejna literą beta itd. [przypis edytorski]

¹¹⁶jeden z tych czterech dni w roku, w których czas prawdziwy pokrywa się z czasem średnim — prawdziwy czas słoneczny, wynikający bezpośrednio z pozycji Słońca na niebie, jest czasem płynącym niejednostajnie, gdyż Ziemia porusza się po elipsie w płaszczyźnie nachylonej względem swojej osi obrotu. W zegarkach mechanicznych i w życiu codziennym używa się jednostajnie płynącego czasu średniego. Różnica pomiędzy tymi dwoma czasami wynosi do kilkunastu minut i jest zerowa cztery razy w roku: 15 kwietnia, 13 czerwca, 1 września i 25 grudnia. [przypis edytorski]

¹¹⁷sekstant — przyrząd nawigacyjny do pomiaru wysokości ciał niebieskich nad horyzontem, używany także do pomiaru kątów poziomych i pionowych pomiędzy obiektami widocznymi na Ziemi. [przypis edytorski]

Cyrus Smith postanowił więc wykonać swoje obserwacje na Płaskowyżu Pięknego Widoku, uwzględniając przy tym jego wysokość nad poziomem morza, którą miał zamiar obliczyć nazajutrz prostym sposobem geometrycznym.

Koloniści, idąc lewym brzegiem Rzeki Dziękczynienia, udali się na płaskowyż i zajęli stanowisko na jego skraju zorientowanym z północnego zachodu na południowy wschód, to jest wzdłuż linii fantastycznych urwisk, ciągnącej się wzdłuż brzegów rzeki.

Ta część płaskowyżu wznosiła się na jakieś pięćdziesiąt stóp ponad prawym brzegiem rzeki, którego jeden stok sięgał aż do końca Przylądka Szponu, a drugi aż do południowego wybrzeża wyspy. Żadna przeszkoda nie ograniczała pola widzenia, które ogarniało połowę widnokręgu, począwszy przylądka aż po Cypel Jaszczurczy. Na południu horyzont, oświetlony pierwszymi promieniami księżyca, rysował się ostrą linią i był bardzo dobrze widoczny.

W tym momencie Krzyż Południa prezentował się oczom obserwatorów w pozycji odwróconej, gwiazda alfa tworzyła jego podstawę najbliższą bieguna południowego.

Konstelacja ta nie leży tak blisko bieguna południowego, jak Gwiazda Polarna bieguna północnego. Jej gwiazda alfa odległa jest od niego o blisko dwadzieścia siedem stopni; Cyrus Smith wiedział o tym i miał tę odległość uwzględnić w obliczeniach. Zamierzał też obserwować ją w chwili, w której będzie przechodzić przez południk poniżej bieguna, co upraszczało działania.

Cyrus Smith skierował więc jedno ramię swego drewnianego cyrkla na horyzont morza, a drugie ramię na gwiazdę alfa, podobnie jak zrobiłby z lunetami przyrządu mierniczego, a rozwarcie ramion dało mu odległość kątową między gwiazdą alfa a horyzontem. Ażeby utrwalić uzyskany w ten sposób kąt, obie linijki przyrządu przymocował kolcami do trzeciej, umieszczonej poprzecznie, tak że kąt rozwarcia ramion nie mógł się zmienić.

Potem pozostawało już tylko obliczyć właściwy kąt, sprowadzając obserwację do poziomu morza, tak aby uwzględnić obniżenie horyzontu, co oczywiście pociągało za sobą konieczność pomiaru wysokości płaskowyżu. Wielkość tego kąta dałaby wówczas wysokość gwiazdy alfa, a co za tym idzie także wysokość bieguna nad horyzontem, czyli szerokość geograficzną wyspy, gdyż szerokość geograficzna każdego punktu kuli ziemskiej jest zawsze równa wysokości bieguna nad horyzontem w tym punkcie.

Obliczenia odłożono do następnego dnia i o dziesiątej wszyscy już pogrążeni byli w głębokim śnie.

ROZDZIAŁ XIV

Pomiary granitowej ściany. — Zastosowanie twierdzenia o podobieństwie trójkątów. — Szerokość geograficzna wyspy. — Wycieczka na północ. — Ławica ostryg. — Plany na przyszłość. — Przejście słońca przez południk. — Współrzędne Wyspy Lincoln.

Nazajutrz, 16 kwietnia — w niedzielę wielkanocną — koloniści o świcie opuścili Kominy i zabrali się do prania bielizny i czyszczenia ubrań. Inżynier zamierzał wyprodukować mydło, gdy tylko zdobędzie niezbędne surowce, to znaczy sodę lub potaż¹¹⁸, tłuszcz lub olej. We właściwym czasie mieli się też zastanowić nad równie ważną sprawą odnowienia garderoby. W każdym razie ubrania, które mieli na sobie, mogły wystarczyć jeszcze na pół roku, były bowiem mocne i wytrzymałe na zużycie przy pracy fizycznej. Wszystko jednak zależało od położenia wyspy w stosunku do zamieszkałych lądów. A tę ważną kwestię mieli rozstrzygnąć jeszcze tego samego dnia, jeśli pogoda będzie sprzyjać.

Słońce, wschodzące na czystym widnokręgu, zapowiadało wspaniały dzień, jeden z tych pięknych dni jesiennych, które są jakby ostatnim pożegnaniem lata.

Wypadało teraz uzupełnić szczegóły wczorajszych obserwacji i zmierzyć wysokość Płaskowyżu Pięknego Widoku nad poziomem morza.

— Czy nie potrzebny panu instrument podobnego do tego, jakiego użył pan wczoraj? — zapytał Harbert inżyniera.

¹¹⁸potaż — popiół drzewny złożony głównie z węgla potasu, używany od starożytności do produkcji mydła, szkła, ceramiki i nawozów. [przypis edytorski]

— Nie, mój chłopcze — odpowiedział inżynier. — Użyjemy innego sposobu, ale prawie tak samo dokładnego.

Harbert, który lubił się uczyć wszystkiego, udał się za inżynierem. Ten, oddalając się od podnóża granitowej ściany, zatrzymał się prawie na samym końcu wybrzeża. Tymczasem Pencroff, Nab i reporter zajęci byli innymi pracami.

Cyrus Smith zaopatrzył się w prostą żerdź, długą na jakieś dwanaście stóp. Zmierzył ją możliwie jak najdokładniej, używając za miarę własnego wzrostu, który znał prawie co do linii¹¹⁹. Harbert niósł powierzony mu przez Cyrusa pion, czyli zwykły kamień uwiązany do giętkiego kawałka włókna.

Gdy znaleźli się o jakieś dwadzieścia kroków od brzegu morza i mniej więcej o pięćset od wznoszącej się pionowo granitowej ściany, Cyrus wbił żerdź na dwie stopy w piasek i starannie nakierowując, za pomocą pionu ustawił ją prostopadle do płaszczyzny horyzontu.

Po ukończeniu tych przygotowań cofnął się tak daleko, aby położywszy się na piasku, mieć na osi wzroku równocześnie koniec żerdzi i szczyt granitowej ściany. Następnie oznaczył dokładnie to miejsce, wbijając w ziemię kołek. Potem zwracając się do Harberta, zapytał:

— Znasz podstawowe zasady geometrii?

— Tak, trochę, panie Cyrusie — odparł Harbert, nie chcąc się zanadto zapędzać.

— Pamiętasz więc, jakie są własności dwóch trójkątów podobnych?

— Pamiętam — odparł Harbert. — Ich odpowiednie boki są do siebie proporcjonalne.

— Otóż, mój chłopcze, zbudowałem tu właśnie dwa trójkąty podobne, oba prostokątne: pierwszy, mniejszy, ma jako boki pionową żerdź i linię łączącą kołek z podstawą żerdzi, a jako przeciwprostokątną — linię na osi mojego wzroku, pociągniętą od kołka do górnego końca żerdzi; drugi, większy, ma jako boki pionową ścianę, o której wysokość nam chodzi, i linię łączącą kołek z podnóżem tej ściany, a jako przeciwprostokątną — także linię na osi mojego wzroku, pociągniętą od kołka do szczytu ściany, która jest przedłużeniem przeciwprostokątnej pierwszego trójkąta.

— Ach, rozumiem, panie Cyrusie! — zawołał Harbert. — Proporcja odległości kołka od żerdzi do odległości kołka od podnóża ściany jest taka sama jak proporcja wysokości żerdzi do wysokości tej ściany.

— Tak jest, Harbercie — odparł inżynier. — A gdy zmierzemy te dwie pierwsze odległości, to znając wysokość żerdzi, będziemy potrzebowali tylko rozwiązać prostą proporcję, by otrzymać wysokość ściany, co nam oszczędzi kłopotów z bezpośrednim jej mierzeniem.

Obie odległości poziome zmierzono za pomocą tej samej żerdzi, której wysokość powyżej piasku wynosiła dokładnie dziesięć stóp.

Pierwsza odległość, między kołkiem a punktem, w którym osadzona była żerdź, wynosiła piętnaście stóp.

Druga odległość, między kołkiem a podnóżem ściany, wynosiła pięćset stóp.

Ukończywszy ten pomiar, Cyrus z Harbertem wrócili do Kominów.

Tam Cyrus wziął do ręki płaski kamień, który przyniósł z jednej z poprzednich wycieczek, rodzaj lupka¹²⁰, na którym można było pisać ostrą muszlą, i zestawil następującą proporcję:

$$15 : 500 = 10 : x$$

$$500 \times 10 = 5000$$

$$5000 : 15 = 333,33.$$

Stąd wynikało, że wysokość ściany granitowej wynosi trzysta trzydzieści trzy stopy¹²¹.

Następnie Cyrus Smith wziął sporządzony poprzedniego dnia instrument, którego rozchylenie ramion wyznaczało odległość kątową gwiazdy alfa od horyzontu. Zmierzył

¹¹⁹linia — anglosaska jednostka miary długości równa 1/10 cala, czyli 2,54 milimetra. [przypis edytorski]

¹²⁰lupka — ogólne określenie skał o budowie warstwowej, powodującej łatwość rozwarstwiania się ich na cienkie płytki; dawniej tabliczki lupkowe służyły do pisania i rysowania. [przypis edytorski]

¹²¹trzysta trzydzieści trzy stopy — są to stopy angielskie, z których jedna wynosi 30 centymetrów. [przypis autorski]

dokładnie rozwarcie tego kąta na obwodzie koła, który podzielił na trzysta sześćdziesiąt równych części. Okazało się, że kąt ten, po dodaniu do niego dwudziestu siedmiu stopni, oddzielających gwiazdę alfa od bieguna południowego, i po zredukowaniu wysokości płaskowyzu, na którym prowadzono obserwację, do poziomu morza, wynosił około pięćdziesiąt trzy stopnie. Po odjęciu tych pięćdziesięciu trzech stopni od dziewięćdziesięciu, czyli odległości bieguna od równika, pozostawało trzydzieści siedem stopni. Z tego Cyrus Smith wywnioskował, że Wyspa Lincolna położona jest na trzydziestym siódmym stopniu szerokości południowej, albo raczej, biorąc pod uwagę niedokładności pomiarów i przyjmując odchylenie w granicach pięciu stopni, że położona jest pomiędzy trzydziestym piątym a czterdziestym równoleżnikiem.

Pozostawało jeszcze obliczyć długość geograficzną, aby otrzymać obie współrzędne wyspy. Inżynier zamierzał zrobić to jeszcze tego samego dnia w południe, to jest w chwili, kiedy słońce miało przechodzić przez południk.

Tę niedzielę postanowiono poświęcić na przechadzkę, albo raczej na zwiedzenie części wyspy między północnym brzegiem jeziora a Zatoką Rekinów, a nawet, gdyby czas na to pozwolił, chcieli dojść aż do północnego krańca Południowego Przylądka Szczęki. Obiad mieli zjeść wśród wydm i dopiero wieczorem powrócić do domu.

O wpół do dziesiątej rano grupka ruszyła brzegiem cieśniny. Po jej drugiej stronie, na Wysepce Wybawienia, z powagą przechadzały się gromady ptaków. Były to ptaki nurkujące z rodziny bezłotków¹²². Łatwo je poznać po nieprzyjemnym głosie przypominającym ryk osła. Pencroff, który patrzył na nie z punktu widzenia czysto kuchennego, przyjął z niemalym zadowoleniem wiadomość, że mięso ich, chociaż czarne, jest całkiem smaczne.

Widać było także pełzające po piasku duże ziemnowodne zwierzęta, zapewne foki, które, jak się zdawało, obrały sobie tę wysepkę za schronienie. Nie można było upatrywać w nich pożywienia, gdyż ich tłuste mięso jest obrzydliwe; mimo to Cyrus Smith przypatrywał się im z wielką uwagą i nie ujawniając swoich planów, zapowiedział tylko towarzyszom, że wkrótce przyjdzie im odwiedzić wysepkę.

Brzeg, po którym szli koloniści, usiany był niezliczonymi muszlami, z których niejedne mogłyby wprawić w zachwyt miłośników malakologii¹²³. Między innymi były tam pawiatki¹²⁴, przewiertki¹²⁵, trygonie¹²⁶ i inne. O wiele pożyteczniejsze odkrycie zrobił Nab. Wśród skał odkrytych przez odpływające właśnie morze znalazł ogromną ławicę ostryg. Miejsce to było oddalone mniej więcej o cztery mile od Kominów.

— Nab ma dziś szczęśliwy dzień! — zawołał Pencroff, przypatrując się wielkiej ławicy.

— To rzeczywiście bardzo szczęśliwe odkrycie — powiedział reporter. — Jeśli to prawda, co powiadają, że każda ostryga znosi rocznie pięćdziesiąt do sześćdziesięciu tysięcy jaj, to będziemy mieli niewyczerpane zapasy.

— Zdaje mi się tylko, że ostrygi nie są bardzo pożywne — powiedział Harbert.

— Owszem — odparł Cyrus Smith. — Ostrygi zawierają bardzo mało białka i ktoś, kto chciałby się żywić wyłącznie nimi, musiałby ich zjadać co najmniej piętnaście do szesnastu tuzinów dziennie.

— Doskonale! — odpowiedział Pencroff. — Możemy je połykać tuzinami tuzinów, zanim wyczerpiemy ławicę. Gdybyśmy teraz zabrali ze sobą trochę na śniadanie?...

I nie czekając na odpowiedź, z góry wiedząc, że propozycja spotka się z uznaniem, marynarz razem z Nabem oderwali trochę tych mięczaków. Włożyli je do siatki uplecionej przez Naba z włókien ketmii¹²⁷, zawierającej także inne zapasy żywności. Następnie grupa ruszyła dalej wzdłuż wybrzeża, między wydmami a morzem.

Cyrus Smith od czasu do czasu spoglądał na zegarek, aby być gotowym na czas do obserwacji, którą należało przeprowadzić dokładnie w południe.

¹²²bezłotki (biol.) — pingwiny. [przypis edytorski]

¹²³malakologia (z gr. *malakós*: miękki) — nauka o mięczakach. [przypis edytorski]

¹²⁴pawiatka (daw. biol.) — *Phasianella*, rodzaj niewielkich ślimaków morskich o wzorzystych muszlach, występujących na zach. Pacyfiku oraz w pobliżu Australii. [przypis edytorski]

¹²⁵przewiertka (biol.) — tu: *Terebratula*, rodzaj ramienionogów morskich, podobnych do małży. [przypis edytorski]

¹²⁶trygonie, *Trigonia* — wymarły rodzaj prehistorycznych słonowodnych małży. [przypis edytorski]

¹²⁷ketmia (biol.) — hibiskus, rodzaj krzewów i roślin zielnych z rodziny ślazowatych. [przypis edytorski]

Cała ta część wyspy aż do punktu, gdzie się kończyła Zatoka Stanów Zjednoczonych, nazwanego Południowym Przylądkiem Szczęki, była zupełnie jałowa. Nie widać było nic, tylko piasek i muszle, zmieszane z okruchami lawy. Ten pustynny brzeg zamieszkiwały tylko ptaki morskie: mewy, duże albatrosy i dzikie kaczki, które wystawiały na ciężką próbę łakomstwo Pencroffa. Próbował strzelać do nich z łuku, lecz bez skutku, gdyż rzadko przysiadły na ziemi, a w locie nie mógł ich trafić.

To skłoniło marynarza do ponowienia wcześniejszej prośby:

— Widzi pan, panie Cyrusie — powiedział — dopóki nie będziemy mieli przynajmniej jednej lub dwóch strzelb, nasza kuchnia ciągle będzie pozostawiać sporo do życzenia.

— Bez wątpienia, panie Pencroff — odparł reporter — ale to tylko od pana zależy! Niech się pan wystara o żelazo na lufy, stal na zamki, saletrę, węgiel i siarkę na proch, rtęć i kwas azotowy na sponki i wreszcie ołów na kule, a Cyrus zrobi nam pierwszorzędną strzelbę.

— Cóż, wszystkie te surowce — odparł inżynier — na pewno znajdziemy na wyspie, ale broń palna to misterny przyrząd i wymaga precyzyjnych narzędzi. Zresztą, zobaczymy później.

— Czemu — wołał Pencroff — czemu wyrzuciliśmy całą broń, jaka była w koszu, i wszystkie narzędzia, nawet scyzoryki?!

— Ale gdybyśmy ich nie wyrzucili — odparł Harbert — to balon wyrzuciłby nas do morza.

— Nie ma co mówić, masz słuszność, chłopcze — powiedział marynarz.

A po chwili, przeskakując na inny temat, dodał:

— Ale wyobrażam sobie, jak Jonathan Forster i jego koledzy musieli zgłupieć, gdy następnego dnia rano zobaczyli, że plac jest pusty, a latająca machina poszła na cztery wiatry!

— To mnie najmniej obchodzi, co oni sobie pomyśleli — powiedział reporter.

— Trzeba przyznać, że miałem dobry pomysł — powiedział Pencroff z zadowoleniem.

— Świetny pomysł, Pencroffie — odparł Gedeon Spilett, śmiejąc się. — Właśnie dzięki niemu tu jesteśmy.

— Wolę być tutaj niż w rękach południowców! — zawołał marynarz. — Zwłaszcza od kiedy pan Cyrus był łaskaw dołączyć do nas!

— I ja także, na honor — odparł reporter. — Zresztą czego nam tu brakuje? Niczego.

— Chyba że.... wszystkiego! — zawołał Pencroff, wybuchając śmiechem, aż mu się trzęsły potężne barki. — Ale pewnego dnia znajdziemy sposób, żeby się stąd wydostać!

— Może nawet prędzej niż się spodziewacie, przyjaciele — odezwał się na to inżynier — jeżeli Wyspa Lincolnna znajduje się w miarę blisko jakiegoś zamieszkałego archipelagu lub kontynentu. Przekonamy się o tym najdalej za godzinę. Nie mam przy sobie mapy Pacyfiku, ale pamiętam dość dobrze, jak wygląda jego południowa część. Z wczorajszego obliczenia szerokości geograficznej wynika, że na wprost Wyspy Lincolnna leży na zachodzie Nowa Zelandia, a na wschodzie — brzegi Chile. Lecz odległość pomiędzy tymi dwoma krajami wynosi co najmniej sześć tysięcy mil. Pozostaje nam więc jeszcze ustalić, w którym miejscu tej olbrzymiej przestrzeni znajduje się nasza wyspa, a o tym przekonamy się niebawem, obliczywszy jej długość geograficzną z dostateczną, jak się spodziewam, dokładnością.

— Prawda, że najbliższej nas pod względem szerokości geograficznej jest archipelag Paumotu? — zapytał Harbert.

— Tak jest — odparł inżynier — ale dzieli nas od niego odległość co najmniej tysiąca dwustu mil.

— A tam? — zapytał Nab, który z wielkim zainteresowaniem przysłuchiwał się rozmowie, wskazując na południe.

— Tam nie ma nic — odparł Pencroff.

— Rzeczywiście, nic — dodał inżynier.

— No, a co będzie — zagadnął reporter — jeżeli Wyspa Lincolnna jest tylko o jakieś dwieście czy trzysta mil od Nowej Zelandii lub od Chile?

— W takim przypadku — odparł inżynier — zamiast budować dom, wybudujemy statek, a pan Pencroff obejmie jego ster...

— Na honor, panie Cyrusie — zawołał marynarz — gotów jestem zostać kapitanem... jeżeli pan wymyśli sposób zbudowania statku, który wytrzymałby na morzu!

— Zbudujemy go, jeśli będzie potrzeba — odparł Cyrus Smith.

Podczas gdy tak gawędzili ze sobą ci ludzie, którzy naprawdę w nic nie wątpili, zbliżała się godzina przeznaczona na obserwację. Jak Cyrus, nie mając żadnego instrumentu, potrafi stwierdzić przejście słońca przez południk wyspy? Tego Harbert w żaden sposób nie mógł się domyśleć.

Koloniści znajdowali się wówczas w odległości sześciu mil od Kominów, niedaleko wydm, w których znaleźli inżyniera po jego zagadkowym ocaleniu. Zatrzymali się więc tutaj, aby przyrządzić posiłek, gdyż było już wpół do dwunastej. Harbert pobiegł po słodką wodę do pobliskiego strumyka i przyniósł ją w dzbanku, który Nab wziął ze sobą.

W tym czasie Cyrus Smith rozpoczął przygotowania do obserwacji astronomicznej. Wybrał na plaży czyste miejsce, które cofające się morze dokładnie wyrównało. Warstwa drobniutkiego piasku była gładka jak lustro, zdawało się, iż żadne ziarenko nie wystawało ponad drugie. Zresztą nie miało znaczenia, czy powierzchnia jest całkiem pozioma, czy nie, podobnie jak obojętne było, czy długa na sześć stóp tyczka, którą osadził w piasku, wznosiła się pionowo. Przeciwnie, inżynier pochylił ją trochę w kierunku południowym, to znaczy w stronę przeciwną od słońca, nie zapominajmy bowiem, że dla kolonistów Wyspy Lincoln, położonej na półkuli południowej, słońce opisywało swój łuk dzienny ponad widnokretem północnym, a nie południowym.

Dopiero wtedy Harbert zrozumiał, w jaki sposób Cyrus zamierza ustalić punkt kulminacyjny słońca, czyli przejście przez południk wyspy, inaczej mówiąc: określić południe. Chciał wykorzystać cień, który tyczka rzucała na piasek, co przy braku dokładniejszych instrumentów, dawałoby odpowiednie przybliżenie wyniku, o który chodziło.

Otóż w chwili, w której cień osiągnie minimum swej długości, będzie dokładnie południe, wystarczy więc śledzić uważnie koniec cienia, aby uchwycić moment, w którym cień po ciągłym skracaniu się zacznie się na nowo wydłużać. Nachylając tyczkę na południe Cyrus Smith zwiększył długość cienia, dzięki czemu łatwiej było śledzić jego zmiany. Istotnie, im dłuższa jest wskazówka na zegarze, tym łatwiej śledzić jej poruszenia. Cień tyczki był tym samym, co wskazówka na tarczy zegara.

Gdy Cyrus Smith uznał, że nadeszła stosowna chwila, ukląkł na piasku i za pomocą patyczków, które wtykał w piasek, zaczął oznaczać stopniowe skracanie się cienia tyczki. Dokoła niego zgromadzili się towarzysze, przypatrując się z zainteresowaniem tym czynnościom.

Reporter trzymał w pogotowiu swój chronometr, aby odnotować godzinę, w której cień będzie najkrótszy. Poza tym, ponieważ Cyrus Smith przeprowadzał obserwację w dniu 16 kwietnia, czyli w dniu, kiedy czas prawdziwy pokrywa się z czasem średnim, godzina podana przez Gedeona Spilettę byłaby ta sama, co godzina według prawdziwego czasu w Waszyngtonie, co miało ułatwić obliczenia.

Tymczasem słońce powoli przesunęło się po niebie. Cień tyczki skracał się coraz bardziej, aż wreszcie w chwili, kiedy Cyrusowi Smithowi wydawało się, że zaczął znowu się wydłużać, zapytał:

— Która godzina?

— Piąta i jedna minuta — odpowiedział natychmiast Gedeon Spilett.

Pozostało już tylko wykonać obliczenia. Był to rachunek bardzo prosty. Różnica między południkiem Waszyngtonu a południkiem wyspy wynosiła, jak widzimy, w zaokrągleniu pięć godzin, to znaczy, że na Wyspie Lincoln było południe wtedy, gdy w Waszyngtonie była już godzina piąta wieczorem. Otóż słońce w swym pozornym ruchu wokół ziemi przebiega jeden stopień w ciągu czterech minut, czyli piętnaście stopni w ciągu godziny. Piętnaście stopni pomnożone przez pięć godzin daje siedemdziesiąt pięć stopni.

Ponieważ zaś Waszyngton leży na $77^{\circ}3'11''$, czyli w przybliżeniu pod siedemdziesiątym siódmym stopniem licząc od południka Greenwich — który Amerykanie wspólnie z Anglikami przyjmują za punkt, od którego rozpoczynają liczyć stopnie długości geo-

graficznej¹²⁸ — zatem wynikało z tego, że wyspa znajduje się o siedemdziesiąt siedem plus siedemdziesiąt pięć stopni na zachód od południka Greenwich, to znaczy na sto pięćdziesiątym drugim stopniu długości zachodniej.

Cyrus Smith oznajmił rezultat obliczeń swoich towarzyszom, biorąc przy tym pod uwagę, podobnie jak to uczynił przy obliczaniu stopnia szerokości, możliwe niedokładności i usterki obserwacji. Na podstawie swoich obliczeń mógł więc twierdzić dość stanowczo, że Wyspa Lincolna położona była między trzydziestym piątym a trzydziestym siódmym równoleżnikiem oraz pomiędzy sto pięćdziesiątym a sto pięćdziesiątym piątym południkiem na zachód od południka Greenwich.

Odchylenie wynikające z niedokładności obserwacji mogło, jak widzimy, wynosić po pięć stopni w obu kierunkach, co licząc po sześćdziesiąt mil na stopień, dawało różnicę do trzystu mil na szerokości lub długości. Jednak ten ewentualny błąd nie mógł w żaden sposób wpłynąć na zamiary kolonistów. Było oczywiste, że Wyspa Lincolna była tak odległa od jakiegokolwiek ładu czy archipelagu, że szaleństwem byłoby odważyć się na pokonanie tej przestrzeni w zwykłej, kruchej łodzi.

W istocie obliczenia inżyniera pokazały, że wyspa znajduje się co najmniej tysiąc dwieście mil od Tahiti¹²⁹ i wysp archipelagu Paumotu, przeszło tysiąc osiemset mil od Nowej Zelandii i około cztery tysiące pięćset mil od brzegów Ameryki.

Cyrus Smith pomimo wysiłków pamięci nie mógł sobie w żaden sposób przypomnieć, by w tej części Pacyfiku istniała jakaś wyspa w miejscu, które według jego obliczeń miała zajmować Wyspa Lincolna.

ROZDZIAŁ XV

Zapada decyzja przezimowania. — Hutnictwo. — Badanie Wysepki Wybawienia. — Polowanie na foki. — Schwytanie kolczatki. — „Leniwiec”. — Tak zwana metoda katalońska. — Produkcja żelaza. — Jak się otrzymuje stal.

Nazajutrz, 17 kwietnia, pierwsze słowa, które marynarz skierował do Gedeona Spilletta, były:

— Jak tam, proszę pana? Kim dziś będziemy?

— Tym, kim Cyrus zechce — odparł reporter.

Dotychczas byli ceglarzami i garncarzami, teraz przypadło im z kolei zostać hutnikami.

Poprzedniego dnia po śniadaniu dotarli aż do samego końca cypla Przylądka Szczęk, odległego o siedem mil od Kominów. Tam kończył się długi łańcuch wydm, a ziemia nabierała wyglądu wulkanicznego. Nie było tam tak wysokich urwisk jak na Płaskowyżu Pięknego Widoku, lecz dziwaczne, fantastyczne skały, które otaczały wąską zatokę ujętą pomiędzy dwa przylądki, składające się z substancji mineralnych wyrzuconych przez wulkan. Po dotarciu do tego miejsca koloniści tą samą drogą ruszyli z powrotem i o zmierzchu przybyli do Kominów. Nie udali się jednak na spoczynek, zanim nie rozstrzygnęli ostatecznie kwestii, czy należało w ogóle zastanawiać się nad opuszczeniem Wyspy Lincolna.

Tysiąc dwieście mil oddzielających wyspę od archipelagu Paumotu stanowiło niemałą odległość. Łodzią nie dałoby się przebyć tej przestrzeni, zwłaszcza podczas zbliżającej się pory burz. Pencroff oświadczył to stanowczo. Wybudowanie zwykłego czółna, nawet gdy się miało pod ręką wszystkie potrzebne do tego narzędzia, było trudnym zadaniem. A koloniści nie mieli tych narzędzi, trzeba więc było zaczynać od wyrobu młotów, siekier, toporków, pił, świdrów, hebli i tak dalej, co wymagało sporo czasu. Postanowili zatem stanowczo przezimować na Wyspie Lincolna i poszukać sobie na zimę wygodniejszego mieszkania niż Kominy.

Przed wszystkim należało wykorzystać rudę żelazną, której pokłady inżynier zauważył w północno-zachodniej części wyspy, i przemienić ją bądź w żelazo, bądź też w stal.

¹²⁸od południka Greenwich, który Amerykanie wspólnie z Anglikami przyjmują za punkt, od którego rozpoczynają liczyć stopnie długości geograficznej — dawniej we Francji jako południka zerowego używano południka przechodzącego przez obserwatorium w Paryżu; południk przechodzący przez brytyjskie obserwatorium w Greenwich przyjęto jako standard międzynarodowy na konferencji w Waszyngtonie w 1884, 10 lat po napisaniu tej powieści. [przypis edytorski]

¹²⁹Tahiti — wulkaniczna wyspa w południowej części Oceanu Spokojnego, w archipelagu Wysp Towarzystwa; największa wśród wysp Polinezji Francuskiej. [przypis edytorski]

Ziemia zazwyczaj nie zawiera metali w stanie zupełnie czystym. Przeważnie występują one w postaci związków z tlenem albo z siarką. Właśnie jedna z próbek, które przyniósł Cyrus Smith, była żelazem magnetycznym¹³⁰, bez domieszki węglanów, a druga pirytem, czyli siarczanem żelaza. Pierwsza więc z nich była tlenkiem żelaza, który należało zredukować za pomocą węgla, to znaczy uwolnić od tlenu, aby uzyskać czysty metal. Redukcję wykonuje się, poddając rudę działaniu bardzo wysokiej temperatury w obecności węgla, albo też za pomocą szybkiej i łatwej metody katalońskiej, mającej tę zaletę, że przemienia rudę bezpośrednio w żelazo, bądź też metodą wielkich pieców, w której rudę zmienia się najpierw w surówkę żelaza, a potem dopiero tę surówkę w czyste żelazo, pozbawiając ją w ten sposób trzech do czterech procent połączonego z nią węgla.

Czego potrzebował Cyrus Smith? Czystego żelaza, a nie surówki. Postanowił zatem zastosować szybszą metodę redukcji. Zresztą znaleziona przez niego ruda była sama w sobie bardzo czysta i bardzo bogata. Należała do tego gatunku rudy tlenkowej, która występuje w ciemnoszarych bryłach, daje czarny pył i tworzy kryształy w kształcie regularnych ośmiościanów. Z tej właśnie rudy pochodzą naturalne magnesy i służy ona w Europie do wyrobu najlepszego żelaza, z którego słyną Szwecja i Norwegia. Niedaleko pokładów rudy znajdowały się złoża węgla kamiennego, z których koloniści już korzystali. To znacznie ułatwiało proces przetapiania rudy, gdyż potrzebne składniki znajdowały się pod ręką. To właśnie ta okoliczność jest powodem tak bogatej eksploatacji rudy w Zjednoczonym Królestwie¹³¹, gdzie w tym samym czasie i w tym samym miejscu wydobywa się rudę i węgiel potrzebne do produkcji metalu.

— A więc, panie Cyrusie — odezwał się Pencroff — zabierzemy się za przerabianie rudy żelaznej?

— Tak jest, przyjacielu — odparł inżynier — i dlatego rozpoczniemy, co zapewne się panu spodoba, od polowania na foki na wysepce.

— Od polowania na foki! — zawołał marynarz, zwracając się do Gedeona Spiletta.

— Więc do produkcji żelaza potrzeba fok?

— Oczywiście, skoro Cyrus tak twierdzi — odparł reporter.

Tymczasem inżynier wyszedł już z Kominów, a Pencroff przygotował się do polowania na foki, nie otrzymawszy innego wyjaśnienia.

Niebawem Cyrus Smith, Harbert, Gedeon Spilett, Nab i marynarz zgromadzili się nad brzegiem morza w miejscu, gdzie w czasie odpływu można było przebyć cieśninę w bród. A że była to właśnie chwila największego odpływu, więc myśliwi przeszli całą cieśninę, mocząc się tylko do kolan.

Cyrus Smith po raz pierwszy postawił stopę na wysepce, a jego towarzysze po raz drugi, gdyż jak wiemy, właśnie tam wyrzucił ich balon.

Gdy wyszli na brzeg, setki pingwinów przypatrywały się im spokojnie. Uzbrojeni w kije koloniści mogli z łatwością utłuc ich całe mnóstwo, lecz taka masakra nie przyniosłaby im żadnej korzyści, tym bardziej że mogłoby to spłoszyć foki, leżące zapewne na piasku kilkaset sążni dalej. Oszczędzili także nieszkodliwe bezlotki, których skrzydła, zredukowane do kikutów, były spłaszczone jak płetwy i pokryte piórami podobnymi do łusek.

Koloniści ostrożnie posuwali się w kierunku północnego krańca wysepki, idąc po terenie usianym małymi rozpadlinami, w których gnieździły się ptaki wodne. Na krańcu wysepki widać było duże czarne punkty pływające na powierzchni wody. Wyglądały jak czubki poruszających się skał.

Były to foki, cel ich łowów. Trzeba było zaczekać, aż wyjdą na brzeg, gdyż dzięki wąskim miednicom, krótkiej i gęstej sierści oraz wrzecionowatemu kształtowi foki są doskonałymi pływakami i bardzo trudno je schwytać w morzu, podczas gdy na lądzie z powodu swoich krótkich, płetwiastych nóg mogą zaledwie powoli pełzać.

Polowanie

¹³⁰żelazo magnetyczne — tu: magnetyt, minerał z gromady tlenków, zawierający ok. 70% żelaza, najbogatsza i najlepsza dla przemysłu ruda żelaza. [przypis edytorski]

¹³¹Zjednoczone Królestwo — tu: Zjednoczone Królestwa Szwecji i Norwegii. Od 1814 do 1905 Szwecja i Norwegia były połączone unią personalną, miały wspólnego monarchę i wspólną politykę zagraniczną. [przypis edytorski]

Pencroff znalazł ich zwyczajnie i radził czekać, aż wyciągną się na piasku, gdzie ogrzewane promieniami słońca wkrótce głęboko zasną. Należy zatem odciąć im odwrót od morza i uderzać je po nozdrzach.

Pochowali się więc za nadbrzeżnymi skałami, czekając w milczeniu.

Minęła godzina, zanim foki wyszły na piasek. Naliczyli ich pół tuzina. Wtedy Pencroff z Harbertem odłączyli się od reszty drużyny, aby obejść cypel wysepki, wziąć foki w dwa ognie i odciąć im odwrót. Tymczasem Cyrus Smith, Gedeon Spilett i Nab, czołgając się wzdłuż skał, podkradali się na miejsce walki.

Nagle zza skał wynurzyła się sążnista¹³² postać marynarza. Pencroff wydał głośny okrzyk. Inżynier ze swymi dwoma towarzyszami rzucili się czym prędzej pomiędzy morze a foki. Dwie sztuki padły martwe na piasku pod silnymi uderzeniami kija, lecz reszta zdołała dotrzeć do morza i odpłynąć.

— Oto foki, których pan potrzebował! — odezwał się marynarz, podchodząc do inżyniera.

— Dobrze — odparł Cyrus Smith. — Zrobimy z nich miechy kowalskie.

— Miechy! — zawołał Pencroff. — Miały szczęście te foki!

Istotnie, inżynier ze skóry fok zamierzał sporządzić rodzaj miechów niezbędnych przy przeróbce rudy. Zwierzęta były średniej wielkości, gdyż ich długość nie przekraczała sześciu stóp, a z pyska podobne były do psów.

Ponieważ nie było potrzeby dźwigać dwóch ciężkich zwierząt, Nab z Pencroffem postanowili ściągnąć z nich skóry na miejscu. W tym czasie Cyrus Smith z reporterem mieli oglądać resztę wysepki.

Marynarz i Murzyn zrećnie wywiązali się ze swego zadania i trzy godziny później Cyrus Smith miał do dyspozycji dwie surowe skóry focze, które zamierzał użyć w tym stanie, bez garbowania¹³³.

Koloniści musieli zaczekać, aż morze znów opadnie, po czym, przeszedłszy w bród przez cieśninę, powrócili do Kominów.

Kosztowało ich немало pracy i trudu porozpinać te skóry na drewnianych ramach, aby się rozciągnęły, a następnie pozszywać je włóknami, tak by móc je napęczyć powietrzem i żeby się zbyt nie ulatniało. Kilkakrotnie musieli rozpoczynać pracę od nowa. Cyrus Smith miał do dyspozycji tylko dwa kawałki zaostrzonej stali zrobione z obroży Topa, mimo to jednak posługiwał się nimi tak zrećnie, a jego towarzysze tak pojętnie mu pomagali, że trzy dni później warsztat małej kolonii powiększył się o miech kowalski, przeznaczony do wdmuchiwania powietrza w środek poddawanej działaniu gorąca rudy, co jest niezbędnym warunkiem powodzenia tej operacji.

20 kwietnia od rana rozpoczęła się „epoka metalurgiczna”, jak ją nazwał reporter w swoich zapiskach. Inżynier postanowił, jak wiemy, produkować żelazo na miejscu, tam, gdzie znajdowały się pokłady węgla i rudy. Według jego obserwacji złoża te leżały u podnóża północno-wschodnich zboczy Góry Franklina, to jest w odległości sześciu mil. Nie można było nawet myśleć o tym, żeby co wieczór powracać do Kominów. Postanowiono więc koczować w szałasie uplecionym z gałęzi, tak żeby ta ważna praca trwała bez ustanku dzień i noc.

Po ustaleniu planu działania rankiem wyruszyli w drogę. Nab z Pencroffem na plecione z gałęzi nieśli miech oraz trochę zapasów roślinnych i zwierzęcych, które zamierzali uzupełnić w drodze.

Szli prosto przez Las Żłotopióra, przecinając go ukośnie od południowego wschodu na północny zachód, przez największą gęstwinę. Musieli utorować sobie drogę, która potem miała stanowić najkrótsze połączenie pomiędzy Płaskowyżem Pięknego Widoku a Górą Franklina. Wokół rosły wspaniałe drzewa, należące od gatunków, które już poznali. Harbert odkrył kilka nowych, między innymi smokowce¹³⁴, które Pencroff na-

¹³²sążnisty — wysoki, długi; por. sążeń: daw. jednostka miary długości wynosząca ok. 2 m. [przypis edytorski]

¹³³garbowanie — proces poddawania surowych skór zwierzęcych działaniu garbników, w celu nadania im miękkości, elastyczności i trwałości, stanowiący najważniejszą część działań prowadzących do otrzymania skóry wyprawionej. [przypis edytorski]

¹³⁴smokowiec — tu: potoczna nazwa drzew o charakterystycznej parasolowatej koronie, należących do rodzaju dracena, występujących subtropikalnych i tropikalnych rejonach Azji, Afryki oraz na Wyspach Kanaryjskich. [przypis edytorski]

zwał „pretensjonalnym porami”, pomimo bowiem swej wielkości należały do tej samej grupy liliowców¹³⁵, co cebula, czosnek, szalotka¹³⁶ czy szparagi. Drzewo to posiada korzonki, które po ugotowaniu mają doskonały smak, a gdy się im pozwole przez jakiś czas fermentować, dają bardzo przyjemny trunek. Zrobili więc spory zapas tych korzeni.

Droga przez las była długa i uciążliwa. Trwała cały dzień, ale za to można się było dokładnie przypatrzeć jego florze i faunie. Top, którego zajmowała szczególnie fauna, biegł wśród traw i zarośli i wystawiał¹³⁷ każdą bez różnicy zwierzynę. Harbert i Gedeon Spilett ubili z łuków dwa kangury i jedno zwierzątko bardzo podobne i do jeża, i do mrówkojada. Do jeża, gdyż zwijało się w kulkę i najeżało kolcami, do mrówkojada zaś, gdyż miało pazury takie jak do grzebania w ziemi, długi, wąski pyszczek, zakończony jak ptasi dziób, i elastyczny język otoczony dokoła drobnymi kolcami, którymi przytrzymywało owady.

— A w garnku do czego będzie podobny? — zapytał oczywiście Pencroff.

— Do kawałka wspaniałej wołowiny — odparł Harbert.

— Niczego więcej od niego nie wymagamy — powiedział marynarz.

Podczas wyprawy spostrzegli kilka dzików, które jednak bynajmniej nie myślały zaczepiać grupki ludzi. Wydawało się więc, że nie napotkają niebezpiecznych drapieżników, gdy nagle w gęstwinie leśnej reporter spostrzegł o kilka kroków od siebie, pomiędzy dolnymi gałęziami drzewa, zwierzę, które wziął za niedźwiedzia, i zaczął je spokojnie szkicować. Na szczęście dla Gedeona Spiletta nie należało ono do tej groźnej rodziny stopochodnych¹³⁸. Był to tylko koala¹³⁹, bardziej znany pod nazwą leniwca¹⁴⁰, wielkości dużego psa, o najeżonej, brudnoszarej sierści i łapach uzbrojonych w silne pazury, co ułatwiało mu łażenie po drzewach i żywienie się liśćmi. Po rozpoznaniu gatunku zwierzęcia, nie naruszając jego spokoju, Gedeon Spilett wykreślił z opisu rysunku słowo „niedźwiedź”, napisał zamiast tego „koala”, po czym ruszyli dalej.

O piątej po południu Cyrus Smith zarządził postój. Znajdowali się wówczas już poza obrębem lasu, u podnóża olbrzymich pasm bocznych, które od wschodu zdawały się podparć Górę Franklina. O kilkaset kroków dalej płynął Czerwony Potok, więc niedaleko była woda do picia.

Natychmiast urządzono koczowisko. W niespełną godzinę na skraju lasu pomiędzy drzewami stanął szałas z gałęzi i wikliny, obrzuconych gliną, który dawał dostateczne schronienie. Poszukiwania geologiczne odłożono do następnego dnia. Przygotowano kolację, przed szalaszem zapłonęło wielkie ognisko i zaczął się kręcić rożen. O ósmej, podczas gdy jeden z nich czuwał, by podtrzymać ogień na wypadek, gdyby w pobliżu wałęsały się jakieś niebezpieczne drapieżniki, pozostali spali już głębokim snem.

Nazajutrz, 21 kwietnia, Cyrus Smith udał się w towarzystwie Harberta na poszukiwanie terenu starych formacji geologicznych, gdzie wcześniej znalazł próbkę rudy. Znaleźli jej pokłady na powierzchni ziemi, prawie przy samym źródle Czerwonego Potoku, u podnóża jednego z północno-wschodnich poprzecznych pasm Góry Franklina. Bogata w żelazo ruda, zawarta w łatwo topliwej skale płonnej¹⁴¹, doskonale nadawała się do metody, którą inżynier zamierzał zastosować, mianowicie do metody katalońskiej, tylko nieco uproszczonej, tak jak się jej używa na Korsyce.

¹³⁵*liliowce, Liliales* (biol.) — rząd roślin jednoliściennych, obejmujący gł. rośliny wieloletnie, wytwarzające zwykle jako organy przetrwalnikowe kłącza, bulwy lub cebule; w miarę rozwoju systematyki skład i podział tego rzędu znacznie się zmieniał. [przypis edytorski]

¹³⁶*szalotka a. czosnek askaloński* (biol.) — roślina z rodziny czosnkowatych, używana jako warzywo. [przypis edytorski]

¹³⁷*wystawiać* — tu o psie łowieckim: wskazywać myśliwemu nieruchomym ciałem miejsce, gdzie znajduje się zwierzyna. [przypis edytorski]

¹³⁸*stopochodne* (biol.) — ssaki, które podczas poruszania się opierają się na całych powierzchniach stóp i dłoni. [przypis edytorski]

¹³⁹*koala* (biol.) — nadrzewny torbacznik żyjący we wsch. Australii, z wyglądu przypominający niewielkiego niedźwiadka, spędzający większość życia na gałęziach drzew eukaliptusowych, których liśćmi się odżywia; z powodu zapewniającej niewiele energii diety jest ospały i większość doby przesypia. [przypis edytorski]

¹⁴⁰*koala, bardziej znany pod nazwą leniwca* — leniwce należą do zupełnie innej grupy ssaków niż koale, zamieszkują inny region świata (Amerykę Śr. i Płd.), ale tak samo prowadzą nadrzewny i roślinożerny tryb życia i powoli się poruszają. Opis podany przez autora pasuje do obu rodzajów zwierząt. [przypis edytorski]

¹⁴¹*skała płonna* — skała, która przy wydobywaniu danej kopaliny jest uważana za nieużyteczną. [przypis edytorski]

Pełna metoda katalońska wymaga bowiem pieców i tygli, w których ruda, przekładana kolejno warstwami węgla, przetapia się i ulega redukcji. Jednak Cyrus Smith chciał się obejść bez tych urządzeń, zamierzał po prostu ułożyć z rudy i węgla duży sześcienny stos i w jego środek tłoczyć powietrze z miecha. Bez wątpienia metody tej używał jeszcze Tubal-Kain¹⁴² i pierwsi metalurdzy świata. Otóż co się udało wnukom Adama, co wciąż dawało pomyślne wyniki w okolicach obfitujących w rudę i opał, musiało także udać się kolonistom na Wyspie Lincolna.

Węgla, podobnie jak rudy, nazbierali bez trudu i blisko, z powierzchni ziemi. Najpierw rozbili rudę na drobne kawałki i oczyścili ręcznie powierzchowne zanieczyszczenia. Następnie ułożyli na przemian rudę i węgiel warstwami w pryzmę, jak to się robi z drewnem przy wypalaniu węgla drzewnego. Tym sposobem pod wpływem tłoczonego miechem powietrza węgiel miał zamienić się w kwas węglowy¹⁴³, a następnie w tlenek węgla, który działa redukująco na tlenek żelaza, czyli uwalnia z niego tlen.

Tak też postępował inżynier. Miech uszyty z foczej skóry, zaopatrzony na końcu w rurkę z ogniotrwałej gliny, wypaloną wcześniej w piecu garncarskim, umieszczono tuż przy pryzmie rudy. Wprowadzany w ruch za pomocą mechanizmu składającego się z drewnianego stelażu, sznurów z włókien oraz przeciwwagi, wprowadzał w pryzmę masę powietrza, które podnosząc temperaturę, brało jednocześnie udział w reakcji chemicznej mającej dać czyste żelazo.

Było to trudne przedsięwzięcie i trzeba było całej cierpliwości i zręczności kolonistów, aby je doprowadzić do pożądanego skutku. W końcu jednak udało się, a namacalnym rezultatem jego była bryła żelaza w stanie gąbczastym, którą trzeba było dopiero wykuć, aby pozbawić ją innych składników skały płonnej. Oczywiście naszym domorosłym kowalom brakowało pierwszego młota. W końcu byli w takiej samej sytuacji jak pierwszy hutnik, postąpili więc tak samo, jak on musiał postąpić.

Pierwsza bryła, osadzona w drewnianym trzonku, posłużyła za młot do wykucia na granitowym kowadle drugiej bryły. W ten sposób otrzymali wprawdzie pośledni, ale nadający się do użytku metal.

Wreszcie po wielu wysiłkach i trudach udało im się 25 kwietnia wykuć kilka sztab żelaza i przekształcić je w rozmaite narzędzia jak obcęgi, kleszcze, kilofy, motyki, które Pencroff i Nab uważali za istne cacka.

Metal ten jednak największy pożytek mógł przynieść kolonistom nie w postaci czystego żelaza, lecz jako stal. Otóż stal jest stopem żelaza i węgla, który otrzymuje się bądź z surówki, pozbawiając ją nadmiaru węgla, bądź też z żelaza, przez dodanie brakującego węgla. Pierwsza metoda, przez odwęglanie surówki, daje stal naturalną, zaś druga, przez nawęglanie żelaza, daje stal cementową.

Ten drugi sposób najbardziej odpowiadał Cyrusowi Smithowi, ponieważ posiadał żelazo w stanie czystym. Osiągnął swój cel, podgrzewając żelazo wraz ze sproszkowanym węglem w tyglu wykonanym z ogniotrwałej gliny.

Uzyskaną w ten sposób stal, dającą się na zimno i na gorąco dowolnie giąć i kształtować, obrobił porządnie młotem. Nab i Pencroff pod fachowym kierownictwem inżyniera sporządzili kilka ostrzy do siekier, które doskonale zahartowali, rozgrzewając do czerwoności, a potem szybko zanurzając w zimnej wodzie.

Takim sposobem sporządzili także inne narzędzia, oczywiście o prostych kształtach, jak ostrza do hebli, siekiery, toporki, stalowe klingi do wyrobu pił, dłuta ciesielskie, metalowe części motyk, łopat, kilofów, młotów oraz gwoździe.

Wreszcie dnia 5 maja zakończyła się pierwsza epoka metalurgiczna, a kowale powrócili do Kominów. Wkrótce nowe prace miały ich pasować na wykonawców innych zawodów.

ROZDZIAŁ XVI

¹⁴²Tubal-Kain — biblijny pierwszy kowal z czasów przedpotopowych (Rdz 4, 22). [przypis edytorski]

¹⁴³kwas węglowy — tu w znaczeniu używanym w dawnej terminologii chemicznej: dwutlenek węgla. [przypis edytorski]

Powraca kwestia mieszkania. — Fantastyczne projekty Pencroffa. — Badanie północnych brzegów jeziora. — Północny kraniec płaskowyżu. — Węże. — Brzegi jeziora. — Niepokój Topa. — Top wskakuje do wody. — Walka podwodna. — Diugon.

Był dzień 6 maja, który odpowiada dniowi 6 listopada na półkuli północnej. Niebo od kilku dni było zachmurzone, należało więc pomyśleć o sposobie przetrwania. Co prawda temperatura nie obniżyła się jeszcze bardzo znacznie i termometr Celsjusza przeniesiony na Wyspę Lincolna wskazywałby dziesięć do dwunastu stopni powyżej zera. Ta temperatura nie powinna dziwić, gdyż Wyspa Lincolna, leżąca prawdopodobnie między trzydziстым piątym a czterdziстым równoleżnikiem, powinna na półkuli południowej znajdować się w takich samych warunkach klimatycznych, jak Sycylia lub Grecja na półkuli północnej. Lecz podobnie jak Grecja lub Sycylia doświadczają silnych chłódów, sprowadzających nieraz śnieg i zamarzanie wód, tak samo niewątpliwie i na Wyspie Lincolna w pełni zimy mogła się znacznie obniżyć temperatura, przeciw czemu trzeba się było z góry zabezpieczyć.

W każdym razie nawet jeśli na razie nie zagrażało zimno, to zbliżała się pora deszczowa, a na tej samotnej wyspie na środku Pacyfiku, wystawionej na morskie wichry, burze musiały być częste i straszne.

Należało więc poważnie rozważyć i niezwłocznie rozstrzygnąć kwestię znalezienia mieszkania odpowiedniejszego niż Kominy.

Pencroff miał oczywiście pewną słabość dla schronienia, które sam wyszukał, mimo to zgadzał się, że trzeba poszukać innego. Już raz morze wtargnęło do Kominów, w kamiennych okolicznościach, nie można więc było narażać się na powtórny taki wypadek.

— Zresztą — dodał Cyrus Smith, który tego dnia rozmawiał o tym z towarzyszami — musimy przedsięwziąć pewne środki ostrożności.

— A to czemu? — zagadnął reporter. — Przecież wyspa nie jest zamieszkała.

— Możliwe — odparł inżynier — chociaż nie zbadaliśmy jej jeszcze w całości. Ale nawet jeśli ma na niej innych ludzi, obawiałbym się dzikich zwierząt. Musimy więc zabezpieczyć się przed możliwą napaścią, tak żeby co noc jeden z nas nie musiał czuwać przy rozpalonym ognisku. Poza tym, przyjaciele, trzeba wszystko przewidzieć. Znajdujemy się w tej części Pacyfiku, którą często odwiedzają piraci malajscy.

— Jak to? — odezwał się Harbert. — Tak daleko od jakiegokolwiek kawałka ziemi?

— Tak jest, mój chłopcze — odparł inżynier. — Ci piraci są równie śmiały i żeglarski, jak niebezpiecznymi złoczyńcami, więc musimy się podjąć odpowiednie środki ostrożności.

— Dobrze więc — odparł Pencroff — obwarujemy się tu przed dzikimi czworonogami i dwunogami. Ale czy nie byłoby dobrze, panie Cyrusie, zbadać najpierw całą wyspę, zanim coś postanowimy?

— Tak byłoby lepiej — dodał Gedeon Spilett. — Kto wie, czy na przeciwległym wybrzeżu nie znajdziemy jakiejś jaskini, której daremnie szukaliśmy tutaj?

— To prawda — odpowiedział inżynier — lecz nie zapominajcie o tym, przyjaciele, że musimy zamieszkać w pobliżu słodkiej wody i że patrząc z Góry Franklina, nie dostrzegliśmy na zachodzie żadnego strumienia ani rzeki. Tutaj natomiast mamy po jednej stronie Rzekę Dziękczynienia, a po drugiej Jezioro Granta, co stanowi znaczną zaletę, której nie należy lekceważyć. Co więcej, ta część wybrzeża, zwrócona na wschód, jest mniej niż tamta wystawiona na pasaty¹⁴⁴ wiejące na tej półkuli z północnego zachodu.

— A więc, panie Cyrusie — odezwał się marynarz — wybudujemy dom nad brzegiem jeziora. Nie brakuje nam teraz ani cegieł, ani narzędzi. Byliśmy już ceglarnikami, garncarzami, hutnikami i kowalami, to, do licha, możemy też zostać murarzami!

— Owszem, przyjacielu, ale zanim się na to zdecydujemy, trzeba się najpierw rozejrzeć. Mieszkanie zbudowane przez samą naturę oszczędziłoby nam sporo pracy i niewątpliwie byłoby znacznie bezpieczniejszym schronieniem, gdyż chroniłoby nas równie skutecznie przed wrogami z wnętrza wyspy, jak i przed przybyszami z zewnątrz.

— Bez wątpienia, Cyrusie — odparł reporter — ale przeszukaliśmy już cały ten granitowy masyw wybrzeża i nie znaleźliśmy nigdzie ani żadnej dziury, ani nawet szczeliny.

¹⁴⁴pasat — ciepły, stały wiatr o umiarkowanej sile, wiejący w strefie międzyzwrotnikowej; na półkuli północnej pasaty wieją z północnego wschodu, zaś na południowej z południowego wschodu. [przypis edytorski]

— Ani jednej! — dodał Pencroff. — A gdybyśmy tak wykuli sobie mieszkanie w tej skale, na pewnej wysokości, tak żeby nie było do niego znikąd dostępu... O, to by było świetnie! Już je widzę, właśnie w tej fasadzie od strony morza, pięć lub sześć pokoiów.

— Z oknami, które by je oświetlały! — zawołał, śmiejąc się, Harbert.

— I ze schodami, po których by się wchodziło! — dodał Nab.

— Z czego się śmiejecie?! — zawołał marynarz. — Co jest w mojej propozycji niemożliwego? Czyż nie mamy kilofów i motyk? Czy pan Cyrus nie potrafiłby zrobić prochu, żeby wysadzić skały? Prawda, panie Cyrusie, że sporządzi pan proch, jeśli będzie nam potrzebny?

Cyrus Smith przysłuchiwał się, jak Pencroff z entuzjazmem rozwija swoje nieco fantastyczne projekty. Rozsadzić te masy granitowe, nawet za pomocą min prochowych, byłoby pracą iście herkulesową¹⁴⁵ i doprawdy należało ubolewać, że sama przyroda nie wykonała chociaż najuciążliwszej części. Inżynier jednak w odpowiedzi marynarzowi zaproponował tylko, aby dokładniej zbadać granitowe urwisko, poczynawszy od ujścia rzeki aż do północnej krawędzi.

Wyszli więc i podjęli staranne poszukiwania na przestrzeni blisko dwóch mil. Ale zbita i gładka ściana nie miała nigdzie najmniejszego wgłębienia. Gniazda skalnych gołębi okrążających jej szczyt były po prostu dziurami wyżłobionymi na samym jej szczycie i na nieregularnie poszarpanej krawędzi.

Była to niefortunna okoliczność, a o tym, by bądź to za pomocą kilofa, bądź też min prochowych, uzyskać w masywie dostateczne wydrążenie, nie można było nawet myśleć. Tylko przez przypadek Pencroff odkrył jedyne w całej tej części wybrzeża miejsce mogące posłużyć za tymczasowe schronienie, a miejscem tym były Kominy, które teraz trzeba było porzucić.

Ukończywszy poszukiwania, koloniści znaleźli się na północnej krawędzi granitowej ściany, gdzie przechodziła ona w stoki stopniowo opadające aż do piaszczystego wybrzeża. Poczynawszy od tego miejsca aż po najdalszy zachodni kraniec ściana zmieniała się w rodzaj skarpy, utworzonej z nagromadzonych stosów kamieni, ziemi i piasku, porośniętej tu i ówdzie krzewami, drzewkami i trawami, której nachylenie wynosiło tylko czterdzieści pięć stopni. Miejscami przeświecał nagi granit, tworząc ostre występy. Grupy drzew wznosiły się na stokach pokrytych dość gęstym kobiercem traw. Lecz tu kończyła się wszelka roślinność i od podnóża skarpy zaczynała się długa piaszczysta równina, ciągnąca się aż do samego brzegu morza.

Cyrus Smith sądził nie bez podstaw, że właśnie z tej strony powinna znajdować się kaskada, którą woda wypływa z jeziora. Nadmiar wody napływającej ustawicznie z Czerwonego Potoku musiał w którymś miejscu uchodzić. Tymczasem inżynier nie mógł znaleźć tego odpływu na żadnym z odwiedzonych już brzegów jeziora, to jest poczynawszy od ujścia potoku na zachód aż do Płaskowyzu Pięknego Widoku.

Inżynier zaproponował zatem towarzyszom wspięcie się na szczyt tej skarpy, której się właśnie przypatrywali, i powrót jej grzbietem do Kominów, przy czym po drodze zbadaliby północne i wschodnie brzegi jeziora.

Propozycja została przyjęta i w kilka minut później Harbert z Nabem stanęli na szczycie skarpy, a za nimi statecznym krokiem zdążali Cyrus Smith, Gedeon Spilett i Pencroff.

O dwieście kroków stamtąd przez gałęzie drzew połyskiwała w słonecznych promieniach wspaniała płaszczyzna wodna. Krajobraz w tym miejscu był cudowny. Pożółkłe drzewa porozstawiane w malowniczych kępach zachwycały oko. Tu i ówdzie pnie sędziwych drzew powalonych pod ciosami wieków odcinały się czarną korą od świeżej zieloności. Rozlegał się świergot hałaśliwych papużek kakadu, które jak barwne pryzmaty skakały z gałęzi na gałąź. Wydawało się, że to promienie słońca, przedzierając się przez listowie, rozprysnęły się we wszystkie barwy tęczy.

Zamiast udać się wprost ku północnym brzegom jeziora koloniści obeszlą dokoła skraj płaskowyzu, tak aby dostać się lewym brzegiem Czerwonego Potoku do jego ujścia. Tym sposobem nadłożyli najwyżej półtorej mili drogi. Droga była łatwa, gdyż rzadko rosnące drzewa pozostawiały wolne przejście. Widocznie tutaj kończyła się żyzna strefa, a roślin-

Natura

¹⁴⁵*Herkules* (mit. gr.) — bohater słynny z ogromnej siły i wykonania 12 trudnych i niebezpiecznych zadań. [przypis edytorski]

ność była tu mniej obfita niż na całym obszarze pomiędzy Czerwonym Potokiem a Rzeką Dziękczynienia.

Cyrus Smith i jego towarzysze posuwali się ostrożnie po tej nieznaną sobie ziemi. Całe ich uzbrojenie stanowiły luki, strzały i okute żelazem kije. Nie spotkali jednak żadnego dzikiego zwierzęcia, widocznie wszystkie zamieszkiwały gęste lasy rozpościerające się na południu. Mieli niemiłą niespodziankę, gdy spostrzegli, że Top zatrzymał się przed potężnym wężem, mającym czternaście do piętnastu stóp długości. Nab jednym uderzeniem kija zabił go na miejscu. Cyrus Smith oglądając gada i oświadczył, że nie jest jadowity i że należy do gatunku węży diamentowych¹⁴⁶, którymi żywią się mieszkańcy Nowej Południowej Walii¹⁴⁷. Jednak na wyspie mogły istnieć także inne gady, których ukąszenie jest śmiertelne, na przykład żmija głucha¹⁴⁸ z rozwidlonym ogonem, która nagle rozwija się pod nogami człowieka, lub wąż latający¹⁴⁹, mający parę jakby nauszników, które pozwalają mu osiągnąć niezwykłą szybkość. Top, ochłonawszy z pierwszego wrażenia, rozpoczął polowanie na gady z taką zaciekłością, że obawiali się o niego. Jego pan nieustannie przywoływał go do nogi.

Niebawem dotarli do miejsca, gdzie Czerwony Potok wpadał do jeziora. Na przeciwnym brzegu koloniści poznali okolicę, którą już odwiedzili, schodząc z Góry Franklina. Cyrus Smith stwierdził, że potokiem płynęły znaczne ilości wody, nie ulegało zatem wątpliwości, że gdzieś musiało istnieć naturalne ujście, którym wypływał nadmiar wody z jeziora. Chodziło o to, aby znaleźć ten odpływ, musiał on bowiem tworzyć wodospad, którego siłę mechaniczną można by było spożytkować.

Koloniści, idąc wolno, lecz nie oddalając się zbyt od siebie, zaczęli okrążać urwisty brzeg jeziora. Wyglądało na pełne ryb, a Pencroff obiecywał sobie sporządzić jakiś sprzęt rybacki, aby móc je łowić do woli.

Przede wszystkim trzeba było obejść stromą skałę na północnym wschodzie. Można się było spodziewać, że właśnie tu znajduje się odpływ, gdyż skraj jeziora sięgał prawie aż do krańca płaskowyżu. Oczekiwania jednak zawiodły i koloniści podążyli dalej brzegiem jeziora, który po łagodnym zakręcie ciągnął się równoległe do wybrzeża morskiego.

Z tej strony brzegi jeziora były mniej lesiste, lecz porozrzucane tu i ówdzie kępy drzew dodawały krajobrazowi malowniczości. Jezioro Granta ukazywało się stąd w całej swojej rozciągłości, a żaden podmuch wiatru nie marszczył gładkiego zwierciadła wody. Top, buszując w krzakach, ploszył chmary rozmaitego ptactwa, do których Gedeon Spilett i Harbert wysłali strzały z luków. Jeden z tych ptaków, raniony celną strzałą Harberta, spadł w bagniste zarośla. Top rzucił się w tę stronę i przyniósł po chwili pięknego wodnego ptaka, popielatej barwy, o krótkim dziobie, silnie rozwiniętej kości czołowej, o palcach z szeroką festonową¹⁵⁰ obwódka i skrzydłach obwiedzionych białym obramowaniem. Była to łyska, wielkości dużej kuropatwy, należąca do grupy makrodaktyli¹⁵¹, stanowiącej grupę pośrednią między ptakami czaplowatymi a pletwonogimi. Nędzna to zdobycz i jej smak pozostawia wiele do życzenia. Ponieważ jednak Top był mniej wybredny od swoich panów, postanowiono uraczyć go tą łyską na kolację.

Następnie koloniści podążyli wschodnim brzegiem jeziora i niebawem mieli dojść do znanych sobie okolic. Inżynier był bardzo zdziwiony, nie spotkawszy nigdzie żadnego śladu zdradzającego odpływ wody z jeziora. Reporter i marynarz rozmawiali z nim o tym, a on nie ukrywał przed nimi swego zdumienia.

W tej chwili Top, dotąd całkiem spokojny, zaczął okazywać jakieś zaniepokojenie. Mądre zwierzę biegało tam i z powrotem wzdłuż brzegu, zatrzymywało się nagle i wlepiało

¹⁴⁶wąż diamentowy, *Morelia spilota* (biol.) — średniej wielkości pyton z pld.-wsch. Australii, mający na ciemnym ciele liczne żółtawe plamki, stąd nazwa. [przypis edytorski]

¹⁴⁷*Nowa Południowa Walia* — stan Australii położony w pld.-wsch. części kontynentu. [przypis edytorski]

¹⁴⁸żmija głucha z rozwidlonym ogonem — zapewne *Acanthophis*, rodzaj niezwykle jadowitych węży występujących w Australii. [przypis edytorski]

¹⁴⁹wąż latający — węzółot (*Chrysopelea ornata*), gatunek węży z pld. Azji, które potrafią rzucić się z drzewa i szybować lotem ślizgowym, szeroko rozszerzając żebra, dzięki czemu powierzchnia brzucha staje się wklęsłą; jad węzółotów jest niegroźny dla ludzi. [przypis edytorski]

¹⁵⁰feston — rodzaj wiszącej dekoracji z roślin bądź z tkaniny. [przypis edytorski]

¹⁵¹makrodaktyle, *Macroductiles* (daw. biol.) — dosł.: długopalce, rząd ptaków w dawnej klasyfikacji fr. zoologa Cuviera, charakteryzujący się długimi palcami stóp niepołączonymi ze sobą lub złączonymi błoną w niewielkim stopniu. [przypis edytorski]

wzrok w powierzchnię wody, podniósłszy jedną łapę do góry, jak gdyby wystawiając jakąś niewidzialną zwierzynę. Pies to zapalczywie szczekał, jak gdyby był na jakimś tropie, to znowu nagle milknął.

Początkowo ani Cyrus Smith, ani jego towarzysze nie zwracali uwagi na zachowanie się psa, lecz w końcu ujadanie stało się tak zaciekle, że zaniepokoiło inżyniera.

— Co się dzieje, Top? — zapytał.

Pies w kilku susach powrócił do swojego pana, zdradzając widoczne zaniepokojenie, lecz wkrótce popędził znów nad brzeg jeziora. Nagle rzucił się do wody.

— Top, do nogi! — zawołał Cyrus Smith, obawiając się puszczać psa do tej podejrzanej wody.

— Co się tam dzieje pod wodą? — zapytał Peacroff, patrząc na powierzchnię jeziora.

— Pewnie Top zwietrzył jakieś ziemnowodne zwierzę — odparł Harbert.

— Może aligatora? — powiedział reporter.

— Nie sądzę — odparł Cyrus Smith. — Aligatory występują tylko w krajach o niższej szerokości geograficznej.

Top tymczasem zawrócił na głos swojego pana i wylazł na brzeg, ale w żaden sposób nie mógł się uspokoić. Skakał w wysokiej trawie i sprawiał wrażenie, jakby wiedziony instynktem gonił za jakimś niewidzialnym stworzeniem płynącym pod wodą wzdłuż brzegów jeziora. Powierzchnia wody jednak była całkiem gładka, bez żadnej zmarszczki. Koloniści kilkakrotnie zatrzymywali się nad brzegiem, przypatrując się uważnie wodzie. Niczego nie zauważyli. Kryła się w tym jakaś tajemnica.

Inżynier był mocno zaciekawiony.

— Doprowadźmy nasze poszukiwania do końca — powiedział do swoich kolegów.

W pół godziny później doszli do południowo-wschodniego krańca jeziora i znaleźli się na Płaskowyżu Pięknego Widoku. Tym samym badanie brzegów jeziora należało uznać za zakończone, a jednak inżynier nie zdołał w żaden sposób odkryć, którędy i w jaki sposób woda odpływa z jeziora.

— A jednak ten przelew musi się gdzieś istnieć — powtarzał inżynier — a ponieważ nie widać go z zewnątrz, to woda musiała go wyżłobić wewnątrz granitowego masywu wybrzeża.

— Ale czy to dla pana takie ważne, drogi Cyrusie? — zapytał Gedeon Spilett.

— Bardzo ważne — odparł inżynier — gdyż jeśli woda przewierciła sobie odpływ przez granitowy masyw, to być może istnieje tam jakaś pieczara, którą można by wykorzystać na mieszkanie po skierowaniu biegu wody w inną stronę.

— Ale czy nie jest też możliwe, panie Cyrusie — odezwał się Harbert — że woda odpływa dnem jeziora, uchodząc do morza przez jakiś podziemny kanał?

— Być może tak jest — odparł inżynier — a jeśli tak, to będziemy musieli sami wybudować sobie dom, bo natura nie wykonała za nas wstępnych prac.

Koloniści zamierzali przejść Płaskowyżem Pięknego Widoku, aby dostać się do Kominów, gdyż była już piąta po południu, gdy nagle Top zaczął znowu przejawiać niepokój. Szczekał zajadle i zanim jego pan zdołał powstrzymać, wskoczył po raz drugi do jeziora.

Wszyscy pobiegli na brzeg. Pies odpłynął już tymczasem o jakieś dwadzieścia stóp, a Cyrus przywoływał go ostro, gdy nagle olbrzymi łeb wynurzył się z wody, która w tym miejscu nie wydawała się zbyt głęboka.

Harbert od razu poznał ziemnowodne zwierzę, do którego należał ten wydłużony łeb z dużymi ślepiami, ozdobiony długimi, jedwabistymi wąsami.

— To manat¹⁵²! — zawołał.

Nie był to manat, lecz zwierzę z gatunku należącego do tego samego rzędu waleni, zwane diugoniem¹⁵³, mające nozdrza w górnej części pyska.

¹⁵²*manat* — duży roślinożerny ssak wodny, żyjący w przybrzeżnych rejonach Atlantyku w strefie tropikalnej; w obecnej klasyfikacji manaty razem z diugoniem tworzą odrębny rząd brzegowców (syren), dawniej uznawanych za „roślinożerne walenie”. [przypis edytorski]

¹⁵³*diugon* — duży roślinożerny ssak wodny zaliczany do rzędu brzegowców (syren), żyjący w lagunach, rzekach, zatokach i przybrzeżnych wodach mórz tropikalnych i subtropikalnych Oceanu Indyjskiego i zach. części Pacyfiku. [przypis edytorski]

Olbrzymie zwierzę rzuciło się na psa, który na próżno usiłował uciec przed nim na brzeg. Jego pan nie mógł mu w niczym dopomóc i zanim Spilettowi lub Harbertowi przyszło na myśl, by chwycić za luki, już pochwycony przez diugonia Top zniknął pod wodą.

Nab, trzymając w rękę okutą żelazem włócznię, chciał rzucić się na ratunek psu, gotów zaatakować groźne zwierzę w jego własnym żywiole.

— Nie, Nabie — powiedział inżynier, powstrzymując śmiałka.

Tymczasem pod wodą toczyła się walka, walka niepojęta, gdyż w tych warunkach Top nie mógł przecież stawiać oporu. Walka musiała być straszliwa, co było widać po spienionej powierzchni wody, a nie mogła zakończyć się inaczej jak tylko śmiercią psa! Wtem wśród spienionych fal pojawił się Top. Wyrzucony w powietrze jakąś nieznaną siłą, wznosił się na dziesięć stóp ponad powierzchnię wody, wpadł w nią z powrotem i wkrótce dopłynął do brzegu, bez żadnych cięższych obrażeń, ocalony doprawdy cudem.

Cyrus Smith i jego towarzysze patrzyli zdumieni, nie mogąc nic pojąć. W dodatku działo się coś jeszcze dziwniejszego! Wyglądało na to, że pod wodą wciąż trwa walka. Zapewne diugon, napadnięty przez jakieś inne potężne zwierzę, wypuścił psa i walczył teraz o własne życie.

Nie trwało to jednak długo. Woda zabarwiła się krwią, a ciało diugonia, otoczone rozszerzającą się szkarłatną plamą, wynurzyło się na powierzchnię i niebawem zatrzymało się na małej mieliźnie na południowym krańcu jeziora.

Koloniści pobiegli w to miejsce. Diugon nie żył. Było to olbrzymie zwierzę, długości piętnastu do szesnastu stóp, ważące trzy do czterech tysięcy funtów¹⁵⁴. Na karku miał szeroką ranę, zadaną jakby ostrzem topora.

Co to mógł być za potwór, który tak strasznym ciosem powalił potężnego diugonia? Nikt nie mógł tego odgadnąć i przejęci tym zdarzeniem Cyrus Smith i jego towarzysze powrócili do Kominów.

ROZDZIAŁ XVII

Wycieczka do jeziora. — Prąd wody przewodnikiem. — Projekty Cyrusa Smitha. — Tłuszcz diugonia. — Użytek z łupków pirytowych. — Siarczan żelaza. — Jak się przyrządza glicerynę. — Mydło. — Saletra. — Kwas siarkowy. — Kwas azotowy. — Nowy wodospad.

Nazajutrz, 7 maja, Cyrus Smith i Gedeon Spilett, zostawiwszy Naba zajętego gotowaniem śniadania, wyszli na Płaskowyż Pięknego Widoku, podczas gdy Harbert z Pen-croffem wyruszyli od ujścia rzeki w górę, aby uzupełnić zapas drewna.

Inżynier z reporterem przybyli niebawem do niewielkiej plaży na południowym końcu jeziora, gdzie zostało wyrzucone olbrzymie cielsko. Gromady ptaków obsiadły już tę górę mięsa i trzeba je było odpędzać kamieniami. Cyrus Smith bowiem chciał zachować tłuszcz diugonia i wykorzystać go na potrzeby kolonii. Także i mięso zwierzęcia powinno być wyśmienitym pożywieniem, gdyż w niektórych okolicach Malajów¹⁵⁵ podaje się je tylko do stołów miejscowych książąt. Ale to była sprawa Naba.

W tej chwili Cyrusowi krążyły po głowie inne myśli. Zdarzenie poprzedniego dnia utkwiło mu głęboko w pamięci i nie przestało go nurtować. Chciał przeniknąć tajemnicę podwodnej walki i przekonać się, co za krewniak mastodontów¹⁵⁶ czy innych morskich potworów zadał diugoniowi tak straszliwą, a dziwną ranę.

Stał więc nad brzegiem jeziora, obserwując i przypatrując się uważnie, ale nic nie dostrzegł pod powierzchnią wody, spokojnej i gładkiej, połyskującej w porannych promieniach słońca.

Na mieliźnie, gdzie leżało ciało diugonia, woda była dość płytka, lecz od tego miejsca dno jeziora stopniowo się obniżało i prawdopodobnie na samym środku było bardzo głę-

¹⁵⁴*funt* — dawna angielska jednostka wagi równa ok. 0,45 kg; 4000 funtów to ok. 1800 kg, w rzeczywistości diugonie osiągają maksymalnie połowę tej wagi. [przypis edytorski]

¹⁵⁵*Malaje* — nazwa stosowana do dawnych posiadłości brytyjskich na Półwyspie Malajskim, czyli w pld. części Półwyspu Indochińskiego. [przypis edytorski]

¹⁵⁶*mastodont amerykański* — wymarły ssak z rodziny słoniowatych. [przypis edytorski]

bokie. Można je było uważać za rodzaj olbrzymiej niecki wypełnionej wodą z Czerwonego Potoku.

— Cóż, Cyrusie — zagadnął reporter — nie ma, zdaje mi się, w tej wodzie nic podejrzanego?

— Owszem, drogi Spilett — odparł inżynier — i doprawdy nie wiem, jak sobie wytłumaczyć wczorajsze zdarzenie.

— Przyznaję sam — ciągnął dalej Gedeon Spilett — że rana zadana temu zwierzęciu jest co najmniej dziwna. Nie umiem też wytłumaczyć, jak to możliwe, że Top z taką siłą wyleciał ponad wodę. Można by naprawdę uwierzyć, że to jakaś potężna ręka wyrzuciła go na powierzchnię i że ta sama ręka uzbrojona w sztylet uśmierciła następnie diugonia!

— Tak — odparł inżynier w zamyśleniu. — Jest w tym coś, czego w żaden sposób nie mogę zrozumieć. Ale czy zrozumiałe jest dla ciebie, drogi Spilett, w jaki sposób ja sam zostałem ocalony, wydobyty z fal morskich i przeniesiony pomiędzy wydmy? Prawda, że nie? Otóż i w tym widzę jakąś tajemnicę, którą niewątpliwie kiedyś się odkryjemy. Zaostrzmy więc naszą czujność, ale przy naszych towarzyszach nie wspominajmy więcej o wczorajszym zdarzeniu. Zachowajmy swoje spostrzeżenia dla siebie i róbmy dalej, co do nas należy.

Jak wiemy, inżynierowi nie udało się jeszcze odkryć, którędy uchodzi nadmiar wody z jeziora, a ponieważ nigdzie nie było śladów, żeby kiedyś przelała się wierzchem, zatem gdzieś musiał istnieć odpływ. Mocno się więc zdziwił, zauważywszy w tym miejscu dość wyraźny prąd. Wrzucił do wody kilka drobnych kawałków drzewa i stwierdził, że popłynęły w stronę południowego rogu. Idąc brzegiem, podążył za tym prądem i doszedł do południowego krańca jeziora.

Tutaj powierzchnia jeziora zdradzała pewną wklęsłość, jak gdyby woda wpadała nagle przez szczelinę w ziemi.

Cyrus Smith, przyłożywszy ucho do ziemi, usłyszał wyraźnie jakby szum podziemnej kaskady.

— To tutaj — powiedział, wpatrując się. — To właśnie tu uchodzi woda, tędy odpływa do morza podziemnym kanałem wyłobionym w granicie, przez jakieś wydrążenia, które moglibyśmy zużytkować na naszą korzyść! Zresztą, przekonamy się zaraz!

Inżynier wyciął długą gałąź, ogołocił ją z liści i zanurzywszy ją w wodę w samym rogu kąta między obydwoma brzegami, natrafił na szeroki otwór, położony zaledwie o stopę pod powierzchnią wody. Był to otwór tego odpływu, którego dotąd na próżno szukali, a prąd wody był tak silny, że wydarł gałąź z rąk Cyrusa i pochłonął ją w swych nurtach.

— Teraz nie ma już żadnej wątpliwości — powtórzył Cyrus Smith. — W tym miejscu jest odpływ wody, a jego otwór muszę odsłonić.

— W jaki sposób? — zapytał Gedeon Spilett.

— Obniżając poziom wody w jeziorze o trzy stopy.

— Ale jak pan to zrobi?

— Dając wodzie inne ujście, szersze od tego.

— W którym miejscu, Cyrusie?

— W części brzegu położonej najbliżej morza.

— Ale tam jest brzeg granitowy! — zauważył reporter.

— No cóż, więc wysadzę ten granit — odparł Cyrus Smith — a woda w jeziorze opadnie i odsłoni ten otwór...

— A spadając na plażę, utworzy wodospad — dodał reporter.

— Którego siłę wykorzystamy! — odparł Cyrus. — A teraz chodźmy, chodźmy!

Tymi słowami porwał za sobą swego towarzysza, który obdarzał go takim zaufaniem, że nie wątpił w powodzenie jego zamiarów. A jednak jak zrobić otwór w ścianie z granitu, jak rozbić skały, bez prochu i mając tylko prymitywne narzędzia? Czy przedsięwzięcie, którego postanowił dokonać inżynier, nie przekraczało jego siły?

Cyrus Smith i reporter, powróciwszy do Kominów, zastali Harberta i Pencroffa zajętych wyładowywaniem przywiezionego drzewa.

— Drwale już skończyli robotę, panie Cyrusie — powiedział, śmiejąc się, marynarz — a jeżeli potrzeba panu będzie murarzy....

— Murarzy nie, ale chemików — odparł inżynier.

— Tak — dodał reporter. — Zamierzamy wysadzić wyspę w powietrze....

- Wysadzić wyspę! — zawołał Pencroff.
- Przynajmniej część — odparł Gedeon Spilett.
- Posłuchajcie, przyjaciele — powiedział inżynier.

Po czym zapoznał ich z wynikami swoich obserwacji. Według jego przypuszczenia w granitowej skale dźwigającej Płaskowyż Pięknego Widoku musiało istnieć mniejsze lub większe wydrążenie, do którego zamierzał dotrzeć. W tym celu należało przede wszystkim odsłonić otwór, którym odpływała woda, i w tym celu obniżyć jej poziom w jeziorze, dając jej szersze ujście. Wynikało stąd, że trzeba sporządzić materiał wybuchowy, mogący zrobić duży wyłom w innym punkcie brzegu jeziora. Tego zaś Cyrus Smith zamierzał dokonać za pomocą bogactw naturalnych, których mu dostarczała sama przyroda.

Nie trzeba dodawać, z jakim entuzjazmem wszyscy, a szczególnie Pencroff, przyjęli ten projekt. Używać potężnych środków, rozsadzać granity, tworzyć wodospady — marynarzowi było w to graj! Ponieważ inżynier potrzebował chemików, więc gotów był zostać chemikiem, tak jak gotów był zostać szewcem czy murarzem. Chętnie byłby wszystkim, czym tylko zechcą, nawet, jak się wyraził do Naba, „nauczycielem tańca i salonowych manier”, gdyby tego było potrzeba.

Nab z Pencroffem otrzymali przede wszystkim polecenie wydobycia tłuszczu z diugonia i zabezpieczenia mięsa przeznaczonego na pożywienie. Niezwłocznie udali się do swej pracy, nie pytając o dalsze wyjaśnienia. Mieli do inżyniera bezgraniczne zaufanie.

Wkrótce po nich Cyrus Smith, Harbert i Gedeon Spilett, zabrawszy ze sobą nosze z gałęzi, wyruszyli brzegiem rzeki w stronę pokładów węgla, gdzie znajdowała się wielka ilość łupków pirytowych, które spotyka się w najmłodszych formacjach przejściowych¹⁵⁷ i których próbkę Cyrus Smith znalazł wcześniej.

Cały dzień minął na znoszeniu pirytu do Kominów. Pod wieczór mieli już kilka ton.

Nazajutrz, 8 maja, inżynier rozpoczął swoje zabiegi. Łupki pirytowe składają się głównie z węgla, krzemu, glinu i dużych ilości siarczku żelaza. Chodziło o to, aby oddzielić siarczek żelaza i jak najprędzej przekształcić go w siarczan. Z uzyskanego siarczanu można było wydobyć kwas siarkowy.

To był cel całego przedsięwzięcia. Kwas siarkowy jest jednym z najczęściej używanych surowców i jego zużyciem można mierzyć przemysłowe znaczenie narodu. Ten kwas miał się później przydać kolonistom do wyrobu świec, do garbowania skór i tym podobnych celów, obecnie jednak inżynier potrzebował go do czego innego.

Cyrus Smith wybrał za Kominami stosowne miejsce, które starannie wyrównano. Tu ułożył stos z gałęzi i porąbanego drewna, a na nim poukładał kawałki łupku pirytowego, jedne na drugich, następnie po wierzchu przysypał je cienką warstwą pirytów potłuczonych na kawałki wielkości orzecha.

Po tych przygotowaniach podpalono drzewo. Żar przeniósł się na łupki, które zawierając węgiel i siarkę, rozżarzyły się płomieniem. Wtedy narzucono nowe warstwy potłuczonego pirytu, a z wierzchu przykryto cały ten wielki stos ziemią i trawą, pozostawiwszy tylko kilka otworów dla przewiewu, podobnie jak się postępuje przy wypalaniu węgla drzewnego.

Następnie zostawiono wszystko w spokoju do czasu, aż dokona się reakcja chemiczna, gdyż potrzeba było nie mniej niż dziesięć do dwunastu dni na to, by siarczek żelaza przemienił się w siarczan żelaza, zaś glin w siarczan glinu; obydwie te związki są rozpuszczalne, w przeciwieństwie do reszty, czyli do krzemu, wypalonego węgla i popiołu.

W czasie gdy dokonywał się ten proces chemiczny, Cyrus zarządził inne prace. Zabrali się do nich już nie z gorliwością, ale wręcz z zaciekłością.

Nab i Pencroff zebrali tłuszcz z diugonia i włożyli w duże kadzie z wypalanej gliny. Teraz z tłuszczu trzeba było przez zmydlenie wydzielić jeden ze składników, mianowicie glicerynę. Chcąc osiągnąć ten rezultat, wystarczyło potraktować go sodą¹⁵⁸ lub wapnem. Obie te substancje, działając na tłuszcz, tworzą z niego mydło, wytrącając równocześnie glicerynę, której właśnie potrzeba było inżynierowi. Wapna, jak wiemy, miał pod

¹⁵⁷formacje przejściowe a. pośrednie (daw. geol.) — warstwy geologiczne z okresu pomiędzy „pierwotnymi” skalami ery archaiku a „drugorzędowymi” skalami z mezozoiku. [przypis edytorski]

¹⁵⁸soda — zwyczajowa nazwa różnych substancji chemicznych zawierających węgiel, wodorowęglan lub wodorotlenek sodu; tu: soda kalcynowana, czyli węglan sodu, Na₂CO₃. [przypis edytorski]

dostatkiem; lecz używając do tego procesu wapna, otrzymaliby mydło wapienne, nierozpuszczalne, a tym samym bezużyteczne, podczas gdy stosując sodę, otrzymuje się mydło rozpuszczalne, którego można używać w gospodarstwie domowym. Jako człowiek praktyczny Cyrus Smith powinien postarać się raczej o sodę. Czy to było trudne? Bynajmniej, gdyż wybrzeże obfitowało w rośliny morskie, solirody¹⁵⁹, przypołudnikowate¹⁶⁰ i rozmaite wodorosty. Nagromadzili więc wielką ilość tych roślin, wysuszyli je, a następnie spalili w dołach na otwartym powietrzu. Ogień podtrzymywali przez kilka dni, aby żar osiągnął temperaturę potrzebną do stopienia popiołów. Rezultatem tego spalania była popielata, spoista masa znana od dawna pod nazwą naturalnej sody.

Po otrzymaniu sody inżynier dodał ją do tłuszczu, skutkiem czego otrzymał zarówno rozpuszczalne mydło, jak i substancję obojętną, glicerynę.

Ale to nie wszystko. Ze względu na swoje przyszłe plany Cyrus Smith potrzebował jeszcze innej substancji, mianowicie azotanu potasu, znanego bardziej pod nazwą saletry potasowej, czy po prostu saletry.

Cyrus Smith mógłby otrzymać tę substancję, poddając węglan potasu, dający się łatwo uzyskać z popiołu roślinnego, chemicznemu działaniu kwasu azotowego. Ale nie miał kwasu azotowego i chodziło mu koniec końców o uzyskanie właśnie tego kwasu. Powstało zatem błędne koło, z którego nigdy by nie wyszedł. Na szczęście sama przyroda przyszła mu z pomocą, dostarczając mu gotowej saletry, tak że wystarczyło po nią sięgnąć i nazbierać. Harbert odkrył jej pokłady na północy wyspy, u stóp Góry Franklina; trzeba było tylko ją oczyścić.

Te różnorodne prace trwały około tygodnia. Uwinęli się więc z nimi, zanim jeszcze dokonana się przemiana siarczku w siarczan żelaza. Resztę czasu koloniści poświęcili na wyprodukowanie z miękkiej gliny ogniotrwałych naczyń i na postawienie z cegieł specjalnego pieca, mającego służyć do późniejszej destylacji siarczanu żelaza. Wszystkie te prace zostały zakończone 18 maja, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy skończyła się przemiana chemiczna. Pod umiejętnym kierownictwem inżyniera Gedeon Spilett, Harbert, Nab i Pencroff stali się najrzęczniejszymi robotnikami na świecie. Zresztą konieczność bywa najlepszą nauczycielką.

Gdy już przyzma pirytu należycie się wypaliła, wówczas cały przetwór chemiczny, składający się z siarczanu żelaza, siarczanu glinu, krzemu, osadu węglowego i popiołu, zsypano do dużej kadzi napełnionej wodą. Po czym należycie wymieszano, a gdy się ustał, przedczono i otrzymano przejrzysty płyn, zawierający roztwór siarczanu żelaza i siarczanu glinu; inne składniki, jako nierozpuszczalne, pozostały w stanie stałym. Gdy płyn częściowo odparował, osadziły się kryształki siarczanu żelaza, a macierzysty roztwór, czyli nieodparowany płyn, zawierający siarczan glinu, wylano.

Cyrus Smith miał teraz do swojej dyspozycji znaczną ilość siarczanu żelaza w stanie skrzystalizowanym, chodziło więc tylko o to, aby wyciągnąć z niego kwas siarkowy.

W praktyce przemysłowej produkcja kwasu siarkowego wymaga kosztownych urządzeń. Potrzebne są duże fabryki, specjalne narzędzia, aparaty z platyny, ołowiane, kwasoodporne komory, w których zachodzi reakcja chemiczna i tak dalej. Inżynier nie miał do dyspozycji takiego sprzętu, wiedział jednak, że zwłaszcza w Czechach fabrykuje się kwas siarkowy w sposób dużo prostszy i z tą dodatkową korzyścią, że otrzymuje go się w większym stężeniu. Tak wytwarza się kwas zwany pod nazwą kwasu nordhauseńskiego¹⁶¹.

Do otrzymania kwasu siarkowego Cyrus potrzebował jeszcze tylko jednego zabiegu, a mianowicie należało prażyć kryształki siarczanu żelaza w zamkniętym naczyniu, tak by kwas siarkowy zamienił się w parę, z której następnie przez kondensację powstanie płynny kwas.

¹⁵⁹*soliród*, *Salicornia* (biol.) — rodzaj roślin rosnących na zalewanych okresowo słoną wodą wybrzeżach mórz, na zasolonych moczarach itp.; popioły z saliródów przez długi czas wykorzystywano jako źródło sody do produkcji mydła i szkła. [przypis edytorski]

¹⁶⁰*przypołudnikowate* — rodzina sukulentów liściowych, rosnących w strefie tropikalnej i subtropikalnej w miejscach suchych i silnie nasłonecznionych, często zasolonych, na pustyniach i wybrzeżach morskich. [przypis edytorski]

¹⁶¹*nordhauseński kwas* — kwas siarkowy dymiący, zwany także oleum, roztwór tlenku siarki (SO₃) w bezwodnym kwasie siarkowym, uzyskiwany zwykle w trakcie produkcji kwasu siarkowego; dawniej największa produkcja oleum pochodziła z zakładów w Nordhausen, w Turynii, w środkowych Niemczech. [przypis edytorski]

Do tej właśnie czynności miały służyć ogniotrwałe naczynia, w których umieszczono kryształki, oraz piec, którego żar miał spowodować parowanie kwasu siarczanego.

Prace przeprowadzono perfekcyjnie i 20 maja, po dwunastu dniach od rozpoczęcia dzieła, inżynier stał się posiadaczem składnika, z którego zamierzał w przyszłości skorzystać na najrozmaitsze sposoby.

Do czego więc potrzebował tego składnika? Po prostu do wytworzenia kwasu azotowego, co mu przyszło z łatwością, gdyż saletra pod wpływem kwasu siarkowego daje drogą destylacji właśnie kwas azotowy.

Ale koniec końców co czego chciał użyć tego kwasu azotowego? To dla jego towarzyszy było tajemnicą, inżynier bowiem nie wyjawiał im ostatecznego celu swej pracy.

Cyrus tymczasem osiągnął swój cel, a ostatni proces dał mu wreszcie substancję, która wymagała tylu zabiegów.

Połączywszy kwas azotowy z gliceryną, zagęszczoną uprzednio przez odparowanie w łaźni wodnej¹⁶², otrzymał, nawet bez użycia mieszaniny oziębiającej, kilka kwart oleistego żółtawego płynu.

Ostatniej operacji Cyrus dokonał sam, na uboczu, z dala od Kominów, gdyż groziła ona eksplozją. A przyniósłszy ze sobą butelkę płynu, powiedział swoim przyjaciołom z prostotą:

— Oto mamy nitroglicerynę!

Był to istotnie ów straszliwy produkt, którego siła wybuchowa jest dziesięć razy większa od zwykłego prochu i który spowodował już tyle wypadków. Zresztą od kiedy wynaleziono sposób przekształcenia nitrogliceryny w dynamit, czyli połączenia jej z innym ciałem stałym, glinką lub cukrem, dość porowatym, aby ją wchłoniąć, można było bezpiecznie używać tego groźnego płynu. Ale w owym czasie, kiedy koloniści znajdowali się na Wyspie Lincoln, nie znano jeszcze dynamitu.

— Więc to ten płyn ma porozsadzać skały? — zapytał Pencroff niedowierzająco.

— Tak jest, mój przyjacielu — odparł inżynier — a działanie nitrogliceryny będzie tym potężniejsze, że granit jest nadzwyczaj twardy i będzie stawiał większy opór sile wybuchu.

— A kiedy to zobaczymy, panie Cyrusie?

— Jutro, gdy tylko wydrążymy otwór do założenia miny — odparł inżynier.

Nazajutrz, 21 maja, minierzy udali się skoro świt na wschodni brzeg Jeziora Granta, który tworzył róg oddalony tylko o pięćset kroków od wybrzeża. W tym miejscu płaskowyż schodził poniżej poziomu wody w jeziorze, którą wężyla w nim tylko wąska granitowa grobla. Było zatem oczywiste, że po rozbiciu tego obramowania, woda ucieknie przez wyrwę, wartkim potokiem popłynie przez pochyłość płaskowyżu, a potem runie na plażę. Wskutek tego obniży się powierzchnia wody w całym jeziorze i odsłoni się otwór odpływowy — co było ostatecznym celem całego przedsięwzięcia.

Chodziło więc o to, aby rozsadzić to granitowe obramowanie. Pencroff pod kierownictwem inżyniera, uzbrojony w kilof, którym władał równie zręcznie jak dzielnie, zabrał się do granitu od zewnętrznej strony grobli. Dziura, którą zamierzał wydrążyć, rozpoczynała się na poziomej krawędzi zbocza i miała bieć ukośnie w głąb, tak aby jej koniec leżał znacznie poniżej poziomu wody w jeziorze. W ten sposób siła wybuchu, rozsadzisz skały, pozwoliłaby wodzie wylać się szerokim potokiem na zewnątrz, a wskutek tego znacznie obniżyłby się poziom wody w jeziorze.

Praca trwała długo, gdyż inżynier, chcąc wywołać potężny efekt, zamierzał poświęcić na ten cel najmniej dziesięć litrów nitrogliceryny. Ale Pencroff z Nabem pracowali na przemian tak dzielnie, że około godziny czwartej po południu otwór na minę był gotowy.

Pozostawała tylko do rozwiązania kwestia zapalenia substancji wybuchowej. Zazwyczaj nitroglicerynę zapala się za pomocą zapalników z piorunianu¹⁶³, których wybuch pociąga

¹⁶²łaźnia wodna — sprzęt laboratoryjny w postaci naczynia, za pośrednictwem którego ogrzewa się lub oziębia zanurzone w nim naczynia laboratoryjne wraz z ich zawartością; zaletą stosowania łaźni zamiast bezpośredniego podgrzewania naczynia z substancją chemiczną jest równomierne doprowadzanie ciepła i lepsza kontrola nad temperaturą podgrzewania. [przypis edytorski]

¹⁶³piorunian rtęci (chem.) — sól kwasu piorunowego i rtęci, Hg(CNO)₂, najwcześniej poznany inicjujący materiał wybuchowy, stosowany od lat 20. XIX w. w detonatorach i spłonkach różnego rodzaju amunicji pistoletowej i karabinowej. [przypis edytorski]

za sobą główną eksplozję. Do wywołania eksplozji potrzebny jest bowiem silny wstrząs, gdyż zapalona nitrogliceryna wprawdzie będzie się palić, lecz nie wybuchnie.

Cyrus Smith z pewnością mógłby zrobić taki zapalnik. Nie mając piorunianu rtęci, mógł z łatwością, posiadając kwas azotowy, otrzymać substancję zbliżoną do bawełny strzelniczej¹⁶⁴. Z takiej substancji można by zrobić nabój, wsunąć go w otwór napełniony nitrogliceryną, zapalić lontem i w ten sposób wywołać eksplozję.

Cyrus Smith wiedział jednak, że do wybuchu nitrogliceryny wystarczy wstrząs. Postanowił więc skorzystać z tej właściwości, gotów zresztą użyć innego sposobu, gdyby ten zawiódł.

Rzeczywiście do wywołania eksplozji wystarczy uderzyć młotem w kilka krople nitrogliceryny rozlanej na twardym kamieniu. Lecz ten, który by się podjął takiego uderzenia, musiałby sam paść ofiarą wybuchu. Cyrus Smith wymyślił zatem inny sposób. Na lince ze splecionych włókien roślinnych postanowił zawiesić ponad wydrążonym otworem bryłę żelaza, ważącą kilka funtów. Drugą podobną, choć znacznie dłuższą linką z włókien, przesyconą siarką, miała być jednym końcem przywiązana pośrodku pierwszej, podczas gdy jej drugi koniec miał zostać odprowadzony po ziemi na odległość kilkunastu stóp od otworuminy. Gdy zapali się tę linkę, będzie się palić, aż ogień sięgnie do połączenia z pierwszą, która z kolei zapali się i przerwie, wskutek czego bryła żelaza spadnie na krople nitrogliceryny.

Gdy wszystko przygotowano, inżynier, odesławszy swoich towarzyszy, napełnił otwór nitrogliceryną tak, że sięgała aż po same brzegi, i wylał kilka kropli na skałę, tuż pod zawieszoną nad nią bryłą żelaza.

Następnie Cyrus Smith chwycił koniec nasyconej siarką linki, zapalił go i powrócił do swych towarzyszy oczekujących go w Kominach.

Linka miała się palić przez dwadzieścia pięć minut i rzeczywiście po dwudziestu pięciu minutach nastąpił wybuch, którego nie sposób opisać. Zdawało się, że cała wyspa zadrżała w posadach. W powietrze wystrzelił stos kamieni, jak gdyby wyrzucony przez wulkan. Podmuch powietrza spowodowany wybuchem był tak silny, że skały Kominów zachwiały się. Kolonistów powaliło na ziemię, chociaż znajdowali się o ponad dwie mile od miejsca wybuchu.

Podnieśli się, wspięli na płaskowyż i pobiegli do miejsca, gdzie brzeg jeziora miał być rozsadzony przez eksplozję...

Potrójne „hurra” wydarło się z ich piersi! W granitowej grobli ziała szeroka wyrwa. Woda buchała wartkim potokiem, pieniąc się, pędziła płaskowyżem, docierała do krawędzi i kaskadą spadała z wysokości trzystu stóp na plażę.

ROZDZIAŁ XVIII

Pencroff przestaje wątpić. — Dawny odpływ jeziora. — Wyprawa w głąb ziemi. — Droga przez granit. — Top znika. — Środkowa pieczara. — Podziemna studnia. — Tajemnica. — Przewiercenie granitowej ściany. — Powrót.

Projekt Cyrusa Smitha powiódł się całkowicie, lecz sam jego twórca według swego zwyczaju nie okazywał najmniejszego zadowolenia i z zaciśniętymi ustami, z bystro wytężonym wzrokiem stał nieruchomy. Harbert wpadł w zachwyt, Nab skakał z radości, Pencroff kiwał swą dużą głową to w jedną, to w drugą stronę i mruczał pod nosem.

— Chwat z naszego inżyniera!

Istotnie skutki wybuchu nitrogliceryny były potężne. Powstała wyrwa była tak wielka, że wypływało przez nią co najmniej trzy razy więcej wody niż przez dawny odpływ. Należało się spodziewać, że wkrótce poziom wody w jeziorze obniży się co najmniej o dwie stopy.

Kolonisci pospieszyli do Kominów po kilofy, okute żelazem oszczepy, liny z włókien, krzesiwo i hubkę, po czym powrócili znów na płaskowyż. Towarzyszył im Top.

¹⁶⁴bawełna strzelnicza — rodzaj nitrocelulozy o wysokiej zawartości azotu, stosowanej do produkcji materiałów wybuchowych; odkryta w 1845, otrzymywana przez działanie mieszanki kwasu siarkowego i azotowego na włókna bawełny. [przypis edytorski]

Po drodze marynarz nie mógł się dłużej powstrzymać i odezwał się do inżyniera.

— A wie pan, panie Cyrusie, że tą prześliczną miksturą, którą pan sfabrykował, można by wysadzić w powietrze całą naszą wyspę?

— Bez wątplenia — odparł Cyrus Smith — i wyspę, i wszystkie lądy, i nawet całą kulę ziemską. To tylko kwestia ilości.

— A czy nie można by użyć tej nitrogliceryny do nabijania broni palnej? — zagadnął marynarz.

— Nie, Pencroffie, jest to substancja zbyt gwałtowna. Moglibyśmy jednak z łatwością wytworzyć bawełnę strzelniczą, a nawet proch, gdyż mamy kwas azotowy, saletrę, siarkę i węgiel. Ale niestety nie mamy broni — w tym sęk.

— O, panie Cyrusie — odparł marynarz — przy odrobinie dobrej woli!...

Nie ulegało wątpliwości, że marynarz wykreślił całkiem słowo „niemożliwe” ze słownika używanego na Wyspie Lincolna.

Przybywszy na Płaskowyż Pięknego Widoku, koloniści niezwłocznie udali się na cypel jeziora, gdzie znajdował się otwór dawnego odpływu, który teraz powinien być odsłonięty. Ponieważ woda już tamtędy nie spływała, można by było zapewne wejść do środka kanału odpływowego i zbadać jego wewnętrzną konstrukcję.

Po kilku minutach koloniści dotarli do dolnego końca jeziora i jeden rzut oka przekonał ich, że cel został osiągnięty.

Istotnie ukazał się im w granitowym brzegu jeziora wystający teraz ponad powierzchnię wody, tak gorąco poszukiwany otwór. Dostęp do niego ułatwiał kawał skały, który odsłoniła opadająca woda. Wlot miał około dwudziestu stóp szerokości, ale tylko dwie stopy wysokości. Podobny był do otworów ściekowych umieszczanych wzdłuż chodników. Niełatwo byłoby więc wcisnąć się do niego. Ale Nab z Pencroffem chwycili za kilofy i w niespełną godzinę rozszerzyli go do należytych rozmiarów.

Wtedy inżynier, zbliżywszy się do otworu, przekonał się, że nachylenie ścian kanału odpływowego, przynajmniej w jego górnej części, nie wynosi więcej niż trzydzieści do trzydziestu pięciu stopni. Można było zatem zejść i byle nachylenie potem nie wzrastało, dotrzeć kanałem aż do samego poziomu morza. Jeśli zaś, co było bardzo prawdopodobne, wewnątrz masywu granitowego istnieje jakaś obszerniejsza pieczara, może da się ją wykorzystać.

— A zatem, panie Cyrusie, na co czekamy? — odezwał się marynarz, który pragnął jak najprędzej zapuścić się w wąski korytarz. — Widzi pan, Top już nas wyprzedził!

— Dobrze — odparł inżynier. — Ale nie możemy iść po omacku. Nabie, pobiegnij wyciąć kilka smolnych gałęzi.

Nab z Harbertem pobiegli nad brzeg jeziora, który ocieniały sosny i inne zielone drzewa, i wkrótce powrócili z gałęziami powiązаныmi w rodzaj pochodni. Zapalono je za pomocą krzesiwa i koloniści z Cyrusem na czele zapuścili się w ciemne czeluście, które jeszcze niedawno wypełniała woda.

Wbrew wszelkim przypuszczeniom średnica podziemnego kanału rozszerzała się coraz bardziej, tak że koloniści, zstępując na dół, niebawem mogli się wyprostować. Granitowe ściany, od wieków podmywane wodą, były bardzo śliskie i trzeba było uważać, by nie upaść. Toteż koloniści poprzywiązywali się jeden do drugiego linką, tak jak to robią alpiniści wspinający się w górach. Na szczęście powyżłabiane w granicie występy skalne tworzyły rodzaj schodów, dzięki czemu schodzenie było mniej niebezpieczne. Kropelki wody, zwisające jeszcze na skałach, połyskiwały tysiącem barw przy blaskach pochodni. Zdawało się, że ściany pokryte są nieprzeliczoną ilością stalaktytów¹⁶⁵. Inżynier przyjrzał się uważnie czarnemu granitowi. Nie było w nim widać żadnego uwarstwienia ani żadnych rys. Skała była zbita, spoista i drobnoziarnista. A zatem kanał istniał od samego początku wyspy. To nie woda wydrążyła go z wolna i stopniowo. Nie Neptun¹⁶⁶, lecz Pluton¹⁶⁷ wykuł go swą dłonią i widać było na ścianach ślady jego podziemnej roboty, wciąż jeszcze nie całkiem zatarte, pomimo tak długiego działania wody.

Koloniści schodzili bardzo wolno. Trudno zaprzeczyć, że doznawali wszyscy pewnego wzruszenia, zapuszczając się w głąb masywu, gdzie nigdy jeszcze nie powstała stopa ludzka.

¹⁶⁵stalaktyt — naciek wapienny w postaci sopła zwisającego ze stropu jaskini. [przypis edytorski]

¹⁶⁶Neptun (mit. rzym.) — bóg wód. [przypis edytorski]

¹⁶⁷Pluton (mit. rzym.) — bóg świata podziemnego. [przypis edytorski]

Milczeli i rozmyślali, i niejednemu z nich przyszło na myśl, że być może w wewnętrznych pieczarach, mających połączenie z morzem, mieszka jakaś ośmiornica lub inny gigantyczny głowonóg. Należało więc posuwać się z pewną ostrożnością.

Zresztą na czele grupki biegł Top, więc można było polegać na zmyślnym psie, który w razie jakiegoś niebezpieczeństwa bez wątpienia zaalarmowałby wszystkich.

Po zejściu stu stóp dość krętym korytarzem idący na przedzie Cyrus Smith zatrzymał się, a towarzysze dołączyli do niego. Miejsce, w którym się zatrzymali, tworzyło rodzaj średniej wielkości pieczary. Ze sklepienia spadały krople wody, nie pochodzącej jednak z przesiąkania przez granit. Były to po prostu ostatnie ślady potoku, który tak długo huczał w tej pieczarze, a powietrze, lekko wilgotne, nie zawierało żadnych cuchnących wyciewów.

— No cóż, drogi Cyrusie? — odezwał się Gedeon Spilett. — Oto mamy schronienie nikomu nieznanne, głęboko ukryte w skale, ale krótko mówiąc nie nadaje się do zamieszkania.

— Dlaczego nie nadaje się? — zapytał marynarz.

— Bo jest za małe i za ciemne.

— Czyż nie możemy go powiększyć, wydrążyć, porobić w nim otworów, którymi by docierało powietrze i słońce? — odparł Pencroff, który teraz w nic już nie powątpiewał.

— Idźmy dalej — odezwał się Cyrus Smith. — Może gdzieś niżej przyroda oszczędzi nam tej pracy.

— Jesteśmy dopiero na jednej trzeciej wysokości — zauważył Harbert.

— Mniej więcej na jednej trzeciej — odparł Cyrus Smith — gdyż zesliśmy na głębokość jakichś stu stóp od wylotu, więc bardzo możliwe, że sto stóp poniżej...

— Gdzie Top? — zapytał Nab, przerywając swojemu panu.

Przeszukano pieczarę. Psa nie było.

— Zapewne pobiegł naprzód — powiedział Pencroff.

— Chodźmy za nim — odparł Cyrus Smith.

Ruszyli więc dalej w głąb. Inżynier przypatrywał się uważnie wszystkim zakrętom i pomimo że było ich dużo, zapamiętał z łatwością ogólny kierunek, którym kanał zmierzał w stronę morza.

Koloniści zeszli jeszcze jakieś o pięćdziesiąt stóp niżej, gdy ich uwagę zwróciły dalekie odgłosy, dochodzące z głębi podziemia. Zatrzymali się więc, wyęzając słuch. Dźwięki te, wychodząc z korytarza niby z tuby akustycznej¹⁶⁸, docierały wyraźnie do ich uszu.

— To szczekanie Topa! — zawołał Harbert.

— Tak — odparł Pencroff — i to zaciekle ujada nasz poczciwy pies.

— Mamy przy sobie okute oszczepy — powiedział Cyrus Smith. — Miejmy się na baczności i naprzód!

— To staje się coraz ciekawsze — szepnął Gedeon Spilett do ucha marynarzowi, który kiwnął potakująco głową.

Cyrus Smith i jego towarzysze pobiegli więc na pomoc psu. Szczekanie Topa stawało się coraz wyraźniejsze. W jego urywanym głosie brzmiała jakaś niezwykajna wściekłość. Może walczył z jakimś zwierzęciem, które wypłoszył z kryjówek? Kolonistów opanowała niepohamowana ciekawość, tak że zapomnieli zupełnie o niebezpieczeństwie, na jakie się narażali. Już nie schodzili, lecz wręcz ześlizgiwali się wzdłuż pochyłości kanału, i w kilka minut później, o sześćdziesiąt stóp niżej dotarli do miejsca, gdzie znajdował się Top.

Tu korytarz rozszerzał się nagle i tworzył obszerną, wspaniałą pieczarę. Po niej wzdłuż i wszerz biegał Top, zajadłe szczekając. Pencroff i Nab, machając pochodniami, oświetlali chropowate ściany granitowe szerokimi strugami światła, podczas gdy Cyrus Smith, Gedeon Spilett i Harbert stali w pogotowiu z najeżonymi oszczepami.

Olbrzymia pieczara była jednak całkiem pusta. Koloniści przeszukali ją starannie wzdłuż i wszerz. Nie było w niej nic, ani żadnego zwierzęcia, ani żadnej innej żywej istoty! A jednak Top nie przestawał szczekać i ani prośby, ani groźby nie zdołały go uciszyć.

— Musi tu być gdzieś szczelina lub otwór, przez który woda odpływała do morza — powiedział inżynier.

¹⁶⁸tuba akustyczna a. głosowa — urządzenie złożone z dwóch stożków połączonych rurą powietrzną, przez które mowę można przemieszczać pomiędzy pomieszczeniami; w XIX w. używane do komunikacji wewnętrznej na statkach i w biurach; wyparte przez telefon. [przypis edytorski]

— Rzeczywiście — odparł Pencroff — uważajmy, żeby do niego nie wpaść.

— Szukaj, Top, szukaj! — zawołał Cyrus Smith.

Pies, zachęcony słowami swego pana, pobiegł na sam koniec pieczary i tam zaczął szczekać ze zdwojoną zapalczewością.

Poszli za nim i tu, w świetle pochodni, zobaczyli otwór studni ciemniejszy w granicie. Tędy właśnie woda odpływała do morza; lecz nie był to już ukośny korytarz, którym by można było iść, ale studnia o pionowych ścianach, po których nie dało się zejść.

Nachylnono pochodnie nad otworem. Nic nie było widać. Cyrus Smith odłamał palącą się gałązkę i rzucił ją w przepaść. Płonąca żywica wskutek szybkiego lotu buchnęła jeszcze jaśniejszym płomieniem i oświetliła wnętrze studni. Mimo to nadal nie było nic widać. Potem płomień zgasł z lekkim sykiem, co świadczyło o tym, że gałąź wpadła do wody, czyli dosięgła poziomu morza.

Inżynier obliczył czas spadania i oszacował głębokość studni na dziewięćdziesiąt stóp.

Z tego wynikało, że dno pieczary, w której się znajdowali, znajdowało się dziewięćdziesiąt stóp ponad poziomem morza.

— Oto nasze mieszkanie — powiedział Cyrus Smith.

— Ale przedtem zamieszkiwało je jakieś stworzenie — odparł Gedeon Spilet, który jeszcze nie zaspokoił swojej ciekawości.

— Jakiegokolwiek to było stworzenie — odparł inżynier — dość że umknęło tym otworem i ustąpiło nam miejsca.

— Bądź co bądź — dodał marynarz — chciałbym kwadrans temu być w skórze Topa, bo na pewno nie czekał bez powodu!

Cyrus Smith spoglądał na psa i gdyby w tej chwili któryś z jego towarzyszy stał bliżej niego, usłyszałby, jak mruknął pod nosem:

— Wierzę, że Top niejedną rzecz lepiej wie od nas!

Marzenia kolonistów zostały zatem w znacznej części spełnione. Przysłużył im się szczęśliwy traf, któremu przysła z pomocą niezwykła mądrość ich przywódcy. Mieli teraz do dyspozycji obszerną pieczarę, której wielkości nie byli jeszcze w stanie ocenić przy słabym świetle pochodni, ale z pewnością nietrudno byłoby podzielić ją ściankami z cegieł na pokoje i dostosować jeśli już nie na porządną dom, to przynajmniej na obszerne mieszkanie. Woda opuściła ją i nie mogła powrócić. Miejsce zatem było wolne.

Pozostawały do usunięcia dwie trudności: po pierwsze, oświetlenie pieczary wydrążonej w litym masywie granitowym, po drugie zaś ułatwienie dostępu do niej. Nie sposób było myśleć o oświetleniu jej z góry, gdyż granitowe sklepienie miało ogromną grubość, ale być może dałoby się przebić przednią ścianę zwróconą w stronę morza. Cyrus Smith który podczas schodzenia obliczył w przybliżeniu nachylenie, a stąd i długość kanału, miał podstawy, by sądzić, że przednia część ściany nie powinna być zbyt gruba. Gdyby dało się oświetlić pieczarę od tej strony, rozwiązałyby się także sprawa dostępu, bo równie łatwo można przebić drzwi, jak i okna, i postawić na zewnątrz drabinę.

Cyrus Smith podzielił się swoim pomysłem z towarzyszami.

— A zatem do dzieła, panie Cyrusie! — zawołał Pencroff. — Mam swój kilof i spróbuję przebić tę ścianę. Gdzie trzeba walić?

— Tu — odparł inżynier, wskazując dzielnemu marynarzowi dość znaczne zagłębienie w ścianie, które powinno zmniejszać jej grubość w tym miejscu.

Pencroff przypuścił atak na skałę i przez pół godziny pracował przy świetle pochodni tak, że odłamki granitu latały dokoła. Skała pod ciosami kilofa sypała iskry. Potem zastąpił go Nab, a po nim Gedeon Spilet.

Praca trwała już dwie godziny i zaczęli się już obawiać, czy grubość skały w tym miejscu nie przewyższa długości kilofa, gdy wtem, przy ostatnim uderzeniu wymierzonym przez Gedeona Spileta, kilof przebił ścianę na wylot i wypadł na zewnątrz.

— Hurra! Hurra! — zawołał Pencroff.

Ściana miała w tym miejscu tylko trzy stopy grubości.

Cyrus Smith przyłożył oko do otworu znajdującego się dziewięćdziesiąt stóp ponad ziemią. Przed nim rozpościerał się brzeg morski, wysepka, a dalej za nią nieskończony ocean.

Przez ten dość szeroki otwór, gdyż skała znacznie się rozpadła, wpłynęła struga światła i oblewając wspaniałą pieczarę, wywołała magiczny efekt. Po lewej stronie pieczara

miała nie więcej jak trzydzieści stóp wysokości, tyle samo szerokości i sto stóp długości, natomiast po prawej stronie była olbrzymia, a jej zaokrąglone sklepienie wznosiło się na wysokości osiemdziesięciu stóp. Tu i ówdzie nieregularnie stojące filary podtrzymywały łuki sklepienia jak w nawie katedry. Sklepienie, wsparte na tych podporach, tu obniżając się łagodnie, ówdzie strzelając w górę gałęziami arkad, to znów gubiąc się w ciemnych kruzgankach, których fantastycznie wygięte łuki majaczyły w cieniu, ozdobione licznymi występami tworzącymi wiszące ornamenty, stanowiło malowniczą mieszaninę wszystkich stylów architektury bizantyjskiej, romańskiej i gotyckiej, jakie kiedykolwiek stworzyła ręka ludzka. A jednak było to tylko dzieło natury. To ona wykuła w granitowych masach tę czarodziejską Alhambę¹⁶⁹!

Koloniści zamarli z zachwytu. Tam, gdzie spodziewali się zastać ciasną jamę, znaleźli cudowny pałac. Nab odkrył głowę, jak gdyby znalazł się nagle w świątyni.

Ze wszystkich ust wydarły się okrzyki zachwytu. Kilkakrotne „hurra” zagrzmiało i rozpryszy się w echem, stopniowo zamarło w głębi mrocznych naw.

— Przyjaciele! — zawołał Cyrus Smith. — Kiedy oświetlimy dostatecznie wnętrza tego masywu i podzielimy lewą część na pokoje mieszkalne, składy i spichrze, pozostanie nam jeszcze ta wspaniała grota, którą przeznaczymy na salę naukową i muzeum.

— A jak ją nazwiemy? — zapytał Harbert.

— Nazwiemy ją Granitowym Pałacem — odparł Cyrus Smith, a jego towarzysze powitali tę nazwę nowymi okrzykami radości.

Pochodnie dopalały się, a ponieważ, aby wrócić na płaskowyż, trzeba było przejść z powrotem ciemnym korytarzem, postanowili odłożyć pracę nad urządzeniem nowego mieszkania do następnego dnia.

Na odchodnym Cyrus Smith jeszcze raz nachylił się nad otworem ciemnej studni, biegnącej prostopadle do poziomu morza. Przysłuchiwał się z wielką uwagą. Nie usłyszał jednak żadnego dźwięku, nawet szmeru fal, które wzburzone morze musiało rozkołysać czasem w tych głębinach. Wrzucił jeszcze jedną zapaloną gałązkę. Ściany studni oświetliły się na chwilę, ale tak jak za pierwszym razem nie dostrzegł nic podejrzanego. Jeśli jakiś potwór morski został tu zaskoczony przez nagły odpływ wody, musiał już zapewne schronić się do morza podziemnym korytarzem ciągnącym się pod wybrzeżem, to znaczy kanałem, którym odpływała woda z jeziora, zanim została skierowana do nowego ujścia.

Inżynier stał nieruchomo, wyęszczając słuch, ze wzrokiem wlepionym w otchłań, nie mówiąc ani słowa.

Marynarz zbliżył się do niego i dotykając jego ramienia, powiedział:

— Panie Smith!

— Czego sobie życzysz, przyjacielu? — odparł inżynier, jakby zbudzony ze snu.

— Pochodnie niebawem zgasną.

— A więc w drogę! — odparł Cyrus Smith.

Grupka kolonistów opuściła pieczarę i zaczęła wspinać się pod górę ciemnym korytarzem. Top zamykał pochód, warcząc jeszcze od czasu do czasu. Droga była dość uciążliwa. Zatrzymali się chwilę w górnej grocie, która tworzyła rodzaj półpiętra w połowie długich granitowych schodów. Potem ruszyli dalej.

Wkrótce owiało ich świeże powietrze. Kropelki wody zdążyły wyparować i nie pływowały już na ścianach. Pełgające światło pochodni bladło coraz bardziej. Pochodnia Naba całkiem zgasła i trzeba się było spieszyć, żeby nie błądzić w zupełnych ciemnościach.

Tak też zrobili i nieco przed czwartą, w chwili gdy z kolei zgasła pochodnia marynarza, Cyrus Smith i jego towarzysze dotarli do otworu odpływowego.

ROZDZIAŁ XIX

Plan Cyrusa Smitha. — Fasada Granitowego Pałacu. — Drabina sznurowa. — Marzenia Pencroffa. — Aromatyczne zioła. — Naturalna królikarnia. — Doprowadzenie wody na potrzeby nowego mieszkania. — Widok z okien Granitowego Pałacu.

¹⁶⁹Alhambra (od arab. *al hamra*: czerwona) — obronny zespół pałacowy, zbudowany jako siedziba emirów w XIII–XIV w. na wzgórzu nad Grenadą; arcydzieło architektury muzułmańskiej w Hiszpanii. [przypis edytorski]

Nazajutrz, 22 maja, rozpoczęto prace nad przygotowaniem nowego mieszkania. Kolonistom spieszo było zamienić niewygodne schronienie w Kominach na obszerne i zdrowe mieszkanie, wydrążone głęboko w skale, osłonięte zarówno od wody morskiej, jak i od deszczu. Jednak Kominów nie zamierzali całkiem porzucić, lecz zgodnie z planem inżyniera przeznaczyć je na warsztaty do większych prac.

Pierwszą troską inżyniera było przekonać się, w którym dokładnie miejscu znajdowała się fasada Granitowego Pałacu. Udał się więc na wybrzeże, do samego podnóża granitowej ściany, a ponieważ kilof, wymknąwszy się reporterowi z ręki, musiał spaść pionowo, wystarczyło go tylko odszukać, aby zarazem znaleźć miejsce, gdzie została wybita dziura w granicie.

Kilof znaleźli z łatwością. I rzeczywiście o osiemdziesiąt stóp w linii pionowej ponad miejscem, gdzie ugrzązł w piasku, czerniał otwór. Kilka gołębi skalnych wśliznęło i wylazło przez ciasną dziurę, jak gdyby Granitowy Pałac został odkryty właśnie dla nich.

Inżyniera plan był taki, aby prawą część pieczary podzielić na kilka izb z przedsionkiem i oświetlić je pięcioma oknami i drzwiami wybitymi w fasadzie. Pencroff ze swej strony zgadzał się na okna, lecz nie rozumiał, po co potrzebne są drzwi, skoro dawny kanał odpływowy tworzył naturalne schody, którymi zawsze łatwo będzie dostać się do Granitowego Pałacu.

— Przyjacielu — odparł na to Cyrus Smith — skoro nam łatwo dostać się tym korytarzem do mieszkania, to równie łatwe będzie to dla innych. Mam zamiar zawalić ten wylot kawałkami skał, zatkać go szczelnie, a nawet, gdyby trzeba było, zupełnie go zasłonić, podnosząc za pomocą tamy poziom wody w jeziorze.

— A jak będziemy wchodzić? — zapytał marynarz.

— Po zewnętrznej drabinie — odparł Cyrus Smith. — Po drabince sznurowej, którą będziemy mogli w każdej chwili wciągnąć do góry, odcinając dostęp do naszego mieszkania.

— Po co taka ostrożność? — odpowiedział Pencroff. — Dotychczas zwierzęta nie wyglądały zbyt groźnie. A co do ludzi, to na naszej wyspie ich nie ma.

— Czy jest pan tego pewny, Pencroffie? — zapytał inżynier, mierząc marynarza wzrokiem.

— Nie będziemy oczywiście pewni, dopóki nie zbadamy wszystkich części wyspy — odparł Pencroff.

— Tak jest — powiedział Cyrus Smith — a dotychczas znamy tylko niewielką jej część. W każdym razie nawet jeśli nie mamy nieprzyjaciół wewnątrz wyspy, mogą nadciągnąć z zewnątrz, a ta część Pacyfiku nie jest bezpieczna. Przygotujmy się więc na wszelki wypadek.

Cyrus Smith mówił mądrze, więc Pencroff, nie spierając się dłużej, gotów był odtąd na wszelkie jego rozkazy.

W fasadzie Granitowego Pałacu postanowiono zatem zrobić drzwi oraz pięć okien oświetlających część mieszkalną, podczas gdy do wspaniałej nawy przeznaczonej na salę zamierzali wpuścić światło przez jeden przestronny otwór i kilka okrągłych okienek. Fasada, wznosząca się osiemdziesiąt stóp ponad ziemią, skierowana była na wschód, tak że padały na nią pierwsze poranne promienie słońca. Znajdowała się w granitowym murze pomiędzy występem skalnym przy ujściu Rzeki Dziękczynienia a linią biegnącą pionowo od zwalisk skał tworzących Kominy. W ten sposób nieznosne wichry północno-wschodnie uderzały w nią tylko z ukosa, gdyż zasłaniał ją od tej strony występ skalny. Zresztą, dopóki nie będą gotowe futryny okien, inżynier zamierzał zasłonić otwory grubymi okiennicami, które nie przepuszczałyby ani wiatru, ani deszczu i które w razie potrzeby można by było przymykać.

Pierwszym zadaniem było przebicie otworów. Kucie kilofem w tej twardej skale zajęłoby zbyt wiele czasu, a Cyrus Smith, jak wiemy, był miłośnikiem radykalnych środków. Posiadał jeszcze trochę nitrogliceryny i zrobił z niej odpowiedni użytek. Substancję wybuchową umieszczono gdzie należy i granit rozpękał się w miejscach wyznaczonych przez inżyniera. Następnie za pomocą kilofów i oskardów nadali ostrołukowe kształty pięciu oknom, wykończono szeroką niszę nawy, okrągłe okienka i drzwi, z grubsza wyciosali ramy o dziwnie poszarpanym profilu i w kilka dni później Granitowy Pałac został ob-

ficie oświetlony promieniami wschodzącego słońca, które zakradły się do najskrytszych zakamarków pieczary.

Według planu Cyrusa Smitha mieszkanie miało zostać podzielone na pięć pomieszczeń z widokiem na morze: na prawo przedpokój z drzwiami, przy których miała być przymocowana drabinka sznurowa, za nim pierwsza izba — szeroka na trzydzieści stóp kuchnia, pokój jadalny szerokości czterdziestu stóp, sypialnia tej samej szerokości, a na końcu, na żądanie Pencroffa, pokój bawialny przylegający do dużej sali.

Pokoje te, albo raczej szereg pokoi stanowiących część mieszkalną Granitowego Pałacu, nie miały zajmować całej szerokości pieczary. W tyle za nimi, oddzielony korytarzem, miał ciągnąć się długi magazyn, w którym będą mieściły się narzędzia i zapasy żywności. Wszystkie produkty zebrane na wyspie, tak roślinne, jak i zwierzęce, mogły tam być przechowywane w doskonałych warunkach, zabezpieczone przed wilgocią. Przestrzeni nie brakowało i każda rzecz mogła leżeć w odpowiednim miejscu. Zresztą koloniści mieli jeszcze do dyspozycji małą grootę, położoną powyżej głównej pieczary, która mogła w nowym mieszkaniu spełniać rolę strychu.

Po nakreśleniu planu pozostawało tylko wprowadzić go w życie. Koloniści z minerów przedzierzgnęli się w celgarzy; następnie poznosili cegły i ułożyli je u podnóża Granitowego Pałacu.

Dotychczas Cyrus Smith i jego towarzysze mieli dostęp do pieczary tylko przez dawny kanał odpływowy. Wskutek tego zmuszeni byli za każdym razem wspinać się Płaskowyż Pięknego Widoku, iść dokoła brzegiem rzeki, schodzić dwieście stóp w głąb podziemnym korytarzem, a potem przebywać tę samą trasę, aby powrócić na płaskowyż. Powodowało to stratę czasu i wymagało sporo trudu. Cyrus Smith postanowił zatem niezwłocznie przystąpić do sporządzenia mocnej drabinki sznurowej, po usunięciu której Granitowy Pałac stawałby się całkowicie niedostępny.

Drabinka sporządzona została z wielką starannością, a jej sznury, splecione z włókien ketmii za pomocą kołowrotka, były mocne jak grube liny. Materiału na szczeble dostarczył rodzaj czerwonego cedru o lekkich i mocnych gałęziach, a Pencroff po mistrzowsku wykonał całą drabinę.

Przygotowano więcej takich sznurów z włókien roślinnych, a przy drzwiach Granitowego Pałacu zamontowano coś w rodzaju prymitywnego kołowrotu. Za pomocą tego urządzenia z łatwością wyciągano cegły do góry aż do samych drzwi Pałacu. Transport materiałów został przez to znacznie uproszczony, toteż natychmiast przystąpiono do urządzenia wnętrza Pałacu. Wapna nie brakło, a przy tym mieli także kilka tysięcy gotowych cegieł. Z łatwością wzniesiono drewniany szkielet przepierzenia, zresztą bardzo prymitywny, i w krótkim czasie całe mieszkanie zostało podzielone na pokoje i magazyn, zgodnie z planem.

Pod kierunkiem inżyniera, który własnoręcznie dzierżył młot i kielnię, praca postępowała bardzo szybko. Żaden rodzaj rzemiosła nie był obcy Cyrusowi, który dawał przykład zdolnym i gorliwym pracownikom. Pracowali z zapałem, a nawet wesoło. Pencroff w każdym charakterze, czy to cieśli, czy powoźnika, czy też murarza, zawsze miał żart na ustach, a jego dobry humor udzielał się pozostałym. Jego zaufanie do inżyniera było bezgraniczne. Nic nie było w stanie go zachwiać. Wierzył, że jest zdolny podjąć się wszystkiego i że wszystko mu się uda. Sprawa ubrania i obuwia — niewątpliwie poważna, sprawa oświetlenia podczas długich zimowych nocy, wykorzystania urodzajnych części wyspy, przeobrażenia dzikiej roślinności w uprawną, wszystko to wydawało mu się łatwe i wierzył, że przy pomocy Cyrusa zostanie wykonane we właściwym czasie. Marzył już o spławnych rzekach, ułatwiających transport bogactw naturalnych, o eksploatacji kamieniołomów i kopalń, o maszynach do rozmaitych wyrobów przemysłowych, ba, o kolejach żelaznych, tak jest, o kolejach, które gęstą siecią miały kiedyś pokryć wyspę Lincolna.

Inżynier nie przeszkadzał mu w tych marzeniach, nie burzył napowietrznych zamków, jakie budowała fantazja dzielnego marynarza. Wiedział, jak łatwo jego zaufanie udziela się pozostałym. Uśmiechał się więc tylko, nie zdradzając ani słowem niepokoju, który czasem wzbudzała w nim myśl o przyszłości. W tej części Pacyfiku, z dala od szlaków uczęszczanych przez statki, słuszenie można się było obawiać, że nigdy nie zostaną uratowani. Mogli zatem liczyć tylko na siebie i na własne siły, gdyż odległość Wyspy Lincolna

od najbliższego lądu była tak wielka, że zaryzykowanie pokonania jej stateczkiem o słabej z konieczności konstrukcji byłoby sprawą poważną i niebezpieczną.

— A jednak — mówił marynarz — przewyższamy o niebo dawniejszych Robinsonów, dla których wszystko działo się cudem.

Rzeczywiście, oni mieli wiedzę, a człowiek, który wie, da sobie radę tam, gdzie inny musi wegetować i zginie bez ratunku.

Harbert wyróżniał się w pracy. Był inteligentny i aktywny, szybko wszystko pojmował i dobrze wykonywał, a Cyrus Smith coraz bardziej przywiązywał się do chłopca. Harbert żywił dla inżyniera serdeczne i pełne szacunku uczucie. Pencroff zauważył sympatię, jaka zawiązała się między tymi dwoma, ale nie był o to wcale zazdrosny.

Nab był Nabem. Był tym, kim miał pozostać zawsze: uosobieniem odwagi, gorliwości, oddania i samozaparcia. Miał do swego pana takie samo zaufanie jak Pencroff, lecz objawiał je w sposób mniej hałaśliwy. Gdy marynarz był pełen entuzjazmu, Nab miał zawsze minę taką, jak gdyby chciał powiedzieć: „Przecież to całkiem naturalne”. Bardzo się polubili z Pencroffem i wkrótce mówili sobie po imieniu.

Gedeon Spilett wziął udział we wspólnej pracy i radził sobie wcale nie mniej zręcznie od innych, co ciągle trochę dziwiło marynarza. Dziennikarz, który nie tylko wszystko rozumie, ale i wszystko umie wykonać!

Drabina została ostatecznie założona 28 maja. Na długości osiemdziesięciu stóp liczyła ponad sto szczebli. Na szczęście Cyrus Smith mógł podzielić ją na dwie części, korzystając z występu skalnego, sterczącego na wysokości czterdziestu stóp ponad ziemią. Występ, starannie wyrównany kilofem, utworzył rodzaj podestu, do którego przytwierdzono pierwszą drabinę, dzięki czemu jej wychylenia zmniejszyły się o połowę; za pomocą sznura można ją było podciągnąć do poziomu Granitowego Pałacu. Drugą drabinę przymocowano zarówno za dolny koniec, spoczywający na występie, jak i za górny, przy drzwiach. W ten sposób wchodzenie stało się znacznie łatwiejsze. Zresztą Cyrus Smith zamierzał zainstalować później windę hydrauliczną, która mieszkańcom Granitowego Pałacu zaoszczędziłaby zmęczenia i straty czasu.

Koloniści szybko przyzwyczaili się do korzystania z drabiny. Byli zwinni i zręczni, a Pencroff, jako marynarz przyzwyczajony do biegania po wyblinkach want¹⁷⁰, udzielał im lekcji. Trzeba było nauczyć wspinaczki także i Topa. Biedne psisko ze swymi czterema łapami nie było stworzone do tego rodzaju akrobacji. Pencroff jednak był tak gorliwym nauczycielem, że pies w końcu opanował sztukę wspinaczki i wlaźł po drabinie równie biegle, jak jego bracia w cyrkach. Trudno powiedzieć, czy marynarz był zadowolony ze swego ucznia. To tylko pewne, że nieraz dźwigał go na górę na plecach, na co zresztą Top nigdy się nie uskarżał.

Podczas tych robót, prowadzonych z wielkim pośpiechem, gdyż zbliżała się już pora deszczowa, nie zapomniano też o zaopatrzeniu w żywność. Codziennie reporter i Harbert, którzy stali się dostawcami kolonii, spędzali kilka godzin na polowaniu. Dotychczas polowali tylko w Lesie Złotopióra, po lewej stronie rzeki, gdyż z powodu braku mostu, nie mając łodzi, nie mogli przepłynąć na drugą stronę Rzeki Dziękczynienia. Cały ten olbrzymi obszar leśny, nazwany przez nich Lasami Dalekiego Zachodu, pozostał niezbadany. Tę ważną wyprawę odłożyli do pierwszych dni wiosny. Ale i Las Złotopióra obfitował w zwierzynę, pełno w nim było kangurów i dzików, a okute żelazem oszczepy, łuki i strzały myśliwych dokonywały cudów. W dodatku Harbert odkrył w pobliżu południowo-zachodniego rogu jeziora naturalną królikarnię, rodzaj lekko wilgotnej łączki, porośniętej wierzbami i aromatycznymi ziołami, których woń rozchodziła się w powietrzu; rósł tam tymianek, macierzanka, bazylija, cząber i rozmaite wonne gatunki z rodziny roślin wargowych¹⁷¹, na które króliki są niezmiernie łakome.

Reporter zauważył, że skoro stół nakryty dla królików, byłoby dziwne, gdyby nie było w pobliżu królików. Obaj myśliwi zaczęli uważnie rozglądać się po łące. Rosło na

¹⁷⁰wyblinka want — wanty to stalowe liny stabilizujące maszt na żaglowcu, zaś wyblinka to krótkie, poziome linki łączące sąsiednie wanty, tworzące szczeble drabiny przeznaczonej do wspinania się na maszt. [przypis edytorski]

¹⁷¹wargowe a. jasnnotowe (biol.) — rodzina roślin zielnych licząca ponad 3500 gatunków, występujących na całym świecie; wiele z nich zawiera olejki eteryczne i znalazły zastosowanie w medycynie, kosmetyce oraz jako przyprawę. [przypis edytorski]

niej wiele pożytecznych roślin i przyrodnik miałby okazję poznać niejedną ciekawą okazję świata roślinnego. Harbert zbierał sporo bazylii, rozmarynów, melisy, bukwicy i innych roślin o rozmaitych własnościach leczniczych: były wśród nich zioła na płuca, inne działające ściągająco, przeciwgorączkowo, przeciwskurczowo lub przeciwreumatycznie. A kiedy później Pencroff zapytał go, na co się przyda ten zbiór ziół, odpowiedział:

— Będziemy się nimi leczyć w razie choroby.

— Dlaczego mielibyśmy chorować, skoro na wyspie nie ma żadnych lekarzy? — odparł bardzo poważnie Pencroff.

Na to nie było co odpowiedzieć, lecz mimo to Harbert nie przestał zbierać ziół, co zostało bardzo życzliwie przyjęte w Granitowym Pałacu. Tym bardziej że oprócz ziół leczniczych przyniósł ze sobą także znaczną ilość monardy dwoistej¹⁷², znanej w Ameryce Północnej pod nazwą herbaty Oswega, z której można sporządzać doskonały napój.

Wreszcie, po uważnych poszukiwaniach, pewnego dnia trafili na prawdziwą króliarnię. Ziemia była w tym miejscu podziurawiona jak durszlak.

— To nory! — zawołał Harbert.

— Tak — odparł reporter — widzę je.

— Ale czy zamieszkane?

— To jest właśnie pytanie.

Pytanie zostało natychmiast rozstrzygnięte. W tej samej bowiem chwili setki zwierzątek podobnych do królików pierzchło w różne strony, i to z taką szybkością, że nawet Top nie zdołałby ich dopędzić. Na próżno myśliwi i pies uganiał się za nimi — gryzonie wymykały się im z łatwością. Jednak reporter postanowił nie ruszyć się z tego miejsca, dopóki nie schwyta przynajmniej z pół tuzina zwierzątek. Chciał nimi na początek zaopatrzyć spiżarnię, a następnym razem nałapać trochę do hodowli. Gdyby rozpostrzeć kilka sieci nad wejściami do nor, połów byłby łatwy. W tej chwili jednak ani nie mieli sieci, ani też nie było ich z czego zrobić. Trzeba więc było poprzestać na rozkopywaniu kijem pojedynczych nor i cierpliwością starać się dopiąć tego, czego nie można było w inny sposób.

Wreszcie po godzinie kopania schwytali cztery gryzonie. Były to króliki dość podobne do swych europejskich współplemieńców, znane pod nazwą królików amerykańskich¹⁷³.

Zdobycz zanieśli do Granitowego Pałacu, gdzie posłużyła za kolację. Okazało się że była to zwierzyna nie do pogardzenia, wręcz wyśmienita. W ten sposób koloniści zyskali cenne i jak się zdawało niewyczerpane źródło żywności.

31 maja przegrody były gotowe. Pozostało tylko umeblować pokoje, czym mieli się zająć podczas długich zimowych dni. W pierwszym pomieszczeniu, służącym za kuchnię, postawiono komin. Trochę kłopotu sprawiło domorosłym zdunom wykonanie przewodu, przez który dym miał ulatywać na zewnątrz. Cyrus Smith zdecydował, że najłatwiej będzie sporządzić rurę z wypalanej gliny. Ponieważ nie dało się jej wyprowadzić przez sklepienie, wykuto w kuchni otwór nad oknem i przeciągnięto do niego ukośnie rurę od komina, jak od żelaznego piecyka. Bez wątplenia przy silnym wietrze wschodnim, wiejącym wprost na fasadę, komin będzie dymił, ale takie wiatry były rzadkie, a zresztą kuchmistrz Nab nie zwracał uwagi na takie drobiazgi.

Gdy zakończono urządzenie wnętrza Granitowego Pałacu, inżynier zabrał się do zawalenia otworu dawnego kanału odpływowego, by uniemożliwić dostęp z tej strony. Przytoczono więc do otworu olbrzymie bryły skalne i mocno je pospajano. Cyrus Smith na razie nie wykonał jeszcze swojego projektu zatopienia otworu przez budowę tamy i podniesienie wody w jeziorze do pierwotnego poziomu. Zadowolił się zamaskowaniem miejsca, gdzie był dawny otwór, w szparach pomiędzy głazami zasadzając trawę i niewielkie krzewy, które na wiosnę powinny się bujnie porozrastać.

Dawny odpływ inżynier wykorzystał na doprowadzenie do nowego mieszkania strumienia słodkiej wody z jeziora. Zadanie to spełniał mały rowek wyżłobiony poniżej poziomu wody w jeziorze, a czyste i niewyczerpane źródło wody dostarczało dwadzie-

¹⁷²monarda dwoista a. pysznogłówka szkarłatna, *Monarda didyma* (biol.) — roślina z rodziny jasnotowatych, z której liści sporządza się napój o cierpkim cytrynowym aromacie. [przypis edytorski]

¹⁷³królik amerykański, właśc. królik, *Sylvilagus* (biol.) — rodzaj ssaków z rodziny zającowatych, występujących w Ameryce Północnej, Środkowej i Południowej. [przypis edytorski]

ścia pięć do trzydziestu galonów¹⁷⁴ dziennie. A zatem wody w Granitowym Pałacu nie powinno nigdy zabraknąć.

Wreszcie wszystko było gotowe i to w sam czas, gdyż pora deszczowa była tuż za pasem. Na razie, dopóki inżynier nie wyprodukuje szyb, do zamykania okien służyły mocne okiennice.

Gedeon Spilett bardzo artystycznie poustawiał na występach skalnych dookoła okien rozmaite rośliny i długie, wijące się trawy; okolone malowniczą zielenią otwory okien wyglądały wprost uroczo.

Mieszkańcy solidnego, zdrowego i bezpiecznego mieszkania mogli więc być dumni ze swojego dzieła. Dzięki oknom mogli swobodnie sięgać wzrokiem aż po widnokrąg, który od północy zamykał Przylądek Obu Szczęk, a od południa Przylądek Szponu. Zatoka Stanów Zjednoczonych rozpościerała się przed nimi w całej swej okazałości. Doprawdy dzielni koloniści mieli prawo do zadowolenia, a Pencroff nie szczędził pochwał temu, jak go żartobliwie nazywał, „apartamentowi na piątym piętrze nad antresolą¹⁷⁵”.

ROZDZIAŁ XX

Pora deszczowa. — Sprawa ubrania. — Polowanie na foki. — Wyrób świec. — Prace uwnętrz Granitowego Pałacu. — Dwa mostki. — Wyprawa po ostrygi. — Co Harbert znalazł w kieszeni.

Zima rozpoczęła się na dobre w czerwcu, który odpowiada grudniowi na półkuli północnej. Rozpoczęła się od ciągłych ulew i wichur, następujących po sobie bez chwili przerwy. Mieszkańcy Granitowego Pałacu mogli teraz ocenić korzyści mieszkania chroniącego od burz i słoty. Kominy nie byłyby wystarczającym schronieniem przed srogością zimy, a poza tym obawiali się ponownego zalania wnętrza przez wzburzone wichrami fale przypyływu. Cyrus Smith przedsięwziął nawet pewne środki ostrożności, aby, o ile się da, zabezpieczyć urządzoną w Kominach kuźnię i piec.

Cały czerwiec upłynął na rozmaitego rodzaju pracach, nie wyłączając polowania ani rybołówstwa, tak że spiżarnia była zawsze obficie zaopatrzona. Pencroff zamierzał w wolnym czasie sporządzić pułapki, po których wiele sobie obiecywał. Porobił sidła z włókien drzewnych i nie było dnia, żeby królikarnia nie dostarczyła do kuchni pewnej ilości gryzoni. Nab prawie cały czas spędzał na soleniu i na wędzeniu mięsa, dzięki czemu doskonale się konserwowało.

Teraz zaczęli poważnie zastanawiać się nad sprawą odzieży. Koloniści mieli tylko te ubrania, w których balon wyrzucił ich na wysepkę. Były ciepłe i solidne, dbali o nie i o bieliznę z największą troskliwością, utrzymywali we wzorowej czystości, mimo to jednak należało się spodziewać, że wkrótce trzeba je będzie wymienić. W dodatku, gdyby trafiła się ostra zima, musieliby cierpieć z powodu zimna.

W tej sprawie pomysłowość Cyrusa Smitha zawiodła. Musiał myśleć o najpilniejszych potrzebach, stworzeniu mieszkania, zaopatrzeniu się w żywność; toteż mrozy mogłyby ich zaskoczyć przed załatwieniem sprawy odzieży. Trzeba się więc jakoś wytrzymać i spędzić tę pierwszą zimę bez zbyteń narzekania. Z nadejściem wiosny mieli urządzać wielkie polowanie na muflony, które zauważyli podczas wyprawy na Górę Franklina, a gdy się nagromadzi dość wełny, inżynier na pewno da sobie radę, żeby sporządzić z niej ciepłe i mocne tkaniny... W jaki sposób? O tym jeszcze pomyśli.

— No cóż, najwyżej będziemy opiekac sobie łydki przy ogniu w Granitowym Pałacu! — powiedział Pencroff. — Opału mamy pod dostatkiem, nie ma powodu, żeby go oszczędzać.

— Zresztą — odparł Gedeon Spilett — Wyspa Lincoln nie leży na zbyt dużej szerokości geograficznej, więc i zimy prawdopodobnie nie są tu zanadto ostre. Czy nie mówił nam pan, Cyrusie, że trzydziesty piąty równoleżnik odpowiada mniej więcej szerokości geograficznej Hiszpanii na naszej półkuli?

¹⁷⁴galon — anglosaska miara objętości płynów i ciał sypkich; galon amerykański to ok. 4 litry. [przypis edytorski]

¹⁷⁵antresola — półpiętro lub międzypiętro, zwłaszcza między parterem a pierwszym piętrem. [przypis edytorski]

— Bez wątpienia — odparł inżynier — jednak i w Hiszpanii bywają czasem ostre zimy. Nie brak tam wtedy śniegu ani lodu, więc i Wyspa Lincolnna może być równie dotkliwie doświadczana. Jednak ponieważ jest to wyspa, więc sędzę, że temperatura będzie bardziej umiarkowana.

— A to dlaczego, panie Cyrusie? — zapytał Harbert.

— Ponieważ morze, mój chłopcze, można uważać za rodzaj olbrzymiego zbiornika przechowującego w sobie ciepło nagromadzone w okresie letnim. W zimie oddaje je z siebie, wskutek czego w okolicach nadmorskich panuje zawsze bardziej umiarkowana temperatura, niezbyt wysoka w lecie, lecz za to niezbyt niska w zimie.

— Zobaczmy — odparł Pencroff. — Na razie nie martwmy się, czy będzie zimno, czy ciepło. Jedno jest pewne: dni są już krótkie, a wieczory długie. Dlatego warto się zastanowić nad sprawą oświetlenia.

— Nic łatwiejszego — odparł Cyrus Smith.

— Niż zastanowić się nad nią? — zapytał marynarz.

— Niż ją załatwić.

— A kiedy się za to zabierzemy?

— Jutro, a zaczniemy od polowania na foki.

— Żeby zrobić lojówki¹⁷⁶?

— Ależ skąd, Pencroffie! Świece!

Taki był rzeczywiście projekt inżyniera, projekt wykonalny, gdyż mieli już wapno i kwas siarkowy, a foki miały im tłuszczu dostarczyć potrzebnego do wytworzenia świec.

Był to 4 czerwca, zarazem niedziela Zielonych Świątek, postanowili zatem jednogłośnie uroczystie obchodzić święto. Zawiesili więc wszystkie prace, a modlitwy kolonistów wzniosły się ku niebu. Ale teraz były to modlitwy dziękczynne. Koloniści Wyspy Lincolnna już nie byli nędznymi rozbitkami, wyrzuconymi na odludną wysepkę. Nie prosili już o nic, lecz dziękowali.

Nazajutrz, 5 czerwca, w dość niepewną pogodę wyruszyli na wysepkę. Trzeba było korzystać z odpływu, żeby przejść kanał w bród. Przy tej okazji postanowili zbudować jakąś łódź, która ułatwiałaby im komunikację i którą mogliby popłynąć w górę Rzeki Dziękczynienia podczas wielkiej wyprawy badawczej na południowy zachód, którą zamierzali przedsięwziąć w pierwszych dniach wiosny.

Fok było mnóstwo i myśliwi, uzbrojeni w okute żelazem oszczepy, ubili ich z łatwością z pół tuzina. Nab z Pencroffem odarli je na miejscu ze skór i zabrali do Granitowego Pałacu tylko tłuszcz i skóry, które im miały posłużyć na obuwiu.

Owoce polowania było około trzystu funtów tłuszczu, który w całości miał posłużyć do wyrobu świec.

Proces ten był całkiem prosty, a chociaż powstałe produkty nie były doskonałe, to w każdym razie nadawały się do użytku. Gdyby Cyrus Smith dysponował jedynie kwasem siarkowym, to mieszając go z obojętnym tłuszczem, na przykład z tłuszczem fok, i ogrzewając mieszaninę, mógłby wyodrębnić glicerynę¹⁷⁷, a następnie za pomocą wrzątku oddzielić oleinę, margarynę i stearynę¹⁷⁸. Jednak dla uproszczenia tego procesu wołał zmydlić tłuszcz za pomocą wapna. W ten sposób otrzymał mydło wapienne, łatwe do rozłożenia pod wpływem kwasu siarkowego, który wytrąca wapno w postaci siarczanu i uwalnia kwasy tłuszczowe.

Z tych trzech kwasów: oleinowego, margarynowego i stearynowego, pierwszy, będący cieczą, usunięto przez odpowiednie wyciskanie, dwa pozostałe zaś stanowiły substancję, z której miało się formować świece. Cała ta praca trwała niecałą dobę. Po kilku próbach udało się zrobić knoty z włókien roślinnych. Po zatopieniu ich w roztopionej

¹⁷⁶lojówka (pot.) — świeca z loju. [przypis edytorski]

¹⁷⁷gliceryna (chem.) — organiczna, bezbarwna ciecz, tłusta w dotyku, produkowana z tłuszczu roślinnych i zwierzęcych; ze względu na bardzo wysoką skłonność do łączenia się z wodą stosowana przy produkcji kremów i in. produktów kosmetycznych; wykorzystywana także do produkcji płynów hamulcowych i chłodniczych. [przypis edytorski]

¹⁷⁸oleina, margaryna i stearyna — dawniej uważano w nauce, że tłuszcze zwierzęce są mieszaninami trzech kwasów tłuszczowych: oleinowego, margarynowego i stearynowego. W 1853 odkryto, że kwas margarynowy stanowi mieszaninę kwasu stearynowego oraz nieznanego wcześniej kwasu palmitynowego. Obecnie słowo *margaryna* oznacza tłuszcz spożywczy produkowany od XIX w. jako zamiennik masła, początkowo z loju wołowego (oleomargaryna), od XX w. z utwardzanych olejów roślinnych. [przypis edytorski]

substancji otrzymano prawdziwe świece stearynowe, formowane ręcznie; brakowało im tylko wybielenia i wypolerowania. Oczywiście ich knoty nie miały tych zalet co knoty nasycone kwasem bornym, które roztapiają się w miarę palenia i wypalają się doszczętnie, ale Cyrus Smith sporządził parę pięknych szczypiec do obcinania knotów i świece dobrze służyły kolonistom podczas długich wieczorów w Granitowym Pałacu.

Przez cały miesiąc nie brakowało również pracy w nowym mieszkaniu. Ciesłe mieli pełne ręce roboty. Udoskonalono prymitywne narzędzia i uzupełniono ich zestaw o nowe.

Między innymi wykonano nożyczki, którymi koloniści mogli wreszcie obciąć sobie włosy, a brody, jeżeli nie ogolić, to przynajmniej przystrzyć według upodobania. Harbert nie miał wcale zarostu, zaś Nab niewielki, lecz ich towarzysze tak obrośli, że zrobienie nożyczek było zupełnie uzasadnione.

Sporządzenie małej, ręcznej piły kosztowało ich wiele trudu, ostatecznie jednak otrzymali narzędzie, którym pracując w pocie czoła, można było piłować drewno na deski. Korzystając z niego, porobili stoły, krzesła i szafy, którymi umeblowali główne pokoje, wreszcie ramy łóżek, na których położyli materace z trawy morskiej. Kuchnia z półkami, gdzie stały naczynia z wypalanej gliny, z paleniskiem z cegieł i wyszorowaną kamienną podłogą robiła doskonale wrażenie, a Nab urzędował w niej z taką powagą, jakby było to laboratorium chemiczne.

Wkrótce jednak stolarzy z powrotem musieli zastąpić ciesłe. Nowy odpływ wody z jeziora, utworzony przez wysadzenie skały, stworzył konieczność zrobienia dwóch mostków: jednego na Płaskowyżu Pięknego Widoku, a drugiego na samym wybrzeżu. Teraz bowiem tak płaskowyż, jak i wybrzeże przecinał potok, który trzeba było przebyć, chcąc się dostać do północnej części wyspy. Aby go ominąć, koloniści musieliby znacznie zbaczając z drogi i obchodzić go od zachodu daleko za źródłem Czerwonego Potoku. Najprościej zatem było postawić na płaskowyżu i na wybrzeżu dwa mostki, mające dwudziestu do dwudziestu pięciu stóp długości, wykonane z kilku drzew z grubsza ociosanych siekierą. Cała ta praca zajęła tylko parę dni. Nab i Pencroffem od razu skorzystali z mostków, by udać się do ławicy ostryg, którą odkryli wcześniej na wprost wydm. Zabrali ze sobą coś w rodzaju prymitywnego wózka, który miał zastąpić dawne, niewygodne nosze. Przyciągnęli na nim kilka tysięcy ostryg, które bardzo prędko zaaklimatyzowały się wśród skał tworzących jakby naturalne parki przy ujściu Rzeki Dziękczynienia. Mięczaki były wspaniałe i koloniści raczyli się nimi prawie codziennie.

Jak widzimy, Wyspa Lincoln, mimo że mieszkańcy zbadali tylko niewielką jej część, zaspokajała prawie wszystkie ich potrzeby. A przecież możliwe, że po zbadaniu najskrytszych zakątków, znajdujących się na tym zalesionym obszarze ciągnącym się pomiędzy Rzeką Dziękczynienia a Cyplem Jaszczurczym, odkryją nowe skarby.

Jednego tylko produktu brakowało kolonistom. Mieli pod dostatkiem żywności bogatej w białko oraz produktów roślinnych, które równoważyły jego nadmiar. Drzewiaste korzenie smokowca, poddane fermentacji, dostarczały im kwaskowatego napoju, czegoś w rodzaju piwa, dużo lepszego od czystej wody. Udało im się nawet wyprodukować cukier, i to bez trzciny cukrowej i bez buraków — zbierali w naczynia sok wydzielany przez *Acer saccharinum*¹⁷⁹, rodzaj klonu rosnącego we wszystkich strefach umiarkowanych, którego także na wyspie było pod dostatkiem. Z monardy zebranej w królikarni parzyli smaczną herbatę. Mieli wreszcie pod dostatkiem soli, która jest jedynym produktem mineralnym wchodzącym w skład pożywienia... Ale brakowało im chleba.

Być może później koloniści potrafiliby zastąpić chleb jakimś zbliżonym produktem, na przykład z mąki z sagowca lub z drzewa chlebowego, i bardzo możliwe, że te cenne drzewa rosły gdzieś w lasach południowej części wyspy, ale dotychczas ich nie napotkali.

Tym razem Opatrzność bezpośrednio przysłała im z pomocą, co prawda w nieskończenie małym stopniu, ale bądź co bądź Cyrus Smith pomimo całej swojej mądrości i pomysowości nie zdołałby być nigdy wytworzyć tego, co pewnego dnia Harbert przypadkiem znalazł w podszewce kamizelki, którą właśnie reperował.

Tego dnia deszcz lał strumieniami, koloniści siedzieli w dużej sali Granitowego Pałacu, gdy nagle Harbert zawołał:

¹⁷⁹*Acer saccharinum* (biol.) — klon cukrowy, drzewo występujące we wsch. części Ameryki Północnej; sok wypływający wiosną z jego naciętych pni zawiera kilka procent cukru, służy do wyrobu syropu klonowego. [przypis edytorski]

— Niech pan spojrzy, panie Cyrusie! Ziarnko zboża!

I pokazał towarzyszom ziarnko, jedno jedyne ziarnko, które przez dziurawą kieszeń kamizelki wpadło pod podszewkę.

Podczas pobytu w Richmond Harbert karmił zbożem parę gołębi grzywaczy otrzymanych w prezencie od Pencroffa. Stąd w kieszeni znalazło się ziarnko.

— Ziarnko zboża? — zapytał z ożywieniem inżynier.

— Tak, panie Cyrusie, ale tylko jedno, jedyne!

— Ech, mój chłopcze — zawołał, śmiejąc się, Pencroff — bardzo ważne, na honor! Co mielibyśmy zrobić z jednym ziarnkiem zboża?

— Zrobimy chleb — odparł inżynier.

— Chleb? Może ciastka, a może i torty! — zaśmiał się marynarz. — No, no! Żebyśmy się nie pochorowali z przedjedzenia się chlebem z tego ziarnka!

Harbert, nie przywiązując wielkiej wagi do swojego odkrycia, chciał już wyrzucić ziarnko, gdy Cyrus Smith wziął je do ręki, przypatrzył mu się dokładnie, a przekonawszy się, że jest w dobrym stanie, utkwiał wzrok w marynarza i odezwał się spokojnie:

— Czy wie pan, Pencroffie, ile kłosów może wyrosnąć z jednego ziarnka?

— Przypuszczam, że jeden — odparł marynarz, zaskoczony pytaniem.

— Dziesięć kłosów. A wie pan, ile ziarenek jest w kłosie?

— Na honor, nie.

— Przeciętnie osiemdziesiąt — powiedział Cyrus Smith. — Otóż jeśli zasadzimy to ziarnko, to pierwszy plon z niego da nam osiemset ziaren, drugi plon, z zasadzenia tych ziaren, wyniesie sześćset czterdzieści tysięcy ziaren, trzeci — pięćset dwanaście milionów, a czwarty plon — ponad czterysta miliardów ziaren. Taka jest proporcja.

Towarzysze Cyrusa słuchali go w milczeniu. Liczby zdumiewały ich, a przecież były dokładne.

— Tak, przyjaciele — ciągnął dalej inżynier. — Tak wygląda postęp arytmetyczny¹⁸⁰ w płodności natury. A czymże jest to rozmnażanie się ziarnka zboża, którego kłosy dają zaledwie osiemset ziaren, w porównaniu z makówką, zawierającą trzydzieści dwa tysiące ziaren, lub z tytoniem, który daje ich trzysta sześćdziesiąt tysięcy? Gdyby nie liczne przyczyny, które je niszczą i ograniczają ich rozrost, te rośliny w ciągu kilku lat opanowałyby całą ziemię.

Ale inżynier nie zakończył jeszcze swojego wypytywania.

— A teraz niech mi pan powie, Pencroffie — ciągnął dalej — czy wie pan, ile będzie to buszli¹⁸¹ z tych czterystu miliardów ziaren zboża?

— Nie wiem — odparł marynarz — wiem tylko, że jestem osio!

— Otóż przeszło trzy miliony, licząc sto trzydzieści tysięcy ziaren na jeden buszel.

— Trzy miliony buszli! — zawołał Pencroff.

— Trzy miliony.

— W cztery lata?

— W cztery lata — odparł Cyrus Smith — a może nawet tylko w dwa, jeśli, jak sądzę po szerokości geograficznej naszej wyspy, będziemy mieli żniwa dwa razy w roku.

Usłyszawszy to, Pencroff swoim zwyczajem odpowiedział głośnym „hurra!”.

— Tak więc, Harbercie, znalazłeś dziś coś, co ma dla nas wyjątkowe znaczenie — dodał inżynier. — Wszystko, przyjaciele, w naszej sytuacji wszystko może się przydać. Bardzo proszę, nie zapominajcie o tym.

— Nie, panie Cyrusie, na pewno nie zapomnimy — odparł Pencroff — i jeśli kiedykolwiek znajdzie ziarnko tego tytoniu, co to się mnoży trzysta sześćdziesiąt tysięcy razy, to może pan być całkiem pewny, że go nie wyrzucę! A teraz co mamy zrobić?

— Zasadzić to ziarnko — odparł Harbert.

— Tak jest — dodał Gedeon Spilett — i to z całą pieczołowitością, na jaką zasługuje, gdyż ukrywa w sobie nasze przyszłe żniwo.

— Oby tylko wzeszło! — zawołał marynarz.

¹⁸⁰postęp arytmetyczny — według terminologii matematycznej liczba ziaren rośnie w postępie geometrycznym (w którym występuje stała mnożnik), a nie w arytmetycznym (w którym występuje przyrost o stałą wielkość). [przypis edytorski]

¹⁸¹buszel — anglosaska jednostka objętości produktów sypkich (ziarna, mąki itp.), równa ok. 36 litrów. [przypis edytorski]

— Wzędzie — odparł Cyrus Smith.

Było to 20 czerwca, a więc w porze odpowiedniej do zasiania tego jednego, drogiego ziarenka. Początkowo chcieli je wsadzić do doniczki, ale po namyśle postanowili zaufać przyrodzie i powierzyć je ziemi. Zrobili to jeszcze tego samego dnia, a zbyteczne byłoby dodawać, że nie zaniedbano niczego, co mogłoby zapewnić pomyślny wzrost.

Kiedy się nieco przejaśniło, koloniści weszli na szczyt Granitowego Pałacu. Tu wybrali miejsce zasłonięte przed wiatrem i wystawione na działanie południowych promieni słońca. Oczyścili grunt, starannie wyplewili chwasty, a nawet przetrząsnęli glebę, aby wypłoszyć owady i robaki, położyli na wierzchu warstwę żyznej ziemi zmieszanej z odrobiną wapna, ogrodzili miejsce, po czym wetknęli ziarenko w wilgotną glebę.

Wyglądało to tak, jakby koloniści kładli kamień węgielny pod budowę jakiegoś gmachu. Przypomniało to Pencroffowi dzień, kiedy zapalał jedyną zapalną, jaką mieli, i ostrożność, z jaką to robił. Jednak tym razem sprawa była poważniejsza. Istotnie, koloniści w taki czy inny sposób uzyskaliby ogień, ale żadna ludzka siła nie zdołałaby odtworzyć ziarenka zboża, gdyby nieszczęśliwym trafem miało zmarnieć.

ROZDZIAŁ XXI

Kilka stopni poniżej zera. — Badania bagnistej południowo-wschodniej części wyspy. — Kolpeo. — Widok morza. — Rozmowa o przyszłości Pacyfiku. — Nieustająca praca polipów. — Co się stanie z kulą ziemską. — Polowanie. — Bagno Kazarek.

Od tej chwili było dnia, żeby Pencroff nie szedł odwiedzić miejsca, które całkiem poważnie nazywał swoim „polem zboża”. Biada owadom, które się tam zapędziły! Nie było dla nich miłosierdzia.

Pod koniec czerwca, po niekończących się deszczach, powietrze wyraźnie się oziębilo i 29 czerwca termometr Fahrenheita niewątpliwie wskazałby już tylko dwadzieścia stopni powyżej zera (około sześciu stopni Celsjusza poniżej zera).

Nazajutrz, 30 czerwca, który odpowiada 31 grudnia na półkuli północnej, przypadał piątek. Nab zauważył, że stary rok kończy się pechowym dniem, ale Pencroff odpowiedział mu, że za to naturalnie nowy rok zaczyna się od pomyślnego — co jest ważniejsze.

W każdym razie rok rozpoczął się od ostrego mrozu. Przy ujściu Rzeki Dziękczynienia nagromadziła się kora, a wkrótce całe jezioro zamarzło.

Musieli kilkakrotnie odnawiać zapas opału. Pencroff nie czekał, aż rzeka zamarźnie, tylko pospieszył się z dostarczeniem wielkich tratw drzewa. Prąd rzeki był niestrudzoną siłą napędową, toteż korzystali z niego przy spławianiu drewna aż do chwili, gdy lód skuł rzekę. Do tego opału, tak obficie dostarczanego przez las, dodali jeszcze kilka wózków węgla, po który trzeba było chodzić aż do podnóża Góry Franklina. Wielką siłą cieplną węgla mogli w pełni ocenić, kiedy 4 lipca temperatura spadła do ośmiu stopni Fahrenheita (trzydzieści stopni Celsjusza poniżej zera). W jadalni postawiono drugi kominek i wszyscy pracowali tam razem.

Podczas tych mrozów Cyrus Smith mógł sobie pogratulować, że doprowadził do Granitowego Pałacu strumyczek wody z Jeziora Granta. Woda, ujęta pod lodową pokrywą i doprowadzona dawnym podziemnym kanałem, utrzymywała się w stanie ciekłym i dopływała do wewnętrznego zbiornika, wykutego w rogu magazynu; jej nadmiar spływał przez studnię do morza.

W tym czasie, korzystając z wyjątkowo suchego powietrza, koloniści, ubrani możliwie jak najcieplej, postanowili poświęcić dzień na zbadanie obszaru na południowym wschodzie, pomiędzy Rzeką Dziękczynienia a Przylądkiem Szponu. Była to rozległa, bagnista przestrzeń, na której można było liczyć na udane polowanie, gdyż musiało się tam roić od ptactwa wodnego.

Trzeba było przebyć w jedną stronę osiem do dziewięciu mil i tyle samo z powrotem, więc wyprawa trwałaby cały dzień. Ponieważ chodziło także o zbadanie nieznanego obszaru wyspy, w wyprawie miała wziąć udział cała kolonia. Dlatego też 5 lipca, o szóstej rano, gdy ledwie zaczęło świtać, Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Harbert, Nab i Pencroff, uzbrojeni w oszczepy, sidła, łuki i strzały oraz zaopatrzeni w zapas żywności, opuścili Granitowy Pałac, poprzedzani przez Topa, podskakującego przed nimi wesoło.

Wybrano najkrótszą drogę, jaką było przejście przez Rzekę Dziękczynienia po skuwającym ją lodzie.

— Jednak — zauważył słusznie reporter — to nie może zastąpić porządnego mostu!

W ten sposób do listy przyszłych prac zostało dopisane zbudowanie „porządnego” mostu.

Po raz pierwszy noga kolonistów stanęła na prawym brzegu Rzeki Dziękczynienia. Zapuścili się pomiędzy olbrzymie, piękne drzewa iglaste, pokryte teraz śniegiem.

Nie przeszli nawet mili, gdy nagle z gęstych zarośli, wypłoszona ujadaniem Topa, wyskoczyła cała rodzina jakichś czworonogów, które widocznie tam mieszkały.

— Ach, wyglądają jak lisy! — zawołał Harbert, widząc umykającą co tchu gromadę.

Były to rzeczywiście lisy, ale bardzo duże, wydające odgłosy podobne do szczekania, co Topa wprawilo w takie zdziwienie, że zatrzymał się w pogoni, co dało im czas uciec i zniknąć. Pies miał prawo się zdziwić, gdyż nie znał nauk przyrodniczych. Właśnie tym szczekaniem lisy te, o szaroburzych futrach i czarnych ogonach zakończonych białą kitką, zdradzały swoje pochodzenie. Harbert bez wahania wymienił ich właściwą nazwę: kolpeo¹⁸², czyli lisy andyjskie. Spotyka się je często w Chile, na Malwinach¹⁸³ oraz we wszystkich krajach Ameryki pomiędzy trzydziestym a czterdziestym równoleżnikiem. Harbert bardzo żałował, że Top nie złapał żadnego z tych drapieżników.

— A dają się one jeść? — zapytał Pencroff, zawsze oceniający przedstawicieli fauny tylko z tego szczególnego punktu widzenia.

— Nie — odpowiedział Harbert — ale zoologowie nie ustalili jeszcze, czy mają wzrok dzienny, czy nocny, i czy w związku z tym nie należałoby ich zaliczyć do kategorii psów właściwych.

Cyrus Smith nie mógł się powstrzymać od uśmiechu, słysząc tę uwagę, dowodzącą poważnego umysłu chłopca. Co zaś do marynarza, to od chwili, kiedy dowiedział się, że lisów nie można zaliczyć do kategorii rzeczy jadalnych, nic go nie obchodziło. Zauważył tylko, że kiedy w Granitowym Pałacu założą hodowlę psów, trzeba będzie zabezpieczyć się przeciwko odwiedzinom tych czworonożnych rabusiów. Nikt temu nie zaprzeczył.

Gdy koloniści obeszlą cypel, ujrzeni przed sobą długi pas wybrzeża oblewanego falami rozległego oceanu. Była ósma rano. Niebo było bardzo czyste, jak to się zdarza przy silnych i długotrwałych mrozach, ale rozgrzani marszem Cyrus Smith i jego towarzysze nie odczuwali zbyt dotkliwie uszczypnięć ostrego powietrza. Zresztą pogoda była bezwietrzna, co pomagało znosić niską temperaturę. Świecące, ale nie ogrzewające słońce wynurzało się właśnie z oceanu i jego olbrzymi krąg płynął nad horyzontem. Powierzchnia morza była spokojna, a jej błękit przypominał wody śródziemnomorskiej zatoki pod jasnym niebem. Na południowym wschodzie, w odległości około czterech mil, rysował się wyraźnie Przylądek Szponu, zakrzywiony jak jatagan¹⁸⁴. Na lewo skraj bagien raptownie kończył się niewielkim cypłem, który promienie słoneczne stroiły w tej chwili właśnie ognistą smugą. Z pewnością w tej części Zatoki Stanów Zjednoczonych, gdzie nie było żadnej osłony od strony morza, nawet ławicy piasku, smagane wschodnimi wichrami statki nie znalazłyby schronienia. Spokojna powierzchnia morza, którego wód nie mąciła żadna mielizna, jednolita barwa wody, nigdzie niewpadającej w odcień żółtawy, wreszcie brak skał podwodnych — wszystko to wskazywało, że brzeg musiał tu być urwisty i że ocean kryje w tym miejscu głębokie otchłanie. W oddali na zachodzie, w odległości czterech mil, rysowały się pierwsze szeregi drzew Lasów Dalekiego Zachodu. Miało się wrażenie, że się jest na jakimś niegościnnym wybrzeżu wyspy z okolic podbiegunowych, otoczonym lodami. Rozpalono ognisko z gałązek i wyschniętych wodorostów, a Nab przygotował posiłek z zimnego mięsa oraz herbaty Oswega.

¹⁸²kolpeo, nibylis a. lis andyjski, *Lycalopex culpaeus* — gatunek drapieżnego ssaka z rodziny psowatych, zamieszkujący tereny zach. i pld. części Ameryki Południowej. Jego międzynarodowa nazwa rodzajowa *Lycalopex* jest połączeniem dwóch greckich słów oznaczających wilka i lisa; w systematyce taksonomicznej nie jest zaliczany do lisów, ale do psów właściwych, a swoim zachowaniem i wyglądem przypomina bardziej kojoty i wilki. [przypis edytorski]

¹⁸³Malwiny a. *Falklandy* — wyspy na pld.-zach. Atlantyku, ok. 500 km na wsch. od wybrzeży Argentyny. [przypis edytorski]

¹⁸⁴jatagan — broń sieczna o zakrzywionym ostrzu, używana od XVI w. przez Turków, Arabów i Persów. [przypis edytorski]

Jedząc, rozglądali się wkoło. Ta część Wyspy Lincoln była naprawdę nieurodzajna i kontrastowała z całym jej zachodnim regionem. Reporter zauważył, że gdyby los rzucił ich najpierw na to wybrzeże, mieliby jak najgorsze wyobrażenie o swojej przyszłej siedzibie.

— Zdaje mi się, że tędy w ogóle nie dotarlibyśmy na wyspę — powiedział inżynier — gdyż morze jest tu głębokie i nie ma żadnej skały, której można by się chwycić. Przed Granitowym Pałacem są przynajmniej ławice piasku i wysepka, które zwiększają szanse uratowania się. Tutaj — tylko otchłań.

— To dość ciekawe — zauważył Gedeon Spilett — że tak stosunkowo niewielka wyspa posiada tak urozmaicone tereny. Logicznie rzecz biorąc, taka różnorodność zwykle jest cechą lądów stałych, mających znaczną powierzchnię. Można by sądzić, że część zachodnią Wyspy Lincoln, tak bogatą i żyzną, opływa ciepły prąd z Zatoki Meksykańskiej, a wybrzeża północne i południowo-wschodnie są na jakimś Morzu Arktycznym.

— Ma pan słuszność, drogi panie Spilett — odpowiedział Cyrus Smith — ja też to zauważyłem. Ta wyspa wydaje mi się dziwna i co do kształtu, i co do przyrody. Wygląda, jakby przeplatały się tu wszelkie tereny występujące na kontynencie, i nie dziwiłbym się, gdyby się okazało, że była kiedyś częścią kontynentu...

— Co takiego? Kontynent na środku Pacyfiku?! — wykrzyknął Pencroff.

— Dlaczegożby nie? — odparł Cyrus Smith. — Dlaczego Australia, Nowa Irlandia¹⁸⁵, to wszystko, co angielscy geografowie nazywają Australazją, nie miałyby łącznie z archipelagami Pacyfiku tworzyć niegdyś szóstej części świata, równie wielkiej jak Europa lub Azja, jak Afryka czy obie Ameryki? Mój umysł bynajmniej nie broni się przez hipotezę, że wszystkie wyspy wynurzające się z tego rozległego oceanu są tylko wierzchołkami zatopionego lądu, który w epokach przedhistorycznych wznosił się nad wodami.

— Takiego, jak niegdyś Atlantyda — wtrącił Harbert.

— Tak jest, mój chłopcze... jeżeli rzeczywiście istniała.

— I Wyspa Lincoln miałyby stanowić część tego kontynentu? — spytał Pencroff.

— Być może — odparł Cyrus Smith — to wyjaśniałoby różnorodność płodów natury na jej powierzchni.

— I wielką ilość zamieszkujących ją okazów fauny — dodał Harbert.

— Tak jest, mój chłopcze — odpowiedział inżynier — dostarczasz mi kolejnego argumentu na poparcie mojego przypuszczenia. Sądząc po tym, co widzieliśmy, z pewnością na wyspie jest wiele zwierząt, a co jeszcze dziwniejsze, bardzo różnorodnych gatunków. Musi to mieć jakąś przyczynę i według mnie wynika to stąd, że Wyspa Lincoln stanowiła część jakiegoś obszernego kontynentu, który stopniowo zanurzył się w Pacyfiku.

— A więc pewnego pięknego dnia — zapytał Pencroff, który nie wydawał się jeszcze zupełnie przekonany — to, co pozostało z dawnego kontynentu, może także zniknąć pod wodą i nic już nie zostanie pomiędzy Ameryką i Azją?

— Owszem — odparł Cyrus Smith — będą nowe lądy stałe, nad których wzniesieniem pracują teraz miliardy miliardów żyjątek.

— A co to za budowniczości? — zapytał Pencroff.

— Polipy¹⁸⁶ koralowe — odpowiedział Cyrus Smith. — To właśnie one nieustanną pracą utworzyły wyspę Clermont-Tonnerre¹⁸⁷, atole i niezliczone wyspy koralowe rozrzucone po Pacyfiku. Na jeden gran¹⁸⁸ wagi potrzeba czterdziestu siedmiu milionów tych polipów, a jednak z soli morskich i stałych składników wody, które wchłaniają, te żyjątka wytwarzają wapień, który z kolei tworzy ogromne podwodne budowle, twarde i trwałe jak granit. Niegdyś, w pierwszych epokach stworzenia, przyroda do dźwignia lądów w górę używała ognia, obecnie zaś mikroskopijne zwierzątka zastępują ogień, którego siła dynamiczna wewnątrz globu widocznie osłabła, o czym świadczy duża ilość wygasłych wulkanów na powierzchni ziemi. Sądzę, że po wielu, wielu wiekach, po setkach pokoleń

¹⁸⁵Nowa Irlandia — duża wyspa w Archipelagu Bismarcka, na zach. od Nowej Gwinei; na północ i wschód od niej rozciąga się otwarty ocean. [przypis edytorski]

¹⁸⁶polipy — osiadła forma życiowa parzydełkowców. Morskie, skalotwórcze polipy koralowe żyją zwykle kolonijnie, na niewielkich głębokościach, przytwierdzone do dna; wiele gatunków wytwarza wapienne szkielety, z których powstają rafy i wyspy koralowe. [przypis edytorski]

¹⁸⁷Clermont-Tonnerre — daw. nazwa atolu Reao (Natupe) w należącej do Polinezji Francuskiej archipelagu Tuamotu na Oceanie Spokojnym. [przypis edytorski]

¹⁸⁸gran (z ang. grain: ziarno) — niewielka jednostka masy używana w krajach anglosaskich, równa 1/7000 funta, tj. ok. 1/15 grama. [przypis edytorski]

polipów Pacyfik może kiedyś zamienić się w rozległy kontynent, na którym zamieszkają nowe pokolenia ludzkie i będą tam z kolei krzewić cywilizację.

— O, długo to potrwa! — powiedział Pencroff.

— Przyroda ma czas — odparł inżynier.

— Ale jaki byłby pożytek z nowych lądów? — spytał Harbert. — Zdaje mi się, że obecna powierzchnia zamieszkiwanych obszarów wystarczy ludzkości. A przecież przyroda nie robi nic bezużytecznego.

— Istotnie, nic bezużytecznego — odpowiedział inżynier. — Ale można wytłumaczyć potrzebę powstania w przyszłości nowych lądów, i to właśnie w strefie tropikalnej, gdzie znajdują się wyspy koralowe. Przynajmniej takie wyjaśnienie mnie przekonuje.

— Słuchamy pana, panie Cyrusie — powiedział Harbert.

— Oto moja myśl: Uczni zgodnie uznają, że pewnego dnia nasza kula ziemską skończy się, a właściwie, że skończy się na niej życie zwierzęce i roślinne, stanie się niemożliwe wskutek znacznego oziębienia, jakiemu ulegnie planeta. Nie zgadzają się tylko co do przyczyny tego oziębienia. Jedni sądzą, że nastąpi z powodu obniżenia się po milionach lat temperatury Słońca; inni, że wskutek stopniowego wygaśnięcia wewnętrznego żaru Ziemi, który wywiera dużo większy wpływ na nasz glob, niż się powszechnie uważa. Co do mnie, jestem za tą ostatnią hipotezą, przy czym opieram się na fakcie, że Księżyc jest w rzeczywistości wystygłym i już niezamieszkanym ciałem niebieskim, choć Słońce nie przestaje posyłać na jego powierzchnię tej samej ilości ciepła. Jeżeli więc Księżyc wystygł, to dlatego, że całkowicie wygasły jego ogień wewnętrzny, którym, podobnie jak wszystkie inne ciała niebieskie, zawdzięcza swoje powstanie. Zresztą niezależnie od tego, co będzie przyczyną, kiedyś nasza kula ziemską ostygnie, ale ostygnięcie to będzie się odbywało stopniowo. Co się wówczas stanie? Otóż strefy umiarkowane w mniej lub bardziej odległej przyszłości przestaną się nadawać do zamieszkania, tak jak obecnie okolice podbiegunowe. A wtedy ludzie, jak i zwierzęta gromadnie powędrują na szerokości geograficzne bardziej poddane wpływowi słonecznemu. Nastąpi wielka migracja. Europa, Azja Środkowa i Ameryka Północna zostaną opuszczone, tak samo jak Australia i południowe obszary Ameryki Południowej. Za wędrowką ludzi będzie podążać roślinność. Flora cofnie się na równik razem z fauną. Głównymi zamieszkałymi lądami staną się środkowe części Ameryki Południowej i Afryki. Lapończycy¹⁸⁹ i Samojedzi¹⁹⁰ na wybrzeżach Morza Śródziemnego znajdą warunki klimatyczne znad Morza Lodowego. Kto nam zaręczy, że w tej epoce regiony równikowe nie okażą się zbyt małe, by pomieścić i żywić całą ludność Ziemi? Dlaczegoż by więc przewidująca przyroda, chcąc przygotować schronienie dla całej tej emigracji roślinnej i zwierzęcej, nie miałyby już teraz zakładać pod równikiem fundamentów nowego kontynentu i dlaczego nie miałyby powierzyć polipom jego budowy? Często rozmyślałem nad tymi sprawami, przyjaciele, i wierzę, że wygląd zewnętrzny naszej kuli ziemskiej zupełnie się kiedyś zmieni, że wskutek wyniesienia się nowych kontynentów morza pokryją stare i że w przyszłych wiekach Kolumbowie odkryją wyspy Chimborazo¹⁹¹, Himalaje czy Bont Blanc¹⁹² — szczątki Ameryki, Azji czy Europy, pochłoniętych przez fale morskie. W końcu z kolei i te nowe lądy staną się niezdatne do zamieszkania; ciepło z nich ucieknie, jak ciepło ciała, które opuściła dusza, i życie zniknie z naszego globu, jeżeli nie ostatecznie, to co najmniej na jakiś czas. I może wtedy nasza kula ziemską odpocznie, może przeistoczy się podczas śmiertelnego snu, aby kiedyś odżyć w lepszych warunkach... Ale to wszystko, przyjaciele, jest tajemnicą Stwórcy wszechrzeczy, a z powodu pracy polipów posunąłem się być może zbyt daleko w rozpatrywaniu sekretów przyszłości.

— Mój drogi Cyrusie — odpowiedział Gedeon Spilett — te teorie są dla mnie prośnię, które niewątpliwie kiedyś się spełnią.

— To tajemnica Boga — powiedział inżynier.

¹⁸⁹Lapończycy — lud zamieszkujący Laponię, krainę historyczno-geograficzną w Europie Północnej obejmującą północne krańce Norwegii, Szwecji, Finlandii oraz Rosji (Płw. Kolski). [przypis edytorski]

¹⁹⁰Samojedzi — grupa ludów zamieszkujących płn.-zach. Syberię. [przypis edytorski]

¹⁹¹Chimborazo — najwyższy szczyt Ekwadoru, o wys. 6263 m n.p.m.; położony w płn. Andach, bardzo blisko równika, uznawany za szczyt najbardziej odległy od środka Ziemi. [przypis edytorski]

¹⁹²Bont Blanc — najwyższy szczyt Europy, o wys. 4808 m; położony w Alpach. [przypis edytorski]

— Wszystko to ładnie, pięknie — odezwał się Pencroff, słuchający dotąd uważnie — ale czy może mi pan powiedzieć, panie Cyrusie, czy Wyspę Lincolna także zbudowały pańskie polipy?

— Nie — odpowiedział Cyrus Smith — ona ma pochodzenie czysto wulkaniczne.

— A więc pewnego dnia zniknie?

— Bardzo możliwe.

— Mam nadzieję, że nas już tu wtedy nie będzie.

— Nie, niech pan się nie martwi, Pencroffie, nas już tu nie będzie, bo nie mamy najmniejszej ochoty tu umrzeć i znajdziemy w końcu jakiś sposób wydostania się z wyspy.

— A tymczasem — wtrącił Gedeon Spilett — urządzajmy się jak na wieczność. Nie należy nigdy niczego robić połowicznie.

Na tym skończyła się rozmowa, a jednocześnie z nią i śniadanie. Koloniście zabrali się na nowo do badania okolicy i wkrótce doszli do miejsca, od którego rozpoczynały się bagna.

Było to prawdziwe bagnisko, rozciągające się aż do zaokrąglonego brzegu na południowym wschodzie wyspy, na powierzchni dwudziestu mil kwadratowych. Utworzone było z mułu gliniasto-krzemienego, pomieszanego z mnóstwem szczątków roślinnych. Pokrywały je glony, trzciny, turzyce, sitowie, tu i ówdzie kępy traw, gęste jak grube kobierce. Gdzieniedzie lśniły zamrożone bajorka, odbijając promienie słońca. Tych rezerw wodnych nie mogły utworzyć ani deszcze, ani żadna wezbrana nagłym napływem wód rzeka. Należało więc wnioskować, że bagnisko zasila woda sącząca się z ziemi, i tak też było istotnie. Można było obawiać się, czy w czasie upałów w powietrzu nie unosiły się miazmaty¹⁹³ wywołujące gorączkę bagienną¹⁹⁴.

Ponad trawami wodnym, rosnącymi na powierzchni stojącej wody, fruwały się chmary ptactwa. Myśliwy nie zmarnowałby tu ani jednego strzału. Dzikie kaczki, rożeńce, cyranki, bekasy żyły tu gromadnie i nie zdradzając najmniejszej obawy, pozwalały się z łatwością podejść.

Jednym strzałem ze śrutówki¹⁹⁵ można by położyć parę tuzinów tych ptaków, tak były stłoczone. Trzeba jednak było poprzestać na strzelaniu do nich z łuku. Oczywiście, wyniki były gorsze, ale cicho lecąca strzała miała tę przewagę, że nie płoszyła ptactwa, które na odgłos wystrzału rozproszyłyby się po wszystkich zakątkach bagniska. Myśliwi zadowolili się tym razem tuzinem kaczek o białym upierzeniu z cynamonowymi paskami, zielonym łebku, czarnych, białych i rudych skrzydłach oraz spłaszczonym dziobie. Harbert rozpoznał w nich kazarki¹⁹⁶. Top zręcznie pomagał wylawiać ptaki, których imieniem nazwano tę bagnistą część wyspy. Koloniści znaleźli tutaj wielkie rezerwy wodnego ptactwa. Gdy nadejdzie czas, trzeba będzie odpowiednio z nich korzystać, a przy tym niektóre gatunki prawdopodobnie dałoby się jeżeli nie oswoić, to przynajmniej zaaklimatyzować w okolicach jeziora, gdzie mieliby je pod ręką.

Około piątej po południu Cyrus Smith i jego towarzysze udali się w drogę powrotną do domu, przechodząc przez Bagno Kazarek i przekraczając Rzekę Dziękczynienia po lodowym moście.

O ósmej wieczorem byli już w Granitowym Pałacu.

ROZDZIAŁ XXII

Wilcze doły. — Lisy. — Pekari. — Zmiana wiatru na północno-zachodni. — Śnieżna zawieja. — Koszykarstwo. — Najsilniejsze mrozy. — Krystalizacja cukru klonowego. — Tajemnicza studnia. — Zamierzone badania. — Ziarnko śrutu.

¹⁹³miazmaty (z gr.) — szkodliwe wyziewy, niezdrowe powietrze. [przypis edytorski]

¹⁹⁴gorączka bagienna — malaria, tropikalna choroba pasożytnicza przenoszona przez komary, objawiająca się nawracającą gorączką i silnymi dreszczami. Dawniej uważano, że jej przyczyną są szkodliwe wyziewy bagienne; przypuszczenie, że powoduje ją zakażenie pierwotniakami przenoszonymi przez komary, pojawiło się dopiero w latach 80. XIX w. i zostało potwierdzone odkryciem przez Ronalda Rossa cyklu rozwojowego zarodźca malarii (nagroda Nobla w 1902). [przypis edytorski]

¹⁹⁵śrutówka — strzelba myśliwska, z której strzela się śrutem. [przypis edytorski]

¹⁹⁶kazarki (biol.) — rodzaj ptaków z podrodziny kaczek, obejmujący kilka gatunków zamieszkujących Afrykę, Eurazję i Australię. [przypis edytorski]

Silne mrozy trwały aż do 15 sierpnia, nie przekraczając jednak dotychczasowego minimum. Przy bezwietrznym powietrzu łatwiej było znieść niską temperaturę, ale gdy wiatr się rozgulał, zimno dawało się we znaki ludziom niemającym odpowiedniego odzienia. Pencroff żałował, że na Wyspie Lincolna nie znalazło schronienia kilka rodzin niedźwiedzi zamiast lisów i fok, których futra pozostawiały wiele do życzenia.

— Niedźwiedzie — mówił — są zwykle dobrze odziane i z chęcią pożyczylbym do nich na zimę ciepłą kapotę, którą noszą na grzbiecie.

— Ba! — odpowiadała na to Nab. — Ale może one wcale by się zgodziłyby, Pencroffie, na odstąpienie kapoty. Te bestie nie są świętym Marcinem¹⁹⁷!

— No, toby się je zmusiło, Nabie, zmusiłoby się — odcinał się Pencroff tonem nie dopuszczającym sprzeciwu.

Ale tych groźnych drapieżników na wyspie nie było, a przynajmniej dotychczas się nie pokazały.

Na wszelki jednak wypadek Harbert, Pencroff i reporter zajęli się urządzeniem wilczych dołów na Płaskowyżu Pięknego Widoku i w pobliżu lasu. Zdaniem marynarza każde zwierzę było pożądaną zdobyczą, a gryzonie czy drapieżniki, które wpadną w nowe pułapki, zostaną dobrze przyjęte w Granitowym Pałacu.

Konstrukcja pułapek była nadzwyczaj prosta: wykopane doły w ziemi, przykryte z wierzchu gałęziami i trawą, maskującymi otwór, wewnątrz przynęta, której zapach miał zwabić zwierzynę — i to wszystko. Należy wspomnieć, że dołów nie kopali na chybił trafił, ale w upatrzonych miejscach, tam gdzie liczne ślady wskazywały na częste przechodzenie zwierząt. Zasadzki codziennie sprawdzano i w pierwszych dniach trzykrotnie znaleziono w nich okazy lisów napotkanych wcześniej na prawym brzegu Rzeki Dziękczynienia.

— Ach, do kroćset! W tym kraju są tylko lisy! — wykrzyknął Pencroff, gdy po raz trzeci wyciągał z dołu jedno z tych zwierząt, siedzące tam z zakłopotaną miną. — Zwierzaki nic nie warte!

— Ale jednak — odpowiedział mu Gedeon Spilett — na coś się przydadzą.

— Ciekawe na co?

— Na przynętę dla innych zwierząt.

Reporter miał rację i odtąd jako przynętę kładziono do dołów zabite lisy.

Marynarz sporządził także sidła z włókien trzciniowych i było z nich więcej pożytku niż z dołów. Rzadko kiedy minął dzień, by nie złapał się w nie jakiś królik. Co prawda stałe były to króliki, ale Nab wiedział, jak przyrządzać je w przeróżnych sosach, tak że kolonistom ani na myśl nie przyszło się uskarżać.

Jednakże raz czy dwa razy, w drugim tygodniu sierpnia, doły dostarczyły myśliwym innej zwierzyny, i to bardziej przydatnej niż lisy. Były to mianowicie dziki, które zauważyli już kiedyś na północnym brzegu jeziora. Tym razem Pencroff nie musiał pytać, czy te zwierzęta są jadalne. Można to było poznać od razu po ich podobieństwie do świń amerykańskich i europejskich.

— Ale uprzedzam cię, Penkroffie, że to nie są świnię — powiedział do niego Harbert.

— Mój chłopcze — odpowiedział marynarz, pochylając się nad dołem i wyciągając stamtąd za małeńki ogonek jednego z przedstawicieli rodziny świńiokształtnych — pozwól mi wierzyć, że to świnię!

— Dlaczego?

— Bo mi to sprawia przyjemność!

— Lubisz więc świnię?

— Bardzo lubię świnię — odparł Pencroff — zwłaszcza za ich nóżki, i lubiłbym je jeszcze bardziej, gdyby miały po osiem nóg zamiast czterech!

¹⁹⁷ *Marcin z Tours* (316 lub 336–397) — pustelnik, założyciel pierwszych wspólnot zakonnych w Kościele zachodnim, biskup Tours, święty chrześcijański, patron Francji. W jego żywocie opisano, że kiedy w młodości służył w Galii jako kawalerzysta armii rzymskiej, zimą pod murami miasta napotkał półnagiego żebraka, któremu oddał połowę swojej żołnierskiej opończy, rozcinając ją mieczem. W nocy po tym zdarzeniu we śnie zobaczył Chrystusa odzianego w tę samą połówkę płaszcza i mówiącego aniołom, że Marcin go nią okrył. Według jednej z opowieści usłyszał też, że podarowana część należy do niego, a kiedy się zbudził, jego opończa znów była cała. [przypis edytorski]

Zwierzętami, które wpadły do dołu, były pekari¹⁹⁸, należące do jednego z czterech rodzajów, które liczy ta rodzina, a mianowicie do gatunku *Tayassu*¹⁹⁹, który rozpoznać można po ciemniejszej sierści i braku długich kłów, sterczących z pyska u reszty kuzynów. Pekari żyją zwykle stadami i prawdopodobnie w zalesionych częściach wyspy było ich wiele. W każdym razie jadalne były od stóp do głów, a Pencroff niczego więcej od nich nie wymagał.

Około 15 sierpnia pogoda nagle się zmieniła z powodu północno-zachodniego wiatru. Temperatura podniosła się o kilka stopni i niebawem opary nagromadzone w powietrzu spadły w postaci śniegu. Cała wyspa pokryła się białym całunem i ukazała się mieszkańcom pod inną postacią. Śnieg sypał obficie przez kilka dni i wkrótce grubość jego pokrywy osiągnęła dwie stopy.

Zaczął wiać gwałtowny wiatr, a z wysokości Granitowego Pałacu słychać było, jak morze huczy, rozbijając się o rafy. W niektórych załamaniach skał tworzyły się wiry powietrzne, a śnieg kręcił się tam w wysokich słupach, podobnych do trąb wodnych, które okręty muszą rozbijać strzałami z armat. Na szczęście huragan idący od północnego zachodu uderzał na wyspę z drugiej strony, co ratowało Granitowy Pałac od bezpośredniego naporu. Podczas tej śnieżycy, tak strasznej, jak gdyby to było gdzieś w okolicach podbiegunowych, ani Cyrus Smith, ani jego towarzysze nie mogli pomimo szczerych chęci wyjść na zewnątrz i przez pięć dni, od 20 do 25 sierpnia, pozostali w zamknięciu. Słychać było, jak burza szaleje w Lesie Złotopióra, gdzie musiała wyrządzić wiele szkód. Mnóstwo drzew wichur z pewnością wyrwał z korzeniami, ale Pencroff pocieszał się myślą, że to mu oszczędzi trudu ścinania pni.

— Wichur został drwalem, nie przeszkadzajmy mu — powtarzał.

Zresztą nie było żadnego sposobu, żeby mu przeszkodzić.

Jakież to dzięki Niebu składali mieszkańcy Granitowego Pałacu za obdarowanie ich tym solidnym, niewzruszonym schronieniem! Część podziękowań należała się słuszenie Cyrusowi Smithowi, ale koniec końców to przyroda utworzyła tę ogromną pieczarę, a on tylko ją odkrył. Tutaj wszyscy byli bezpieczni i ciosy burzy nie mogły ich dotknąć. Gdyby zbudowali na Płaskowyżu Pięknego Widoku dom z cegieł i drewna, na pewno nie oparłby się teraz wściekłości huraganu. Co do Kominów, to wystarczyło przysłuchać się łoskotowi fal dobiegającemu z niezmierną siłą od ich strony, aby pojąć, że w tej chwili musiały zupełnie nie nadawać się do zamieszkania, gdyż morze, przewaliwszy się przez wysepkę, wściekle o nie uderzało. Tymczasem tutaj, w Granitowym Pałacu, w środku masywu skalnego, gdzie nie miała dostępu ani woda, ani wichur — nie było najmniejszej obawy.

Podczas tych kilku dni przymusowego zamknięcia koloniści nie siedzieli beczynnie. W magazynie nie brakowało drewna pociętego na deski, więc pomалу uzupełniano umeblowanie, robiąc stoły i krzesła, bardzo solidne, bo nie oszczędzano materiału. Sprzęty te, trochę przyciężkie, trudno byłoby nazwać ruchomościami, gdyż nie dawały się łatwo przenosić z miejsca na miejsce, mimo to stanowiły przedmiot dumy Naba i Pencroffa, którzy nie zamieniliby ich na cacka wyrobu Boule'a²⁰⁰.

Następnie koloniści ze stolarzy zamienili się w koszykarzy i wcale nieźle radzili sobie w tym nowym rzemiośle. W pobliżu wysuniętego na północ krańca jeziora odkryli obfite zarośla wikliny, gdzie rosło mnóstwo wierzby purpurowej²⁰¹. Przed nadejściem pory deszczowej Harbert i Pencroff zebrali sporo pożytecznych krzewów i obecnie ich gałęzie, dobrze przez ten czas przygotowane, mogły być z powodzeniem wykorzystane. Pierwsze próby wypadły niezdarne, ale dzięki zręczności i pojętności robotników, służących sobie wzajemnie radami, przypominających sobie widziane wzory, współzawodniczących z sobą, wkrótce najrozmaitszych rozmiarów kosze i koszyki powiększyły inwentarz kolonii.

¹⁹⁸pekari (biol.) — wszystkożerne zwierzę podobne do dzika, żyjące stadnie w lasach Ameryki Południowej, Środkowej i pld.-zach. części Ameryki Północnej, spokrewnione ze świniowatymi. [przypis edytorski]

¹⁹⁹*Tayassu pecari* (biol.) — pekari białobrody, jedyny przedstawiciel rodzaju *Tayassu*, jednego z czterech rodzajów, na jakie dzieli się rodzina pekariowców (*Tayassuidae*). [przypis edytorski]

²⁰⁰Boule, André Charles (1642–1732) — najsłynniejszy francuski projektant i wytwórca artystycznych mebli; pracował na dworze Ludwika XIV. [przypis edytorski]

²⁰¹wierzba purpurowa, *Salix purpurea* — wiklina, gatunek krzewu z rodziny wierzbowatych, tworzący zarośla nad brzegami rzek i potoków, występujący w Europie, Azji i Afryce Północnej. [przypis edytorski]

Zaopatrzone w nie magazyn, a oprócz tego Nab poumieszczał w specjalnych koszykach swoje zbiory kłaczy, orzeszków pinii i korzeni smokowca.

W ostatnim tygodniu sierpnia pogoda znowu się zmieniła. Temperatura nieco spadła, a burza ucichła. Koloniści wyszli na zewnątrz. Na plaży leżały na pewno ze dwie stopy śniegu, ale po jego stwardniałej powierzchni można było iść bez większego trudu. Cyrus Smith i jego towarzysze wpięli się na Płaskowyż Pięknego Widoku.

Co za zmiana! Lasy, które zostawili w zieleni, zwłaszcza w najbliższej części, gdzie przeważały drzewa iglaste, zniknęły obecnie pod jednobarwną okrywą. Wszystko było teraz białe, od szczytu Góry Franklina aż do wybrzeża: lasy, łąki, jezioro, rzeka. Fale Rzeki Dziękczynienia płynęły pod sklepieniem z lodu, które przy każdym przyplywie i odpływie pękało i łamało się z trzaskiem. Gromady ptactwa fruwały nad zamarzniętą powierzchnią jeziora: kaczki i bekasy, rożeńce i nużyki. Były ich tysiące. Skały, pomiędzy którymi płynął wodospad na skraju płaskowyżu, były najeżone lodem. Wyglądało to, jakby woda umykała przed paszczą potwornego gargulca²⁰², wyrzeźbioną z całą fantazją renesansowego artysty. Szkód wyrządzonych w lesie przez huragan nie można było jeszcze ocenić. Trzeba było czekać, aż stopnieją śniegi.

Gedeon Spilett, Pencroff i Harbert nie omieszkali skorzystać z okazji, żeby odwiedzić swoje wilcze doły. Z trudnością je odnaleźli pod grubą warstwą śniegu. Musieli uważać, ażeby nie wpaść do któregoś z nich, gdyż byłoby to i niebezpieczne, i zarazem upokarzające: wpaść we własną pułapkę! Uniknęli szczęśliwie tej przykrości i odnaleźli doły zupełnie nienaruszone. Nie wpadło w nie żadne zwierzę, a jednak wokół widniało mnóstwo tropów, między innymi wyraźnie zarysowane ślady pazurów. Harbert bez wahania stwierdził, że przeszły tędy jakieś drapieżniki z rodziny kotów, co potwierdzało zdanie inżyniera o istnieniu na Wyspie Lincolna niebezpiecznych dzikich zwierząt. Niewątpliwie zazwyczaj mieszkają w gęstych Lasach Dalekiego Zachodu, ale przyciśnięte głodem zapędziły się aż na Płaskowyż Pięknego Widoku. Kto wie, może zwęszyły mieszkańców Granitowego Pałacu?

— No, ale co to za zwierzęta? — zapytał Pencroff.

— Jaguary — odpowiedział Harbert.

— Myślałem, że żyją tylko w ciepłych krajach.

— Na nowym kontynencie²⁰³ — odpowiedział młody chłopiec — spotkać je można od Meksyku do pampasów²⁰⁴ koło Buenos Aires. A ponieważ Wyspa Lincolna leży na prawie tej samej szerokości, co kraina La Platy²⁰⁵, nic dziwnego, że i tu trafiają się jaguary.

— Dobrze, będziemy się mieć na baczności — powiedział Pencroff.

Tymczasem ociepiło się i śnieg zaczął tajać. Rozpadał się deszcz, rozpuścił śnieg i biała okrywa zniknęła bez śladu. Pomimo brzydkiej pogody koloniści uzupełnili zapasy żywności, zarówno roślinnej, jak i zwierzęcej. Nabierali orzeszków piniowych, korzeni smokowca, kłaczy, soku klonowego. Przynieśli króliki, aguti i kangury. Wymagało to kilku wycieczek do lasu i stwierdzili przy okazji, że huragan powalił wiele drzew. Marynarz i Nab dotarli nawet z wózkami aż do pokładów węgla i przyciągnęli kilka ton opału. Po drodze spostrzegli, że komin pieca garncarskiego został poważnie uszkodzony przez wicher i ścięty o prawie sześć stóp.

Równocześnie z węglem uzupełnili także zapasy drewna, korzystając z uwolnionego od lodów prądu Rzeki Dziękczynienia, którą spławili do Granitowego Pałacu kilka tratw. Nie wiadomo było, czy pora mrozów na pewno się już skończyła.

Odwiedzili również Kominy i ujrawszy je, mogli sobie tylko pogratulować, że nie było ich tu w czasie burzy. Morze pozostawiło po sobie niezaprzeczalne ślady spustoszenia. Pędzone gwałtownym wiatrem fale, przewalwszy się przez wysepkę, zalały korytarze, które były teraz do połowy zasypane piaskiem; skały pokrywała gruba warstwa wodorostów. Podczas gdy Nab, Harbert i Pencroff polowali lub odnawiali zapasy opału, Cyrus

²⁰²*gargulec* — rzygacz, ozdobne zakończenie rynny w kształcie głowy zwierzęcej bądź ludzkiej. [przypis edytorski]

²⁰³*nowy kontynent* — odkryta przez Kolumba Ameryka, w odróżnieniu od znanych Europejczykom od starożytności lądów Europy, Azji i Afryki. [przypis edytorski]

²⁰⁴*pampasy* — południowoamerykańskie stepy. [przypis edytorski]

²⁰⁵*La Plata* — wielkie wspólne lejkowate ujście końcowych odcinków rzek Parany i Urugwaj do Oceanu Atlantyckiego. [przypis edytorski]

Smith i Gedeon Spilett zajęli się uprzątnięciem Kominów. Kuźnia oraz piece okazały się prawie nienaruszone, gdyż chroniła je warstwa naniesionego piasku.

Wkrótce okazało się, że koloniści dobrze zrobili, uzupełniając zapasy opału. Mrozy bynajmniej się nie skończyły i znowu dały im się we znaki. Jak wiadomo, że na półkuli północnej luty odznacza się zwykle dużym spadkiem temperatury. Tak samo jest na półkuli południowej i pod koniec sierpnia, który odpowiada lutemu w Ameryce Północnej, wystąpiła tutaj ta sama prawidłowość klimatyczna.

Około 25 sierpnia, po nowych śniegach i deszczach, wiatr zmienił kierunek na południowo-wschodni i nagle zrobiło się bardzo zimno. Według szacunków inżyniera słupek rtęci termometru Fahrenheita wskazywałby co najmniej osiem stopni poniżej zera (około dwudziestu dwu stopni Celsjusza poniżej zera). Mrozy, które z powodu przenikliwego wiatru były jeszcze dokuczliwsze, trwały przez kilka dni. Koloniści musieli znowu zamknąć się w Granitowym Pałacu, a ponieważ trzeba było szczelnie pozatykać wszystkie otwory frontowe, pozostawiając tylko maleńkie szczeliny dla dopływu świeżego powietrza, zużycie świec było wielkie. Aby ich zaoszczędzić, koloniści poprzestawiali często na oświetlaniu wnętrza płomieniami ogniska, któremu nie żałowano opału. Parę razy ten czy ów schodził na wybrzeże, pomiędzy bryły lodu nanoszone tam przez przypyły, ale powracali natychmiast do Granitowego Pałacu, z trudem i bólem trzymając się szczebli drabiny. W czasie silnych mrozów szczeble parzyły im palce.

Należało jakoś zagospodarować wolny czas, którym dysponowali wskutek przymusowego zamknięcia w Granitowym Pałacu. Cyrus Smith przystąpił do pracy, którą można było wykonywać w pomieszczeniu.

Jak wiadomo, koloniści nie mieli innego cukru oprócz soku klonowego, który pozyskiwali, robiąc na drzewie głębokie nacięcia. Płyn ten zbierali do naczyń i używali go w tej postaci do rozmaitych celów kulinarnych, tym łatwiej, że z czasem stawał się bielszy i nabierał konsystencji syropu.

Ale można było zrobić z niego coś lepszego i pewnego dnia Cyrus Smith oznajmił swoim towarzyszom, że zajmą się teraz rafinacją cukru.

— Rafinacją! — odpowiedział Pencroff. — To chyba gorące zajęcie?

— Nawet bardzo — odpowiedział Cyrus.

— A więc przychodzi w samą porę! — zawołał marynarz.

Słowo „rafinacja” nie powinno przywoływać obrazu fabryki ze skomplikowanymi maszynami i mnóstwem robotników. Skądże! Żeby skryształizować sok klonowy, wystarczyło oczyścić go za pomocą bardzo prostego działania. Sok postawiono na ogniu w wielkich glinianych naczyniach, poddano po prostu parowaniu i wkrótce na jego powierzchni pojawiła się piana. Kiedy tylko płyn zaczął gęstnieć, Nab ostrożnie mieszał go drewnianą łopatką, żeby przyspieszyć parowanie i zabezpieczyć go przed smakiem spalenizny.

Po kilku godzinach wrzenia na dużym ogniu, którego działanie było tak samo pożyteczne dla pracowników, jak dla substancji, nad którą pracowali, sok klonowy zamienił się w gęsty syrop. Syrop zlano do glinianych form różnego kształtu, wypalonych uprzednio w piecu kuchennym. Nazajutrz syrop zastygł w postaci głów²⁰⁶ i tabliczek. Był to cukier, trochę czerwonawy, ale prawie przezroczysty i bardzo smaczny.

Zimno nie ustawało aż do połowy września i jeńcy Granitowego Pałacu zaczęli już narzekać na długość swojej niewoli. Prawie codziennie próbowali wycieczek na zewnątrz, ale tylko na chwilę. Poza tym bez ustanku pracowali nad urządzeniem i zaopatrzeniem we wszystko swego mieszkania. Przy pracy toczyła się pogawędka. Cyrus Smith oświecał swoich towarzyszy w przeróżnych zagadnieniach i w pierwszym rzędzie objaśniał im praktyczne zastosowania nauki. Koloniści nie mieli do dyspozycji biblioteki, ale inżynier był zawsze gotową księgą, zawsze otwartą na potrzebnej stronie, księgą, która rozstrzygała wszystkie ich wątpliwości i którą często przeglądali. Tak mijał czas, nie przynosząc tym dzielnym ludziom najmniejszego lęku o przyszłość.

Była już jednak pora, żeby to zamknięcie wreszcie się skończyło. Wszyscy pragnęli, jeżeli już nie pięknej pogody, to przynajmniej ustania tego nieznośnego zimna. Gdybyż

²⁰⁶głowa cukru — forma, jaką do pocz. XX w. nadawano cukrowi rafinowanemu na potrzeby handlu: stożkowata bryła z zaokrąglonym wierzchołkiem, o średnicy podstawy od kilkudziesięciu centymetrów do metra i zróżnicowanej wadze; taką głowę cukru należało następnie rozdrobnić (rozłupać na kawałki, utrzeć w młynku), aby móc używać cukru do celów spożywczych. [przypis edytorski]

przynajmniej mieli odpowiednią odzież, ile by zrobili wypraw czy to na wydmy, czy też do Bagna Kazarek! Zwierzynę można było teraz łatwo podejść i polowanie na pewno byłoby owocne. Ale Cyrusowi chodziło o to, aby nikt nie narażał zdrowia, bo potrzebował wszystkich rąk do pracy — i jego rady usłuchano.

Najniecierpliwszy ze wszystkich, rozumie się po Pencroffie, był Top. Wiernemu psisku było nazbyt ciasno w Granitowym Pałacu. Chodził z jednego pokoju do drugiego i na swój sposób okazywał niezadowolenie z tak długiej niewoli.

Cyrus Smith zauważył, że gdy Top zbliżał się do ciemnej studni łączącej się z morzem, której otwór znajdował się w głębi magazynu, to zawsze jakoś dziwnie warczał. Nieraz znowu biegał wokół tej dziury zasłoniętej drewnianą pokrywą. Niekiedy nawet próbował wcisnąć łapy pod pokrywę, jak gdyby chciał ją podnieść. Poszczekiwał wówczas w pewien szczególny sposób, wyrażający zarazem gniew i niepokój.

Inżynier parokrotnie zaobserwował te manewry Topa. Co mogło być w tej przepaści, co tak niepokoiło to pojętne zwierzę? Studnia dochodziła do aż morza — to było pewne. Czyżby rozgałęziała się wąskimi kanałami przebiegającymi pod całą wyspą? Może łączyła się z innymi pieczarami? Może od czasu do czasu jakiś morski potwór przypląwał, żeby zaczerpnąć powietrza na dnie studni? Inżynier nie wiedział, co o tym myśleć i nie mógł się powstrzymać od snucia różnych dziwacznych wyjaśnień. Przyzwyczajony do stąpania po twardym gruncie rzeczywistości naukowej, nie mógł sobie wybaczyć, że daje się wciągnąć w dziedzinę rzeczy dziwnych, prawie nadprzyrodzonych. Ale jak można było wytłumaczyć, że Top, jeden z tych rozsądnych psów, które nigdy nie marnowały czasu, szczekając na księżyc, tak uporczywie węchem i słuchem badał tę studnię, gdyby się w niej nie działo coś dla niego niepokojącego? Zachowanie Topa intrygowało Cyrusa Smitha bardziej, niż się do tego przyznawał sam przed sobą.

W każdym razie swoimi spostrzeżeniami podzielił się tylko z Gedeonem Spilettem, uważając za zbyt ciche wtajemniczać towarzyszy w mimowolne refleksje, wywołane być może tylko zwykłą psią fantazją Topa.

Wreszcie zimna ustały. Zaczęły się deszcze, ulewy ze śniegiem, ulewy z gradem, wiatry gwałtowne — ale wszystko to trwało niedługo.

Lody ustąpiły, śniegi stopniały — plaża, płaskowyż, brzegi Rzeki Dziękczynienia i las stały się znowu dostępne. Powrót wiosny zachwycił mieszkańców Granitowego Pałacu i wkrótce spędzali w nim tylko godziny przeznaczone na sen i posiłki.

W drugiej połowie września rozpoczęły się częste polowania, co skłoniło Pencroffa do ponownego dopominania się o broń palną, którą, jak twierdził, Cyrus Smith obiecał. Inżynier, wiedząc dobrze, że bez specjalnych narzędzi wykonanie nadającej się do użytku strzelby jest prawie niemożliwe, ciągle się wymawiał i odkładał to na później. Zwracał uwagę Pencroffowi, że przecież Harbert i Gedeon Spilett stali się biegłymi łucznikami i że od ich strzał padają najrozmaitsze wyśmienite zwierzęta: kangury, aguti, kapibary, gołębie, dropie²⁰⁷, dzikie kaczki, bekasy, krótko mówiąc, wszelka opierzona i pokryta sierścią zwierzyna. Można więc było poczekać na doskonalszą broń. Ale uparty marynarz nie dał się niczym przekonać i wciąż niepokoił inżyniera, popierany w tym zresztą przez Gedeona Spilletta.

— Jeżeli na wyspie — mówił reporter — mieszkają, jak można podejrzewać, drapieżne zwierzęta, to powinniśmy pomyśleć zawczasu o walce z nimi i ich wytepieniu. Może nadejść taka chwila, że będzie to najpilniejszą sprawą.

W tym jednak czasie Cyrusa Smitha zajmowała nie tyle sprawa broni palnej, co problem odzieży. Dotychczasowe ubrania kolonistów wytrzymały tę zimę, ale do przyszłej nie mogły dotrzeć. Trzeba było za wszelką cenę zdobyć skórę mięsożerców lub wełnę przeżuwaczy, a ponieważ muflonów nie brakowało, należało pomyśleć o sposobie utworzenia z nich stada, które można by hodować na potrzeby kolonii. Zagroda dla zwierząt domowych, kurnik dla ptactwa, jednym słowem założenie fermy hodowlanej w jakiejś części wyspy — oto były dwa najważniejsze zadania do wykonania w czasie pory ciepłej.

Dlatego też, ze względu na to przyszłe gospodarstwo, pilną sprawą stało się zbadanie nieznanej dotąd części Wyspy Lincoln, to znaczy wysokich lasów, rozciągających się na

²⁰⁷dropie (biol.) — rodzina dużych ptaków, do której zaliczają się największe obecnie żyjące ptaki latające; dropie zamieszkują Europę, Azję, Afrykę, a jeden z gatunków także Australię; europejski drop zwyczajny jest obecnie gatunkiem zagrożonym wyginięciem, na terenie Polski wymarłym. [przypis edytorski]

prawym brzegu Rzeki Dziękczynienia, od jej ujścia aż do krańca Półwyspu Wężowego, a także całego wybrzeża zachodniego. Na to potrzeba było stałej pogody, a więc należało poczekać jeszcze z miesiąc z podjęciem takiej wyprawy.

Oczekiwali więc z niecierpliwością na tę chwilę, gdy nagle zdarzył się wypadek, który ponownie wzmógł w nich pragnienie zbadania całej ich posiadłości.

Było to 24 października. Tego dnia Pencroff wybrał się obejrzeć doły, które zawsze utrzymywał w dobrym stanie, zaopatrzone w przynętę. W jednej z nich znalazł trzy zwierzaki, niewątpliwie bardzo pożądane w kuchni. Była to samica pekari z dwoma młodymi.

Pencroff powrócił do Granitowego Pałacu zachwycony swoją zdobyczą i po przybyciu, jak zwykle, zaczął się nią głośno chwalić.

— No, będziemy wreszcie mieli wyborny obiad, panie Cyrusie! — zawołał. — I pan, panie Spilett, skosztuje tego...

— Czemużby nie — powiedział reporter — ale co to będzie za przysmak?

— Prosiątko!

— Tylko prosiątko, panie Pencroffie? Słuchając pana, sądziłem, że przyniósł pan co najmniej kuropatwę z truflami.

— Jak to?! — wykrzyknął Pencroff. — Czyżby pan miał przypadkiem pogardzić młodym prosięciem?

— Nie — odpowiedział Gedeon Spilett, nie okazując żadnego entuzjazmu. — Owszem, byleby się go nie nadużyło...

— No, no, dobrze już, dobrze, panie dziennikarzu — odciął się marynarz, rozdrażniony takim lekceważeniem swojej zdobyczy. — Udaje pan wybrednisia? A siedem miesięcy temu, gdyśmy wylądowali na tej wyspie, nie posiadałby się pan z radości, napotkawszy taką zwierzynę...

— Otóż to — odpowiedział reporter. — Człowiek nigdy nie jest ani doskonały, ani zadowolony.

— No, co tam — ciągnął dalej Pencroff — tego jestem przynajmniej pewny, że Nab się dziś popisie. Popatrzcie. Ta parka pekari ma zaledwie trzy miesiące. Będą delikatne jak przepiórki... Chodź, Nabie, chodź! Ja sam dopilnuję ich upieczenia.

Marynarz, prowadząc za sobą Naba, poszedł do kuchni i pogrążył się w pracy nad przyrządzeniem ulubionej zwierzyny.

Zostawiono mu pełną swobodę. Obaj z Nabem przygotowali wspaniałą ucztę złożoną z dwóch pekari, zupy z kangura, wędzonej szynki, orzeszków pinii, napoju z korzenia smokowca, herbaty Oswego — słowem ze wszystkiego, co mieli najlepszego. Ale wśród wszystkich potraw w pierwszym rzędzie figurować miały smakowite, duszone pekari.

O piątej podano obiad w dużej sali Granitowego Pałacu. Zupa z kangura parowała na stole. Uznano ją za wyborną.

Po zupie przyszły pekari. Pencroff chciał sam je pokroić i poobdzielał współbiedników olbrzymimi porcjami.

Prosiaki były rzeczywiście wspaniałe i Pencroff pochłaniał swoją część z wielkim apetytem, gdy naraz krzyknął i zaklął.

— Co się stało? — spytał Cyrus Smith.

— Stało się... stało się... że sobie złamałem sobie ząb! — odpowiedział marynarz.

— Ech, czyżby w pańskich pekari były kamyki? — zapytał Gedeon Spilett.

— Widocznie tak — odpowiedział Pencroff, wyjmując z ust przedmiot, który go przyprawił o utratę zęba.

Nie był to bynajmniej kamień... Było to ziarnko śrutu...

Tajemnicza wyspa

CZĘŚĆ DRUGA. PORZUCONY

ROZDZIAŁ I

Z powodu ziarnka śrutu. — Budowa czółna. — Polowanie. — Na wierzchołku kauri. — Nic nie świadczy o obecności człowieka. — Wyprawa Naba z Harbertem na ryby. — Przewrócony żółw. — Zniknięcie żółwia. — Wyjaśnienie Cyrusa Smitha.

Minęło siedem miesięcy od dnia, gdy pasażerowie balonu zostali wyrzuceni na Wyspę Lincoln. Przez cały ten czas, mimo tylu poszukiwań, nie napotkali istoty ludzkiej. Najmniejszy obłoczek dymu nie zdradził obecności człowieka na powierzchni wyspy, żaden ślad pracy rąk ludzkich, dawny ani świeży, nie wskazywał na to, że ktoś tu kiedykolwiek przebywał. Wyglądało na to, że Wyspa Lincoln nie tylko obecnie była niezamieszкана, ale sądzić należało, że zawsze była bezludna. A oto naraz całe to rusztowanie rozumowań rozsypało się przez małe ziarnko metalu znalezione w ciele niewinnego prosiaka!

Nie ulegało bowiem wątpliwości, że śrut pochodził z broni palnej, a kto inny niż człowiek mógł używać tej broni?

Gdy Pencroff położył na stole ziarnko śrutu, jego towarzysze popatrzyli na nie z głębokim zdumieniem. W ich umysłach pojawiły się naraz wszystkie możliwe następstwa tego na pozór drobnego, a tak doniosłego zdarzenia. Nagłe pojawienie się jakiejś istoty nadprzyrodzonej nie wywarłoby na nich większego wrażenia.

Cyrus Smith pierwszy, nie wahając się, podzielił się przypuszczeniami, jakie nasunęły mu się w związku z tym równie zadziwiającym, jak niespodziewanym faktem. Wziął ziarnko śrutu do ręki, poobracał je na wszystkie strony, trzymając pomiędzy palcem wskazującym a kciukiem, wreszcie zapytał, zwracając się do Pencroffa:

— Czy może pan z pewnością twierdzić, że raniony tym ziarnkiem śrutu pekari miał nie więcej niż trzy miesiące?

— Tak jest, panie Cyrusie, nie więcej — odpowiedział Pencroff. — Ssał jeszcze matkę, gdy go znalazłem w dole.

— Dowodzi to więc — powiedział inżynier — że w ciągu ostatnich trzech miesięcy na Wyspie Lincoln ktoś strzelał z broni palnej.

— I że jedno ziarnko śrutu — dodał Gedeon Spilet — trafiło, choć nie śmiertelnie, to małe zwierzątko.

— Tak, to nie ulega wątpliwości — ciągnął dalej Cyrus Smith — a wnioski, jakie należy wysnuć z tego faktu, są następujące: albo wyspa ta była zamieszкана przed naszym przybyciem, albo też jacyś ludzie wylądowali na niej w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Czy znaleźli się tutaj dobrowolnie, czy też wbrew swojej woli, wskutek zwykłego wylądowania, czy rozbicia się statku? Tę kwestię będzie można rozstrzygnąć dopiero później. Nie mamy podstaw do zgadywania, czy to byli Europejczycy, czy Malajowie, wrogowie czy przyjaciele naszej rasy, nie wiemy też, czy żyją nadal na wyspie, czy też już ją opuścili. A wszystkie te pytania mają dla nas zbyt wielkie znaczenie, abyśmy mogli pozostać dłużej w wątpliwości.

— Nie, po stokroć nie! Po tysiącokroć nie! — wykrzyknął marynarz, zrywając się od stołu. — Oprócz nas na Wyspie Lincoln nie ma innych ludzi! Cóż u diabła! Wyspa nie jest przecież tak wielka i gdyby była zamieszкана, musielibyśmy już zobaczyć któregoś z mieszkańców!

— Istotnie, inaczej byłoby to bardzo dziwne — powiedział Harbert.

— Ale byłoby jeszcze dziwniejsze, jak mi się zdaje — zauważył reporter — gdyby ten mały pekari urodził się z ziarnkiem śrutu w ciele.

— Chyba że — odezwał się poważnie Nab — chyba że Pencroff miał już...

— Co?! — przerwał mu Pencroff. — No patrzcie, więc ja miałbym nosić od jakichś pięciu czy sześciu miesięcy ziarnko śrutu w szczęce, nawet się tego nie zauważając? A gdzież by ono siedziało? — dodał otwierając szeroko usta, by pokazać trzydzieści dwa wspaniałe zęby. — Przyjrzyj no się dobrze, Nabie, a jeżeli znajdziesz bodaj jeden spróchniały ząb, to pozwolę ci wyrwać mi pół tuzina!

— Hipoteza Naba jest rzeczywiście nie do przyjęcia — odpowiedział Cyrus Smith, mimo całej powagi zajmujących go myśli nie mogąc się powstrzymać od uśmiechu. — Jest rzeczą pewną, że najdalej trzy miesiące temu na wyspie padł strzał z broni palnej. Jestem skłonny sądzić, że osoby, które wylądowały na wyspie, albo są na niej od bardzo niedawna, albo też tylko ją odwiedzały; gdyby bowiem ludzie znajdowali się tutaj w czasie, gdyśmy oglądali Wyspę Lincolną ze szczytu Góry Franklina, to musielibyśmy ich zobaczyć lub oni by nas zobaczyli. Prawdopodobnie więc rozbitkowie zostali wyrzuceni przez burzę gdzieś na nasz brzeg dopiero kilka tygodni temu. Tak czy owak, musimy uzyskać pewność pod tym względem.

— Sądzę, że trzeba będzie działać ostrożnie — powiedział reporter.

— I ja tak myślę — odpowiedział Cyrus Smith — ponieważ niestety należy się obawiać, że tymi przybyszami mogą być piraci malajscy.

— Panie Cyrusie — spytał marynarz — czy nie byłoby wskazane, zanim wyruszymy na poszukiwania, zbudować łódź, którą moglibyśmy popłynąć w górę rzeki lub opłynąć wybrzeże? Nie powinniśmy dać się zaskoczyć.

— Pański pomysł jest bardzo dobry, Pencroffie — odpowiedział inżynier — ale nie możemy czekać. A tymczasem na zbudowanie łodzi potrzeba co najmniej miesiąca...

— Prawdziwej łodzi, niewątpliwie — odparł marynarz — ale nam nie potrzeba łodzi, która by wytrzymała podróż morską, ja zaś zobowiązuję się najdalej w ciągu pięciu dni zbudować czółno wystarczające do żeglugi po Rzece Dziękczynienia.

— W ciągu pięciu dni — wykrzyknął Nab — zbudować łódź?!

— Tak, Nabie, łódź na sposób indiański.

— Z drzewa? — spytał Nab z wyrazem powątpiewania na twarzy.

— Z drzewa — odpowiedział Pencroff — a raczej z kory. Powtarzam panu, panie Cyrusie, że w pięć dni z taką robotą można się uwinąć.

— W pięć dni, zgoda! — odpowiedział inżynier.

— Ale do tego czasu dobrze będzie zachować wielką czujność — powiedział Harbert.

— Jak największą, przyjaciele — odpowiedział Cyrus Smith — i dlatego będę was prosił, abyście ograniczyli swoje wycieczki myśliwskie do okolic Granitowego Pałacu.

Obiad skończył się mniej wesoło, niż Pencroff się spodziewał.

Tak więc wyspa miała obecnie lub w przeszłości innych mieszkańców oprócz kolonistów. Od czasu przypadku z ziarnkiem śrutu był to fakt niezaprzeczalny, a odkrycie to wzbudziło w umysłach kolonistów żywy niepokój. Przed udaniem się na spoczynek Cyrus Smith i Gedeon Spilett długo o tym rozmawiali. Zastanawiali się, czy przypadkiem to zdarzenie nie ma jakiegoś związku z niewyjaśnionymi okolicznościami ocalenia inżyniera i z innymi dziwnymi szczegółami, które już kilkakrotnie ich zdumiewały. Wreszcie Cyrus po rozważeniu wszystkich za i przeciw powiedział:

— Krótko mówiąc, czy chce pan poznać moją opinię, drogi panie Spilett?

— Tak, Cyrusie.

— Otóż uważam, że mimo najskrupulatniejszych przeszukiwań wyspy niczego nie znajdziemy.

Zaraz następnego dnia Pencroff zabrał się do pracy. Nie chodziło o zbudowanie prawdziwej łodzi z kompletnym szkieletem i burtami, ale o proste, płaskodenne czółno unoszące się na wodzie, odpowiednie do żeglugi po Rzece Dziękczynienia, szczególnie w pobliżu jej źródeł, gdzie woda była bardzo płytka. Kawałki kory, zszyte razem, wystarczały do utworzenia takiej lekkiej łódki, mającej jeszcze i tę zaletę, że gdyby w razie jakichś przeszkód naturalnych trzeba było ją przenieść, niewielki ciężar i rozmiar znacznie to ułatwiały. Pencroff postanowił zszyć pasy kawałki kory zanitowanymi gwoździami i dobrze je dopasowując, zapewnić łódce szczelność.

Chodziło więc o wyszukanie drzew, których elastyczna i mocna kora nadawałaby się do tego celu. Szczęśliwie ostatni huragan powalił pewną ilość daglezi, szczególnie przydatnych do tego typu konstrukcji. Kilka z nich leżało na ziemi, wystarczyło tylko ściągnąć z nich korę, ale to właśnie było najtrudniejsze ze względu na niedoskonałość narzędzi, jakie mieli koloniści. W końcu jednak się z tym uporali.

Podczas gdy marynarz wraz z inżynierem bez przerwy zajmowali się pracą przy budowie łodzi, Gedeon Spilett i Harbert także nie próżnowali. Zajmowali się dostarczaniem

żywności dla kolonii. Reporter nie przestawał zachwycać się chłopcem, który nabył niezwykłej zręczności w posługiwaniu się łukiem i oszczepem. Harbert również wykazywał się wielką odwagą połączoną z zimną krwią, którą można by słusznie nazwać rozważnym męstwem. Ci dwaj towarzysze łowów, stosując się zresztą do zalecenia Cyrusa Smitha, nie wychodzili poza teren o promieniu dwóch mil wokół Granitowego Pałacu; to jednak wystarczało, gdyż brzegi lasu dawały dostateczną ilość aguti, kapibar, kangurów i pekari, a chociaż od czasu ustania mrozów zdobyczy w wilczych dołach było bardzo niewiele, to przynajmniej królikarnia nie przestała dostarczać swej zwykłej daniny mięsowej, wystarczającej do wyżywienia całej kolonii na Wyspie Lincolna.

Często w czasie polowań Harbert rozmawiał z Gedeonem Spilettem o ziarnku śrutu i o wnioskach, jakie z tego zdarzenia wyciągnął inżynier, i pewnego dnia — było to 26 października — powiedział:

— Jednakże, panie Spilett, czy nie wydaje się panu nadzwyczaj dziwne, że rozbitkowie, jeżeli jacyś wylądowali na naszej wyspie, nie pokazali się dotychczas w okolicach Granitowego Pałacu?

— Istotnie, to bardzo dziwne — odparł reporter — jeżeli nadal są na wyspie, ale nie w tym dziwnego, jeżeli już ich nie ma.

— A więc sądzi pan, że ci ludzie opuścili już wyspę? — spytał Harbert.

— To więcej niż prawdopodobne, mój chłopcze, gdyby bowiem przebywali tu przez dłuższy czas, a zwłaszcza gdyby tu byli teraz, jakiś przypadek musiałby zdradzić ich obecność.

— Ale jeżeli mogli się stąd oddalić — zauważył chłopiec — to nie byli rozbitkami?

— Nie, Harbercie, albo przynajmniej byli to, że się tak wyrażę, rozbitkowie chwilowi. Bardzo możliwe, że burza wyrzuciła ich na wyspę, ale nie zniszczyła im statku i gdy ustała, wypłynęli znowu na morze.

— Przyznać trzeba jedno — powiedział Harbert — że pan Smith zawsze raczej obawiał się, niż pragnął obecności jakichś ludzi na naszej wyspie.

— Istotnie — odparł reporter — gdyż uważa, że po tych morzach mogą się kręcić tylko Malajowie, a ci dżentelmeni to nicponie, których lepiej unikać.

— A czy nie jest możliwe, panie Spilett — ciągnął dalej Harbert — że pewnego dnia natrafimy na ślady lądowania tych ludzi i wówczas zyskamy pewność?

— Niewykluczone, mój chłopcze. Opuzczone obozowisko czy wygasłe ognisko może nas naprowadzić na ślad i właśnie takich znaków będziemy szukać w czasie najbliższej wyprawy.

W dniu, w którym dwaj myśliwi prowadzili tę rozmowę, znajdowali się w lasach przylegających do Rzeki Dziękczynienia, gdzie rosły niezwykle piękne drzewa. Między innymi wznosiły się tutaj na wysokość prawie dwustu stóp wspaniałe drzewa iglaste, które mieszkańcy Nowej Zelandii nazywają *kauri*²⁰⁸.

— Mam pomysł, panie Spilett — powiedział Harbert. — Gdybym wszedł na wierzchołek jednego z tych *kauri*, może mógłbym rozejrzeć się po okolicy na znacznej przestrzeni?

— Dobry pomysł — odpowiedział reporter — ale czy dasz radę wdrapać się na sam wierzchołek któregoś z tych olbrzymów?

— Spróbuję w każdym razie — odparł Harbert.

Zwinny i zręczny chłopiec wskoczył na dolne gałęzie, których układ ułatwiał wdrapanie się na drzewo, i ciągu w kilku minut dostał się na sam wierzchołek górujący nad ogromną równiną zieleni, którą tworzyły zaokrąglone korony drzew.

Z tego wysokiego punktu można było objąć wzrokiem całą południową część wyspy, od Przylądka Szponu na południowym wschodzie aż do Jaszczurczego Cypla na południowym zachodzie. Na północnym zachodzie wznosiła się Góra Franklina zasłaniająca znaczną część widnokręgu.

Harbert z wysokości swojego punktu obserwacyjnego mógł rozejrzeć się dokładniej po niezbadanej dotychczas części wyspy, gdzie być może chronili się obcy, których obecność podejrzewano.

²⁰⁸*kauri* a. *agathis nowozelandzki*, *Agathis australis* (biol.) — drzewo z rodziny araukariowatych występujące na Wyspie Północnej w Nowej Zelandii, wysokie do 50 m, cenione ze względu na swoje drewno i żywicę. [przypis edytorski]

Chłopiec rozglądał się z największą uwagą. Na morzu nic nie było widać. Żadnego żagla, ani na widnokręgu, ani w miejscach dogodnych do wylądowania na wyspie. Ponieważ jednak część wybrzeża zasłaniała gęstwina drzew, możliwe, że jakiś statek, zwłaszcza statek pozbawiony ożaglowania, stał blisko lądu i nie był widoczny dla Harberta.

W Lesie Dalekiego Zachodu też nic nie było widać. Puszcza tworzyła nieprzeniknione dla oka sklepienie, mierzące kilka mil kwadratowych, bez jednej polanki, bez najmniejszego przerzedzenia. Nie dało się nawet śledzić biegu Rzeki Dziękczynienia ani dostrzec miejsca w górach, skąd brała początek. Możliwe, że na zachód płynęły jeszcze jakieś inne rzeki, ale nie sposób było tego stwierdzić.

Jeżeli nawet jednak Harbert nie mógł dostrzec żadnego obozowiska, to czy nie zauważyłby dymu, zdradzającego obecność człowieka? Powietrze była przejrzyste i najmniejszy dymek odcinałby się wyraźnie na tle nieba.

Przez chwilę Harbertowi zdawało się, że dostrzega leciutki dymek unoszący się na zachodzie, ale kiedy przyjrzał się uważniej, przekonał się, że się mylił. Wyteńczył swój bystry wzrok. Nie, stanowczo nic tam nie było.

Zszedł więc z drzewa i obaj myśliwi powrócili do Granitowego Pałacu. Cyrus Smith wysłuchał opowiadania chłopca, pokręcił głową, ale nic nie powiedział. Było jasne, że sprawę można będzie rozstrzygnąć tylko po dokładnym zbadaniu wyspy.

W dwa dni później, 28 października, zaszło inne zdarzenie, które trudno było wyjaśnić.

Harbert i Nab, blakając się po wybrzeżu o dwie mile od Granitowego Pałacu, szczęśliwie natrafili na przepyszną zdobycz. Był okaz wielkiego żółwia morskiego z gatunku *Chelonia mydas*²⁰⁹, o pięknym, zielonkawym pancerzu.

Harbert zauważył go w chwili, gdy żółw pełził między głazami w stronę morza.

— Do mnie, Nabie, do mnie! — zawołał.

Nab przybiegł.

— Co za piękny okaz! — powiedział. — Ale jak sobie z nim poradzić?

— Nic łatwiejszego, Nabie — odpowiedział Harbert. — Przewrócimy go na grzbiet, to nie będzie mógł uciec. Weź no oszczep i pomóż mi.

Gad, czując niebezpieczeństwo, schował się pod pancerz. Nie było widać już ani głowy, ani nóg, leżał nieruchomy jak głaz.

Tymczasem Harbert i Nab podłożyli okute oszczepy pod mostek zwierzęcia i wspólnymi siłami nie bez trudu przewrócili je na grzbiet. Żółw, długi na trzy stopy, musiał ważyć co najmniej czterysta funtów.

— Świetnie! — zawołał Nab. — To się dopiero mój przyjaciel Pencroff ucieszy!

Rzeczywiście Pencroff na pewno byłby zachwycony, gdyż mięso tych żółwi, żywiących się trawą morską, jest wyjątkowo smaczne. W tej chwili spod pancerza było widać tylko małą, spłaszczoną głowę, rozszerzającą się za wielkimi zagłębieniami skroniowymi, ukrytymi pod sklepieniem kostnym.

— Co teraz zrobimy z naszą zdobyczą? — powiedział Nab. — Przecież nie zdołamy zaciągnąć jej aż do Granitowego Pałacu.

— Zostawimy tutaj — odparł Harbert. — Żółw nie ucieknie, bo nie może się obrócić, a my wrócimy po niego z wózkiem.

— Tak będzie najlepiej.

Zanim jednak odeszli, dla większej pewności Harbert podparł żółwia dużymi kamieniami, co Nabowi wydało się zbyt techniczne. Następnie obydwa myśliwi powrócili do Granitowego Pałacu plażą, którą właśnie szeroko odsłoniło morze w odpływie. Harbert, chcąc sprawić Pencroffowi niespodziankę, nic mu nie wspomniał o wspaniałym okazyje zostawionym na piasku. Dwie godziny później myśliwi wrócili z wózkiem na miejsce, gdzie zostawili żółwia. Niestety, już go tam nie było!

Nab z Harbertem spojrzeli po sobie, a potem dookoła siebie. Przecież to tu, a nie gdzie indziej zostawili żółwia. Chłopiec znalazł nawet kamienie, którymi go podparł, więc był pewny, że się nie myli.

— Coś takiego! Więc te zwierzęta umieją się same odwrócić? — powiedział Nab.

²⁰⁹ *Chelonia mydas* (biol.) — żółw zielony (żółw jadalny), gatunek dużego żółwia morskiego o spłaszczonym pancerzu i kończynach przypominających szerokie, płaskie wiosła; waży przeciętnie 70–200 kg, obecnie zagrożony wyginięciem; jego nazwa pochodzi od koloru tkanki tłuszczowej, skorupa ma kolor oliwkowy lub brunatny. [przypis edytorski]

— Na to wygląda — odpowiedział Harbert, który nic z tego nie rozumiał i wpatrywał się w kamienie rozrzucone na piasku.

— No, to pan Pencroff nie będzie się miał z czego cieszyć!

„A pan Smith będzie w niemałym kłopotcie, jak wytłumaczyć to zniknięcie!” — pomyślał Harbert.

— No cóż — odezwał się Nab, który chciał ukryć tę niemiłą przygodę — nie wspomnijmy o tym.

— Przeciwnie, Nabie, wspomnimy, i to szczegółowo — odpowiedział Harbert.

Po czym obaj zawrócili do Granitowego Pałacu, ciągnąc za sobą wzięty niepotrzebnie wózek.

Po przybyciu do warsztatu skutniczego, gdzie pracowali marynarz i inżynier, Harbert opowiedział całe zdarzenie.

— Ach! Niezdary! — zawołał marynarz. — Wypuścić z rąk co najmniej pięćdziesiąt porcji zupy!

— Ależ Pencroffie — tłumaczył się Nab — to nie nasza wina, że zwierzę uciekło. Mówię ci przecież, że przewróciliśmy je na grzbiet!

— To widocznie niewystarczająco przewróciliście — zażartował niedający się ubłagać marynarz.

— Jak to „niewystarczająco”? — zaprotestował Harbert.

I opowiedział, jak zadbał nawet o to, żeby podeprzeć żółwia kamieniami.

— Więc to chyba cud! — zawołał Pencroff.

— Zdawało mi się, panie Cyrusie — powiedział Harbert — że żółwie, kiedy się je przewróci na wznak, nie mogą o własnych siłach stanąć na nogi, zwłaszcza jeśli są tak duże.

— I słusznie ci się zdawało, mój chłopcze — odpowiedział Cyrus Smith.

— A więc jak to się mogło stać?...

— W jakiej odległości od morza zostawiliście tego żółwia? — spytał inżynier, który przerwawszy pracę, zastanawiał się nad tym wydarzeniem.

— Najwyżej o jakieś piętnaście stóp — odpowiedział Harbert.

— I było to w czasie odpływu?

— Tak jest, panie Cyrusie.

— No więc, czego żółw nie mógł dokonać na piasku, prawdopodobnie dokonał w wodzie. Odwrócił się, gdy podczas przypływu uniosła go woda, i spokojnie popłynął na pełne morze.

— Ach, jakie z nas niezdary! — zawołał Nab.

— Miałem zaszczyt już wam to powiedzieć — powiedział Pencroff.

Cyrus Smith udzielił wyjaśnienia, które niewątpliwie wyglądało na prawdopodobne. Ale czy sam był naprawdę przekonany o jego słuszności? Nie można było za to ręczyć.

ROZDZIAŁ II

Pierwsza próba czółna. — Szczątki na brzegu. — Holowanie. — Cypel Znaleziska. — Zawartość skrzyni: narzędzia, broń, przyrządy, odzież, książki, sprzęty. — Czego brakuje Pencroffowi. — Ewangelia. — Werset z Pisma Świętego.

29 października czółno z kory było gotowe. Pencroff dotrzymał słowa. W ciągu pięciu dni zbudował łódź, której kadłub miał żebra z giętkich gałęzi drzewa crejimba. Jedna ławka z tyłu, druga w pośrodku, dla utrzymania stałego rozchylenia burt, trzecia ławka z przodu, listwy nadburcia do przymocowania dulek²¹⁰ na dwa wiosła oraz wiosło sterowe tworzyły całe wyposażenie łódki, której długość wynosiła dwanaście stóp, a ciężar nie przekraczał dwustu funtów. Spuszczenie łodzi na wodę odbyło się bardzo prosto. Lekkie czółno zaniecono nad sam brzeg morza i postawiono je na piasku, a przypływ wody pochwylił je i uniosł. Pencroff wskoczył do niego natychmiast i zaczął sterować, po czym stwierdził, że doskonale nadaje się do celów, do których miało służyć.

²¹⁰*dulka* — element łodzi wiosłowej w postaci ruchomego pierścienia lub widełek przymocowanych do burty, służący do utrzymywania wiosła w odpowiedniej pozycji. [przypis edytorski]

— Hurra! — krzyknął, nie wahając się uczcić swojego dzieła. — Tą łódką możemy opłynąć dokoła...

— Cały świat? — zapytał Gedeon Spilett.

— Nie, wyspę. Kilka kamieni na dno jako balast, na przodzie masz i kawałek żagla, który pan Smith kiedyś nam zrobi, a zajedziemy daleko! No cóż, panie Cyrusie, panie Spilett, i ty Harbercie, i ty Nabie, nie macie ochoty wypróbować nowego statku? Tam do diabła, trzeba się przekonać, czy uniesie nas wszystkich!

Rzeczywiście, należało się o tym przekonać. Pencroff jednym ruchem steru doprowadził czółno do brzegu przez wąski przesmyk pomiędzy skałami. Postanowiono jeszcze tego samego dnia przeprowadzić próbę z czółnem, płynąc wzdłuż brzegów morza aż do pierwszego cypla, gdzie się kończył łańcuch skał na południu.

W chwili gdy wsiadali do czółna, Nab zawołał:

— Ale ten twój statek przecieka, Pencroffie!

— To nic, Nabie — odparł marynarz. — Drewno musi nasiąknąć i napęcznieć. Za dwa dni nic nie będzie przeciekać, a w brzuchu naszego czółna nie znajdzie się więcej wody niż w żołądku pijaka. Wsiadajcie!

Wsiadli więc wszyscy i Pencroff odepchnął łódź od brzegu. Pogoda była wspaniała, morze tak spokojne, jakby jego wody ujęte były w ciasne brzegi jeziora, i czółno mogło pruć fale tak bezpiecznie, jakby to były spokojne wody Rzeki Dziękczynienia.

Nab chwycił za jedno wiosło, Harbert za drugie, a Pencroff pozostał na tyle czółna przy sterze.

Marynarz najpierw przepłynął cieśninę, a potem wziął kurs na południowy kraniec wysepki. Z południa wiał lekki wietrzyk. Bałwanów nie było ani w cieśninie, ani na pełnym morzu. Jedynie długie fale regularnie wzdymały powierzchnię morza, ale ciężko obciążona łódź ledwie to odczuwała. Odpłynęli o jakieś pół mili od brzegu, żeby zobaczyć Górę Franklina w całej okazałości.

Potem Pencroff zawrócił czółno i popłynął z powrotem w stronę ujścia rzeki. Odtąd posuwali się wzdłuż brzegu, który zaokrąglął się aż do cypla, zasłaniając całe Bagno Kazarek.

Cyfel, do którego odległość powiększała krzywizna brzegu, leżał o mniej więcej trzy mile od Rzeki Dziękczynienia. Koloniści postanowili dotrzeć aż do cypla i wysunąć się poza niego tylko tyle, ażeby móc rzucić okiem na wybrzeże ciągnące się do Przylądka Szponu.

Czółno posuwało się zatem wzdłuż brzegów w odległości najwyżej dwóch kabli²¹¹, omijając liczne w tej części morza rafy, które przyplływ zaczął już zakrywać falami. Ściana skalna obniżała się począwszy od ujścia rzeki aż do cypla. Tworzyły ją zwały granitów, bezładnie porozrzucane, zupełnie różne od ścian urwiska Płaskowyzu Pięknego Widoku i nadające okolicy dziki wygląd. Zdawało się, jakby w tym miejscu ktoś opróżnił olbrzymi wóz wyładowany głazami. Na tym ostrym cyplu, rozciągającym się na dwie mile przed skrajem lasu, nie było żadnej roślinności; wyglądał jak ramię olbrzyma wysuwające się z rękawa zieleni.

Pchane dwoma wiosłami czółno posuwało się lekko po powierzchni wody. Gedeon Spilett, z ołówkiem w jednej ręce, z notatnikiem w drugiej, szkicował kontury brzegu. Nab, Pencroff i Harbert rozmawiali, przypatrując się nieznanym im okolicy. W miarę jak łódź płynęła na południe, obydwie Przylądki Szczęki zdawały się zwierzać i zaciskać wokół Zatoki Stanów Zjednoczonych.

Cyrus Smith milczał i po prostu patrzył, a jego nieufne spojrzenie zdradzało, że obserwuje nieznaną i obcą krainę.

Po trzech kwadransach żegluga łódź dotarła prawie do samego cypla, a Pencroff przygotowywał się, żeby go okrążyć, gdy Harbert, podniósłszy się w łodzi, wskazał jakąś czarną plamę i powiedział:

— Co tam leży na brzegu?

Oczy wszystkich zwróciły się we wskazanym kierunku.

²¹¹kabel — jednostka odległości stosowana w nawigacji; tu: kabel amerykański równy ok. 220 m. [przypis edytorski]

— Rzeczywiście — odezwał się reporter — coś jest. Wygląda jak szczątki rozbitego statku zagrzebane do połowy w piasku.

— Ach! — zawołał Pencroff. — Już wiem, co to jest!

— Co takiego? — zapytał Nab.

— Beczulki, i to beczulki może nawet pełne! — odparł marynarz.

— Niech pan przybije do brzegu, Pencroffie — powiedział Cyrus Smith.

Po kilku uderzeniach wioseł czółno przybiło do małej zatoczki, a pasażerowie wyskoczyli na brzeg.

Pencroff nie mylił się. Były to dwie beczulki, zagrzebane do połowy w piasku, ale nadal mocno przywiązane do dużej skrzyni. Skrzynia, utrzymywana na powierzchni wody przez beczulki, pływała po morzu, dopóki nie została wyrzucona na brzeg.

— Więc jakiś statek musiał się rozbić w pobliżu wyspy? — zapytał Harbert.

— Oczywiście — odparł Gedeon Spilett.

— Ale co tam być może w tej skrzyni?! — zawołał Pencroff z łatwością do zrozumienia niecierpliwością. — Co jest w skrzyni? Zamknięta, a nie ma czym odbić wieka! Aha, spróbuję kamieniem...

Marynarz podniósł z ziemi ciężki głaz i już chciał nim roztrzaskać jeden ze boków skrzyni, gdy inżynier, powstrzymując go, powiedział:

— Czy mógłby pan, Pencroffie, chociaż na godzinę pohamować swoją niecierpliwość?

— Ale niech pan tylko pomyśli, panie Cyrusie! Może w tej skrzyni znajduje się wszystko, czego nam brakuje!

— Przekonamy się o tym, Pencroffie — odpowiedział inżynier — ale proszę mi zaufać i nie rozbijać skrzyni, która może nam się przydać. Zabierzmy ją do Granitowego Pałacu, gdzie otworzymy ją łatwiej i bez uszkodzenia. Skrzynia jest przygotowana do podróży, a skoro dopłynęła tutaj, to dopłynie i do ujścia rzeki.

— Ma pan słuszość, panie Cyrusie, myliłem się — odparł marynarz — ale człowiek nie zawsze panuje nad sobą.

Rada inżyniera była rozsądna. Rzeczywiście łódź zapewne nie pomieściłaby przedmiotów ze skrzyni, która musiała być ciężka, skoro do utrzymywania jej na wodzie użyto aż dwóch pustych beczulek. Lepiej więc było odholować ją do podnóża Granitowego Pałacu.

Skąd się jednak wzięła ta skrzynia? To było ważne pytanie. Cyrus Smith i jego towarzysze rozejrzeli się uważnie dookoła i przeszli kilkaset kroków wzdłuż brzegu morza. Nie zauważyli żadnych innych szczątków. Równie uważnie sprawdzili morze. Harbert z Nabem wdrapali się na wysoką skałę, ale horyzont był pusty. Nie dostrzegli niczego, ani pływających szczątków, ani statku pod żaglami.

A jednak nie było najmniejszej wątpliwości, że w pobliżu musiał się rozbić jakiś statek. Może ten wypadek miał jakiś związek ze znalezionym ziarnkiem śrutu? Może jacyś przybysze wylądowali w innej części wyspy? Może jeszcze tam są? Kolonistom nasunęła się oczywista myśl, że przybysze nie mogli być piratami malajskimi, gdyż skrzynia była niewątpliwie pochodzenia amerykańskiego lub europejskiego.

Wszyscy zgromadzili się dookoła skrzyni, której długość wynosiła pięć stóp, a szerokość trzy. Wykonana została z drewna dębowego, starannie zbita i obciągnięta grubą skórą przytwierdzoną mosiężnymi gwoździami. Dwie brzuchate beczulki, hermetycznie zamknięte, ale sądząc po dźwięku, puste, przyłączone były do jej boków za pomocą mocnych lin związanych w węzły, które Pencroff z łatwością rozpoznał jako węzły marynarskie. Skrzynia była w całkiem dobrym stanie, co można było wytłumaczyć faktem, że została wyrzucona na piaszczysty brzeg, a nie na skały. Po bliższym zbadaniu można było nawet stwierdzić, że nie przebywała długo w wodzie i osiadła na piasku niedawno. Prawdopodobnie woda nie przeniknęła do wnętrza i zawarte w niej przedmioty były zupełnie nietknięte.

Było oczywiste, że skrzynię wyrzucono za burtę jakiegoś uszkodzonego statku pędzącego w stronę wyspy i że podróżni w nadziei, że dotrze ona szczęśliwie do brzegu, gdzie ją później odszukają, zatroszczyli się o to, by dzięki pustym baryłkom utrzymała się na powierzchni wody.

— Przyholujemy tę skrzynię do Granitowego Pałacu — powiedział inżynier — i spisujemy jej zawartość. Jeśli znajdziemy na wyspie jakichś rozbitków z tej przypuszczalnej katastrofy, oddamy ją tym, do których należała. Jeśli zaś nie znajdziemy nikogo...

— Wtedy zatrzymamy ją dla siebie! — zawołał Pencroff. — Ale na Boga, co w niej może być?

Tymczasem fale zaczęły już dosięgać skrzyni i pełny przypływ pewnością uniósłby ją na morze. Koloniści częściowo rozwiązali jedną z lin mocujących beczułki i posłużyli się nią jako liną holowniczą, przywiązując nią barylki do łodzi. Potem Pencroff z Nabem rozkopali wiosłami piasek dookoła, żeby łatwiej było ruszyć skrzynię z miejsca, i wkrótce łódź, ciągnąc za sobą skrzynię, zaczęła okrążyć cypel, który nazwano Cyplem Znaleziska. Ładunek był ciężki i beczułki z trudnością utrzymywały skrzynię na wodzie, dlatego marynarz obawiał się, że w każdej chwili może się urwać i pójść na dno. Na szczęście jego obawy się nie ziściły i półtorej godziny później — tyle bowiem czasu potrzeba było na przebycie tych trzech mil — łódź przybiła do brzegu przed Granitowym Pałacem.

Wówczas łódź i skrzynię wyciągnęli na piasek, a ponieważ właśnie zaczął się odpływ, wkrótce znalazły się na suchym lądzie. Nab pobiegł po narzędzia, aby otworzyć skrzynię tak, by ją jak najmniej uszkodzić. Przygotowano się do wyjmowania i spisywania zawartości. Pencroff nie ukrywał swojego poruszenia.

Marynarz rozpoczął od odwiązania beczulek, które były w bardzo dobrym stanie i mogły oczywiście się przydać. Następnie obcęгами podważył zamki i wieko odskoczyło.

Wnętrze skrzyni wypełniało pudło z blachy cynkowej, najwidoczniej po to, żeby zabezpieczyć znajdujące się w środku przedmioty przed wilgocią.

— Ach! — zawołał Nab. — Czyżby tam były konserwy?

— Mam nadzieję, że nie — odparł reporter.

— A gdyby to był... — mruknął półgłosem marynarz.

— Co takiego? — zapytał Nab, posłyszawszy słowa marynarza.

— Nic!

Pokrywą cynkową rozcięto wzdłuż, odgięto na boki, po czym zaczęto wyjmować rozmaite przedmioty i składać je na piasku. Przy każdym Pencroff krzyczał na całe gardło „hurra”, Harbert klaskał w dłonie, a Nab tańczył dookoła. Były tam między innymi książki, na widok których Harbert omal nie oszalał z radości, i sprzęty kuchenne, które Nab chętnie okryłby pocałunkami.

Zresztą wszyscy mieli wszelki powód do zadowolenia, gdyż skrzynia zawierała rozmaite narzędzia, broń, instrumenty, odzież i książki. A oto dokładny spis, sporządzony w notatniku Gedeona Spiletta:

Narzędzia

- 3 noże o kilku ostrzach
- 2 topory do rąbania drzewa
- 2 siekiery ciesielskie
- 3 heble
- 2 toporki
- 1 dłutko obosieczne
- 6 par nożyc
- 2 pilniki
- 3 młotki
- 3 świdry
- 2 wiertła
- 10 woreczków gwoździ i śrubek
- 3 piły rozmaitej wielkości
- 2 pudełka igieł

Broń

- 2 strzelby skałkowe²¹²
- 2 strzelby kapiszonowe²¹³
- 2 karabiny iglicowe²¹⁴
- 5 kordelasów²¹⁵
- 4 szable marynarskie
- 2 baryłki prochu po dwadzieścia pięć funtów
- 12 pudełek pistonów²¹⁶

Instrumenty

- 1 sekstans²¹⁷
- 1 lornetka
- 1 luneta
- 1 pudełko z kompasem
- 1 busola²¹⁸ kieszonkowa
- 1 termometr Fahrenheita
- 1 barometr aneroidowy²¹⁹
- 1 pudełko zawierające komplet fotograficzny: aparat, obiektywy, płyty²²⁰, chemikalia itp.

Odzież

- 2 tuziny koszul z nieznannej tkaniny podobnej do wełny, ale wyraźnie utkanej z włókien roślinnych
- 3 tuziny pończoch z tej samej tkaniny

Naczynia

- 1 dzbanek żelazny
- 6 rondli z miedzi ocynowanej
- 3 talerze żelazne
- 10 nakryć aluminiowych
- 2 kociołki
- 1 przenośna kuchenka
- 6 noży stołowych

²¹²*strzelba skałkowa* — długa broń palna z zamkiem skałkowym, ładowana od strony lufy, używana od XVII w. do połowy XIX w.; po naciśnięciu spustu broni kurek ze skałką (kawalkiem krzemienia) opadał na metalową płytkę, krzesząc iskry, które padały na panewkę z prochem, zapalając go. [przypis edytorski]

²¹³*strzelba kapiszonowa* — długa broń palna z zamkiem kapiszonowym, w której odpalenie następuje przy użyciu kapiszona, miedzianej miseczki zawierającej piorunian rtęci; wynaleziona w 1818, wyparła broń skałkową, również ładowaną od strony wylotu lufy, po czym w drugiej połowie XIX w. została z kolei wyparta przez broń odtylcową na naboje zespolone. [przypis edytorski]

²¹⁴*karabin iglicowy* — odtylcowa broń palna z zamkiem iglicowym, w którym napinana sprężyna długa iglica po naciśnięciu spustu przechodzi przez umieszczony w papierowej osłonie ładunek prochowy do spłonki przy podstawie pocisku, powodując wystrzał; skonstruowany w 1836, zapoczątkował rozwój nowoczesnej broni palnej, z powodu dużej szybkostrzelności i wygodnego ładowania szybko wszedł na wyposażenie armii. [przypis edytorski]

²¹⁵*kordelas* — długi nóż myśliwski, służący do oprawiania upolowanej zwierzyny; niegdyś również element uzbrojenia. [przypis edytorski]

²¹⁶*piston* — kapiszon, miedziana a. mosiężna spłonka używana od XIX w. w odprzodowej broni palnej, mająca formę miseczki zawierającej piorunian rtęci, wybuchający po uderzeniu przez kurek, co powodowało zapalenie prochu w lufie i oddanie strzału. [przypis edytorski]

²¹⁷*seksant* — przyrząd stosowany w żeglarskim i astronomii, służący do mierzenia wysokości (kąta wzniesienia) ciał niebieskich nad horyzontem, a także kątów poziomych i pionowych pomiędzy obiektami widocznymi na powierzchni ziemi. [przypis edytorski]

²¹⁸*busola* — przyrząd do wyznaczania kursu; podobnie jak kompas jest pudełkiem z igłą magnetyczną i podziałką, ale dodatkowo posiada przyrząd celowniczy pomagający w wyznaczeniu azymutu, czyli kąta pomiędzy wybranym kierunkiem (np. marszu) a północą. [przypis edytorski]

²¹⁹*barometr aneroidowy* a. *barometr sprężynowy* — wynaleziony w 1844 roku przez fr. uczonego L. Vidiego przyrząd do pomiaru ciśnienia atmosferycznego, którego zasadniczą częścią jest szczelnie zamknięta próżniowa puszcza membranowa, która przy zmianie ciśnienia nieznacznie się odkształca, a przekładnie przenoszą wzmocniony ruch na wskazówkę skali. W przeciwieństwie do wcześniejszych barometrów cieczowych ten typ przyrządu nie jest wrażliwy na odchylenie od pozycji pionowej ani na zmiany temperatury otoczenia (powodujące zmiany gęstości cieczy). [przypis edytorski]

²²⁰*płyty fotograficzne* — w drugiej połowie XIX w. zdjęcia wykonywano na cienkich szklanych płytkach powleczonych warstwą światoczułą. [przypis edytorski]

Książki

- 1 Biblia zawierająca *Stary i Nowy Testament*
- 1 atlas geograficzny
- 1 słownik narzeczy polinezyjskich
- 1 słownik przyrodniczy w sześciu tomach
- 3 ryzy białego papieru
- 2 niezapisane księgi rejestrowe

— Trzeba przyznać — powiedział reporter, gdy ukończono spis rzeczy — że właściciel tej skrzyni był człowiekiem praktycznym. Narzędzia, broń, instrumenty, odzież, naczynia, książki — niczego w niej nie brakuje. Wydaje się, że z góry miał zamiar zostać rozbitkiem i przygotował się z wyprzedzeniem.

— Rzeczywiście, nie brak niczego — mruknął Cyrus Smith zatopiony w myślach.

— I na pewno — dodał Harbert — statek, który wiozł tę skrzynię i jej właściciela, nie należał do piratów malajskich.

— Chyba że ten właściciel dostał się do niewoli piratów... — powiedział Pencroff.

— To mało prawdopodobne — odparł reporter. — Prędzej jakiś statek amerykański czy europejski został zapędzony w te okolice, a podróżni, chcąc uratować przynajmniej niezbędne przedmioty, załadowali je do skrzyni i wrzucili do morza.

— Czy pan też jest tego zdania, panie Cyrusie? — zapytał Harbert.

— Tak, mój chłopcze — odparł inżynier — mogło tak być. Możliwe, że przewidując rozbicie się statku, zgromadzono w tej skrzyni najpotrzebniejsze przedmioty, w nadziei odnalezienia jej później w jakimś punkcie wybrzeża...

— Nawet aparat fotograficzny! — zauważył z niedowierzaniem marynarz.

— Co do tego aparatu — odparł Cyrus Smith — to nie bardzo rozumiem, do czego byłby potrzebny. Bardziej by nam się przydał, jak wszystkim innym rozbitkom, pełniejszy asortyment odzieży lub większy zapas amunicji.

— Ale czy nie ma na tych instrumentach, narzędziach czy książkach jakiegoś znaku lub napisu, po którym moglibyśmy rozpoznać ich pochodzenie? — zapytał Gedeon Spilett.

O tym należało się przekonać. Obejrzano więc uważnie każdy przedmiot z osobna, a zwłaszcza książki, instrumenty i broń. Ani broń, ani instrumenty, wbrew przyjętemu zwyczajowi, nie miały znaków fabrycznych. Były zresztą w doskonałym stanie i wyglądały na nieużywane. To samo dotyczyło narzędzi i naczyń. Każda sztuka była całkiem nowa, co świadczyło o tym, że nie wrzucano ich do skrzyni na chybił trafił, lecz przeciwnie, dobrze obmyślono dobór przedmiotów i starannie je uporządkowano. Wskazywała na to również druga powłoka metalowa, zabezpieczająca je przed wilgocią, której nie sposób było zlutować naprędce.

Zarówno słownik przyrodniczy, jak i słownik narzeczy polinezyjskich były w języku angielskim, lecz nie było na nich ani nazwiska wydawcy, ani daty wydania.

Podobnie rzecz się miała z Biblią. Było to wydanie angielskie, formatu *in quarto*²²¹, godne uwagi jako piękny okaz sztuki drukarskiej i najwyraźniej często przeglądane.

Nazwy geograficzne w atlasie były natomiast francuskie. To wspaniałe dzieło, zawierające mapy całego świata i kilka planisfer²²² wykreślonych w odwzorowaniu Merkatora²²³, również nie posiadało ani daty wydania, ani nazwiska wydawcy.

Na żadnym z tych rozmaitych przedmiotów nie było znaku, który by wskazywał ich pochodzenie, a zatem niczego, po czym można by się było domyślać narodowości statku, który niedawno mijał te strony. Jednak bez względu na to, skąd pochodziła skrzynia, dzięki niej koloniści Wyspy Lincoln stali się bogaczami. Dotychczas, przerabiając bogactwa

²²¹*in quarto* — określenie formatu książki wielkości 1/4 arkusza, odpowiadającego mniej więcej rozmiarom dzisiejszego A4. [przypis edytorski]

²²²*planisfera* — mapa przedstawiająca całość globu ziemskiego w rzucie płaskim, bez podziału na półkule. [przypis edytorski]

²²³*odwzorowanie Merkatora* — odwzorowanie walcowe równokątne, jedno z najstarszych odwzorowań kartograficznych, wynalezione w czasach wielkich odkryć geograficznych przez flamandzkiego kartografa Gerarda Merkatora; ze względu na swoją wiernokątność powszechnie stosowane w mapach nawigacyjnych. [przypis edytorski]

naturalne, sami, własnymi siłami wytwarzali wszystko i dzięki swej inteligencji potrafili dać sobie radę. Ale czy to nie wyglądało tak, jakby Opatrzność chciała im to wynagrodzić, zsyłając im te różnorodne wytwory ludzkiego przemysłu? Dlatego też skierowali wspólnie dziękczynne modły ku niebu.

Mimo to jeden z nich nie był zupełnie zadowolony, mianowicie Pencroff. Najwyraźniej skrzynia nie zawierała czegoś, co miało dla niego wielką wartość, bo w miarę jak wydobywano z niej różne przedmioty, jego „hurra” stawało się coraz słabsze, a gdy już nic nie zostało, mruknął pod nosem:

— Wszystko to ładnie, pięknie, ale dla mnie w tym pudle nic nie ma!

To skłoniło Naba do zapytania:

— A czegoż to, przyjacielu Pencroffie, się spodziewałeś?

— Pół funta tytoniu! — odparł poważnie Pencroff. — Wtedy by mi niczego więcej do szczęścia nie brakowało!

Na tę uwagę marynarza jego towarzysze nie mogli powstrzymać uśmiechu.

Ze znalezienia skrzyni wynikało, że teraz koniecznie należy dokładnie zbadać całą wyspę. Postanowiono zatem nazajutrz skoro świt wyruszyć w drogę, w górę Rzeki Dziękczynienia, tak by dotrzeć do zachodniego wybrzeża. Jeżeli jacyś rozbitkowie wylądowali w tej części wyspy, to zachodziła obawa, że byli pozbawieni wszelkich środków do życia, a w takim razie należało niezwłocznie przyjść im z pomocą.

Cały dzień upłynął na znoszeniu znalezionych przedmiotów do Granitowego Pałacu i ich przemyślanym układaniu w wielkiej sali.

Tego dnia, 29 października, była akurat niedziela i Harbert przed udaniem się na spoczynek zagadnął inżyniera, czy nie zechciałby przeczytać im jakiegoś ustępu z Ewangelii.

— Chętnie — odparł Cyrus Smith.

Wziął do rąk świętą księgę i już chciał ją otworzyć, gdy Pencroff powstrzymał go, mówiąc:

— Panie Cyrusie, jestem zabobonny. Niech pan otworzy na chybił trafił i odczyta nam pierwszy werset, który wpadnie panu w oko. Zobaczymy, czy da się zastosować do naszego położenia.

Cyrus Smith uśmiechnął się i spełniając życzenie marynarza, otworzył Ewangelię dokładnie w miejscu, w którym tkwiła zakładka.

I nagle jego wzrok zatrzymał się na czerwonym krzyżyku, nakreślonym ołówkiem przed ósmym wersem trzeciego rozdziału Ewangelii św. Mateusza.

Przeczytał werset, który brzmiał:

Proście, a będzie wam dane, szukajcie, a znajdziecie.

ROZDZIAŁ III

Odjazd. — Przyptyw. — Wiązy i więzowce. — Różne rośliny. — Złotopiór. — Widok lasu. — Olbrzymie eukaliptusy. — Dlaczego są nazywane „drzewami gorączkowymi”. — Gromady małp. — Wodospad. — Nocleg.

Nazajutrz, 30 października, wszystko było gotowe do wyprawy, która z powodu ostatnich wydarzeń stała się pilna. Sprawy przybrały teraz taki obrót, że koloniści Wyspy Lincoln słusznie mogli uważać, że teraz już nie potrzebują pomocy, ale mogą ją nieść innym.

Postanowiono zatem płynąć tak daleko w górę korytem Rzeki Dziękczynienia, jak to będzie możliwe. W ten sposób mogli przebyć znaczną część drogi bez zmęczenia, a zapasy żywności i broń przenieśliby w miejsce bardziej wysunięte na zachód.

Należało pamiętać nie tylko o przedmiotach, które zabrano ze sobą, ale także i o tych, które być może wypadnie sprowadzić do Granitowego Pałacu. Jeżeli bowiem, jak się zdawało, rzeczywiście w pobliżu wyspy rozbił się jakiś statek, to można się było spodziewać znalezienia wielu innych przedmiotów i szczątków wyrzuconych przez morze na brzeg. W takim przypadku niewątpliwie wózek byłby przydatniejszy od wątego czółna, ale był ciężki i niezgrabny, i w dodatku trzeba go było ciągnąć, co sprawiało, że był mniej wygodny. Skłoniło to Pencroffa do wyrażenia ubolewania, że w znalezionej przez nich skrzyni

oprócz „pół funta tytoniu” brakowało jeszcze pary silnych koni z New Jersey, które bardzo by się przydały kolonii.

Zapasy żywności, które Nab spakował do czółna, składały się z zakonserwowanego mięsa oraz kilku galonów piwa i sfermentowanego soku, co powinno wystarczyć na trzy dni — najdłuższy termin, jaki Cyrus Smith przeznaczył na wyprawę. Zresztą w razie potrzeby zamierzali odnowić zapasy po drodze, a Nab nie zapomniał wziąć ze sobą małej przenośnej kuchenki.

Z narzędzi koloniści wzięli dwie siekiery do rąbania drzewa, które miały służyć do torowania sobie drogi leśnych w gąszczach, a z instrumentów lunetę i kieszonkową busolę.

Jako broń wybrano dwie strzelby skałkowe, przydatniejsze na wyspie, gdyż do nich potrzebne były tylko krzemienie, które łatwo było zastąpić nowymi, podczas gdy broń nowszego typu wymagała pistonów zapłonowych, których zapas przy częstym użyciu szybko by się wyczerpał. Mimo to wzięli ze sobą także jeden karabin i kilka nabojów. Trzeba było zabrać również trochę prochu strzelniczego. W baryłkach było go około pięćdziesięciu funtów, ale inżynier miał nadzieję, że uda mu się wyprodukować substancję wybuchową, która pozwoli na zaoszczędzenie prochu. Prócz broni palnej wzięto także pięć kordelasów w skórzanych pochwach. Tak zaopatrzeni i uzbrojeni mogli się zapuścić w głąb nieprzejrzanых borów z pewną otuchą, że w każdym kłopotach dadzą sobie radę.

Nie trzeba dodawać, że tak uzbrojeni Pencroff, Harbert i Nab byli u szczytu szczęścia, chociaż Cyrus Smith wymógł na nich obietnicę, że nie oddadzą bez potrzeby ani jednego strzału.

O szóstej rano zepchnięto czółno na morze. Wsiadli do niego wszyscy z Topem włącznie i popłynęli ku ujściu Rzeki Dziękczynienia.

Przyływ zaczął się dopiero przed pół godziną. Mieli zatem przed sobą jeszcze kilka godzin sprzyjającego prądu, z czego należało skorzystać, później bowiem, podczas odpływu, musieliby płynąć przeciw prądowi, co znacznie utrudniałoby podróż w górę rzeki. Przyływ był już dość silny, gdyż za trzy dni przypadała pełnia księżyca, więc czółno, które wystarczyło tylko utrzymywać na prądzie rzeki, posuwało się szybko pomiędzy wysokimi brzegami, a podróżnicy nie potrzebowali zwiększać jego prędkości za pomocą wiosel.

Po kilku minutach dotarli do ostrego zakrętu Rzeki Dziękczynienia, gdzie Pencroff siedem miesięcy wcześniej zbudował pierwszą tratwę.

Od tego miejsca rzeka skręcała w kierunku południowo-zachodnim, a jej wody płynęły w cieniu olbrzymich, wiecznie zielonych drzew iglastych.

Brzegi Rzeki Dziękczynienia wyglądały przepięknie. Cyrus Smith i jego towarzysze mogli podziwiać te wspaniałe efekty, jakie przyroda tak łatwo osiąga za pomocą wody i drzew. W miarę jak płynęli coraz dalej, zmieniały się rodzaje leśnych drzew. Na prawym brzegu rzeki wznosiły się wspaniałe okazy z rodziny *Ulmaceae*²²⁴, bezcenne wiązy, tak bardzo poszukiwane przez budowniczych statków ze względu na to, że mogą bez szkody długo utrzymywać się w wodzie. Dalej liczne grupy drzew należących do tej samej rodziny, między innymi wiązowce²²⁵ rodzące orzeszki, z których wytłacza się bardzo użyteczny olej. Dalej Harbert zauważył kilka pnączy z rodziny *Lardizabalaceae*²²⁶, których giętkie gałęzie wymoczone w wodzie nadają się na doskonałe liny, a także parę drzew hebanowych²²⁷ o pięknych czarnych pniach, fantastycznie żyłkowanych.

Od czasu do czasu czółno zatrzymywało się w miejscach, gdzie łatwiej było wylądować. Wówczas Gedeon Spilett, Harbert i Pencroff ze strzelbami w rękach, poprzedzani przez Topa, wyskakiwali na brzeg. Oprócz zwierzyny mogli natknąć się na jakieś użyteczne rośliny, a młody przyrodnik był uszczęśliwiony, znalazł bowiem dziki szpinak z rodziny

²²⁴*Ulmaceae* (biol.) — wiązowate, rodzina roślin drzewiastych występujących na półkuli północnej. [przypis edytorski]

²²⁵*wiązowce*, a. *obrotnice*, *Celtis* (biol.) — rodzaj drzew liściastych, zaliczany dawniej do rodziny wiązowatych, obecnie do blisko spokrewnionych z nimi konopiowatych. [przypis edytorski]

²²⁶*Lardizabalaceae* (biol.) — krępieniowate, rodzina roślin drzewiastych, obejmująca 40 gatunków pnączy występujących we wschodniej Azji i w Chile. [przypis edytorski]

²²⁷*drzewo hebanowe* — pot. nazwa różnych drzew tropikalnych dostarczających heban, czyli czarne, twarde i ciężkie drewno, wykorzystywane m.in. do wyrobu mebli artystycznych i instrumentów muzycznych. [przypis edytorski]

*Chenopodiaceae*²²⁸ i liczne okazy z rodzaju krzyżowych, czyli kapustowatych²²⁹, dające się łatwo uszlachetnić przez przesadzenie. Były tam rzeżucha, rzodkiew, rzepa, wreszcie jakieś cienkie, pokryte meszkiem, rozgałęzione łodygi metrowej wysokości, wydające ciemne, prawie brunatne nasiona.

— Czy wiesz, co to za roślina? — zapytał Harbert marynarza.

— Tytoń! — zawołał Pencroff, który najwyraźniej swoją ulubioną roślinę widywał tylko w fajce.

— Nie, Pencroffie — odparł Harbert — to nie tytoń, to gorczyca.

— Niech będzie i gorczyca — odpowiedział marynarz. — Ale gdybyś przypadkiem znalazł gdzieś źdźbło tytoniu, mój chłopcze, to proszę, żebyś nim nie pogardził.

— Znajdziemy go kiedyś — powiedział Gedeon Spilett.

— Naprawdę?! — zawołał Pencroff. — Wtedy, dalibóg²³⁰, niczego już nam nie będzie brakowało na wyspie!

Rośliny ostrożnie wykopano z korzeniami i zaniesiono do łódki, której nie opuszczał pogrążony rozmyślaniami Cyrus Smith.

Reporter, Harbert i Pencroff ładowali w ten sposób kilkakrotnie, to na prawym, to na lewym brzegu Rzeki Dziękczynienia. Lewy brzeg był mniej stromy, za to prawy bardziej lesisty. Za pomocą busoli inżynier stwierdził, że od pierwszego zakrętu rzeka kierowała się z południowego zachodu na północny wschód i na przestrzeni blisko trzech mil płynęła prawie w linii prostej. Należało jednak przypuszczać, że dalej ten kierunek się zmieni i Rzeką Dziękczynienia skręci na północny wschód, w kierunku zboczy Góry Franklina, skąd bierze początek.

Podczas jednej z takich wycieczek Gedeonowi Spilettowi udało się schwytać żywcem dwie pary dzikich kur. Były to ptaki o długich cienkich dziobach, smukłych szyjach, krótkich skrzydłach i bez śladu ogona. Harbert słusznie nazwał je kusaczami²³¹ i postanowiono, że zostaną pierwszymi mieszkańcami przyszłej ptaszarni.

Dotychczas strzelby jeszcze nie się odezwały, a pierwszy wystrzał, jaki rozległ się w Lesie Dalekiego Zachodu, był spowodowany ukazaniem się pięknego ptaka, podobnego z wyglądu do zimorodka.

— Poznaję go! — zawołał Pencroff i wystrzelił jakby mimo woli.

— Co pan poznaje? — zapytał reporter.

— Ptaka, który uciekł nam w czasie pierwszej wyprawy i którego imieniem nazwalismy tę część lasu.

— Złotopiór! — zawołał Harbert.

Był to istotnie złotopiór, piękny ptak o dość szorstkim upierzeniu z metalicznym połyskiem. Kilka ziarenek śrutu ściągnęło go na ziemię, a Top przyniósł go do czółna razem z pół tuzinem turaków²³², ptaków łączących wielkości gołębia, o zielonym upierzeniu, skrzydłach gdzieś karmazynowych i z sterczącym na głowie czubem z białą obwódką. Zaszczyt ustrzelenia tych ptaków przypadł Harbertowi i był z tego bardzo dumny. Turaki stanowiły lepszą zdobycz niż złotopiór, którego mięso jest trochę łykowane, ale Pencroffa trudno było przekonać, że nie ustrzelił króla jadalnych ptaków.

Około dziesiątej rano czółno dopłynęło do drugiego zakrętu Rzeki Dziękczynienia, oddalonego mniej więcej pięć mil od jej ujścia. Zatrzymano się w tym miejscu na śniadanie, a postój pod rozłożystymi, pięknymi drzewami trwał pół godziny.

²²⁸*Chenopodiaceae* (hist. biol.) — komosowate, rodzina roślin zielnych wyróżniana w dawnych systemach taksonomicznych, obejmująca m.in. komosę, buraka i szpinak. Młode liście występującej w Eurazji komosy białej (*Chenopodium album*), czyli lebiody, dawniej jadano jako jarzynę, tak jak szpinak. [przypis edytorski]

²²⁹kapustowate a. krzyżowe (biol.) — rodzina roślin zielnych, rzadziej drzew i krzewów, do której należą m.in. kapusta, rukiew, chrzan, rzodkiew. [przypis edytorski]

²³⁰dalibóg (daw.) — doprawdy, słowo daję; wykrzyknienie podkreślające prawdziwość wypowiedzi. [przypis edytorski]

²³¹kusacze, *Tinamidae* (biol.) — rząd ptaków naziemnych o krępej budowie ciała, małej głowie i krótkim ogonie, zamieszkujących Amerykę Środkową i Południową. [przypis edytorski]

²³²turak a. turako, *Tauraco* — rodzaj roślinożernych ptaków afrykańskich z czubem na głowie, należących do rodziny turakowatych (*Musophagidae*). W oryginale: *touracos-loris*, dalej jako *loris*, jednak to drugie słowo w jęz. francuskim oznacza lory (*Lorinae*), papugi występujące w pld.-wsch. Azji, Indonezji i Australii. Do zamieszania zapewne przyczynił się fakt, że w pld. Afryce wszystkie turakowate nazywa się *lourie* lub *loerie*. [przypis edytorski]

Szerokość rzeki wynosiła tu sześćdziesiąt do siedemdziesięciu stóp, a głębokość łozyska pięć do sześciu stóp. Inżynier zauważył, że do rzeki wpadało wiele dopływów, ale były to tylko zwykłe strumyki, żaden nie był splawny. Jak okiem sięgnąć, rozciągały Lasy Złotopióra i Dalekiego Zachodu. Nigdzie, ani w głębinach puszczy, ani wśród drzewach rosnących wzdłuż brzegów Rzeki Dziękczynienia nie było widać śladów obecności człowieka. Podróżnicy nie znaleźli żadnego podejrzanego tropu i było jasne, że nigdy siekiera drwała nie tknęła tych drzew, nigdy nóż pioniera nie przecinał tych splotów lian wiążących się od jednego pnia do drugiego wśród gęstych krzaków i wysokiej trawy. Jeśli rzeczywiście jacyś rozbitkowie wylądowali na wyspie, to nie opuścili jeszcze wybrzeża i z pewnością nie pod gęstym sklepieniem puszczy należało szukać ocalałych.

Dlatego inżynier spieszył się z dotarciem do zachodnich wybrzeży Wyspy Lincoln, oddalonych według jego szacunków jeszcze o co najmniej pięć mil. Popłynęli dalej i pomimo że Rzeka Dziękczynienia zdawała się zmierzać nie do wybrzeża, lecz raczej w stronę Góry Franklina, postanowili nie opuszczać czółna, dopóki będzie pod nim dość wody, by mogło płynąć. W ten sposób zaoszczędzali zarówno trudów, jak i czasu, gdyż inaczej trzeba by było siekierą torować sobie drogę przez gąszcze.

Wkrótce jednak unoszący ich prąd wody ustał, czy to dlatego, że zaczął się odpływ, który o tej właśnie porze powinien się rozpocząć, czy też dlatego, że przyływ morza w tej odległości od ujścia Rzeki Dziękczynienia nie dawał się już odczuć. Trzeba więc było chwycić za wiosła. Nab z Harbertem zajęli miejsca na ławkach, Pencroff zasiadł przy sterze i popłynęli dalej.

Wyglądało na to, że las od strony Dalekiego Zachodu zaczął się z wolna przersedzać. Drzewa nie rosły już tak gęsto, a często nawet stały odosobnione. Ale właśnie dlatego, że miały więcej przestrzeni wokół siebie, tym pełniej korzystały ze świeżego powietrza i tym wspanialsze rosły.

Co za cudowne okazy flory występowały na tej szerokości geograficznej! Sama ich obecność z pewnością wystarczyłaby botanikowi, żeby bez wahania określić równoleżnik przechodzący przez Wyspę Lincoln.

— Eukaliptusy! — zawołał nagle Harbert.

Były to istotnie te wspaniałe drzewa, ostatnie olbrzymie strefy podzwrotnikowej, pokrewne eukaliptusom rosnącym w Australii i w Nowej Zelandii, położonym na tej samej szerokości geograficznej szerokości, co Wyspa Lincoln. Niektóre z nich wznosiły się na wysokość dwustu stóp. Ich pnie miały u podstawy dwadzieścia stóp w obwodzie, a kora, pobrużdżona pasmami spływającej wonnej żywicy, miała do pięciu cali grubości. Nic cudowniejszego, lecz zarazem nic dziwniejszego niż te olbrzymie okazy z rodziny mirtowatych, których liście skierowane są bokiem do światła i przepuszczają promienie słoneczne aż do samej ziemi.

U stóp eukaliptusów ziemię pokrywała soczysta trawa, z której zrywały się gromady małych ptaszków polyskujących w słońcu jak skrzydlate klejnoty.

— To mi drzewa! — zawołał Nab — Ale czy jest z nich jakiś pożytek?

— Ba! — odparł na to Pencroff. — Tak jak mamy olbrzymów wśród ludzi, tak samo muszą być i olbrzymie roślinne. Nie przydają się na nic, chyba tylko do pokazywania na jarmarkach.

— Zdaje mi się, że się pan myli, Pencroffie — odparł Gedeon Spilett. — Drzewo eukaliptusowe zaczyna być z wielkim pożytkiem wykorzystywane w stolarstwie artystycznym.

— A ja dodam — odezwał się Harbert — że te eukaliptusy należą do rodziny, która ma wielu pożytecznych członków, mianowicie: gujawa²³³, rodząca owoce o tej samej nazwie; goździkowiec²³⁴, rodzący goździki; drzewo granatowe rodzące granaty; *Eugenia*

²³³gujawa, guawa a. gruszla (biol.) — rodzaj niewielkich drzew z rodziny mirtowatych występujących w Ameryce Środkowej, rodzących jadalne, czerwone lub żółtawe owoce o gruszkowatych kształcie. [przypis edytorski]

²³⁴goździkowiec korzenny (biol.) — gatunek rośliny z rodziny mirtowatych pochodzący z Indonezji; z jego wysuszonych pączków uzyskuje się przyprawę zwaną goździkami (goździki korzenne). [przypis edytorski]

*cauliflora*²³⁵, której owoce służą do wyrobu niezłego wina; mirt *ugni*²³⁶ dający sok do wyrobu wyśmienitych alkoholi; mirt *caryophyllus*²³⁷, którego kora daje tak ceniony cynamon; *Eugenia pimenta*²³⁸, dający pieprz angielski; mirt właściwy, którego jagody zastąpić mogą pieprz; *Eucalyptus robusta*²³⁹, dający rodzaj doskonałej manny; *Eucalyptus gunni*²⁴⁰, którego sok drogą fermentacji przekształca się w piwo; wreszcie wszystkie te drzewa znane pod nazwą „drzew życiodajnych” czy też „drzew żelaznych” także należące do rodziny mirtowatych, która liczy czterdzieści sześć rodzajów i tysiąc trzysta gatunków²⁴¹.

Nie przerywano chłopcu, który z wielkim zapałem wygłaszał swoją lekcję botaniki. Cyrus Smith, słuchając, uśmiechał się, a Pencroff słuchał z niedającym się opisać wyrazem dumy.

— Dobrze więc, Harbercie — powiedział Pencroff — ale przysiągłbym, że wszystkie te pożyteczne drzewa, które wyliczyłeś, nie są takimi olbrzymami jak te.

— Rzeczywiście, Pencroffie.

— To potwierdza to, co powiedziałem — odparł marynarz — że z tych olbrzymów nie ma żadnego pożytku.

— Otóż w tym się pan myli, Pencroffie — odezwał się na to inżynier — i właśnie te olbrzymie eukaliptusy, pod którymi teraz siedzimy, do czegoś się jednak przydają.

— Do czego mianowicie?

— Do poprawiania warunków zdrowotnych w krajach, w których rosną. Czy pan wie, jak je nazywają w Australii i na Nowej Zelandii?

— Nie wiem, panie Cyrusie.

— Nazywają je drzewami gorączkowymi.

— Dlatego, że powodują gorączkę?

— Nie, dlatego, że przed nią chronią!

— Dobrze, zanotuję to sobie — powiedział reporter.

— Zanotuj to, drogi Spilett, gdyż wydaje się udowodnione, że obecność eukaliptusów wystarcza do zneutralizowania wpływu miazmatów febry bagiennej²⁴². Próbowano tego naturalnego środka zapobiegającego w niektórych krajach południowej Europy i północnej Afryki, gdzie tereny były bardzo niezdrowe, i zauważono, że stan zdrowia mieszkańców stopniowo się poprawił. W okolicach, gdzie zasadzono lasy eukaliptusów, nie występuje już febra. Obecnie fakt ten nie ulega żadnej wątpliwości i dla nas, mieszkańców Wyspy Lincoln, jest to okoliczność bardzo pomyślna.

— Ach, cóż to za wyspa! Co za błogosławiona wyspa! — zawołał Pencroff. — Mówię wam, że nie brak tu niczego... z wyjątkiem...

— Będzie i to, Pencroffie, znajdzie się i to — odparł inżynier — ale teraz ruszajmy dalej i starajmy się dopłynąć tak daleko, jak tylko rzeka będzie mogła unieść nasze czółno.

²³⁵*Eugenia cauliflora*, ob.: *Plinia cauliflora* (biol.) — drzewo z rodziny mirtowatych, rosnące w Brazylii, o białych kwiatach i czarnofoletowych, smacznych owocach (jaboticaba), z powodu nietrwałości często przetwarzanych na dżemy, galaretki, soki lub wina. [przypis edytorski]

²³⁶*Myrtus ugni*, ob. *Ugni molinae* (biol.) — wiecznie zielony krzew z rodziny mirtowatych rosnący w Chile i pld. Argentynie, rodzący czerwone jagody o truskawkowym aromacie, wykorzystywane do wyrobu galaretek i likierów. [przypis edytorski]

²³⁷*mirt caryophyllus*, którego kora daje tak ceniony cynamon — *Myrtus caryophyllus* to daw. nazwa botaniczna goździkowca, więc zapewne mowa raczej o *Cinnamomum caryophyllus*, jednym z licznych gatunków roślin z rodzaju cynamonowców. Jednak z drugiej strony głównym źródłem cynamonu są cynamonowiec cejloński (*C. zeylanicum*) i cynamonowiec wonny (*C. cassia*), toteż niewykluczone, że chodzi o *Dicypellium caryophyllatum*, rosnący w Brazylii krzew, którego używana w lecznictwie wysuszona kora, zwana cynamonem goździkowym, zapachem przypomina cynamon i goździki. [przypis edytorski]

²³⁸*Eugenia pimenta*, ob. *Pimenta dioica* (biol.) — korzennik lekarski, gatunek drzewa z rodziny mirtowatych występującego w tropikalnych rejonach Ameryki Środkowej oraz pñ. rejonach Ameryki Pld; jego owoce to przyprawa znana pod nazwą ziela angielskiego. [przypis edytorski]

²³⁹*Eucalyptus robusta* (biol.) — drzewo z rodziny mirtowatych pochodzące z wybrzeży wsch. Australii, uprawiane w wielu krajach na świecie jako drzewo przydrożne i opałowe. Rodzaj manny, białą substancję o przyjemnym, słodkim smaku wydziela inny gatunek eukaliptusa, *Eucalyptus viminalis*. [przypis edytorski]

²⁴⁰*Eucalyptus gunni* (biol.) — eukaliptus Gunna (a. górski), drzewo z rodziny mirtowatych pochodzące z Tasmanii; jego słodki sok po sfermentowaniu przypomina cydr (jabłecznik, napój alkoholowy z soku jabłkowego). [przypis edytorski]

²⁴¹rodziny mirtowatych, która liczy czterdzieści sześć rodzajów i tysiąc trzysta gatunków — obecnie do mirtowatych zalicza się ok. 140 rodzajów skupiających ok. 4000-5000 gatunków. [przypis edytorski]

²⁴²febra a. gorączka bagienne (daw.) — malaria, tropikalna choroba pasożytnicza przenoszona przez komary, objawiająca się nawracającą gorączką i silnymi dreszczami. [przypis edytorski]

Popłynęli więc dalej, co najmniej dwie mile, przez okolicę porośniętą eukaliptusami górującymi nad wszystkimi drzewami rosnącymi w tej części wyspy. Eukaliptusy pokrywały nieprzejrzaną przestrzeń po obu brzegach Rzeki Dziękczynienia, której kręte koryto wiło się wśród wysokich, zazielenionych brzegów. Często bieg rzeki hamowały wysokie krzewy, a nawet ostre głazy, co znacznie utrudniało żeglugę. Przeszkadzały w posługiwaniu się wiosłami i Pencroff musiał odpychać czółno żerdzią. Wyczuwało się też, że dno rzeki stopniowo się podnosi, woda staje się coraz płytsza i wkrótce czółno będzie musiało się zatrzymać. Słońce chyliło się już ku zachodowi, a na ziemię kładły się długie cienie drzew. Cyrus Smith, widząc, że nie zdołają tego dnia dotrzeć do zachodniego brzegu wyspy, postanowił rozbić obóz w miejscu, w którym płytka woda uniemożliwi dalszą żeglugę. Według jego szacunków od wybrzeża dzieliło ich jeszcze jakieś pięć do sześć mil, zatem odległość zbyt duża, żeby odważyć się na przebycie jej w nocy przez te nieznanne lasy.

Czółno, nieustannie popychane przez kolonistów, mknęło przez las, który z wolna gęstniał znowu i robił wrażenie bardziej zamieszkanego, gdyż marynarzowi wydawało się, że dostrzegł gromady małp skaczących wśród drzew. Od czasu do czasu dwie lub trzy małpy zatrzymywały się w pewnej odległości od czółna i przyglądały się kolonistom bez okazywania najmniejszego strachu, jak gdyby widziały ludzi po raz pierwszy i jeszcze nie nauczyły się ich obawiać. Można je było z łatwością ustrzelić, ale Cyrus Smith sprzeciwił się niepotrzebnej rzezi, która dla Pencroffa była niemałą pokusą. Odradzał ją zresztą sam rozsądek, gdyż silne i niezwykle zręczne małpy mogły być niebezpieczne i lepiej było nie prowokować ich zupełnie zbędną napacją.

Co prawda marynarz oceniał małpy z czysto kulinarnego punktu widzenia, gdyż rzeczywiście te roślinożerne zwierzęta stanowią doskonałą dziczyznę, ale ponieważ zapasów mieli pod dostatkiem, więc nie warto było bez potrzeby trwonić amunicji.

Około czwartej żeglowanie po Rzece Dziękczynienia stało się bardzo trudne, gdyż coraz częściej na przeszkodzie stawały rośliny wodne i głazy. Brzegi stawały się coraz wyższe, a rzeka torowała sobie teraz drogę wśród pierwszych pasm Góry Franklina. Jej źródła musiały być już niedaleko, gdyż zasilają je wody spływające z południowych stoków góry.

— Najdalej za kwadrans — powiedział marynarz — będziemy się musieli zatrzymać, panie Cyrusie.

— No to się zatrzymamy, Pencroffie, i rozbijemy obóz na noc.

— Jak daleko może być stąd do Granitowego Pałacu? — zapytał Harbert.

— Mniej więcej siedem mil — odparł inżynier — wliczając w to wszystkie zygzaki i zakręty rzeki, które zaprowadziły nas na północny zachód.

— Czy popłyniemy dalej? — zapytał reporter.

— Jak daleko się tylko da — odparł Cyrus Smith. — Jutro skoro świt porzucimy czółno i w ciągu dwóch godzin, jak sądzę, przebędziemy przestrzeń dzielącą nas od morza. W ten sposób zostanie nam prawie cały dzień na badanie wybrzeża.

— A więc naprzód! — odpowiedział Pencroff.

Niebawem łódź zaczęła ocierać się o kamieniste dno rzeki, której szerokość w tym miejscu nie przekraczała dwudziestu stóp. Nad wodą wznosiło się gęste zielone sklepienie i pogrążało rzekę w półmroku. Słychać było wyraźnie szmer wodospadu świadczący o tym, że kilkaset kroków dalej znajduje się naturalna przeszkoda.

Faktycznie, gdy minęli ostatni zakręt rzeki, ujrzeli między drzewami szumiący wodospad. Czółno dotknęło dna i w kilka minut później przywiązano je do pnia przy prawym brzegu rzeki.

Dochodziła godzina piąta. Ostatnie promienie słońca przedzierały się przez gąszcz i padały ukośnie na wodospad, którego rozpylone kropelki połyskiwały tęczowymi barwami. Dalej łożysko rzeki ginęło wśród zarośli, podsycane zapewne przez jakieś ukryte źródło. Wpadające do niej po drodze liczne strumyki czyniły z niej poniżej prawdziwą rzekę, lecz w tym miejscu była tylko przejrzystym, płytkim potoczkiem.

W tej pięknej okolicy rozbito obóz. Koloniści po wyjściu na brzeg rozpalili ogień pod kępą rozłożystych wiązowców, w których gałęziach w razie potrzeby Cyrus Smith i jego towarzysze znaleźliby schronienie na noc.

Wszyscy byli wygłodniali, więc kolację zjedli z wilczym apetytem i pozostało tylko udać się na spoczynek. Ponieważ z zapadnięciem zmierzchu dały się słyszeć jakieś podej-

rzane ryki, dołożono dREW do ognia na noc, aby jego migoczące płomienie ochraniały śpiących. Nab z Pencroffem czuwał przy nim kolejno, nie szczędząc opału. Być może wzrok ich nie mylił, gdy wydawało im się, że dostrzegają cienie zwierząt krążących dookoła obozowiska, to wśród zarośli, to pomiędzy gałęziami drzew. Noc jednak minęła bez żadnego wydarzenia i nazajutrz, 31 października, o piątej rano wszyscy już byli na nogach, gotowi do dalszej podróży.

ROZDZIAŁ IV

W drodze na wybrzeże. — Znowu gromady małp. — Nowy potok. — Dlaczego nie wyczuwa się pływu morza? — Nadbrzeżny las. — Jaszczurczy Cypel. — Gedeon Spilett wzbudza zazdrość Herberta. — Bambusowe petardy.

O szóstej rano, po śniadaniu, koloniści ruszyli dalej z zamiarem dotarcia jak najkrótszą drogą do zachodniego wybrzeża wyspy. Ile czasu mogło im to zająć? Cyrus Smith uważał, że dwie godziny, ale to oczywiście będzie zależało od rodzaju przeszkód, jakie napotkają. Ta część Lasu Dalekiego Zachodu okazała się olbrzymim gąszczem najróżnorodniejszej roślinności. Wynikała więc z tego prawdopodobnie konieczność torowania sobie drogi przez wysokie trawy, krzaki i liany, przedzierania się z siekierą w rękę, a przy tym i ze strzelbą, zważywszy na ryki dzikich zwierząt słyszane w nocy.

Pozycję obozowiska można było dokładnie ustalić według położenia Góry Franklina, a ponieważ wulkan wznosił się w odległości niespełna trzech mil na północy, trzeba było iść prosto na południowy zachód, aby dotrzeć do zachodniego wybrzeża.

Po silniejszym przywiązaniu czoła do drzewa wyruszyli w drogę. Pencroff z Nabem zabrali zapasy mogące wyżywić drużynę przez co najmniej dwa dni. O polowaniu nie było już mowy, a inżynier zalecił nawet swoim towarzyszom unikanie wszelkich niepotrzebnych wystrzałów, żeby nie zdradzać swojej obecności w okolicy wybrzeża.

Pierwsze uderzenia siekiery rozległy się w zaroślach między drzewami mastyksowymi²⁴³, nieco powyżej wodospadu, po czym Cyrus Smith z busołą w dłoni wskazał dalszy kierunek drogi.

Las składał się tutaj z drzew, których większość koloniści rozpoznali już w pobliżu jeziora i Płaskowyzu Pięknego Widoku. Były to cedry himalajskie, daglezie, kazuaryny, gumowce, eukaliptusy, smokowce, ketmie, cedry i inne drzewa, przeważnie średniej wielkości, gdyż gąszcz utrudniał ich rozwój. Koloniści posuwali się naprzód powoli, wyrąbując sobie drogę w kierunku, który zdaniem inżyniera powinien prowadzić w okolice Czerwonego Potoku.

Od chwili wyruszenia koloniści schodzili niskimi zboczami tworzącymi system orograficzny wyspy. Gleba pod ich stopami była bardzo sucha, ale bujna roślinność wskazywała na istnienie bądź też sieci wód podziemnych, bądź też jakiegoś pobliskiego potoku. Mimo to Cyrus Smith nie przypominał sobie, aby podczas swojej wyprawy do krateru zauważył na wyspie jakiś inną rzeczkę poza Czerwonym Potokiem i Rzeką Dziękczynienia.

W pierwszych godzinach drogi spotykano gromady małp okazujących wielkie zdumienie na widok ludzi, którzy byli dla nich zupełną nowością. Gedeon Spilett zapytał żartobliwie, czy aby te zwinne i silne czwororękie stworzenia nie uważają jego i jego towarzyszy za swoich zdegenerowanych braci. Prawdę mówiąc, nasi piechurzy, na każdym kroku powstrzymywani przez zarośla, zmagający się z przeszkodami i zaporami w postaci lian i pni drzew, nie wypadali zbyt dobrze przy tych zwinnych stworzeniach, skaczących swobodnie z gałęzi na gałąź. Małp było dużo, na szczęście jednak nie zdradzały żadnych nieprzyjaznych zamiarów.

Zauważyli także kilka dzików, aguti, kangurów i innych gryzoni, a także dwa lub trzy koale, które Pencroff z ochotą poczęstowałby ładunkiem ołowiu.

— Cóż, kiedy polowanie wzbrownione! — powtarzał. — Skaczcie więc, przyjaciele, biegnajcie i latajcie sobie w pokoju! W drodze powrotnej zamienimy z sobą słóweczko!

²⁴³ *drzewo mastyksowe* a. *piścija kleista* (biol.) — drzewo występujące w basenie M. Śródziemnego, wydzielające pachnącą żywicę zwaną mastyksem, używaną gł. w malarstwie do sporządzania werniksów, wykorzystywaną również w farmacji, w dentyście oraz do zaprawiania likierów. [przypis edytorski]

O wpół do dziesiątej drogę, którą postępowali prosto na południowy zachód, nagle zagroził im jakiś nieznany strumień szerokości trzydziestu do czterdziestu stóp, który płynąc wartko spadzistym korytem i obijając się o niezliczone skały, pędził z głuchym łoskotem. Był głęboki i przejrzysty, ale zupełnie nie nadawał się do żeglugi.

— Mamy odciętą drogę! — zawołał Nab.

— Bynajmniej — odparł Harbert. — Przecież to niewielki strumień, możemy go przebyć wplaw.

— Nie trzeba — odpowiedział Cyrus Smith. — To oczywiste, że ten strumień płynie do morza. Idźmy więc, trzymając się jego brzegu, a będę bardzo zdziwiony, jeśli wkrótce nie zaprowadzi nas na wybrzeże. Dalej, w drogę!

— Chwileczkę — odezwał się reporter. — A jak nazwiemy ten potok, przyjaciele? Nie pozostawiamy w naszej geografii żadnych luk.

— Słusznie! — powiedział Pencroff.

— Nazwij ty go, mój chłopcze — powiedział inżynier, zwracając się do Harberta.

— Może lepiej byłoby wstrzymać się, dopóki go nie poznamy aż do samego ujścia? — zauważył Harbert.

— Niech i tak będzie — odparł Cyrus Smith. — Idźmy więc za nim, nie zatrzymując się.

— Jeszcze chwileczkę! — odezwał się Pencroff.

— Co takiego? — zapytał reporter.

— Chociaż polowanie jest zabronione, ale łowienie ryb, jak sądzę, jest dozwolone — powiedział marynarz.

— Nie mamy czasu do stracenia — odparł inżynier.

— O, tylko pięć minut! — powiedział Pencroff. — Proszę tylko o pięć minut dla dobra naszego posiłku.

Pencroff położył się na brzegu, zanurzył ręce w bystry prąd wody i wyciągnął wkrótce kilka tuzinów pięknych raków, od których mrowiło się pomiędzy głazami.

— Wspaniale! — zawołał Nab, przychodząc z pomocą marynarzowi.

— Przecież mówię, że oprócz tytoniu na tej wyspie jest wszystko — mruknął Pencroff z westchnieniem.

Cały ten obfity połów nie zajął nawet pięciu minut, gdyż raków było w potoku co niemiara. Napełniono worek skorupiakami o kobaltowoniebieskich panczykach, uzbrojonych w kolec czolowy, po czym koloniści ruszyli w dalszą drogę.

Droga wzdłuż brzegu nowego potoku była łatwiejsza, toteż koloniści posuwali się szybciej. Na brzegach nie było widać żadnych śladów człowieka. Od czasu do czasu napotykali tylko tropy jakichś dużych zwierząt, które przychodziły do strumienia ugasić pragnienie, ale nic poza tym. To na pewno nie w tej części Lasu Dalekiego Zachodu pekari został postrzelony ziarnkiem śrutu, które Pencroffa kosztowało żąb trzonowy.

Widok tego wartkiego strumienia pędzącego w stronę morza nasunął Cyrusowi Smithowi przypuszczenie, że znajdowali się znacznie dalej od zachodniego wybrzeża, niż sądzili. O tej porze morze przybierało i powinno cofnąć bieg potoku, gdyby do jego ujścia było najwyżej kilka mil. Otóż takie zjawisko nie występowało, a potok płynął naturalnym pochyleniem koryta. Inżynier był bardzo zdziwiony i często spoglądał na busołę, żeby się upewnić, czy przypadkiem jakiś zakręt rzeki nie zaprowadzi ich z powrotem w głąb Lasów Dalekiego Zachodu.

Tymczasem potok stopniowo rozszerzał się, a jego nurt stawał się coraz spokojniejszy. Zarówno na prawym, jak i na lewym brzegu ciągnął się gęsty las i nie dało się sięgnąć dalej wzrokiem. Gęstwiny te były zapewne niezamieszkałe, gdyż Top nie szczekał, a przecież mądre zwierzę bez wątplenia zasygnalizowałoby obecność obcych ludzi w pobliżu.

O wpół do jedenastej ku wielkiemu zdumieniu Cyrusa Smitha Harbert, który nieco wyprzedził swoich towarzyszy, zatrzymał się nagle i zawołał:

— Morze!

W kilka minut później koloniści dotarli na skraj lasu i ujrzeli rozpościerające się przed ich oczyma zachodnie wybrzeże wyspy.

Cóż za kontrast pomiędzy tym wybrzeżem a wschodnim, na które rzucił ich los! Żadnej granitowej ściany, żadnych raf na morzu, nigdzie nawet ławicy piasku. Całe wybrzeże

pokrywał las, a drzewa rosące na samym skraju, uderzane przez fale morskie, pochylały się nad wodą. Nie było to wybrzeże morskie, jakie zazwyczaj tworzy natura, bądź to rozpościerając wielkie dywany z piasku, bądź też gromadząc skały, lecz wspaniałe pasmo najpiękniejszych na świecie drzew. Brzeg był wysoki, tak że nie dosięgały go fale nawet najwyższych przypliwów, a w żyznej glebie na granitowym podłożu okazałe drzewa zdawały się zakorzenione równie mocno, jak w lasach w głębi wyspy.

Koloniści znaleźli się nad małą zatoczką, niemającą znaczenia jako przystań, gdyż nie zmieściłyby się w niej nawet dwie czy trzy łodzie rybackie. Stanowiła ona jakby gardziel nowo odkrytego potoku, ale, co ciekawe, wody potoku zamiast wpływać do morza łagodnie pochylonym ujściem, spadały z wysokości przeszło czterdziestu stóp, co wyjaśniało, dlaczego przypliw morza zupełnie nie oddziaływał na bieg potoku. Fale Pacyfiku nawet podczas najwyższego przypliwu nie były w stanie osiągnąć poziomu rzeki, której dno tworzyło jakby naturalną, wysoką śluzę, i musiałyby upłynąć jeszcze miliony lat, zanim woda zdołałaby przegryźć te granitowe pokłady i wyżłobić sobie wygodniejsze ujście. Dlatego też jednomyślnie nazwano nowo odkryty potok Rzeką Wodospadu (*Falls-river*).

W kierunku północnym leśny pas wybrzeża ciągnął się na przestrzeni około dwóch mil, potem drzewa stawały się coraz radsze, a za nimi w oddali rysowały się malownicze wzgórza, biegnące prawie w linii prostej z północy na południe. Natomiast wzdłuż części wybrzeża pomiędzy Rzeką Wodospadu a Jaszczurczym Cyplem ciągnął się gęszcz wspaniałych drzew, jednych wznoszących się prosto, innych pochylonych, których korzenie podmywały fale morskie. Dalsze poszukiwania wypadło podjąć właśnie w tej okolicy, to znaczy na całym Półwyspie Wężowym, gdyż ta część wybrzeża oferowała naturalne schronienie, jakiego rozbitkowie na pewno nie znaleźliby po przeciwnej stronie, jałowej i dzikiej.

Pogoda była piękna, niebo czyste, a ze szczytu urwiska, gdzie Nab z Pencroffem przygotowali posiłek, rozpościerał się rozległy widok. Widnokrąg był całkiem pusty, na morzu nie było widać żadnego żagla. Na całym wybrzeżu, jak okiem sięgnąć, nie dostrzegli ani statku, ani nawet szczątków. Jednak inżynier uważał, że nie można mieć całkowitej pewności, dopóki nie zbadają całego wybrzeża aż do najdalszego krańca Półwyspu Wężowego.

W pośpiechu spożyli posiłek i o wpół do dwunastej Cyrus Smith dał znak do wyruszenia w drogę. Zamiast iść grzbietem jakiegoś pagórka czy też piaszczystą plażą koloniści postanowili podążać wśród szpalerów drzew, wzdłuż brzegu morza.

Odległość dzieląca ujście Rzeki Wodospadu od Jaszczurczego Cypla wynosiła mniej więcej dwanaście mil. Na otwartej przestrzeni, nie spiesząc się, koloniści mogliby przebyć ten dystans w ciągu czterech godzin, teraz jednak wymagało to dwa razy więcej czasu, gdyż co chwilę wstrzymywały ich drzewa, które trzeba było omijać, krzaki, które trzeba było wycinać, liany, przez które trzeba się było przedzierać.

Dotychczas nie zauważyli niczego, co by świadczyło o niedawnym rozbiciu się statku na tym wybrzeżu. Jednak, jak słusznie zauważył Gedeon Spilett, morze mogło unieść ze sobą wszystkie szczątki, więc brak śladów nie uprawniał jeszcze do wniosku, że w tej części Wyspy Lincolna żaden statek nie został wyrzucony na brzeg.

Rozumowanie reportera było poprawne, zresztą zdarzenie z ziarnkiem śrutu świadczyło niezbicie, że nie dalej jak trzy miesiące temu na wyspie padł strzał.

Była już piąta, a koloniści mieli jeszcze dwie mile do krańca Półwyspu Wężowego. Było pewne, że po dotarciu do Jaszczurczego Cypla Cyrus Smith i jego towarzysze nie zdążą już wrócić przed zachodem słońca do obozowiska rozłożonego w pobliżu źródeł Rzeki Dziękczynienia. Wynikła stąd konieczność nocowania na cyplu. Na szczęście mieli ze sobą dość żywności, gdyż na skraju lasu nie pokazywała się żadna czworonożna zwierzyna. Za to ptactwa było co niemiara: złotopióry, kuruku, tragopany, preriokury, turaki, papugi, kakadu, bażanty, gołębie i wiele innych. Nie było drzewa, na którym nie byłoby gniazda, nie było gniazda, z którego by się nie rozlegało trzopotanie skrzydeł.

Około siódmej wieczorem koloniści, znużeni trudną drogą, dotarli do Jaszczurczego Cypla, wyglądającego jak dziwaczna woluta²⁴⁴ wykrojona na morzu. Tu kończył się nadbrzeżny las półwyspu, a cała południowa część wybrzeża miała już zwykły wygląd brzegu

²⁴⁴woluta — ornament architektoniczny w formie zwoju lub spirali. [przypis edytorski]

morskiego ze skałami, rafami i piaskami. Możliwe, że jakiś miotany burzą statek wylądował w tej części wyspy, ale noc już zapadała i trzeba było odłożyć dalsze poszukiwania do następnego dnia.

Pencroff z Harbertem natychmiast zaczęli szukać miejsca dogodnego na nocleg. Na cyplu rosły ostatnie drzewa Lasu Dalekiego Zachodu, a pomiędzy nimi Harbert rozpoznał gęste kępy bambusów.

— Brawo! — zawołał. — Co za cenne odkrycie!

— Cenne? — zapytał Pencroff.

— Oczywiście — odparł Harbert. — Nie muszę ci mówić, Pencroffie, że kora bambusa pocięta w giętkie pasy służy do wyplatania koszy i koszyków; że ta sama kora wyczołowana i roztarta na papkę służy do wyrobu papieru chińskiego; że z łodyg, zależnie od grubości, wyrabia się laski, cybuchy do fajek i rury do prowadzenia wody; że duże bambusy są świetnym materiałem budowlanym, lekkim i trwałym, którego nigdy nie atakują robaki. Nie będę także dodawał, że jeśli utnie się część łodygi pomiędzy dwoma kolankami i użyje tworzącej kolanko poprzecznej przegródki jako denka, można otrzymać trwałe i wygodne naczynia, często używane w Chinach. Nie, to wszystko by cię nie zadowoliło. Ale...

— Ale?...

— Ale powiem ci, jeśli jeszcze tego nie wiesz, że w Indiach jedzą bambusy zamiast szparagów.

— Szparagi o długości trzydziestu stóp! — zawołał marynarz. — I one są dobre?

— Wyśmienite! — odparł Harbert. — Z tym, że nie je się tych wysokich łodyg, lecz jedynie młode pędy bambusa.

— Doskonale, mój chłopcze, doskonale! — odparł Pencroff.

— Dodam jeszcze, że rdzeń tych młodych pędów, zamarynowany w occie, stanowi ceniony dodatek do potraw.

— Coraz lepiej, Harbercie.

— I wreszcie, że bambusy wydzielają pomiędzy kolankami słodki sok, z którego można przyrządzić bardzo smaczny napój.

— I to wszystko? — zapytał marynarz.

— Wszystko.

— A czy przypadkiem nie można ich palić jak tytoniu?

— Nie, nie można, mój biedny Pencroffie.

Harbert z marynarzem nie musieli długo szukać dogodnego miejsca na nocleg. W nadbrzeżnych skałach, poszarpanych od uderzeń fal morskich gnanych przez południowo-zachodnie wichry, pełno było wydrzeń mogących posłużyć za nocne schronienie przed niepogodą. Jednak w chwili gdy zamierzali wejść do jednej z tych jaskiń, powstrzymał ich straszliwy ryk wydobywający się z wnętrza.

— W tył zwrot! — zawołał Pencroff. — Mamy strzelby nabite tylko śrutem, a bestie, co tak pięknie ryczą, tyle by sobie z niego robiły, co z ziarenka soli!

I marynarz, chwyciwszy Harberta za ramię, pociągnął go za sobą za skałę; w tej samej chwili u wylotu jaskini ukazało się potężne zwierzę.

Był to jaguar, co najmniej tak wielki, jak jego współplemieńcy z Azji²⁴⁵, to znaczy, że od końca głowy do nasady ogona mierzył przeszło pięć stóp. Płową sierść zdobiło kilka rzędów regularnie rozmieszczonych, czarnych plam, odcinających się wyraźnie od białego futra na brzuchu. Harbert natychmiast rozpoznał tego okrutnego rywala tygrysa, znacznie bardziej niebezpiecznego niż kuguar²⁴⁶, który może się rywalizować tylko z wilkiem.

Jaguar postąpił naprzód i spoglądał dokoła z najeżoną sierścią, z płonącymi oczami, jak gdyby nie po raz pierwszy przyszło mu spotkać się z człowiekiem.

W tej chwili zza wysokich skał ukazał się reporter, a Harbert, sądząc, że nie zauważył jaguara, już miał biec do niego, gdy Gedeon Spilett dał mu znak ręką i szedł naprzód. Nie pierwszy raz miał do czynienia z tygrysem, toteż zbliżywszy się na dziesięć kroków do

²⁴⁵jaguar (...) wielki, jak jego współplemieńcy z Azji — jaguar to duży amerykański ssak drapieżny o rudożółtym futrze w czarne cętki; trzeci co do wielkości, po żyjącym w Afryce lwie i zamieszkującym Azję tygrysie, przedstawiciel rodziny kotowatych. [przypis edytorski]

²⁴⁶kuguar a. puma — drapieżny ssak z rodziny kotowatych zamieszkujący obie Ameryki; lew górski. [przypis edytorski]

drapieżnika, stanął nieruchomo z karabinem przyłożonym do ramienia i ani jeden mięsień mu nie drgnął.

Jaguar, sprężywszy się, rzucił się na myśliwego, ale w chwili skoku kula trafiła go między oczy i padł martwy.

Harbert z Pencroffem podskoczyli do jaguara. Z drugiej strony nadbiegli Nab z Cyrusem Smithem i przez kilka chwil stali pełni podziwu, przypatrując się rozciągniętemu na ziemi zwierzęciu, którego wspaniała skóra miała niebawem posłużyć za ozdobę wielkiej sali w Granitowym Pałacu.

— Ach, panie Spilett! Jak ja pana podziwiam, jak ja panu zazdroścę! — zawołał Harbert w przyływie bardzo naturalnego entuzjazmu.

— Cóż, mój chłopcze — odparł reporter — i ty zrobił byś to samo.

— Ja? Ja bym się zdobył na tyle zimnej krwi?...

— Wyobraź sobie, Harbercie, że jaguar jest zającem, a zastrzelisz go najspokojniej w świecie.

— Ot, i wszystko! Całkiem proste! — odparł Pencroff.

— A teraz — powiedział Gedeon Spilett — ponieważ jaguar opuścił swoją kryjówkę, nie widzę powodu, przyjaciele, żebyśmy jej nie zajęli na tę noc.

— Mogą przyjść inne jaguary — powiedział Pencroff.

— Wystarczy rozpalić ogień przy wejściu do jaskini — powiedział reporter — a pewnie żaden nie odważy się przestąpić progu.

— A zatem, do mieszkania jaguara! — odparł marynarz, ciągnąc za sobą ciało zwierzęcia.

Koloniści udali się do opuszczonej jaskini i tam, podczas gdy Nab ściągał skórę z jaguara, reszta jego towarzyszy gromadziła przy wejściu stosy suchego drzewa, którego obficie dostarczał las.

Cyrus Smith zauważył niedaleko kępę bambusów, naciął ich trochę i dorzucił do reszty opału.

Potem rozgościli się w jaskini, która cała zasłana była kośćmi, i nabili broń na wypadek nagłej napaści. Zjedli kolację, a gdy przyszedł czas na spoczynek, podłożyli ogień pod stos drewna ułożony u wejścia jaskini.

Wkrótce rozległ się w powietrzu trzask i urywany huk. To bambusy, ogarnięte płomieniami, strzelały jak fajerwerki. Już sam ten hałas wystarczyłby, żeby odstraszyć najzuchwalsze bestie.

Ten sposób wywoływania głośnych wybuchów nie był wcale wynalazkiem inżyniera, gdyż jak twierdzi Marco Polo²⁴⁷, Tatarzy już przed wiekami używali go z powodzeniem do odstraszenia od swych obozowisk groźnych drapieżników zamieszkujących Środkową Azję²⁴⁸.

ROZDZIAŁ V

Projekt powrotu południowym wybrzeżem. — Ukształtowanie wybrzeża. — Poszukiwania domniemanych rozbitków. — Szczątki w powietrzu. — Odkrycie małej naturalnej przystani. — O północy nad brzegami Rzeki Dziękczynienia. — Płynące czółno.

Cyrus Smith i jego towarzysze spali jak susły w jaskini, którą jaguar tak uprzejmie im ustąpił.

O wschodzie słońca wszyscy byli już nad brzegiem morza, na samym skraju cypla, a ich wzrok znów wybiegał na krańce horyzontu, widocznego w dwóch trzecich obwodu. Po raz ostatni inżynier stwierdził, że na morzu nie ma żadnego żagla ani wraku statku, i nawet przez lunetę nie mógł dostrzec niczego podejrzanego.

²⁴⁷ Polo, Marco (1254–1324) — wenecki podróżnik i kupiec; podróżując Jedwabnym Szlakiem, przemierzył całą Środkową Azję i dotarł do Chin, po powrocie podyktował swoje spostrzeżenia w formie pamiętników; uważany za najwybitniejszego podróżnika europejskiego w średniowieczu. [przypis edytorski]

²⁴⁸ jak twierdzi Marco Polo, Tatarzy (...) używali go (...) do odstraszenia od swych obozowisk groźnych drapieżników zamieszkujących Środkową Azję — w swoim *Opisaniu świata* (II, 45) Marco Polo stwierdza, że w ten sposób odstraszały dzikie zwierzęta podróżnicy i kupcy w Tybecie. [przypis edytorski]

Na wybrzeżu także nic nie było widać, przynajmniej w tej części, która ciągnąc się w linii prostej, tworzyła południowy brzeg cypla na długości trzech mil; dalej bowiem liczne urwiska i załomy zasłaniały resztę wybrzeża, tak że nawet z samego końca Półwyspu Wężowego nie można było dostrzec Przylądka Szponu, zasłoniętego przez wysokie skały.

Pozostawało im zatem zbadać jeszcze południowe wybrzeże wyspy. Czy należało przystąpić do tego natychmiast i poświęcić badaniom cały ten dzień, 2 listopada?

To nie wchodziło w zakres ich pierwotnego planu. Zostawiając czołno u źródeł Rzeki Dziękczynienia, koloniści postanowili, że po zbadaniu zachodniego wybrzeża powrócą do czołna i rzeką popłyną z powrotem do Granitowego Pałacu. Cyrus Smith sądził wówczas, że na zachodnim wybrzeżu znajdzie się przystań zdolna posłużyć czy to za schronienie dla statku uszkodzonego burzą, czy też za miejsce postoju dla statku odbywającego regularny kurs. Od chwili jednak, kiedy przekonali się, że nie było tu nigdzie miejsca odpowiedniego do wylądowania, trzeba było na południu wyspy szukać tego, czego nie znaleźli na zachodzie.

Gedeon Spilett zaproponował dalsze poszukiwania, żeby ostatecznie rozstrzygnąć sprawę domniemanego rozbicia się statku, i zapytał, w jakiej odległości mógł się znajdować Przylądek Szponu od końca półwyspu.

— Około trzydziestu mil — odparł inżynier — biorąc pod uwagę wszystkie zakręty i załomy wybrzeża.

— Trzydzieści mil! — ciągnął dalej Gedeon Spilett. — To dobry dzień drogi. Mimo to sądzę, że idąc cały czas wzdłuż południowego wybrzeża, powinniśmy wrócić do Granitowego Pałacu.

— Ależ od Przylądka Szponu do Granitowego Pałacu trzeba liczyć jeszcze co najmniej dziesięć mil — zauważył Harbert.

— Przypuśćmy zatem, że ogółem czterdzieści mil — odparł reporter — i nie cofajmy się przed nimi. Przynajmniej obejrzymy nieznane wybrzeże i nie trzeba będzie powtarzać tego po raz drugi.

— Bardzo słusznie — powiedział na to Pencroff. — Ale co będzie z czołnem?

— Skoro czołno zostało samo u źródeł Rzeki Dziękczynienia na jeden dzień, to może pozostać i przez dwa dni. Jak dotąd nie możemy się uskarżać, żeby wyspę niepokoił złodzieje.

— A jednak — powiedział marynarz — kiedy przypomnę sobie historię z żółwem, to nie mam już takiej pewności.

— Żółw! Żółw! — odparł reporter. — Czy pan nie wie, że to morze postawiło go na nogi?

— Kto wie? — mruknął inżynier.

— Ale... — odezwał się Nab.

Nab miał widocznie coś do powiedzenia, bo otworzył usta, ale zamilkł.

— Co chciałeś powiedzieć, Nabie? — zapytał go inżynier.

— Jeśli wrócimy brzegiem aż do Przylądka Szponu — odparł Nab — to po obejściu tego przylądka przetnie nam drogę...

— Rzeka Dziękczynienia! Rzeczywiście — odparł Harbert. — I nie będziemy mieli ani mostu, ani łodzi, żeby przedostać się na drugą stronę.

— Cóż, panie Cyrusie — odparł Pencroff. — Kilka pływających pni i damy jakoś radę przepłynąć rzekę!

— Mimo to — powiedział Gedeon Spilett — jeśli chcemy mieć łatwy dostęp do Lasu Dalekiego Zachodu, warto byłoby zbudować most.

— Most! — zawołał Pencroff. — No cóż, przecież pan Smith jest inżynierem z zawodu. Kiedy zechcemy mostu, to nam zbuduje most! A jeśli chodzi o to, żeby przeprowadzić was na drugi brzeg Rzeki Dziękczynienia, i to bez zamoczenia choćby jednej nitki, to biorę to na siebie. Mamy jeszcze żywności na jeden dzień, więc nam niczego nie trzeba, a zresztą, może dziś nie zabraknie nam zwierzyny tak jak wczoraj. W drogę!

Wniosek reportera, tak żywo poparty przez marynarza, uzyskał ogólną aprobatę, każdemu bowiem zależało na tym, aby rozstrzygnąć wszystkie wątpliwości, a powrót przez Przylądek Szponu zakończyłby poszukiwania na wyspie. Nie było czasu do stracenia, bo czterdzieści mil to spory kawałek drogi i nie było co liczyć na dotarcie do Granitowego Pałacu przed zmrokiem.

O szóstej rano drużyna ruszyła w drogę. Na wypadek jakiegoś spotkania z dwu- lub czworonożnymi zwierzętami ponabijano strzelby kulami, a Top, który miał biec na czele pochodu, otrzymał rozkaz przeszukiwania zarośli na skraju lasu.

Począwszy od najdalszego krańca cypla, tworzącego jakby ogon półwyspu, brzeg na długości pięciu mil zaokrąglął się. Odległość tę przebyto szybko, jednak pomimo najskrupulatniejszych poszukiwań nigdzie nie odkryto najmniejszych śladów ani dawniejszego, ani nowszego lądowania, żadnych szczątków ani pozostałości obozowiska, ani popiołu z wygasłego ogniska, ani odcisku ludzkiej stopy.

Doszedłszy do miejsca, gdzie kończyło się zaokrąglenie i brzeg ciągnął się dalej w kierunku północno-wschodnim, tworząc Zatokę Waszyngtona, koloniści mogli ogarnąć wzrokiem południowe wybrzeże wyspy w całej okazałości. W odległości dwudziestu pięciu mil brzeg kończył się Przylądkiem Szponu, który ledwie majaczył w porannej mgle. Wskutek zjawiska mirażu wydawał się jakby zawieszony pomiędzy niebem a ziemią. Od miejsca, w którym znajdowali się koloniści, aż do środka łuku wielkiej zatoki ciągnęła się szeroka, płaska i równa plaża, obwiedziona w dalszym planie drzewami. Dalej brzeg stawał się coraz bardziej nieregularny i wybiegał w morze tysiącem spiczastych języków, a za nimi piętrzyły się w malowniczym nieładzie czarniawe skały na samym końcu Przylądka Szponu.

Tak wyglądała ta część wyspy, którą koloniści widzieli po raz pierwszy. Zatrzymali się na chwilę i obrzucili ją wzrokiem wzdłuż i wszerz.

— Statek, który by tu wpłynął — odezwał się Pencroff — byłby niechybnie zgubiony. Ławice piasku ciągnące się daleko w morze, a dalej rafy podwodne! Niebezpieczna okolica!

— Ale w każdym razie coś by z takiego statku pozostało — zauważył reporter.

— Na rafach zostałyby z niego drzazgi, a na piaskach nic — odparł marynarz.

— A to czemu?

— Ponieważ piaski są bardziej niebezpieczne od skał, pochłaniają wszystko, co w nie wpadnie. Wystarczy kilka dni, aby statek mający kilkaset ton wyporności zapadł się w nich bez śladu.

— A zatem, Pencroffie — zapytał inżynier — gdyby jakiś statek zapędził się w te piaski, nie byłoby dziwne, jeśliby nic po nim nie pozostało?

— Ani trochę, panie Smith, zwłaszcza przy niepogodzie i burzach. Jednak i wówczas byłoby dziwne, gdyby szczątki masztów i lin nie zostały wyrzucone na brzeg, poza zasięg fal.

— Szukajmy więc dalej — odparł Cyrus Smith.

O pierwszej po południu koloniści dotarli do środkowego punktu Zatoki Waszyngtona, mając za sobą dwadzieścia mil przebytej drogi.

Zatrzymali się na posilek.

Od tego miejsca zaczynał się nieregularny, dziwnie poszarpany brzeg, gdzie zamiast ławic piasku ciągnęła się długa linia raf, których wierzchołki zaczynał odsłaniać odpływ. Fale morskie łamały się na tych skałach i rozpryskiwały się w długie frędzle śnieżystej piany. Dalej, aż do samego Przylądka Szponu, piaszczysty brzeg był wąski, ściśnięty pomiędzy szeregiem raf a krawędzią lasu.

Posuwanie się naprzód stało się odtąd uciążliwsze, gdyż wybrzeże tarasowały liczne rumowiska głazów. Granitowa ściana rosła coraz wyżej, tak że z drzew, które rosły w tyle na jej szczytach, widać było zaledwie zieleniejące wierzchołki, nieporuszane najmniejszym powiewem wiatru.

Po półgodzinnym spoczynku koloniści ruszyli w dalszą drogę, nie omijając wzrokiem żadnego punktu, ani wśród skał, ani na plaży. Pencroff z Nabem zapędzali się nawet pomiędzy rafy za każdym razem, gdy coś zwróciło ich uwagę. Nie znajdowali jednak nic oprócz dziwnie ukształtowanych głazów, które zwodziły wzrok. Przy okazji mogli przekonać się, że plaża obfitowała w jadalne małże, ale będzie można z tego bardziej skorzystać dopiero wtedy, kiedy się ustanowi jakieś połączenie pomiędzy obydwoma brzegami Rzeki Dziękczynienia i udoskonali środki transportu.

Tak więc na wybrzeżu nie było żadnego śladu domniemanej katastrofy, choć każdy przedmiot, który by o niej świadczył, na przykład kadłub statku, byłby doskonale widoczny albo morze wyrzuciłoby jego szczątki na brzeg, podobnie jak się to stało ze skrzynią znalezioną o prawie dwadzieścia mil stąd. Tymczasem nie było tu nic.

Około trzeciej po południu Cyrus Smith i jego towarzysze przybyli do wąskiej, dobrze osłoniętej zatoczki, do której nie wpadał żaden potok. Tworzyła ona rodzaj małej naturalnej przystani, niewidocznej od strony otwartego morza, z którym łączyło ją ciasne przejście pomiędzy rafami.

W głębi zatoczki jakiś gwałtowny wstrząs rozdarł krawędź skalną i łagodnie nachylona szczyba prowadziła w górę na płaskowyż, który znajdował się o niecałe dziesięć mil od Przylądka Szponu, czyli o cztery mile w linii prostej od Płaskowyżu Pięknego Widoku.

Gedeon Spilett zaproponował towarzyszom, by zatrzymali się w tym miejscu. Zgodzili się na to, gdyż wędrówka zaostrzyła wszystkim apetyt i chociaż nie była to jeszcze godzina obiadowa, każdy chętnie posilił się kawałkiem dziczyzny. Ta przekąska miała im wystarczyć aż do kolacji w Granitowym Pałacu.

W kilka minut później koloniści, siedząc pod pięknym sklepieniem morskich sosen, spożywali zapasy, które Nab wydobyl ze swego tłumoczką.

Miejsce to wznosiło się pięćdziesiąt do sześćdziesiąt stóp ponad poziomem morza. Widok zatem był dość rozległy, a wzrok prześlizgując się nad ostatnimi skałami przylądka, gubił się w Zatoce Stanów Zjednoczonych. Nie była natomiast widoczna ani wysepka, ani Płaskowyż Pięknego Widoku, gdyż ukształtowanie terenu i zasłona olbrzymich drzew zakrywały zupełnie północny horyzont.

Nie trzeba dodawać, że chociaż koloniści ogarniali wzrokiem tak szeroką przestrzeń morza, a inżynier zbadal lunetą punkt po punkcie cały łuk linii horyzontu, gdzie niebo zlewało się z morzem, nigdzie nie dostrzeżono żadnego statku.

Całą niezbadaną jeszcze część wybrzeża tak samo sprawdzono przez lunetę wzdłuż i wszerz, poczynawszy od plaży aż do raf, lecz w polu widzenia nie pojawiły się żadne szczątki.

— No cóż — powiedział Gedeon Spilett — trzeba się pogodzić z rzeczywistością i pocieszyć tym, że przynajmniej nikt nie będzie kwestionował naszych praw do Wyspy Lincoln.

— A ziarno śrutu?! — zawołał Harbert. — Przecież nie było urojeniem!

— Do kroćset, pewnie że nie! — zawołał Pencroff, pamiętając o straconym zębie.

— Jaki stąd wniosek? — zapytał reporter.

— Taki — odparł inżynier — że nie dalej jak trzy miesiące temu jakiś statek dobrowlnie czy przymusowo wylądował na wyspie.

— Jak to? Sądzi pan, panie Cyrusie, że został pochłonięty bez śladu? — zapytał reporter.

— Nie, drogi Spilett. Niech pan jednak zauważy, że jeśli jest pewne, że jakiś człowiek postawił stopę na wyspie, to wydaje się równie pewne, że ją już opuścił.

— Więc, jeśli pana dobrze rozumiem, panie Cyrusie — powiedział Harbert — statek, który tu przybił, już odpłynął?...

— Oczywiście.

— A my straciliśmy bezpowrotnie okazję zobaczenia kiedykolwiek naszej ojczyzny? — zapytał Nab.

— Obawiam się, że bezpowrotnie.

— A zatem, skoro straciliśmy okazję, ruszajmy dalej — powiedział Pencroff, który zaczął już tęsknić za Granitowym Pałacem.

Ledwie jednak zdążyli się podnieść, gdy nagle rozległo się głośnie szczekanie Topa, a po chwili pies wybiegł z lasu, trzymając w pysku kawałek jakiegoś materiału zabrudzonego błotem.

Nab wydarł mu z pyska szmatę. Był to kawałek mocnego płótna.

Top szczekał nieustannie i biegając wciąż tam i z powrotem, zdawał się zachęcać swego pana, aby szedł za nim do lasu.

— Tam jest coś, co może wyjaśni sprawę ziarnka śrutu! — zawołał Pencroff.

— Rozbitek! — odparł Harbert.

— Może ranny! — powiedział Nab.

— Lub martwy! — odparł reporter.

I wszyscy razem pobiegli za psem pomiędzy olbrzymie sosny tworzące pierwszą linię lasu. Na wszelki wypadek Cyrus Smith i jego towarzysze mieli broń w pogotowiu.

Musieli zapuścić się dość daleko w las, lecz ku swojemu wielkiemu rozczarowaniu nie spostrzegli ani śladu ludzkiej stopy. Zarośla i liany były nietknięte, a nawet trzeba

było wycinać sobie przez nie drogę siekierą, tak jak to robili w gąszczu w samej głębi lasu. Trudno było przypuszczać, żeby przechodził tędy jakiś człowiek, a jednak Top biegł tam i z powrotem, nie jak pies, który węszy w przypadkowych miejscach, ale jak gdyby świadomie dążył do jakiegoś określonego celu.

Po siedmiu czy ośmiu minutach Top się zatrzymał. Koloniści wyszli na polankę otoczoną wysokimi drzewami, rozejrzeli się dookoła, ale nie dostrzegli nic ani pomiędzy krzakami, ani pomiędzy drzewami.

— O co chodzi, Topie? — zapytał Cyrus Smith.

Top zaczął szczeakać jeszcze głośniejsze, skacząc dokoła pnia olbrzymiej sosny.

Nagle Pencroff zawołał:

— A to dobre! A to świetne!

— Co takiego? — zapytał Gedeon Spilet.

— Szukamy szczątków statku na morzu i ziemi!

— No i co?

— No i to, że one znajdują się w powietrzu!

I marynarz wskazał ręką wielką białawą płachtę zawieszoną na szczycie sosny. Jej kawałek spadł na ziemię i ten właśnie kawałek znalazł Top i im przyniósł.

— Ależ to nie są szczątki statku! — zawołał Gedeon Spillet.

— O, za pozwoleniem! — odparł Pencroff.

— Jak to? Więc to?...

— To są szczątki naszego statku powietrznego, naszego balonu, który spadł tam wysoko, na wierzchołek tego drzewa!

Pencroff nie mylił się, wzniósł wspaniałe „hurra!” i dodał:

— Teraz mamy wspaniałe płótno! Będziemy z niego mieli bieliznę na długie lata! Jest z czego szyć chustki i koszule! Ha, panie Spilett, co pan powie na taką wyspę, gdzie koszule rosną na drzewach?

Był to istotnie bardzo szczęśliwy traf dla kolonistów Wyspy Lincoln, że balon, wzbiwszy się po raz ostatni w powietrze, spadł na wyspę i że przypadkiem udało się go odnaleźć. Mogli więc albo zachować powłokę balonu w takim stanie, w jakim była, gdyby zechcieli spróbować powrotu ponownie drogą powietrzną, albo też zużytkować z korzyścią dla siebie tych kilkaset łokci doskonałej tkaniny bawełnianej, oczyściwszy ją uprzednio z lakieru. Łatwo sobie wyobrazić, że radość Pencroffa udzieliła się wszystkim.

Najpierw trzeba było zdjąć powłokę balonu z drzewa, na którym wisiała, aby przechować ją w bezpiecznym miejscu, a to wymagało niemałej pracy. Nab, Harbert i marynarz wdrapali się na wierzchołek drzewa i musieli dokonywać cudów zręczności, aby ściągnąć na dół olbrzymi obwisły balon.

Praca trwała prawie dwie godziny. Wreszcie udało się sprowadzić na ziemię nie tylko powłokę z wentylem, sprężynami i mosiężnymi okuciami, ale i całą siatkę, czyli wielką ilość lin i sznurów razem z obręczą oraz kotwicą. Powłoka balonu zachowała się w dobrym stanie oprócz pęknięcia w jednym miejscu i podartego rękawa u dołu.

Było to bogactwo, które dosłownie spadło im z nieba.

— Mimo wszystko, panie Cyrusie — odezwał się marynarz — gdybyśmy kiedyś zdecydowali się opuścić wyspę, to nie balonem, prawda? Taki statek powietrzny nigdy nie leci tam, gdzie się chce, już my coś o tym wiemy! Widzi pan, jeśli mi pan zaufa, zbudujemy porządny statek o wyporności dwudziestu ton, a pan pozwoli mi wyciąć z tego płótna grot²⁴⁹ i fok²⁵⁰. Reszta pójdzie na bieliznę!

— Zobaczmy Pencroffie, zobaczmy — odparł Cyrus Smith.

— Tymczasem trzeba to wszystko bezpiecznie ukryć — powiedział Nab.

Rzeczywiście, nie można było nawet myśleć o przeniesieniu do Granitowego Pałacu takiej ilości płótna, lin i sznurów, gdyż ich ciężar był znaczny, a do czasu sprowadzenia odpowiedniego pojazdu nie można było zostawić tych bogactw na łasce pierwszego lepszego huraganu. Koloniści wspólnymi siłami zaciągnęli więc wszystko na brzeg morza, gdzie odkryli dość obszerną jaskinię, do której dzięki jej położeniu nie miały dostępu wichry, deszcze ani woda morska.

²⁴⁹grot — główny, największy żagiel, zawieszany na głównym maszcie jednostki pływającej. [przypis edytorski]

²⁵⁰fok — główny żagiel na przednim maszcie; na jednostkach jednomasztowych: trójkatny żagiel przedni. [przypis edytorski]

— Potrzebowaliśmy szafy, mamy szafę — powiedział Pencroff. — A skoro nie zamyka się na klucz, to trzeba będzie zamaskować jej otwór. Nie mam na myśli złodziei dwunożnych, ale czworonożnych.

O szóstej wieczorem wszystko było już schowane i po nadaniu zatoczce słusznej nazwy Przystani Balonowej koloniści ruszyli w dalszą drogę w stronę Przylądka Szponu. Pencroff z inżynierem dyskutowali o rozmaitych planach, które należało zrealizować w jak najkrótszym czasie. Przede wszystkim trzeba będzie wybudować most na Rzece Dziękczynienia, aby ułatwić komunikację z południową częścią wyspy, potem wrócić wózkami po balon, gdyż czółno by go nie uniosło, następnie wybudować szalupę z pokładem, którą potem Pencroff wyposaży w takielunek²⁵¹ jak kuter, tak że będzie można wyruszać na wyprawę... dookoła wyspy, potem... i tak dalej.

Tymczasem zapadł zmrok i było już ciemno, gdy przybyli do Cypla Znaleźiska, do miejsca, gdzie znaleźli cenną skrzynię. Ale i tutaj, tak samo, jak gdzie indziej, nic nie wskazywało na to, że rozbił się jakiś statek, i trzeba było wrócić do wniosków sformułowanych poprzednio przez Cyrusa Smitha.

Od Cypla Znaleźiska do Granitowego Pałacu pozostawały jeszcze cztery mile, które można było szybko przebyć. Ale było już po północy, gdy koloniści, idąc ciągle brzegiem morza w kierunku ujścia Rzeki Dziękczynienia, dotarli do jej pierwszego zakrętu.

W tym miejscu koryto miało osiemdziesiąt stóp szerokości i trudno się było przeprawić na drugi brzeg, ale Pencroff podjął się pokonać tę przeszkodę, więc wezwano go, żeby dotrzymał słowa.

Trzeba przyznać, że podróżni byli wyczerpani. Podróż była daleka, a znalezienie balonu spowodowało, że nie mieli czasu na odpoczynek. Pilno im więc było do Granitowego Pałacu, żeby zjeść kolację i przespąć się, i gdyby most już stał, w ciągu kwadransa byłiby w domu.

Noc była bardzo ciemna. Pencroff, chcąc dotrzymać obietnicy, rozpoczął przygotowania do budowy tratwy, na której można by było przepłynąć na drugi brzeg Rzeki Dziękczynienia. Obaj z Nabem, uzbrojeni w siekiery, wybrali dwa drzewa rosnące blisko brzegu i zabrali się za ich ścinanie.

Cyrus Smith i Gedeon Spilett, siedząc na brzegu, czekali na chwilę, w której będzie potrzebna ich pomoc, podczas gdy Harbert przechadzał się tam i z powrotem, nie oddalając się zbyt daleko.

Nagle Harbert, który poszedł w górę rzeki, powrócił pędem i wskazując na wodę, zawołał:

— Co tam płynie?

Pencroff przerwał pracę i zauważył jakiś poruszający się przedmiot, wynurzający się z nocnego mroku.

— Czółno! — powiedział.

Wszyscy podbiegli do brzegu i ku swemu największemu zdziwieniu ujrzeli jakąś łódź płynącą z prądem rzeki.

— Ahoj, tam na łodzi! — zawołał marynarz z zawodowego przyzwyczajenia, nie zważając na to, że może lepiej by było zachować milczenie.

Nikt nie odpowiadał. Łódź płynęła dalej i gdy się zbliżyła na dziesięć kroków, marynarz zawołał:

— Przecież to nasze czółno! Urwało się z cumy i popłynęło z prądem! Trzeba przyznać, że zjawia się w odpowiedniej chwili.

— Nasze czółno?... — mruknął inżynier.

Pencroff miał słuszną rację. Było to rzeczywiście czółno, które zapewne zerwało się z uwięzi i samo wracało od źródeł Rzeki Dziękczynienia. Trzeba było teraz koniecznie schwytać je w biegu, zanim wartki prąd wody uniesie je poza ujście rzeki. Nab z Pencroffem poradzili sobie z tym bardzo zrećznie za pomocą długiej żerdzi.

Czółno przybiło do brzegu. Inżynier wskoczył w nie pierwszy, wziął linę do ręki i upewnił się dotykiem, że rzeczywiście przetarła się o skały.

— O, to się nazywa — powiedział do niego reporter — to się nazywa traf...

— Dziwny! — odparł Cyrus Smith.

²⁵¹takielunek — omasztowanie i olinowanie statku. [przypis edytorski]

Dziwny czy nie, w każdym razie był to traf szczęśliwy. Harbert, reporter, Nab i Pencroff kolejno zajęli miejsca w czółnie. Nie wątpili, że lina się przetarła, ale najdziwniejsze z tego wszystkiego było to, że czółno nadpłynęło właśnie w chwili, gdy koloniści byli na brzegu i mogli je schwytać, gdyż w kwadrans później zaginęłoby na morzu.

Gdyby to były czasy, w których na ziemi żyły duchy opiekuńcze, po tym zdarzeniu można by było sądzić, że wyspę zamieszkiwała jakaś istota nadprzyrodzona, która oddała swoją moc na usługi rozbitków.

Po kilku uderzeniach wiosłem dopłynęli do ujścia Rzeki Dziękczynienia. Wyciągnęli czółno na brzeg niedaleko Kominów i wszyscy ruszyli w stronę drabinki zwisającej z Granitowego Pałacu.

Ale w tej chwili Top zaszczał gniewnie, a Nab, który szukał pierwszego stopnia drabinki, krzyknął...

Drabinka zniknęła.

ROZDZIAŁ VI

Wołanie Pencroffa. — Noc w Kominach. — Strzala Harberta. — Projekt Cyrusa Smitha. — Niespodziewane rozwiązanie. — Co się działo w Granitowym Pałacu. — Nowy służący kolonistów.

Cyrus Smith zatrzymał się, nie mówiąc ani słowa. Jego towarzysze szukali po omacku wzdłuż ściany i na ziemi, przypuszczając, że może wiatr przesunął drabinkę albo ją strącił... Ale zniknęła bez śladu. W ciemności nie dało się stwierdzić, czy przypadkiem wicher nie rzucił jej na podest w połowie granitowej ściany.

— Jeśli to ma być żart — zawołał Pencroff — to kiepski! Przyjść do domu i nie znaleźć schodów do własnego mieszkania, to doprawdy nie jest powód do śmiechu dla zmęczonych ludzi!

Nab wydawał z siebie okrzyki zaskoczenia.

— Przecież nie było wiatru! — zauważył Harbert.

— Zaczynam być zdania, że na Wyspie Lincolna dzieją się dziwne rzeczy! — powiedział Pencroff.

— Dziwne? — odparł Gedeon Spilet — Wcale nie, Pencroffie, całkiem naturalne. Podczas naszej nieobecności ktoś przyszedł, zajął nasz dom i ściągnął drabinkę!

— Ktoś! — zawołał marynarz. — Ale kto taki?...

— Nikt inny, tylko myśliwy z ziarnkiem śrutu — odparł reporter. — Do czego byłby potrzebny, gdyby nie wyjaśniał dzisiejszego wypadku?

— No cóż — odparł Pencroff, klnąc, gdyż zniecierpliwienie zaczęło brać nad nim górę — jeśli tam ktoś jest na górze, wywołam go i radzę mu odpowiedzieć.

I grzmiącym głosem marynarz zawołał: „Ahoj!”, a echo głośnie powtarzało okrzyk.

Koloniści wyczęli słuch i zdawało im się, że z wysokości Granitowego Pałacu dobiegł jakiś szyderczy śmiech, ale nie mogli rozpoznać, kto go wydał. Żaden głos nie odpowiedział na wołanie Pencroffa, który bezskutecznie powtarzał swoje wezwanie.

Doprawdy mogło to wprawić w zdumienie nawet najbardziej obojętnych ludzi, a koloniści bynajmniej nie byli obojętni. W ich sytuacji każde zdarzenie było znaczące, a z pewnością od siedmiu miesięcy, przez które zamieszkiwali wyspę, żadne nie było tak niespodziewane i niezwykle.

Pochłonięci dziwacznością tego zdarzenia, zapomniawszy o zmęczeniu, stali u podnóża Granitowego Pałacu, nie wiedząc, ani co myśleć, ani co począć, zadając sobie wzajemnie pytania, na które żaden nie był w stanie odpowiedzieć, i mnożąc w nieskończoność przypuszczenia, jedne bardziej nieprawdopodobne od drugich. Nab nie przestawał lamentować, zrozpaczony tym, że nie może dostać się do kuchni, tym bardziej że zapasy podrózne już się wyczerpały, a w tej chwili nie było jak zdobyć jedzenia.

— Przyjaciele — odezwał się wówczas Cyrus Smith — jedyne, co możemy zrobić, to poczekać aż się rozwidni, a potem działać stosownie do okoliczności. Chodźmy teraz do Kominów. Tam będziemy bezpieczni, a chociaż nie mamy nic do jedzenia, przynajmniej będziemy mogli się przespać.

— Ale co to zuchwalec spletał tego figła? — zapytał raz jeszcze Pencroff, który w żaden sposób nie mógł się uspokoić.

Kimkolwiek był ten „zuchwalec”, jedyne, co mogli zrobić, to pójść za radą inżyniera, udać się do Kominów i tam oczekiwać dnia. Na wszelki wypadek Topowi wydano rozkaz, żeby warował pod oknami Granitowego Pałacu, a kiedy Top otrzymywał jakiś rozkaz, spełniał go zawsze bez wahania. Dzielną pies pozostał zatem u stóp ściany, podczas gdy jego pan wraz z towarzyszami schronili się wśród skał.

Powiedzieć, że koloniści pomimo zmęczenia dobrze spali na piasku w Kominach, oznaczałoby minąć się z prawdą. Posłania były bardzo niewygodne, ale przede wszystkim niepokoił ich nowy wydarzenie. Próbowali zrozumieć, czy spowodował je jakiś ślepy przypadek, którego przyczynę odkryją z nadejściem dnia, czy też było dziełem istoty ludzkiej. W każdym razie, z tej czy innej przyczyny, ich mieszkanie było w tej chwili zajęte przez kogoś innego i nie mogli się do niego dostać.

Granitowy Pałac był dla nich więcej niż schronieniem, był ich składem, ich magazynem. W jego murach znajdował się cały dobytek kolonii: broń, instrumenty, narzędzia, amunicja, zapasy żywności i tak dalej. Gdyby to wszystko zostało zrabowane, musieliby się urządzać od nowa, od nowa robić broń i narzędzia. Sprawa była bardzo poważna. Dlatego, dręczeni niepokojem, jeden po drugim wychodzili co chwilę, aby przekonać się, czy Top pilnie czuwa. Jedyne Cyrus Smith czekał ze swoją zwykłą cierpliwością, pomimo że jego ścisły umysł irytowała świadomość, że znalazł się w obliczu zupełnie niewytłumaczalnego faktu, pomimo że wzdygał się na myśl, że tuż koło niego, a może tuż nad nim dzieje się coś, czego nie umie wytłumaczyć. Gedeon Spilett całkowicie podzielał jego odczucia i obaj od czasu do czasu rozmawiali półgłosem o tych zagadkowych wypadkach, wobec których cała ich przenikliwość i doświadczenie okazały się bezsilne. Nie ulegało wątpliwości, że wyspa skrywa jakąś tajemnicę, ale jak ją przeniknąć? Harbert gubił się w domysłach i chętnie zapytałby Cyrusa Smitha. Z kolei Nab powiedział sobie, że to go nie obchodzi, że to jest rzeczą jego pana, i gdyby się nie obawiał urazić tym swoich towarzyszy, poczciwy Murzyn przespałby tę noc tak samo spokojnie jak w swoim łóżku w Granitowym Pałacu.

Najbardziej ze wszystkich złościł się Pencroff, który po prostu nie mógł opanować wściekłości.

— To figiel — mówił — ktoś nam spletał figła! Ale ja, ja nie lubię figli i biada figlarzowi, jeśli wpadnie w moje ręce!

Gdy tylko na wschodzie zaświtał pierwszy brzask, koloniści, odpowiednio uzbrojeni, udali się na brzeg morza w pobliżu raf. Promienie wschodzącego słońca miały wkrótce oświetlić Granitowy Pałac. Rzeczywiście, przed piątą przez zasłony zieleni można było dojrzeć zamknięte okiennicami okna.

Z tej strony wszystko było w porządku, ale wkrótce z piersi kolonistów wydarł się okrzyk, gdy zobaczyli, że drzwi, które zamknęli przed udaniem się w drogę, były teraz szeroko otwarte.

Ktoś wprowadził się do Granitowego Pałacu. To już nie ulegało najmniejszej wątpliwości.

Górna drabinka, zwykle rozciągnięta od drzwi do podestu, wisiała na swoim miejscu, ale dolna została podciągnięta w górę aż do samego progu. Było oczywiste, że nieproszeni goście chcieli się zabezpieczyć przed wszelkimi niespodziankami.

Na razie nie można było rozpoznać, kim są ani ilu ich jest, gdyż żaden z nich jeszcze się nie pokazał.

Pencroff znowu zaczął nawoływać.

Żadnej odpowiedzi.

— A to draby! — zawołał marynarz. — Śpią sobie spokojnie, jakby byli u siebie! Ahoj!... Piraci, bandyci, korsarze, synowie Johna Bulla²⁵²!

Gdy Pencroff, który był Amerykaninem, nazywał kogoś „synem Johna Bulla”, oznaczało to, że wyczerpują mu się obelgi.

²⁵²*John Bull* — narodowa personifikacja Wielkiej Brytanii, powstała z literackiej postaci stereotypowego porwyczego i grubiańskiego Anglika, występującej w serii pamfletów z 1712 r. szkockiego pisarza Johna Arbuthnota. [przypis edytorski]

W tej chwili rozjaśniło się zupełnie i fasada Granitowego Pałacu rozbłysła od promieni słonecznych. Ale tak na zewnątrz, jak wewnątrz panowała zupełna cisza.

Koloniści zastanawiali się, czy Granitowy Pałac rzeczywiście jest przez kogoś zajęty, lecz położenie drabinki świadczyło o tym niezbicie. Nie ulegało też wątpliwości, że nieproszeni goście, kimkolwiek byli, nie stamtąd mogli uciec. Ale jak się do nich dostać?

Wtedy Harbert wpadł na pomysł, aby przywiązać sznurek do strzały i wystrzelić ją tak, żeby przeleciała pomiędzy pierwszymi szczeblami drabinki wiszącej u progu drzwi. Wówczas można by było za pomocą sznurka ściągnąć drabinkę na ziemię i przywrócić komunikację między dołem a górą.

Innego sposobu nie było, a przy odrobinie zręczności musiało się udać. Na szczęście łuki i strzały były złożone w jednym z korytarzy w Kominach, gdzie znajdowało się także ze dwadzieścia sążni lekkiego sznura uplecionego z ketmii. Pencroff rozwinął sznur i przywiązał jego koniec do strzały porządnie obsadzonej piórami. Harbert umieścił strzałę na cięciwie, napiął łuk i z uwagą celował w zwisający koniec drabinki.

Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Pencroff i Nab cofnęli się nieco, żeby obserwować, co będzie się działo w oknach Granitowego Pałacu. Reporter, przyłożywszy karabin do oka, mierzył prosto w drzwi.

Po chwili strzała świsnęła, pociągając za sobą sznur, i przeleciała pomiędzy dwoma ostatnimi szczeblami drabinki.

Plan powiódł się całkowicie.

Harbert natychmiast chwycił koniec sznura, lecz w chwili gdy szarpnął nim, żeby ściągnąć drabinkę, z otworu drzwi w mgnieniu oka wychyliła się jakaś ręka, chwyciła drabinkę i wciągnęła ją do środka Pałacu.

— A to łotr nad łotrami! — zawołał marynarz. — Jak masz ochotę na kulkę, to niedługo na nią poczekaś.

— Ale kto to taki? — zapytał Nab.

— Kto? Nie poznalesz?...

— Nie.

— Ależ to małpa, makak, gibbon, koczokodan, orangutan, pawian, goryl czy inna pokraka! Nasz dom zajęły małpy, które weszły tam po drabince podczas naszej nieobecności!

W tej samej chwili, jakby na potwierdzenie słów marynarza, odsunęły się okiennice i w oknach pokazały się trzy czy cztery małpy, które powitały prawowitych właścicieli domu tysiącem wykrzywień i grymasów.

— Wiedziałem, to figle! — zawołał Pencroff. — Ale zaraz tu jeden z figlarzy zapłaci za resztę!

Marynarz szybko uniósł strzelbę, wycelował i wystrzelił. Zniknęły wszystkie prócz jednej, która śmiertelnie ugodzona spadła na plażę.

Małpa była duża i niewątpliwie należała do pierwszego rzędu czwororękich²⁵³. Czy to był szympans, czy orangutan, goryl czy gibbon, w każdym razie należał w każdym razie do człękoksztalnych²⁵⁴, nazwanych tak z powodu podobieństwa do istot ludzkich. Zresztą Harbert oświadczył, że to orangutan, a jak wiadomo, chłopak znał się na zoologii.

— Wspaniałe zwierzę! — zawołał Nab.

— Niech ci będzie wspaniałe, jeżeli chcesz — odparł Pencroff — ale ja nadal nie wiem, jak się dostaniemy do domu!

— Harbert ma celne oko — powiedział reporter. — A to jego łuk. Niech spróbuje jeszcze raz.

— Dobrze, ale te małpy są sprytne! — zawołał Pencroff. — Nie pokażą się drugi raz w oknach i nie będziemy ich mogli wystrzelać. A kiedy sobie pomyślę, jakiego spustoszenia mogą narobić w pokojach i w magazynie, to...

²⁵³*czwororękie* (hist. biol.) — wyróżniany dawniej pierwszy rząd ssaków, grupujący gatunki mające cztery chwytne kończyny. Termin propagowany od pocz. XIX w. m.in. przez znanego fr. przyrodnika G. Cuviera, utworzony w celu oddzielenia gatunku ludzkiego od innych naczelnych. Czwororękie zwykle dzielono na duże małpy człękoksztalne, mniejsze od nich i posiadające ogon małpy zwierzokształtne oraz małpiatki. To ideologiczne rozróżnienie we współczesnych klasyfikacjach zostało porzucone. Obecnie człowieka, małpy i małpiatki zalicza się do jednego rzędu: naczelnych. [przypis edytorski]

²⁵⁴*człękoksztalne* (biol.) — nadrodzina naczelnych, w skład której wchodzi człowiekowate, czyli hominidy (goryle, orangutany, szympansy i ludzie), oraz gibony. [przypis edytorski]

— Cierpliwości — odparł Cyrus Smith. — Te zwierzęta nie mogą nas długo trzymać w szachu!

— Nie będę tego pewien, dopóki nie zobaczę ich na ziemi — odparł marynarz. — A zresztą czy pan wie, panie Smith, ile tuzinów tych psotników znajduje się na górze?

Trudno było na to odpowiedzieć. A jeśli chodzi o ponowną próbę Harberta, to miała niewielkie szanse, gdyż małpy wciągnęły do środka dolny koniec drabinki, a kiedy po wtórnie zaczęły ciągnąć za sznur, sznur pękł, a drabinka nie spadła na dół.

Sprawa stała się naprawdę kłopotliwa. Pencroff był zły. Cała ta sytuacja miała w sobie coś komicznego, ale wcale nie uważał jej za śmieszną. Było oczywiste, że koloniści ostatecznie odzyskają mieszkanie i wypędzą intruzów, ale kiedy i jak? Tego nie wiedzieli.

Minęły dwie godziny, a małpy już więcej się nie pokazały. Były na pewno w środku, bo trzy czy cztery razy przez drzwi lub okno wysunął się pysk lub łapa, na co koloniści odpowiadali strzałami.

— Ukryjmy się — powiedział inżynier. — Może małpy pomyślą, że odeszliśmy i porzuciły się znowu. Spilett z Harbertem niech się zaczają za skałami i strzelają do wszystkiego, co się tylko pojawi.

Zastosowano się do rady inżyniera. Podczas gdy reporter z Harbertem, dwaj najlepsi strzelcy kolonii, zajęli pozycje na odległość strzału, ukryci przed okiem małp, Nab, Pencroff i Cyrus Smith weszli na płaskowyż, po czym udali się do lasu, żeby upolować jakąś zwierzynę, gdyż nadszedł czas posiłku, a jedzenia już nie było.

Pół godziny później myśliwi powrócili, niosąc kilka gołębi skalnych, które naprędce upieczono. Przez ten czas nie pokazała się ani jedna małpa.

Gedeon Spilett i Herbert udali się na posiłek, zostawiając Topa na czatach pod oknami. Zjedli, po czym wrócili na swoje stanowiska.

Upłynęły tak dwie godziny, a sytuacja się nie zmieniła. Małpy nie dawały znaku życia i można było sądzić, że zniknęły, ale znacznie bardziej prawdopodobne było to, że przestraszone śmiercią jednej ze swych towarzyszek i spłoszone hukami strzałów siedziały cicho w pokojach, a może i w magazynie. Kiedy kolonistom przyszły na myśl skarby zgromadzone w magazynie, cierpliwość, tak gorąco zalecana przez inżyniera, zmieniła się w gwałtowne rozdrażnienie i szczerze mówiąc, mieli do tego powód.

— To doprawdy głupia sprawa — powiedział wreszcie reporter. — W dodatku nie wiadomo, kiedy by się miało skończyć.

— Trzeba jakoś stamtąd wykurzyć tych nicponiów! — zawołał Pencroff. — Damy sobie z nimi radę, choćby ich było dwudziestu, ale do tego trzeba się zmierzyć z nimi oko w oko! Tam do kata! Czy nie ma żadnego sposobu, żeby się do nich dostać?

— Jest jeden — odparł nagle inżynier, któremu nagle zaświtała w głowie pewna myśl.

— Jeden? — zapytał Pencroff. — Zatem dobry, skoro nie ma innych! A co to za sposób?

— Spróbujmy dostać się do Granitowego Pałacu przez dawny kanał odpływowy jeziora — odparł inżynier.

— Do krośset tysięcy diabłów! — zawołał marynarz. — Że też mnie to nie przyszło do głowy!

Była to rzeczywiście jedyna możliwość dostania się do Granitowego Pałacu, żeby podjąć walkę z gromadą małp i wypędzić ją stamtąd. Co prawda wlot kanału odpływowego był zamurowany ścianą ze cementowanych kamieni, którą trzeba będzie poświęcić, ale można to później naprawić. Na szczęście Cyrus Smith nie wykonał jeszcze swojego projektu zatopienia otworu pod wodami jeziora, gdyż wtedy przedostanie się tamtędy wymagałoby więcej czasu.

Minęło już było południe, gdy koloniści, dobrze uzbrojeni i zaopatrzeni w kilofy i motyki, opuścili Kominy i przeszli pod okna Granitowego Pałacu. Rozkazali Topowi pozostać na straży i wyruszyli dalej, żeby lewym brzegiem Rzeki Dziękczynienia dostać się na Płaskowyż Pięknego Widoku.

Lecz nie uszli jeszcze pięćdziesięciu kroków w tym kierunku, gdy nagle usłyszeli wściekle ujadanie psa. Był to jakby rozpaczliwy alarm.

Stanęli.

— Biegnijmy! — zawołał Pencroff.

I wszyscy popędzili co tchu z góry na dół w stronę wybrzeża.

Gdy dobiegli do zakrętu, przekonali się, że sytuacja zupełnie się zmieniła.

Małpy, z nieznaną przyczyną ogarnięte nagłym strachem, usiłowały ocalić się ucieczką. Dwie czy trzy biegały i skakały z okna do okna ze zwinnością klaunów cyrkowych. Nie próbowały nawet spuścić drabinki, po której łatwiej by im było zleźć na dół, a może w popłochu zapomniały o tym sposobie ucieczki. Wkrótce pięć czy sześć małp wystawiło się na strzały, toteż koloniści wzięli je spokojnie na cel i dali ognia. Jedne z nich, ranione lub zabite, powpadały z powrotem do środka, wydając przeraźliwe krzyki. Pozostałe powyskakiwały na zewnątrz i spadły na dół, połamały karki. W kilka minut później można było przypuszczać, że w Granitowym Pałacu nie było ani jednej żywej małpy.

— Hurra! — zawołał Pencroff — Hurra! Hurra!

— Trochę za wcześnie na te „hurra” — powiedział Gedeon Spilett.

— Dlaczego? Przecież wybite wszystkie co do nogi — odparł marynarz.

— Owszem, ale wskutek tego nie dostaniemy się jeszcze do domu.

— Więc chodźmy przez kanał odpływowy! — odparł Pencroff.

— Tak, chodźmy — powiedział inżynier — ale byłoby lepiej...

W tej chwili, jak gdyby w odpowiedzi na uwagę Cyrusa Smitha, drabinka ześliznęła się z progu, rozwinęła się i spadła do samej ziemi.

— Do krośset fajek! A to dobre! — zawołał marynarz, patrząc na Cyrusa Smitha.

— Aż nadto dobre! — mruknął inżynier i wskoczył pierwszy na drabinkę.

— Niech pan uważa, panie Cyrusie! — zawołał Pencroff. — Jeśli tam jest jeszcze któryś z tych nicponi...

— Zaraz zobaczymy — odparł inżynier, nie zatrzymując się.

Towarzysze pospieszyli za nim i w minutę później stanęli wszyscy na progu.

Szukali wszędzie. Nie było nikogo ani w pokojach, ani w magazynie, z którym małpy obeszły się całkiem przyzwyczajenie.

— Tam do kata! A drabinka? — zawołał marynarz. — Gdzież jest ten dżentelmen, który nam ją spuścił?

W tym momencie rozległ się krzyk i duża małpa, która ukrywała się w korytarzu, wpadła do sali, ścigana przez Naba.

— Ach, mamy zbója! — zawołał Pencroff.

I zamierzył się siekierą, by roztrzaskać łeb zwierzęciu, lecz Cyrus Smith chwycił go za rękę, mówiąc:

— Daruj jej życie, Pencroffie.

— Co, ulaskawić tego łotra?

— Tak! To on nam rzucił drabinkę!

Inżynier powiedział to tak dziwnym tonem, że trudno było się zorientować, czy to mówił poważnie, czy żartował.

Wszyscy rzucili się na małpę, która choć broniła się dzielnie, została powalona na ziemię i związana.

— Uff!... — zawołał Pencroff. — I co z nią teraz zrobimy?

— Przyjmiemy ją na służbę! — odparł Harbert.

Mówiąc to, chłopiec wcale nie żartował, wiedział bowiem, jaką korzyść można odnieść z tego inteligentnego czworonogiego stworzenia.

Wówczas koloniści zbliżyli się do małpy i zaczęli się jej uważnie przypatrywać. Należała ona do tych człekokształtnych, u których kąt twarzy jest niewiele mniejszy niż u Australijczyków²⁵⁵ lub Hotentotów²⁵⁶. Był to orangutan, więc nie był ani tak dziki jak babuin²⁵⁷, ani głupi jak makak²⁵⁸, ani niechlujny jak tamaryna²⁵⁹, ani niecierpliwy

²⁵⁵Australijczycy — tu: Aborygeni, rdzenni mieszkańcy Australii. [przypis edytorski]

²⁵⁶Hotentoci — lud zamieszkujący pld.-zach. Afrykę, spokrewniony z Buszmenami. [przypis edytorski]

²⁵⁷babuin (biol.) — pawian zielony, gatunek małpy z rodzaju pawianów, zamieszkujący tereny środkowej i południowej Afryki. [przypis edytorski]

²⁵⁸makaki (biol.) — rodzaj niedużych małp o wydłużonym pysku i zredukowanym ogonie, występujących od Afryki Płn. po Japonię. [przypis edytorski]

²⁵⁹tamaryny (biol.) — rodzaj niewielkich małp szerokonosych z rodziny pazurkowcowatych, zamieszkujących lasy tropikalne płn. części Ameryki Płd. [przypis edytorski]

jak magot²⁶⁰, ani nie miał także zdradzieckich instynktów jak pawian²⁶¹. Małpy człekokształtne posiadają liczne cechy świadczące o prawie ludzkiej inteligencji. Używane do pomocy w domu potrafią podawać do stołu, zmiatać pokoje, czyścić ubrania, szcztokować buty, obchodzić się zręcznie z nożem, łyżką i widelcem, a nawet pić wino... równie dobrze jak najlepszy sługa o dwóch nogach i bez piór²⁶². Buffon²⁶³, jak wiemy, miał taką małpę, która długie lata służyła mu wiernie i gorliwie.

Małpa, która leżała skrupowana w sali Granitowego Pałacu, był to duży samiec, mający sześć stóp wysokości, proporcjonalnej budowy, o szerokiej klatce piersiowej, średniej wielkości głowie, w której kąt twarzy wynosił mniej więcej sześćdziesiąt pięć stopni, o czaszce zaokrąglonej, wystającym nosie, skórze pokrytej gładkim, miękkim, lśniącym włosem — słowem był to doskonały okaz człekokształtnych. Oczy, nieco mniejsze od ludzkich, błyszczą żywą inteligencją. Wargi odsłaniały lśniące, białe zęby, prócz tego miał małpę, kędzierzawą bródkę orzechowego koloru.

— Przystojny z niego chłop! — powiedział Pencroff. — Gdybyśmy znali jego język, moglibyśmy z nim porozmawiać!

— Więc to nie jest żart? — zapytał Nab inżyniera. — Naprawdę przyjmimy go na służbę?

— Tak jest, Nabie — odparł inżynier z uśmiechem. — Tylko nie bądź zazdrosny!

— I spodziewam się, że będzie doskonałym sługą — dodał Harbert. — Wydaje się jeszcze młody, jego edukacja pójdzie łatwo i nie będziemy musieli zmuszać go siłą do posłuszeństwa ani wyrwać mu klów, jak to bywa w podobnych przypadkach. Na pewno przywiąże się do dobrych i łaskawych panów.

— Będzie miał dobrych panów — odparł Pencroff, który zapomniał już o swej urazie do „figlarzy”.

Po czym podszedł do orangutana i zapytał:

— Jak się masz, mój chłopcze?

Orangutan odpowiedział lekkim mručeniem, w którym nie czuło się gniewu.

— Chcemy należeć do kolonii? — zapytał marynarz. — Wstąpimy na służbę do pana Cyrusa Smitha?

Po raz drugi odezwało się potakujące mručenje.

— I zadowolimy się wyżywieniem za całą zapłatę?

Trzecie potakujące mručenje.

— Rozmowa z nim jest trochę monotonna — zauważył Gedeon Spilett.

— To dobrze! — odparł Pencroff. — Najlepsi są tacy służący, którzy najmniej gadają. A poza tym bez pensji! Słyszysz, mój chłopcze? Na początek nie damy ci pensji, ale jeśli będziemy z ciebie zadowoleni, to ją podwoimy!

W ten sposób kolonia zyskała nowego członka, który później miał jej oddać niejedną przysługę. Co do imienia, to Pencroff poprosił, aby go nazwano na pamiątkę innej małpy, którą znał dawniej, Jupiterem²⁶⁴, w skróceniu Jupem.

Tak oto, bez dalszych ceregieli, pan Jup zamieszkał w Granitowym Pałacu.

ROZDZIAŁ VII

²⁶⁰magot (biol.) — makak berberyjski, gatunek małp wąskonosych z rodziny koczokodanowatych, żyjących w Maroku i Algierii w Afryce Płn., a także na Gibraltarze. [przypis edytorski]

²⁶¹pawiany (biol.) — rodzaj małp z rodziny koczokodanowatych o wydłużonym pysku, krótkim ogonie i nagich pośladkach; zamieszkują otwarte tereny leśne i trawiaste Afryki na pld. od Sahary. [przypis edytorski]

²⁶²o dwóch nogach i bez piór — człowiek; żartobliwe odniesienie do definicji podanej przez staroż. filozofa Platona: człowiek jest to istota żywa dwunożna, nieopierzona. Diogenes z Synopy miał wykpić tę definicję, przynosząc na wykład w szkole Platona oskubanego koguta, wskutek czego do definicji dodano: „o płaskich paznokciach”. [przypis edytorski]

²⁶³Buffon, Georges Louis Leclerc de (1707–1788) — przyrodnik i matematyk francuski, autor liczącego 36 tomów dzieła *Histoire naturelle, générale et particulière* (Historia naturalna, ogólna i szczegółowa, 1749–1789), członek Akademii Francuskiej i Towarzystwa Królewskiego w Londynie; wywarł wielki wpływ na rozwój przyrodznawstwa w XVIII w. [przypis edytorski]

²⁶⁴Jupiter (mit. rzym.) — bóg nieba i burzy, władający piorunami, najważniejszy z rzymskich bogów, odpowiednik gr. Zeusa. [przypis edytorski]

Nowe projekty. — Most na Rzece Dziękczynienia. — Przemiana Płaskowyżu Pięknego Wiodoku w wyspę. — Most zwodzony. — Żniwo. — Potok. — Mostki. — Podwórko. — Gołębnik. — Dwa onagry. — Zaprzęg. — Wycieczka do Przystani Balonowej.

Koloniści Wyspy Lincoln odzyskali swoje mieszkanie, chociaż nie musieli przedstawiać się do niego przez dawny kanał odpływowy jeziora, co im zaoszczędziło pracy mularskiej. Mieli doprawdy szczęście, że właśnie w chwili, gdy się do tego zabierali, gromada małp, zdjętych jakimś równie nagłym, jak niewytłumaczalnym strachem, sama rozpoczęła odwrót z Granitowego Pałacu. Czy zwierzęta przeczuły, że zostaną zaatakowane z innej strony? Chyba tylko w ten sposób można było wytłumaczyć ich nagłą ucieczkę.

Resztę dnia zużyto na przeniesienie ciał zabitych małp do lasu i pogrzebanie ich. Następnie koloniści zabrali się za sprzątanie bałaganu narobionego przez małpy — bałaganu, a nie spustoszenia, gdyż małpy co prawda poprzewracały wszystko, co było w pokojach, ale niczego nie połamały ani nie popsuły. Nab rozpalił ogień pod kuchnią, a spiżarnia dostarczyła sutego posiłku, który wszyscy zjedli z apetytem.

Nie zapomniano także o Jupie i uruczono go hojnie orzeszkami pinii i korzonkami, które zjadł z wielkim apetytem. Pencroff rozwiązał mu ręce, ale uznał za stosowne pozostawić jeszcze pęta na nogach do czasu, gdy będzie można liczyć na to, że się pogodził ze swym losem.

Następnie Cyrus Smith z towarzyszami, zanim udali się na spoczynek, zasiedli dokoła stołu i omawiali najpilniejsze projekty.

Najważniejszym i najpilniejszym zadaniem było postawienie mostu na Rzece Dziękczynienia w celu połączenia południowej części wyspy z Granitowym Pałacem, a następnie należało zbudować zagrodę dla muflonów i innych zwierząt o wełnistej sierści, które zamierzali schwycić.

Oba te przedsięwzięcia, jak widzimy, zmierzały do rozwiązania najistotniejszego w tym czasie problemu odzieży. Most miał ułatwić transport powłoki balonowej przeznaczonej na bieliznę, zaś zagroda miała dostarczyć wełny na sporządzenie zimowych ubrań.

Zagrodę Cyrus Smith zamierzał założyć tuż przy źródłach Czerwonego Potoku, gdzie zwierzęta mogły znaleźć świeżą i bujną paszę. Droga pomiędzy płaskowyżem a źródłami potoku była już częściowo utorowana, a lepszy od dotychczasowego wózek zapewniłby łatwiejszy transport, zwłaszcza gdyby udało się schwycić jakieś zwierzę pociągowe.

O ile nic nie stało na przeszkodzie, żeby zagroda znajdowała się z dala od Granitowego Pałacu, to inaczej wyglądała sprawa ptaszarni, o którą dopominał się Nab. Istotnie, ptactwo domowe powinno znajdować się pod ręką kuchmistrza, a żadne miejsce nie wydawało się odpowiedniejsze na założenie ptaszarni od brzegu jeziora w pobliżu dawnego kanału odpływowego. Tu ptaki wodne powinny czuć się tak samo dobrze, jak wszelkie inne. Próby oswojania dzikiego ptactwa koloniści zamierzali zacząć od parki kusaczy schwytanych podczas ostatniej wyprawy.

Nazajutrz, 3 listopada, nowe prace rozpoczęto od budowy mostu. Do tego ważnego zadania potrzebne były wszystkie ręce. Koloniści wzięli na plecy piły, siekiery, dłuta oraz młoty i jako cieśle zeszli na piaszczyste wybrzeże.

Wówczas Pencroff zrobił uwagę:

— A co, jeśli podczas naszej nieobecności przyjdzie panu Jupowi do głowy, żeby wciągnąć do góry drabinkę, którą wczoraj tak uprzejmie nam spuścił?

— Przymocujmy ją za dolny koniec — odparł Cyrus Smith.

Zrobiono to za pomocą dwóch kołków mocno wbitych w piasek. Potem koloniści ruszyli lewym brzegiem Rzeki Dziękczynienia i wkrótce dotarli do jej zakrętu.

Tu zatrzymali się, żeby sprawdzić, czy będzie to dobre miejsce na przerzucenie mostu. Okazało się odpowiednie.

Rzeczywiście, odległość od tego punktu do Przystani Balonowej, odkrytej dzień wcześniej na południowym wybrzeżu, wynosiła tylko trzy i pół mili. Od mostu do przystani łatwo będzie utorować przejezdną drogę, co ułatwi komunikację między Granitowym Pałacem a południową częścią wyspy.

Zanim zaczęli pracę, Cyrus Smith podzielił się ze swoimi towarzyszami pewnym planem, zarówno łatwym do wykonania, jak i korzystnym, nad którym zastanawiał się od dłuższego czasu. Plan ten polegał na tym, żeby całkowicie odizolować Płaskowyż Pięknego

nego Widoku od reszty wyspy i dzięki temu uchronić go przed wszelką napaścią czworonożnych czy czwororękich stworzeń. W ten sposób Granitowy Pałac, Kominy, ptaszarnia i cała górna część płaskowyżu, przeznaczona na zasiewy, byłyby zabezpieczone przed spustoszeniem przez zwierzęta.

Projekt był bardzo łatwy do wykonania, a oto w jaki sposób inżynier zamierzał działać.

Płaskowyż był już z trzech stron broniony wodą, bądź płynącą w sposób naturalny, bądź też doprowadzoną sztucznie.

Od strony północno-zachodniej — przez brzegi Jeziora Granta, od zakrętu przy dawnym kanale odpływowym aż do wyrwy zrobionej na wschodnim brzegu dla nowego odpływu wód.

Od strony północnej, to znaczy od tej wyrwy aż do morza — przez nowy potok, który utorował sobie drogę przez płaskowyż i wybrzeże, powyżej i poniżej wodospadu; wystarczyło pogłębić koryto potoku, żeby zwierzęta nie mogły go przejść.

Od wschodu — przez morze, od ujścia nowego potoku aż do ujścia Rzeki Dziękczynienia.

Wreszcie od południa, od ujścia aż do zakrętu — przez samą Rzekę Dziękczynienia, na której miał być zbudowany most.

Pozostawała więc tylko zachodnia część płaskowyżu, między zakrętem rzeki a południowym krańcem jeziora, która na przestrzeni niecałej mili stała otworem dla wszelkich przybyszy. Nic jednak łatwiejszego niż wykopać szeroką i głęboką fosę, po czym napełnić ją wodą z jeziora, której nadmiar drugim wodospadem spływałby do Rzeki Dziękczynienia. Poziom jeziora niewątpliwie nieco by się obniżył wskutek tego nowego przelewu, ale Cyrus Smith przekonał się, że Czerwony Potok dostarczał wystarczająco dużo wody, by można było wykonać ten projekt.

— W ten sposób — dodał inżynier — Płaskowyż Pięknego Widoku stanie się prawdziwą wyspą, ze wszystkich stron otoczoną wodą, a z resztą naszych posiadłości łączyć ją będzie tylko most, który wybudujemy na Rzece Dziękczynienia, dwa mostki przerzucone tuż powyżej i poniżej wodospadu i wreszcie dwa inne mostki, które trzeba jeszcze będzie postawić: jeden przez fosę, którą proponuję wykopać, a drugi na lewym brzegu Rzeki Dziękczynienia. Otóż jeśli te mosty i mostki będzie można podnosić w razie potrzeby, wówczas Płaskowyż Pięknego Widoku będzie zabezpieczony przed wszelką napaścią.

Cyrus Smith, chcąc to lepiej wytłumaczyć swoim towarzyszom, naszkicował mapę Płaskowyżu Pięknego Widoku, a wtedy wszyscy od razu zrozumieli jego pomysł i przyjęli go jednomyślnie. Pencroff, potrząsając siekierą ciesielską, zawołał:

— Więc najpierw bierzmy się do mostu!

Była to najpilniejsza praca. Wybierano przydatne do tego drzewa, ścinano, ogołacano z gałęzi, po czym cięto na belki, krawędziaki²⁶⁵ i deski. Most miał stać na stałe na prawym brzegu Rzeki Dziękczynienia, podczas gdy jego część od strony lewego brzegu miała być ruchoma, tak aby można ją było podnosić za pomocą przeciwwagi, jak niektóre mosty przy śluzach.

Łatwo zrozumieć, że była to praca niemała i nawet najrzęczniejszemu prowadzoną wymagała sporo czasu, gdyż szerokość rzeki wynosiła w tym miejscu około osiemdziesięciu stóp. Trzeba było wbić pale w koryto rzeki, żeby utrzymały pomost, a w tym celu należało zrobić kafar do wbijania tych pali. Miały one tworzyć dwie arkady²⁶⁶, żeby most wytrzymał duże ciężary.

Na szczęście nie brakowało ani narzędzi do obrabiania drzewa, ani żelaznych części do spajania. Nie brakowało też pomysowości człowieka, który świetnie się znał na tego rodzaju pracach, ani jemu nie brakowało gorliwych pomocników, którzy przez te siedem miesięcy nabyli niepospolitej wprawy. Trzeba przyznać, że Gedeon Spilett nie był bynajmniej najbardziej niezgrabny i w zręczności współzawodniczył z samym marynarzem, który „nie spodziewał się nigdy tyle po zwykłym dziennikarzu”.

²⁶⁵*krawędziak* — drewniany element budowlany, rodzaj tarcicy o przekroju zbliżonym do kwadratu i grubości mniejszej niż belka. [przypis edytorski]

²⁶⁶*arkada* — element architektoniczny składający się z dwóch podpór (filarów, kolumn) połączonych od góry łukiem. [przypis edytorski]

Budowa mostu na Rzece Dziękczynienia trwała trzy tygodnie, które upłynęły wśród wyętej pracy. Obiad jedli zawsze na miejscu, a ponieważ pogoda była wspaniała, do Granitowego Pałacu powracali dopiero na kolację.

Przez ten czas Jup przyzwyczajał się coraz bardziej do nowego miejsca i spoufalal się ze swymi panami, na których spoglądał zawsze z wielkim zaciekawieniem. Przez ostrożność Pencroff nie pozostawiał mu jeszcze całkowitej swobody, słusznie odkładając to do czasu, gdy granice płaskowyżu wskutek planowanych prac staną się nie do przebycia. Top i Jup żyli ze sobą w najlepszej zgodzie i chętnie bawili się razem, ale Jup postępował zawsze bardzo poważnie.

20 listopada ukończono budowę mostu. Jego ruchoma część, równoważona przeciwwagą, poruszała się z łatwością i wystarczył niewielki wysiłek, żeby ją podnieść. Odległość pomiędzy osią, wokół której obracała się ruchoma część, a poprzeczką, na której się opierała, gdy opuszczano most, wynosiła dwadzieścia stóp, co wystarczało, by zwierzętom uniemożliwić przejście na drugi bok rzeki.

Pozostała teraz do rozważenia kwestia sprowadzenia powłoki balonu, gdyż koloniści chcieli ją jak najszybciej schować w bezpiecznym miejscu. Ale żeby ją przetransportować, trzeba było dociągnąć wózek do samej Przystani Balonowej, a zatem należało najpierw utworzyć drogę przez gęstwiny Lasu Dalekiego Zachodu. To wymagało dłuższego czasu. Dlatego Pencroff z Nabem poszli na zwiady do przystani, a gdy się przekonali, że złożony w jaskini „skład płótna” wcale nie ucierpiał, koloniści postanowili nie przerywać dalszych robót nad oddzieleniem Płaskowyżu Pięknego Widoku od reszty wyspy.

— To nam pozwoli urządzić ptaszarnię w lepszych warunkach — zauważył Pencroff. — Nie będziemy się obawiali ani odwiedzin lisów, ani napadów innych drapieżników.

— Nie mówiąc już o tym — dodał Nab — że będziemy mogli wykarczować płaskowyż i przesadzić tam rozmaite dziko rosnące rośliny...

— I przygotować drugie pole pod zasiew! — zawołał tryumfalnie marynarz.

Rzeczywiście, pierwsze pole, zasiane jednym ziarnem, wydało dzięki staraniom Pencroffa wspaniały plon. Ziarenko zrodziło bowiem zapowiedziane przez inżyniera dziesięć kłosów, a ponieważ każdy kłos zawierał osiemdziesiąt ziaren, kolonia znalazła się w posiadaniu ośmiuset ziaren, i to po sześciu miesiącach, a w ciągu roku można się było spodziewać dwukrotnie większych plonów. Z tych ośmiuset ziaren pięćdziesiąt koloniści postanowili przezornie zachować na wszelki wypadek, a resztę mieli teraz zasiać na nowym polu, z nie mniejszą troskliwością niż tamto jedyne ziarenko.

Przygotowano zatem pole pod zasiew i otoczono je dokoła wysokim, szpiczastym częstokołem, prawie nie do przebycia przez czworonożne zwierzęta. Do odstraszenia ptactwa miały służyć skrzypiące wiatraczki i różne straszdyła, wymyślone przez pełnego pomysłów Pencroffa. Po tych przygotowaniach siedemset pięćdziesiąt ziaren złożono w równych brzdach, a reszty miała dokonać natura.

21 listopada Cyrus Smith zaczął wytyczać fosę mającą zamykać płaskowyż od zachodu, od południowego krańca Jeziora Granta aż do zakrętu Rzeki Dziękczynienia. Było tu z wierzchu dwie do trzech stóp urodzajnej gleby, a pod spodem granit. Trzeba więc było znowu przyrządzić nitroglicerynę, która przyniosła swój zwykły skutek. W ciągu piętnastu dni wydrążono w twardej skale płaskowyżu fosę szeroką na dwanaście stóp i głęboką na sześć. W ten sam sposób co poprzednio utworzono jeszcze jeden wyłom w skalistym brzegu jeziora, przez który woda przelała się do nowego łożyska i utworzyła strumyk nazwany Glicerynowym Potokiem. Potok ten stał się dopływem Rzeki Dziękczynienia. Tak jak przewidział inżynier, poziom jeziora obniżył się, ale bardzo nieznacznie. Wreszcie, aby całkiem zamknąć płaskowyż, koryto potoku na plaży znacznie poszerzono, a dla powstrzymania piasku po obu stronach postawiono częstokół.

W pierwszej połowie grudnia wszystkie te prace były ostatecznie zakończone, a Płaskowyż Pięknego Widoku, czyli nieregularny pięciokąt o obwodzie blisko czterech mil, został opasany dokoła wodą i w ten sposób zabezpieczony od wszelkich nieproszonych gości.

Przez cały grudzień panowały nieznośne upały. Ponieważ jednak koloniści nie chcieli przerywać pracy nad wykonaniem swoich planów, a najpilniejsze było teraz założenie ptaszarni, przystąpiono więc do tego nowego przedsięwzięcia.

Nie trzeba dodawać, że z chwilą gdy płaskowyż został otoczony wodą, pan Jup odzyskał swobodę. Odtąd nie opuszczał na krok swych panów i nie zdradzał żadnej skłonności do ucieczki. Było to zwierzę łagodne, a przy tym niepospolitej siły i zdumiewającej zręczności. W łażeniu po drabince Granitowego Pałacu nikt się nie zdołał z nim mierzyć. Zatrudniano go już przy niektórych pracach: ciągnął ładunki z drzewem i nosił kamienie, które wydobywano z koryta Glicerynowego Potoku.

— Nie jest to jeszcze murarz, ale już niezła małpa! — żartował Harbert, który używając słowa „małpa” miał na myśli przewisko, jakim murarze zwykli obdarzać swych przyuczających się do zawodu pomocników. I jeśli kiedykolwiek to przewisko było trafne, to właśnie wówczas.

Ptaszarnia zajmowała teren o powierzchni dwustu jardów kwadratowych wybrany przy południowo-wschodnim brzegu jeziora. Otoczono ją palisadą i zbudowano rozmaite schronienia dla ptaków, które miały tam zamieszkać. Były to chatki z chrustu, poprzdzielane odpowiednimi przegródkami, które wkrótce czekały tylko na przyjęcie gości.

Pierwsza trafiła tam para kusaczy, która niedługo potem doczekała się liczego potomstwa. Towarzystwa dotrzymywało jej pół tuzina kaczek zamieszkujących wcześniej brzegi jeziora. Niektóre z nich należały do gatunku kaczek chińskich, które rozkładają skrzydła na kształt wachlarza, a połyskiem i żywą barwą piór mogą rywalizować ze złocistymi bażantami. W kilka dni później Harbert schwycił parę kuraków o zaokrąglonym ogonie z długich piór. Były to wspaniałe czubacze²⁶⁷, które niebawem całkiem się oswoiły. Pelikany, zimorodki i kurki wodne same przybywały do ptaszarni i całe to towarzystwo po paru kłótniach, gruchaniu, pianiu i gdakaniu pogodziło się wreszcie. Ptaki zaczęły rozmnażać się w tempie rokującym kolonii najpiękniejsze widoki na pieczyste.

Cyrus Smith, chcąc dopełnić swego dzieła, zbudował w rogu ptaszarni gołębnik. Umieszczono w nim tuzin gołębi gnieźdzących się dotąd na wierzchołkach skał Płaskowyżu Pięknego Widoku. Ptaki wkrótce przyzwyczyły się powracać na noc do nowego mieszkania i wykazywały większe skłonności do oswojenia się niż ich współplemieńcy, grzywacze, które zresztą rozmnażają się tylko w stanie dzikim.

Wreszcie nadszedł czas na to, aby spożytkować powłokę balonu i uszyć z niej bieliznę. Przechowywanie jej bowiem w dotychczasowej postaci po to, żeby ryzykować wyprawę przez niezmierzone pustkowia morskie w balonie napełnionym ogrzanym powietrzem, byłoby do przyjęcia chyba tylko dla ludzi pozbawionych wszystkiego. Cyrus Smith był człowiekiem zbyt rozsądnym, by o tym myśleć.

Chodziło więc o przetransportowanie powłoki balonu do Granitowego Pałacu, a koloniści zajęli się tym, by swój ciężki, niezgrabny wózek przerobić na zwrotniejszy i lżejszy. Chociaż nie brakowało pojazdu, trzeba było jeszcze znaleźć siłę pociągową! Czy na wyspie nie było jakichś rodzimych przeżuwaczy, które mogłyby zastąpić konia, osła, wołu czy krowę? Oto było pytanie.

— Doprawdy — powiedział Pencroff — przydałoby nam się jakieś zwierzę pociągowe, zanim pan Cyrus zechce nam zbudować wózek parowy albo i lokomotywę, bo z pewnością będziemy mieli kiedyś kolej żelazną z Granitowego Pałacu do Przystani Balonowej, z linią boczną prowadzącą do Góry Franklina!

Pocciwy marynarz wierzył święcie w to, co mówił. Oto co może wyobraźnia, gdy przyłączy się do niej wiara!

Ale nie przesadzajmy. Pencroffa zadowoliliby jakiegokolwiek zwierzę do zaprzęgu, a ponieważ widocznie Opatrzność miała do niego pewną słabość, więc nie dała mu długo czekać.

Pewnego dnia, było to 23 grudnia, usłyszano nagle jednoczesne krzyki Naba i szczenie Topa. Koloniści zajęci pracą w Kominach przybiegli co tchu, obawiając się jakiegoś nieszczęścia.

I cóż ujrzeli? Parę pięknych, dużych zwierząt, które nierozważnie zapędziły się aż na płaskowyż, przeszedłszy po opuszczonym mostku. Wyglądały prawie jak konie, a raczej jak osły, samiec i samica, o smukłych kształtach, izabelowatej²⁶⁸ maści, o białych nogach

²⁶⁷czubacze (biol.) — rodzina ptaków z rzędu grzebiących, zamieszkujących Amerykę Południową i Środkową. Tu: jeden z gatunków czubaczy, *Crax alector*, duży ptak żyjący w poszyciu lasów i w zaroślach nadrzecznych w płn. części Ameryki Płd. [przypis edytorski]

²⁶⁸izabelowaty — o maści konia (barwie jego sierści): jasnożółtawy, płowy. [przypis edytorski]

i ogonach, z czarnymi pręgami na łbach, szyjach i tułowiach. Sły spokojnie, nie zdradzając najmniejszego niepokoju, i bystrymi oczami spoglądały na ludzi, w których nie domyślały się jeszcze swoich przyszłych panów.

— To onagry²⁶⁹! — zawołał Harbert. — Czworonogi stanowiące coś pośredniego pomiędzy zebłą a kwaggą²⁷⁰!

— Dlaczego nie nazywać ich osłami? — zapytał Nab.

— Ponieważ nie mają długich uszu, a ich kształty są zgrabniejsze.

— Osły czy konie, mniejsza z tym — odparł Pencroff. — W każdym razie jest to siła pociągowa, jakby powiedział pan Smith, a zatem należy je schwytać!

Marynarz, nie płosząc zwierząt, przekradł się w trawie aż do mostka na Glicerynowym Potoku, podniósł go i odciął onagrom możliwość ucieczki.

Czy teraz powinni je pojmać przemocą i oswajac siłą? Bynajmniej. Postanowiono, że pozwoli im się przez kilka dni przechadzać się swobodnie po płaskowyżu porośniętym bujną trawą. Tymczasem inżynier zaczął obok ptaszarni budować stajnię, żeby onagry miały dobrą podściółkę i schronienie na noc.

Tak więc ta para wspaniałych zwierząt miała zupełną swobodę, a koloniści nie zbliżali się do nich, by ich nie płoszyć. Kilkakrotnie jednak wydawało się, że onagry, przyzwyczajone do rozległych przestrzeni i głębokich lasów, odczuwają potrzebę opuszczenia płaskowyżu, który był dla nich zbyt ciasny. W takich chwilach biegały wzdłuż wody, stanowiącej dla nich zaporę nie do przebycia, ryczały przeraźliwie, potem pędziły cwałem przez trawę, a gdy się znów uspokoiły, stały nieruchomo całymi godzinami, wpatrując się w gęste lasy, dokąd nie mogły już powrócić.

Tymczasem sporządzano uprzęż i lejce z włókien roślinnych i w kilka dni po pojmaniu onagrów nie tylko wózek z uprzężą był gotowy do użytku, ale także poprowadzono, a raczej przerąbano drogę przez Las Dalekiego Zachodu, od zakrętu Rzeki Dziękczynienia do samej Przystani Balonowej. Można więc było przejechać tamtędy wózkiem i pod koniec grudnia koloniści podjęli pierwszą próbę zaprzęgnięcia onagrów.

Pencroff już obłąkawił zwierzęta do tego stopnia, że jadły mu z ręki i pozwalały zbliżać się do siebie, mimo to gdy je zaprzężono po raz pierwszy, stanęły dęba i zaledwie je można było utrzymać. Wkrótce jednak dały się nagiąć do nowej służby. Onagry bowiem są mniej narowiste niż zebry, często używa się ich w zaprzęgach w górzystych częściach południowej Afryki i zdołano je nawet zaaklimatyzować w stosunkowo zimnych strefach Europy.

Tego dnia wszyscy z wyjątkiem Pencroffa, który prowadził swoje zwierzęta za uzdę, wsiedli na wózek i ruszyli w drogę do Przystani Balonowej. Rzecz jasna, wózek na wyboistej, ledwie utorowanej drodze trząsł niemilosiernie, dotarł jednak bez przeszkód do celu. Jeszcze tego samego dnia załadowali na niego powłokę i pozostałe części balonu.

O ósmej wieczorem wózek przejechał przez most na Rzece Dziękczynienia, potoczył się wzdłuż lewego brzegu rzeki i zatrzymał się na wybrzeżu. Wyprężono onagry i odprowadzono je do stajni. Pencroff, kładąc się spać, westchnął z satysfakcją, a westchnienie powtórzyły wszystkie echa Granitowego Pałacu.

ROZDZIAŁ VIII

Bielizna. — Obuwie z foczej skóry. — Wyrób piroksyliny. — Rozmaite nasiona. — Rybołówstwo. — Jaja żółwie. — Postępy Jupa. — Zagroda. — Polowanie na muflony. — Nowe bogactwa roślinne i zwierzęce. — Wspomnienia z dalekiej ojczyzny.

²⁶⁹ *onager*, osioł azjatycki, *Equus hemionus* (biol.) — dziki ssak z grupy osłów, zamieszkujący pustynie Mongolii, Iranu, Pakistanu i Indii. [przypis edytorski]

²⁷⁰ *kwagga*, *Equus quagga quagga* (biol.) — podgatunek zebry stepowej, żyjący w Afryce Płd. do XIX w.; od innych zebra kwagga odróżniała się występowaniem wzoru brązowych i białych pasów wyłącznie na przedniej części ciała. Powieść powstała w latach 1874–1875, w 1878 wymarły ostatnie kwaggy żyjące w stanie dzikim, zaś w 1883 ostatni osobnik żyjący w niewoli. *Onagry (...)* stanowiące coś pośredniego zebłą a kwaggą — onagry to dzikie osły i razem z zebry i końmi należą do rodzaju *Equus* (koń), ale biologicznie nie są zwierzętami pośrednimi między kwaggą a innymi zebry. [przypis edytorski]

Pierwszy tydzień stycznia poświęcono na szycie bielizny, tak potrzebnej dla kolonii. Znalezione w skrzyni igły pracowały w palcach nie tyle delikatnych, co mocnych, toteż można śmiało twierdzić, że to, co uszyto, uszyto solidnie i trwale.

Nici także nie brakowało, dzięki szczęśliwemu pomysłowi Cyrusa Smitha, by ponownie wykorzystać dratwy, którymi zszyte były pasy powłoki balonu. Gedeon Spilett i Harbert pruli pasy z godną podziwu z cierpliwością, natomiast Pencroff musiał zrezygnować z tej pracy, gdyż okropnie go drażniła, ale za to gdy przyszło do szycia, nikt nie potrafił mu dorównać. Wiadomo przecież powszechnie, że marynarze są nadzwyczaj uzdolnieni do krawiectwa.

Następnie płótno z powłoki balonu odtłuszczono za pomocą sody i potażu²⁷¹ otrzymanych ze spopielenych roślin, a oczyszczona z lakieru tkanina bawełniana odzyskała swoją naturalną miękkość i elastyczność, a poddana następnie odbarwiającemu działaniu powietrza i słońca, nabrała śnieżnej białości.

Tym sposobem uszyto kilka tuzinów koszul i skarpetek — te ostatnie nie były oczywiście robione na drutach, lecz szyte z płótna. Co to była za przyjemność dla kolonistów włożyć wreszcie świeżą bieliznę — wprawdzie dość grubą i szorstką, lecz nie dbali o taką drobnostkę — i położyć się na prześcieradłach, dzięki którym ich legowiska w Granitowym Pałacu stały się prawdziwymi łóżkami.

W tym samym czasie sporządzono z foczych skór obuwie, które miało zastąpić trzewiki i buty przywiezione z Ameryki. Nowe obuwie było obszerne i można śmiało stwierdzić, że nie uwierało w stopy.

Mimo że od początku roku 1866 trwały nieustanne upały, koloniści nie zaniechali polowań. Lasy roily się od aguti, pekari, kapibar, kangurów i innej zwierzyny i ptactwa, a Gedeon Spilett i Harbert byli tak celnymi strzelcami, że żaden ich strzał nie poszedł nigdy na marne.

Cyrus Smith stale zalecał im oszczędzanie amunicji, sam zaś myślał nad tym, by zastąpić innymi substancjami proch i ołów znalezione w skrzyni, które pragnął zachować na przyszłość. Bo czy można było przewidzieć, gdzie los może ich kiedyś rzucić, gdyby opuścili swą obecną ojczyznę? Należało więc być przygotowanym na wszelkie nieprzewidziane potrzeby i oszczędzać amunicję, używając zamiast niej innych substancji dających się łatwo produkować na miejscu.

Zamiast ołowiu, którego śladów nie odkryto na wyspie, Cyrus Smith postanowił używać z niewiele gorszym skutkiem łatwych do zrobienia siekańców. Ponieważ żelazo jest lżejsze od ołowiu, trzeba ich było zrobić większe siekańce, wskutek czego każdy nabój zawierał mniejszą ich ilość. Jednak zręczność strzelców wyrównywała tę wadę. Jeśli chodzi o proch, to Cyrus Smith, mając do dyspozycji saletrę, siarkę i węgiel, mógłby próbować go wyprodukować; przedsięwzięcie to jednak wymaga szczególnej staranności i bez specjalnych narzędzi nie da się uzyskać dobrego gatunku.

Cyrus Smith wolał zatem uzyskać piroksylinę²⁷², czyli bawełnę strzelniczą, substancję, do której bawełna nie jest wcale konieczna, gdyż wchodzi w jej skład jedynie jako celuloza. Otóż celuloza to nic innego jak tylko podstawowy składnik tkanek roślinnych. W stanie czystym znajduje się nie tylko w bawelnie, lecz także we włóknach konopi i lnu, w papierze, w płótnie, w rdzeniu czarnego bzu itp. Otóż właśnie bzu było na wyspie pod dostatkiem, zwłaszcza przy ujściu Czerwonego Potoku, a koloniści używali już wcześniej zamiast kawy jagód tego krzewu, należącego do rodziny wiciokrzewowatych²⁷³.

Tak więc wystarczyło nazbierać rdzenia bzu, żeby mieć pierwszą potrzebną substancję. Drugim niezbędnym składnikiem piroksyliny jest kwas azotowy dymiący²⁷⁴. Otóż Cyrus

²⁷¹potaż — popiół drzewny, złożony głównie z węgla potasu, używany od starożytności do produkcji mydła, szkła, ceramiki i nawozów. [przypis edytorski]

²⁷²piroksylina (chem.) — nitroceluloza, mieszanina estrów celulozy i kwasu azotowego, stanowiąca silny materiał wybuchowy; nitroceluloza o wysokiej zawartości azotu, tzw. bawełna strzelnicza, służy do produkcji prochów bezdymnych. [przypis edytorski]

²⁷³wiciokrzewowate, *Caprifoliaceae* (daw. biol.) — ob. przewiertniowate, rodzina roślin dwuliściennych; dawniej zaliczano do niej bez, współcześnie klasyfikowany jako rodzaj należący do rodziny bzuwatek albo do piżmaczkowatych. [przypis edytorski]

²⁷⁴kwas azotowy dymiący (chem.) — zwyczajowa nazwa silnie stężonego kwasu azotowego (HNO₃), który po wystawieniu na działanie powietrza wydziela białe opary. [przypis edytorski]

Smith, mając już do dyspozycji kwas siarkowy, mógł z łatwością uzyskać kwas azotowy, działając na saletrę, której mu dostarczała przyroda.

Inżynier postanowił zatem produkować piroksylinę i z niej korzystać, pomimo że zdawał sobie sprawę z jej poważnych niedogodności, polegających na bardzo nierównomiernym działaniu, nadmiernej łatwości zapłonu — piroksylina zapala się bowiem już przy stu siedemdziesięciu stopniach, a nie przy dwustu czterdziestu²⁷⁵ — i wreszcie na zbyt gwałtownym spalaniu, co może spowodować uszkodzenie broni. Z drugiej strony piroksylina ma także zalety: nie psuje się pod wpływem wilgoci, nie zanieczyszcza lufy, a jej siła wybuchowa jest czterokrotnie większa niż zwykłego prochu.

Ażeby otrzymać piroksylinę, wystarczy na kwadrans zanurzyć celulozę w kwasie azotowym dymiącym, następnie porządnie wypłukać w wodzie i wysuszyć. Jak widać, rzecz najprostsza w świecie.

Cyrus Smith miał do swojej dyspozycji tylko zwykły kwas azotowy, nie zaś kwas azotowy dymiący, czyli jednowodny, to znaczy taki, który po zetknięciu z wilgotnym powietrzem wydziela białawą parę. Zastępując go jednak zwykłym kwasem azotowym zmieszonym w stosunku trzy do pięciu ze stężonym kwasem siarkowym, inżynier mógł uzyskać ten sam wynik i właśnie tak zrobił. W ten sposób niebawem myśliwi mieli doskonałe sporządzoną piroksylinę, która przy ostrożnym użyciu dawała znakomite rezultaty.

Mniej więcej w tym samym czasie koloniści wykarczowali na Płaskowyżu Pięknego Widoku trzy akry ziemi, pozostawiając resztę na pastwisko dla onagrów. Podjęli kilka wypraw do Lasów Złotopióra i Dalekiego Zachodu i zebrali znaczną ilość dziko rosnących warzyw: szpinaku, rzeżuchy, rzodkwi, rzepy, które za pomocą umiejętnej hodowli zamierzali uszlachetnić i złagodzić dzięki nim nadmiar białka w swoim dotychczasowym pożywieniu. Dowożono także regularnie drewno i węgiel. Każda taka wyprawa przyczyniała się zarazem do polepszenia dróg, które powoli ubijały się pod kołami wózka.

Królikarnia wciąż zasilala spiżarnię Granitowego Pałacu odpowiednim zapasem mięsa. Ponieważ znajdowała się po drugiej stronie Glicerynowego Potoku, jej mieszkańcy nie mogli odwiedzać płaskowyżu ani niszczyć świeżo założonych plantacji. Także i ławica ostrzyg, znajdująca się między głazami na plaży, dostarczała codziennie wyśmienitych mięczaków. Niebawem na jeziorze i na Rzece Dziękczynienia zaczęło kwitnąć rybołówstwo, gdyż Pencroff sporządził wędkę zaopatrzoną w żelazne haczki, na które często łapały się piękne pstrągi i inne bardzo smaczne ryby o srebrzystych łuskach nakrapianych w żółtawe plamy. Nab, odpowiedzialny za sprawy kulinarne, mógł zatem przyjemnie urozmaicać jadłospis każdego posiłku. Na stole kolonistów nie brakowało niczego prócz chleba, a jak powiedzieliśmy, brak ten dawał im się odczuć.

W tym czasie urządzono także polowanie na żółwie morskie, odwiedzające plażę na Przylądku Szczęki. Wybrzeże było tam najeżone małymi wypukłościami, kryjącymi idealnie kuliste jaja o białej, twardej skorupie, których białko ma tę właściwość, że nie ścina się tak jak białko jaj ptasich. Zadanie „wysiadywania” żółwich jaj bierze na siebie słońce, a było ich oczywiście bardzo wiele, ponieważ jeden żółw może znieść do dwustu pięćdziesięciu rocznie.

— To istne pole jaj — zauważył Gedeon Spilett. — Wystarczy tylko je zbierać!

Nie zadowolając się samym produktem, koloniści urządzili polowanie na producentów, a skutek był taki, że przyniesiono do Granitowego Pałacu cały tuzin żółwi, bardzo cennych pod względem kulinarnym. Zupa żółwiowa, zaprawiona aromatycznymi ziołami i urozmaicona przyjemnym smakiem paru roślin kapustowatych, zjednywała często Nabowi zasłużone pochwały.

Należy tu jeszcze przytoczyć inną szczęśliwą okoliczność, która pozwoliła nagromadzić nowe zapasy żywności na zimę. W Rzece Dziękczynienia zjawily się gromady łososi i popłynęły kilka mil w górę rzeki. Był to właśnie okres, w którym samice, szukając dogodnych miejsc do tarła, wyprzedzają samców, wywołując wielki hałas. Tysiąc ryb, mierzających dwie i pół stopy, wtoczyło się do rzeki i wystarczyło ustawić kilka przegród,

²⁷⁵ piroksylina zapala się(...) przy stu siedemdziesięciu stopniach, a nie przy dwustu czterdziestu — autor używa tutaj dawnej skali termometrycznej wprowadzonej przez fr. fizyka Réaumura: temperatura zapłonu piroksyliny to 170° Réaumura, czyli ok. 200° Celsjusza, zaś zapłon czarnego prochu strzelniczego następuje przy 240° Réaumura, czyli ok. 300° Celsjusza. [przypis edytorski]

żeby je schwytać. W ten sposób złowiono kilkaset sztuk, które po nasoleniu schowano jako zapasy na zimę, kiedy mrozy zetną powierzchnię rzeki lodem i uniemożliwią połowy.

W tym czasie inteligentny Jup wdrażał się do obowiązków służącego. Wystrojono go w kurtkę, w krótkie spodnie z białego płótna i fartuch z kieszeniami, którymi był zachwycony, gdyż ciągle wsadzał w nie ręce i nie pozwalał, żeby ktoś inny mu w nich szperał. Zręczny orangutan został znakomicie wyszkolony przez Naba i patrząc na nich, wydawało się, że Murzyn i małpa doskonale się nawzajem rozumieli. Jup żywił zresztą do Naba szczerą sympatię, którą ten odwzajemniał. Gdy nie potrzebowano jego usług, czy to do wożenia drzewa, czy też do wspięcia się na wierzchołek jakiegoś drzewa, Jup spędzał większość czasu w kuchni i usiłował naśladować Naba we wszystkich jego czynnościach. Mistrz wykazywał zresztą nie tylko cierpliwość, ale i wielką gorliwość w kształceniu swojego ucznia, a uczeń z niezwykłą inteligencją korzystał z nauk mistrza.

Łatwo więc wyobrazić sobie zadowolenie mieszkańców Granitowego Pałacu, gdy pewnego dnia pan Jup z serwetą przewieszoną przez rękę przyszedł im usługiwać do stołu. Zręczny, uważny, doskonale pełnił swoje obowiązki, zmieniając talerze, przynosząc półmiski, nalewając napoje, i to wszystko z powagą i godnością, która ogromnie bawiła wszystkich, zaś Pencroffa wprawiała w zachwyt.

— Jup, rosół!

— Jup, odrobiny aguti!

— Jup, talerz!

— Jup! Dobry Jup! Poczciwy Jup!

Nic innego nie było słychać, a Jup, nie dając się niczym zbić z tropu, spełniał wszystkie życzenia, czuwał nad wszystkim i tylko potakująco pokiwał mądrą głową, gdy Pencroff, powtarzając żart, na który pozwolił sobie pierwszego dnia, powiedział do niego:

— Stanowczo, Jup, trzeba ci będzie podwoić pensję!

Nie trzeba dodawać, że przez ten czas Jup całkiem zadomowił się w Granitowym Pałacu i że nieraz towarzyszył swym panom do lasu, nie zdradzając nigdy chęci ucieczki. Trzeba go było widzieć, jak zabawnie kroczył z laską, którą mu wystrugał Pencroff, niosąc ją na ramieniu jak karabin! Gdy trzeba było zerwać jakiś owoc na samym wierzchołku drzewa, Jup jednym susem był już na górze. Gdy koło wózka ugrzęzło w błocie, Jup jednym pchnięciem sprowadzał je z powrotem na dobrą drogę.

— Co za zuch! — wykrzykiwał często Pencroff. — Gdyby był tak złośliwy, jak jest dobry, nie byłoby jak sobie z nim poradzić!

Z końcem stycznia koloniści rozpoczęli wielkie roboty w środkowej części wyspy. Postanowiono założyć niedaleko źródeł Czerwonego Potoku, u stóp Góry Franklina, zagrodę dla zwierząt przeżuwających, których obecność w pobliżu Granitowego Pałacu byłaby niedogodna, a przede wszystkim dla muflonów, mających dostarczyć wełny potrzebnej na odzież zimową.

Każdego ranka kolonia, czasem w komplecie, ale najczęściej reprezentowana tylko przez Cyrusa Smitha, Harberta i Pencroffa, udawała się do źródeł Czerwonego Potoku. Dzięki onagrom była to zaledwie pięciomilowa przechadzka pod sklepieniem z zieleni, po świeżo wytyczonej drodze, nazwanej Drogą do Zagrody.

Tam wybrano rozległy teren na południowym stoku góry. Była to łąka usiana kępami drzew, położona u podnóża jednego z poprzecznych pasm, zamykającego ją z jednej strony. Ze zbocza spływał maleńki strumyczek, przecinał teren na ukos i wpadał do Czerwonego Potoku. Łączka była porośnięta świeżą trawą, a rosnące tu i ówdzie drzewa pozostawiały swobodny przewiew powietrza. Wystarczyło zatem otoczyć łąkę półkolistą palisadą, przylegającą z obu stron do góry i tak wysoką, żeby nawet najzwinniejsze ze zwierząt nie było w stanie jej przeskoczyć. Tak ogrodzony teren pomieściłby nie tylko setkę rogacizny, muflonów czy kozic, ale także młode, które później przyjdą tutaj na świat.

Inżynier wytyczył obwód zagrody, po czym można było przystąpić do ścinania drzew potrzebnych na palisadę. Ponieważ jednak przy prowadzeniu drogi przez las wycięto wiele drzew, więc teraz zwieziono je tylko i wyciosano z nich setkę pali, które wkopano głęboko w ziemię.

W przedniej części palisady pozostawiono szerokie przejście zamykane dwuskrzydłową bramą, zbitą z mocnych dyli²⁷⁶, które z zewnątrz wzmocniono poprzecznymi dragami.

Budowa zagrody zajęła ponad trzy tygodnie, ponieważ oprócz palisady Cyrus Smith postanowił zbudować obszerne szopy z desek na schronienie dla zwierząt. Zresztą cała zagroda musiała być bardzo solidna, gdyż muflony obdarzone są niezmierną siłą i należało się obawiać pierwszego impetu ich gwałtowności. Zaostrzone u góry i opalone w ogniu pale połączono ze sobą, przykręcając do nich poprzeczki, a całość wzmocniały rozmieszczone w regularnych odstępach podpory.

Po ukończeniu zagrody należało zorganizować wielką obławę u podnóża Góry Franklina, na pastwiskach często odwiedzanych przez zwierzęta przeżuwające. Plan ten wykonano 7 lutego, w piękny letni dzień, i cała kolonia wzięła w nim udział. Oba onagry, dość dobrze już ułożone, posłużyły Gedeonowi Spilettowi i Harbertowi za wierzchowce i okazały się bardzo użyteczne.

Cały manewr polegał na okrążeniu muflonów i kozic i stopniowym zacieśnianiu koła obławy. Cyrus Smith, Pencroff, Nab i Jup ustawili się w różnych częściach punktach lasu, podczas gdy obaj jeźdźcy z Topem galopowali w promieniu pół mili wokół zagrody.

W tej części wyspy muflony były bardzo liczne. Te wspaniałe zwierzęta wielkości daniela²⁷⁷, o rogach silniejszych od rogów barana, z szarawą, długą wełną, przypominały dzikie owce argali²⁷⁸.

Ciężki był ten dzień łowów! Ileż to się wszyscy musieli nachodzić, nabiegać tam i z powrotem, najeździć i nakrzyczeć! Z setki otoczonych muflonów ponad dwie trzecie wymknęły się obławie. Ale w końcu udało się stopniowo zagnać w stronę zagrody jakieś trzydzieści muflonów i ze dwanaście kozic. Otwarta na oścież brama wydawała im się wyjściem na swobodę, wpadły do zagrody i zostały pojmane w niewolę.

Ogólnie biorąc, rezultat był zadowalający i koloniści nie mogli się uskarżać. Większość schwytanych muflonów stanowiły samice, z których kilka niebawem miało mieć młode. Było zatem pewne, że stado będzie się dobrze chować i że z czasem nie zabraknie nie tylko wełny, ale i skór.

Tego wieczoru myśliwi wrócili do Granitowego Pałacu ogromnie zmęczeni. Mimo to nazajutrz pospieszili zobaczyć, co się dzieje w zagrodzie. Wprawdzie uwięzione zwierzęta próbowały rozwalić częstokół, lecz to się im nie udało i teraz sprawowały się o wiele spokojniej.

Przez cały luty nie wydarzyło się nic ważniejszego. Codzienne zajęcia szły zwykłym trybem, ulepszano dotychczasowe drogi, do Przystani Balonowej i do zagrody, a równocześnie zaczęto torować nową, prowadzącą od zagrody w stronę zachodniego wybrzeża. Niezbadaną częścią wyspy pozostawały nieprzebyte lasy pokrywające cały Półwysep Węzłowy, gdzie skrywały się drapieżniki, z których Gedeon Spilett zamierzał oczyścić wyspę.

Zanim nastała pora chłodów, gorliwie zajęto się hodowlą dzikich roślin, przesadzonych z lasu na Płaskowyż Pięknego Widoku. Z każdej wycieczki Harbert przynosił jakieś pożyteczne rośliny. Raz były to okazy z plemienia cykoriowatych, z których ziaren można wytłoczyć doskonały olej, innym razem zwykły szczaw, który ma tę cenną właściwość, że chroni przed skorbutem²⁷⁹; to znów kilka tych cennych bulw, hodowanych od dawna w Ameryce Południowej, zwanych ziemniakami, których dziś mamy już ponad dwieście rozmaitych odmian. Dobrze utrzymywany ogród warzywny, podlewany i chroniony przed ptactwem, podzielony był na małe kwadratowe grządki, na których rosły sałata, ziemniaki, szczaw, rzepa, rzodkiew i inne rośliny kapustowate. Ziemia na płaskowyżu była bardzo żyzna i można się było spodziewać obfitych zbiorów.

Nie brakowało również przeróżnych napojów i nawet najwybredniejszy smakosz, gdyby zrezygnował z wina, nie miałby się na co uskarżać. Prócz herbaty Oswego gotowanej

²⁷⁶dyl — belka. [przypis edytorski]

²⁷⁷daniel (biol.) — rodzaj ssaka z rodziny jeleniowatych, o rudobrazowej sierści z charakterystycznymi białymi plamami i łopatowatych rogach. [przypis edytorski]

²⁷⁸argali a. *owca altajska* (biol.) — największa z dzikich owiec, zamieszkująca góry Altaj w Azji Środkowej; długość ich ciała wynosi 120–200 cm, wysokość w kłębie 90–120 cm, zaś waga dochodzi do 120 kg; samce mają duże zakręcone rogi, osiągające do 125 cm długości i 25 kg wagi. [przypis edytorski]

²⁷⁹skorbut — choroba spowodowana długotrwałym niedoborem witaminy C w pożywieniu, objawiająca się m.in. krwawieniem dziąseł, wypadaniem zębów i ogólnym osłabieniem, niegdyś często dotykająca marynarzy wskutek złej diety. [przypis edytorski]

z monardy dwoistej oraz trunku ze sfermentowanych korzeni smokowca Cyrus Smith przyrządzał prawdziwe piwo z młodych pędów świerku *Abies nigra*²⁸⁰, które przegotowaniu i fermentacji dawały napitek nie tylko smaczny, ale też i zdrowy, przez Amerykanów zwany *spruce beer*, czyli piwo świerkowe.

Pod koniec lata w ptaszarni pojawiła się para pięknych dropi, należących do gatunku zwanego hubara²⁸¹, którego charakterystyczną cechą stanowi rodzaj płaszczyka z piór. Przybył także tuzin płaskonosów²⁸², u których górna część dzioba po obu stronach poszerza się przez błoniaste wyrostki, oraz kilka wspaniałych kogutów o czarnych grzebieniach, czarnych koralach i czarnej skórze, podobnych do kogutów z Mozambiku, które dumnie przechadzały się nad brzegiem jeziora.

Tak więc dzięki niezmordowanej pracy tych pełnych odwagi i inteligencji ludzi wszystko im się udawało. Opatrzność niewątpliwie była dla nich łaskawa, ale wierni starej zasadzie najpierw starali się pomóc sami sobie, zanim Niebo przyjdzie im z pomocą.

Po gorącym letnim dniu, wieczorem po skończonej pracy, gdy wietrzyk zawiał od morza, lubili siadywać na skraju Płaskowyżu Pięknego Widoku, w altanie oplecionej pnącymi się roślinami, postawionej własnoręcznie przez Naba. Siedząc tak, rozmawiali, pouczali się nawzajem, snuli rozmaite plany, a prosty humor marynarza rozweselał nieustannie całe towarzystwo, w którym zawsze panowała niezmacona harmonia.

Rozmawiano także o ojczyźnie, o ukochanej, wielkiej Ameryce. Jakie były losy wojny secesyjnej? Przecież dłużej trwać już nie mogła. Richmond bez wątpienia wpadło w ręce generała Granta. Zdobycie stolicy konfederatów musiało być ostatnim aktem tych krwawych zmagania. A teraz tryumfuje słuszna sprawa Północy. Ach, jak ucieszyliby się mieszkańcy Wyspy Lincolna z jakiejś gazety! Minęło jedenaście miesięcy, odkąd zostali odcięci od świata, i niebawem, 24 marca, miała nadejść rocznica tego dnia, w którym balon wyrzucił ich na nieznany brzeg. Wówczas byli tylko rozbitkami i nie wiedzieli nawet, czy zdołają w walce z żywiołami ocalić swoje życie. A teraz, dzięki wszechstronnej wiedzy swojego przywódcy, dzięki własnej inteligencji, byli prawdziwymi kolonistami, zaopatrzonymi w broń, narzędzia i przyrządy, potrafiącymi wykorzystać do własnych potrzeb zwierzęta, rośliny i bogactwa mineralne wyspy, czyli wszystkie trzy królestwa przyrody.

Tak, często rozmawiali o tym wszystkim i rozwijali wiele planów na przyszłość.

Cyrus Smith, najczęściej milczący, chętniej przysłuchiwał się rozmowom towarzyszy, niż brał w nich udział. Czasem uśmiechał się, słysząc jakąś uwagę Harberta lub dziwaczny pomysł Pencroffa, ale zawsze i wszędzie myślał o nad tych niewytłumaczalnych wydarzeniach, o tej dziwnej zagadce, której tajemnicy wciąż nie umiał rozwikłać.

ROZDZIAŁ IX

Nawałnice. — Winda hydrauliczna. — Produkcja szyb i naczyń szklanych. — Drzewo chlebowe. — Częste wizyty w zagrodzie. — Powiększenie się stada. — Pytanie reportera. — Dokładne współrzędne Wyspy Lincolna. — Propozycja Pencroffa.

W pierwszym tygodniu marca zmieniła się pogoda. Na początku miesiąca była pełnia i ciągle trwały niezdolne upały. Wyczuwało się, że atmosfera przesycona jest elektrycznością i należało się obawiać, że zbliża się dłuższy lub krótszy okres burz.

Rzeczywiście, z marca zahuczały potężne grzmoty. Wicher dął od wschodu, a grad bił prosto we front Granitowego Pałacu z trzaskiem podobnym do strzałów karabinowych. Trzeba było szczelnie pozamykać drzwi i okiennice, ażeby uniknąć powodzi w pokojach.

Na widok ziaren gradu, niektórych tak wielkich jak gołębie jaja, Pencroff pomyślał tylko o jednym: jego zasiewy są w poważnym niebezpieczeństwie. Pobiegł natychmiast na pole, na którym kłoski zaczęły już podnosić zielone główki, i grubym płótnem nakrył przyszlę plon. Sam został przy tym solidnie obity gradem, ale nie narzekał.

²⁸⁰*Abies nigra* (łac., biol.) — dosł.: czarna jodła, popr. *Picea mariana*, świerk czarny, drzewo iglaste występujące w Ameryce Płn.; piwo świerkowe przyrządzano już podczas wojny o panowanie w Ameryce Północnej (połowa XVIII w.). [przypis edytorski]

²⁸¹*hubara* (biol.) — gatunek dużego ptaka z rodziny dropi, zamieszkującego pustynne i stepowe tereny płn. Afryki (hubara saharijska) oraz Azji, od Bliskiego Wschodu po Kazachstan i Mongolię (hubara arabska). [przypis edytorski]

²⁸²*płaskonosy* (biol.) — rodzaj wędrownych ptaków wodnych z rodziny kaczkowatych. [przypis edytorski]

Zła pogoda trwała tydzień, a przez cały ten czas bez ustanku dobiegał z góry łoskot grzmotów. W przerwach pomiędzy burzami słychać było głucho pomruki na krańcach widnokregu, po czym burza powracała z nową wściekłością. Niebo co chwilę rozjaśniało się wstęgami błyskawic, a pioruny powalały kilka drzew na wyspie, między innymi olbrzymią sosnę, rosnącą w pobliżu jeziora, na skraju lasu. Dwa czy trzy razy piorun uderzył w piasek nadbrzeżny, stopił go i przemienił w szklistą masę. Widok tych fulgurytów²⁸³ nasunął inżynierowi pomysł, że może dałoby się zaopatrzyć okna pałacu w grube i trwałe szyby, zdolne wytrzymać uderzenia wichru, deszczu i gradu.

Koloniści, nie mając żadnych pilnych prac poza domem, korzystali z niepogody, pracując w Granitowym Pałacu, którego wyposażenie codziennie udoskonalali i uzupełniali. Inżynier postawił prostą tokarkę, za pomocą której wytoczono kilka przyborów toaletowych i kuchennych, zwłaszcza guziki, których brak dawał się szczególnie odczuć. Sporządzono stojak na broń, utrzymywaną zawsze z wielką starannością. Półki i szafy również nie pozostawiały nic do życzenia. Piłowano, heblowano, wygładzano, toczono i przez cały czas niepogody słychać było tylko zgrzyt narzędzi i warkot tokarki odpowiadający na pomruki burzy.

Nie zapomniano także o panu Jupie, który zajmował osobny pokój koło głównego magazynu, rodzaj małej izdebki z legowiskiem zaopatrzonym zawsze w świeżą podściółkę, z którego był bardzo zadowolony.

— Ten poczciwy Jup nigdy się z nikim nie sprzecza — powtarzał nieraz Pencroff. — Nigdy mu się nie wymknie niegrzeczna odpowiedź. Co za sługa z niego, Nabie, co za sługa!

— Mój uczeń — odpowiedział Nab — wkrótce mi dorówna!

— Przewyższy cię! — odpowiadał, śmiejąc się marynarz — bo jednak ty, mój Nabie, gadasz, a on nie!

Jup, rozumie się, znał już doskonale swoje obowiązki. Trzepał ubrania, obracał rożen, zamiatał pokoje, obsługiwał do stołu, układał drewno i — co najbardziej zachwycało Pencroffa — co dzień, zanim sam położył się spać, przychodził do zacnego marynarza i otulał go do snu.

Stan zdrowia członków kolonii, tak dwunożnych, jak dwuręcznych, czwororęcznych i czworonożnych, nie pozostawiał nic do życzenia. Przebywając wciąż na świeżym powietrzu, w zdrowym kraju, w klimacie strefy umiarkowanej, pracując umysłowo i fizycznie, mogli nie obawiać się żadnej choroby.

Rzeczywiście wszyscy cieszyli się najlepszym zdrowiem, Harbert przez ten rok urósł o dwa cale. Twarz jego nabrała wyrazu bardziej męskiego. Wszystko zapowiadało, że wyrośnie na dzielnego człowieka, tak pod względem fizycznym, jak i moralnym. Prócz tego, korzystając z chwil wolnych od pracy, uczył się, czytał książki znalezione w skrzyni, a po przypadających na niego zajęciach praktycznych znajdował w osobach w inżyniera, jeśli chodzi o nauki ścisłe, oraz w reportera, jeśli chodzi o języki obce, nauczycieli, którzy z przyjemnością uzupełniali jego wykształcenie.

Inżynier pragnął przekazać chłopcu całą swoją wiedzę, nauczać go zarówno słowem, jak przykładem, a Harbert w pełnej mierze korzystał z nauk mistrza.

„Gdy umrę — myślał nieraz Cyrus Smith — on mnie zastąpi”.

Burze zakończyły się około 9 marca, ale niebo przez cały ten ostatni miesiąc lata pokryte było chmurami. Atmosfera gwałtownie zakłócona wyładowaniami elektrycznymi, nie mogła odzyskać poprzedniej czystości, prawie bez przerwy trwały deszcze i utrzymywały się mgły, z wyjątkiem trzech czy czterech pogodnych dni, które sprzyjały wszelkiego rodzaju wyprawom.

W tym czasie samica onagra urodziła źrebię tej samej płci co matka, które dobrze się chowało. Podobnie stado muflonów pomnożyło się o kilka jagniąt. Beczały pod szopą ku wielkiej radości Naba i Harberta, z których każdy miał wśród nowo narodzonych swojego ulubieńca.

Próbowano także oswoić pekari, a próba udała się całkowicie. Koło ptaszarni postawiono chlewik, które niebawem zapełnił się małymi, wzrastającymi, a raczej tuczącymi

²⁸³fulguryt (z łac. *fulguritus*: ugodzony piorunem) a. strzałka piorunowa — nieregularna rurka lub przypominający korzeń pręt ze szklawa krzemionkowego powstały wskutek stopienia piasku kwarcowego po uderzeniu pioruna. [przypis edytorski]

się pod troskliwą pieczę Naba. Jup, na którym spoczął obowiązek dostarczania im codziennie pożywienia, czyli pomysł i resztek z kuchni, wywiązywał się sumiennie z tego zadania. Co prawda czasem zabawiał się kosztem swych małych stołowników i ciągnął je za ogony, nie robił tego jednak ze złośliwości, ale dla psoty, bo zakręcone ogonki cieszyły go jak zabawka, a z usposobienia był jak dziecko.

Pewnego dnia Pencroff, rozmawiając z inżynierem, przypomniał mu obietnicę, której Cyrus Smith dotychczas nie miał czasu spełnić.

— Wspomniał pan raz, panie Cyrusie — powiedział marynarz — o urządzeniu, którym można by zastąpić te długie drabinki wiodące do Granitowego Pałacu. Czy nie zbuduje go pan kiedyś?

— Ma pan zapewne na myśli coś w rodzaju windy? — odparł Cyrus Smith

— Jeśli pan chce, nazwijmy je windą — odparł marynarz. — Mniejsza o nazwę, byle nas tylko wygodnie podnosiło aż do drzwi mieszkania.

— Nic łatwiejszego, Pencroffie, ale czy to koniecznie potrzebne?

— Oczywiście, panie Cyrusie. Skoro zaspokoiłiśmy nasze niezbędne potrzeby, pomysłmy trochę o wygodzie. Dla nas samych, jeśli pan tak uważa, będzie to zbytek, ale dla towarów to konieczne. Nie jest zbyt wygodnie wspinać się po długiej drabinie, gdy się jest obciążonym ciężarami.

— No cóż, spróbuję pana zadowolić, Pencroffie — odparł Cyrus Smith.

— Ale przecież nie ma pan maszyny do poruszania takiego urządzenia.

— Zrobimy ją.

— Maszynę parową?

— Nie, maszynę wodną.

Rzeczywiście, inżynier miał do dyspozycji naturalną siłę zdolną do poruszania takiego urządzenia, którą można było wykorzystać bez większych trudności. W tym celu należało tylko zwiększyć przepływ strumienia dostarczającego wodę do wnętrza Granitowego Pałacu. Poszerzono zatem górny otwór wlotowy, wykonany wśród kamieni i traw, dzięki czemu w głębi korytarza powstał dość silny spadek wody, której nadmiar spływał przez podziemną studnię. Pod tym wodospadem inżynier ustawił walec z łopatkami, połączony na zewnątrz z kołem owiniętym mocną liną, do której końca przywiązany był kosz. Za pomocą długiego sznura, opadającego aż do ziemi, można było zatrzymywać i uruchamiać motor hydrauliczny i podnosić się w koszu aż do drzwi Granitowego Pałacu.

17 marca ku powszechnemu zadowoleniu winda została uruchomiona. Odtąd przewożono nią wszystkie ciężary, jak drzewo, węgiel, żywność, a i sami koloniści wjeżdżali na górę, korzystając z tego prostego urządzenia, całkowicie zastępującego drabinę, której nikt nie żałował. Szczególnie zachwycony ulepszeniem był Top, gdyż nie miał ani nie mógł mieć tej zwinności we wspinaniu się po drabinie co Jup i często odbywał drogę do Granitowego Pałacu na plecach Naba, a nawet orangutana.

W tym samym okresie Cyrus Smith zaczął próby wyrobu szkła. Przede wszystkim trzeba było przerobić dawny piec garncarski do nowego celu. Było to bardzo trudne, jednak po kilku nieudanych próbach inżynierowi udało się wreszcie zorganizować warsztat szklarski, którego Gedeon Spilett i Harbert, stali pomocnicy inżyniera, nie opuszczali przez kilka dni.

Surowcami wchodzącymi w skład szkła są piasek, kreda i soda (węgielnik lub siarczan sodu). Piasku było dosyć na plaży, kredy dostarczało wapno, rośliny morskie dawały sodę, piryty dostarczały kwasu siarkowego, a ziemia węgla do ogrzania pieca do wymaganej temperatury. Tak więc Cyrus Smith miał wszystkie materiały potrzebne do produkcji.

Najwięcej trudności nastęcało wykonanie narzędzia zwanego „piszczelą szklarską”. Jest to żelazna rurka długości pięciu do sześciu stóp, której końcem nabiera się płynną masę szklaną. Pencroffowi w końcu udało się zrobić zdatną do użytku piszczel z długiego i cienkiego kawałka żelaza zwinętego na kształt lufy strzelby.

28 marca rozgrzano silnie piec. Masę, składającą się ze stu części piasku, trzydziestu pięciu części kredy, czterdziestu siarczanu sodu, z dodatkiem dwóch czy trzech części sproszkowanego węgla, umieszczono w tyglach z ogniotrwalej gliny. Gdy pod wpływem wysokiej temperatury pieca mieszanka przeszła w stan płynny, a raczej gdy zmieniła się w ciągnącą się masę, Cyrus Smith nabrał dolnym końcem piszczeli trochę tej masy i zaczął ją obracać na uprzednio przygotowanej metalowej płytce, aby nadać jej odpowiedni kształt

do wydymania, po czym oddał piszczel Harbertowi, polecając mu dmuchać przez drugi koniec.

— Jak przy puszczeniu baniek mydlanych? — zapytał chłopak.

— Zupełnie tak samo — odparł inżynier

Harbert wyduł policzki i gorliwie dmuchał w piszczel, jednocześnie cały czas ją obracając, aż wskutek dmuchania masa szklana się rozszerzyła. Wówczas dodano jeszcze trochę stopionej masy, tak że wkrótce powstała się bańka o średnicy jednej stopy. Wtedy Cyrus Smith wziął z powrotem piszczel z rąk Harberta i wprawivszy ją w ruch wahadłowy, wydłużył elastyczną bańkę aż przybrała kształt walcowaty.

W rezultacie otrzymano szklany cylinder zakończony z obydwu stron końcach półkulistymi czepkami, które z łatwością odcięto za pomocą żelaznego noża zmoczonego w zimnej wodzie. W taki sam sposób rozcięto walec wzdłuż, następnie rozmiękczone go przez powtarne podgrzanie, rozciągnięto na płycie i rozprostowano za pomocą drewnianego wałka.

Tak wyprodukowano pierwszą szybę i wystarczyło powtórzyć tę samą operację pięćdziesiąt razy, aby otrzymać pięćdziesiąt szyb. Wkrótce w oknach Granitowego Pałacu osadzone zostały tafle szkła, może niezbyt przezroczystego, ale przepuszczającego wystarczającą ilość światła.

Wydmuchiwanie naczyń, szklanek i butelek było już drobnostką. Zachowywano je w takim kształcie, jakiego nabierały na końcu piszczeli. Pencroff prosił, aby jemu także pozwolono dmuchać i robił to z wielką przyjemnością, ale dał tak silnie, że jego wyroby przybierały najzabawniejsze kształty i jego samego wprawiały w podziw.

Podczas jednej z podjętych w tym okresie wypraw odkryto nowe drzewo, którego owoce wzbogaciły zasoby żywności kolonii.

Cyrus Smith z Harbertem wybrali się pewnego dnia na polowanie i zapuścili się w głąb Lasu Dalekiego Zachodu, na lewym brzegu Rzeki Dziękczynienia. Chłopak jak zwykle zadawał tysiące pytań inżynierowi, na które ten z największą gotowością odpowiadał. Ale z polowaniem jest tak samo, jak z każdym innym zajęciem na świecie, gdy się nie zabierze do niego z zapalem: nie udaje się, oczywiście. A ponieważ Cyrus Smith nie był zapalonym myśliwym, zaś Harbert mówił tylko o chemii i fizyce, więc tego dnia wiele kangurów, kapibar i aguti umknęło przed strzelbą młodzieńca. Wskutek tego było już późno, a myśliwi nic jeszcze nie upolowali i zapowiadało się na to, że wyprawa będzie bezowocna, gdy nagle Harbert zatrzymał się i zawołał z radością:

— Panie Cyrusie, widzi pan to drzewo?

I mówiąc to, wskazał na drzewko podobne raczej do krzewu, składające się z pojedynczego pnia pokrytego łuskowatą korą, z liśćmi poprzecinanymi małymi równoległymi żyłkami.

— Cóż to za drzewo tak podobne do małej palmy? — zapytał Cyrus Smith.

— Jest to sagowiec *Cycas revoluta*²⁸⁴, którego rysunek znajduje się w naszym słowniku przyrodniczym.

— Ale nie widzę na nim żadnych owoców?

— Nie ma ich, panie Cyrusie — odparł Harbert. — Za to w jego pień zawiera wewnątrz mękę, którą natura daje nam od razu zmieloną.

— Więc to drzewo chlebowe²⁸⁵?

— Tak, drzewo chlebowe.

— A zatem, mój chłopcze — odparł inżynier — to cenne odkrycie, zwłaszcza zanim doczekamy się chleba z naszej pszenicy. Do dzieła i dałby Bóg, żebyś się nie mylił.

Harbert się nie omylił. Rozłupany pień drzewka zawierał mączysty miąższ poprzerastany zdrewniałymi włóknami i poprzedzielany koncentrycznymi pierścieniami z takich samych włókien. Mączka zmieszana była z kleistym sokiem roślinnym o nieprzyjemnym

²⁸⁴*Cycas revoluta* (biol.) — sagowiec odwinięty, gatunek podobnej do palmy rośliny z rodziny sagowcowatych, występującej w pld. Japonii, będącej jednym ze źródeł mączki sago; w Polsce uprawiany jako ozdobna roślina doniczkowa; rośnie bardzo powoli, osiągając wysokość 5–6 m po 50–100 latach. [przypis edytorski]

²⁸⁵*drzewo chlebowe* a. *chlebowiec* (biol.) — rodzaj roślin z rodziny morwowatych, pochodzących z tropikalnej Azji i dostarczających jadalnych, pożywnych owoców, zawierających dużo skrobi i witamin. Bohaterowie używają tutaj mylnego określenia nazywając drzewem chlebowym (*l'arbre à pain*) sagowiec, co nie jest przyjęte w jęz. francuskim ani polskim. [przypis edytorski]

smaku, który jednak łatwo można było usunąć przez wyciskanie. Uzyskiwana substancja stanowi prawdziwą mąkę, najlepszego gatunku i tak niezwykle pożywną, że niegdyś prawa japońskie zabraniały jej eksportu.

Cyrus Smith i Harbert zbadali dokładnie tę część lasu, gdzie rosły sagowce, i oznakowawszy drogę do nich, powrócili do Granitowego Pałacu, żeby obwieścić towarzyszom nowe odkrycie.

Nazajutrz koloniści udali się na zbiór sagowców, a Pencroff, który coraz bardziej entuzjastował się wyspą, powiedział do inżyniera:

— Jak pan sądzi, panie Cyrusie, czy istnieją wyspy dla rozbitków?

— Co przez to pan rozumie, Pencroffie?

— Mam na myśli wyspy stworzone specjalnie po to, żeby w ich pobliżu mogły się wygodnie rozbijać statki, wyspy takie, na których biedni rozbitkowie zawsze dadzą sobie radę.

— Możliwe — odparł z uśmiechem inżynier.

— To zupełnie pewne, proszę pana — odparł Pencroff — jak niemniej pewne jest i to, że jedną z takich wysp jest właśnie Wyspa Lincolna.

Wrócono do Granitowego Pałacu z obfitym zbiorem pni sagowców. Inżynier sporządził prasę do wyciskania kleistego soku z miąższu, po czym otrzymał sporą ilość mąki, która w rękach Naba przekształciła się w ciastka i puddingi²⁸⁶. Wprawdzie nie był to chleb pszenny, ale przynajmniej coś do zblizzonego.

W tym czasie onagry, kozice i owce z zagrody dostarczały codziennie mleko dla kolonii. Podejmowano częste wycieczki do zagrody wózkami, a raczej rodzajem lekkiej bryczki, którą go zastąpiono. Gdy wypadła kolej na Pencroffa, brał ze sobą Jupa i kazał mu powozić, z czego Jup, gęsto trzaskając z biczem, wywiązywał się z właściwą sobie zręcznością.

Tak więc wszystko szło pomyślnie i w Granitowym Pałacu, i w zagrodzie. I doprawdy, gdyby nie oddalenie od ojczyzny, koloniści nie mieliby się na co uskarżać. Byli jakby stworzeni do podobnego życia, zresztą tak się już przyzwyczaili do tej wyspy, że z żalem opuszczaliby jej gościnną ziemię.

A jednak miłość ojczyzny jest tak silnie zakorzeniona w sercu człowieka, że gdyby niespodziewanie zjawił się w pobliżu wyspy jakiś statek, koloniści natychmiast przywołałoby go sygnałami i odpłynęli... Na razie wiedli szczęśliwe życie i raczej obawiali się, niż życzyli sobie, żeby jakieś zdarzenie to przerwało.

Ale któż na świecie może pochlebiać sobie, że przykuł do siebie szczęście, i czuć się bezpieczny od jego kaprysów!

Tak czy inaczej, wyspa, którą koloniści zamieszkiwali już od ponad roku, stanowiła częsty temat ich rozmów i pewnego dnia padły słowa, które później pociągnęły za sobą poważne następstwa.

Było to 1 kwietnia, w Niedzielę Wielkanocną, która Cyrus Smith i jego towarzysze święcili odpoczynkiem i modlitwą. Dzień był tak pogodny, jak bywają czasem dni październikowe na półkuli północnej.

Wieczorem po posiłku siedzieli wszyscy w altanie na skraju Płaskowyżu Pięknego Widoku i przypatrywali się, jak powoli zapada zmrok. Nab podał kilka filiżanek wywaru z ziaren bzu, zastępującego czarną kawę. Rozmawiano o wyspie i o jej odosobnionym położeniu na Pacyfiku, gdy nagle Gedeon Spilett powiedział:

— Drogi Cyrusie, czy od czasu, kiedy mamy znalezione w skrzyni sekstant, próbował pan ponownie wyznaczyć położenie naszej wyspy?

— Nie, nie robiłem tego — odparł inżynier.

— A może dobrze byłoby zrobić to teraz za pomocą instrumentu doskonalszego niż ten, którym posługiwał się pan wówczas.

— A to po co? — zapytał Pencroff. — Przecież wyspa leży tam, gdzie leżała.

— Niewątpliwie — ciągnął dalej Gedeon Spilett — ale możliwe, że niedoskonałość przyrządów spowodowała niedokładności w wynikach, a ponieważ teraz łatwo możemy to sprawdzić...

²⁸⁶ *pudding* — angielski deser o konsystencji gęstego budyniu lub miękkiego ciasta. [przypis edytorski]

— Ma pan rację, drogi Spilett — odparł inżynier. — Powiniennem już dawno sprawdzić pomiary, chociaż nawet jeżeli popełniłem jakiś błąd, to nie powinien przekraczać pięciu stopni na szerokości lub długości.

— Ba, kto to wie? — ciągnął dalej reporter. — Kto wie, czyli nie znajdujemy się bliżej jakiegoś zamieszkałego lądu, niż sądzimy?

— Dowiemy się o tym jutro — odparł Cyrus Smith. — Gdyby nie nawał zajęć, które nie pozostawiały mi wolnej chwili, już byśmy to wiedzieli.

— Dobrze! — powiedział Pencroff. — Pan Cyrus jest zbyt dobrym obserwatorem, żeby się mógł pomylić, i jeżeli tylko wyspa nie ruszyła się z miejsca, to z pewnością leży tam, gdzie ją ulokował!

— Zobaczymy.

Nazajutrz inżynier za pomocą sekstantu przeprowadził odpowiednie obserwacje, żeby sprawdzić otrzymane wcześniej współrzędne, a wyniki były następujące:

Pierwsza obserwacja wskazała, że Wyspa Lincoln leży pomiędzy 150° a 155° długości zachodniej oraz pomiędzy 30° a 35° szerokości południowej.

Dругa obserwacja wskazała dokładnie $150^{\circ}30'$ długości zachodniej i $34^{\circ}57'$ szerokości południowej.

Tak więc pomimo niedokładności przyrządów Cyrus Smith przeprowadził poprzednie badania z taką zręcznością, że błąd nie przekroczył pięciu stopni.

— A teraz — powiedział Gedeon Spilett — ponieważ oprócz sekstantu mamy także atlas geograficzny, zobaczymy, drogi Cyrusie, w którym dokładnie miejscu Pacyfiku znajduje się Wyspa Lincoln.

Harbert pobiegł po atlas, który — jak wiemy — wydany został we Francji i w którym wszystkie nazwy były po francusku.

Rozłożono mapę Pacyfiku, a inżynier z cyrklem w ręku przygotowywał się do oznaczenia położenia wyspy.

Nagle zatrzymał rękę z cyrklem i zawołał:

— Ależ w tej części Pacyfiku już jest wyspa!

— Wyspa? — zawołał Pencroff.

— Zapewne nasza — odparł Gedeon Spilett.

— Wcale nie — ciągnął dalej Cyrus Smith. — Ta wyspa leży na 153° długości i $37^{\circ}11'$ szerokości geograficznej, zatem o dwa i pół stopnia dalej na zachód i o dwa stopnie dalej na południe niż Wyspa Lincoln.

— A co to za wyspa? — zapytał Harbert.

— Wyspa Tabor.

— Czy duża?

— Nie, to mała wysepka, położona samotnie na Pacyfiku, której może nikt jeszcze dotąd nie odwiedził.

— No to my ją odwiedzimy — powiedział Pencroff.

— My?

— Tak, panie Cyrusie. Zbudujemy dużą łódź żaglową, a ja podejmuję się nią sterować. Jak daleko stąd do tej wyspy Tabor?

— Około stu pięćdziesięciu mil na północny wschód — odparł Cyrus Smith.

— Sto pięćdziesiąt mil! To fraszka! — odparł Pencroff. — Przy pomyślnym wietrze przepłyniemy je w czterdzieści osiem godzin!

— Ale po co? — zapytał reporter.

— Nie wiadomo, zobaczymy!

Po odpowiedzi Pencroffa postanowiono zbudować statek, aby w październiku, kiedy powróci pogodna pora roku, można było wyruszyć na morze.

ROZDZIAŁ X

Budowa statku. — Drugi zbiór zboża. — Polowanie na koale. — Nowa roślina bardziej przyjemna niż pożyteczna. — Wieloryb. — Harpun z Vineyard. — Ćwiartowanie wieloryba. — Zastosowanie fiszbinów. — Koniec maja. — Spełnione pragnienie Pencroffa.

Gdy Pencroff raz wbił sobie coś do głowy, nie spoczął i nie dał innym spokoju, dopóki tego nie wykonał. Zaprzagnął odwiedzić wyspę Tabor, a ponieważ do takiej podróży niezbędny był określonej wielkości statek, to trzeba było zbudować taki statek.

Po naradzie z marynarzem inżynier ustalił następujący plan.

Stateczek miał mieć trzydzieści pięć stóp długości a dziewięć szerokości, co było dostateczne do nadania mu znacznej szybkości przy odpowiednim dnie i linii wodnej²⁸⁷. Zanurzenie zaplanowano na maksymalnie sześć stóp, co wystarczało, aby uchronić go przed dryfowaniem²⁸⁸. Na całej długości miał być ułożony pokład z dwoma lukami prowadzącymi do dwóch kabin, przedzielonych przepierzeniem. Ożaglowanie miało być takie jak na słupie²⁸⁹, z grotem²⁹⁰, topslem²⁹¹, lataczem²⁹², fokiem, kliwrem i spinakerem²⁹³, słowem łatwe do zwijania i rozwijania, tak aby można je było bez trudu ściągnąć w razie burzy, a gdy potrzeba, rozwinąć podczas żeglugi przybrzeżnej. Wreszcie poszycie kadłuba miało być zrobione na styk, to znaczy, żeby krawędzie desek się ze sobą stykały, a nie zachodziły na siebie, natomiast jeśli chodzi o szkielet statku, to wręgi²⁹⁴ miały zostać dopasowane na gorąco, po uprzednim umocowaniu pokładników²⁹⁵ na wzdłużnikach²⁹⁶.

Jakiego drzewa należało użyć do budowy? Wiązów czy świerków, których wiele rośnie na wyspie? Zdecydowano się na świerk, drzewo trochę luźne, jak się wyrażają cieśle, ale łatwe do obróbki i znoszące zanurzenie w wodzie równie dobrze jak wiąz.

Po uzgodnieniu tych szczegółów postanowiono, że ponieważ ciepła pora roku nadejdzie nie wcześniej niż za sześć miesięcy, to Cyrus Smith i Pencroff będą sami pracować nad budową statku. Gedeon Spilett i Harbert mieli nadal zajmować się łowami, natomiast Nab i pan Jup nie powinni porzucać prac domowych, które do nich należały.

Zaraz po wybraniu drzew ścięto je, okorowano i wprawnie pocięto na deski, że lepiej by tego nie zrobili zawodowi trzecie. Osiem dni potem w zagłębieniu znajdującym się pomiędzy Kominami i ścianą skalną został przygotowany rodzaj warsztatu okrętowego i na piasku spoczął kil²⁹⁷ o długości trzydziestu pięciu stóp, zaopatrzony z tyłu w stewę rufową²⁹⁸, a z przodu w dziobnicę²⁹⁹.

Cyrus Smith nie wziął się bynajmniej do tego zadania na ślepo. Znał się na budowie statków, tak samo jak prawie na wszystkich innych rzeczach, i najpierw na papierze narysował plan statku. Zresztą miał pomoc w osobie Pencroffa, który pracował przez kilka lat w stoczni w Brooklinie i znał praktyczną stronę tego zawodu. Dlatego wręgi zostały zamocowane na kilu dopiero po dokładnym namyśle i ścisłych obliczeniach.

Pencroff, jak łatwo się domyślić, zapalił się do tej pracy i nie chciał opuszczać jej ani na chwilę.

Tylko jedna sprawa zdolna była go oderwać od warsztatu i to tylko na jeden dzień. Był nią drugi zbiór zboża, który miał miejsce 15 kwietnia. Udał się tak dobrze jak pierwszy i przyniósł przewidzianą proporcję ziaren.

²⁸⁷linia wodna a. wodnica — teoretyczna linia przecięcia zewnętrznej powierzchni kadłuba statku poziomą płaszczyzną spokojnej wody przy typowym zanurzeniu jednostki. [przypis edytorski]

²⁸⁸dryfowanie — znoszenie statku z obranego kursu przez fale, prąd morski lub wiatr. [przypis edytorski]

²⁸⁹słup — żaglowiec mający jeden maszt i dwa żagle: grot (główny) oraz trójkątny fok, rozpinany przed masztem; jednomasztowe jachty mające dwa lub trzy przednie żagle nazywa się obecnie kutrami; *słup wojenny* — niewielki okręt pomocniczy używany we flotach od końca XVII do poł. XIX w., dwu- lub trójmasztowy. [przypis edytorski]

²⁹⁰grot — główny, podstawowy żagiel na żagłowcu. [przypis edytorski]

²⁹¹topsels — dodatkowy, górny, trójkątny żagiel przymasztowy, podnoszony przy niezbyt silnym wietrze. [przypis edytorski]

²⁹²latacz — trójkątny żagiel przedni podnoszony przy słabych wiatrach powyżej foka i kliwra. [przypis edytorski]

²⁹³fok, kliwer i spinaker — trójkątne żagle rozpinane przed przednim masztem. [przypis edytorski]

²⁹⁴wręga a. wręg — poprzeczne elementy szkieletu statku, stanowiące rodzaj żeber nadających kształt kadłubowi i usztywniających konstrukcję. [przypis edytorski]

²⁹⁵pokładniki — poprzeczne elementy szkieletu statku zamykające wręgi od góry i służące do mocowania na nich pokładu; pokładniki spoczywają na wzdłużnikach pokładnikowych. [przypis edytorski]

²⁹⁶wzdłużniki — belki konstrukcyjne biegnące wzdłuż statku, łączące ze sobą poprzeczne elementy szkieletu i wzmacniające sztywność kadłuba. [przypis edytorski]

²⁹⁷kil — stępka, najniższa belka statku ciągnąca się od dzioba do rufy. [przypis edytorski]

²⁹⁸stewa rufowa — przedłużenie stępki (kila) statku w kierunku rufy (tylnej części), łączące poszycie burt. [przypis edytorski]

²⁹⁹dziobnica — stewa dziobowa, przedłużenie stępki (kila) statku w kierunku dzioba. [przypis edytorski]

— Pięć buszli, panie Cyrusie! — powiedział Pencroff po skrupulatnym odmierzeniu swoich skarbów.

— Pięć buszli — odpowiedział inżynier — licząc więc po sto trzydzieści tysięcy ziaren na buszel, daje to sześćset pięćdziesiąt tysięcy ziaren.

— No to tym razem zasiejemy wszystko — powiedział marynarz — zachowując tylko mały zapas.

— Słusznie, Pencroffie. A jeżeli następny zbiór przyniesie podobną proporcję co dzisiejszy, będziemy mieli cztery tysiące buszli.

— I będziemy jeść chleb?

— Będziemy jeść chleb.

— Ale trzeba będzie zbudować młyn?

— Wybudujemy młyn.

Trzeci zagon pod zboże był znacznie obszerniejszy niż dwa poprzednie. Ziemia, przygotowana jak najstaranniej, przyjęła drogocenne ziarno. Zrobiwszy to, Pencroff powrócił do swojej pracy przy statku.

Przez ten czas Gedeon Spilett i Harbert polowali w okolicy i zapędzali się dosyć daleko w nieznanne części Lasu Dalekiego Zachodu, z bronią naładowaną kulami na wypadek jakiegoś nieprzyjemnego spotkania. Był tu nieprzebyty gąszcz wspaniałych drzew, rosnących tak gęsto, jak gdyby brakło im wolnej przestrzeni. Zbadanie tej zbitej masy drzew było niezwykle trudne i reporter nie odważył się nigdy zapuszczać tam bez busoli w kieszeni, gdyż słońce ledwie przebijało się przez gęstwinę gałęzi i kierując się nim, trudno byłoby znaleźć drogę. Rzecz jasna, zwierzyna była rzadsza w miejscach, gdzie brakowało jej dostatecznej swobody ruchu. Mimo to w drugiej połowie kwietnia myśliwym udało się upolować trzy duże okazy zwierząt roślinożernych. Były to koale, z których jednego kolonisci spotkali już wcześniej na północ od jeziora. Nierozważnie dały się zabić pomiędzy grubymi konarami drzew, gdzie szukały schronienia. Skóry przyniesiono do Granitowego Pałacu i za pomocą kwasu siarkowego poddano swego rodzaju garbowaniu, dzięki czemu stały się zdatne do użytku.

Podczas jednej z takich wycieczek łowieckich Gedeon Spilett zasłużył się dokonaniem pewnego cennego odkrycia.

Było to 30 kwietnia. Dwaj myśliwi zapuścili się w południowo-zachodnią część Lasu Dalekiego Zachodu, gdy nagle reporter, poprzedzający Harberta o pięćdziesiąt kroków, doszedł do polanki, na której rzadziej rosnące drzewa pozwalały przedrzeć się promieniom słońca.

Pierwszą rzeczą, która zwróciła uwagę reportera, był dziwny zapach wydzielany przez pewne rośliny o prostych, okrągłych, rozgałęzionych łodygach, na których rosły kwiaty ułożone w grona i drobne nasionka. Zerwał kilka łodyżek i powróciwszy do swego towarzysza, powiedział:

— Zobacz no, Harbercie, co to takiego?

— A gdzie pan znalazł tę roślinę, panie Spilett?

— Tam, na polance, gdzie rośnie ich dużo.

— No, panie Spilett — powiedział Harbert — oto odkrycie zapewniające panu dogonną wdzięczność Pencroffa!...

— Czyżby to był tytoń?

— Tak jest. Chociaż nie pierwszego gatunku, ale w każdym razie tytoń!

— Ach, pocziwy Pencroff! To się ucieszy! No, ale chyba nie wypali wszystkiego, dla nas też coś zostawi.

— Mam pomysł, panie Spilett — zawołał Harbert. — Nie mówmy nic Pencroffowi, zostawmy sobie czas na przyrządzenie tych liści, a pewnego pięknego poranka podajmy mu fajkę nabitą po sam wierzch.

— Zgoda, Harbercie. Od tego dnia nasz zacny towarzysz niczego już więcej nie będzie pragnął do szczęścia!

Reporter i Harbert zrobili porządny zapas cennej rośliny i powrócili do Granitowego Pałacu, kryjąc swoją zdobycz tak starannie, jak gdyby to była kontrabanda³⁰⁰, a Pencroff był najsurowszym z celników.

³⁰⁰kontrabanda — przemyt. [przypis edytorski]

Cyrusa Smitha i Naba dopuszczono do tajemnicy, a marynarz niczego nie podejrzewał przez cały długi czas potrzebny na wysuszenie cienkich listków, pokrojenie i przyprażenie na gorących kamieniach. Wszystko to trwało dwa miesiące, ale Pencroff niczego nie zauważył, gdyż tak był zajęty pracą przy budowie statku, że powracał do Granitowego Pałacu tylko na nocny odpoczynek.

1 maja po raz kolejny został oderwany od swojej ulubionej pracy, tym razem przez przygodę rybacką, w której wzięli udział wszyscy koloniści.

Od kilku dni zauważali na morzu jakies olbrzymie zwierzę pływające w pobliżu Wyspy Lincolna, w odległości dwóch czy trzech mil od brzegu. Był to wieloryb największego rozmiaru, prawdopodobnie należący do gatunku żyjącego w morzach południowych, zwanego wielorybem przyładkowym³⁰¹.

— Cóż by to była za gratka dostać go w swoje ręce! — zawołał marynarz. — Ach, gdybyśmy mieli odpowiedni statek i dobry harpun, pierwszy zawołałbym: „Ruszajmy na wieloryba, bo wart zachodu!”

— Ach, Pencroffie — powiedział Gedeon Spilett — chciałbym zobaczyć, jak pan używa harpuna. To musi być ciekawe.

— Bardzo ciekawe i dość niebezpieczne — powiedział inżynier — ale skoro nie mamy możliwości, żeby zaatakować to zwierzę, nie ma powodu się nim dalej zajmować.

— Dziwię się bardzo — odezwał się reporter — że napotykamy wieloryba na tej stosunkowo dużej szerokości geograficznej.

— A cóż w tym dziwnego, panie Spilett? — odpowiedział Harbert. — Znajdujemy się w tej części Pacyfiku, którą rybacy angielscy i amerykańscy nazywają *Whale Field*, czyli Wielorybie Pole, i właśnie tu, pomiędzy Nową Zelandią a Ameryką Południową, spotyka się najwięcej wielorybów półkuli południowej.

— Najprawdziwsza prawda — powiedział Pencroff. — Mnie tylko dziwi, że do tej pory nie widzieliśmy ich więcej. Zresztą, ponieważ nie możemy się do niego zbliżyć, nie mówmy już o nim!

I marynarz powrócił do swojej pracy, choć nie bez głębokiego westchnienia żalu, bo w każdym marynarzu siedzi rybak, a jeżeli przyjemność z połowu jest proporcjonalna do wielkości zdobyczy, to można sobie wyobrazić, co czuje wielorybnik wobec wieloryba!

Gdyby to chodziło tylko o przyjemność! Ale nie da się ukryć, że podobna zdobycz przyniosłaby ogromną korzyść kolonii, gdyż olej, tłuszcz i fiszbin przydałyby się do wielu celów.

Tymczasem dostrzeżony wieloryb nie miał zamiaru opuszczać wód wokół wyspy. Czy to więc z okien Granitowego Pałacu, czy z Płaskowyżu Pięknego Widoku, Harbert i Gedeon Spilett w czasie wolnym od polowań oraz Nab w przerwach od zajęć kuchennych nie wypuszczali z rąk lunety i obserwowali wszystkie ruchy zwierzęcia. Wieloryb, głęboko zapędziwszy się w obszerną Zatokę Stanów Zjednoczonych, przemierzał ją szybko od Przylądka Szczęki aż do Przylądka Szponu, odpychając się potężną płetwą ogonową, na której opierał się i poruszał zrywami z szybkością dochodzącą niekiedy do dwunastu mil na godzinę. Czasami podpływał tak blisko wyspy, że można mu się było dokładnie przyrzec. Był to rzeczywiście wieloryb południowy, cały czarny, z głową bardziej spłaszczoną niż u wielorybów północnych.

Widzieli go, jak wyrzuca przez nozdrza na znaczną wysokość obłok pary... czy wody, ponieważ — jakkolwiek może się to wydawać dziwne — przyrodnicy i wielorybnicy nie zgodzili się jeszcze ze sobą co to tego. Czy zwierzę wyrzuca w ten sposób wodę czy powietrze? Na ogół przyjmuje się, że jest to para, która szybko skraplając się w zetknięciu z chłodnym powietrzem, opada w postaci deszczu.

Ciągła obecność tego ssaka morskiego niepokoiła kolonistów. Szczególnie drażniło to Pencroffa i rozpraszało go podczas pracy. W końcu nabrał takiej ochoty na wieloryba, jak dziecko na przedmiot, którego mu odmawiają. W nocy mówił o nim przez sen i z pew-

³⁰¹ wieloryb przyładkowy, *Eubalaena capensis* (daw. biol.) — wieloryb biskajski południowy (*Eubalaena australis*), gatunek wieloryba występujący na półkuli południowej, pomiędzy 30° a 50° szer. geogr. pld., osiągający do 18 m długości; dawna nazwa gatunku pochodzi od Przylądka Dobrej Nadziei w Afryce Płd., gdyż zwierzęta te w okresie godowym przypływają na wody wokół przylądka i można je dogodnie obserwować z ładu. [przypis edytorski]

nością, gdyby tylko miał możliwość go zaatakować, gdyby czółno było zdolne utrzymać się na morzu, nie wahałby się ani chwili i popłynął w pościg.

Czego nie mogli dokonać koloniści, dokonał za nich przypadek. 3 maja Nab stojący przy oknie w kuchni głośnymi okrzykami oznajmił, że morze wyrzuciło wieloryba na brzeg.

Na tę wieść Harbert i Gedeon Spilett, którzy mieli właśnie wyruszyć na polowanie, odłożyli strzelby. Pencroff wypuścił z rąk siekiere, Cyrus Smith i Nab dołączyli do nich i wszyscy razem pobiegli na brzeg.

Wieloryb osiadł na plaży Cypla Znaleźziska, o trzy mile od Granitowego Pałacu, i to podczas przyływu. Prawdopodobnie zatem niełatwo mu będzie się wydostać z kłopotów i wrócić do morza. W każdym razie należało się spieszyć i w razie potrzeby odciąć mu drogę odwrotu.

Pobiegli więc co tchu z kilofami i okutymi oszczepami, przez most na Rzece Dziękczynienia, prawym brzegiem rzeki, potem wzdłuż plaży i po niespełna dwudziestu minutach znaleźli się przy olbrzymim zwierzęciu, nad którym roily się już całe chmary ptactwa.

— Co za potwór! — zawołał Nab.

Określenie było całkiem usprawiedliwione, był to bowiem wieloryb południowy długości osiemdziesięciu stóp, prawdziwy olbrzym, ważący co najmniej sto pięćdziesiąt tysięcy funtów.

Co dziwne, wieloryb nie poruszał się i nie próbował, szamocząc się, wrócić do morza, korzystając z trwającego przyływu. Zagadka ta wyjaśniła się wkrótce, gdy podczas odpływu koloniści obeszliz zwierzę dookoła.

Wieloryb już nie żył. Z lewego boku wystawał mu harpun.

— Czyżby w tych stronach pływali wielorybnicy?... — odezwał się Gedeon Spilett, ujrawszy harpun.

— A to dlaczego? — spytał marynarz.

— Bo ten harpun nadal tkwi w jego boku...

— Ech, panie Spilett, to niczego nie dowodzi — odparł Pencroff. — Widziano wieloryby, które przepłynęły tysiące mil z wbitym w ciało harpunem, i choćby ten został ugodzony na północnym Atlantyku, a przyplął zginąć tutaj na południu Pacyfiku, nie byłoby w tym nic dziwnego.

— Jednak... — zaczął Gedeon Spilett, którego wyjaśnienie Pencroffa niezbyt zadowalało.

— To najzupełniej możliwe — odpowiedział Cyrus Smith. — Obejrzyjmy jednak ten harpun. Możliwe, że zgodnie z rozpowszechnionym zwyczajem wryto na nim nazwę statku.

Istotnie, gdy Pencroff wyciągnął harpun z boku wieloryba, odczytał na nim następujący napis:

Maria Stella
*Vineyard*³⁰².

— Statek z Vineyard! Statek z moich stron! — zawołał marynarz. — „Maria Stella”! Wspaniały wielorybnik, na honor, znam go dobrze. Ach, przyjaciele, statek z Vineyard, wielorybnik z Vineyard!

Marynarz, potrząsając harpunem, powtarzał ze wzruszeniem nazwę tak bliską jego sercu, nazwę swoich rodzinnych stron.

Ponieważ jednak nie można się było spodziewać, aby „Maria Stella” przybyła upomnieć się o swoją zdobycz, postanowiono przystąpić do rozczwartowania zwierzęcia, zanim zacznie się rozkładać. Drapieżne ptaki, czatujące już od kilku dni na ten bogaty żer, chciały niezwłocznie się za niego zabrać i trzeba było odpędzić je wystrzałami.

Wieloryb był samicą i jego sutki dostarczyły znacznej ilości mleka, które zdaniem przyrodnika Dieffenbacha³⁰³ może uchodzić za mleko krowie, nie różni się bowiem od niego ani smakiem, ani barwą, ani gęstością.

³⁰²*Vineyard* — zapewne Martha's Vineyard, niewielka wyspa na Atlantyku, u wybrzeży amerykańskiego stanu Massachusetts; do lat 70. XIX w. jeden z ośrodków przemysłu wielorybniczego. [przypis edytorski]

³⁰³*Dieffenbach, Ernst* (1811–1855) — niemiecki przyrodnik i geolog, zajmujący się badaniami w Nowej Zelandii, autor książki *Travels in New Zealand* (Podróże po Nowej Zelandii, 1843). [przypis edytorski]

Pencroff służył niegdyś na statku wielorybniczym i stąd mógł metodycznie pokierować operacją ćwiartowania zwierzęcia. Praca była dosyć nieprzyjemna i trwała trzy dni, ale żaden z kolonistów się przed nią nie uchylał, nawet Gedeon Spilett, który według słów marynarza w końcu będzie mógł zostać „bardzo dobrym rozbitkiem”.

Tłuszcz pocięto w płyty grubości dwóch i pół stopy, potem podzielono na kawały ważące po jakieś tysiąc funtów, a następnie stopiono w wielkich glinianych naczyniach przyniesionych na miejsce ćwiartowania, gdyż koloniści nie chcieli, żeby odrażający zapach rozniósł się w okolicy Płaskowyżu Pięknego Widoku. W wyniku przetopienia tłuszcz stracił na wadze około jednej trzeciej. Było go jednak i tak ogromnie dużo: sam tylko ozór dał sześć tysięcy funtów oleju, a dolna warga — cztery tysiące. Oprócz tłuszczu, który zapewniał na długo zapas stearyny i gliceryny, był jeszcze fiszbin³⁰⁴, mogący się niewątpliwie przydać, pomimo że mieszkańcy Granitowego Pałacu nie nosili parasoli ani gorsetów. W górnej szczęce wieloryba tkwiło po obu stronach osiemset rogowych płytek, bardzo elastycznych, o włóknistej teksturze, wyostrzonych na końcach jak dwa wielkie grzebienie o zębach długich na sześć stóp. Służą one do zatrzymywania tysięcy żyjatek, małych rybek i mięczaków stanowiących pożywienie wieloryba.

Kiedy ku wielkiemu zadowoleniu kolonistów praca została skończona, szczątki zwierzęcia zostawiono ptakom, które zapewne nie zostawiły z nich nawet śladu, i mieszkańcy Granitowego Pałacu powrócili do przerwanych zajęć.

Przed powrotem do warsztatu okrętowego Cyrus Smith wpadł na pomysł zrobienia pewnych urządzeń, które wzbudziły żywe zaciekawienie jego towarzyszy. Wziął tuzin fiszbinów, pociął każdy na sześć równych kawałków i zaostrzył na końcach.

— A to, panie Cyrusie — spytał Harbert, gdy inżynier skończył — do czego będzie służyło?

— Do zabijania wilków, lisów, a nawet jaguarów — odpowiedział inżynier.

— Teraz?

— Nie, w zimie, gdy będziemy mieli lód do dyspozycji.

— Nie rozumiem... — powiedział Harbert.

— Zaraz zrozumiesz, mój chłopcze — odpowiedział inżynier. — Ta pułapka nie jest moim wynalazkiem. Używają jej często myśliwi aleucy³⁰⁵ w rosyjskiej Ameryce³⁰⁶. Władzicie te fiszliny, przyjaciele. Otóż, gdy przyjdzie mróz, zegnę mocno każdy z nich i będę polewał wodą, aż pokryją się grubą warstwą lodu, która nie pozwoliła im się rozprostować. Potem otoczę je warstwą tłuszczu i porozrzucam po śniegu. I co się stanie, kiedy jakieś zgłodniałe zwierzę połknie taką przynętę? Otóż ciepło w jego żołądku roztopi lód, a nagle rozprostowany fiszbin swymi zaostrozonymi końcami przebije wnętrzności.

— To mi pomysł co się zowie! — zawołał Pencroff.

— I zaoszczędzi nam kul i prochu — odpowiedział Cyrus Smith.

— To lepsze niż doły! — dodał Nab.

— Zaczekajmy więc do zimy!

— Zaczekajmy.

Tymczasem budowa statku posuwała się naprzód i pod koniec miesiąca połowa pozycja była gotowa. Widać już było po kształtach, że będzie się znakomicie trzymał na morzu.

Pencroff pracował z niezrównanym zapałem i tylko dzięki swej potężnej naturze wytrzymał wszystkie trudy. Ale towarzysze przygotowali mu w tajemnicy nagrodę za tyle wysiłków i 31 maja marynarz miał doznać jednej z największych radości w swoim życiu.

Tego dnia, pod koniec obiadu, w chwili gdy Pencroff podnosił się od stołu, poczuł, że ktoś położył mu dłoń na ramieniu.

Był to Gedeon Spilett, który powiedział:

— Chwileczkę, mistrzu Pencroffie, tak się nie odchodzi. Zapomniał pan o deserze?

³⁰⁴fiszbin (z niem. *Fischbein*: *Fisch*: ryba, *Bein* daw.: kość) — giętka, rogowa substancja tworząca płyty na podniebieniu wielorybów, z której dawniej wytwarzano usztywniające pręty w gorsetach i stanikach, pręty parasoli, uchwyty pejczy itp.; także: każda z takich płyt. [przypis edytorski]

³⁰⁵Aleuci — ogólna nazwa nadana rdzennym mieszkańcom Aleutów, Wysp Komandorskich oraz zach. części półwyspu Alaska. [przypis edytorski]

³⁰⁶rosyjska Ameryka — Alaska, która należała do Rosji, zanim w 1867 została sprzedana Stanom Zjednoczonym; bohaterowie trafili na wyspę w marcu 1865, wieloryb został wyrzucony na plażę na początku maja 1866. [przypis edytorski]

- Dziękuję, panie Spilett — odpowiedział marynarz. — Czas wracać do pracy.
- A może filiżankę kawy, przyjacielu?
- Dziękuję...
- A może fajeczkę?...

Pencroff podniósł się nagle i jego szeroka pocziwa twarz pobladła, gdy reporter podał mu nabitą fajkę, a Harbert — żarzący się węgielek.

Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł wykrztusić ani słowa, tylko nagle pochwycił fajkę, włożył do ust, a potem, przytknąwszy do niej węgielek, zaciągnął się raz po raz, pięć czy sześć razy.

W powietrze uniósł się błękitnawy kłęb wonnego dymu, a ze środka tego obłoczka dobiegał drżący ze wzruszenia głos, który powtarzał:

- Tytoń! Prawdziwy tytoń!
 - Tak jest, Pencroffie — odpowiedział Cyrus Smith — i to nawet doskonały tytoń!
 - O Boska Opatrzności! Stwórco potężny wszystkich rzeczy! — zawołał marynarz.
- Teraz już niczego nie brakuje na naszej wyspie!...

I palił, palił, palił!

— A kto dokonał tego odkrycia? — spytał wreszcie. — Pewnie ty, Harbercie?

— Nie, Pencroffie, to pan Spilett.

— Pan Spilett! — wykrzyknął marynarz, przyciskając do piersi reportera, który nigdy wcześniej nie doświadczył tak potężnego uścisku.

— Uff!... Pencroffie! — zawołał, chwytając wreszcie oddech. — Niech pan udzieli części swojej wdzięczności Harbertowi, który rozpoznał tę roślinę, Cyrusowi, który ją przyrzędził, i Nabowi, któremu tak trudno było utrzymać całą tę sprawę w tajemnicy...

— Odplacę się wam kiedyś, przyjaciele! — odpowiedział marynarz. — Teraz to już na śmierć i życie!...

ROZDZIAŁ XI

Zima. — Folowanie wełny. — Młyn. — Natrętna myśl Penroffa. — Fiszbiny. — Do czego może się przydać albatros? — Paliwo przyszłości. — Top i Jup. — Burze. — Zniszczenia w ptaszarni. — Wyprawa na bagna. — Cyrus Smith zostaje sam. — Badanie studni.

Zima nadeszła w czerwcu, który jest odpowiednikiem grudnia na półkuli północnej, i najważniejszym zadaniem było sporządzenie cieplej i trwałej odzieży.

Muflony z zagrody zostały już ostrzyżone, trzeba było teraz przetworzyć ich wełnę, cenny surowiec włókienniczy, w tkaninę.

Zrozumiałe, że Cyrus Smith, nie mając do dyspozycji gręplarek, czesarek, gładziarek, rozciągarek, skręcarek ani żadnych maszyn do przędzenia wełny, takich jak *mule-jenny*³⁰⁷ czy *self-acting*³⁰⁸, ani warsztatu tkackiego, musiał użyć dużo prostszych sposobów, żeby uniknąć ręcznego przędzenia i tkania. Postanowił wykorzystać właściwość włókien wełny polegającą na tym, że pod wpływem ugniatania w różnych kierunkach zbijają się i szepiają ze sobą, tworząc materiał zwany filcem. Filc można zatem otrzymać za pomocą prostego spłśnienia, czyli odpowiedniego zgniatania wełny, zwanego też folowaniem, co chociaż zmniejsza elastyczność tkaniny, powiększa za to jej zdolność zatrzymywania ciepła. Wełna muflonów składa się z bardzo krótkich włókien, co znacznie ułatwia jej spłśnienie.

Inżynier przy pomocy towarzyszy, łącznie z Pencroffem — który znów musiał odebrać się od swojego statku — rozpoczął czynności przygotowawcze, mające na celu oczyszczenie wełny z lepkiej i tłustej substancji, którą jest ona przesiąknięta, zwanej tłuszczopotem. Odtłuszczanie odbywało się w kadziach napełnionych wodą podgrzaną do temperatury siedemdziesięciu stopni. Wełna moczyła się w nich przez dwadzieścia cztery godziny, następnie prano ją dokładnie w wodzie z sodą. Gdy wełnę wyciśnięto i dostatecznie wysuszone, była w stanie nadającym się do folowania, to znaczy do przetworzenia

³⁰⁷*mule-jenny* (ang.) — przędzarka mulejowa, wykorzystująca jako napęd koło wodne, wynaleziona w 1779 w Anglii przez Samuela Cromptona. [przypis edytorski]

³⁰⁸*self-acting* (ang.) — właśc. *self-acting spinning mule*, automatyczna przędzarka mulejowa, opatentowana przez Richarda Robertsa w 1825. [przypis edytorski]

w mocną, choć zgrzebną tkaninę, która nie miałaby większej wartości w jakimkolwiek ośrodku przemysłowym Europy lub Ameryki, ale wysoko cenionej na „rynkach zbytu Wyspy Lincoln”.

Zrozumiałe, że tego rodzaj materiał musiał być znany w najdawniejszych czasach. I rzeczywiście, pierwsze tkaniny wełniane wyrabiano właśnie w sposób, którego zamierzał użyć Cyrus Smith.

Przy konstruowaniu maszyny do folowania wełny bardzo przydały się umiejętności inżynierskie Cyrusa. Dzięki nim potrafił zręcznie wykorzystać do napędzania folusza³⁰⁹ siłę mechaniczną wytwarzaną przez wodospad nadbrzeżny, dotychczas bezużyteczną.

Urządzenie było niezwykle proste: pień drzewa zaopatrzony w krzywki³¹⁰, które na przemian podnosiły i opuszczały pionowe tłuczki, koryta na wełnę, do których tłuczki opadały, wreszcie solidna drewniana rama, otaczająca i wiążąca całą konstrukcję. Tak wyglądała ta maszyna i taka była przez wieki, aż do chwili, gdy ludzie wpadli na pomysł zastąpienia tłuczków walcami ugniatającymi i poddania surowca nie już ubijaniu, ale walcowaniu.

Całe to działanie pod kierunkiem Cyrusa Smitha udało się znakomicie. Wełna, nasyciona uprzednio roztworem mydlanym, mającym z jednej strony zwiększyć poślizg, zmiękczyć włókna i ułatwić ich zbijanie się, a z drugiej zapobiec ich uszkodzeniom podczas tłuczenia, wyszła z folusza w postaci grubej filcowej płachty. Nierówności i prążki, istniejące z natury na każdym włókienku, tak dobrze się poszczepiały i pozaplątywały, że powstała tkanina dobra zarówno na odzież, jak i na koce. Widać było, że to nie merynos³¹¹, ani muslin, ani kaszmir szkocki, ani kort³¹², ani ryps³¹³, ani jedwab chiński czy orleański, ani alpaka³¹⁴, ani sukno, ani też flanela. Był to „filc linkolnijski”, a Wyspa Lincoln wzbogaciła się o kolejną gałąź przemysłu.

Koloniści zdobyli więc nie tylko dobrą odzież, ale i grube koce, toteż mogli bez obaw oczekiwać nadchodzącej zimy roku 1866–67³¹⁵.

Około 20 czerwca dały się rzeczywiście odczuć wielkie mrozy i Pencroff musiał z żalem przerwać budowę statku, który miał być skończony na wiosnę.

Marynarza opanowała uporczywa myśl, że musi odbyć podróż zwiadowczą na wyspę Tabor, pomimo że Cyrus Smith nie popierał tego pomysłu, wypływającego z czystej ciekawości. Było przecież oczywiste, że nie można się spodziewać znalezienia pomocy na tej bezludnej i niemal jałowej skale. Przeplnięcie stu pięćdziesięciu mil, stosunkowo niewielkim statkiem, przez nieznaną ocean — to sprawa mogąca wzbudzać pewne obawy. Co będzie, jeśli statek, wypłynąwszy na pełne morze, nie będzie mógł dopłynąć do wyspy Tabor ani powrócić na Wyspę Lincoln? Co by się z nim stało na środku Pacyfiku, który tak często nawiedzają huragany?

Cyrus Smith często omawiał ten projekt z Pencroffem i zwrócił uwagę na jego dziwny upór, z którego może sam marynarz nie zdawał sobie dobrze sprawy.

— Muszę wreszcie — powiedział do niego pewnego dnia inżynier — zwrócić panu uwagę, drogi przyjacielu, że po tylu pochwałach, jakimi obdarzał pan Wyspę Lincoln, po tylokrotnym zapewnianiu o żalu, jaki by pan czuł, gdyby trzeba było się z nią rozstać, teraz pan pierwszy pragnie ją opuścić.

— Opuścić tylko na kilka dni — odparł Pencroff — tylko na kilka dni, panie Cyrusie! Na tyle, ile wymaga droga tam i z powrotem i zobaczenie, co to za wysepka!

— Przecież nie może się równać z Wyspą Lincoln!

— Jestem tego z góry pewien.

— Po cóż więc ryzykować?

— Żeby się dowiedzieć, co się dzieje na wyspie Tabor.

³⁰⁹folusz — maszyna a. warsztat do folowania (spilśniania) wełny i tkanin. [przypis edytorski]

³¹⁰krzywka — element konstrukcji mechanicznej o zakrzywionej powierzchni roboczej, umożliwiający zmianę ruchu obrotowego w okresowy ruch posuwisty innego elementu. [przypis edytorski]

³¹¹merynos — tu: tkanina wełniana z runa owiec merynosów. [przypis edytorski]

³¹²kort — tkanina wełniana o skośnym splocie używana głównie na ubrania męskie. [przypis edytorski]

³¹³ryps — tkanina o podłużnych lub poprzecznych wypukłych prążkach. [przypis edytorski]

³¹⁴alpaka — lekka tkanina z wełny alpaka, peruwiańskich zwierząt podobnych do lam, popularna od poł. XIX w., używana gł. do wyrobu mundurów i wierzchnich ubiorów męskich. [przypis edytorski]

³¹⁵nadchodząca zima roku 1866–67 — niedopatrzenie autora: na półkuli południowej była to zima roku 1866, trwająca od czerwca do sierpnia; na przełom roku przypadają zimy na półkuli północnej. [przypis edytorski]

— Ależ tam się nic nie dzieje! Nic nie może się dziać!
— Kto to wie?
— A jeżeli złapie pana burza?
— Tego nie ma się co obawiać podczas ciepłej pory roku — odpowiedział Pencroff.
— Ponieważ jednak, panie Cyrusie, ponieważ należy wszystko przewidywać, prosiłbym pana o pozwolenie zabrania ze sobą w tę podróż Harberta.

— Pencroffie — odpowiedział inżynier, kładąc dłoń na ramieniu marynarza — gdyby się przytrafiło jakieś nieszczęście panu i temu chłopcu, którego los uczynił naszym synem, czy sądzi pan, że moglibyśmy kiedykolwiek się pocieszyć?

— Panie Cyrusie — odparł Pencroff z niewzruszoną ufnością — nie sprawimy wam nigdy tego zmartwienia. Zresztą, pomówimy jeszcze o tej podróży, gdy przyjdzie na nią czas. Poza tym jestem przekonany, że gdy tylko ujrzy pan nasz stateczek ukończony, tak dobrze zaopatrzony w maszty, liny i żagle, gdy zobaczy pan, jak się sprawuje na morzu, kiedy będziemy opływać naszą wyspę — bo zrobimy to razem — jestem przekonany, powiadam, że nie będzie się pan wahał puścić mnie w podróż. Nie ukrywam, że pański stateczek będzie prawdziwym arcydziełem!

— Niech pan przynajmniej powie: „nasz stateczek”, Pencroffie — odpowiedział inżynier, chwilowo całkiem rozbrojony.

Rozmowa, do której mieli wrócić później, skończyła się tym, że ani inżynier, ani marynarz nie zmienili swojego zdania.

Pod koniec czerwca spadł pierwszy śnieg. Zagroda już wcześniej została obficie zaopatrzona w paszę i nie trzeba było chodzić do niej codziennie, postanowiono jednak, iż ktoś będzie ją odwiedzał przynajmniej raz w tygodniu.

Ponownie zastawiono pułapki i zrobiono próbę z przyrządami zrobionymi przez Cyrusa Smitha. Zgięte fiszbiny, uwięzione w pokrowcu z lodu i pokryte grubą warstwą tłuszczu, rozrzucono na skraju lasu, w miejscu, które zwykle przechodziły zwierzęta, zmierzając do jeziora.

Ku wielkiemu zadowoleniu inżyniera wynalazek ten, zapożyczony od myśliwych aleuckich, sprawdził się doskonale. Złapano na niego tuzin lisów, kilka dzików, a nawet jaguara. Zwierzęta znaleziono martwe, z żołądkami przebitymi przez nagle wyprostowane fiszbiny.

W tym czasie koloniści podjęli działanie, o którym należy wspomnieć, była to bowiem pierwsza próba nawiązania kontaktu z innymi ludźmi.

Gedeon Spilett nieraz już myślał o tym, żeby wrzucić do morza list zamkniętej w butelce, którą prądy może zanieśli na jakiś zamieszkały brzeg, albo powierzyć wiadomość gołębiom. Ale czy naprawdę można było się spodziewać, że gołębie czy butelki zdołają przebyć przestrzeń oddzielającą wyspę od stałego lądu, odległość wynoszącą tysiąc dwieście mil? Czystym szaleństwem byłoby w to wierzyć.

Ale oto 30 czerwca schwymano z niemalym trudem cenną zdobycz, albatrosa, ranionego lekko w nogę strzałem Harberta.

Był to wspaniały ptak z rodziny tych wielkich żeglarzy, których rozpostarte skrzydła osiągają szerokość dziesięciu stóp i pozwalają im przebywać tak rozległe przestrzenie jak Pacyfik.

Harbert chętnie zatrzymałby pięknego ptaka. Rana albatrosa szybko się bowiem wygoiła i młodzieniec uważał, że da radę go oswoić. Ale Gedeon Spilett wytłumaczył mu, że nie wolno zmarnować okazji do porozumienia się przez takiego posłańca z innymi lądami na Pacyfiku. Harbert ustąpił, gdy zrozumiał, że jeżeli albatros przybył z jakiegoś zamieszkałego lądu, to gdy tylko odzyska wolność, z pewnością tam powróci.

Możliwe, że w głębi duszy Gedeon Spilett, w którym odzywała się niekiedy żyłka dziennikarska, miał po prostu ochotę wysłać na los szczęścia interesujący artykuł z opowieścią o przygodach kolonistów z Wyspy Lincoln. Cóż to byłby za sukces dla stałego reportera „New York Herald” i dla gazety, w której zamieszczono by podobną kronikę, gdyby kiedykolwiek dotarła do rąk wydawcy, czcigodnego Johna Bennetta³¹⁶!

³¹⁶Bennett, James Gordon, senior (1795–1872) — Amerykanin szkockiego pochodzenia, założyciel, redaktor i wydawca gazety „New York Herald” (1835). [przypis edytorski]

Gedeon Spilett zredagował więc treściwą notatkę, którą włożono do woreczka z mocnego, nagumowanego płótna, z dołączoną gorącą prośbą do każdego, kto ją znajdzie, aby ją odesłał do biura „New York Herald”. Woreczek przywiązano albatrosowi do szyi, a nie do nogi, ponieważ ptaki te mają zwyczaj odpoczywać na powierzchni morza. Po czym zwrócono wolność temu szybkiemu powietrznemu posłańcowi i koloniści nie bez wzruszenia patrzyli za nim, jak znika w dalekich mgłach na zachodzie.

— Dokąd leci? — spytał Pencroff.

— W stronę Nowej Zelandii — odpowiedział Harbert.

— Szczęśliwej podróży! — zawołał marynarz, który niewiele się spodziewał po tym sposobie korespondencji.

Z nadejściem zimy zabrano się znowu do prac we wnętrzu Granitowego Pałacu, do naprawy odzieży i do innych spraw, a między nimi do uszycia żagli dla statku, wykrojonych z powłoki balonu, stanowiącej niewyczerpane zapasy płótna.

Przez lipiec trwały silne mrozy, nie żalowano więc drzewa ani węgla. Cyrus Smith postawił drugi kominek w wielkiej sali i przed nim spędzali długie zimowe wieczory. Rozmawiali przy pracy, czytali w czasie odpoczynku i tak czas upływał z pożytkiem dla wszystkich.

Z prawdziwą przyjemnością siedzieli w jasno oświetlonej świecami i dobrze ogrzanej węglem sali, po pokrzepiającej kolacji, z parującą filiżanką kawy z bzu, otoczeni kłębammi wonnego dymu z fajek, słuchając, jak na zewnątrz szaleje burza. Odczuwaliby pełnię szczęścia, gdyby można było być szczęśliwym z dala od bliźnich i bez możliwości porozumiewania się z nimi.

Koloniści ciągle rozmawiali o swoim kraju, o przyjaciółach, których tam zostawili, o wielkości Republiki Amerykańskiej, której znaczenie mogło tylko wzrastać, a Cyrus Smith, głęboko zaangażowany w sprawy Unii, wzbudzał żywe zainteresowanie słuchaczy swoimi opowiadaniem, spostrzeżeniami i przewidywaniami.

Pewnego dnia zdarzyło się, że Gedeon Spilett w czasie rozmowy zapytał go:

— Ale przecież, drogi Cyrusie, czy całemu temu postępowi przemysłowemu i handlowemu, któremu wróży pan nieustający rozwój, nie grozi prędzej czy później całkowite zatrzymanie?

— Zatrzymanie?... A to dlaczego?

— Przez brak węgla, który można słusznie nazwać najcenniejszym z bogactw mineralnych.

— Tak, rzeczywiście najcenniejszym — odpowiedział inżynier. — I wydaje się, że sama przyroda chciała to potwierdzić, tworząc diamenty, które nie są niczym innym, jak tylko czystym, skryształizowanym węglem.

— Nie chce pan chyba powiedzieć, panie Cyrusie — wtrącił Pencroff — że pod kotłami będzie się palić diamentem zamiast węglem?

— Nie, przyjacielu — odpowiedział Cyrus Smith.

— Upieram się jednak przy swoim zdaniu — podjął znowu Gedeon Spilett. — Nie zaprzeczy pan przecież, że pewnego dnia węgiel całkowicie się wyczerpie.

— Ach! Pokłady węgla są jeszcze bardzo bogate, a sto tysięcy robotników wydobywających rocznie sto milionów kwintali metrycznych³¹⁷ jeszcze nieprędko je wyczerpie.

— Ale przy rosnącym tempie zużycia węgla kamiennego — odparł Gedeon Spilett — można przewidzieć, że z tych stu tysięcy robotników niedługo zrobi się dwieście tysięcy i że wydobyte się podwoi?

— Bez wątplenia, ale oprócz złóż europejskich, których eksploatację ułatwią wkrótce nowe maszyny, kopalnie Ameryki i Australii wystarczą jeszcze na długo na potrzeby przemysłu.

— Jak długo mniej więcej? — spytał reporter.

— Przynajmniej na dwieście pięćdziesiąt lub trzysta lat.

— No, dla nas to uspokajające — wtrącił znowu Pencroff — ale mocno niepokojące dla naszych praprawnuków!

— Znajdzie się coś innego — powiedział Harbert.

³¹⁷kwintal metryczny — pozaukładowa jednostka masy równa 100 kg. [przypisy edytorski]

— Trzeba mieć taką nadzieję — odparł Gedeon Spilett — bo bez węgla nie ma maszyn, a bez maszyn nastąpi koniec kolei żelaznych, parowców, hut, koniec wszystkiego, czego wymaga postęp współczesnego życia!

— Ale co znajdziemy zamiast tego? — spytał Pencroff. — Czy pan to sobie wyobraża, panie Cyrusie?

— Mniej więcej, przyjacielu.

— A więc czym będzie się palić zamiast węgla?

— Wodą — odpowiedział Cyrus Smith.

— Wodą?! — krzyknął Pencroff — Wodą będą rozgrzewać kotły parowców i lokomotyw, wodą grzać wodę?!...

— Nie inaczej, ale wodą rozłożoną na pierwiastki składowe — odpowiedział Cyrus Smith. — Rozłożoną bez wątpienia przez elektryczność, która będzie wówczas siłą potężną i łatwą w użyciu, gdyż wskutek jakiegoś niewytłumaczalnego prawa wszystkie wielkie odkrycia zdają się zbiegać ze sobą i w pewnym momencie nawzajem uzupełniać. Tak, przyjaciele, sądzę, że kiedyś woda będzie wykorzystywana jako paliwo, że wodór i tlen, z których się składa, użyte oddzielnie lub łącznie, staną się niewyczerpanym źródłem ciepła i światła, i to o sile, jakiej nie może mieć węgiel. Przyjdzie dzień, że ładownie parowców i tendry³¹⁸ lokomotyw zamiast węgla napełnione będą tymi dwoma sprężonymi gazami, które będą się palić w paleniskach z olbrzymią wydajnością kaloryczną. Tak więc nie ma się o co obawiać. Dopóki ziemia będzie zamieszkana, zaspokoi potrzeby swoich mieszkańców, nie zabraknie im nigdy światła ani ciepła, tak samo jak produktów roślinnych, mineralnych czy zwierzęcych. Dlatego sądzę, że gdy złoża węgla się wyczerpią, będziemy palić i grzać wodą. Woda jest węglem przyszłości.

— Chciałbym to zobaczyć — powiedział marynarz.

— Za wcześniej się urodziłeś, Pencroffie — wtrącił Nab i było to jedyne zdanie, jakie dorzucił do dyskusji.

Jednak to nie słowa Naba zakończyły rozmowę, tylko nagłe szczekanie Topa, w którym znów dało się słyszeć tę dziwną nutę, tak niepokojącą inżyniera. Jednocześnie pies kręcił się wokół otworu studni, znajdującego się na końcu wewnętrznego korytarza.

— Czemu Top znów tak szczeka? — spytał Pencroff.

— A Jup tak dziwnie mruczy? — dodał Harbert.

Rzeczywiście, orangutan przyłączył się do psa i wykazywał niedwuznaczne oznaki poruszenia, przy czym — co dziwne — obywa zwierzęta wydały się raczej zaniepokojone niż rozłoszczone.

— Widocznie — odezwał się Gedeon Spilett — studnia ma bezpośrednie połączenie z morzem i jakieś zwierzę morskie podpływa tu od czasu do czasu, żeby zaczerpnąć powietrza.

— To jasne — odpowiedział marynarz. — Inaczej nie można tego wyjaśnić. No spokój, Top — dodał, zwracając się do psa — a ty, Jup, do swojego pokoju!

Małpa i pies ucichły. Jup wrócił do swego posłania, ale Top pozostał w sali i przez cały wieczór głucho powarkiwał.

Nie wspominano więcej o tym zdarzeniu, zachmurzyło ono jednak czoło inżyniera.

Przez resztę lipca na przemian padał deszcz i chwycił mróz. Temperatura nie spadła tak bardzo jak poprzedniej zimy i nie przekroczyła ośmiu stopni Fahrenheita (13,33° Celsjusza poniżej zera). Ale chociaż zima była mniej surowa, to bardziej dokuczały burze i wichury. Znowu wystąpiły gwałtowne ataki morza, które kilkakrotnie wdarło się do Kominów. Patrząc na to, można było sądzić, że przyplływ morza, spowodowany jakimis wstrząsami podwodnymi, unosił gigantyczne fale i miotał nimi o mury Granitowego Pałacu.

Gdy koloniści, wychylając się z okien, obserwowali te olbrzymie masy wody rozbijające się przed ich oczyma, nie przestawali się zachwycać wspaniałym spektaklem bezsilnej wściekłości oceanu. Fale odskakiwały, pokrywając się olśniewająco białą pianą, całe wybrzeże znikalo pod tym wściekłym zalewem i wydawało się, że masyw skalny wynurza się z samego morza, którego bryzgi wznosiły się na wysokość ponad stu stóp.

Podczas tych sztormów pokonywanie jakiegokolwiek trasy na wyspie było nie tylko trudne, ale wręcz niebezpieczne, gdyż wicher często przewracał drzewa. Mimo to kolo-

³¹⁸tender — specjalny wagon kolejowy do przewozu węgla i wody dla parowozu. [przypis edytorski]

niści co tydzień odwiedzali zagrodę. Na szczęście, osłonięta od południowego wschodu Górą Franklina, nie ucierpiała zbytnio z powodu huraganu, który oszczędził tutaj drzewa, szopy i częstokół. Ale ptaszarnia, znajdująca się na Płaskowyżu Pięknego Widoku, a więc wystawiona bezpośrednio na ciosy wschodniego wiatru, doznała poważnych uszkodzeń. Z gołębnika dwukrotnie został zerwany dach, przewróciło się ogrodzenie. Wszystko to trzeba było naprawić i wzmocnić, ponieważ najwidoczniej Wyspa Lincoln leżała w najbardziej nieprzyjaznych okolicach Pacyfiku. Odnosiło się wręcz wrażenie, że znajduje się w samym środku ogromnych cyklonów, które smagają ją niczym bicz podkręcający dziecinnego bąka, tylko tutaj bąk stał nieruchomo, a kręcił się wiatr.

W pierwszym tygodniu sierpnia wichury nieco ucichły i atmosfera odzyskała spokój, który, zdawało się, utraciła na zawsze. Równocześnie spadła temperatura, znowu zrobiło się bardzo zimno, a słupek termometru zszedł do ośmiu stopni Fahrenheita poniżej zera (22° Celsjusza poniżej zera).

3 sierpnia doszła do skutku planowana od kilku dni wycieczka na południowy wschód wyspy, do Bagna Kazarek. Myśliwych nęciło ptactwo wodne, mające tam swoje zimowe siedliska. Na bagnach roiło się od dzikich kaczek, bekasów, rożeńców, cyranek, perkozów, postanowiono więc jeden dzień poświęcić na polowanie na te ptaki.

Nie tylko Gedeon Spilett i Harbert, ale także Pencroff i Nab wzięli udział w wyprawie. Jedynie Cyrus Smith pod pozorem jakiejś ważnej pracy nie dołączył do nich i pozostał w Granitowym Pałacu.

Myśliwi obiecali powrócić wieczorem i ruszyli drogą przez Przystań Balonową, kierując się w stronę bagien. Towarzyszyli im Top i Jup. Gdy tylko przeszli przez most na Rzece Dziękczynienia, inżynier podniósł go i powrócił do domu z zamiarem zrealizowania planu, z powodu którego chciał zostać sam.

Otóż plan ten polegał na dokładnym zbadaniu wewnętrznej studni, której otwór znajdował się na poziomie korytarza Granitowego Pałacu i która z pewnością łączyła się z morzem, ponieważ wcześniej odpływały nią wody z jeziora.

Dlaczego Top tak często kręcił się koło tego otworu? Dlaczego szczekał tak dziwnie, kiedy wiedziony jakimś niepokojem zbliżał się do studni? Dlaczego Jup podzielał niepokój Topa? Czyżby studnia miała jakieś odnogi oprócz pionowego szybu prowadzącego do morza? Czy może rozgałęziała się w stronę innych części wyspy? Tego właśnie chciał się dowiedzieć Cyrus Smith, a przede wszystkim chciał to wiedzieć sam. Dlatego postanowił podjąć próbę zbadania studni podczas nieobecności towarzyszy i właśnie teraz nadarzyła mu się odpowiednia okazja.

Łatwo było zejść aż na sam dół studni, korzystając z drabinki sznurowej, nieużywanej od czasu zainstalowania windy i mającej wystarczającą długość. Tak też zrobił inżynier. Przyciągnął drabinkę do otworu, którego średnica miała około sześciu stóp, przywiązał mocno górny koniec i spuścił ją w głąb. Następnie zapalił latarnię, wziął rewolwer, zatknął kordelas za pas i zaczął schodzić po pierwszych szczeblach.

Ściany studni były gładkie, tylko gdzieniegdzie widniały niewielkie występy skalne, dzięki którym jakaś zręczna istota mogłaby się wdrapać się aż do samego wylotu studni.

Inżynier zauważył to, ale przesuwał latarnię ponad występami i dokładnie się przyglądając, nie znalazł najmniejszego śladu, najmniejszego odłamania, które mogłoby wskazywać, że dawniej czy ostatnio ktoś się po nich wdrapywał.

Cyrus Smith zszedł jeszcze głębiej, oświetlając dokładnie ściany. Nie dostrzegł niczego podejrzanego.

Gdy doszedł do ostatnich szczebli, poczuł pod sobą wodę, której powierzchnia była w tej chwili zupełnie spokojna. Ani na poziomie wody, ani w żadnym innym miejscu studni nie było widać żadnego wejścia do bocznego korytarza, który się mógłby stanowić odgałęzienie prowadzące w głąb masywu. Ściana, w którą Cyrus Smith uderzył ręką kordelasa, wydawała się lita. Był to zwarty granit, przez który żadna żywa istota nie zdołałaby utorować sobie drogi. Aby dotrzeć na samo dno studni, a następnie wspiąć się na górę aż do jej wylotu, trzeba było przejść przez stale wypełniony wodą kanał łączący studnię z morzem poprzez podłoże skalne wybrzeża, a tego mogły dokonać tylko morskie zwierzęta. Natomiast kwestia, gdzie kończył się ten kanał, w którym miejscu wybrzeża i na jakiej głębokości, pozostała nierozwiązana.

Cyrus Smith, skończywszy swoje badania, powrócił na górę, wyciągnął drabinkę, zakrył z powrotem otwór studni i wrócił zamyślony do wielkiej sali Granitowego Pałacu, mówiąc do siebie:

— Nic nie widziałem, a jednak tam coś jest!

ROZDZIAŁ XII

Takielunek statku. — Napad lisów. — Jup ranny. — Pielęgnowanie. — Jup wyleczony. — Ukończenie budowy statku. — Tryumf Pencroffa. — „Bonawentura”. — Próbný rejs na południe od wyspy. — Niespodziewany dokument.

Tego samego wieczoru myśliwi powrócili z udanego polowania dosłownie obciążeni zdobyczą, tak że każdy dźwigał za czterech. Top miał na szyi zawieszony wianuszek rożeńców, a Jup był przepasany sznurem z nawleczonymi bekasami.

— Zobacz, mój panie! — zawołał na ten widok Nab. — Będzie czym zająć czas! Narobi się konserw, pasztetów i innych smacznych zapasów! Ale ktoś musi mi w tym pomóc. Liczę na ciebie, Pencroffie.

— Nie, Nabie — odparł marynarz. — Mam do zrobienia takielunek³¹⁹ stateczku, będziesz sobie musiał poradzić beze mnie.

— A pan, panie Harbercie?

— Ja, Nabie, muszę iść jutro do zagrody — odparł młodzieniec.

— Więc pan mi chyba pomoże, panie Spilett?

— Zrobię to dla ciebie, Nabie — odpowiedział reporter. — Ale uprzedzam cię, że jeśli ujawnisz mi swoje przepisy, to je opublikuję!

— Jak się panu podoba, panie Spilett — odparł Nab — jak się panu podoba!

W taki oto sposób nazajutrz Gedeon Spilett został pomocnikiem Naba i urządził się w jego pracowni kuchennej. Przedtem jednak inżynier powiedział mu o rezultacie swoich poszukiwań w studni, a reporter zgodził się całkowicie ze zdaniem Cyrusa Smitha, że chociaż niczego nie udało się znaleźć, nadal tkwi w tym jakaś tajemnica.

Mrozy trzymały jeszcze przez cały tydzień i koloniści opuszczali Granitowy Pałac tylko po to, żeby doglądać ptaszarni. Całe mieszkanie napełniło się smakowitymi zapachami, jakie roztaczały potrawy zmyślnie przygotowywane przez Naba i reportera. Nie zakonserwowano jednak całego plonu polowania na bagnach, lecz ponieważ podczas tak silnych mrozów mięso doskonale się przechowywało, koloniści zjadali dzikie kaczkę i inne ptactwo na świeżo i wszyscy uznali, że są smaczniejsze od wszystkich ptaków wodnych na świecie.

Przez ten tydzień Pencroff, korzystając z pomocy Harberta, zręcznie posługującego się igłą, pracował z takim zapałem, że ożaglowanie statku zostało ukończone. Lin konopnych nie zabrakło dzięki olinowaniu znalezionemu razem z powłoką balonu. Liny balonu i sznury siatki skrócone były z doskonałego materiału, który marynarz potrafił wykorzystać. Żagle zostały obrębione mocnymi sznurami i pozostało jeszcze dosyć materiału na fały³²⁰, wanty³²¹ i sztagi³²². Według wskazówek Pencroffa Cyrus Smith wykonał na tokarce potrzebne bloki.

Całe więc ożaglowanie gotowe było jeszcze przed ukończeniem statku. Pencroff sam zrobił nawet błękitno-czerwono-białą banderę³²³. barwników dostarczyły pewne rośliny barwierskie³²⁴, obficie występujące na wyspie. Do trzydziestu siedmiu gwiazd, lśniących na flagach Stanów Zjednoczonych i reprezentujących trzydzieści siedem stanów³²⁵, ma-

³¹⁹*takielunek* — osprzęt statku żaglowego: omasztowanie, olinowanie i ożaglowanie; w węższym znaczeniu: takielunek ruchomy, czyli wszystkie ruchome liny regulujące żagle, bloczki itp. osprzęt dający się łatwo demontować. [przypis edytorski]

³²⁰*fały* — liny służące do podnoszenia żagli lub ruchomych części omasztowania. [przypis edytorski]

³²¹*wanty* — liny stabilizujące maszt po bokach. [przypis edytorski]

³²²*sztagi* — liny zabezpieczające maszt przed wyginaniem się do przodu i do tyłu. [przypis edytorski]

³²³*bandera* — flaga morska wskazująca na państwową przynależność statku. [przypis edytorski]

³²⁴*barwierskie rośliny* — rośliny zawierające naturalne barwniki, wykorzystywane do barwienia tkanin, skóry, środków spożywczych. [przypis edytorski]

³²⁵*reprezentujących trzydzieści siedem stanów* — wg stanu pomiędzy 1 marca 1867 a 1 sierpnia 1876; obecne Stany Zjednoczone składają się z 50 stanów, z czego 8 przybyło w XIX, zaś 5 w XX wieku. [przypis edytorski]

rynarz dodał trzydziestą ósmą, gwiazdę „stanu Lincoln”, uważał bowiem, że wyspa jest już przyłączona do wielkiej republiki.

— Jest przyłączona sercem — mówił — nawet jeśli jeszcze nie faktycznie!

Na razie banderę wywieszono z głównego okna Granitowego Pałacu i koloniści pozdrowili ją trzykrotnym „hurra!”.

Zbliżyła się koniec pory chłodnej i wydawało się, że ta druga zima minie bez żadnego poważniejszego wydarzenia, gdy nagle 11 sierpnia w nocy nad Płaskowyżem Pięknego Widoku zawisła groźba zupełnego spustoszenia.

Po pracowitym dniu koloniści głęboko spali, gdy nagle około czwartej nad ranem zbudziło ich gwałtowne szczekanie Topa.

Tym razem pies nie szczekał przy otworze studni, ale przy drzwiach i rzucał się na nie, jakby je chciał otworzyć. Jup także wydawał przeraźliwe okrzyki.

— Co się stało, Top? — zawołał Nab, który zbudził się pierwszy.

Ale pies nie przestawał ujadać z rosnącą zaciekłością.

— Co tam? — spytał Cyrus Smith.

I wszyscy, ubrawszy się w pośpiechu, rzucili się do okien i otworzyli je.

Przed nimi roztaczała się pokrywa śnieżna, której biel ledwie majaczyła w ciemnościach nocy. Koloniści nic nie zobaczyli, ale usłyszeli dziwne szczekanie dobiegające z mroku. Było oczywiste, że wybrzeże zostało opanowane jakieś zwierzęta, których w ciemnościach nie można było rozpoznać.

— Co to jest? — wykrzyknął Pencroff.

— Wilki, jaguary albo małpy! — odpowiedział Nab.

— Do diabła! Przecież mogą się dostać na płaskowyż! — powiedział reporter.

— A nasza ptaszarnia! — zawołał Harbert. — Nasze plantacje!

— Którędy się tu dostały? — spytał Pencroff.

— Przez mostek na wybrzeżu — odparł inżynier. — Widocznie któryś z nas zapomniał go podnieść.

— Rzeczywiście — powiedział Gedeon Spilett. — Przypominam sobie, że zostawiłem opuszczony.

— A to się pan pięknie spał, panie Spilett! — krzyknął marynarz.

— Co się stało, to się nie odstanie — odpowiedział Cyrus Smith. — Pomyślmy lepiej, co teraz zrobić!

Takie pytania i odpowiedzi szybko przelatywały z ust Cyrusa i jego towarzyszy. Jedno było pewne: jakieś zwierzęta przeszły przez opuszczony mostek, opanowały wybrzeże i jakiegokolwiek one były, mogły lewym brzegiem Rzeki Dziękczynienia dotrzeć na Płaskowyż Pięknego Widoku. Należało więc je wyprzedzić i pokonać w razie potrzeby.

— Ale co to za zwierzęta? — zapytał ktoś po raz drugi, gdy ponownie rozległo się szczekanie, głośniejsze niż przedtem.

Na ten dźwięk Harbert zadrzał i przypomniał sobie, że słyszał już takie szczekanie w czasie swojej pierwszej wizyty u źródeł Czerwonego Potoku.

— To lisy kolpeo! — zawołał.

— Naprzód! — krzyknął marynarz.

I wszyscy, pochwyciwszy za topory, karabiny i rewolwery, rzucili się do windy i wkrótce stanęli na wybrzeżu.

Lisy kolpeo, gdy jest ich wiele i są rozdrażnione głodem, są bardzo niebezpieczne. Mimo to koloniści bez wahania skoczyli w sam środek gromady i pierwsze strzały z rewolwerów, rzucające nagle błyskawice w ciemności, zmusiły napastników do cofnięcia się.

Najważniejszym zadaniem było nie dopuścić do tego, by rabusie przedostali się na Płaskowyż Pięknego Widoku, ponieważ plantacje i ptaszarnia znalazłyby się na ich łasce. Z tego niewątpliwie wynikłyby ogromne szkody, być może nie do naprawienia, szczególnie jeśli chodzi o zasiewy zbóż. Ponieważ zaś wdrzeć się na płaskowyż mogły tylko od strony lewego brzegu Rzeki Dziękczynienia, wystarczyło więc zatarasować im drogę na tym wąskim odcinku wybrzeża, pomiędzy rzeką a granitową ścianą.

Wszyscy od razu to zrozumieli i na rozkaz Cyrusa pobiegli we wskazane miejsce, podczas gdy gromada lisów miotła się w ciemności.

Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Harbert, Pencroff i Nab rozstawili się tak, aby utworzyć linię nie do przebycia. Top z otwartą, przerażającą paszczą poprzedzał kolonistów, a za nim podążał Jup uzbrojony w sękatą pałkę, którą wywijał jak maczugą.

Noc była tak ciemna, że tylko przy świetle wystrzałów, z których żaden nie chybiał, można było dostrzec napastników. Była ich co najmniej setka, a ich ślepie świeciły jak rozżarzone węgle.

— Nie wolno ich przepuścić! — zawołał Pencroff.

— I nie przepuścimy — odpowiedział inżynier.

Jeżeli jednak lisy nie przeszły, to nie dlatego, że nie próbowały. Ostatnie szeregi napierały na pierwsze i koloniści musieli bez wytchnienia walczyć strzałami z rewolwerów i ciosami toporów. Wiele ciał lisów zaścierało ziemię, ale gromada wcale się nie zmniejszała. Wyglądało na to, że przez mostek na wybrzeżu ciągle przybywają nowe posiłki.

Wkrótce koloniści musieli walczyć wręcz i nie obyło się bez kilku ran, na szczęście lekkich. Harbert strzałem z rewolweru uwolnił Naba, któremu jeden lis skoczył na plecy jak tygrys. Top walczył z prawdziwą furją, skacząc lisom do gardła i dusząc je gwałtownie. Uzbrojony w pałkę Jup tłukł na ślepo i nie dawał się odciągnąć do tyłu. Obdarzony wzrokiem pozwalającym widzieć w ciemnościach, wpadał w miejsce najzacieklejszej walki i od czasu do czasu wydawał ostry gwizd, co było u niego oznaką największej radości. W pewnej chwili tak się nawet zapędził, że przy świetle wystrzału można go było ujrzyć otoczonego przez pięć czy sześć wielkich lisów, którym stawiał czoło z niezwykle zimną krwią.

Po dwóch długich godzinach walka skończyła się zwycięstwem kolonistów. Pierwsze rozbłyśki świtu najwyraźniej skłoniły napastników do odwrotu; lisy umknęły na północ przez mostek, który Nab natychmiast podniósł za nimi.

Gdy rozwidniło się dostatecznie, koloniści naliczyli na polu walki około pięćdziesięciu zabitych lisów rozrzuconych po wybrzeżu.

— A Jup?! — zawołał Pencroff. — Gdzie jest Jup?

Jup zniknął. Nab wołał go, ale po raz pierwszy Jup nie odpowiedział na wezwanie swego przyjaciela.

Wszyscy ruszyli na poszukiwanie Jupa, drżąc z obawy, że może nie żyje. Oczyszczono teren z trupów, które plamiły śnieg krwią, i znaleziono Jupa. Leżał pod górą lisów, których pogruchothane pyski i połamane żebra świadczyły, że zetknęły się ze strasliwą pałką nieustraszonego orangutana. Biedny Jup trzymał jeszcze w ręku kawałek złamanej pałki. Widocznie pozbawiony broni, uległ przeważającej liczbie napastników. Na jego piersi ciemniały głębokie rany.

— Żyje! — zawołał Nab pochylony nad nim.

— Uratujemy go — odpowiedział marynarz. — Będziemy go pielęgnować, jakby był jednym z nas.

Zdawało się, że Jup zrozumiał te słowa, bo skłonił głowę na ramię Pencroffa, jakby chciał mu podziękować. Marynarz sam był ranny, ale jego obrażenia, tak jak i jego towarzyszy, były powierzchowne, gdyż dzięki broni palnej przeważnie mogli trzymać napastników na dystans. Tylko orangutan był w ciężkim stanie.

Nab i Pencroff przynieśli go na rękach aż do windy. Przez cały czas z jego piersi wydarł się zaledwie jeden słaby jęk. Wciągnięto go ostrożnie do Granitowego Pałacu. Tu złożono go na materacu zdjętym z jednego z posłań i obmyto troskliwie jego rany. Nie wydawało się, żeby naruszony był jakiś ważny organ, ale Jup był bardzo osłabiony z powodu utraty krwi i wkrótce dostał wysokiej gorączki.

Opatrzono go więc, pozostawiono na posłaniu i poddano ścisłej diecie, „zupełnie jak prawdziwego człowieka”, jak się wyraził Nab. Następnie dano mu do wypicia kilka filiżanek orzeźwiającej tyzany³²⁶, do której składników dostarczyła apteczka Granitowego Pałacu.

Zasnął niespokojnym snem, powoli jednak jego oddech stał się bardziej regularny i pozostawiono go, żeby spokojnie odpoczywał. Od czasu do czasu Top, skradając się jakby „na palcach”, przychodził do przyjaciela i zdawał się pochylać opiekę, jaką go otaczano. Ręka Jupa zwisła z łóżka, a Top lizał ją z żalną miną.

³²⁶tyzana (daw., z fr.) — ziółka, leczniczy napar z suszonych roślin. [przypis edytorski]

Tego samego poranka przystąpiono do pogrzebania ciał lisów, które zaciągnięto do Lasu Dalekiego Zachodu i tam zakopano głęboko.

Napad, który mógł mieć tak poważne następstwa dla kolonistów, był dla nich nauką i odtąd nie kładli się spać, dopóki jeden z nich nie upewnił się, że wszystkie mosty zostały podniesione i wszelka napaść jest niemożliwa.

Tymczasem Jup, którego stan przez kilka dni budził poważne obawy, zaczął zdrowieć. Jego silny organizm zwyciężył, gorączka powoli spadała i Gedeon Spilett, znajdując się trochę na medycynie, uznał wkrótce, że niebezpieczeństwo minęło. 16 sierpnia Jup zaczął jeść. Nab przyrządzał dla niego małe słodkie przysmaki, którymi chory zjadał się z przyjemnością, gdyż jeśli miał jakąś drobną wadę, to tę, że był nieco łakomy, a Nab nigdy nie starał się go z tego wyleczyć.

— Czego pan chce? — mawiał do Gedeona Spiletta, robiącego mu wyrzuty, że rozpyszca orangutana. — Czego pan chce? Przecież biedny Jup nie ma innej przyjemności niż ta, że czasem zje coś smacznego, a ja czuję się szczęśliwy, że mogę choć w ten sposób wynagrodzić jego usługi.

Po dziesięciu dniach w łóżku, 21 sierpnia, pan Jup wstał. Rany się zabliznyły i widać było, że wkrótce odzyska swoją zwykłą zręczność i siłę. Jak wszyscy rekonwalescenci był niesamowicie głodny. Reporter pozwolił mu jeść, co zechce, ufając, że instynkt, którego często brak istotom rozumnym, uchroni orangutana przed nadmiernym obżarstwem. Naba zachwycał powrót apetytu u jego wychowanka.

— Jedz — mówił do niego — jedz, mój Jupie, nie żałuj sobie niczego. Przelełeś za nas swoją krew, to muszę chociaż ci pomóc, żeby ci przybyło nowej!

25 sierpnia usłyszano głos Naba przywołujący resztę towarzyszy:

— Panie Cyrusie, panie Gedeonie, panie Harbercie, Pencroffie, chodźcie, chodźcie!

Koloniści, zgromadzeni w wielkiej sali, zerwali się na wezwanie Naba i pobiegli do pokoju Jupa.

— Co się stało? — spytał reporter.

— Patrzcie, panowie! — odpowiedział Nab, wybuchając śmiechem.

I co ujrzeli? Pana Jupa, który siedząc po turecku w drzwiach Granitowego Pałacu, ze spokojem i powagą palił fajkę.

— Moja fajka! — zawołał Pencroff. — On wziął moją fajkę! Ach, mój dzielny Jupie, daruję ci ją! Pal, mój przyjacielu, pal!

A Jup puszczał gęste kłęby dymu, co zdawało się sprawiać mu niezrównaną przyjemność.

Cyrusa Smitha bynajmniej to nie zadziwiło i przytoczył kilka przykładów oswojonych małp, dla których palenie tytoniu stało się nałogiem.

Od tego dnia pan Jup miał własną fajkę, dawną fajkę marynarza, która wisiała w jego pokoju wraz z zapasem tytoniu. Sam ją sobie nabijał, zapalał od żarzącego się węgielka i zdawał się być najszczęśliwszym z czwororękich stworzeń. Łatwo się domyślić, że ta wspólnota gustów zacieśniła więzy serdecznej przyjaźni łączące już od dawna znaną małpę i pocziwego marynarza.

— A może to człowiek? — mawiał nieraz Pencroff do Naba. — Czy się bardzo byś się zdziwił, gdyby pewnego dnia Jup do nas przemówił?

— Na Boga, nie — odpowiadał Nab. — Jeżeli mnie coś dziwi, raczej właśnie to, że nie mówi, bo właściwie tylko mu brakuje.

— A wiesz, to by było zabawne — ciągnął dalej marynarz — gdyby pewnego dnia odezwał się do mnie: „A może byśmy się zamienili fajkami, Pencroffie?”.

— O tak — odparł Nab. — Co za szkoda, że jest niemy od urodzenia!

We wrześniu zima skończyła się ostatecznie i z nowym zapalem podjęto dalsze prace.

Budowa statku szybko posuwała się naprzód. Poszycie³²⁷ było już gotowe, a wszystkie wewnętrzne elementy kadłuba solidnie połączone z wręgami, wygiętymi na gorąco w parze i w pełni dopasowanymi do modelu.

Ponieważ drzewa było pod dostatkiem, Pencroff zaproponował inżynierowi, żeby wewnątrz kadłuba zrobić dodatkową szczelną powłokę, co zapewniłoby statkowi większą wytrzymałość.

³²⁷ poszycie — zewnętrzna, szczelna powłoka kadłuba jednostki pływającej. [przypis edytorski]

Cyrus Smith nie wiedząc, co ich czeka w przyszłości, zgodził się na pomysł marynarza, żeby statek był jak najmocniejszy.

Dodatkowe poszycie i pokład zostały całkowicie ukończone około 15 września. Do zatkania szpar użyto pakul z suchej trawy morskiej, które wbito młotkiem pomiędzy deski kadłuba, powłoki wewnętrznej i pokładu. Następnie zalano szpary gorącą smołą, której sosny dostarczyły w obfitości.

Wyposażenie statku było bardzo proste. Przede wszystkim napełniono go balastem, składającym się z ciężkich kawałów granitu, połączonych ze sobą zaprawą, ważących ogółem około dwunastu tysięcy funtów. Następnie nad balastem postawiono pokład, a wewnątrz statku podzielono na dwie kajuty, wzdłuż których ciągnęły się ławki, służące zarazem za skrzynie. Pięta masztu stanowiła jednocześnie filar podtrzymujący przepierzenie dzielące obydwie kajuty, do których wchodziło się przez dwa luki znajdujące się na pokładzie i zaopatrzone w pokrywy.

Pencroff nie miał trudności ze znalezieniem drzewa przydatnego na maszt. Wybrał do tego celu młody świerk, prosty, bez sęków, który trzeba było tylko ociosać w kwadrat u spodu, a zaokrąglić u góry. Okucia masztu, steru i kadłuba zrobiono w kuźni w Kominach prymitywnie, ale solidnie. Wreszcie reje, stenga³²⁸, zapasowe drzewo na maszty, wiosła i tak dalej — wszystko to ukończono w pierwszym tygodniu października i uzgodniono, że statek powinien zostać wypróbowany w pobliżu wyspy, aby przekonać się, jak będzie się sprawował na morzu i na ile można mu zaufać.

Przez cały ten czas nie zostały bynajmniej zaniedbane inne niezbędne prace. Zagrodę przebudowano, ponieważ stado muflonów i kozic powiększyło się już o pewną ilość potomstwa, które trzeba było gdzieś pomieścić i wyżywić. Koloniści nie zapominali także o parku ostryg, ani o królikarni, ani o pokładach węgla i rudy żelaza, ani wreszcie o odwiedzeniu kilku dotychczas niezbadanych jeszcze części Lasu Dalekiego Zachodu, bogatych w zwierzynę łowną.

Odkryto nowe gatunki miejscowych roślin, które nawet jeśli nie nadawały się do natychmiastowego użytku, to urozmaiciły przynajmniej zasoby Granitowego Pałacu. Były to różne okazy przypołudnikowatych, niektóre podobne do rosnących na Przylądku Dobrej Nadziei, o mięsistych, jadalnych liściach, inne zaś mające ziarna zawierające coś w rodzaju mąki.

10 października spuszczone statek na morze. Pencroff promieniał. Wszystko udało się doskonale. Statek w pełnym ożaglowaniu zepchnięto na rolkach na sam skraj wybrzeża, skąd pochwyciło go przybierające morze, i popłynął na falach przy oklaskach kolonistów, a zwłaszcza Pencroffa, który nie wykazywał przy tej okazji ani odrobiny skromności. Zresztą miał dodatkowy powód do dumy, nawet po zbudowaniu statku, gdyż powierzono mu dowodzenie nim. Jednogłośnie przyznano mu stopień kapitana.

Aby zadowolić kapitana Pencroffa, trzeba było przede wszystkim nadać statkowi nazwę. Po długim przedyskutowaniu wielu propozycji przegłosowano nazwę „Bonawentura”, będącą zarazem chrestnym imieniem pocziwego marynarza.

Gdy tylko przyплыw morza uniósł „Bonawenturę”, od razu można było zauważyć, że statek doskonale utrzymuje się na wodzie i powinien dobrze pływać z różnymi szybkościami.

Zresztą jeszcze tego samego dnia miał się odbyć próbny rejs na otwartym morzu. Pogoda była przepiękna, wiał chłodny wietrzyk, morze sprzyjające żegludze, zwłaszcza przy południowym wybrzeżu, gdyż od godziny wiał wiatr północno-zachodni.

— Na pokład, na pokład! — wołał kapitan Pencroff.

Ale przed wypłynięciem trzeba było zjeść śniadanie i wydawało się nawet rozsądne, żeby zabrać ze sobą trochę żywności na wypadek, gdyby wycieczka miała się przeciągnąć do wieczora.

Cyrusowi Smithowi również spieszyło się wypróbować statek, do którego przecież wykonał plany, choć za radą marynarza często zmieniał rozmaite szczegóły. Nie miał jednak tyle zaufania do statku, co Pencroff, a ponieważ marynarz nie mówił już o podróży na wyspę Tabor, Cyrus Smith miał nadzieję, marynarz odstąpił od tego pomysłu. Z wielką niechęcią zgodziłby się na to, żeby dwaj czy trzej jego towarzysze mieli zaryzykować

³²⁸stenga — drugi licząc od pokładu segment wieloczołowego masztu na żaglowcu. [przypis edytorski]

wypłynięcie gdzieś dalej tym stateczkiem, tak niewielkim, mającym zaledwie piętnaście ton wyporności.

O wpół do jedenastej wszyscy znaleźli się na pokładzie, nawet Jup i Top. Nab i Harbert podnieśli kotwicę, tkwiącą w piasku w pobliżu ujścia Rzeki Dziękczynienia, podniesiono żagiel, wywieszono flagę linkolnijką i „Bonawentura”, sterowany przez Pencroffa, wypłynął na morze.

Ażeby wyjść z Zatoki Stanów Zjednoczonych, trzeba było najpierw złapać przeciwny wiatr, co dało kolonistom możliwość przekonania się, że w takich warunkach szybkość statku była zadowalająca.

Po okrążeniu Cypla Znaleźnika i Przylądka Szponu Pencroff musiał się trzymać blisko lądu, płynąc wzdłuż południowego brzegu wyspy. Po kilku zwrotach zauważył, że „Bonawentura” bierze wiatr w pięciu rumbach³²⁹ i nie daje się znosić. Statek dobrze skręcał pod przednim wiatrem, miał „zryw”, jak mówią marynarze, i podczas obrotu potrafił zwiększać szybkość.

Pasażerowie „Bonawentury” byli zachwyceni. Mieli dobry statek, który w razie potrzeby mógł oddać im wielkie usługi, a poza tym przejażdżka w tak pogodnym dniu i przy tak pomyślnym wietrze sprawiała im prawdziwą przyjemność.

Pencroff skierował się na pełne morze, trzy czy cztery mile od wybrzeża, naprzeciw Przystani Balonowej. Wówczas wyspa ukazała się im w całej okazałości i w nowej postaci, z malowniczą panoramą wybrzeża od Przylądka Szponu do Jaszczurczego Cypla, z pięknymi lasami, w których drzewa iglaste wyróżniały się wśród młodego listowia innych drzew, pączkujących zaledwie, z panującą nad okolicą Górą Franklina, której szczyt wieńczyły śniegi.

— Jakie to piękne! — zawołał Harbert.

— O tak, nasza wysepka jest piękna i dobra — odpowiedział Pencroff. — Kocham ją, jak kochałem moją biedną matkę. Przyjęła nas, ubogich i pozbawionych wszystkiego, a teraz czegoś brakuje jej pięciorgu dzieciom, które spadły jej z nieba?

— Niczego! — odpowiedział Nab. — Niczego, kapitanie!

I dwaj pocziwcy wzniesli trzykrotnie potężne „hurra!” na cześć swojej wyspy.

W tym czasie Gedeon Spilett oparty o podstawę masztu szkicował ołówkiem panoramę rozciągającą się przed jego oczyma.

Cyrus Smith rozglądał się w milczeniu.

— No, panie Cyrusie — odezwał się do niego Pencroff — co pan powie o naszym statku?

— Zdaje się, że dobrze się spisuje — odpowiedział inżynier.

— Doskonale. Czy teraz sądzi pan, że można by na nim zaryzykować dłuższą podróż?

— Jaką podróż, Pencroffie?

— Na wyspę Tabor, na przykład.

— Przyjacielu — odpowiedział Cyrus Smith — sądzę, że gdyby zaszła pilna konieczność, powinniśmy bez wahania zawierzyć „Bonawenturze” nawet na dłuższy dystans. Ale wie pan, z jakim niepokojem przyjąłbym pana podróż na wyspę Tabor, ponieważ nic pana do tego nie zmusza.

— Dobrze jest znać swoich sąsiadów — odparł Pencroff, obstając przy swoim pomysśle. — Wyspa Tabor to nasza sąsiadka, i to jedyna! Grzeczność wymaga, aby przynajmniej złożyć jej wizytę.

— Do licha! — odezwał się Gedeon Spilett. — Nasz przyjaciel Pencroff stoi jak mur przy konwenansach.

— Ja przy niczym nie stoję — odciął się marynarz, którego sprzeciw inżyniera nieco drażnił, ale nie chciał mu sprawiać przykrości.

— Niech pan pomyśli, Pencroffie — odpowiedział Cyrus Smith — że nie może pan udać się sam na wyspę Tabor.

— Jeden towarzysz mi wystarczy.

— Zgoda — odparł inżynier. — Rzykuje pan więc pozbawienie kolonii Wyspy Lincoln dwóch z pięciu kolonistów?

³²⁹*rumb* — jednostka miary kąta uzyskana przez podział okręgu na 32 części, czyli kąta prostego na 8 części, dawniej powszechnie używana w nawigacji morskiej; jeden rumb = 11,25°. [przypis edytorski]

- Z szczęściu — odpowiedział marynarz. — Zapomniał pan o Jupie.
- Z siedmiu — dodał Nab. — Top liczy się tak samo jak inni.
- Nie ma w tym żadnego ryzyka, panie Cyrusie — podjął znowu Pencroff.
- Być może, Pencroffie. Ale powtarzam panu, że to narażanie się bez potrzeby.

Uparty marynarz nic nie odpowiedział i przerwał rozmowę, ale miał silne postanowienie powrócić do niej później. Nie spodziewał się, że wkrótce przyjdzie mu z pomocą przypadek, który zmieni jego zamiar, będący dotąd tylko nieuzasadnioną zachcianką, w akt humanitaryzmu.

Po żegludze na pełnym morzu „Bonawentura” zbliżył się do brzegu, kierując się do Przystani Balonowej. Trzeba było zbadać przejście pomiędzy ławicami piasku a rafami, żeby w razie potrzeby je oznakować, ponieważ zatoczka miała być portem macierzystym statku.

Znajdowali się o pół mili od wybrzeża i trzeba było lawirować, żeby płynąć pod wiatr. „Bonawentury” płynął teraz dość wolno, gdyż wiatr, częściowo powstrzymany przez wysoki brzeg, ledwie wydymał żagle, a morze, gładkie jak lustro, marszczyło się tylko pod wpływem kapryśnych podmuchów bryzy.

Harbert stał na dziobie, żeby wskazywać drogę między przesmykami. Nagle krzyknął:

— Z wiatrem, Pencroffie, z wiatrem!

— O co chodzi? — spytał marynarz, podnosząc się. — Skala?

— Nie... czekaj... — odpowiedział Harbert. — Nie widzę jeszcze dobrze... Skręć no jeszcze... Dobrze... Trochę bliżej...

Mówiąc to, Harbert położył się na pokładzie, zanurzył szybko rękę w wodzie, po czym podniósł się, wołając:

— Butelka!

W rękę trzymał zakorkowaną butelkę, którą pochwycił zaledwie kilka kabli od brzegu.

Cyrus Smith wziął butelkę. Nie mówiąc ani słowa, wyciągnął korek i wyjął z niej wilgotny papier, na którym było napisane:

Rozbitek... Wyspa Tabor: 153° dług. zach. 37° 11' szer. płd.

ROZDZIAŁ XIII

Wyjazd postanowiony. — Przypuszczenia. — Przygotowania. — Trzej pasażerowie. — Pierwsza noc. — Druga noc. — Wyspa Tabor. — Poszukiwania na wybrzeżu. — Poszukiwania w lesie. — Nie ma nikogo. — Zwierzęta. — Rośliny. — Domostwo. — Opuszczone.

— To jakiś rozbitek, opuszczony na wyspie Tabor, tylko kilkaset mil od nas! — zawołał Pencroff. — Ach, panie Cyrusie, teraz już nie będzie się pan sprzeciwiał mojemu projektowi.

— Nie, Pencroffie — odparł Cyrus Smith. — Niech pan jedzie, i to jak najprędzej.

— Więc jutro?

— Niech będzie jutro.

Inżynier trzymał jeszcze w rękę papier wydobyty z butelki. Zastanawiał się nad nim przez kilka chwil, po czym powiedział:

— Z tego dokumentu, przyjaciele, z samej formy, w jakiej został spisany, należy wysnuć następujące wnioski: po pierwsze, rozbitek z wyspy Tabor jest człowiekiem posiadającym dość dużą wiedzę żeglarską, skoro podaje długość i szerokość geograficzną wyspy zgodne co do minuty z tymi, jakie znaleźliśmy w atlasie; po drugie, jest z pochodzenia Anglikiem lub Amerykaninem, gdyż dokument jest napisany w języku angielskim.

— To całkiem logiczne — odezwał się Gedeon Spilett — i obecnością tego rozbitka można wyjaśnić, skąd się wzięła skrzynia wyrzucona na brzeg naszej wyspy. Musiała wydarzyć się katastrofa, skoro jest rozbitek. Jeśli zaś chodzi o niego, to kimkolwiek jest, ma szczęście, że Pencroffowi przyszło do głowy wybudować statek i wypróbować go właśnie dziś, bo jeden dzień później, a butelka mogła się rozbić o skały.

— Rzeczywiście — powiedział Harbert — to szczęśliwy traf, że „Bonawentura” nadpłynęła właśnie w chwili, gdy butelka unosiła się jeszcze po wodzie.

— Nie wydaje się to panu dziwne? — zapytał Cyrus Smith Pencroffa.

— Tylko bardzo pomyślne — odparł marynarz. — Cóż pan w tym widzi nadzwyczajnego, panie Cyrusie? Butelka musiała przecież dokądś popłynąć, tak samo dobrze tutaj, jak gdzieś indziej.

— Może ma pan rację, Pencroffie — odparł inżynier — a jednak...

— Ale nie ma żadnego śladu świadczącego o tym, że butelka już od dłuższego czasu pływała po morzu — zauważył Harbert.

— Żadnego — odparł Gedeon Spilett. — Nawet dokument wydaje się świeżo spisany. Co pan o tym sądzi, Cyrusie?

— Trudno to ocenić, a zresztą wkrótce się o tym dowiemy! — odparł Cyrus Smith.

Podczas tej rozmowy Pencroff nie próżnował. Zrobił zwrot i „Bonawentura”, prując fale, mknął pod pełnymi żaglami w kierunku Przylądka Szponu. Każdy myślał o rozbitku z wyspy Tabor. Czy nie jest za późno na ratunek? Było to wielkie wydarzenie w życiu kolonistów. Oni sami byli także rozbitkami, ale można się było obawiać, że tamtemu szczęście mniej sprzyjało, więc ich obowiązkiem było pospieszyć z pomocą nieszczęśliwemu.

Oplynęli dokoła Przylądka Szponu i o czwartej po południu „Bonawentura” rzucił kotwicę u ujścia Rzeki Dziękczynienia.

Tego wieczora omówiono szczegóły nowej wyprawy. Zdawało się najwłaściwsze, aby wzięli w niej udział tylko Pencroff z Harbertem, którzy znali się żeglowaniu. Wyruszywszy nazajutrz, czyli 11 października, mogli dotrzeć na miejsce trzynastego za dnia, gdyż przy panującym wietrze pokonanie stu pięćdziesięciu mil zajęłoby nie więcej niż czterdzieści osiem godzin. Licząc jeden dzień pobytu na wyspie, a trzy czy cztery dni na powrót, można było zakładać, że 17 października będą z powrotem na Wyspie Lincoln. Pogoda była piękna, barometr z wolna się podnosił, wiatr wydawał się stały, wszystko sprzyjało przedsięwzięciu dzielnych ludzi, których obowiązek humanitarny wzywał do oddalenia się od ich wyspy.

Tak więc postanowiono, że Cyrus Smith, Nab i Gedeon Spilett pozostaną w Granitowym Pałacu. Ale Gedeon Spilett, który nie zapomniał, że jest reporterem dziennika „New York Herald”, zaprotestował i oświadczył stanowczo, że prędeż popłynie w pław za statkiem, niż przepuści taką okazję. Pozwolono mu więc wziąć udział w wyprawie.

Wieczorem przeniesiono na pokład „Bonawentury” pościel, narzędzia, broń, amunicję, busolę i żywność na osiem dni. Uwinąwszy się szybko z tą pracą, koloniści powrócili do Granitowego Pałacu.

Nazajutrz o piątej rano po wzruszającym dla obu stron pożegnaniu Pencroff, rozwiniąwszy żagle, skierował statek na Przylądek Szponu, który należało opłynąć, a następnie wziąć kurs prosto na południowy zachód.

„Bonawentura” oddalił się już ćwierć mili od brzegów, gdy jego pasażerowie ujrzeli na szczycie Granitowego Pałacu dwóch ludzi machających im na pożegnanie. Byli to Cyrus Smith i Nab.

— Nasi przyjaciele! — zawołał Gedeon Spilett. — Rozstajemy się po raz pierwszy od piętnastu miesięcy!

Pencroff, reporter i Harbert po raz ostatni pomachali im rękami na pożegnanie i Granitowy Pałac zniknął wkrótce za wysokimi skałami przylądka.

Przez pierwszych kilka godzin z pokładu „Bonawentury” widać było południowe brzegi Wyspy Lincoln, która niebawem stała się podobna do zielonego koszyka, z którego wynurzała się Góra Franklina. Pomniejszone odległością wzniesienia sprawiały, że wyspa wyglądała mało zachęcająco jako miejsce lądowania dla przepływających statków.

Około pierwszej po południu minęli Jaszczurczy Cypel, płynąc o dziesięć mil od brzegu. Z tej odległości nie można już było odróżnić niczego na zachodnim wybrzeżu, ciągnącym się aż do zboczy Góry Franklina, a w trzy godziny później cała Wyspa Franklina zniknęła za horyzontem.

„Bonawentura” sprawował się doskonale. Unosił się lekko na falach i szybko sunął naprzód. Pencroff podniósł topsel i statek pod pełnymi żaglami płynął na wprost, kursem wskazanym przez busolę.

Od czasu do czasu Harbert zastępował go przy sterze; chłopak miał rękę tak pewną, że marynarz nie mógł mu zarzucić ani jednego zbyt ostrego skrętu.

Gedeon Spilett rozmawiał to z jednym, to z drugim, a w razie potrzeby sam przykładał się do pracy. Kapitan Pencroff był zupełnie zadowolony ze swej załogi i wspominał nawet o wynagrodzeniu jej „kwartą³³⁰ wina za każdą wachtę³³¹”.

Wieczorem sierp księżycy, który dopiero osiemnastego miał dojść do pierwszej kwadry, zarysował się w półmroku i wkrótce zgasł. Noc była ciemna, ale roziskrzona gwiazdami, i na następny dzień zapowiadała się ładna pogoda.

Pencroff przez ostrożność zwinął topsel, żeby jakieś niespodziewane uderzenie wiatru nie zaskoczyło go z płótnem na maszcie. Była to może zbyt ostrożność w taką pogodną noc, ale Pencroff był przezornym marynarzem i nie można mu było mieć tego za złe.

Reporter przespał część nocy. Pencroff i Harbert zmieniali się co dwie godziny przy sterze. Marynarz ufał Harbertowi jak samemu sobie, a jego zaufanie usprawiedliwiały zimna krew i rozsądek młodzieńca. Pencroff podawał mu kurs jak dowódca swojemu sternikowi, a Harbert nie pozwalał, żeby „Bonawentura” zszedł z drogi.

Noc upłynęła spokojnie, a następny dzień, 12 października, przeszedł tak samo jak poprzedni. Przez cały dzień utrzymywano dokładnie kierunek południowo-zachodni i jeśli tylko „Bonawentury” nie znieśnie jakiś nieznaną prąd, to powinien dopłynąć prosto na wyspę Tabor.

Na morzu było całkiem pusto. Czasem tylko w odległości strzału przelatywał jakiś wielki ptak, albatros lub fregata, a Gedeon Spilett zastanawiał się, czy nie jest to ten właśnie, któremu powierzył swoją ostatnią kronikę zaadresowaną do redakcji „New York Herald”. Wydawało się, że te ptaki są jedynymi żyjącymi istotami, jakie odwiedzają tę część oceanu pomiędzy wyspą Tabor a Wyspą Lincolną.

— Przecież teraz jest właśnie okres, w którym wielorybnicy zwykle wyruszają w południową część Pacyfiku — zauważył Harbert. — Doprawdy nie wiem, czy jest gdzieś morze bardziej bezludne niż to!

— Wcale nie aż tak bezludne! — odparł Pencroff.

— Jak pan to rozumie? — zapytał reporter.

— Przecież my na nim jesteśmy! Czy ma pan nasz statek za jakiś wrak, a nas samych za morświny³³²?

I Pencroff zaśmiał się ze swojego żartu.

Wieczorem dokonano szacunkowych obliczeń, z których wynikało, że „Bonawentura” od chwili wypłynięcia z Wyspy Lincolną, czyli w ciągu trzydziestu sześciu godzin, przepłynął odległość stu dwudziestu mil, zatem jego szybkość wynosiła około trzech i jednej trzeciej mili na godzinę. Wiatr był słaby i słabł coraz bardziej. Można się jednak było spodziewać, że jeżeli obliczenia są trafne, a kurs właściwy, to nazajutrz o świcie ujrzą wyspę Tabor.

Toteż ani Gedeon Spilett, ani Harbert, ani Pencroff nie zmrużyli oka przez całą tę noc z 12 na 13 października. Wyczekując niecierpliwie dnia, nie byli w stanie powstrzymać emocji. W ich przedsięwzięciu było tak wiele niewiadomych!

Czy byli blisko wyspy Tabor? Czy wyspę nadal zamieszkiwał rozbitek, któremu spieszyli z pomocą? Co to za człowiek? Czy swoją obecnością nie zmąci spokoju kolonii, żyjącej dotąd tak zgodnie? Czy wreszcie zgodzi się na to, by swoje obecne więzienie zamienić na inne? Wszystkie te wątpliwości, które miały niewątpliwie zostać rozstrzygnięte następnego dnia, spędzały im sen z powiek i od pierwszego świtania wszyscy wyteżali wzrok, wpatrując się w zachodni horyzont.

— Ziemia! — zawołał Pencroff około szóstej rano.

Ponieważ nie sposób było przypuszczać, aby Pencroff się mylił, więc niewątpliwie musiała to być ziemia.

Łatwo sobie wyobrazić radość małej załogi „Bonawentury”! Za kilka godzin wylądują na wyspie!

Niski brzeg wyspy Tabor, ledwie wynurzający się z fal morza, był oddalony nie więcej jak o piętnaście mil. Dziób „Bonawentury”, wskazujący dotychczas nieco na południe od

³³⁰kwarta — dawna miara objętości, ok. 1 litra. [przypis edytorski]

³³¹wachtą — okres (zwykle 4 godz.), podczas którego pełni służbę jedna załoga statku; także: część załogi, która pełni służbę w określonym czasie. [przypis edytorski]

³³²morświn (biol.) — rodzaj morskiego ssaka spokrewnionego z delfinowatymi. [przypis edytorski]

wyspy, został skierowany wprost na nią. W miarę jak na wschodzie słońce podnosiło się na niebie, można było tu i ówdzie zauważyć zarysy pojedynczych wzniesień.

— To wysepka o wiele mniejsza od Wyspy Lincoln — zauważył Harbert — i zapewne podobnie jak ona zawdzięcza swoje istnienie jakimś wypiętrzeniom podmorskim.

O jedenastej rano „Bonawentura” znajdował się już zaledwie o dwie mile od wyspy. Pencroff, szukając miejsca do wylądowania, sterował po tych nieznanym wodach z ogromną ostrożnością.

Można już było ogarnąć wzrokiem całą wysepkę, porośniętą zielonymi kępami drzew gumowych i innych dużych drzew tych samych gatunków co napotkane na Wyspie Lincoln. Ale co dziwne, nigdzie nie wznosił się dym, który świadczyłby o tym, że wysepka jest zamieszkała, ani też nigdzie na wybrzeżu nie widać było żadnego sygnału.

A jednak dokument wspominał wyraźnie o rozbitku i człowiek ten powinien wypatrywać pomocy.

Tymczasem „Bonawentura” wpłynął pomiędzy kręte przejścia wśród raf, a Pencroff z największą uwagą śledził każdy zakręt. Harberta posadził przy sterze, sam zaś, stojąc na przedzie okrętu, wpatrywał się w wodę, gotów każdej chwili zwinąć żagiel, którego fał³³³ trzymał w ręku. Gedeon Spilett obserwował brzeg przez lunetę, ale nie dostrzegł niczego szczególnego.

Wreszcie około południa „Bonawentura” otarł się dziobem o piaszczysty brzeg. Rzucono kotwicę, zwinęto żagle i cała załoga stateczku zeszła na ląd.

Nie ulegało wątpliwości, że była to wyspa Tabor, gdyż według najnowszych map w tej części Pacyfiku, pomiędzy Nową Zelandią a wybrzeżem amerykańskim, nie było żadnej innej wyspy.

Przycumowano starannie statek, aby nie porwał go odpływ, po czym Pencroff i jego dwaj towarzysze, uzbrojony się należycie, poszli brzegiem w stronę stożkowatego wzgórza o wysokości dwustu pięćdziesięciu do trzystu stóp, wznoszącego się w odległości około pół mili.

— Z wierzchołka tego pagórka — powiedział Gedeon Spilett — niewątpliwie będziemy mogli ogólnie przyjrzeć się całej wyspie, co nam bardzo ułatwi poszukiwania.

— Zrobimy więc tutaj to samo, co w pierwszej kolejności zrobił pan Cyrus na Wyspie Lincoln, kiedy wszedł na Górę Franklina — zauważył Harbert.

— Identycznie to samo — odparł reporter — i to jest najlepszy sposób.

Tak rozmawiając, szli skrajem łąki kończącej się u samego podnóża stożka. Przed nimi wlatywały gromady gołębi skalnych i jaskółek morskich, podobnych do tych, które widywali na Wyspie Lincoln. W lesie, który ciągnął się na lewo od łąki, słyszeli szelest w krzakach i widzieli kołyszące się zarośla, co zdradzało obecność jakichś bardzo płochliwych zwierząt, ale dotychczas nic nie wskazywało, aby wyspa była zamieszkała przez ludzi.

Przybywszy do podnóża stożka, Pencroff, Harbert i Gedeon Spilett w kilka chwil wdrapali się na szczyt i rozejrzeli się dookoła.

Znajdowali się na wysepce mającej nie więcej niż sześć mil obwodu. Jej kontury nie obfitowały ani w wystające na zewnątrz przylądki i cyple, ani we wznające się w głąb zatoki i zatoczki; wyspa miała kształt wydłużonego owalu. Wokół, aż po krańce widnokregu, rozciągało się zupełnie puste morze. Nigdzie nie było widać ani lądu, ani żagla!

Wysepka, cała porośnięta lasem, nie miała tak urozmaiconego krajobrazu jak Wyspa Lincoln, której jedna część była jałowa i dzika, podczas gdy druga żyzna i bogata. Tu widzieli przed sobą tylko jednostajną masę zieleni, spomiędzy której wznosiły się dwa lub trzy niewielkie pagórki. Wysepkę ukośnie przecinał strumień płynący przez szeroką łąkę i wąskim ujściem wpadający do morza na zachodnim wybrzeżu.

— Niewielki kraik — zauważył Harbert.

— Tak — powiedział Pencroff. — Dla nas byłoby tu za ciasno!

— Poza tym — odparł reporter — wydaje się niezamieszkały.

— Istotnie — odezwał się Harbert — ani śladu człowieka.

— Zejdźmy — odparł Pencroff — i poszukajmy.

³³³fał — lina służąca do podnoszenia i opuszczania żagla lub ruchomej części omasztowania bądź wyposażenia statku żaglowego. [przypis edytorski]

Marynarz z towarzyszami powrócili na brzeg morza, gdzie zostawili „Bonawenturę”. Postanowili najpierw obejść pieszo całą wysepkę dookoła, a dopiero potem zapaść się w głąb, tak by żadne miejsce nie uszło ich uwadze.

Posuwanie się wzdłuż brzegu morskiego nie nastręczało żadnych trudności, tylko w paru miejscach przecinały im drogę olbrzymie głazy, lecz łatwo było je obejść. Podróżnicy skierowali się na południe, pług po drodze liczne gromady morskiego ptactwa i stada fok, które na ich widok już z daleka rzucały się do morza.

— Te zwierzęta — zauważył reporter — nie pierwszy raz widzą ludzi. Boją się ich, więc ich znają.

W godzinę później wszyscy trzej dotarli do południowego krańca wysepki, zakończonego spiczastym przylądkiem, skąd zawrócili na północ zachodnim brzegiem, równie piaszczystym i kamienistym, za którym w głębi rozciągał się gęsty las.

Na całym wybrzeżu wysepki, którą w ciągu czterech godzin obeszlą dookoła, nie znaleźli nigdzie ani śladu domostwa, ani odcisku stopy ludzkiej.

Było to co najmniej dziwne i skłaniało do przypuszczenia, że wyspa Tabor nie była nigdy, a przynajmniej nie jest teraz zamieszkała. Być może zresztą dokument został napisany przed kilkoma miesiącami, a nawet latami, a w takim przypadku rozbitek mógł już dawno zostać zabrany do ojczyzny albo zginąć z głodu.

Pencroff, Gedeon Spilett i Harbert, snując mniej lub bardziej prawdopodobne przypuszczenia, zjedli naprędce posiłek na pokładzie „Bonawentury”, by natychmiast wyruszyć na dalsze poszukiwania i kontynuować je aż do zmroku.

O piątej po południu poszli w stronę do lasu.

Na ich widok rzucały się do ucieczki liczne zwierzęta, głównie, a nawet prawie wyłącznie, kozy i świnie, które jak łatwo było rozpoznać, należały do gatunków europejskich. Z pewnością jakiś statek wielorybiczny zostawił je na wyspie, gdzie się szybko rozmnożyły. Harbert postanowił schwycić żywcem jedną czy dwie pary i zabrać je na Wyspę Lincolną.

Nie ulegało zatem żadnej wątpliwości, że kiedyś ludzie odwiedzili tę wysepkę. Stało się to jeszcze bardziej oczywiste, kiedy w lesie ukazały się wytyczone ścieżki, pościnane siekierą pnie drzew i widoczne wszędzie ślady ludzkiej pracy. Jednak te pnie już gnęły, zostały ścięte przed wieloma laty, nacięcia siekiery pokrywał mech, a na ścieżkach rozrosło się wysokie i gęste zielsko, tak że ledwie je można było rozpoznać.

— Dowodzi to jednak — zauważył Gedeon Spilett — że ludzie nie tylko wylądowali kiedyś na tej wysepce, ale ją przez jakiś czas zamieszkiwali. Pytanie teraz: co to byli za ludzie? Ilu ich było? Ilu ich jeszcze zostało?

— Dokument — odezwał się Harbert — wspomina tylko o jednym rozbitku.

— Cóż, jeśli nadal jest na wyspie, to niemożliwe, żebyśmy go nie znaleźli.

Szukali więc dalej. Marynarz z towarzyszami wybrali naturalnie drogę przecinającą ukośnie wysepkę i tym samym posuwali się wzdłuż strumienia biegnącego ku morzu.

Nie tylko zwierzęta pochodzenia europejskiego i niektóre ślady ludzkiej pracy dowodziły bezsprzecznie, że na wyspie przebywał już kiedyś człowiek. Świadczyły o tym również różne okazy roślin. Gdzieniedzie na polanach leśnych widać było, że kiedyś, zapewne dawno temu, sadzono tu warzywa.

Toteż wielką radością Harberta, gdy rozpoznał ziemniaki, cykorię, szczaw, marchew, kapustę, rzepę. Wystarczyło zebrać nasiona, by wzbogacić poletka Wyspy Lincolną!

— Świetnie! Doskonale! — powiedział Pencroff. — To coś dla Naba i dla nas. Choćbyśmy nawet nie znaleźli rozbitka, to i tak wyprawa nie była daremna i Bóg nas wynagrodził!

— Niewątpliwie — odparł Gedeon Spilett. — Ale sądząc ze stanu, w jakim znajduje się ten warzywnik, należy się obawiać, że wysepka od dawna nie jest zamieszkała.

— Rzeczywiście — odparł Harbert. — Kimkolwiek byłby mieszkaniec, nie zaniebąłby tak ważnej uprawy.

— Tak — odezwał się Pencroff — rozbitka już nie ma... Nie sposób sądzić inaczej...

— Więc musimy uznać, że dokument powstał dawno temu?

— Oczywiście.

— I że butelka długo błąkała się po morzu, zanim dopłynęła do Wyspy Lincolną?

— Czemu nie? — odparł Pencroff. — Ale zapada już zmrok i sędzę, że lepiej będzie przerwać nasze poszukiwania.

— Wracajmy na pokład, a jutro rozpoczniemy na nowo — powiedział reporter.

Była to najmądrzejsza rada i już zamierzali się do niej zastosować, gdy nagle Harbert, wskazując na jakiś duży, niewyraźny kształt mający między drzewami, zawołał:

— Domek!

Natychmiast wszyscy trzej pobiegli we wskazaną stronę. W wieczornym zmroku można było dostrzec, że była to chata zbudowana z desek pokrytych grubym, smołowanym płótnem.

Pencroff pchnął na wół przymknięte drzwi i pospiesznie wszedł do środka.

Chata była pusta!

ROZDZIAŁ XIV

Co znaleziono w chacie. — Noc. — Kilka liter. — Dalsze poszukiwania. — Rośliny i zwierzęta. — Harbert w wielkim niebezpieczeństwie. — Na pokładzie. — Odplynięcie. — Niepogoda. — Przebłysk instynktu. — Zagubieni na morzu. — Ogień zapalony w samą porę.

Pencroff, Harbert i Gedeon Spilett stali przez chwilę w ciemnościach, milcząc.

Pencroff zawołał głośno.

Nikt nie odpowiedział.

Marynarz skrzesał ogień i zapalił suchą gałązkę. Ogień oświetlił na chwilę niewielką izbę, jak się zdawało, zupełnie pustą. W głębi stał niezgrabnie ulepiony komin³³⁴, na nim leżał wystygły popiół i wiązka suchego drewna. Pencroff podłożył pod nie zapaloną gałązkę i wkrótce drzewo buchnęło jasnym płomieniem.

Wówczas marynarz i jego towarzysze ujrzeli pozostawione w nieładzie posłanie, którego wilgotna i pożółkła pościel świadczyła o tym, że od dawna nikt jej nie używał. W jednym rogu komina stały dwa pokryte rdzą czajniki i przewrócony kociołek; w szafie wisiało kilka sztuk na wół zbutwiałej odzieży marynarskiej; na stole leżało cynowe nakrycie i przeżarta przez wilgoć Biblia. W rogu stało kilka narzędzi: łopata, motyka, kilof, dwie strzelby myśliwskie, w tym jedna złamana; na desce służącej za półkę — nienaruszona baryłka prochu, beczulka śrutu i kilka pudełek kapsli. Wszystko to pokryte było grubą warstwą pyłu, nagromadzoną zapewne przez długie lata.

— Nie ma nikogo — odezwał się reporter.

— Nikogo — powtórzył Pencroff.

— Od dawna nikt w tej izbie nie mieszkał — zauważył Harbert.

— Tak, od bardzo dawna — odparł reporter.

— Panie Spilett — odezwał się wtedy Pencroff — zamiast wracać na pokład, sędzę, że lepiej będzie spędzić noc w tej chacie.

— Ma pan rację, Pencroffie — odparł Gedeon Spilett. — A jeśli właściciel powróci, to cóż! Myślę, że nie będzie się gniewał, gdy nas tu zastanie.

— Nie wróci — powiedział marynarz, kręcąc głową.

— Sądzi pan, że opuścił wyspę? — zapytał reporter.

— Gdyby ją opuścił, zabrałby ze sobą broń i narzędzia — odparł Pencroff. — Wie pan przecież, jaką wartość przypisują rozbitkowie przedmiotom, które zdołali ocalić z katastrofy. Nie, nie! — powtórzył marynarz głosem pełnym głębokiego przekonania. — Nie, on nie opuścił wyspy! Gdyby stąd odplynął na czólnie, które sam sporządził, to tym bardziej nie zostawiłby tu tych przedmiotów pierwszej potrzeby! Nie, on jest na wyspie!

— Żywy?... — zapytał Harbert.

— Żywy albo martwy. Lecz jeśli umarł, to przecież, jak sędzę, sam siebie nie pochował — odparł Pencroff — i w takim razie znajdziemy przynajmniej jego zwłoki.

Postanowili więc spędzić tę noc w opuszczonej chacie. Zapas drzewa leżący w kącie wystarczał, żeby ją ogrzać. Zamknawszy drzwi, Pencroff, Harbert i Gedeon Spilett usiedli

³³⁴komin (daw.) — piec kuchenny. [przypis edytorski]

na ławie, niewiele mówiąc, lecz za to wiele rozmyślając. Znajdowali się takim stanie ducha, w którym człowiek skłonny jest wszystko przypuszczać i wszystkiego się spodziewać, i chciwym uchem łowili każdy szelest dochodzący z zewnątrz. I gdyby nagle otwarły się drzwi i ujrzeli przed sobą obcego człowieka, ani trochę by ich to nie zdziwiło, pomimo że chata wyglądała na całkowicie opuszczoną, i każdej chwili gotowi byli uścisnąć dłoń tego człowieka, tego rozbitka, tego nieznanego przyjaciela, którego oczekiwały przyjazne serca!

Ale nie dał się słyszeć żaden szmer, drzwi się nie otwierały, i tak upływała jedna godzina za drugą.

Jakże dłużyła się ta noc marynarzowi i jego towarzyszom! Tylko Harbert zasnął na dwie godziny, bo w jego wieku sen jest koniecznością. Wszystkim trzem spieszo było o świcie rozpocząć na nowo poszukiwania i przetrząsnąć dokładnie wysepkę aż do jej najskrytszych zakątków. Wnioski Pencroffa były zupełnie słuszne i nie ulegało prawie żadnej wątpliwości, że skoro chata była pusta i nadal znajdowały się w niej naczynia, broń i narzędzia, to jej mieszkaniec musiał zginąć. Należało zatem odszukać jego zwłoki i przynajmniej pochować je po chrześcijańsku.

Zaświtał dzień. Pencroff i jego towarzysze natychmiast przystąpili do dokładniejszych oględzin chaty.

Zbudowana była w dobrze dobranym miejscu, na zboczu niewielkiego wzniesienia, osłonięta przez kilka wspaniałych drzew gumowych. Przed chatą wycięto w lesie szeroki trakt, odsłaniający widok aż na morze. Mały trawnik, otoczony wałącym się drewnianym plotem, prowadził do brzegu, skąd na lewo znajdowało się ujście strumienia.

Chata zbudowana była z desek i nietrudno było zauważyć, że deski te pochodziły z kadłuba lub z pokładu statku. Było więc prawdopodobne, że jakiś uszkodzony statek został wyrzucony na brzeg wyspy, że ocalał przynajmniej jeden człowiek z załogi i że człowiek ten, mając potrzebne narzędzia, ze szczątków statku wybudował ten domek.

Stało się to jeszcze bardziej oczywiste, gdy Gedeon Spilett, obszedłszy dookoła całą chatę, dostrzegł na jednej z desek, pochodzącej prawdopodobnie z pawęży³³⁵ rozbitego statku, na wpół zatarte litery:

BR.TAN..A

— „Britannia”! — zawołał Pencroff, gdy reporter przywołał go do siebie. — Tę nazwę nosi wiele statków i nie jestem w stanie nawet stwierdzić, czy to był statek angielski, czy amerykański.

— Mniejsza z tym, Pencroffie!

— Istotnie, mniejsza z tym — odparł marynarz. — Jeśli człowiek, który ocalał z załogi, nadal żyje, może liczyć na naszą pomoc, wszystko jedno, jakiej jest narodowości. Ale zanim rozpoczniemy dalsze poszukiwania, wróćmy najpierw na „Bonawenturę”.

Pencroffa ogarnął jakiś niepokój o los statku. A jeśli wyspa mimo wszystko była zamieszkała i jeśli któryś z mieszkańców nim zawładnął... Ale wzruszył tylko ramionami na tak nieprawdopodobne przypuszczenie.

Tak czy owak, marynarz chętnie poszedł zjeść śniadanie na pokładzie statku. Prowadziła do niego droga utorowana i niedaleka, zaledwie mila. Ruszono więc niezwłocznie, uważnie wpatrując się w las i zarośla, przez które setkami pomykały kozy i świnię.

W dwadzieścia minut później Pencroff i jego towarzysze ujrzeli wschodnie wybrzeże wyspy i „Bonawenturę”, stojącego na kotwicy mocno zarytej w piasek.

Pencroff mimo woli odetchnął pełną piersią. W końcu ten statek był jego dzieckiem, a ojcowie mają prawo często niepokoić się bardziej, niż wymagałby rozsądek.

Na pokładzie zjedli obfite śniadanie, by można się było do późna wstrzymać z obiadem, po czym wyruszyli na dalsze poszukiwania, które prowadzili z jak największą starannością.

Koniec końców było bardzo prawdopodobne, że jedyny mieszkaniec wysepki zginął. Toteż Pencroff i jego towarzysze szukali raczej śladów zmarłego niż żywego. Jednak poszukiwania były daremne i przez pół dnia na próżno przetrząsali gęstwiny porastające wysepkę. Należało więc przypuszczać, że jeśli rozbitek zmarł, to z jego zwłok nie został już ani szczątek, gdyż zapewne jakieś drapieżne zwierzę pożarło je do ostatniej kości.

³³⁵pawęż statku — płaskie, pionowe lub lekko nachylone zakończenie rufy statku. [przypis edytorski]

— Wyruszamy jutro o świcie — powiedział Pencroff do swoich towarzyszy, gdy około drugiej położyli się w cieniu sosen, by chwilę odpocząć.

— Sądzę — dodał Harbert — że możemy bez skrupułów zabrać ze sobą narzędzia, które niegdyś należały do tego rozbitka.

— I ja tak myślę — odparł Gedeon Spilett. — Te narzędzia i broń uzupełnią dobytek Granitowego Pałacu. Jeśli się nie mylę, zapas prochu i śrutu jest znaczny.

— Tak — odparł Pencroff — ale nie zapomnijmy też schwytać jednej czy dwóch par świń, których nie ma na Wyspie Lincoln.

— I pozbierać nasiona — dodał Harbert — z których będziemy kiedyś mieli wszystkie warzywa Starego i Nowego Świata.

— W takim razie — odezwał się reporter — może lepiej by było pozostać jeden dzień dłużej na wyspie Tabor, aby zebrać wszystko, co może nam być przydatne.

— Nie, panie Spilett — odparł Pencroff. — Proszę, żebyśmy odpłynęli jutro skoro świt. Wydaje mi się, że wiatr zaczyna zmieniać kierunek na zachodni, więc tak jak mieliśmy sprzyjający wiatr, płynąc tutaj, tak będziemy go mieli, wracając.

— Zatem nie traćmy czasu! — powiedział Harbert, powstając.

— Nie traćmy czasu — powtórzył Pencroff. — Ty, Harbercie, zajmij się zbieraniem nasion, bo znasz się na nich lepiej od nas. Tymczasem ja z panem Spiletem zapołujemy na świnie i chociaż nie ma Topa, mam nadzieję, że uda nam się schwytać kilka sztuk.

Harbert poszedł ścieżką wiodącą do uprawnej części wysepki, podczas gdy marynarz z reporterem zapuścili się w las.

Mnóstwo okazów świńskiej rasy umykało przed nimi. Te nader zwinne zwierzęta nie miały widocznie najmniejszej ochoty dopuszczać kogokolwiek blisko siebie. Po półgodzinnej gonitwie myśliwym udało się schwytać jedną parę, która zaplątała się w gęstwinie, gdy nagle o kilkaset kroków na północ od nich rozległy się głośnie krzyki. Z krzykami przeplatały się jakieś przeraźliwe ryki, niemające w sobie nic ludzkiego.

Pencroff i Gedeon Spilett zerwali się na równe nogi, a świnie skorzystały z tego, żeby uciec w chwili, gdy marynarz przygotowywał już sznurki, aby je powiązać.

— To głos Harberta! — powiedział reporter.

— Biegnijmy czym prędzej! — zawołał Pencroff.

Marynarz z reporterem pobiegli co tchu w stronę, skąd słyhać było krzyki.

Dobrze, że się pospieszyli, gdyż na zakręcie ścieżki w pobliżu polany ujrzeli jakieś dzikie stworzenie, wyglądające na olbrzymią małpę, które powaliło Harberta na ziemię i zamierzało się z nim rozprawić.

W jednej chwili Pencroff i Gedeon Spilett rzucili się na potwora, obalili go na ziemię, wydarli mu Harberta i mocno pochwycili. Marynarz miał herkulesową³³⁶ siłę, reporter także był krzepki, toteż pomimo oporu potwora, skrępowali go mocno, tak że nie mógł się ruszyć.

— Nic ci się nie stało, Harbercie? — zapytał Gedeon Spilett.

— Nie! Nic!

— Ach, jeśli cię zraniła ta małpa!... — zawołał Pencroff.

— Ależ to nie małpa! — odparł Harbert.

Na te słowa Pencroff i Gedeon Spilett przyjrzeni się bliżej dziwnej istocie leżącej na ziemi.

Rzeczywiście to nie była małpa! Była to istota ludzka, to był człowiek! Ale co za człowiek! Dziki w całym okropnym znaczeniu tego słowa, tym straszniejszy, że najwyraźniej popadł w stan ostatecznego zezwierzęcenia.

Włosy miał najeżone, zapuszczona broda spadała mu na piersi, był prawie nagi, z wyjątkiem kawałka płachty opasującej biodra, wzrok miał dziki, ręce olbrzymie, niezmiernie długie paznokcie, cerę ciemną jak mahoń³³⁷, skórę na nogach stwardniałą, jak gdyby zrogowaciałą. Tak wyglądała ta nieszczęsna istota, której mimo to trzeba było nazwać człowiekiem. Ale doprawdy słusznie można było zapytać, czy w tym ciele mieszkała jeszcze dusza, czy też pozostał w nim tylko prymitywny instynkt zwierzęcia.

³³⁶herkulesowy — taki jak u Herkulesa, mitycznego starożytnego bohatera słynącego z nadludzkiej siły i dokonania wielu niezwykłych czynów. [przypis edytorski]

³³⁷mahoń — cenione czerwono-brunatne, twarde drewno tropikalnego mahoniowca, pochodzącego z Ameryki Środkowej i basenu M. Karaibskiego. [przypis edytorski]

— Jest pan zupełnie pewny, że to był kiedyś człowiek? — zapytał Pencroff reportera.

— Niestety, to nie ulega wątpliwości — odparł reporter.

— Więc to ma być ten rozbitek? — zapytał Harbert.

— Tak — odparł Gedeon Spilett. — Ale ten nieszczęśnik nie ma już w sobie nic ludzkiego!

Reporter miał słuszość. Było jasne, że jeśli rozbitek był kiedyś istotą cywilizowaną, to długie odosobnienie od ludzi uczyniło z niego dzikusa, a nawet co gorsza, prawdziwego leśnego człowieka. Chrapliwe dźwięki wydobywały się z jego gardła przez zaciśnięte zęby, które były ostre jak u drapieżnika i służyły już tylko do rozdzierania surowego mięsa. Pamięć musiała go pewnie od dawna opuścić i od dawna nie umiał posługiwać się narzędziami i bronią ani rozniecać ognia. Widać było, że jest silny i zwinny, ale te cechy fizyczne rozwinęły się u niego kosztem duchowych.

Gedeon Spilett przemówił do niego. Zdawał się nie rozumieć, a nawet nie słyszeć... A jednak, wpatrując się uważnie w jego oczy, reporter miał wrażenie, że rozum jeszcze nie całkiem w nim wygasł.

Tymczasem więzień nie szamotał się i nie próbował rozerwać krępujących go więzów. Czy taki przytłaczający wpływ wywierała na niego obecność ludzi, do których był kiedyś podobny? Czy może w jakimś zakątku mózgu odnalazł przelotne wspomnienie, że też był kiedyś człowiekiem? Gdyby go uwolniono, czy uciekłby, czy został przy nich? Trudno było powiedzieć, ale nie podjęli takiej próby. Przyjrawszy się uważnie nieszczęśnikowi, Gedeon Spilett powiedział:

— Kimkolwiek jest, kimkolwiek był i będzie, naszym obowiązkiem jest zabrać go ze sobą na Wyspę Lincoln.

— Tak, tak! — odparł Harbert. — Może przez troskliwe starania uda nam się wzbudzić w nim na nowo iskrę rozumu.

— Dusza nie umiera — powiedział reporter — a dla nas byłaby to wielka radość wyrwać to boże stworzenie ze stanu zezwierzęcenia.

Pencroff pokręcił głową z powątpiewaniem.

— W każdym razie trzeba spróbować — odparł reporter. — Uczucia ludzkie nam to nakazują.

Istotnie było to ich obowiązkiem jako ludzi cywilizowanych i chrześcijan. Wszyscy trzej to rozumieli i byli pewni, że Cyrus Smith to pochwali.

— Czy zostawimy go w więzach? — zapytał marynarz.

— A może poszedłby dobrowolnie, gdybyśmy mu rozwiąziali nogi? — powiedział Harbert.

— Spróbujmy — odparł Pencroff.

Zdjęto więc sznury z nóg więźnia, ale ręce pozostawiono mocno związane. Wstał dobrowolnie i nie okazywał żadnej chęci ucieczki. Jego oczy rzuciły ostre spojrzenia na trzech ludzi idących obok niego, ale nic nie zdradzało, że sobie przypomina, że jest lub że kiedyś był ich bliźnim. Z jego ust wydobywał się nieustanny świst, wygląd miał dziki, lecz nie stawał żadnego oporu.

Za radą reportera przyprowadzono nieszczęśnika do jego mieszkania. Może widok należących do niego przedmiotów wywrze na nim jakieś wrażenie? Może ta jedna iskierka wystarczy, aby ożywić na nowo zamglony umysł, rozniecić przygasły ogień tej duszy?

Do chaty było niedaleko. Dotarli do niej w ciągu kilku minut, ale więzień niczego nie poznawał, zdawało się, że stracił świadomość wszystkiego, co go otaczało.

Cóż można było wnioskować ze stopnia zezwierzęcenia, w jakie popadł ten nieszczęśnik? Tylko to, że był uwięziony na wysepce już od bardzo dawna, że trafił na nią jako człowiek rozumny, a długoletnie odosobnienie od świata doprowadziło go do takiego stanu.

Wtedy reporter wpadł na pomysł, że może podziela na niego widok ognia i w jednej chwili na palenisku zapłonął jasny płomień, który robi wrażenie nawet na zwierzętach.

Początkowo płomień jakby zwrócił uwagę nieszczęśnika, ale wkrótce dziki odwrócił się od niego i jego wzrok znowu zasnuł się bezmyślnością.

Nie pozostawało w tej chwili nic innego, jak tylko odprowadzić go na pokład „Bonawentury”, gdzie pozostawiono go pod strażą Pencroffa.

Tymczasem Harbert i Gedeon Spilett wrócili na wysepkę, aby załatwić, co było jeszcze do załatwienia. Kilka godzin później powrócili na brzeg, przynosząc narzędzia i broń, nasiona warzyw, kilka sztuk upolowanej zwierzyny i dwie pary świń. Wszystko to załadowano na statek i „Bonawentura” był gotów do podniesienia kotwicy, czekając tylko na przyływ, który miał nastąpić nazajutrz rano.

Więźnia umieszczono w przedniej kajucie, gdzie się zachowywał spokojnie i cicho, jak głuchy i niemy zarazem.

Pencroff dał mu jedzenie, lecz nie chciał tknąć gotowanego mięsa, widocznie już odwykł od niego. Rzeczywiście, kiedy Pencroff pokazał mu dziką kaczkę, którą ustrzelił Harbert, rzucił się na nią i pochłonął ze zwierzęcą zachłannością.

— Sądzi pan, że jeszcze przyjdzie do siebie? — zapytał Pencroff, kręcąc z powątpiewaniem głową.

— Być może — odparł reporter. — Niewykluczone, że nasze usilne starania mogą w końcu odnieść jakiś skutek, bo przecież to osamotnienie doprowadziło go do takiego stanu, a teraz nie będzie już sam.

— Biedak na pewno od dawna jest w tym stanie — powiedział Harbert.

— Możliwe — odparł Gedeon Spilett.

— W jakim może być wieku? — zapytał Harbert.

— Trudno powiedzieć — odparł reporter — gdyż pod gęstym zarostem trudno rozpoznać rysy twarzy, ale nie jest już młody i sądzą, że ma około pięćdziesiątki.

— Zauważył pan, panie Spilett, jak głęboko ma osadzone oczy? — zapytał Harbert.

— Tak, Harbercie, ale mimo to jego oczy mają wyraz bardziej ludzki, niż można by sądzić po całej postaci.

— Zresztą zobaczymy — odparł Pencroff. — Jestem bardzo ciekawy, co powie pan Cyrus o naszym dzikusie. Popłynęliśmy po człowieka, a przywozimy potwora! Ha, każdy robi, co może!

Minęła noc. Nikt nie wiedział, czy więzień spał, czy nie, ale pomimo że uwolniono go z więzów, nie ruszał się wcale. Zachowywał się jak dzikie zwierzęta, które początkowo są oszołomione niewolą, a dopiero później wybuchają wściekłością.

O świcie następnego dnia, 15 października, nastąpiła przewidywana przez Pencroffa zmiana pogody. Powiał wiatr z północnego zachodu, sprzyjający powrotowi „Bonawentury”, lecz jednocześnie stał się ostrzejszy, co z kolei utrudniało nawigację.

O piątej rano podniesiono kotwicę. Pencroff zrefował³³⁸ główny żagiel i skierował dziób statku na wschodni północny wschód³³⁹, sterując wprost na Wyspę Lincoln.

Pierwszy dzień żeglugi upłynął bez żadnego ważniejszego zdarzenia. Więzień siedział spokojnie w przedniej kajucie, a ponieważ dawniej był marynarzem, wydawało się, że kołysanie fali wpływa na niego korzystnie. Czy może budziło się w nim wspomnienie dawnego zawodu? W każdym razie zachowywał się spokojnie i był raczej zdziwiony niż przygnębiony.

Nazajutrz, 16 października, wiatr wzmógł się znacznie i wykręcił bardziej na północ, a zatem w kierunku mniej korzystnym dla „Bonawentury”, podskakującego wysoko na falach. Pencroff musiał skrócić żagle. Nic nikomu nie mówił, ale czuł się mocno zaniepokojony stanem morza. Fale rozbijały się gwałtownie o dziób statku. Było pewne, że jeśli wiatr się nie zmieni, dotarcie na Wyspę Lincoln zajmie więcej czasu niż zajęło dopłynięcie na wyspę Tabor.

Rzeczywiście, 17 października rano minęło czterdzieści osiem godzin od wypłynięcia „Bonawentury”, a jeszcze nic nie wskazywało, że znajduje się on w pobliżu Wyspy Lincoln. Zresztą niemożliwe było oszacowanie przebytej odległości, gdyż kierunek i szybkość zbyt często się zmieniały.

Dwadzieścia cztery godziny później nadal nie było widać ani śladu lądu. Wicher dął z całej siły, a morze było burzliwe. Trzeba było szybko manewrować żaglem, refować i robić częste zwroty. 19 października ogromna fala zwała się na „Bonawenturę” i gdyby nie to,

³³⁸refować — zmniejszać powierzchnię ożaglowania podczas żeglugi w trudnych warunkach wiatrowych przez częściowe zwijanie lub składanie dolnej części żagla i umocowanie jej za pomocą linek. [przypis edytorski]

³³⁹wschodni północny wschód — określenie kierunku używane daw. w żegludze, oznaczające kierunek dokładnie pośredni pomiędzy wschodnim a północno-wschodnim, czyli odchylony o 67,5° od północy. [przypis edytorski]

że pasażerowie wcześniej poprzywiązywali się przez ostrożność do pokładu, z pewnością porwałaby ich ze sobą.

W tym niebezpieczeństwie Pencroffowi i jego towarzyszom, zajęтым wypłatywaniem się z lin, niespodziewanie przyszedł z pomocą więzień, który wybiegł przez luk na pokład, jak gdyby nagle wiedziony instynktem marynarza, i kilkoma potężnymi ciosami siekiery rozbił deski burty, aby woda zalewająca pokład mogła szybciej spłynąć. Po czym, gdy statek był już wolny od wody, bez słowa słowa powrócił do kajuty.

Pencroff, Gedeon Spilett i Harbert, osłupiali ze zdziwienia, pozwolili mu działać.

Tymczasem sytuacja stawała się coraz groźniejsza. Marynarz nabrał przekonania, że zablądził na niezmiernym pustkowiu wodnym, bez możliwości znalezienia prawidłowego kursu.

Noc z 19 na 20 października była ciemna i chłodna. Jednak około godziny jedenastej wiatr trochę przycichł, morze się uspokoiło i „Bonawentura”, mniej miotany przez fale, nabrał większej szybkości. Zresztą i tak znakomicie trzymał się na morzu.

Ani Pencroff, ani Gedeon Spilett, ani Harbert nawet na krótko nie zmrużyli oka. Czuwali z wytężoną uwagą, gdyż albo Wyspa Lincolnna była niedaleko, a wtedy zobaczą ją o świcie, albo też „Bonawentura”, porwany prądami morskimi, zboczył z drogi, a w takim razie niemożliwe byłoby naprowadzenie go na poprawny kurs.

Pencroff, chociaż w najwyższym stopniu zaniepokojony, nie tracił nadziei, gdyż posiadał niepospolity hart ducha. Siedząc przy sterze, usiłował przebić wzrokiem otaczające go gęste ciemności.

Okolo drugiej nad ranem zerwał się nagle i zawołał:

— Ogień! Ogień!

Rzeczywiście, w odległości dwudziestu mil na północny wschód ukazało się jasne światło. Tam musiała być Wyspa Lincolnna, a ogień, zapalony najpewniej przez Cyrusa Smitha, wskazywał im drogę.

Pencroff, który poprowadził statek zanadto na północ, skorygował kierunek i wziął kurs prosto na ogień jaśniejący ponad horyzontem jak gwiazda pierwszej wielkości.

ROZDZIAŁ XV

Powrót. — Rozmowa. — Cyrus Smith i nieznajomy. — Przystań Balonowa. — Starania inżyniera. — Wzruszające doświadczenie. — Kilka łez ludzkich.

Nazajutrz, 20 października o siódmej rano, po czterodniowej żegludze „Bonawentura” osiadł lekko na piasku w pobliżu ujścia Rzeki Dziękczyनिया.

Cyrus Smith z Nabem, mocno zaniepokojeni burzą i przedłużającą się nieobecnością towarzyszy, wyszli o świcie na szczyt Płaskowyżu Pięknego Widoku i stamtąd ujrzeli wreszcie tak długo oczekiwany statek.

— Dzięki Bogu! Otóż i oni! — zawołał Cyrus Smith.

Nab z radości zaczął tańczyć, kręcić się w kółko, klaszcząc w ręce i wołając: „O, mój drogi panie!”. Pantomina ta była bardziej wzruszająca niż najwymowniejsze słowa.

Gdy inżynier policzył osoby stojące na pokładzie „Bonawentury”, jego pierwszą myślą było, że Pencroff nie znalazł rozbitka na wyspie Tabor albo że nieszczęśnik nie chciał porzucić swojej wyspy i zamienić dotychczasowego więzienia na inne.

Istotnie, na pokładzie „Bonawentury” prócz Pencroffa, Gedeona Spiletta i Harberta nie było nikogo więcej.

W chwili gdy statek przybijał, inżynier z Nabem oczekiwali go na brzegu i zanim pasażerowie wyskoczyli na piasek, Cyrus Smith powiedział:

— Bardzo się o was martwiliśmy, przyjaciele, że się spóźniacie. Czyżby przytrafiło się wam coś złego?

— Nie — odparł Gedeon Spilett — przeciwnie, wszystko powiodło się doskonale. Zaraz to opowiemy.

— A jednak wasze poszukiwania musiały spełznąć na niczym — powiedział Cyrus Smith — skoro wracacie we trzech, tak jak wypływaliście?

— Za pozwoleniem, panie Cyrusie — odparł marynarz — jest nas tu czterech!

— Więc znaleźliście rozbitka?

— Znaleźliśmy.

— I przywieźliście go?

— Przywieźliśmy.

— Żywego?

— Żywego.

— Gdzie jest? Kto to jest?

— Jest to, albo raczej był to człowiek! — odparł reporter. — To wszystko, co możemy o nim powiedzieć, Cyrusie.

I natychmiast opowiedziano inżynierowi wszystko, co ich spotkało w podróży. Jak i w jakich okolicznościach prowadzili poszukiwania, jak jedyne na całej wysepce domostwo od dawna już stało pustką, wreszcie, jak schwytali rozbitka, który jak się zdawało, przestał już należeć do rasy ludzkiej.

— I dotąd nie wiem — dodał Pencroff — czyśmy dobrze zrobili, żeśmy go tu ze sobą przywieźli.

— Na pewno dobrze zrobiliście, Pencroffie! — odparł żywo inżynier.

— Ale ten nieszczęśnik jest całkiem pozbawiony rozumu.

— Może teraz tak — odparł Cyrus Smith. — Ale kilka miesięcy temu był człowiekiem takim jak pan czy ja. I kto wie, co by się stało z którymkolwiek z nas, gdyby dłuższy czas przeżył samotnie na tej wyspie? Biada samotnym, przyjaciele! Widać, że samotność szybko pozbawiła go rozumu, skoro znaleźliście tę biedną istotę w takim stanie.

— Ale z czego pan to wnioskuje, panie Cyrusie — zapytał Harbert — że ten nieszczęśnik popadł w zewwierzęcenie dopiero kilka miesięcy temu?

— Z tego, że dokument, który znaleźliśmy, był świeżo napisany — odparł inżynier — i że tylko rozbitek mógł go napisać.

— Chyba że napisał go jakiś jego towarzysz, który przez ten czas mógł umrzeć — zauważył Gedeon Spilett.

— To niemożliwe, drogi Spilett.

— Dlaczego? — zapytał reporter.

— Ponieważ w takim przypadku dokument wspominałby o dwóch rozbitkach — odparł Cyrus Smith — a wspomina tylko o jednym.

Harbert opowiedział w kilku słowach po przebiegu rejsu, kładąc szczególny nacisk na dziwny fakt chwilowego oprzytomnienia więźnia, gdy na chwilę, podczas najstraszniejszej burzy, stał się znowu marynarzem.

— Cóż, Harbercie, masz rację, przywiązując do tego faktu tak wielką wagę — odparł inżynier. — Ten nieszczęśnik może jeszcze wyzdrowieć, to rozpacz wtrąciła go w taki stan. Tutaj będzie wśród swoich bliźnich, a ponieważ nadal ma duszę, więc tę duszę ocalimy!

Rozbitka z wyspy Tabor wyprowadzono z kajuty, którą zajmował na na dziobie „Bonawentury”. Jego wygląd wzbudził wielką litość inżyniera i wielkie zdumienie Naba. Nieszczęśnik, gdy tylko dotknął stopą ziemi, natychmiast okazał chęć ucieczki.

Cyrus Smith zbliżył się do niego, z powagą położył mu rękę na ramieniu i spojrzał na niego łagodnym wzrokiem. Nieszczęśnik, jak gdyby ulegając nieprzepartej sile, uspokoił się, spuścił oczy, pochylił głowę i nie stawiał już żadnego oporu.

— Biedny, opuszczony! — szepnął inżynier.

Cyrus Smith przypatrywał się uważnie rozbitkowi. Na pozór ta nieszczęśliwa istota nie miała w sobie nic ludzkiego, lecz Cyrus Smith, tak jak poprzednio reporter, odkrył w jego wzroku jakiś nieuchwytny przeblysł inteligencji.

Postanowiono więc rozbitka, a raczej nieznanego — gdyż tak go odtąd nazywali jego nowi towarzysze — umieścić w jednym z pokojów Granitowego Pałacu, skąd zresztą nie będzie mógł uciec. Dał się tam zaprowadzić bez oporu, co pozwalało mieć nadzieję, że przy troskliwych staraniach kiedyś koloniści Wyspy Lincolna zyskają w jego osobie nowego towarzysza.

Podczas śniadania, które Nab przyrządził naprędce, gdyż Pencroff, reporter i Harbert prawie umierali z głodu, Cyrus Smith dowiedział się ze szczegółami o wszystkim, co zaszło podczas wyprawy badawczej na wyspę Tabor. Całkowicie zgodził się z przyjaciółmi, że nieznanomy musiał być z pochodzenia Anglikiem lub Amerykaninem, gdyż takie przypuszczenie nasuwała nazwa statku „Britannia”. Prócz tego inżynierowi wydawało się,

że mimo zapuszczonego zarostu i zmierzwionych kudłów na głowie rozpoznaje w twarzy rozbitka charakterystyczne rysy rasy anglosaskiej.

— A wracając do rzeczy — powiedział Gedeon Spilett do Harberta — nie opowiedziałeś nam jeszcze, jak spotkałeś się z tym dzikusiem. Na razie wiemy tylko, że pewnie by cię udusił, gdyby się nam nie udało przybiec na czas z pomocą.

— Cóż, doprawdy trudno mi opowiedzieć, jak się to stało — odparł Harbert. — Byłem właśnie, jak mi się zdaje, zajęty zbieraniem roślin, gdy nagle usłyszałem jakby łoskot lawiny spadającej z wysokiego drzewa. Ledwie zdążyłem się odwrócić... Ten nieszczęśnik, który zapewne siedział ukryty na drzewie, rzucił się na mnie. Wszystko to razem nie trwało tak długo, jak tu opowiadam, i gdyby nie pan Spilett i Pencroff...

— Mój chłopcze — powiedział Cyrus Smith — byłeś naprawdę w niebezpieczeństwie, lecz gdyby nie to, może byście nie znaleźli tej biednej istoty i nie mielibyśmy jednego towarzysza więcej.

— Więc ma pan nadzieję, Cyrusie, że uda się panu znów zrobić z niego człowieka? — zapytał reporter.

— Tak — odparł inżynier.

Po śniadaniu Cyrus Smith z towarzyszami opuścili Granitowy Pałac i wrócili na wybrzeże. Tu przystąpiono do rozładowania statku. Inżynier dokładnie zbadał broń i narzędzia, ale nie znalazł niczego, co pomogłoby ustalić, kim był nieznajomy.

Schwytane na wysepce świnię uznano za bardzo cenny nabytek dla Wyspy Lincoln. Zaprowadzono je do chlewu, gdzie wkrótce się zdomowiły.

Baryłki zawierające proch i śrut, podobnie jak pudełko kapsli, zostały przywitane z radością. Postanowiono nawet założyć małą prochownię poza Pałacem Granitowym, albo też w górnej pieczarze, gdzie nie groziło najmniejsze niebezpieczeństwo wybuchu. Mimo to zamierzano nadal używać piroksyliny, gdyż dawała znakomite rezultaty, nie było więc powodu zastępować jej zwyczajnym prochem.

Gdy zakończono wyładowywanie statku, Pencroff odezwał się:

— Sądzę, panie Cyrusie, że powinniśmy ulokować „Bonawenturę” w bezpiecznym miejscu.

— A czy nie jest mu dobrze przy ujściu Rzeki Dziękczynienia? — zapytał Cyrus Smith.

— Nie, panie Cyrusie — odparł marynarz. — Połowę czasu siedzi na piasku, a to go osłabia. Bo, widzi pan, to dobry statek i dzielnie się trzymał podczas burzy, która nas dopadła w drodze powrotnej.

— Czy nie można by go trzymać na rzece?

— Można by, bez wątplenia, panie Cyrusie, ale ujście nie zapewnia żadnej osłony i sądzę, że podczas wiatrów wschodnich „Bonawentura” mógłby bardzo ucierpieć od fal.

— Więc gdzie pan go chce ulokować, Pencroffie?

— W Przystani Balonowej — odparł marynarz. — Ta mała przystań, ze wszystkich stron osłonięta skałami, wydaje się jakby stworzona dla niego.

— Czy to nie trochę za daleko?

— Ba, od Granitowego Pałacu nie dalej jak trzy mile, i to po dobrej, prostej drodze.

— Dobrze więc, Pencroffie, niech pan tam odprowadzi „Bonawenturę” — odparł inżynier — chociaż wolałbym go mieć bliżej pod ręką. Gdy będziemy mieli czas, musimy dla niego urządzić mały port.

— Wyśmienicie! — zawołał Pencroff. — Port z latarnią, z falochronem i suchym dokiem! Nie, doprawdy, panie Cyrusie, przy panu wszystko jest bagatelą!

— Tak jest, mój dzielny Pencroffie — odparł inżynier — lecz tylko wtedy, gdy pan mi pomaga, w każdej naszej pracy trzy czwarte części zasługi panu się należą!

Harbert z marynarzem wsiedli więc znów na „Bonawenturę”, podnieśli kotwicę, rozpięli żagiel i pędzeni wiatrem mknęli szybko ku Przylądkowi Szponu. W dwie godziny później statek spoczywał na spokojnych wodach Przystani Balonowej.

Czy nieznajomy w pierwszych dniach swojego pobytu w Granitowym Pałacu zdradzał czymkolwiek, że jego zdziwała natura złagodniała? Czy na dnie tego zamglonego umysłu błysnęło żywsze światelko? Czy wreszcie w tym ciele budziła się na nowo dusza? Tak, bez żadnej wątpliwości, i to do tego stopnia, że Cyrus Smith i reporter zadawali sobie pytanie, czy naprawdę u tego nieszczęśnika kiedykolwiek całkiem wygasł rozum.

Z początku, przyzwyczajony do ciągłego przebywania pod gołym niebem, do nieograniczonej wolności, z jakiej korzystał na wyspie Tabor, nieznajomy miał napady ponurej wściekłości, tak że obawiano się, żeby nie rzucił się na dół z okna Granitowego Pałacu. Pomału jednak uspokajał się i można mu było pozwolić swobodnie się poruszać.

Była więc nadzieja i to niemała. Już zapomniał o instynktach mięsożercy, zaczął przyjmować mniej krwiożercze jedzenie niż to, jakim się żywił na wysepce, a gotowane mięso nie budziło w nim już tego wstrętu, jaki okazywał na pokładzie „Bonawentury”.

Cyrus Smith skorzystał kiedyś z chwili, kiedy nieznajomy spał, ostrzygł mu włosy i brodę, które tworzyły razem rodzaj grzywy i nadawały mu tak dziki wygląd. Zdjął z niego także szmatę, którą się opasywał, i ubrał go bardziej odpowiednio. Dzięki tym staraniom nieznajomy odzyskał ludzki wygląd i zdawało się nawet, że jego spojrzenie złagodniało. Z pewnością twarz tego człowieka, gdy ożywał ją promień inteligencji, musiała być nawet urodziwa.

Cyrus Smith wziął na siebie obowiązek spędzania codziennie kilku godzin w jego towarzystwie. Pracował przy nim i zajmował się różnymi rzeczami w ten sposób, aby zwrócić jego uwagę. Mógł wystarczyć jeden błysk, aby rozpalić na nowo tę duszę, jedno wspomnienie, aby wskrzesić rozum w tym mózgu. Przecież widzieli to podczas burzy na pokładzie „Bonawentury”.

Prócz tego inżynier zwykł mówić przy nim głośno, tak by jednocześnie za pomocą słuchu i wzroku przeniknąć w głąb uśpionej inteligencji rozbitka. Dołączali do niego to jeden, to drugi towarzysz, a czasem wszyscy razem. Najczęściej rozmawiali o rzeczach dotyczących żeglarstwa, które musiały obchodzić marynarza bardziej niż inne. Chwilami zdawało się, że nieznajomy jakby zwraca uwagę na to, co mówiono, i wkrótce koloniści nabrali przekonania, że ich częściowo rozumie. Czasami jego twarz przybierała niezmiernie bolesny wyraz, co świadczyło o wewnętrznym cierpieniu, gdyż twarz nie mogła kłamać do tego stopnia; mimo to ciągle milczał, chociaż kilka razy zdawało się, że za chwilę wymknie mu się kilka słów.

Tak czy inaczej, biedna istota była spokojna i smutna. Ale czy ten spokój nie był tylko pozorny? Czy smutek nie był tylko skutkiem niewoli? Na to nie można było jeszcze odpowiedzieć. Ponieważ widział zawsze te same przedmioty, i to w ograniczonym zasięgu, ponieważ pozostawał w ciągłej styczności z kolonistami, do których musiał się w końcu przyzwyczaić, nie miał żadnych potrzeb do zaspokojenia, był lepiej odżywiony, lepiej ubrany, więc naturalnie pod względem fizycznym musiał się powoli zmienić. Ale czy to był ogień nowego życia, który go przenikał, czy też, używając słowa, które niego szczególnie dawało się zastosować, oswoił się tylko, jak bywa ze zwierzęciem w stosunku do jego pana? Była to kwestia nadzwyczaj ważna i Cyrusowi Smithowi pilno było ją rozstrzygnąć, lecz nie chciał naciskać na chorego. Dla niego nieznajomy był tylko chory. Czy ten chory kiedyś wyzdrowieje?

Inżynier obserwował go przez cały czas. Jakże czatował na tę duszę, jeśli się można tak powiedzieć! Jakże każdej chwili był gotów, żeby ją pochwycić!

Koloniści ze szczerym współczuciem śledzili wszystkie fazy leczenia podjętego przez Cyrusa Smitha. Pomagali mu w tej humanitarnej pracy i wkrótce wszyscy, z wyjątkiem może niedowierzającego Pencroffa, podzielali jego nadzieję i wiarę.

Nieznajomy, jak powiedzieliśmy, był zupełnie spokojny i okazywał rodzaj przywiązania do inżyniera, wyraźnie ulegając jego wpływowi. Cyrus Smith postanowił zatem przeprowadzić doświadczenie i przenieść go do innego środowiska, na brzeg oceanu, w który jego oczy dawniej tak długo się wpatrywały, i na skraj lasu, który miał mu przypomnieć lasy, w których spędził tyle lat swojego życia.

— Ale czy możemy być pewni — powiedział Gedeon Spilett — że gdy go uwolnimy, nie ucieknie?

— Na tym polega ta próba — odparł inżynier.

— Niech będzie! — powiedział Pencroff. — Gdy tylko zobaczy tylko przed sobą otwartą przestrzeń i poczuje wolność, drapnie, że aż się za nim zakurzy!

— Nie sądzę — odparł Cyrus Smith.

— Spróbujmy więc — powiedział Gedeon Spilett.

— Spróbujmy — odparł inżynier.

Tego dnia, a było to 30 października, upłynęło właśnie dziesięć dni, odkąd rozbiitek z wyspy Tabor został zamknięty w Granitowym Pałacu. Na dworze był upał i słońce rzucało na ziemię jaskrawe promienie.

Cyrus Smith z Pencroffem udali się do pokoju nieznanego i zastali go leżącego przy oknie i wpatzonego w niebo.

— Chodź, przyjacielu — powiedział do niego inżynier.

Nieznanomy wstał natychmiast. Wpatrzył się w Cyrusa Smitha, po czym poszedł za nim, podczas gdy marynarz, który niewiele sobie obiecywał po tej całej próbie, szedł krok w krok za nieznanym.

Gdy doszli do drzwi, Cyrus Smith i Pencroff ulokowali nieznanego w windzie, podczas gdy Nab, Harbert i Gedeon Spilett czekali na nich u stóp Granitowego Pałacu. Kosz zjechał na dół i po kilku chwilach wszyscy razem znaleźli się nad brzegiem morza.

Koloniści oddalili się nieco od nieznanego, aby pozostawić mu więcej swobody.

Nieznanomy zrobił kilka kroków w stronę morza i oczy jego zajaśniały niezwykle żywym ożywieniem, ale wcale nie próbował ucieczki. Patrzył na fale morskie, które załamując się o wysepkę, zamierały powoli na piasku.

— To tylko morze — zauważył Gedeon Spilett. — Możliwe, że nie wzbudza w nim chęci ucieczki.

— Tak jest — odparł Cyrus Smith. — Trzeba go zaprowadzić na płaskowyż, na skraj lasu. Tam doświadczenie będzie bardziej przekonujące.

— Zresztą i tak nie będzie mógł uciec — zauważył Nab — bo mosty są podniesione.

— Och! Miałby się przejmować takim strumyczkiem szerokości Glicerynowego Potoku? — zawołał Pencroff. — Jednym susem by go przeskoczył!

— Zobaczmy — odparł Cyrus Smith, który nie spuszczał oka ze swojego pacjenta.

Zaprowadzono nieznanego do ujścia Rzeki Dziękczynienia i stąd, idąc lewym brzegiem rzeki, wszyscy weszli na Płaskowyż Pięknego Widoku.

Gdy doszli do miejsca, gdzie się rosły pierwsze wspaniałe drzewa, których liście z lekka kołysał wietrzyk, nieznanomy jakby w upojeniu wdychał nasycone przenikliwym zapachem powietrze, a z jego piersi wydarło się głębokie westchnienie.

Koloniści stali z tyłu, gotowi zatrzymać go przy pierwszym ruchu zdradzającym chęć ucieczki.

Istotnie, biedak miał już zamiar rzucić się do potoku oddzielającego ich od lasu, spał mięśnie nóg jak sprężynę.... Ale prawie natychmiast cofnął się, skurczył się w sobie, a z jego oczu potoczyły się wielkie łzy!

— Ach! — zawołał Cyrus Smith. — Płaczesz, więc jesteś znów człowiekiem!

ROZDZIAŁ XVI

Tajemnica do wyjaśnienia. — Pierwsze słowa nieznanego. — Dwanaście lat na wysepce. — Urywane wyznania. — Zniknięcie. — Zaufanie Cyrusa Smitha. — Budowa młyna. — Pierwszy bochenek chleba. — Akt poświęcenia. — Uczciwe ręce.

Tak, nieszczęsny płakał! Zapewne jakieś wspomnienie przemknęło przez jego umysł i, według słów Cyrusa Smitha, łzy przemieniły go na nowo w człowieka.

Koloniści pozostawili go przez pewien czas samego na płaskowyżu, oddalili się nawet nieco, żeby poczuł zupełnie wolny; ponieważ jednak wcale nie zamierzał skorzystać z wolności, Cyrus Smith uznał wkrótce za właściwe, by odprowadzić go z powrotem do Granitowego Pałacu.

Dwa dni po tym zdarzeniu nieznanomy zaczął jakby przejawiać chęć brania udziału we wspólnym życiu. Oczywiście było, że słyszał, że rozumiał wszystko, lecz niemniej oczywiście też to, że z dziwnym uporem wstrzymywał się od wszelkiej rozmowy z kolonistami; pewnego bowiem wieczoru Pencroff, przyłożywszy ucho do drzwi jego pokoju, usłyszał, jak mówił sam do siebie:

— Nie! Ja! Tutaj! Przenigdy!

Marynarz powtórzył te słowa towarzyszom.

— Jest w tym jakaś bolesna tajemnica — powiedział Cyrus Smith.

Nieznamy zaczął używać narzędzi rolniczych, pracował także w ogrodzie. Nieraz się zdarzało, że przerywając robotę, stał jakby skupiony na sobie i zatopiony w myślach. Koloniści za radą inżyniera szanowali samotność, której nieznamy zdawał się pragnąć. Gdy któryś z nich zbliżał się do niego, usuwał się na bok i bolesne łkanie wydobywało się z jego piersi, jakby przepelnionej cierpieniem.

Czyżby dręczyły go wyrzuty sumienia? Takie przypuszczenie samo się nasuwało i pewnego dnia Gedeon Spilett, nie mogąc się powstrzymać, powiedział:

— Wydaje mi się, że jeśli do nas nie mówi, to dlatego, że miałby zbyt poważne rzeczy do powiedzenia.

Nie pozostawało nic innego jak cierpliwie czekać.

W kilka dni później, 3 listopada, nieznamy, pracując na płaskowyżu, zatrzymał się nagle, wypuścił z rąk rydel, a Cyrus Smith, który obserwował go z pewnej odległości, zobaczył ponownie łzy w jego oczach. Zdjęty nieodpartą litością podszedł do niego, dotknął lekko jego ramienia i powiedział:

— Przyjacielu!

Nieznamy usiłował uniknąć wzroku inżyniera, a gdy Cyrus Smith chciał go wziąć za rękę, odskoczył gwałtownie.

— Przyjacielu — powiedział stanowczym głosem Cyrus Smith — proszę popatrzeć mi w oczy, życzę sobie tego!

Nieznamy podniósł wzrok na inżyniera i zdawał się pozostawać pod jego wpływem, jak zahipnotyzowany znajdujący się w mocy magnetyzera³⁴⁰. Chciał uciekać. Ale nagle jego twarz dziwnie się zmieniła. Oczy zapłonęły. Na usta cisnęły się słowa. Nie mógł się dłużej powstrzymać!... Wreszcie skrzyżował ręce na piersiach i przytłumionym głosem zapytał Cyrusa Smitha:

— Kim jesteście?

— Rozbitkami tak jak pan — odparł inżynier, głęboko wzruszony. — Sprowadziliśmy pana tutaj, żeby znalazł się pan wśród swoich bliźnich.

— Moich bliźnich!... Nie mam żadnych bliźnich!

— Znajduje się pan wśród przyjaciół...

— Przyjaciół!... Moich przyjaciół! — zawołał nieznamy, kryjąc twarz w dłoniach.

— Nie... Przenigdy... Puśćcie mnie! Puśćcie!

Po czym uciekł w stronę morza i stał tam długo nieruchomy.

Cyrus Smith udał się do swoich towarzyszy i opowiedział im, co się stało.

— Tak, jest jakaś tajemnica w życiu tego człowieka — powiedział Gedeon Spilett. — Zdaje się, że powrócił do człowieczeństwa tylko dzięki wyrzutom sumienia...

— Doprawdy nie wiem, co za człowieka tu sprowadziliśmy — powiedział marynarz. — Ma jakieś tajemnice...

— Które będziemy musieli uszanować — przerwał mu żywo Cyrus Smith. — Jeśli popełnił jakiś błąd, to ciężko go odpokutował i w naszych oczach jest rozgrzeszony.

Przez dwie godziny nieznamy pozostawał samotnie nad brzegiem morza, najwyraźniej pod wpływem wspomnień, które przywoływały mu na myśl całą jego przeszłość — przeszłość bez wątpienia fatalną — koloniści zaś, nie spuszczać go z oczu, nie zakłócali mu tej samotności.

Po dwu godzinach widocznie podjął jakąś decyzję i podszedł do Cyrusa Smitha. Oczy miał zaczerwienione od przelanych łez, ale już nie płakał. Na jego twarzy malował się wyraz głębokiej pokory. Sprawiał wrażenie wylęknionego, zawstydzonego i uniżonego, a oczy miał cały czas spuszczone ku ziemi.

— Panie — powiedział do Cyrusa Smitha — czy pan i pańscy towarzysze jesteście Anglikami?

— Nie — odparł inżynier — jesteśmy Amerykanami.

— Ach, to lepiej! — szepnął nieznamy.

— A pan, przyjacielu? — zapytał inżynier.

— Jestem Anglikiem — odparł pośpiesznie.

³⁴⁰magnetyzer a. hipnotyzer — człowiek potrafiący oddziaływać na przedmioty i innych ludzi siłą swojego umysłu. [przypis edytorski]

I jakby tych kilka słów sprawiło mu wielką trudność, wrócił na wybrzeże i w najwyższym wzburzeniu chodził wzdłuż brzegu od wodospadu aż do ujścia Rzeki Dziękczynienia.

W pewnym momencie, przechodząc obok Harberta, zatrzymał się i zapytał przytłumionym głosem:

— Który to miesiąc?

— Listopad — odparł Harbert.

— A rok?

— Tysiąc osiemset sześćdziesiąty szósty.

— Dwanaście lat! Dwanaście lat! — zawołał.

Po czym oddalił się pospiesznie.

Harbert powtórzył towarzyszom swoją rozmowę z nieznanym.

— Ten nieszczęsny stracił rachubę miesięcy i lat — zauważył Gedeon Spilett.

— Tak, w chwili kiedyśmy go znaleźli na wysepce, przebywał tam już dwanaście lat — dodał Harbert.

— Dwanaście lat! — powiedział Cyrus Smith. — Ach, dwunastoletnia samotność, po życiu być może zbrodniczym, łatwo może człowiekowi pomieszać zmysły.

— Mnie się zdaje — odezwał się Pencroff — że ten człowiek trafił na wyspę Tabor wcale nie wskutek katastrofy statku, ale że został tam osadzony za jakąś zbrodnię...

— Być może ma pan rację, Pencroffie — odparł reporter. — Jeśli tak było, wtedy ci co, go zostawili na wyspie, mogą pewnego dnia po niego powrócić.

— I nie znajdą go — powiedział Harbert.

— W takim razie — ciągnął dalej Pencroff — wypadaloby tam powrócić i...

— Przyjaciele — powiedział Cyrus Smith — nie zajmujmy się tą kwestią, dopóki nie będziemy wiedzieli, czego się mamy trzymać. Sądzę, że ten nieszczęśnik wiele wycierpiał, że ciężko odpokutował swe winy, jakiegokolwiek one były, i że chęć zwierzania się z nich pali mu piersi. Nie naciskajmy na niego, by nam opowiedział swoją historię. Sam bez wątpienia to zrobi, a kiedy ją poznamy, zdecydujemy, co robić dalej. Zresztą tylko on sam może nam powiedzieć, czy ma coś więcej niż nadzieję, czy ma pewność, że kiedyś będzie mógł powrócić do ojczyzny, w co zresztą wątpię.

— Dlaczego? — zapytał reporter.

— Dlatego, bo gdyby był pewny, że po jakimś określonym czasie odzyska wolność, oczekiwałby chwili oswobodzenia i nie wrzuciłby do morza tego dokumentu. Nie, bardziej prawdopodobne jest raczej, że został skazany na dożywotnie wygnanie na wysepce i że miał już nigdy nie ujrzeć swoich bliźnich.

— Jednak jest w tym coś, czego nie umiem sobie wytłumaczyć — zauważył marynarz.

— Co takiego?

— Jeżeli ten człowiek od dwunastu lat znajdował się na wyspie Tabor, to można śmiało przypuścić, że w stanie zdziczenia, w jakim go znaleźliśmy, pozostawał już od kilku lat.

— Całkiem możliwe — odparł Cyrus Smith.

— A w takim razie musiałby ten dokument napisać kilka lat temu.

— Niewątpliwie... A przecież dokument wygląda, jakby został napisany niedawno.

— Zresztą, czy można przypuszczać, że butelka zawierająca dokument płynęła kilka lat z wyspy Tabor do Wyspy Lincolna?

— Zupełnie niemożliwe to nie jest — odparł reporter. — Czy nie mogła od dawna krążyć w pobliżu wyspy?

— Nie — odparł Pencroff — bo nadal pływała po morzu. Nie można nawet przypuszczać, aby po tym, jak przez pewien czas leżała na brzegu, mogła zostać powtórnie uniesiona przez morze, gdyż całe południowe wybrzeże jest najeżone skałami, o które na pewno by się roztrzaskała.

— Tak, rzeczywiście — odparł Cyrus Smith pogrążony w zamyśleniu.

— Poza tym — dodał marynarz — gdyby dokument został napisany kilka lat temu, gdyby już od kilku lat był zamknięty w butelce, to zbutwiały od wilgoci. A przecież nie był zbutwiały, wręcz przeciwnie, papier był w zupełnie dobrym stanie.

Uwagi marynarza były zupełnie słuszne. Było w tym coś niezrozumiałego, gdyż dokument, w chwili gdy koloniści znaleźli go w butelce, sprawiał wrażenie pisanego niedawno.

Co więcej, określał położenie wyspy Tabor, jej długość i szerokość geograficzną, z dokładnością świadcząca o gruntownej wiedzy hydrograficznej³⁴¹ autora, której nie mógł mieć zwykły marynarz.

— Jest w tym, powtarzam raz jeszcze, coś niewytłumaczalnego — powiedział inżynier — ale nie prowokujmy naszego nowego towarzysza do zwierzeń. Gdy sam zechce, będziemy gotowi go wysłuchać.

Przez kilka następnych dni nieznajomy nie odezwał się ani słowem i ani razu nie wyszedł poza obręb płaskowyżu. Pracował na roli bez chwili wytchnienia, lecz zawsze sam, na uboczu. W porze posiłków nie wracał do Granitowego Pałacu, pomimo że kilkakrotnie go zapraszano, i zadowalał się surowymi warzywami. Na noc również nie szedł do przeznaczanego mu pokoju, lecz sypiał na zewnątrz pod kępą drzew lub podczas niepogody wciskał się w jakieś wydrążenie w skale. Żył więc całkiem tak samo, jak na wyspie Tabor, gdy jego jedynym schronieniem były lasy, a ponieważ wszelkie nalegania, aby zmienić tryb życia, były daremne, koloniści czekali cierpliwie. Wreszcie nadeszła chwila, gdy pod nieodpartymi wyrzutami sumienia, prawie wbrew jego woli, wydarło mu się z ust straszne wyznanie.

10 listopada około ósmej wieczorem, gdy zaczął już zapadać zmrok, nieznajomy zjawił się nagle wśród kolonistów zgromadzonych na werandzie. Jego wzrok pałał dziwnym ogniem, a cała postać znowu nabrała dzikiego wyglądu z dawnych złych czasów.

Cyrus Smith i jego towarzysze stali jak wryci, widząc, jak pod wpływem straszego wzburzenia dzwonił zębami jak w febrze. Co mu się stało? Czy widok bliźnich był dla niego tak nieznośny? Czy mu już obrzydło życie pomiędzy uczciwymi ludźmi? Czy ogarnęła go tęsknota za dawnym życiem zwierzęcia? Można było tak sądzić, słysząc z jego ust urywane, bezładne słowa:

— Czemu ja tu jestem?... Jakim prawem porwaliście mnie z mojej wysepki?... Czy może istnieje jakaś więź między mną a wami?... Czy wiecie, kim jestem... co zrobiłem... dlaczego byłem tam... sam jeden? A kto wam powiedział, że mnie tam nie porzucono umyślnie... że nie byłem skazany na to, aby tam zginąć?... Czy znacie moją przeszłość?... Skąd wiecie, czy nie kradłem, nie mordowałem... czy nie jestem nędznikiem... istotą przeklętą na wieki... zasługującą tylko na to, żeby żyć jak dzikie zwierzęta... z dala od wszystkich... powiedzcie... Skąd wiecie?...

Koloniści słuchali, nie przerywając nieszczęśnikowi, któremu te bezładne słowa wrywały się z ust jakby wbrew jego woli. Cyrus Smith chciał go uspokoić i podszedł do niego, ale ten cofnął się gwałtownie i zawołał:

— Nie, nie! Jedno słowo tylko... Czy jestem wolny?

— Jesteś wolny — odparł inżynier.

— Więc żegnajcie! — zawołał i wybiegł jak szalony.

Nab, Pencroff i Harbert pobiegli natychmiast na skraj lasu... lecz powrócili sami.

— Trzeba mu pozwolić robić, co chce! — powiedział Cyrus Smith.

— On już nigdy nie wróci... — stwierdził Pencroff.

— Wróci — odparł inżynier.

Od tego czasu minęło wiele dni, lecz Cyrus Smith, wiedziony jakimś przeczuciem, trwał niezachwianie w przekonaniu, że nieszczęśnik prędzej czy później powróci.

— To był ostatni bunt tej nieokrzesej natury, którą poruszyły wyrzuty sumienia. Ponowna samotność przejęłaby go przerażeniem — mówił inżynier.

Tymczasem rozmaitego rodzaju prace toczyły się dawnym trybem, zarówno na Płaskowyżu Pięknego Widoku, jak i w zagrodzie, gdzie Cyrus Smith zamierzał zbudować farmę. Nie trzeba dodawać, że nasiona zebrane przez Harberta na wyspie Tabor zostały troskliwie zasiane. Na płaskowyż powstał już obszerny ogród warzywny, dobrze rozplanowany i porządnie utrzymywany, który nie pozostawiał kolonistom wiele czasu na bezczynność. Zawsze było tam coś do zrobienia. W miarę jak wzrastała ilość roślin warzywnych, trzeba było powiększać początkowo małe grządki, które kosztem łąki zmieniały się w prawdziwe pola uprawne. Ale trawy nie brakowało także w innych częściach wyspy i onagry nie potrzebowały się obawiać, aby ograniczono im paszę do skąpych porcji.

³⁴¹hydrografia — dział geografii fizycznej zajmujący się opisywaniem stosunków wodnych na Ziemi, w szczególności sporządzaniem map morskich oraz zbieraniem danych geograficznych przydatnych w nawigacji. [prypis edytorski]

Zresztą lepiej było przekształcić Płaskowyż Pięknego Widoku w ogród warzywny, chroniony dokoła pasmem głębokich strumieni, a pastwisko przenieść poza jego obręb, ponieważ nie potrzebowało ochrony przed spustoszeniem przez czwororękie i czworonogie zwierzęta.

15 listopada zebrano trzeci plon. Powierzchnia pola znacznie się powiększyła od chwili, gdy osiemnaście miesięcy wcześniej zasadzono pierwsze ziarno. Drugi zbiór, liczący sześćset tysięcy ziaren, dał tym razem cztery tysiące buszli zboża, czyli ponad pięćset milionów ziaren. Kolonia była bogata w zboże, gdyż wystarczyło zasiać jakieś dziesięć buszli, aby zapewnić coroczne plony i aby wszyscy, ludzie i bydło, mieli się czym wyżywić.

Ukończono więc żniwa i drugą połowę listopada poświęcono pracom potrzebnym do uzyskania chleba.

Rzeczywiście, koloniści mieli ziarno, ale nie mieli jeszcze mąki, toteż trzeba było koniecznie zbudować młyn. Cyrus Smith mógłby jako siły napędowej użyć drugiego wodospadu na Rzece Dziękczynienia, pierwszy bowiem napędzał już folusz, jednak po krótkiej naradzie stanęło na tym, aby na Płaskowyżu Pięknego Widoku postawić zwyczajny wiatrak. Zbudowanie go nie było trudniejsze od zbudowania młyna wodnego, a można było mieć pewność, że na płaskowyżu, wystawionym na wiatr od morza, nigdy nie zabraknie wiatru.

— Nie wspominając już o tym — dodał Pencroff — że wiatrak jest weselszy i ożywi krajobraz!

Przystąpiono więc zaraz do dzieła i wybrano odpowiednie drewno na szkielet i mechanizm młyna. Duże bloki piaskowca, znalezione na północ od jeziora, można było z łatwością przemienić w kamienie młyńskie, a jeśli chodzi o skrzydła, to potrzebnego na nie płótna dostarczyła niewyczerpana powłoka balonu.

Cyrus Smith sporządził plan, po czym wybrano miejsce na wiatrak, trochę na prawo od ptaszarni, blisko brzegu jeziora. Klatka wiatraka miała spoczywać na osi podtrzymywanej grubymi belkami, tak by mogła się obracać razem z wewnętrznym mechanizmem odpowiednio do kierunku wiatru.

Pracę wykonano szybko. Nab i Pencroff stali się bardzo zręcznymi cieślami i wystarczyło, że robili wszystko według szkiców wykonanych przez inżyniera. Toteż wkrótce w wyznaczonym miejscu stanęła walcowata budka, jakby pieprzniczka, nakryta szpiczastym dachem. Cztery ramy tworzące szkielety skrzydeł mocno osadzono w głównym wale pod odpowiednim kątem, a następnie przytwierdzono za pomocą żelaznych klamer. Bez trudu sporządzono rozmaite części mechanizmu wewnętrznego: skrzynię mieszczącą oba kamienie młyńskie, kamień nieruchomy i kamień obrotowy, kosz młyński w kształcie dużej, kwadratowej rynny, szerokiej u góry, wąskiej u dołu, którą zboże miało się sypać między kamienie, następnie korytko wahadłowe przeznaczone do regulowania zsypania ziarna, z powodu nieustannego klekotu nazywane „gadulą”, i wreszcie pytel³⁴², który odsiewa otręby od mąki. Narzędzia mieli dobre, a praca nie była trudna, gdyż, ogólnie rzecz biorąc, części składowe wiatraka są bardzo proste. Była to tylko kwestia czasu.

Wszyscy członkowie kolonii pracowali nad budową młyna i 1 grudnia był gotowy.

Pencroff jak zwykle zachwycał się swym dziełem i nie wątpił, że wiatrak jest doskonały.

— A teraz — powiedział — obyśmy mieli tylko dobry wiatr, a zmielemy ślicznie nasz pierwszy plon!

— Dobry wiatr, owszem — odparł inżynier — byle tylko nie za dużo wiatru, Pencroffie.

— Ba, to wiatrak będzie się szybciej obracać!

— Nie musi się zbyt szybko obracać — odparł Cyrus Smith. — Wiemy z doświadczenia, że wiatrak wtedy miele najlepiej, gdy liczba obrotów skrzydeł w ciągu minuty wynosi sześć razy tyle co prędkość wiatru wyrażona w liczbie stóp na sekundę. Przy średnim wietrze o prędkości dwudziestu czterech stóp na sekundę skrzydła wiatraka wykonają szesnaście obrotów na minutę, a więcej nie trzeba.

— W samą porę! — zawołał Harbert. — Właśnie wieje piękny wiaterek z północnego wschodu, który nam odpowiada!

³⁴²pytel — drobne sito, przez które w młynie odsiewano mąkę od otręb. [przypis edytorski]

Nie było powodu odkładać na później inauguracji młyna, gdyż kolonistom pilno było skosztować pierwszego kawałka chleba na Wyspie Lincolna. Jeszcze tego samego dnia rano zmielili dwa czy trzy buszle zboża i nazajutrz na śniadanie pojawił się na stole w Granitowym Pałacu wspaniały bochen chleba, może trochę zanadto ciężki i zbity, pomimo że został rozczyntoniony na drożdżach piwnych. Wszyscy jedli z wielkim apetytem i z jaką przyjemnością, to łatwo sobie wyobrazić.

Tymczasem nieznajomy nie wracał. Kilkakrotnie Gedeon Spilett z Harbertem kilka razy przemierzali las w pobliżu Granitowego Pałacu, lecz nigdzie nie napotkali ani jego samego, ani jego śladów. Ta przedłużająca się nieobecność poważnie ich niepokoiła. Zapewne dziki mieszkaniec wyspy Tabor nie potrzebował się troszczyć o pożywienie w pełnym zwierzynie Lesie Dalekiego Zachodu, ale czy nie należało się obawiać, że powróci do dawnych obyczajów i że to wolne, koczownicze życie wzbudzi w nim na nowo zwierzęce instynkty? Mimo to Cyrus Smith, wiedziony zapewne jakimś wewnętrznym przecuciem, obstawał przy twierdzeniu, że uciekinier powróci.

— Tak, on wróci! — powtarzał z ufnością, której jego towarzysze nie potrafili podzielać. — Gdy ten nieszczęśnik był na wyspie Tabor, wiedział, że jest sam. Tutaj wie, że oczekują na niego bliźni. Ponieważ opowiedział nam już część historii swego dawnego życia, biedny pokutnik powróci, by nam ją opowiedzieć w całości, i od tego dnia będzie do nas należał!

Wydarzenia dowiodły, że Cyrus Smith miał słuszność.

3 grudnia Harbert opuścił Płaskowyż Pięknego Widoku i poszedł łowić na ryby południowym brzegu jeziora. Nie wziął ze sobą broni i dotychczas nie widział nigdy potrzeby takich środków ostrożności, gdyż drapieżne zwierzęta nie pojawiały się w tej części wyspy.

Pencroff z Nabem krzatali się właśnie w ptaszarni, a Cyrus Smith z reporterem zajęci byli w Kominach produkcją sody, ponieważ zapas mydła już się wyczerpał.

Nagle odezwał się krzyk:

— Na pomoc! Ratunku!

Cyrus Smith i reporter znajdowali się zbyt daleko, by usłyszeć te wołania. Pencroff z Nabem wybiegli czym prędzej z ptaszarni i popędzili w stronę jeziora.

Ale uprzedził ich nieznajomy, którego nikt się w tym miejscu nie spodziewał. Przeskoczył Glicerynowy Potok, oddzielający płaskowyż od lasu, i pobiegł na przeciwległy brzeg.

Tam Harbert znalazł się oko w oko z olbrzymim jaguarem podobnym do tego, który został zabity na Jaszczurzym Cyplu. Zaskoczony młodzieniec przycisnął się plecami do drzewa, podczas gdy zwierzę, przysiadłszy na ziemi, już gotowało się do skoku... Lecz w tej chwili nieznajomy, nie mając innej broni prócz noża, rzucił się na drapieżnika, który zwrócił się przeciwko nowemu przeciwnikowi.

Walka trwała krótko. Nieznajomy posiadał niezwykłą siłę i zręczność. Mocną jak kleszcze ręką schwycił jaguara za gardło i nie troszcząc się wcale o to, że zwierzę zatapiał mu w ciału pazury, pchnął go nożem w samo serce.

Jaguar padł. Nieznajomy odepchnął go nogą i już chciał uciekać, gdy koloniści przybyli na pole walki, lecz Harbert, tuląc się do niego, zawołał:

— Nie! Nie! Pan tak nie odejdzie!

Cyrus Smith zbliżył się do nieznajomego, który zmarszczył brwi na jego widok. Krew ciekła mu z ramienia pod rozdartym ubraniem, ale nie zwracał na to uwagi.

— Przyjacielu — powiedział doń Cyrus Smith — zaciągnęliśmy wobec pana dług wdzięczności. Żeby ocalić życie naszego dziecka naraził pan swoje własne!

— Moje życie! — szepnął nieznajomy. — Co ono warte? Mniej niż nic!

— Jest pan ranny?

— To nieważne.

— Czy zechce pan mi podać swoją dłoń?

I w chwili gdy Harbert chciał uchwycić dłoń, która go ocaliła, nieznajomy skrzyżował obie ręce, pierś uniosła się w westchnieniu, wzrok zaszedł mgłą i zdawało się, że chce uciekać. Przewyciężywszy się z trudem, zapytał szorstkim tonem:

— Kim jesteście? Kim chcecie być dla mnie?

W ten sposób po raz pierwszy zapytywał kolonistów o ich dzieje. Wydawało się prawdopodobne, że kiedy je usłyszy, opowie swoje własne.

Cyrus Smith w kilku słowach opowiedział koleje ich losu od chwili, gdy opuścili Richmond, jak udało im się przetrwać i jakimi środkami rozporządzali obecnie.

Nieznajomy słuchał z wyteżoną uwagą.

Następnie inżynier przedstawił mu wszystkich po kolei: Gedeona Spiletta, Harberta, Pencroffa, Naba i siebie, i dodał, że największą radość, jakiej doznali od przybycia na Wyspę Lincoln, sprawiło im to, że po powrocie z wysepki zyskali jeszcze jednego towarzysza.

Na te słowa nieznajomy zarumienił się, opuścił głowę na piersi, a z całej jego postaci przebijało zawstydzenie.

— A teraz, skoro już pan nas zna, czy zechce pan podać nam rękę? — zapytał Cyrus Smith.

— Nie — odparł nieznajomy przytłumionym głosem. — Nie! Wy, wy jesteście uczciwymi ludźmi! A ja!...

ROZDZIAŁ XVII

Zawsze na uboczu. — Prośba nieznajomego. — Farma w zagrodzie. — Dwanaście lat temu! — Bosman z „Britanii”. — Porzucony na wyspie Tabor. — Ręka Cyrusa Smitha. — Tajemniczy dokument.

Te ostatnie słowa nieznajomego potwierdziły przecucia kolonistów. Przeszłość nie-szczęśnika musiała ukrywać jakąś zbrodnię, odpokutowaną może w oczach ludzkich, lecz z której jeszcze nie było rozgrzeszyło go własne sumienie. W każdym razie winowajca czuł wyrzuty sumienia i żal, ale nie czuł się godny podania ręki uczciwym ludziom, którzy go o to prosili i którzy by ją serdecznie uściśli. Mimo to po zdarzeniu z jaguarem nie powrócił już do lasu i od tego dnia pozostawał w pobliżu Granitowego Pałacu.

Jakaż to tajemnica kryła się w jego życiu? Czy ją kiedyś wyjawি? Przyszłość to miała pokazać. W każdym razie postanowiono nigdy go o nią nie wypytywać i zachowywać się wobec niego tak, jak gdyby go o nic nie podejrzewano.

Przez kilka dni życie kolonistów toczyło się dawnym trybem. Cyrus Smith z Gedeonem Spillettem pracowali razem bądź jako chemicy, bądź jako fizycy. Reporter opuszczał inżyniera tylko wtedy, gdy szedł na polowanie z Harbertem, gdyż rozsądek nakazywał nie puszczać już więcej chłopca samego do lasu i zachowywać ostrożność. Nabowi i Pencroffowi również nie brakowało zajęcia, czy to w zagrodzie, czy to w ptaszarni przy ptactwie, nie licząc już Granitowego Pałacu.

Nieznajomy pracował ciągle na uboczu i powrócił do swoich dawnych zwyczajów: nie brał udziału we wspólnym posiłku, sypiał pod drzewami na płaskowyżu, nie przyłączał się nigdy do ich. Doprawdy zdawało się, że obcowanie z tymi, którzy go ocalili, było dla niego nie do zniesienia.

— Ale w takim razie — zauważał Pencroff — dlaczego zwrócił się o pomoc do swoich bliźnich? Dlaczego wrzucił do morza ten dokument?

— On sam nam to powie — odpowiadał zawsze Cyrus Smith.

— Kiedy?

— Może prędzej niż się pan spodziewa, Pencroffie.

Rzeczywiście, chwila wyznania była już bliska.

10 grudnia, w tydzień po powrocie do Granitowego Pałacu, nieznajomy stanął nagle przed Cyrusem i powiedział do niego łagodnym i pokornym głosem:

— Panie, miałbym do pana prośbę.

— Słucham — odparł inżynier — ale pozwól pan, że wcześniej coś panu powiem.

Na te słowa nieznajomy splonął rumieńcem i już chciał odejść. Cyrus Smith zrozumiał, co się działo w duszy winowajcy, który obawiał się zapewne, żeby inżynier nie wypytywał go o jego przeszłość.

Cyrus Smith powstrzymał go ręką.

— Jesteśmy nie tylko pańskimi towarzyszami — powiedział do niego — ale i przyjaciółmi. To chciałem panu powiedzieć, a teraz słucham.

Nieznajomy przetarł dłonią oczy. Opanowało go jakieś drżenie i stał tak kilka chwil, nie mogąc wymówić słowa. Wreszcie powiedział:

— Panie, chcę prosić pana o jedną łaskę.

— Jaką?

— Cztery czy pięć mil stąd, u podnóża góry, macie panowie zagrodę przeznaczoną dla zwierząt domowych. Zwierzęta te potrzebują starania i opieki. Czy pozwoli mi pan mieszkać tam razem z nimi?

Przez kilka chwil Cyrus Smith przyglądał się nieznajomemu z wyrazem najgłębszego współczucia, potem powiedział:

— Przyjacielu, w zagrodzie są tylko szopy, nadające się zaledwie dla zwierząt...

— Będą wystarczająco dobre dla mnie.

— Przyjacielu — ciągnął dalej Cyrus Smith — nie będziemy się panu nigdy w niczym sprzeciwiali. Chce pan mieszkać w zagrodzie, dobrze. Zresztą będzie pan zawsze mile widziany w Granitowym Pałacu. Ale ponieważ chce pan mieszkać w zagrodzie, więc zapewnimy tam panu odpowiednie warunki.

— Niepotrzebnie, i tak będzie mi tam dobrze.

— Przyjacielu — odparł Cyrus Smith, specjalnie kładąc nacisk na ten serdeczny zwrot — proszę nam pozostawić ocenę, co powinniśmy zrobić w tej sprawie.

— Dziękuję panu — odpowiedział nieznajomy i odszedł.

Inżynier natychmiast powiadomił towarzyszy o propozycji nieznajomego i postanowiono wybudować na terenie zagrody drewniany domek, tak wygodny, jak to tylko będzie możliwe.

Jeszcze tego samego dnia koloniści udali się do zagrody z niezbędnymi narzędziami i nie minął tydzień, jak stanął tam domek gotowy na przyjęcie gospodarza. Postawiono go w odległości dwudziestu stóp od szop, tak żeby łatwo było stamtąd czuwać nad stadem mufflonów, liczącym już wówczas przeszło osiemdziesiąt sztuk. Sporządzono kilka mebli: łóżko, stół, ławę, szafę i kufel, i przyniesiono do zagrody broń, amunicję i narzędzia.

Nieznajomy nie przyszedł ani razu zobaczyć swojego nowego mieszkania i nie mieszal się do tego, co robili koloniści, sam zaś w tym czasie zajęty był na płaskowyżu, gdzie chciał najwyraźniej ukończyć swą pracę. Istotnie, dzięki niemu całe pole było uprawione i gotowe pod zasiewy, gdy tylko nadejdzie odpowiedni czas.

20 grudnia ukończono przygotowania w zagrodzie. Inżynier zawiadomił nieznajomego, że mieszkanie czeka na jego przyjęcie, a ten odparł, że jeszcze tego samego dnia pójdzie tam nocować.

Tego wieczora koloniści zgromadzili się w wielkiej sali Granitowego Pałacu. Była ósma, pora, o której nowy towarzysz miał ich opuścić. Nie chcąc go krępować i zmuszać swoją obecnością do pożegnania, które mogło być dla niego nieprzyjemne, zostawili go samego i udali się do Granitowego Pałacu.

Zgromadzeni zatem w wielkiej sali rozmawiali już od kilku minut, gdy rozległo się lekkie pukanie do drzwi. Prawie równocześnie nieznajomy wszedł do sali i bez żadnych wstępów powiedział:

— Panowie, zanim panów opuszczę, powinniście poznać moją historię. Opowiem ją. Te proste słowa wywarły na Cyrusie i jego towarzyszach mocne wrażenie.

Inżynier powstał ze swego miejsca.

— Nie pytałśmy pana o nic, przyjacielu — powiedział. — Ma pan prawo milczeć...

— Mam obowiązek mówić.

— Więc niech pan usiądzie.

— Wolę stać.

— Słuchamy pana zatem — odparł Cyrus Smith.

Nieznajomy stanął w kącie sali, w lekkim półcieniu. Głowę miał odkrytą, ręce skrzyżował na piersi i przytłumionym głosem, jakby się przymuszał do mówienia, rozpoczął następujące opowiadanie, którego żaden ze słuchaczy nie przerwał ani razu:

— 20 grudnia 1854 roku parowy jacht „Duncan” należący do pewnego szkockiego arystokraty, lorda Glenarvana, rzucił kotwicę u przylądka Bernouilli na zachodnim wybrzeżu Australii, na wysokości trzydziestego siódmego równoleżnika. Na statku znajdowali się lord Glenarvan, jego żona, pewien major armii angielskiej, geograf francuski, młoda dziewczyna i młody chłopak. Tych dwoje ostatnich było dziećmi kapitana Granta, którego statek „Britannia” rok wcześniej zatonął z całą załogą i ładunkiem. „Dun-

can” pływał pod rozkazami kapitana nazwiskiem John Mangles i posiadał załogę złożoną z piętnastu ludzi.

Powód, dla którego jacht znajdował się w tym czasie u wybrzeży australijskich, był następujący:

Sześć miesięcy wcześniej załoga „Duncana” wylowiła z Morza Irlandzkiego³⁴³ butelkę zawierającą dokument spisany w językach angielskim, niemieckim i francuskim. Dokument stwierdzał, że z rozbitego statku „Britannia” pozostało przy życiu jeszcze trzech ludzi, mianowicie sam kapitan Grant i dwóch członków załogi oraz że znaleźli schronienie na jakimś lądzie, którego szerokość geograficzna była podana w dokumencie, ale oznaczenie długości, zamazane przez wodę morską, było zupełnie nieczytelne.

Odczytana część wskazywała 37°11’ szerokości południowej. Dlatego też, ponieważ długość geograficzna była nieznana, podążając wzdłuż trzydziestego siódmego równoleżnika przez morza i lądy, miało się pewność, że dotrze się wreszcie do miejsca, gdzie zamieszkiwali kapitan Grant i jego dwaj towarzysze.

Gdy admiralicja angielska wahała się podjąć poszukiwania, lord Glenarvan postanowił dołożyć wszelkich starań, aby odszukać kapitana. Mary i Robert Grant porozumieli się z nim. Wyposażono jacht „Duncan” we wszystko, co potrzebne w tak dalekiej podróży, w której miała wziąć udział rodzina lorda i dzieci kapitana. „Duncan”, opuściwszy Glasgow, skierował się na Atlantyk, przepłynął Cieśninę Magellana i przez Pacyfik dotarł aż do Patagonii, gdzie, jak przypuszczano według pierwszej interpretacji dokumentu, kapitan Grant miał znajdować się w niewoli u tubylców.

„Duncan” wysadził więc pasażerów na zachodnim wybrzeżu Patagonii, a sam odpłynął, aby ich zabrać z powrotem ze wschodniego wybrzeża, z Przylądka Corrientes³⁴⁴.

Lord Glenarvan przeszedł całą Patagonię wzdłuż trzydziestego siódmego równoleżnika i nie znalazłszy nigdzie śladu kapitana, 13 listopada wrócił na pokład statku, by kontynuować poszukiwania na oceanie.

Po bezskutecznych poszukiwaniach na położonych po drodze wyspach Tristan Acunha³⁴⁵ i Amsterdam³⁴⁶ „Duncan”, jak już wspomniałem, przybył do przylądka Bernuilli na wybrzeżu australijskim 20 grudnia 1854 roku.

Zamiarem lorda Glenarvana było przemierzyć wzdłuż całą Australię, tak jak przeszedł Amerykę, i w tym celu wylądował. Kilka mil od brzegu morza znajdowała się farma należąca do pewnego Irlandczyka, który ofiarował podróżnym gościnne przyjęcie. Lord Glenarvan wyjawiał Irlandczykowi powód, który go sprowadził w te strony, i zapytał go, czy wie coś o rozbiciu się trójmasztowca angielskiego „Britannia” przed niespełna dwoma laty na zachodnim wybrzeżu Australii.

Irlandczyk nigdy nie słyszał o tym zdarzeniu. Ale ku wielkiemu zdumieniu wszystkich obecnych jeden ze służących Irlandczyka wtrącił się do rozmowy, mówiąc:

„Milordzie³⁴⁷, dziękuj Bogu i wychwalaj Jego imię! Jeśli kapitan Grant żyje jeszcze, to na ziemi australijskiej”.

„Kim pan jest?” — zapytał lord Glenarvan.

„Szkotem, tak jak pan, milordzie — odparł ów człowiek. — Jestem jednym z towarzyszy kapitana Granta, jednym z rozbitków »Britannii«”.

Człowiek ten nazywał się Ayrton. Jak o tym świadczyły jego dokumenty, był bosmanem na statku „Britannia”. Będąc z dala od kapitana Granta w chwili, gdy statek rozbił się o skały, sądził dotychczas, że kapitan utonął wraz z całą załogą i że tylko on sam, Ayrton, jako jedyny z całej „Britannii” pozostał przy życiu.

³⁴³*Morze Irlandzkie* — morze między wyspami Irlandią i Wielką Brytanią. [przypis edytorski]

³⁴⁴*Przylądek Corrientes* — tu: skalisty przylądek w Argentynie na 38°01’ szer. południowej, na terenie ob. miasta Mar del Plata, pomiędzy plażami Chica i Varese; najbardziej wysunięty na południowy zachód punkt prowincji Buenos Aires. [przypis edytorski]

³⁴⁵*Tristan Acunha* — ob. *Tristan da Cunha*, archipeląg wysepek wraz z gł. wyspą o tej samej nazwie, leżący na Atlantyku, na 37°15’ szerokości południowej, odległy o ok. 3400 km od Ameryki Płd. oraz o ok. 2400 km od płd. Afryki. [przypis edytorski]

³⁴⁶*Wyspa Amsterdam* — niewielka wyspa na południowym Oceanie Indyjskim, na 37°49’ szerokości południowej, mniej więcej w połowie odległości pomiędzy płd. Afryką a Australią. [przypis edytorski]

³⁴⁷*milord* — tytuł grzecznościowy używany przy zwracaniu się do lordów angielskich, z ang. *my lord*: mój lordzie. [przypis edytorski]

„Tylko że »Britannia« — dodał — nie rozbiła się przy zachodnim wybrzeżu Australii, ale przy wschodnim, i jeśli kapitan Grant wciąż żyje, jak to wynika z dokumentu, to jest więźniem tubylców australijskich i należy go szukać nie na tym, ale na przeciwnym brzegu”.

Człowiek ten mówił głosem pełnym szczerości, z pewnym siebie spojrzeniem. Nie można było wątpić w prawdziwość jego słów. Irlandczyk, u którego służył od przeszło roku, ręczył za niego. Lord Glenarvan uwierzył w prawość tego człowieka i idąc za jego radą, postanowił przemierzyć całą Australię wzdłuż trzydziestego siódmego równoleżnika. Grupką składającą się z lorda Glenarvana, jego żony, dwojga dzieci kapitana, majora, Francuza, kapitana Manglesa i kilku marynarzy miał dowodzić Ayrton, podczas gdy „Duncan” pod komendą zastępcy kapitana, Toma Austina, miał odpłynąć do Melbourne i tam oczekiwać dalszych rozkazów lorda Glenarvana.

Wyruszyli w drogę 23 grudnia 1854 roku.

Czas teraz wyjawić, że Ayrton był zdrajcą. Rzeczywiście był bosmanem na statku „Britannia”, lecz pokłóciwszy się ze swym kapitanem, usiłował nakłonić załogę do buntu i gwałtem opanować statek, za co kapitan Grant 8 kwietnia 1852 roku wysadził go na zachodnim wybrzeżu Australii i pozostawiwszy go jego losowi, odpłynął, co było zresztą słuszne i sprawiedliwe.

Tak więc nędznik nie wiedział nic o rozbiściu „Britannii”. Dowiedział się o nim dopiero z opowiadania lorda Glenarvana! Od czasu, gdy pozostawiono go samego na lądzie, został pod imieniem Ben Joyce’a przywódcą zbiegłych skazańców³⁴⁸, dlatego zaś utrzymywał z taką bezczelnością, że statek rozbił się u wschodnich wybrzeży, i dlatego nakłaniał lorda Glenarvana do wyruszenia w tym kierunku, ponieważ miał nadzieję w ten sposób odciągnąć go od statku, opanować „Duncana” i zrobić z jego jachtu okręt piracki, krążący po wodach Pacyfiku.

Tu nieznamy przerwał na chwilę. Głos mu drżał, lecz ciągnął dalej:

— Wyprawa wyruszyła w drogę i kierowała się w poprzek łądu australijskiego. Oczywiście okazała się nieudana, gdyż kierował nią Ayrton, czyli Ben Joyce, a raz przed nimi, raz za nimi posuwała się jego banda złoczyńców, których powiadomił, co mają robić.

Tymczasem „Duncana” odesłano do Melbourne, ponieważ potrzebował naprawy. Chodziło teraz o to, aby skłonić lorda Glenarvana do wydania rozkazu, żeby statek opuścił Melbourne i udał się na wschodnie wybrzeże Australii, gdzie łatwo go będzie opanować. Doprowadziwszy wyprawę dość blisko tego wybrzeża, w głąb rozległych puszczy, gdzie brakowało wszelkich środków do życia, Ayrton skłonił lorda do przekazania mu listu, który podjął się sam doręczyć zastępcy kapitana na „Duncanie”. List zawierał polecenie, by jacht natychmiast odpłynął na wschodnie wybrzeże do zatoki Twofold³⁴⁹, oddalonej o kilka dni drogi od miejsca, w którym zatrzymała się wyprawa. Tam właśnie Ayrton wyznaczył swoim kamratom miejsce spotkania.

W chwili gdy zdrajca miał już dostać list do ręki, został zdemaskowany i nie pozostawało mu nic innego jak ucieczka. Musiał jednak za wszelką cenę zdobyć list oddający „Duncana” w jego ręce. Ayrtonowi udało się wykraść list i w dwa dni później był już w Melbourne.

Dotychczas jego zbrodnicze zamiary udawały się znakomicie. Wkrótce miał zwabić „Duncana” do zatoki Twofold, gdzie ze swoimi współnikami opanowują go bez trudu, wymordują załogę, a Ben Joyce zostanie panem tych mórz... Lecz Bóg miał zapobiec spełnieniu tych zbrodniczych planów.

Po przybyciu do Melbourne Ayrton wręczył list zastępcy kapitana, Tomowi Austiniowi, a ten przeczytawszy go, rozkazał natychmiast rozwinąć żagle; lecz łatwo wyobrazić sobie rozczarowanie i wściekłość Ayrtona, gdy drugiego dnia żeglugi dowiedział się, że zastępca kapitana prowadzi statek nie na wschodnie wybrzeże Australii, do zatoki Twofold, lecz na wschodnie wybrzeże Nowej Zelandii. Chciał się temu przeciwstawić, ale Austin pokazał mu list!... Istotnie, dziwnym zrządzeniem Opatrzności, przez przypad-

³⁴⁸zbiegłych skazańców — od końca XVIII wieku Wielka Brytania traktowała Australię głównie jako miejsce zsyłki więźniów, gdyż brytyjskie więzienia były przepełnione. Do roku 1868, kiedy tego zaprzestano, wysłano do kolonii karnych w Australii ok. 160 tysięcy skazanych. [przypis edytorski]

³⁴⁹Twofold — zatoka w pld.-wsch. Australii, położona na 37°04' szer. południowej. [przypis edytorski]

kową omyłkę francuskiego geografa, który pisał list, jako cel podróży statku wskazano w nim wschodnie wybrzeże Nowej Zelandii.

Wszystkie plany Ayrtona przepadły! Chciał wywołać bunt. Uwięziono go. I tak oto zabrany został do wybrzeży Nowej Zelandii, nie mając pojęcia ani o tym, co się stanie z jego współnikami, ani jaki los spotka lorda Glenarvana.

„Duncan” krążył w pobliżu wybrzeży Nowej Zelandii aż do 3 marca. Tego dnia Ayrton usłyszał jakiś huk. To armaty „Duncana” dawały ognia i wkrótce lord Glenarvan z całą drużyną znaleźli się na pokładzie.

Oto co i jak się stało.

Po tysięcznych trudach i niebezpieczeństwach lord Glenarvan dotarł wreszcie do celu podróży, do wschodnich wybrzeży Australii, do zatoki Twofold. Ani śladu „Duncana”! Zatelegrafował do Melbourne. Odpowiedziano stamtąd: „Duncan» odpłynął 18 bieżącego miesiąca, nie wiadomo dokąd”.

Lord Glenarvan mógł pomyśleć tylko jedno: jego poczciwy jacht wpadł w ręce Ben Joyce’a i stał się okrętem pirackim.

Ale lord Glenarvan nie chciał dać za wygraną. Był to człowiek nieustraszonej odwagi i wspaniałego serca. Wsiadł więc na jeden ze statków kupieckich, kazał się zawieść na zachodnie wybrzeże Nowej Zelandii i przemierzył ją całą wzdłuż trzydziestego siódmego równoleżnika, nie napotykając ani śladu kapitana Granta. Ale na przeciwległym wybrzeżu, ku swemu wielkiemu zdumieniu i z woli Nieba, odnalazł „Duncana”, pozostającego pod dowództwem zastępcy kapitana, który oczekiwał go już od pięciu tygodni!

Było to 3 marca 1855 roku. Lord Glenarvan był wreszcie znowu na swoim statku, a wraz z nim także i Ayrton. Postawiono go przed lordem, który chciał wydobyć z niego wszystko, cokolwiek ten bandyta mógł wiedzieć o losie kapitana Granta. Ayrton nie chciał mówić. Wtedy lord Glenarvan oświadczył mu, że na pierwszym postoju odda go w ręce władz angielskich. Ayrton milczał uporczywie.

„Duncan” ruszył dalej w podróż wzdłuż trzydziestego siódmego równoleżnika. Tymczasem lady Glenarvan postanowiła przełamać upór bandyty. W końcu Ayrton uległ jej wpływowi i zaproponował lordowi Glenarvan, aby w zamian za to, co by miał do powiedzenia, wysadził go na jednej z wysp Pacyfiku zamiast oddawać w ręce władz angielskich. Lord Glenarvan, który gotów był zrobić wszystko, byle się dowiedzieć czegoś o losie kapitana Granta, zgodził się na układ.

Wtedy Ayrton opowiedział historię całego swego życia, z której się okazało, że od dnia, w którym kapitan Grant wysadził go na wybrzeżu australijskim, nie wiedział o nim nic.

Mimo to lord Glenarvan dotrzymał danego słowa. „Duncan”, płynąc dalej, przybył do wyspy Tabor. Tu zamierzano pozostawić Ayrtona i tutaj także, prawdziwie cudownym trafem, znaleziono kapitana Granta z dwoma jego ludźmi, właśnie pod trzydziestym siódmym równoleżnikiem. Skazaniec miał zająć ich miejsce na tej bezludnej wysepce i gdy opuszczał jacht, lord Glenarvan przemówił do niego tymi słowami:

„Ayrtonie, pozostanie pan tutaj z dala od świata, z dala od ludzi, z którymi nie będzie się pan mógł porozumiewać. Nie będzie pan mógł uciec z wysepki, na której zostawia pana »Duncan«. Pozostanie pan sam, pod okiem Boga, który czyta w najgłębszych skrytościach ludzkiego serca, lecz nie będzie pan ani zgubiony bez śladu, ani zapomniany, jak był kapitan Grant. Choć jest pan niegodny ludzkiej pamięci, ludzie będą o panu pamiętali. Wiem, gdzie pan jest, Ayrtonie, i wiem, gdzie pana znaleźć. Nie zapomnę o tym nigdy!”

„Duncan” rozwinął żagle i zniknął wkrótce sprzed oczu wygnańca.

Było to 18 marca 1855 roku.³⁵⁰

Ayrton pozostał sam, ale nie brakowało mu ani amunicji, ani broni, ani narzędzi, ani nasion. Do użytku skazańca pozostał domek zbudowany przez zacnego kapitana Granta. Mógł tam żyć i pokutować w samotności za popełnione zbrodnie.

Panowie, on szczerze żałował, wstydził się swoich zbrodni i był bardzo nieszczęśliwy! Powiedział sobie, że jeśli kiedyś ludzie przybędą po niego, to musi być wtedy godny wrócić

³⁵⁰Te pokrótce opowiedziane tutaj wydarzenia stanowią treść książki znanej zapewne niejednemu z czytelników, zatytułowanej *Dzieci kapitana Granta*. I tu, i później czytelnicy zauważą pewne niezgodności dat, lecz później dowiedzą się także, dlaczego pierwotnie nie mogły być podane prawdziwe daty. (Przypis wydawcy). [przypis redakcyjny]

pomiędzy nich! Jakże on cierpiał, ten nieszczęśnik! Jak ciężko pracował, aby przez pracę stać się innym człowiekiem! Jak gorąco się modlił, aby przez modlitwę odrodzić się na nowo!

Trwało tak dwa, trzy lata. Ayrton, przygnębiony ciągłą samotnością, wypatrując nieustannie, czy na widnokręgu nie pojawi się jakiś statek, zapytując sam siebie, czy już wkrótce dopełni się czas pokuty, cierpiał jak nikt nigdy nie cierpiał! Ach, jak gorzka jest samotność dla duszy trawionej zgryzotami sumienia!

Lecz Niebo widocznie nie uznało, by kara tego nieszczęśliwego była wystarczająca, czuł bowiem, że z każdym dniem coraz bardziej dziczeje. Czuł, jak z wolna popada w stan zezwierzęczenia. Czy się to stało po dwóch, czy po czterech latach samotności, tego wam powiedzieć nie może, ale w końcu stał się tą nędzną istotą, którą znaleźliście.

Nie potrzebuję, panowie, dodawać, że Ayrton, czyli Ben Joyce, i ja — to jedna i ta sama osoba!

Gdy Ayrton ukończył swe opowiadanie, Cyrus Smith i jego towarzysze powstali z miejsc. Trudno wyrazić ich wzruszenie. Taki obraz nędzy, cierpienia i rozpaczki w całej nagości rozłożył się przed ich oczyma!

— Ayrtonie — powiedział Cyrus Smith — był pan wielkim zbrodniarzem, lecz Niebo orzekło wyraźnie, że już pan odpokutował swe zbrodnie! W dowód tego sprowadziło pana między bliźnich. Ayrtonie, uzyskał pan przebaczenie! A teraz, czy zechce pan zostać naszym towarzyszem?

Ayrton na te słowa cofnął się.

— Oto moja ręka! — powiedział inżynier.

Ayrton rzucił się, by uścisnąć rękę, którą wyciągnął do niego Cyrus Smith, a z jego oczu popłynęły wielkie łzy.

— Czy chce pan zamieszkać z nami? — zapytał Cyrus Smith.

— Panie Smith — odparł Ayrton — proszę zostawić mi jeszcze trochę czasu, pozwolić mi mieszkać samemu w zagrodzie.

— Niech tak będzie, skoro pan tego chce, Ayrtonie — odparł Cyrus Smith.

Ayrton chciał się już oddalić, lecz inżynier zadał mu jeszcze ostatnie pytanie:

— Jeszcze słówko, przyjacielu. Jeżeli zdecydował się pan żyć samotnie, dlaczego wrzucił pan do morza ten dokument, który naprowadził nas na pana ślad?

— Jaki dokument? — zapytał Ayrton, jak gdyby nie wiedział, o czym mowa.

— Dokument zamknięty znalezionej przez nas w butelce, który podawał dokładne położenie wyspy Tabor.

Ayrton przetarł dłonią czoło. Po chwili namysłu odparł:

— Nigdy nie wrzuciłem do morza żadnego dokumentu.

— Nigdy?! — zawołał Pencroff.

— Nigdy.

Ayrton skłonił się, odwrócił się ku drzwiom i wyszedł.

ROZDZIAŁ XVIII

Rozmowa. — Cyrus Smith i Gedeon Spilett. — Pomysł inżyniera. — Elektryczny telegraf. — Druty. — Stos. — Baterie. — Alfabet. — Sezon letni. — Dobrobyt kolonii. — Fotografia. — Złudzenie śniegu. — Dwa lata na Wyspie Lincoln.

— Biedny człowiek! — powiedział Harbert, który rzucił się do drzwi, ale zaraz wrócił, gdy zobaczył, że Ayrton zsuwa się po linie od windy i znika w ciemnościach.

— Powróci do nas — powiedział Cyrus Smith.

— Tam do kata, panie Cyrysiu! — zawołał Pencroff. — Co to wszystko ma znaczyć? Jak to, więc to nie Ayrton wrzucił butelkę do morza? Więc kto?

Doprawdy, jeśli narzucało się jakieś pytanie, to właśnie takie.

— To on — odparł Nab — tylko że biedak był już wtedy na wpół szalony.

— Tak — powiedział Harbert — nie wiedział już wtedy, co robi.

— Tylko w ten sposób można to wytłumaczyć — odparł żywo Cyrus Smith. — Teraz rozumiem, dlaczego Ayrton mógł podać dokładnie położenie geograficzne wyspy Tabor: poznał je podczas wydarzeń poprzedzających pozostawienie go na wyspie.

— Jeżeli jednak — zauważył Pencroff — nie zdziżał jeszcze zupełnie w chwili, gdy spisywał ten dokument, i jeżeli już siedem czy osiem lat temu wrzucił go do morza, to jak się stało, że papier nie został uszkodzony przez wilgoć?

— To dowodzi — odparł Cyrus Smith — że Ayrton postradał rozum o wiele później, niż sam sądzi.

— Zapewne tak musi być — odparł Pencroff — inaczej nie dałoby się to w ogóle wytłumaczyć.

— Rzeczywiście, nie dałoby się wytłumaczyć — odparł inżynier, który, jak się zdało, chciał urwać całą tę rozmowę.

— Ale czy Ayrton powiedział prawdę? — zapytał marynarz.

— Tak — odparł reporter. — Historia, którą opowiedział, jest ze wszystkimi szczegółami prawdziwa. Przypominam sobie bardzo dobrze, że gazety donosiły swego czasu o przedsięwzięciu lorda Glenarvana i o jego wynikach.

— Ayrton powiedział prawdę — dodał Cyrus Smith. — W to nie ma co wątpić, Pencroffie, bo prawda ta była straszna dla niego samego. A pewnie mówi prawdę ten, kto się sam tak oskarża.

Nazajutrz, 21 grudnia, koloniści zeszli nad brzeg morza, potem wspięli się na płaskowyż, lecz nigdzie nie znaleźli Ayrtona. W nocy powrócił do swego mieszkania w zagrodzie i koloniści uznali za stosowne nie narzucać mu swojego towarzystwa. Czas, jak sądzili, dokona tego, czego nie mogła sprawić zachęta z ich strony.

Harbert, Pencroff i Nab powrócili do swych zwykłych zajęć. Tego dnia Cyrusa Smith z reporterem pracowali razem w warsztacie w Kominach.

— Wie pan, drogi Cyrusie — powiedział Gedeon Spilett — że pańskie wczorajsze wyjaśnienia co do tej butelki zupełnie mnie nie przekonały. Jak można przypuszczać, że ten nieszczęśnik mógł napisać dokument i wrzucić butelkę do morza, a nie zachować o tym najmniejszego wspomnienia?

— Bo też to nie on ją wrzucił, drogi Spilecie.

— Więc twierdzi pan...

— Niczego nie twierzę, bo nic nie wiem! — odparł Cyrus Smith, przerywając reporterowi. — Zdarzenie to zaliczam do spraw, których dotychczas nie udało mi się wytłumaczyć, i na tym poprzestaję.

— Rzeczywiście, panie Cyrusie — powiedział Gedeon Spilett — to są rzeczy trudne do uwierzenia! Pańskie ocalenie, skrzynia wyrzucona przez morze, przygody Topa, wreszcie ta butelka... Czy nigdy nie znajdziemy rozwiązania tych zagadek?

— Znajdziemy! — odparł żywo inżynier. — Znajdziemy, gdy przetrząśniemy całą tę wyspę aż do samego jej wnętrza!

— Może przypadek podsunie nam klucz do tej tajemnicy?

— Przypadek! Spilecie! Nie wierzę w przypadki, tak jak nie wierzę w cuda na tym świecie. Wszystkie niezrozumiałe sprawy, które się tu dzieją, mają swoją przyczynę i ja tę przyczynę odkryję. Tymczasem obserwujmy i pracujmy.

Nadszedł styczeń, a wraz z nim zaczął się rok 1867. Letnie prace wykonywano pilnie i gorliwie. W pierwszych dniach miesiąca Harbert z Gedeonem Spilettem udali się w okolice zagrody i przekonali się, że Ayrton rozgościł się w przygotowanym dla niego mieszkaniu. Zajmował się powierzonym mu licznym stadem, oszczędzając w ten sposób towarzysom trudu przychodzenia tam co dwa czy trzy dni. Aby jednak zbyt długo nie pozostawał sam, koloniści odwiedzali go dość często.

Niemniej, ze względu na pewne podejrzenia, które mieli inżynier z Gedeonem Spilettem, uznano, że na tę część wyspy powinno się stale zwracać uwagę. Dlatego polecono Ayrtonowi, żeby w razie jakiegoś wypadku zawiadomił mieszkańców Granitowego Pałacu.

Mógł się jednak zdarzyć jakiś nagły wypadek, o którym należałoby natychmiast zawiadomić inżyniera. Zresztą oprócz wypadków mających związek z tajemnicą, jaką skrywała Wyspa Lincoln, mogły się wydarzyć także zupełnie inne, wymagające natychmiastowego działania ze strony kolonistów, takie jak pojawienie się statku na morzu od strony zachodniego wybrzeża, katastrofa morska na zachód od wyspy, przybycie piratów i tak dalej.

Dlatego też Cyrus Smith postanowił wprowadzić błyskawiczną łączność między zagrodą a Granitowym Pałacem.

10 stycznia przedstawił towarzyszom swój projekt.

— Tam do licha, jak pan zamierza się za to zabrać, panie Cyrusie? — zapytał Pencroff.
— Czyżby przypadkiem myślał pan o założeniu telegrafu?

— Właśnie tak — odparł inżynier.

— Elektrycznego?! — zawołał Harbert.

— Elektrycznego — odparł Cyrus Smith. — Mamy wszystko, czego potrzeba do zrobienia baterii elektrycznej, najtrudniej będzie wyprodukować druty, ale sądzę, że za pomocą ciągar³⁵¹ nam się uda.

— Jeśli tak — odparł marynarz — to już wcale nie wątpię, że pewnego dnia będziemy jeździć po wyspie pociągiem!

Zabrano się więc zaraz do pracy i zaczęto od najtrudniejszej rzeczy, czyli od zrobienia drutów, gdyż gdyby się to nie udało, to bateria i inne części byłyby niepotrzebne.

Żelazo na Wyspie Lincolna było, jak wiemy, dobrego gatunku, a tym samym łatwo dawało się rozciągać. Cyrus Smith zaczął od zrobienia potrzebnego do tego przyrządu, czyli drutownicy. Jest to płyta stalowa ze stożkowatymi otworami rozmaitego kalibru, przez które kolejno przeprowadza się drut, żeby nabrał pożądanej grubości. Tę płytę zahartowano do pełnej twardości, jak mówią metalurgowie, a następnie przymocowano na stałe do wkopanej w ziemię mocnej ramy, w odległości zaledwie kilku stóp od dużego wodospadu, który inżynier zamierzał znowu wykorzystać jako siłę napędową.

W tym miejscu stał folusz, który wówczas nie działał, ale jego wał, obracany z niezwykłą siłą, mógł posłużyć do nawijania na niego drutu i wyciągania go.

Była to praca delikatna i wymagająca dużej staranności. Żelazo przygotowano w postaci długich, wąskich prętów, zaostrzonych na końcach pilnikiem. Następnie pręty wkładano do największego otworu drutownicy. Wał, obracając się, rozciągał je do długości od dwudziestu pięciu do trzydziestu stóp i jednocześnie nawijał. Nawinięty na wał zwój drutu odwijano, po czym przepuszczano go kolejno przez otwory o coraz to mniejszej średnicy. W końcu inżynier otrzymał druty długości czterdziestu do pięćdziesięciu stóp, które łatwo było połączyć ze sobą i przeciągnąć na przestrzeni pięciu mil dzielących zagrodę od Granitowego Pałacu.

Wykonanie tego zadania zajęło tylko kilka dni, a gdy już urządzenie została wprawione w ruch, Cyrus Smith zostawił towarzyszy przy pracy nad drutami, a sam zajął się sporządzeniem baterii.

Chodziło o to, aby otrzymać baterię prądu stałego. Ogniwa nowoczesnych baterii składają się zazwyczaj, jak wiadomo, z węgla retortowego³⁵², cynku i miedzi. Miedzi nie miał inżynier zupełnie, gdyż pomimo wszelkich poszukiwań nie znalazł żadnych jej śladów na Wyspie Lincolna. Trzeba więc było obejść się bez niej. Jeśli chodzi o węgiel retortowy, czyli twardy grafit otrzymywany w retortach gazowni przez usunięcie wodoru z węgla kamiennego, to można go było wprawdzie wytworzyć, ale do tego potrzebne byłyby specjalne aparaty, co wymagałoby zbyt wiele trudu. Co zaś do cynku, to jak sobie zapewne przypominamy, skrzynia znaleziona na Cyplu Znaleziska, wyłożona była wewnątrz blachą z tego metalu i nie można jej było teraz lepiej wykorzystać niż do tego celu.

Po gruntownym namyśle Cyrus Smith postanowił zatem sporządzić proste ogniwo, bardzo podobne do tego, które wymyślił Becquerel³⁵³ w 1820 roku, a w którym używa się tylko cynku. Inne substancje, mianowicie kwas azotowy i potaż, miał do dyspozycji.

Ogniwo, które miało dawać prąd dzięki reakcji zachodzącej pomiędzy kwasem azotowym a potażem, powstało w następujący sposób:

Sporządzono pewną ilość szklanych butli i napełniono je kwasem azotowym. Inżynier zatkał każdą z nich korkiem, przez który przechodziła szklana rurka zatkana u dołu

³⁵¹ *ciągar* — maszyna do produkcji drutów i prętów przez ciągnięcie na zimno. [przypis edytorski]

³⁵² *węgiel retortowy* — zgrafitowany węgiel, osadzający się w retortach podczas suchej destylacji; ukształtowany przez prasowanie, służy do celów elektrotechnicznych. [przypis edytorski]

³⁵³ *Becquerel, Antoine César* (1788–1878) — francuski fizyk i fizykochemik; konstruktor cynkowego ogniwa galwanicznego poprzedzającego cynkowo-miedziowe ogniwo Daniella. [przypis edytorski]

tamponem z gliny, przymocowanym kawałkiem płótna, i zanurzona tym końcem w kwasie azotowym. Przez górny otwór rurki wlewał do niej roztwór potażu, otrzymanego ze spopielenia rozmaitych roślin, i w ten sposób kwas azotowy i potaż mogły wzajemnie na siebie oddziaływać poprzez glinę.

Cyrus Smith wziął następnie dwie płytki cynkowe i jedną z nich zanurzył w kwasie azotowym, a drugą w roztworze potażu. Natychmiast wytworzył się prąd, który od płytki zanurzonej w butli płynął do płytki w rurce; gdy obie płytki zostały ze sobą połączone metalowym drutem, płytka w rurce stała się biegunem dodatnim, a płytka w butli — biegunem ujemnym. W każdej butli wytwarzał się prąd i dzięki połączeniu odpowiedniej ilości butli można było uzyskać prąd wystarczający do wywołania wszystkich zjawisk zachodzących w telegrafie elektrycznym.

Tak wyglądał pomysłowy, a zarazem prosty aparat wykonany przez Cyrusa Smitha, aparat, za pomocą którego zdołał utworzyć połączenie telegraficzne między Granitowym Pałacem a zagrodą.

6 lutego zaczęto wkopywać w ziemię słupy, zaopatrzone w szklane izolatory, na których spoczywać miał drut, biegnące wzdłuż drogi prowadzącej do zagrody. W kilka dni potem przeciągnięto drut, gotowy do przekazywania prądu elektrycznego z szybkością stu tysięcy kilometrów na sekundę, a prąd ten miał wracać przez ziemię z powrotem do miejsca, skąd wyszedł.

Sporządzono dwie baterie, jedną dla Granitowego Pałacu, drugą dla zagrody, tak by nie tylko zagroda mogła się komunikować z Granitowym Pałacem, lecz także w razie potrzeby Granitowy Pałac z zagrodą.

Odbiornik i nadajnik miały również bardzo prostą konstrukcję. Na obu stacjach drut telegraficzny był zakończony elektromagnesem, czyli kawałkiem miękkiego żelaza, na który nawinięto drut. Gdy obydwa bieguny były połączone, prąd, wychodząc od bieguna dodatniego, płynął przez drut, docierał do elektromagnesu, który wówczas działał jak magnes, a następnie powracał przez ziemię do bieguna ujemnego. Wystarczyło więc było umieścić przed elektromagnesem płytkę z miękkiego żelaza, którą przyciągałby do siebie przy zamknięciu obwodu, a która po przerwaniu obwodu i ustaniu przepływu prądu ponownie by opadała. Uzyskawszy poruszającą się pod wpływem prądu płytkę, Cyrus Smith z łatwością przymocował do niej wskazówkę umieszczoną na tarczy, na której wypisano dokoła wszystkie litery alfabetu, i dzięki temu mógł przekazywać wiadomości od jednej stacji do drugiej.

12 lutego było wszystko gotowe. Cyrus Smith puścił prąd po drucie telegraficznym i zapytał, czy w zagrodzie jest wszystko w porządku, a po kilku chwilach otrzymał od Ayrtona zadowolającą odpowiedź.

Pencroff nie posiadał się z radości; każdego ranka i wieczora wysyłał telegram do zagrody, na który zawsze otrzymywał odpowiedź.

Ten rodzaj komunikacji miał dwie bardzo realne korzyści: przede wszystkim można było w każdej chwili przekonać się, czy Ayrton jest obecny w zagrodzie, a po drugie nie zostawiano go w zupełnej samotności. Zresztą Cyrus Smith odwiedzał go co tydzień, a i Ayrton od czasu do czasu przychodził do Granitowego Pałacu, gdzie zawsze doznawał serdecznego przyjęcia.

Lato minęło wśród zwykłych zajęć. Zapasy kolonii, zwłaszcza warzyw i zboża, powiększały się z każdym dniem, a nasiona przywiezione z wyspy Tabor przyjęły się doskonale. Płaskowyż Pięknego Widoku wyglądał bardzo dostatnio. Czwarte z kolei żniwa wypadły świetnie i jak łatwo się domyślić, nikt nie miał ochoty sprawdzać, czy rzeczywiście plon wyniósł czterysta miliardów ziaren. Wprawdzie Pencroff początkowo zamierzał to zrobić, ale gdy Cyrus Smith wytłumaczył mu, że gdyby nawet zdołał przeliczyć po trzysta ziaren na minutę, czyli dziewięć tysięcy na godzinę, potrzebowałby około pięciu tysięcy pięćset lat na ukończenie całego zliczania, wówczas poczciwy marynarz uznał, że lepiej z tego zrezygnować.

Pogoda była wspaniała, w dzień panowała bardzo wysoka temperatura, za to wieczorem wiejący od morza wiatr studził upał powietrza i mieszkańcom Granitowego Pałacu użyczał chłodnych nocy. Zdarzyło się kilka burz, które wprawdzie nie trwały długo, ale spadły na Wyspę Lincoln z niesłychaną gwałtownością. Kilka godzin błyskawice bez przerwy rozjaśniały niebo i raz po raz odzywały się grzmoty.

W tym czasie małej kolonii powodziło się nadzwyczaj pomyślnie. Ptaszarnia roiła się od ptactwa, przyrost szedł na kuchnię, gdyż trzeba było utrzymywać liczebność drobiu w rozsądnych granicach. Świnie miały już prosięta i zrozumiały, że opieka nad tymi zwierzętami pochłaniała Nabowi i Pencroffowi wiele czasu. Onagrom urodziły się dwa piękne źrebaki. Najczęściej jeździli na nich Gedeon Spilett i Harbert, który pod okiem reportera stał się znakomitym jeźdźcem. Zaprzęgano je także do wózka, żeby zwozić do Granitowego Pałacu drewno, węgiel czy też rozmaitego rodzaju kruszce używane przez inżyniera.

W tym czasie zrobiono kilka wypraw w głąb Lasu Dalekiego Zachodu. Koloniści mogli zapuszczać się tam bez obawy przed nadmiernym upałem, gdyż promienie słoneczne ledwie przeciskały się przez zbity gąszcz nad ich głowami. Zbadali tak cały lewy brzeg Rzeki Dziękczynienia, wzdłuż którego ciągnęła się droga z zagrody do ujścia Rzeki Wodospadu.

Podczas tych wypraw koloniści byli zawsze dobrze uzbrojeni, nieraz bowiem spotykali się po drodze z nadzwyczaj zajadłymi dzikami, z którymi trzeba było staczać poważne walki.

W tym samym czasie wydano także bezlitosną wojnę jaguaram. Gedeon Spilett odczuwał do nich szczególną nienawiść, a jego uczeń Harbert w pełni ją podzielał.

Będąc teraz dobrze uzbrojeni, nie obawiali się spotkań z tymi bestiami. Harbert cechował się nadzwyczajną odwagą, a reporter zdumiewająco zimną krwią, toteż około dwadzieścia wspaniałych skór zdobyło już wielką salę Granitowego Pałacu i gdyby tak dalej poszło, jaguary musiałyby wkrótce wyginąć na Wyspie Lincoln, co właśnie było celem naszych myśliwych.

Inżynier niekiedy uczestniczył w wyprawach podejmowanych w nieznane dotąd okolice wyspy i obserwował wszystko z wielką uwagą. W największych gęstwinach tych nieprzejranych puszczy szukał innych śladów niż zwierzęce, nigdy jednak nie wpadło mu w oko nic podejrzanego. Ani Top, ani Jup, którzy mu towarzyszyli, nie zdradzali swym zachowaniem, aby napotkali coś nadzwyczajnego, a przecież nadal zdarzało się, że pies szczekał przy otworze studni, w której inżynier przeprowadził bezskuteczne poszukiwania.

Gedeon Spilett przy pomocy Harberta wykonał w tym czasie kilka zdjęć najbardziej malowniczych okolic wyspy, używając aparatu fotograficznego znalezionej w skrzyni, z którego do tej pory nie korzystano.

Aparat miał silny obiektyw i był kompletnie wyposażony. Nie brakowało żadnej z substancji potrzebnych do wykonywania zdjęć fotograficznych, ani kolodium³⁵⁴ do powlekania szklanych płytek, ani azotanu srebra do uczulania ich na działanie promieni słonecznych, ani siarczanu sodu do utrwalania otrzymanego obrazu, ani chlorku amonu do płukania w nim papierowych odbitek, ani octanu sodu czy chlorku złota potrzebnych do zaimpregnowania światłoczułego papieru. Były już nawet gotowe nachlorowane papiery i wystarczyło przed nałożeniem ich na negatywy uprzednio zanurzyć je na kilka minut w wodnym roztworze azotanu srebra.

Reporter i jego pomocnik stali się wkrótce umiejętnymi fotografami i zrobili kilka pięknych zdjęć, na przykład: widok całej wyspy uchwycony z Płaskowyzu Pięknego Widoku, z Górą Franklina sterczącą na horyzoncie, z ujściem Rzeki Dziękczynienia malowniczo obramowanym wysokimi skałami, z łąką i zagrodą przylegającą do dolnych zboczy góry, widok na cały Przylądek Szponu, ze wszystkimi ciekawymi szczegółami, widok Cypla Znaleziska i tak dalej.

Fotografowie nie zapomnieli o portretach wszystkich bez wyjątku mieszkańców wyspy.

— To gęściej zaludnia wyspę — mówił Pencroff.

³⁵⁴kolodium a. kolodion — roztwór nitrocelulozy w rozpuszczalnikach organicznych, stosowany dawniej w fotografii; szklaną płytkę pokrytą warstwą kolodium z zawieszonymi w niej światłoczułymi związkami srebra nasświetlano w aparacie fotograficznym, w wyniku czego po wywołaniu powstawał na niej negatywowo obraz. [przypis edytorski]

Marynarz był zachwycony tym, że jego fotografia, bardzo wierna, zdobiła ściany Granitowego Pałacu, i chętnie przystawał, żeby się jej przyglądać, jakby stawał przed najwspanialszą witrzyną na Broadwayu³⁵⁵.

Trzeba jednak przyznać, że najbardziej udany ze wszystkich był portret pana Jupa. Pan Jup przybrał pozę pełną powagi wprost nie do opisanego i na zdjęciu wyglądał jak żywy.

— Jakby za chwilę miał zrobić jakąś minę! — zawołał Pencroff.

Doprawdy, pan Jup musiałby chyba być bardzo wybredny, gdyby nie był zadowolony. Ale był całkiem zadowolony i przyglądał się swojemu wizerunkowi z wyrazem wzruszenia, z którego przeziarała lekka doza zarozumiałości.

W marcu skończyły się wielkie upały letnie. Od czasu do czasu padał deszcz, lecz powietrze było jeszcze ciepłe. Marzec, odpowiadający wrześniowi na półkuli północnej, nie był tak piękny, jakby się można było spodziewać. Być może zapowiadał wczesną i ostrą zimę.

Pewnego poranka — było to 21 marca — zdawało się nawet, że spadł już pierwszy śnieg. Harbert, który wstał wcześniej i wyjrzał przez okno Granitowego Pałacu, zawołał:

— Patrzcie! Wysepka pokryta jest śniegiem!

— Co, śniegiem? O tej porze? — zapytał reporter, podchodząc do Harberta.

Wkrótce dołączyli do nich pozostali towarzysze i stwierdzili wszyscy, że nie tylko wysepkę, lecz także całe wybrzeże w pobliżu Granitowego Pałacu przykrywał równomiernie biały całun.

— Dalibóg, to śnieg! — powiedział Pencroff.

— Lub coś bardzo do niego podobnego! — odparł Nab.

— Lecz termometr wskazuje pięćdziesiąt osiem stopni (14° Celsjusza powyżej zera) — zauważył Gedeon Spilett.

Cyrus Smith w milczeniu spoglądał na białą powłokę, nie wiedział bowiem, jak wytłumaczyć to zjawisko o tej porze roku i przy tej temperaturze.

— Do kroćset diabłów! — zawołał Pencroff — nasze plantacje pomarzną!

I już marynarz miał zejść na dół, lecz ubiegł go Jup, który czym prędzej opuścił się po linie na dół.

Lecz zanim jeszcze orangutan dotknął stopą ziemi, nagle cała ta olbrzymia powłoka śnieżna wzbija się w górę i rozproszyła się w powietrzu w takiej niezliczonej ilości płatków, że na kilka minut zasłoniły światło słoneczne.

— To ptaki! — zawołał Harbert.

Były to istotnie chmury morskich ptaków o śnieżnych, połyskujących piórach. Tysiącami obsiadły wysepkę i wybrzeże, a teraz znikwały w oddali, pozostawiając kolonistów pogrążonych w takim zdumieniu, jak gdyby na jakimś widowisku wskutek błyskawicznej zmiany dekoracji ujrzeli nagle, że zima przemieniła się w lato. Niestety, zmiana nastąpiła tak szybko, że ani reporter, ani Harbert nie mieli czasu upolować choćby jednego z tych ptaków, dlatego nie mogli określić ich gatunku.

W kilka dni później, 26 marca, przypadała druga rocznica wyrzucenia rozbitków powietrznych na Wyspę Lincoln.

ROZDZIAŁ XIX

Wspomnienia ojczyzny. — Widoki na przyszłość. — Projekt zbadania brzegów wyspy. — Odjazd 16 kwietnia. — Widok z morza na Półwysep Wężowy. — Bazalty na zachodnim wybrzeżu. — Burza. — Noc. — Nowe wydarzenie.

Upłynęły dwa lata! Od dwóch lat koloniści pozbawieni byli kontaktu z innymi ludźmi. Nie mieli żadnych wieści ze świata cywilizowanego i żyli na tej odludnej wyspie zapomniani, jakby na jakieś malutkiej asteroidzie³⁵⁶ Układu Słonecznego.

³⁵⁵*Broadway* — ulica w Nowym Jorku, w dzielnicy Manhattan, słynąca z mieszczących się przy niej licznych teatrów, kabaretów i modnych sklepów, uważana za centrum kulturalno-rozrywkowe USA. [przypis edytorski]

³⁵⁶*asteroida* — jedno z niewielkich ciał niebieskich o małych rozmiarach (od kilku metrów do 1000 km), obiegających Słońce, w większości pomiędzy orbitami Marsa i Jowisza; większe asteroidy są nazywane planetoidami. [przypis edytorski]

Co się przez ten czas działo w ich ojczyźnie? Zawsze mieli przed oczyma obraz rodzinnego kraju, rozdartego wojną domową w chwili, gdy go porzucali, a może i dotąd jeszcze broczącego potokami krwi, spowodowanymi przez rebelię Południa. Napawało ich to niezmiernym bólem i nieraz o tym rozmawiali, nie wątpiąc nigdy, że sprawa Północy w końcu odniesie tryumf na chwałę Stanów Zjednoczonych.

W ciągu tych dwóch lat w pobliżu wyspy nie pojawił się ani jeden statek, a przynajmniej koloniści nie dostrzegli żadnego żagla. Najwidoczniej Wyspa Lincoln leżała z dala od uczęszczanych szlaków, a nawet była całkiem nieznaną — czego zresztą dowodziły mapy — gdyż nawet przy braku portu, źródła wody słodkiej, jakie posiadała, powinny przyciągać statki potrzebujące uzupełnić zapasy wody. Tymczasem otaczające ich morze, jak daleko wzrok sięgał, było zupełnie puste i koloniści, chcąc powrócić do ojczyzny, mogli liczyć tylko na siebie samych.

Była jednak jeszcze jedna szansa powrotu i właśnie ją omawiali koloniści pewnego dnia w pierwszym tygodniu kwietnia, zgromadziwszy się w wielkiej sali Granitowego Pałacu.

Była właśnie mowa o Ameryce, o kraju rodzinnym, którego prawie nie mieli nadziei ponownie ujrzeć.

— Stanowczo pozostał nam tylko jeden, jedyny sposób, żeby wydostać się z Wyspy Lincoln — mówił Gedeon Spilett. — Mianowicie trzeba zbudować statek tak duży, aby wytrzymał kilkusetmilową podróż na morzu. Uważam, że skoro potrafiliśmy zrobić słup, to potrafimy zrobić i statek.

— I że skoro dopłynęliśmy do wyspy Tabor, to dopłyniemy i do wysp Paumotu — dorzucił Harbert.

— Nie zaprzeczę — odparł Pencroff, który miał zawsze ostateczny głos we wszystkich kwestiach dotyczących żeglugi — nie zaprzeczę, chociaż to nie jest bynajmniej to samo popłynąć blisko, a popłynąć daleko. Gdy podczas podróży na wyspę Tabor zagrażały nam nieprzyjazne wiatry, przynajmniej wiedzieliśmy, że z jednej i z drugiej strony mamy niedaleko do portu, ale tysiąc dwieście mil do przebycia to kawał drogi, a najbliższy ląd leży co najmniej w tej odległości.

— Czy w takim razie, Pencroffie, nie zaryzykowałby pan takiej wyprawy? — zapytał reporter.

— Zaryzykuję wszystko, czego będzie trzeba, panie Spilett — odparł marynarz. — Wie pan, że nie jestem człowiekiem, który cofa się przed niebezpieczeństwem.

— Nie zapominajmy zresztą i o tym, że mamy teraz wśród nas jednego marynarza więcej — zauważył Nab.

— Kogo? — zapytał Pencroff.

— Ayrtona.

— To prawda — odparł Harbert.

— Jeżeli zechce popłynąć z nami — zauważył Pencroff.

— Też coś! Czy sądzi pan, że gdyby jacht lorda Glenarvana przybił do wyspy Tabor wówczas, gdy Ayrton jeszcze się na niej znajdował, to on odmówiłby jej opuszczenia?

— Zapominacie, przyjaciele — powiedział na to Cyrus Smith — że Ayrton w ostatnich latach swojego pobytu na wyspie nie był w pełni władz umysłowych. Ale to nieistotne. Ważne jest raczej to, czy rozważając możliwości naszego ocalenia, możemy liczyć na powrót tego szkockiego statku. Otóż lord Glenarvan obiecał Ayrtonowi, że powróci po niego, kiedy uzna, że już dostatecznie odpokutował za swe zbrodnie, a ja wierzę, że powróci.

— A ja dodam, że powróci niebawem — powiedział reporter. — Przecież Ayrton pokutuje już dwanaście lat!

— Zgadzam się z wami, że lord powróci, i to wkrótce — odparł Pencroff. — Ale w takim razie dokąd się uda? Na wyspę Tabor, a nie na Wyspę Lincoln.

— Tym bardziej, że Wyspa Lincoln nie ma nawet na mapie — odparł Harbert.

— Dlatego też — powiedział inżynier — musimy podjąć odpowiednie środki, żeby na wyspie Tabor było wiadomo, że razem z Ayrtonem znajdujemy się na Wyspie Lincoln.

— Oczywiście — odparł reporter. — Nic łatwiejszego, jak w tej chacie, w której mieszkał kapitan Grant, a później Ayrton, zostawić wskazówkę o położeniu geograficznym naszej wyspy. Lord Glenarvan i jego ludzie na pewno ją znajdą.

— Wielka szkoda — odezwał się marynarz — że zapomnieliśmy to zrobić podczas naszej pierwszej podróży na wyspę Tabor.

— A dlaczego mielibyśmy to wtedy zrobić? — odparł Harbert. — Przecież nie znaliśmy jeszcze wówczas historii Ayrtona, nie wiedzieliśmy o tym, że kiedyś po niego popłyną. Gdy się o tym dowiedzieliśmy, pora roku była już zbyt późna, żebyśmy mogli powtórnie popłynąć na wyspę Tabor.

— Tak — odparł Cyrus Smith — było już za późno, trzeba odłożyć tę podróż do przyszłej wiosny.

— A jeśli tymczasem szkocki jacht przyplynie? — zapytał Pencroff.

— Bardzo w to wątpię — odparł inżynier. — Lord Glenarvan nie wybrałby pory zimowej, aby wypuszczać się na tak dalekie morza. Albo więc był już na wyspie Tabor w ciągu tych pięciu miesięcy, w czasie których Ayrton jest z nami, i odpłynął z powrotem, albo przybędzie dopiero później, a wtedy mamy czas, żeby w pierwszych pogodnych dniach października wybrać się na wyspę Tabor i zostawić tam notatkę.

— Trzeba przyznać — powiedział Nab — że byłby to dla nas bardzo niepomysłny zbieg okoliczności, gdyby „Duncan” w ciągu ostatnich kilku miesięcy odwiedził już te morza.

— Mam nadzieję, że tak nie było — odparł Cyrus Smith — i że Niebo nie pozbawiło nas najpewniejszej szansy wybawienia, jaka nam pozostała.

— Sądzę — powiedział reporter — że w każdym razie po przybyciu na wyspę Tabor będziemy wiedzieli, czego się trzymać, jeśli bowiem Szkoci już tam byli, to niewątpliwie musieli zostawić ślady swojego pobytu.

— Bez wątpienia — odparł inżynier. — Ponieważ więc, przyjaciele, pozostała nam jeszcze taka możliwość powrotu do ojczyzny, czekajmy cierpliwie, a gdyby się okazało, że nas ominęła, wtedy zastanowimy się, co robić dalej.

— W każdym razie — powiedział Pencroff — rozumie się, że jeśli w ten czy w inny sposób opuścimy Wyspę Lincolna, to nie dlatego, że nam tu źle.

— Nie, Pencroffie — odparł inżynier — ale dlatego, że jesteśmy tu z dala od wszystkiego, co człowiek kocha najbardziej na świecie: od rodziny, od przyjaciół i od kraju ojczystego.

Po podjęciu tych decyzji nie było odtąd mowy o budowie statku tak dużego, by można było na nim wyruszyć bądź to na północ, aż do archipelagów, bądź na zachód, aż do Nowej Zelandii. Koloniści zajmowali się zwykłymi zajęciami, związanymi z przygotowaniem do zbliżającej się trzeciej z kolei zimy, którą mieli spędzić w Granitowym Pałacu.

Niemniej jednak postanowiono przed rozpoczęciem się zimowej niepogody skorzystać ze słupa i opłynąć wyspę dookoła. Dotychczas nie zbadano jeszcze dokładnie wszystkich wybrzeży i koloniści mieli bardzo niejasne wyobrażenie o tym, jak wygląda wybrzeże zachodnie i północne, od ujścia Rzeki Wodospadu do Przylądków Szczęk, a także wąska zatoka wznająca się między nie niczym paszcza rekina.

Projekt tej wyprawy zaproponował Pencroff, a Cyrus Smith udzielił pełnego poparcia, gdyż sam chciał obejrzeć tę część ich posiadłości.

Pogoda była zmienna, ale barometr nie robił zbyt gwałtownych skoków, więc można się było spodziewać znośnych warunków atmosferycznych. Właśnie w pierwszym tygodniu kwietnia, po dużym spadku barometrycznym, silny wiatr zachodni, wiejący pięć czy sześć dni, zapoczątkował ponowny wzrost. Następnie wskazówka instrumentu stanęła, wskazując dwadzieścia dziewięć i dziewięć dziesiątych cala (759,45 mm) i te warunki uznano za sprzyjające wyprawie.

Dzień odpłynięcia wyznaczono na 16 kwietnia, a „Bonawenturę”, stojącego na kotwicy w Przystani Balonowej, zaopatrzono na drogę, która mogła potrwać dłuższy czas.

Cyrus Smith uprzedził Ayrtona o zamierzonej wyprawie i zaproponował mu, by wziął w niej udział. Ponieważ jednak Ayrton wolał zostać na lądzie, postanowiono, aby na czas nieobecności towarzyszy zamieszkał w Granitowym Pałacu. Towarzystwa miał mu dostrzymywać pan Jup, który zresztą się temu nie sprzeciwiał.

16 kwietnia rano koloniści w towarzystwie Topa wsiedli na stateczek. Wiał dość silny wiatr z południowego zachodu i „Bonawentura”, wypływając z Przystani Balonowej, musiał lawirować, aby się dostać do Jaszczurczego Cypla. Z dziewięćdziesięciu mil obwodu wyspy około dwadzieścia przypadało na południowe wybrzeże, od portu do cypla.

Te dwadzieścia mil trzeba było przepłynąć jak najbliżej lądu ze względu na bardzo silny wiatr.

Dotarcie do cypla zajęło cały dzień, gdyż statek po wypłynięciu z portu mógł tylko przez dwie godziny korzystać odpływu, natomiast przez kolejnych sześć godzin musiał walczyć z utrudniającym żeglugę przyplywem. Dlatego zanim opłynęli cypel, zapadła już noc.

Pencroff zaproponował inżynierowi, żeby płynąć dalej powoli, z żaglem na dwóch refach. Cyrus Smith wołał jednak rzucić kotwicę o kilka kabli od lądu, by ponownie obejrzeć tę część wybrzeża w ciągu dnia. Koloniści uzgodnili, że ponieważ celem wyprawy było szczegółowe zbadanie wybrzeży wyspy, to nie będą płynąć nocą, ale wieczorem będą rzucać kotwicę w pobliżu lądu, jeśli tylko pogoda na to pozwoli.

Noc minęła na kotwicy w pobliżu cypla. Mgła opadła, wiatr ustał i w powietrzu panowała cisza. Pasażerowie, z wyjątkiem marynarza, spali może mniej smacznie na pokładzie „Bonawentury” niż w pokojach Granitowego Pałacu, ale jakoś spali.

Nazajutrz, 17 kwietnia, Pencroff skoro świt rozwinął żagle i korzystając umiejętnie z wiatru, prowadził statek prawie przy samych brzegach.

Koloniści znali już dobrze to wspaniałe, lesiste wybrzeże, gdyż przebyli je pieszo, lecz mimo to znowu wzbudzało w nich zachwyty. Zmniejszyli szybkość i podpłynęli tak blisko do brzegu, jak tylko było można, żeby móc wszystko dokładnie obejrzeć, uważając jednocześnie, by nie zawadzić o któryś z pływających tu i ówdzie pni drzew. Kilkakrotnie nawet zarzucali kotwicę, a Gedeon Spilett robił zdjęcia tych wspaniałych okolic.

Okolo południa „Bonawentura” przybył do ujścia Rzeki Wodospadu. Na jej prawym brzegu ponownie widać było drzewa, ale rosnące rzadziej, a o trzy mile dalej tworzyły one już tylko pojedyncze kępy rozrzucone pomiędzy zachodnimi pasmami góry, której nagi grzbiet ciągnął się do samego brzegu oceanu.

Co za kontrast między południowym a północnym wybrzeżem wyspy! Jedno lesiste i pokryte bujną zielonością, drugie jałowe i dzikie. Wyglądało zupełnie jak jedno z tych „żelaznych wybrzeży”, jak je nazywają w niektórych krajach, a jego konwulsyjnie wykrzywione kształty zdawały świadczyć o tym, że w odległych epokach geologicznych nastąpiła tu nagła krystalizacja roztopionego bazaltu. Spiętrzenie głazów wyglądało tak straszliwie, że gdyby los wyrzucił rozbitków najpierw na ten brzeg wyspy, na pewno byliby przerażeni. Ze szczytu Góry Franklina nie mogli dostrzec ponurego obrazu tego wybrzeża, gdyż patrzyli na nie ze zbyt dużej wysokości, lecz od strony morza widok był tak niesamowity, że podobnego nie znalazłoby się chyba nigdzie na świecie.

„Bonawentura” płynął w odległości pół mili od brzegu. Łatwo było stwierdzić, że wybrzeże składało się z bloków skalnych różnej wielkości, począwszy od mierzących dwadzieścia stóp wysokości aż do wysokich na trzysta stóp. Miały najrozmaitsze kształty: były wśród nich walcowate jak wieże, w kształcie graniastosłupa jak dzwonnice, piramidalne jak obeliski³⁵⁷, stożkowe jak kominy fabryczne. Lodowce mórz północnych w swej wspaniałej grozie nie mogły mieć dziwniejszych kształtów. Tu wisiał jakby most przetrzucony z jednej skały na drugą, ówdzie rysowały się potężne łuki, jakby w nawie kościelnej, których szczytu nie dało się osiągnąć wzrokiem; w jednym miejscu widać było olbrzymie pieczary o monumentalnych sklepieniach, w innym znów jeżył się istny las iglic, wieżyczek i strzałek, jakiego nie znajdzie się w żadnej katedrze gotyckiej. Najkapsyśnieszce wymysły natury, stokroć dziwniejsze i bardziej różnorodne, niż zdołałaby wytworzyć ludzka wyobraźnia, składały się na to wspaniałe wybrzeże, ciągnące się na przestrzeni ośmiu czy dziewięciu mil.

Cyrus Smith i jego towarzysze spoglądali na nie z wyrazem zdumienia graniczącego z osłupieniem. Milczeli wszyscy, tylko Top, nie troszcząc się o to, co się wokół niego działo, poszczekiwiał głośno, a jego szczekaniu odpowiadały tysięcznym echem bazaltowe skały. Inżynier zauważył nawet, że ujadanie to było jakieś dziwne, podobne jak przy otworze studni w Granitowym Pałacu, i powiedział:

— Przybijmy do brzegu.

³⁵⁷obelisk — czworościenny, zwężający się ku górze słup zakończony ostrosłupem (piramidką), charakterystyczny element architektury starożytnego Egiptu; obeliski stawiano parami przed wejściami do świątyń. [przypis edytorski]

„Bonawentura” zbliżył się jak można było najbardziej do nadbrzeżnych skał. Być może znajdowała się między nimi jakaś jaskinia, którą należało zbadać? Ale Cyrus Smith nie dostrzegł żadnej jaskini ani szczeliny, która mogłaby służyć jakimkolwiek stworzeniu za schronienie, gdyż skały wynurzały się z wody. Wkrótce Top przestał szczekać i statek oddalił się znów o kilka kabli od brzegów.

W północno-zachodniej części wyspy wybrzeże stało się znowu płaskie i piaszczyste. Gdzieś tam na bagnistej nizinie, którą przedtem już poznali koloniści, rosły pojedyncze drzewa. W przeciwieństwie do tamtej, opustoszałej okolicy tę ożywiały miriady³⁵⁸ morskiego ptactwa.

Wieczorem „Bonawentura” rzucił kotwicę w lekkim wgłębieniu, które tworzył w tym miejscu brzeg, na północnym krańcu wyspy tuż przy lądzie, ponieważ morze było tu dość głębokie. Noc upłynęła w miarę spokojnie, gdyż wiatr zamierał z ostatnim promieniem słońca i ożywał się na nowo dopiero z pierwszym brzaskiem dnia.

Ponieważ łatwo było wylądować, więc tego poranka najlepsi myśliwi kolonii, Harbert z Gedeonem Spilettem, wyszli na dwugodzinną przechadzkę, z której powrócili obciążeni dzikimi kaczkami i bekasami. Top dokazywał cudów i dzięki jego gorliwości i zręczności nie przepadła ani jedna sztuka zwierzyny.

O ósmej rano „Bonawentura” rozwinął żagle i pomknął w kierunku Północnego Przylądka Szczęki, gdyż wiatr wiał od rufy i stawał się coraz silniejszy.

— Zresztą nie dziwiłbym się wcale — powiedział Pencroff — gdyby się zerwał wicher od zachodu. Wczoraj słońce zaszło czerwono na horyzoncie, a dziś rano te białe smugi na niebie nie wróżą także nic dobrego.

Te białe smugi, o których wspominał Pencroff, zwane fachowo *cirrusami*, snują się tu i ówdzie w górnej części nieba, nie schodząc na wysokość mniejszą niż pięć tysięcy stóp nad poziomem morza. Wyglądają jak lekkie strzępki waty i zwykle zapowiadają pogorszenie pogody.

— Rozwińmy więc wszystkie żagle, jakie tylko mamy, i szukajmy schronienia w Zatoce Rekinów — powiedział Cyrus Smith. — Sądzę, że „Bonawentura” będzie tam bezpieczny.

— Najzupełniej — odparł Pencroff. — Zresztą północne wybrzeże składa się z samych tylko piaszczystych wydmy, zupełnie nieciekawych.

— Nie miałbym nic przeciwko temu — dodał inżynier — żebyśmy spędzili w tej zatoce nie tylko noc, ale i cały jutrzejszy dzień, gdyż warto ją starannie zbadać.

— Sądzę, że chcąc nie chcąc będziemy do tego zmuszeni — odparł Pencroff. — Od zachodu niebo zaczyna wyglądać groźnie. Niech pan spojrzy, jak się zaciąga chmurami!

— W każdym razie mamy pomyślny wiatr dla żeglugi do Przylądka Szczęki — zauważył reporter.

— Świetny wiatr — odparł marynarz — ale żeby wejść do zatoki, trzeba będzie lawirować, więc wolalbym to zrobić za dnia, bo zupełnie nie znam tych wód.

— Wód, które są pewnie usiane rafami — dodał Harbert — sądząc z tego, co widzieliśmy przy południowych brzegach Zatoki Rekinów.

— Pencroffie — powiedział na to Cyrus Smith — niech pan robi, jak pan uważa, że będzie najlepiej, zdajemy się na pana.

— Niech pan będzie spokojny, panie Cyrusie — odparł marynarz — nie będę się narażał bez potrzeby. Wolalbym, żeby mnie ktoś dźgnął nożem w mój własny brzuch, niż żeby jakaś rafa przedziurawiła brzuch „Bonawentury”!

Przez „brzuch” rozumiał Pencroff zanurzony w wodzie kadłub swojego statku, o który dbał bardziej niż o własną skórę.

— Która godzina? — zapytał Pencroff.

— Dziesiąta — odparł Gedeon Spilett.

— A jak daleko jeszcze do przylądka, panie Cyrusie?

— Około piętnastu mil — odparł inżynier.

— Potrzeba więc dwie i pół godziny — powiedział marynarz. — Będziemy w pobliżu przylądka między dwunastą a pierwszą. Niestety, o tej godzinie skończy się przyływ i za-

³⁵⁸ *miriada* (z gr. *myrias*) — grecki liczebnik oznaczający dziesięć tysięcy, używany zwykle w liczbie mnogiej na określenie ogromnej, trudnej do policzenia liczby czegoś. [przypis edytorski]

cznie się odpływ. Obawiam się, że będzie bardzo trudno wejść do zatoki, mając przeciwko sobie wiatr i morze.

— Tym bardziej że mamy dziś pełnię — dodał Harbert — a te przyprawy i odpływy kwietniowe bywają bardzo silne.

— A nie mógłby pan, Pencroffie, zakotwiczyć przy cyplu przylądka? — zapytał Cyrus Smith.

— Co? Rzucić kotwicę przy samym lądzie, mając w perspektywie burzę?! — zawołał marynarz. — O czym pan myśli, panie Cyrusie? To by znaczyło dobrowolnie wystawiać statek na pewne rozbicie!

— Więc co pan zrobi?

— Będę się starał wytrwać na pełnym morzu aż do nadejścia przyprawy, czyli do mniej więcej siódmej wieczorem, a jeśli będzie jeszcze widno, spróbuję wejść do zatoki. Gdyby się nie udało, to będziemy się kręcić całą noc po morzu, a do zatoki wejdziemy jutro o wschodzie słońca.

— Powiedziałem już, Pencroffie, że zdajemy się całkowicie na pana — odparł Cyrus Smith.

— Ach! Gdyby na tym wybrzeżu była jakaś latarnia morska, byłoby wygodniej dla żeglarzy! — powiedział Pencroff.

— Tak — odparł Harbert — zwłaszcza że tym razem nie będzie już uprzejmego inżyniera, który by nam zapalił ogień wskazujący drogę do portu.

— Aha, dobrze, że sobie przypomniał, drogi Cyrusie — powiedział Gedeon Spilet. — Jeszcze panu za to nie podziękowaliśmy. Szczerze mówiąc, bez tego ognia nigdy nie zdołalibyśmy wrócić do domu.

— Jakiego ognia? — zapytał Cyrus Smith, mocno zdumiony słowami reportera.

— Chodzi nam o to, panie Cyrusie — odparł Pencroff — że przez kilka ostatnich godzin przed naszym powrotem byliśmy w wielkim kłopotcie na pokładzie „Bonawentury”. Pewnie byśmy minęli wyspę, gdyby pan nie rozpałił tego ognia w nocy z dziewiętnastego na dwudziesty października, na płaskowyżu przy Granitowym Pałacu.

— Tak, tak... To był szczęśliwy pomysł — odparł inżynier.

— A tym razem — dorzucił marynarz — nie będzie nikogo, kto by nam oddał tę małą przysługę, chyba żeby Ayrton wpadł na ten pomysł.

— Tak, nikogo — odparł Cyrus Smith.

W kilka chwil później inżynier, znalazłszy się sam na sam z reporterem na dziobie statku, szepnął mu do ucha:

— Słuchaj, przyjacielu, jeśli jest coś pewnego na świecie, to to, że w nocy z dziewiętnastego na dwudziesty października nie rozpałałem żadnego ognia ani na płaskowyżu w pobliżu Granitowego Pałacu, ani w żadnym innym punkcie wyspy!

ROZDZIAŁ XX

Noc na morzu. — Zatoka Rekinów. — Zwierzenia. — Przygotowania do zimy. — Wczesna zima. — Mrozy. — Prace wewnątrz domostwa. — Po sześciu miesiącach. — Negatyw fotograficzny. — Niespodziewane zdarzenie.

Stało się tak, jak przewidział Pencroff, jego doświadczenie nie mogło go omylić. Wiatr wzmagął się i z bryzy przeszedł w gwałtowny wicher, to znaczy osiągnął prędkość czterdziestu do czterdziestu pięciu mil na godzinę³⁵⁹. Statek płynący na pełnym morzu musiałby w takiej sytuacji zrefować wszystkie żagle i zwinąć bramsle³⁶⁰. Ponieważ „Bonawentura” zbliżył się do zatok około szóstej, gdy trwał odpływ, nie sposób było do niej wpłynąć. Trzeba więc było pozostać na pełnym morzu, gdyż Pencroff, choćby nawet chciał, nie zdołałby dotrzeć do ujścia Rzeki Dziękczynienia. Wciągnąwszy wobec tego na główny maszt foka jako żagiel sztormowy, czekał spokojnie, utrzymując statek dziobem do lądu.

³⁵⁹czterdzieści pięć mil na godzinę — około 83 kilometrów na godzinę. [przypis autorski]

³⁶⁰bramsel — prostokątny żagiel zawieszany na trzeciej lub czwartej licząc od pokładu rei (poziomym drzewcu przytwierdzonym do masztu); podczas silnych wiatrów bramsle zwija się. [przypis edytorski]

Na szczęście, pomimo że wicher był bardzo gwałtowny, morze pod osłoną brzegów nie było zbyt wzburzone. Nie obawiano się więc gwałtownych uderzeń bałwanów, bardzo niebezpiecznych dla małych statków. Nie zdołałyby zapewne przewrócić „Bonawentury”, który był dobrze obciążony, niemniej jednak wielkie masy wody, zalewając pokład, mogłyby uszkodzić statek, gdyby poszycie nie wytrzymało. Pencroff jako dobry marynarz był gotowy na wszelkie przypadki. Co prawda miał duże zaufanie do swojego statku, mimo to jednak oczekiwał świtu z pewnym niepokojem.

Przez całą noc Gedeonowi Spilett i Cyrus Smith nie mieli okazji porozmawiać ze sobą, a przecież słowa, które inżynier wyszeptał do ucha reporterowi, zasługiwały na to, aby jeszcze raz zastanowić się nad tą tajemniczą mocą, która zdawała się rządzić na Wyspie Lincoln. Gedeon Spilett bezustannie myślał o tym nowym, niewytłumaczalnym wydarzeniu, o pojawieniu się ognia na wybrzeżu. Przecież sam go widział! Jego towarzysze, Harbert i Pencroff, też go widzieli. Ogień pomógł im rozpoznać położenie wyspy w tę ciemną noc i nie mieli wątpliwości, że rozpałała go ręka inżyniera, a tymczasem Cyrus Smith oświadczył kategorycznie, że nic podobnego nie zrobił!

Gedeon Spilett postanowił po powrocie do domu jeszcze raz zagadnąć o to inżyniera i skłonić go do powiedzenia towarzyszom o tych dziwnych zdarzeniach. Może zdecydowano by się wówczas, żeby wspólnie dokładnie zbadać całą Wyspę Lincoln.

Tak czy owak, tego wieczora na tych nieznanych dotąd brzegach, tworzących wejście do zatoki, nie pojawił się żaden ogień i stateczek całą noc pozostał na pełnym morzu.

Gdy tylko na wschodzie zaświtały pierwsze błyski jutrzeńki, wiatr, który tymczasem powoli się uspokoił, zmienił kierunek o dwa rumbly, co ułatwiło Pencroffowi prześlizgnięcie się przez wąską cieśninę stanowiącą wejście do zatoki. Około siódmej rano „Bonawentura”, wzięwszy kurs na Północny Przylądek Szczęki, wśliznął się ostrożnie w cieśninę, potem wypłynął na wody zatoki, otoczonej malowniczym obramowaniem z zastygłej lawy.

— Oto kawałek morza jakby stworzony na doskonałą przystań — powiedział Pencroff. — Cała flota mogłaby tu swobodnie manewrować!

— Najdziwniejsze — zauważył Cyrus Smith — że tę zatokę utworzyły dwa potoki lawy wyrzuconej przez wulkan i stopniowo nagromadzonej w czasie kolejnych wybuchów. Wskutek tego jest osłonięta ze wszystkich stron i zapewne nawet podczas najgwałtowniejszych burz morze jest tu spokojne jak jezioro.

— Bez wątpienia — odparł marynarz. — Wiatr może się tu wcisnąć tylko przez wąskie gardło pomiędzy dwoma przylądkami, a w dodatku przylądek północny zasłania całkiem południowy, dzięki czemu podmuchy wiatru mają bardzo utrudniony dostęp. Doprawdy, „Bonawentura” mógłby tu sobie stać przez cały rok nawet bez rzucania kotwicy.

— Miałby tu trochę za dużo miejsca — zauważył reporter.

— Ba! Panie Spilett — odparł marynarz — zgadzam się, że dla „Bonawentury” zatoka jest zbyt obszerna, ale gdyby floty Unii potrzebowały bezpiecznego schronienia na Pacyfiku, nie znalazłyby pewnie lepszego niż ta przystań.

— Jesteśmy w paszczy rekina — zauważył Nab, robiąc aluzję do kształtu przystani.

— W samej paszczy, mój pocziwy Nabie — odparł Harbert. — Ale przecież nie boisz się, że się zamknie i nas pożre?

— Nie, panie Harbercie — odparł Nab — ale jednak ta przystań nie bardzo mi się podoba. Jakoś nieprzyjemnie wygląda.

— Masz ci los! — zawołał Pencroff. — Nab krytykuje moją przystań akurat w chwili, kiedy zamierzam złożyć ją w darze Ameryce!

— Ale czy przynajmniej jest tu dość głęboko? — zapytał inżynier. — Bo co wystarczy naszemu „Bonawenturze”, na pewno nie wystarczy naszym pancernikom³⁶¹.

— Łatwo się o tym przekonać — odparł Pencroff.

I marynarz wyrzucił za burtę długi sznur z kawałkiem żelaza na końcu, który mu służył za sondę. Sznur miał około pięćdziesięciu sążni długości i rozwinął się aż do końca, nie napotkawszy dna.

³⁶¹pancernik — duży, silnie opancerzony i uzbrojony w działa wielkiego kalibru okręt wojenny o napędzie parowym lub turbinowym; pancerniki stanowiły trzon flot wojennych od czasu powstania tego typu okrętów w drugiej połowie XIX w. do okresu II wojny światowej. [przypis edytorski]

— Świetnie! — powiedział Pencroff. — Nasze pancerniki mogą tu zawijać, na pewno nie osiadą na mieliźnie!

— Rzeczywiście, ta zatoka to istna otchłań — powiedział Cyrus Smith. — Ale biorąc pod uwagę wulkaniczne pochodzenie wyspy, nic dziwnego, że dno morskie ma tu takie głębie.

— Wygląda — zauważył Harbert — jakby ściany wybrzeży ktoś wykuli kilofem i sądzę, że u ich podnóży nawet pięcio- czy sześciokrotnie dłuższą sondą Pencroff nie dotarłby do dna.

— Wszystko to pięknie — odezwał się na to reporter — ale muszę zwrócić Pencroffowi uwagę, że jego przystani brakuje jednej bardzo ważnej rzeczy.

— Jakiej to, panie Spilett?

— Jakieś szczeliny w skale czy wyźłobienia, którymi można by się było dostać do wnętrza wyspy. Nie widzę nigdzie miejsca, na którym dałoby się postawić stopę.

Istotnie, na całym obwodzie zatoki, wśród wysokich, stromych bloków lawy, nie było jednego miejsca dogodnego do wylądowania. Była to jedna niedostępna ściana, przypominająca brzegi norweskich fiordów³⁶², lecz jeszcze bardziej naga i jałowa. „Bonawentura” płynął tak blisko brzegu, że prawie go dotykał, ale jego pasażerowie nigdzie nie dostrzegli najmniejszej występy, który pozwoliłby im zejść na ląd.

Pencroff pocieszał się, mówiąc, że w razie potrzeby można rozsadzić skały za pomocą ładunku wybuchowego, a ponieważ nie było już co robić w zatoce, skierował statek w stronę cieśniny i około drugiej wyprowadził go na morze.

— Uff! — westchnął Nab z ulgą.

Można było naprawdę pomyśleć, że poczciwy Murzyn czuł się nieswojo w tej olbrzymiej paszczy.

Od Przylądka Szczęki do ujścia Rzeki Dziękczynienia było nie więcej niż osiem mil. Statek wziął kurs w kierunku Granitowego Pałacu, płynąc w odległości mili od brzegu. Olbrzymie złomy lawy ustąpiły wkrótce malowniczym piaszczystym wydmom, wśród których w tak niezwykły sposób odnaleziono inżyniera i które odwiedzały setki ptaków morskich.

Okolo czwartej Pencroff, pozostawiając z lewej burty cypel wysepki, wpłynął do cieśniny dzielącej ją od wyspy, a o piątej kotwica „Bonawentury” zaryła się w piasek przy ujściu Rzeki Dziękczynienia.

Minęły trzy dni, odkąd koloniści opuścili swój dom. Ayrton oczekiwał ich na brzegu, a pan Jup wyszedł im naprzeciw, wydając pomruki zadowolenia.

W ten sposób zbadano wybrzeża całej wyspy, nie odkrywszy nigdzie żadnych podejrzanych śladów. Jeśli więc mieszkała na niej jakaś tajemnicza istota, to chyba tylko w tych nieprzebranych lasach Półwyspu Wężowego, gdzie jeszcze dotąd nie powstała stopa kolonistów.

Gedeon Spilett rozmawiał o tym z inżynierem i ustalili, że zwrócą uwagę swoich towarzyszy na dziwny charakter niektórych zdarzeń, jakie zaszły na wyspie, z których ostatnie było najbardziej zagadkowe.

Cyrus Smith, wracając do sprawy ognia, który jakaś nieznana ręka zapaliła na wybrzeżu, po raz dwudziesty chyba zapytał reportera:

— Czy jest pan pewny tego, że widział pan ogień? Może to był jakiś częściowy wybuch wulkanu lub meteor?

— Nie, Cyrusie — odparł reporter — to był z pewnością ogień zapalony ludzką ręką. Zresztą proszę zapytać Pencroffa i Harberta. Widzieli to samo co ja i potwierdzą moje słowa.

W wyniku tej rozmowy kilka dni później, 25 kwietnia wieczorem, gdy wszyscy koloniści zbrali się na Płaskowyżu Pięknego Widoku, Cyrus Smith zabrał głos i odezwał się w te słowa:

— Przyjaciele, czuję się w obowiązku zwrócić waszą uwagę na pewne wydarzenia, które zaszły na naszej wyspie i o których chciałbym zasięgnąć waszego zdania. Wydarzenia te są, że się tak wyrażę, nadprzyrodzone...

³⁶²*fiord* — głęboka zatoka morska mocno wrzynająca się w ląd, mająca strome, skaliste zbocza; fiordy tworzą wybrzeża Norwegii oraz Szkocji, Grenlandii, Islandii i in. [przypis edytorski]

— Nadprzyrodzone! — zawołał marynarz, puszczając z fajki kłąb dymu. — To może nasza wyspa też jest nadprzyrodzona?

— Nie, Pencroffie, ale z pewnością tajemnicza — odparł inżynier. — Chyba że pan potrafiłby wytłumaczyć to, czego ani ja, ani Spilett dotychczas nie potrafiliśmy zrozumieć.

— Proszę mówić, panie Cyrusie — odparł marynarz.

— Dobrze więc! Czy rozumie pan — ciągnął dalej inżynier — jak to możliwe, że po tym, jak wpadłem do morza, zostałem znaleziony w głębi wyspy o ćwierć mili od brzegu, nie wiedząc sam, jak się tam dostałem?

— Może w stanie nieświadomości... — powiedział Pencroff.

— Nie, to niemożliwe — odparł inżynier. — Idźmy dalej. Czy wie pan, w jaki sposób Top zdołał odszukać wasze schronienie o pięć mil od miejsca, w którym leżałem?

— Wrodzony instynkt psa... — odparł Harbert.

— Osobliwy instynkt! — powiedział reporter. — Przecież pomimo wiatru z deszczem, jaki szalał tamtej nocy, Top przybył do Kominów całkiem suchy i niezablocony!

— Idźmy dalej — powiedział inżynier. — Czy rozumie pan, w jak to się stało, że nasz pies tak dziwnie został wyrzucony z jeziora po walce z diugoniem?

— Nie, nie bardzo, przyznaję — odparł Pencroff. — Trudno też wyjaśnić pochodzenie rany na boku diugonia, która wyglądała na zadaną jakimś ostrym narzędziem.

— Idźmy jeszcze dalej — powiedział Cyrus Smith. — Czy rozumiecie, przyjaciele, w jaki sposób w ciele młodego pekari znalazło się ziarno śrutu; w jaki sposób skrzynia została tak szczęśliwie wyrzucona na brzeg, pomimo że nigdzie nie było śladu po rozbitym statku; w jaki sposób butelka zawierająca dokument wtedy, gdy po raz pierwszy wyruszyliśmy na morze, nadpłynęła ku nam jakby na zawołanie; w jaki sposób nasze czółno urwało się z uwięzi i przypłynęło samo z prądem rzeki właśnie w chwili, gdy go potrzebowaliśmy; w jaki sposób podczas najazdu małp drabina tak szczęśliwie zsunęła się na dół z okna Granitowego Pałacu; w jaki sposób wreszcie dokument, którego Ayrton, jak twierdzi, nigdy nie pisał, dostał się w nasze ręce?

Cyrus Smith wyliczył wszystkie zadziwiające zdarzenia, jakie zaszły na wyspie, nie zapominając żadnego. Harbert, Pencroff i Nab patrzyli po sobie, nie wiedząc, co na to odpowiedzieć, gdyż cały ten szereg wydarzeń, po raz pierwszy w ten sposób zestawionych, zaskoczył ich nadzwyczajnie.

— Na honor! — powiedział wreszcie Pencroff. — Ma pan rację, panie Cyrusie. Trudno to wszystko wytłumaczyć.

— Otóż, przyjaciele — ciągnął dalej inżynier — do tych wypadków dołączył teraz nowy, równie niepojęty fakt.

— Jaki, panie Cyrusie? — zapytał żywo Harbert.

— Mówi pan, Pencroffie — ciągnął dalej inżynier — że gdy wracaliście z wyspy Tabor, ujrzeliście ogień na Wyspie Lincolna?

— Nie inaczej — odparł marynarz.

— Czy jest pan pewny, że widział pan ten ogień?

— Tak, jak pana widzę.

— I ty także, Harbercie?

— Ach, panie Cyrusie — zawołał Harbert — przecież ten ogień jaśniał jak gwiazda pierwszej wielkości!

— A może to rzeczywiście była gwiazda? — zapytał inżynier.

— Nie — odparł Pencroff — bo całe niebo było zakryte gęstymi chmurami, a gwiazda w żadnym razie nie świeciłaby tak nisko nad horyzontem. Przecież pan Spilett widział to samo co my i może potwierdzić nasze słowa!

— Muszę dodać — powiedział reporter — że światło było bardzo jaskrawe i przypominało strugę światła elektrycznego.

— Tak! Tak! Właśnie... — odparł Harbert. — I świeciło z pewnością gdzieś z wysokości Granitowego Pałacu.

— Otóż, przyjaciele — odparł Cyrus — w nocy z dziewiętnastego na dwudziesty października ani ja, ani Nab nie rozpaliliśmy żadnego ognia na wyspie.

— Jak to? Nie zapalaliście?!... — zawołał Pencroff w najwyższym zdumieniu, które nie dało mu nawet dokończyć zdania.

— Nie wychodziliśmy wcale z Granitowego Pałacu — odparł Cyrus Smith — a jeśli na wybrzeżu pojawił się ogień, to musiała go zapalić jakaś inna ręka.

Pencroff, Harbert i Nab stali osłupieni. Nie było mowy o żadnym złudzeniu, na własne oczy widzieli płonące światło w nocy z 19 na 20 października.

Tak! Musieli zgodzić się, że istniała tu jakaś tajemnica! Na Wyspie Lincolna działała widocznie jakaś zagadkowa moc, sprzyjająca kolonistom, lecz mocno drażniąca ich ciekawość. Czyżby w najskrytszych zakątkach wyspy ukrywała jakaś istota? O tym koniecznie należało się przekonać!

Cyrus Smith przypomniał towarzyszom, z jakim dziwnym niepokojem Top i Jup krążyli dokoła otworu studni łączącej Granitowy Pałac z morzem, i oznajmił im, że badał tę studnię, ale nie odkrył w niej nic podejrzanego. Rezultatem tej rozmowy było postanowienie powzięte jednomyślnie przez wszystkich członków kolonii, aby po nadejściu wiosny przeszukać bardzo dokładnie całą wyspę.

Od tego dnia Pencroff stał się niespokojny. Miał wrażenie, że wyspa, którą dotąd uważał za swoją osobistą własność, nie należy już całkowicie do niego i że musi ją dzielić z innym właścicielem, któremu na dodatek, chcąc nie chcąc, czuł się podległy. Często rozmawiał z Nabem o tych wszystkich zdarzeniach i obaj, będąc z natury skłonni do wiary w cuda, byli prawie przekonani, że Wyspa Lincolna znajduje się w mocy jakichś sił nadprzyrodzonych.

Tymczasem w maju, któremu na półkuli północnej odpowiada listopad, nadeszły słotne dni. Wszystko zapowiadało ostrą i wczesną zimą, toteż niezwłocznie rozpoczęto prace związane z przygotowaniem się do zimowania.

Zresztą teraz koloniści mogli przetrzymać choćby najostrzejszą zimą. Nie brakowało im ubrań z filcu, a muffony, już bardzo liczne, dostarczyły obficie wełny potrzebnej do wyrobu ciepłych tkanin.

Ayrtona oczywiście także zaopatrzone w wygodną i ciepłą odzież. Cyrus Smith zaproponował mu, żeby zimą spędził razem z nimi w Granitowym Pałacu, gdzie mu będzie lepiej niż w zagrodzie, i Ayrton obiecał, że się przeniesie, kiedy tylko skończy ostatnie prace w zagrodzie. Stało się to w połowie kwietnia. Odtąd Ayrton mieszkał razem z kolonistami i przy każdej okazji okazywał się przydatny. Zawsze jednak był pokorny i smutny i nie brał udziału w rozrywkach swoich towarzyszy.

Większą część trzeciej z kolei zimy spędzanej na Wyspie Lincolna koloniści przesiedzieli zamknięci w Granitowym Pałacu. Cały czas szalały straszliwe burze i wichry, które zdawały się wstrząsać skałami w posadach. Wzburzone fale przyływu zagrażały zalaniem całej wyspy i z pewnością statek, który zakotwiczyłby w pobliżu lądu, przepadłby wraz z całym ładunkiem i załogą. Dwukrotnie podczas jednej z tych nawałnic Rzeka Dziękczynienia wezbrała do tego stopnia, że obawiano się, by nie pozrywała mostów, a nawet trzeba było wzmocnić mostki na wybrzeżu, które całkiem zalewała woda, gdy morze biło o brzegi.

Łatwo się domyślić, że te straszliwe huragany, podobne do trąb powietrznych, zmieszane z deszczem i śniegiem, wyrządziły niemałe szkody na Płaskowyżu Pięknego Widoku. Najbardziej ucierpiał młyn i ptaszarnia. Koloniści musieli często dokonywać tam pilnych napraw, gdyż inaczej życie ptactwa byłoby poważnie zagrożone.

Podczas tej niepogody parę jaguarów i gromady małp zapędziły się aż na skraj płaskowyżu i ciągle trzeba się było obawiać, aby najzwinniejsze i najśmielsze z nich, pędzone głodem, nie przedostały się przez potok, który po zamarnięciu stawał się łatwy do przebycia. Gdyby nie stałe pilnowanie, plantacje i zwierzęta domowe z pewnością uległyby zagładzie. Często trzeba było odstraszać wystrzałami niebezpiecznych intruzów, żeby utrzymać ich w przyzwoitej odległości. Toteż kolonistom nie brakowało zajęć, gdyż oprócz pracy poza domem, zawsze było coś do zrobienia w samym Granitowym Pałacu.

Podczas wielkich mrozów kilka razy urządzono wspaniałe polowania na wielkich Bagnach Kazarek. Gedeon Spilett i Harbert, korzystając z pomocy Jupa i Topa, nie zmarnowali ani jednego strzału, polując wśród chmary dzikich kaczek, bekasów, cyranek, rożeńców i czajek. Dostęp do tych pełnych ptactwa terenów był łatwy — bądź to drogą do Przystani Balonowej po przejściu przez most na Rzece Dziękczynienia, bądź też dookoła głazów Cypla Znaleziska. Myśliwi nigdy więc nie oddalali się od Granitowego Pałacu o więcej niż dwie czy trzy mile.

Tak upłynęły cztery miesiące tej surowej zimy, to jest czerwiec, lipiec, sierpień i wrzesień. Ogólnie rzecz biorąc, Granitowy Pałac nie ucierpiał zbyt podczas niepogody, podobnie jak zagroda, mniej odkryta od płaskowyżu i w znacznej części osłonięta Górą Franklina. Docierały do niej tylko ostatnie podmuchy wichru, który rozbijał się wcześniej o lasy i wysokie skały wybrzeża. Szkody nie były więc znaczne, a zręczne i pracowite ręce Ayrtona szybko je naprawiły, gdy w drugiej połowie października powrócił na kilka dni do zagrody.

W czasie zimy nie wydarzył się żaden nowy zagadkowy wypadek. Nie stało się nic niezwykłego, pomimo że Pencroff z Nabem wręcz czatowali na najmniej znaczące fakty, żeby móc je przypisać jakiejś tajemniczej przyczynie. Nawet Top i Jup nie krążyli już wokół studni i nie zdradzali żadnego niepokoju. Zdawało się zatem, że seria nadprzyrodzonych wypadków została przerwana, chociaż często rozmawiano o nich wieczorami w Granitowym Pałacu i podtrzymywano postanowienie przeszukania całej wyspy, nawet najbardziej niedostępnych zakamarków. Jednak zdarzenie największej wagi, które mogło mieć zgubne następstwa, nagle odwróciło Cyrusa Smitha i jego towarzyszy od tych planów.

Było to w październiku. Wiosna zbliżała się szybkimi krokami. Natura odżywała pod wpływem promieni słonecznych, a między wiecznie zielonymi drzewami iglastymi, które tworzyły obramowanie lasu, zaczęły się pojawiać świeże listki na wiązowcach, banksjach i cedrach himalajskich.

Przypominamy sobie zapewne, że Gedeon Spilett i Harbert nieraz robili zdjęcia rozmaitych okolic Wyspy Lincoln.

Otóż 17 października, około trzeciej po południu, Harbert, zwabiony piękną pogodą, wpadł na pomysł, żeby sfotografować całą Zatokę Stanów Zjednoczonych, rozciągającą się naprzeciw Płaskowyżu Pięknego Widoku od Przylądka Szczęki aż do Przylądka Szponu.

Horyzont rysował się ze wspaniałą czystością, morze, lekko kołysane wietrzykiem, wyglądało w oddali na nieruchome jak jezioro, tu i ówdzie tylko migocząc złocistymi cętkami.

Harbert umieścił aparat w jednym z okien dużej sali Granitowego Pałacu, tak że obiektyw obejmował całe wybrzeże wraz z zatoką. Jak zwykle zrobił zdjęcie, a potem poszedł utrwalić naświetlony negatyw w ciemnym zakątku Granitowego Pałacu, gdzie przechowywał odczynniki.

Kiedy powrócił i przyjrzał się dokładnie negatywowi pod światło dostrzegł na nim malutką, ledwie widoczną plamkę na samym horyzoncie. Kilka razy próbował wypłukać negatyw, żeby się jej pozbyć, ale to nie pomogło.

„To zapewne jakaś wada w szkłe” — pomyślał.

Z ciekawości postanowił ją zbadać za pomocą silnej soczewki, którą wyjął z lunety.

Ale gdy tylko spojrział, wydał głośny krzyk, a płytka negatywu omal nie wypadła mu z ręki.

Pędem pobiegł do pokoju, w którym znajdował się Cyrus Smith, podał inżynierowi negatyw wraz z soczewką i wskazał malutką plamkę.

Cyrus Smith obejrzał punkcik, po czym chwycił lunetę i podbiegł do okna.

Powoli przesunął lunetę, przeszukując horyzont, w końcu zatrzymał ją na podejrzanym punkcie. Opuścił ją i wypowiedział tylko jedno słowo:

— Statek!

Istotnie, z Wyspy Lincoln widać było statek.

Tajemnicza wyspa

CZĘŚĆ TRZECIA. TAJEMNICA WY- SPY

ROZDZIAŁ I

Zguba czy ocalenie? — Wezwanie Ayrtona. — Ważne pytanie. — To nie „Duncan”! — Podejrzany statek. — Środki ostrożności. — Statek się zbliża. — Strzał armatni. — Dwumasztowiec zarzuca kotwicę w pobliżu wyspy. — Nadchodzi noc.

Minęło już dwa i pół roku, odkąd rozbitkowie statku powietrznego zostali wyrzuceni na Wyspę Lincolna, i do tej pory nie zdołali nawiązać kontaktu z resztą świata. Wprawdzie reporter raz próbował porozumieć się z zamieszkałymi krajami za pośrednictwem ptaka, któremu uwiązał u szyi notatkę z krótką informacją o ich położeniu, lecz na szczęśliwy wynik tej próby nie można było poważnie liczyć. Jedynym człowiekiem, który w opisanych powyżej okolicznościach powiększył liczbę członków tej małej kolonii, był Ayrton. Aż tu nagle 17 października w pobliżu wyspy, na morzu zawsze dotąd pustym, pojawili się niespodziewanie inni ludzie.

Nie można było mieć wątpliwości! W pobliżu był statek! Ale czy popłynie dalej, czy przybije do wyspy? Za kilka godzin koloniści na pewno się tego dowiedzą.

Cyrus Smith z Harbertem przywołali natychmiast Gedeona Spilettę, Pencroffa i Naba do dużej sali Granitowego Pałacu i powiadomili ich o tym, co się dzieje. Pencroff, chwycił lunetę, przebiegł wzrokiem horyzont i zatrzymał się na wskazanym punkcie, czyli na czymś, czego obraz utrwalił się jako ledwie dostrzegalna plamka na negatywie fotograficznym. Potem zawołał tonem nie zdradzającym szczególnego zadowolenia:

— Do kroćset diabłów! To naprawdę statek!

— Czy płynie w naszą stronę? — zapytał Gedeon Spilett.

— Nie da się jeszcze powiedzieć — odparł Pencroff — bo na razie nad horyzontem widać tylko maszty i żagle, ale ani kawałka kadłuba!

— Co teraz robić? — zapytał Harbert.

— Czekać — odparł Cyrus Smith.

I przez dłuższą chwilę koloniści stali w milczeniu, zatopieni w myślach, pochłonięci obawami i nadziejami wywołanymi przez to najważniejsze wydarzenie od czasu ich przybycia na Wyspę Lincolna.

Bez wątpienia nie znajdowali się wcale w położeniu rozbitków wyrzuconych na jałową wysepkę, walczących z przyrodą-macochą o nędzną egzystencję, zżeranych nieustannie tęsknotą do świata i ludzi. Zwłaszcza Pencroff i Nab czuli się tak szczęśliwi i bogaci, że z żalem opuściliby wyspę. Zresztą byli jakby stworzeni do tego nowego życia na tym kawałku ziemi, ucywilizowanym dzięki ich własnej inteligencji. Ale jednak ten statek przynosił ze sobą wieści ze świata, a może nawet był częścią ojczyzny, spieszącej im na spotkanie? Na statku znajdowali się ludzie, ich bliźni, więc łatwo zrozumieć, że na jego widok żywiej zabiły im serca.

Pencroff od czasu do czasu brał lunetę do ręki, stawał przy oknie i z niezmierną uwagą śledził statek oddalony jeszcze o jakieś dwadzieścia mil na wschód od wyspy. Koloniści nie mogli więc jeszcze żadnym sygnałem dać znać o sobie. Wywieszanej bandery nie byłoby widać ze statku, nie usłyszano by huku strzelby, nie dostrzeżono zapalonego ognia.

W każdym razie nie ulegało wątpliwości, że wyspa ze sterczącą na niej Górą Franklina nie ujdzie uwagi dyżurnego marynarza na bocianim gnieździe³⁶³. Mimo to po co statek miałby do niej przybici? Przecież tylko ślepy wypadek mógł go zapędzić w tę część Pacyfiku, gdzie na mapie nie było żadnej wyspy prócz wyspy Tabor, która także leżała z dala od dróg uczęszczanych przez statki dalekomorskie płynące na archipelagi polinezyjskie, na Nową Zelandię czy na wybrzeża Ameryki.

³⁶³bocianie gniazdo — tu: platforma obserwacyjna umieszczona wysoko na głównym maszcie statku. [przypis edytorski]

Każdy zadawał sobie w myśli tego rodzaju pytania, kiedy nagle Harbert znalazł odpowiedź:

— A może to „Duncan”?

„Duncan”, jak wiemy, był to jacht lorda Glenarvana, który wysadził Ayrtona na wyspie Tabor i miał kiedyś po niego wrócić. Otóż wyspa Tabor nie leżała tak daleko od Wyspy Lincolna, aby statek udający do pierwszej nie mógł po drodze przepłynąć obok drugiej. Dzielilo je tylko sto pięćdziesiąt mil na długości i siedemdziesiąt pięć mil na szerokości geograficznej.

— Trzeba uprzedzić Ayrtona — powiedział Gedeon Spilett — i natychmiast go tu przywołać. Tylko on może nam powiedzieć, czy to rzeczywiście „Duncan”.

Wszyscy się z tym zgodzili, reporter udał się więc do aparatu telegraficznego łączącego zagrodę z Granitowym Pałacem i zatelegrafował: „Proszę przyjść jak najszybciej!”.

Parę chwil później odezwał się aparat.

„Idę” — odpowiedział Ayrton.

Tymczasem koloniści nadal obserwowali statek.

— Jeśli to jest „Duncan” — powiedział Harbert — to Ayrton pozna go od razu, bo przez pewien czas pływał na nim.

— A jeśli go pozna — dodał Pencroff — na pewno bardzo się wzruszy.

— Tak — odparł Cyrus Smith — ale teraz Ayrton jest już godny tego, by wrócić na pokład „Duncana”, a dałby Bóg, żeby to rzeczywiście był jacht lorda Glenarvana. Każdy inny statek uznałbym za podejrzany. Te wody mają złą sławę i ciągle obawiam się, że naszą wyspę odwiedzą piraci malajscy.

— Będziemy się bronić! — zawołał Harbert.

— Oczywiście, mój chłopcze — odparł z uśmiechem inżynier. — Lepiej jednak, żeby nie było potrzeby się bronić.

— Pozwólcie mi zrobić jedną uwagę — powiedział Gedeon Spilett. — Żeglarze nie znają Wyspy Lincolna, gdyż nie ma jej nawet na najnowszych mapach. Czyż nie sądzi pan zatem, Cyrusie, że jest to jeszcze jeden powód, aby statek, który odkryje niespodzianie ten nowy ląd, raczej zbliżył się do niego i odwiedził go, zamiast minąć obojętnie?

— Bez wątpienia — odparł Pencroff.

— I ja tak sądzę — dodał inżynier. — Można nawet powiedzieć, że do obowiązków kapitana statku należy poznanie każdego nieznanego dotychczas lądu lub wyspy i oznaczenie ich pozycji na mapie. A taka właśnie jest Wyspa Lincolna.

— Dobrze więc — powiedział na to Pencroff. — Przypuśćmy, że statek tu zawinie, że zarzuci kotwicę kilka kabli od wyspy. Co wtedy zrobimy?

Na to pytanie, postawione tak niespodziewanie, początkowo nikt nie znalazł odpowiedzi. Dopiero Cyrus Smith po pewnym namyśle odparł swoim zwykłym spokojnym tonem:

— Oto co zrobimy, przyjaciele, i co powinniśmy zrobić: skontaktujemy się ze statkiem, wejdziemy na pokład i opuścimy tę wyspę, wzięwszy ją uprzednio w posiadanie w imieniu Stanów Zjednoczonych Ameryki. Później powrócimy tu z ludźmi, którzy zechcą się razem z nami ostatecznie skolonizować wyspę i ofiarować republice amerykańskiej pożyteczną placówkę w tej części Pacyfiku.

— Hurra! — zawołał Pencroff. — Będzie to nie byle jaki prezent dla naszej ojczyzny! Kolonizacja jest już prawie ukończona, wszystkie części wyspy mają swoje nazwy, mamy naturalną przystań, zapasy słodkiej wody, drogi, linię telegraficzną, warsztat okrętowy, fabrykę — pozostaje tylko oznaczyć Wyspę Lincolna na mapach.

— A jeśli podczas naszej nieobecności ktoś ją zajmie? — zauważył Gedeon Spilett.

— Do krośset diabłów! — zawołał marynarz. — Prędkiej sam bym tu został, żeby jej pilnować, a jakem³⁶⁴ Pencroff, nikt mi jej nie ukradnie jak zegarka z kieszeni gapia!

Przez całą godzinę nie sposób było stwierdzić na pewno, czy statek zbliża się do Wyspy Lincolna, czy nie. Wprawdzie nieco się zbliżył, ale jaki był jego kurs, tego Pencroff nie mógł rozpoznać. Ponieważ wiatr dął z północnego wschodu, można więc było z pewnym prawdopodobieństwem przypuszczać, że statek płynął prawym halsem³⁶⁵. Pomyślny

³⁶⁴jakem — skrócone: jak jestem. [przypis edytorski]

³⁶⁵płynął prawym halsem — tzn. mając wiatr po prawej burcie. [przypis edytorski]

wiatr ułatwiał zbliżanie się do wyspy, a przy tak spokojnym morzu można było do niej podpłynąć bez obaw, pomimo że głębokość wody nie była oznaczona na mapie.

Około czwartej, czyli w godzinę po wezwaniu, Ayrton przybył do Granitowego Pałacu. Wszedł do dużej sali i powiedział:

— Jestem do usług, panowie.

Jak zwykle Cyrus Smith wyciągnął do niego rękę i prowadząc go do okna, powiedział:

— Prosiłszy pana o przybycie, Ayrtonie, z bardzo ważnego powodu. W pobliżu wyspy widać jakiś statek.

Początkowo Ayrton nieco pobladł, a w jego oczach pojawił się niepokój. Potem wychylił się przez okno, przebiegł wzrokiem widnokrąg, ale niczego nie dostrzegł.

— Niech pan weźmie lunetę — powiedział Gedeon Spilett — i popatrz uważnie, bo możliwe, że to „Duncan” wraca, by zabrać pana do ojczyzny.

— „Duncan”! — wyszeptał Ayrton. — Już!

To ostatnie słowo jakby mimowolnie wymknęło się z ust Ayrtona, który wsparł głowę na rękach i stał nieruchomo.

Czyżby dwadzieścia lat wygnania na odludnej wysepce nie wydawało mu się jeszcze dostateczną karą? Czyżby skruszony grzesznik nie czuł się jeszcze rozgrzeszony we własnych oczach czy też w oczach innych ludzi?

— Nie! — zawołał. — Nie, to nie może być „Duncan”!

— Proszę się uważnie przyjrzeć, Ayrtonie — powiedział na to inżynier. — To dla nas bardzo ważne, żebyśmy zawczasu wiedzieli, czego się spodziewać.

Ayrton wziął do rąk lunetę i skierował ją we wskazanym kierunku. Przez kilka minut śledził widnokrąg obserwował horyzont, nie poruszając się, nie mówiąc ani słowa. Następnie odezwał się:

— Rzeczywiście to statek, ale nie sądzę, żeby to był „Duncan”.

— A dlaczego nie? — zapytał Gedeon Spilett.

— Dlatego, że „Duncan” jest jachtem parowym, a nigdzie nie dostrzegłem śladu dymu, ani nad statkiem, ani obok niego.

— A może płynie tylko pod żaglami? — zauważył Pencroff. — Ma pomyślny wiatr dla swojego kursu, a będąc tak daleko od wszelkiego lądu, może starać się oszczędzać węgiel.

— Może pan ma rację, panie Pencroffie — odparł Ayrton. — Możliwe, że wygasili kotły. Niech statek zbliży się trochę do brzegów, a wtedy będziemy wiedzieli, czego się trzymać.

Po tych słowach Ayrton usiadł w kącie dużej sali i siedział tam w milczeniu. Koloniści dyskutowali dalej o nieznanym statku, ale Ayrton nie mieszał się do rozmowy.

Wszyscy byli w takim stanie ducha, że nie mogli zabrać się do przerwanej pracy. Zwłaszcza Gedeon Spilett i Pencroff byli tak rozdrażnieni, że chodzili z miejsca na miejsce, nie mogąc chwili ustać ani usiedzieć spokojnie. Harbert odczuwał raczej ciekawość. Jedynie Nab zachował swój zwykły spokój. Czyż jego ojczyzna nie była tam, gdzie jego pan? Natomiast inżynier pogrążony był w rozmyślaniach i w głębi duszy bardziej obawiał się przybycia tego statku, niż tego pragnął.

Tymczasem statek zbliżył się nieco do wyspy. Przez lunetę można było poznać, że był to statek dalekomorski, nie zaś jedna z tych łodzi malajskich, jakich używają zazwyczaj piraci na Pacyfiku. Należało się więc spodziewać, że obawy inżyniera były bezpodstawne i że obecność tego statku na wodach Wyspy Lincoln nie stanowiła zagrożenia. Pencroff, przypatrzwszy mu się uważnie, stwierdził, że statek jest ożaglowany jak bryg³⁶⁶ i że płynie ukośnie do brzegu, prawym halsem, pod niższymi żaglami, marsłami³⁶⁷ i bramslami. Potwierdził to Ayrton.

Jednak płynąc dalej tym kursem, statek powinien wkrótce zniknąć za Przylądkiem Ostrego Szponu, gdyż zdążał na południowy zachód. W takim razie, aby nie spuścić go

³⁶⁶bryg — typ dwumasztowego żaglowca z ożaglowaniem rejomym na obu masztach; szybki i zwrotny, był popularny w XVIII i XIX w. jako statek handlowy i wojenny. [przypis edytorski]

³⁶⁷marsel — prostokątny żagiel zawieszany na drugiej (m. dolny) lub trzeciej (m. górny) rei licząc od pokładu. [przypis edytorski]

z oka, trzeba było wspiąć się na wzgórze otaczające Zatokę Waszyngtona, w pobliżu Przystani Balonowej. Była to niepomysłna okoliczność, gdyż dochodziła już piąta po południu i wkrótce zapadający zmrok uniemożliwiłby dalszą obserwację.

— Co zrobimy, gdy nadejdzie noc? — zapytał Gedeon Spilett. — Czy zapalimy ogień, aby dać znać o sobie?

Była to niezwykle ważna kwestia i pomimo podejrzeń i przeczuć, jakie trapiły inżyniera, rozstrzygnięto ją twierdząco. W ciągu nocy statek mógł zniknąć, odpłynąć na zawsze, a czy jakiś inny pojawi się jeszcze kiedykolwiek na wodach Wyspy Lincoln? Kto mógł przewidzieć, co przyniesie przyszłość?

— Tak — powiedział reporter — bez względu na to, co to za statek, musimy go powiadomić, że wyspa jest zamieszkała. Jeśli zlekceważymy nadarżającą się teraz okazję, możemy tego później żałować.

Postanowiono zatem, że Nab z Pencroffem udadzą się do Przystani Balonowej i gdy zapadnie noc, rozpalą wielki ogień, którego blask z pewnością zwróci uwagę załogi brygu.

Ale w chwili gdy Nab z marynarzem zamierzali już wyjść z Granitowego Pałacu, statek nagle zmienił kurs i zwrócił się prosto w stronę wyspy, w kierunku Zatoki Stanów Zjednoczonych. Bryg był dobrym żaglowcem, zbliżał się bardzo szybko.

Nab z Pencroffem pozostali więc w domu; Ayrtonowi wręczono lunetę, by mógł ostatecznie upewnić się, czy ten statek to „Duncan”, czy nie. Jacht szkocki również był ożaglowany jak bryg, chodziło więc o to, żeby przekonać się, czy pomiędzy dwoma masztami statku, który w tej chwili był oddalony tylko o dziesięć mil, wznosi się komin.

Horyzont był wciąż jeszcze jasny i pogodny. Łatwo więc było sprawdzić, toteż Ayrton po chwili opuścił lunetę i powiedział:

— Nie, to nie „Duncan”! To nie może być on!...

Pencroff wziął od niego lunetę, skierował na statek i stwierdził, że jest to bryg mający trzysta do czterystu ton wyporności, o smukłej sylwetce, z wysokimi masztami, doskonale zbudowany i z pewnością bardzo szybki. Ale do jakiego państwa należał? Trudno to było określić.

— Na maszcie powiewa jakaś bandera — powiedział Pencroff. — Tylko nie mogę rozpoznać kolorów.

— Za pół godziny się dowiemy — odparł reporter. — Zresztą widać, że kapitan ma zamiar tu wylądować, jeżeli więc nie dziś, to najpóźniej jutro poznamy go z bliska.

— Mniejsza o to — powiedział Pencroff. — Lepiej wcześniej wiedzieć, z kim się ma do czynienia, i dlatego nie miałbym nic przeciwko temu, żeby teraz poznać barwy tego jegomościa.

Mówiąc to, marynarz nie odejmował lunety od oka.

Wieczór zaczął zapadać, a wraz z nim ustawał wiatr. Bandera brygu zwiotczała, zaplątała się pomiędzy linkami i coraz trudniej było ją obserwować.

— Nie, to nie bandera amerykańska — powtarzał od czasu do czasu Pencroff — ani angielska, której czerwony kolor rzucalby się w oczy; to nie są także barwy francuskie ani niemieckie, ani biała bandera rosyjska, ani żółta hiszpańska... Zdaje się, że jest jednobarwna... Zaraz, zaraz... na tych wodach... jakie statki spotyka się najczęściej?... Może to bandera chilijska? Ale ona jest trójkolorowa... Może brazylijska? Zielona... Japońska? Czarno-żółta... Podczas gdy ta...

W tej chwili wiatr rozwinął nieznaną banderę. Ayrton chwycił lunetę odłożoną przez marynarza, przyłożył ją do oka i zawołał głuchym głosem:

— To czarna bandera!...

Rzeczywiście, na maszcie ponuro powiewała ciemna płachta i teraz na pewno można było uważać bryg za podejrzany.

Czy zatem inżyniera nie omyliły przeczucia? Więc to był statek piracki, który krążąc po wodach Pacyfiku, konkurował z łodziami malajskimi grasującymi w tych stronach? Czegoż on szukał u wybrzeży Wyspy Lincoln? Może uznał tę nieznaną wyspę za dobrą kryjówkę na przechowanie łupów? Może szukał tu schronienia na czas zimy? Czyżby uczciwa posiadłość kolonistów miała się stać ostoją zbójców, czymś w rodzaju pirackiej stolicy na Pacyfiku?

Wszystkie te myśli mimowolnie cisnęły się kolonistom do głowy. Nie było żadnej wątpliwości, co oznacza kolor wywieszanej bandery. Był to kolor piratów. Taka bandera powiewałaby na „Duncanie”, gdyby powiodły się zbrodnicze plany skazańców.

Nie można było dłużej tracić czasu.

— Przyjaciele — powiedział Cyrus Smith — może ten statek chce tylko poznać wybrzeża wyspy? Może jego załoga wcale nie wylądował? To możliwe. W każdym razie powinniśmy starać się ukryć naszą obecność. Wiatrak postawiony na Płaskowyżu Pięknego Widoku najbardziej zwraca na siebie uwagę. Niech Ayrton z Nabem pozdejmują z niego skrzydła. Zamaskujmy gęstymi gałęziami okna Granitowego Pałacu. Wszystkie ognie trzeba pogasić. Niech nic nie zdradza obecności ludzi na wyspie.

— A nasz statek? — powiedział Harbert.

— Och, schowany bezpiecznie w Przystani Balonowej — odparł Pencroff. — Założę się, że te łotry go nie znajdą!

Polecenia inżyniera zostały natychmiast wykonane. Nab z Ayrtonem udali się na płaskowyż i podjęli niezbędne kroki, żeby zatrzeć wszelkie ślady obecności ludzi. W czasie, gdy byli zajęci tą pracą, ich towarzysze udali się na skraj Lasu Złotopióra i przynieśli stamtąd wielki stos gałęzi i pnączy, które miały z pewnej odległości sprawiać wrażenie naturalnej zieleni i zamaskować otwory w granitowej ścianie. Równocześnie rozmieszczono broń i amunicję tak, by w jednej chwili można z nich było zrobić użytek w razie niespodziewanego napadu.

Gdy ukończono wszystkie te przygotowania, Cyrus Smith odezwał się ze wzruszeniem w głosie:

— Przyjaciele, jeśli ci nędznicy będą chcieli zawładnąć Wyspą Lincolna, będziemy jej bronić, prawda?

— Tak, Cyrusie — odparł reporter — a gdy trzeba będzie, zginiemy w jej obronie!

Inżynier wyciągnął rękę do towarzyszy, którzy uściśli ją serdecznie.

Tylko Ayrton pozostał w swoim kącie i nie przyłączył się do kolonistów. Może on, dawny zbrodniarz, nie czuł się jeszcze tego godny.

Cyrus Smith zrozumiał, co się dzieje w duszy Ayrtona, podszedł więc do niego i zapytał:

— A co pan zamierza zrobić, Ayrtonie?

— Spełnię swoją powinność — odparł Ayrton.

Po czym stanął przy oknie i przez zasłonę z gałęzi zaczął wpatrywać się w morze.

Było wtedy wpół do ósmej. Słońce od dwudziestu minut skryło się za Granitowym Pałacem. Niebo na wschodzie powoli ciemniało. Tymczasem bryg zbliżał się coraz bardziej do Zatoki Stanów Zjednoczonych.

Był w odległości nie większej niż osiem mil, i to dokładnie naprzeciw Płaskowyżu Pięknego Widoku, gdyż korzystając z przyływu, zrobił zwrot na wysokości Przylądka Szponu i zmienił kierunek na północny. Można było nawet przypuszczać, że wpłynął już w głąb zatoki, gdyż linia prosta pociągnięta od Przylądka Szponu do Przylądka Szczęki przechodziłaby na zachód od statku, po jego prawej burcie.

Czy bryg zapuści się dalej w głąb zatoki? To było pierwsze pytanie. Czy w zatoce rzuci kotwicę? To było drugie pytanie. A może poprzestanie na obejrzeniu z daleka wybrzeży, bez wysadzania załogi na ląd, po czym wypłynie znów na pełne morze? O tym mieli się przekonać za godzinę. Kolonistom nie pozostawało nic innego, jak tylko cierpliwie czekać.

Cyrusa Smitha bardzo zaniepokoił widok czarnej bandery wywieszanej na podejrzanym statku. Czyż nie zagrażała ona dziełu, które on sam i jego towarzysze tak pomyślnie prowadzili? Czyżby piraci — bo nie było wątpliwości, że to oni stanowili załogę brygu — znali już wcześniej tę wyspę, skoro zbliżając się do niej, wciągnęli swoją banderę? Może lądowali tu już wcześniej, co tłumaczyłoby pewne niewyjaśnione dotąd tajemnice? Może w tych niezbadanych dotąd częściach wyspy ukrywa się któryś z tych złoczyńców, gotowy przyłączyć się do swoich współników?

Cyrus Smith zadawał sobie w duchu te wszystkie pytania, ale nie umiał znaleźć na nie żadnej odpowiedzi. Czuł tylko, że przybycie brygu bardzo poważnie zagraża bezpieczeństwu kolonii.

W każdym razie zarówno on sam, jak i jego towarzysze byli zdecydowani walczyć do ostatka. Czy piraci byli liczniejsi i lepiej uzbrojeni od kolonistów? Tęgo właśnie należało się dowiedzieć. Ale jak do nich dotrzeć?

Zapadła noc. Księżyc w nowiu, pozbawiony promieni słońca, zniknął. Głęboka ciemność pokryła wyspę i morze. Ciężkie chmury nagromadzone na horyzoncie nie przepuszczały ani jednego błysku światła. Z zapadnięciem zmroku wiatr ustał zupełnie. Żaden listek nie zaszeleścił na drzewie, żadna fala nie zaszumiała na brzegu. Statku zupełnie nie było widać, widocznie wszystkie światła na nim wygaszono, a jeśli nadal znajdował się w pobliżu wyspy, to nie można było stwierdzić, w którym miejscu.

— Kto wie? — powiedział Pencroff. — Może ten przeklęty statek odpłynie sobie w nocy i jutro nie znajdziemy po nim ani śladu?

Jakby w odpowiedzi na słowa marynarza nagle na morzu rozbłysło jaskrawe światło, a potem zabrzmiał huk armatniego wystrzału.

Statek był więc tam nadal i miał na pokładzie działa.

Pomiędzy błyskiem a hukiem upłynęło sześć sekund. Z tego wynikało, że bryg znajdował się o milę i ćwierć od brzegu.

Równocześnie dał się słyszeć głuchy zgrzyt łańcucha przesuwającego się przez kluzę³⁶⁸.

Statek rzucił kotwicę na wprost Granitowego Pałacu.

ROZDZIAŁ II

Dyskusje. — Przeczucia. — Propozycja Ayrtona. — Propozycja przyjęta. — Ayrton z Pencroffem na Wyspce Wybawienia. — Więźniowie z Norfolk. — Ich plany. — Bohaterski czyn Ayrtona. — Powrót. — Sześciu przeciwko pięćdziesięciu.

Nie było już najmniejszej wątpliwości co do zamiarów piratów. Zakotwiczyli w pobliżu wyspy i było oczywiste, że zamierzali nazajutrz łodziami wylądować na brzegu.

Cyrus Smith i jego towarzysze byli gotowi na wszystko, przy całej jednak odwadze nie zapominali także o ostrożności. Może uda im się ukryć swoją obecność, jeśli piraci tylko wylądują na brzegu i nie zapuszczą się w głąb wyspy. Możliwe, że mieli zamiar tylko uzupełnić zapasy słodkiej wody z Rzeki Dziękczynienia, a wówczas niewykluczone, że most znajdujący się półtora mili od ujścia rzeki oraz urządzenia w Kominach umkną ich uwadze.

Ale dlaczego wywiesili tę banderę na brygu? Po co ten wystrzał armatni? Mogła to być tylko czysta fanfaronada³⁶⁹, lecz mógł to być także znak objęcia wyspy w posiadanie. Cyrus Smith wiedział już teraz, że statek jest dobrze uzbrojony. A czym koloniści Wyspy Lincoln mogli odpowiedzieć na działa piratów? Kilkoma strzelbami.

— Mimo wszystko — zauważył Cyrus Smith — zajmujemy pozycję nie do zdobycia. Nieprzyjaciel nie będzie mógł znaleźć otworu kanału odpływowego, zamaskowanego teraz trzcina i trawą, a tym samym nie uda mu się wtargnąć do Granitowego Pałacu.

— Ale nasze plantacje, ptaszarnia, zagroda i w ogóle wszystko! — zawołał Pencroff, tupiąc nogą. — W kilka godzin mogą to wszystko spustoszyć, zniszczyć.

— Mogą, Pencroffie — odparł Cyrus Smith — i my nie potrafimy im w żaden sposób przeszkodzić.

— Ilu ich jest? Oto pytanie — powiedział na to reporter. — Jeśli nie więcej niż tuzin, zdołamy ich odeprzeć, lecz jeśli ich jest czterdziestu, pięćdziesięciu, a może więcej...

— Panie Smith — powiedział na to Ayrton, podchodząc do inżyniera — chciałbym prosić pana o pozwolenie...

— Na co, przyjacielu?

— Na przedostanie się na statek, żeby rozpoznać, ile ma załogi.

— Ależ, Ayrtonie... — odparł, wahając się, inżynier — ryzykuje pan życie...

— Czemuż by nie, panie Smith?

— To więcej niż pański obowiązek.

— Bo też mam więcej do spełnienia niż tylko obowiązek — odparł Ayrton.

³⁶⁸kluzza — okrągły otwór w burcie statku, przez który przechodzi łańcuch kotwiczny. [przypis edytorski]

³⁶⁹fanfaronada — chępliwość, przechwalanie się odwagą. [przypis edytorski]

— Chce pan podpłynąć czółnem aż do samego statku? — zapytał Gedeon Spilett.
— Nie, proszę pana, popłynę wplaw. Czółno nie przejdzie tam, gdzie się prześlizgnie człowiek.

— Czy wie pan, że bryg jest pięć o milę i ćwierć od brzegu? — zapytał Harbert.

— Jestem dobrym pływakiem, panie Harbercie.

— Ależ powiadam panu, że ryzykuje pan życie — powiedział po raz drugi inżynier.

— Mniejsza o to — odparł Ayrton. — Panie Smith, proszę pana o to jako o łaskę. Może w ten sposób nabiorę szacunku dla samego siebie.

— Niech pan więc idzie, Ayrtonie — odparł inżynier, czując, że odmowa głęboko dotknęłaby dawnego przestępcę, który teraz został uczciwym człowiekiem.

— Pójdę z panem — powiedział Pencroff.

— Nie dowierzacie mi! — zawołał żywo Ayrton. Po czym dodał pokornie: — Niestety!

— Nie, nie! — szybko odpowiedział inżynier. — Nie, Ayrtonie! Pencroff nie wątpi w pana! Żle pan zrozumiał jego słowa.

— Tak jest — powiedział marynarz. — Proponuję Ayrtonowi, że będę mu towarzyszył do wysepki. Możliwe, choć to mało prawdopodobne, że któryś z tych łotrów już na niej wylądował, a w takim razie przyda się dwóch ludzi, aby mu przeszkodzić w podniesieniu alarmu. Będę czekał na Ayrtona na wysepce, a on sam popłynie na statek, skoro się tego podjął.

Po zapadnięciu decyzji Ayrton natychmiast zaczął się przygotowywać do wyprawy. Jego plan był zuchwały, ale w nocnych ciemnościach mógł się udać. Po dopłynięciu do statku Ayrton, uczepiwszy się want lub sztagów, mógłby zorientować się w ilości ludzi, a może nawet dowiedzieć się o zamiarach piratów.

Ayrton z Pencroffem, odprowadzeni przez resztę towarzyszy, zeszli na brzeg morza. Ayrton zrzucił z siebie ubranie i natarł ciało tłuszczem, aby mniej odczuwać temperaturę wody, która była jeszcze zimna. Należało się liczyć z tym, że będzie musiał w niej pozostać przez kilka godzin.

Pencroff i Nab udali się tymczasem po czółno przycumowane o kilkaset kroków w górze rzeki, a gdy wrócili, Ayrton był już gotowy.

Zarzucono mu koc na plecy, po czym wszyscy koloniści po kolei uścisnęli mu dłoń.

Ayrton z Pencroffem wsiedli do czółna.

Było wpół do jedenastej w nocy, gdy zniknęli w ciemnościach. Reszta towarzyszy udała się do Kominów, aby tam na nich czekać.

Ayrton i Pencroff bez trudu przebyli cieśninę i czółno przybiło do przeciwległego brzegu wysepki. Zachowywali przy tym pewną ostrożność, na wypadek gdyby piraci zaczęli się w tym miejscu. Wkrótce jednak przekonali się, że wysepka była całkiem pusta. Przeszli więc szybko na drugi koniec, płosząc po drodze ptactwo gnieźdzące się po skałach, po czym Ayrton bez wahania rzucił się w morze i cicho, bez najmniejszego plusku popłynął w stronę statku, którego położenie zdradzało kilka niedawno zapalonych świateł.

Pencroff tymczasem ukrył się na brzegu w wydrążeniu skalnym i oczekiwał powrotu towarzysza.

Ayrton silnymi ramionami parł naprzód, nie wywołując najmniejszego hałasu. Głowę ledwie wynurzał z wody, oczy utkwiał w ciemnej bryle brygu, którego światła odbijały się w morzu. Myślał tylko o obowiązku, który przyjął na siebie, i nie zważał na niebezpieczeństwo, na jakie narażał się nie tylko na pokładzie statku, ale i w wodzie, gdyż w tych stronach często pojawiały się rekiny. Unosił go prąd, więc szybko oddalał od brzegu.

Pół godziny później Ayrton, niedostrzeżony i nieusłysznany przez nikogo, podpłynął do statku i chwycił linę bukszprytu³⁷⁰. Odetchnął trochę, po czym wspinając się po łańcuchach, dostał się na górę. Tu suszyło się kilka par spodni marynarskich. Włożył jedno z nich i usadowiłszy się, zaczął nasłuchiwać.

Na pokładzie statku nikt nie spał. Przeciwnie. Rozmawiano, śpiewano, śmiano się. Kilka zdań, przeplatanych przekleństwami, zwróciło szczególną uwagę Artona:

— Dobry nabytek, ten nasz bryg!

³⁷⁰bukszpryt — rodzaj pochylego masztu wystającego przed dziób statku. [przypis edytorski]

- Szybko pływa nasz „Speedy”³⁷¹, nie ma co mówić! Zasluguje na swoją nazwę!
- Cała flota z Norfolk może za nami ruszyć w pościg i nie dopędzi!
- Hurra! Niech żyje nasz dowódca!
- Hurra! Niech żyje Bob Harvey!

Łatwo sobie wyobrazić, jakie wrażenie wywarł na Ayrtonie ten dosłyszany urywek rozmowy, gdy się dowiemy się, że Bob Harvey był jednym jego dawnych kompanów w Australii, zuchwałym marynarzem, który kontynuował zbrodniczy plan. Bob Harvey opanował w okolicy wyspy Norfolk bryg pełen broni, amunicji i rozmaitych narzędzi, które miały być przewiezione na jedną z wysp Sandwich³⁷². Cała jego banda wsiadła na statek i zamieniwszy się ze skazańców w piratów, nędznicy ci grasowali po Pacyfiku, napadając na statki, mordując załogi, dzikisi i okrutniejsi od samych Malajczyków.

Zbrodniarze rozmawiali głośno, przechwalając się swoimi wyczynami i pijąc przy tym bez umiaru. Oto co Ayrton ustalił z ich rozmowy:

Obecna załoga „Speedy’ego” składała się z samych skazańców angielskich zbiegłych z Norfolk.

Co to jest Norfolk?

Na wschód od Australii, pod 29°2’ szerokości południowej i 165°42’ długości wschodniej, leży mała wysepka, mająca sześć mil obwodu, na której wznosi się góra Pitt, o wysokości tysiąca stu stóp nad poziomem morza. To właśnie wyspa Norfolk, gdzie znajduje się zakład karny, w którym odosobniono najbardziej zatwardziały skazańców z więzień angielskich. Jest ich tam około pięciuset, poddanych żelaznej dyscyplinie, pod groźbą najsrozszych kar; strzeże ich zaś stu pięćdziesięciu żołnierzy i stu pięćdziesięciu urzędników pod rozkazami gubernatora. Trudno sobie wyobrazić zbiorowisko okropniejszych zbrodniarzy. Czasami, choć zdarza się to rzadko, pomimo najczujniejszej straży niektórym z nich udaje się uciec, a opanowawszy z zaskoczenia jakiś statek, grasują potem po archipelagach polinezyjskich.

Tak właśnie postąpił Bob Harvey i jego towarzysze. Tak niegdyś chciał zrobić Ayrton. Bob Harvey opanował bryg „Speedy”, stojący na kotwicy koło wyspy Norfolk; załogę zabito i od roku bryg jako statek piracki grasował na Pacyfiku pod dowództwem Harveya, niegdyś kapitana żeglugi dalekomorskiej, a dziś rozbójnika morskiego, dobrze znanego Ayrtonowi.

Większość opryszków zgromadziła się w kajucie oficerskiej na rufie, niektórzy jednak leżeli na pokładzie, głośno rozmawiając ze sobą.

Z rozmów tych, przerywanych głośniejszymi okrzykami i toastami, Ayrton dowiedział się, że „Speedy” znalazł się w okolicach Wyspy Lincolna tylko przypadkiem. Bob Harvey nigdy dotąd na niej nie był, lecz jak to przewidział Cyrus Smith, napotkawszy po drodze nieznaną wyspę, niezaznaczoną na żadnej mapie, postanowił ją odwiedzić i w razie gdyby się do tego nadawała, uczynić z niej bazę i port dla swojego statku.

Wciągnięcie na maszt czarnej bandery i wystrzał z armaty, jak to czynią okręty wojenne w chwili rozwinięcia flagi, były zwykłą fanfaronadą piracką. Nie był to więc żaden sygnał, gdyż dotychczas nie nawiązano żadnych stosunków pomiędzy zbiegami z Norfolk a Wyspą Lincolna.

Tak więc posiadłościom kolonistów zagrażało wielkie niebezpieczeństwo. Oczywiście wyspa ze swymi źródłami słodkiej wody, ze swą małą przystanią, ze swymi różnorodnymi zasobami, które tak umiejętnie wykorzystywali koloniści, ze swymi kryjówkami w głębi Granitowego Pałacu, na pewno odpowiadałaby zbiegom. W ich rękach stałaby się doskonałą kryjówką zbrojce, a dzięki temu, że była nieznaną, zapewniałaby im, być może na długi czas, bezpieczeństwo i bezkarność. Oczywiście było też, że nie oszczędziliby kolonistów i że pierwszym krokiem Boba Harveya i jego wspólników byłoby wymordowanie wszystkich bez litości. Cyrus Smith i jego towarzysze nie mieliby nawet możliwości ucieczki i ukrycia się w głębi wyspy, gdyż zbrojcy zamierzali osiąść na dobre. Nawet w razie gdyby „Speedy” odpłynął na wyprawę, bez wątpienia część załogi pozostałaby na lądzie.

³⁷¹speedy (ang.) — szybki. [przypis edytorski]

³⁷²wyspy Sandwich — daw. nazwa Hawajów, archipelagu w płn. części Pacyfiku, nadana w 1778 przez Jamesa Cooka na cześć ówczesnego szefa marynarki brytyjskiej, Johna Montagu, hrabiego Sandwich. Nazwę Sandwich ten sam odkrywca nadał także bezludnemu atolowi Manuae na płd. Pacyfiku, wyspie Efate na płd. Pacyfiku oraz archipelagowi bezludnych wysp na płd. Atlantyku (Sandwich Południowy). [przypis edytorski]

Trzeba więc było walczyć z nimi, trzeba było co do jednego wytepić tych nędzników, niegodnych litości, przeciwko którym każdy środek byłby dobry i dozwolony.

Tak sądził Ayrton i wiedział, że Cyrus Smith podzielałby jego zapatrywania.

Ale czy opór, a ostatecznie zwycięstwo były możliwe? Zależało to od uzbrojenia brygu i od liczebności jego załogi.

Tego właśnie Ayrton postanowił dowiedzieć się za wszelką cenę. Gdy po godzinie krzyki zaczęły cichnąć i większość zbójców pogrążona już była w pijanym śnie, Ayrton, nie wahając się ani chwili, wyszedł na pokład „Speedy’ego”, gdzie po zgaszeniu latarni panowała całkowita ciemność.

Wdrapał się na dziobnicę i po bukszprycie dotarł na przedni pokład. Przemykając pomiędzy leżącymi tu i ówdzie piratami, obszedł dookoła cały statek i przekonał się, że „Speedy” uzbrojony był w cztery działa, które mogą wyrzucać ośmio- lub dziesięciofuntowe pociski. Dotykając ich, przekonał się, że były to armaty ładowane odtylcowo, a zatem działa nowoczesne, których obsługa jest łatwa, a skutki straszliwe.

Piratów leżących na pokładzie było około dziesięciu, ale prawdopodobnie znacznie więcej musiało spać w środku. Zresztą, z tego, co słyszał, Ayrton ocenił, że na brygu było ich około pięćdziesięciu. Dużo jak na sześciu kolonistów Wyspy Lincolna! Ale przynajmniej dzięki poświęceniu Ayrtona Cyrus Smith nie będzie zaskoczony i znając dokładnie siłę przeciwnika, odpowiednio zaplanuje dalsze działania.

Ayrtonowi nie pozostawało już nic więcej, jak tylko wrócić do towarzyszy i zdać sprawę z wyników misji, której się podjął, toteż zamierzał już wrócić na dziób statku, by tam zsunąć się w morze.

Nagle temu człowiekowi, który, jak sam powiedział, chciał spełnić coś więcej niż obowiązek, przyszedł do głowy bohaterski pomysł. Postanowił poświęcić życie, by ocalić wyspę i kolonistów. Cyrus Smith nie mógł oczywiście stawić oporu pięćdziesięciu dobrze uzbrojonym bandytom, którzy albo wedrą się przemocą do Granitowego Pałacu, albo wezmą obłązonych kolonistów głodem. I wtedy wyobraził sobie swoich zbawców, tych, którzy uczynili go ponownie człowiekiem, i to człowiekiem uczciwym, wymordowanych bez litości, ich pracę zniweczoną, wyspę zamienioną w jaskinię piratów. Powiedział sobie, że koniec końców to on sam jest główną przyczyną całego tego nieszczęścia, ponieważ jego dawny kompan, Bob Harvey, realizuje tylko jego własne projekty. Na tę myśl ogarnęło go uczucie grozy. Owładnęła nim niepokonana chęć wysadzenia w powietrze brygu razem ze wszystkimi na pokładzie. Wiedział, że zginie w tym wybuchu, ale czuł, że spełni swój obowiązek.

Nie wahał się ani chwili. Nietrudno było dostać się do prochowni znajdującej się zwykle na rufie statku. Na statku trudniącym się takim procederem prochu powinno być pod dostatkiem i wystarczy mała iskierka, by w jednej chwili go zniszczyć.

Ayrton ześliznął się ostrożnie na pokład, na którym leżało wielu śpiących, zmorzonych bardziej pijaństwem niż zmęczeniem. U stóp głównego masztu paliła się latarnia, dookoła niego na stojakach wisiała wszelkiego rodzaju broń palna.

Ayrton zdjął ze stojaka rewolwer i upewnił się, że jest nabity i uzbrojony w piston. Tyle wystarczyło do dokonania dzieła zniszczenia. Przekradł się na rufę, aby dostać się pod rufówkę³⁷³, gdzie powinna znajdować się prochownia.

Trudno było przejść przez pogrążony w niemal całkowitej ciemności pokład, żeby nie potraćić któregoś z nie dość mocno śpiących złoczyńców, którzy odpowiadali przekleństwami i uderzeniami. Parę razy Ayrton musiał się zatrzymać. W końcu dotarł do przepierzenia oddzielającego pomieszczenie na rufie i znalazł drzwi prowadzące do prochowni. Ayrton musiał otworzyć je siłą. Trudno było uniknąć hałasu, gdyż trzeba było ukrećć kłódkę. Ale w potężnej dłoni Ayrtona kłódkę pękła i drzwi się otwarły...

W tej samej chwili Ayrton poczuł czyjąś rękę na ramieniu.

— Co tu robisz? — zapytał ostro jakiś wysoki mężczyzna, który wynurzył się z ciemności i oświetlił latarnią twarz Ayrtona.

Ayrton odskoczył w tył. W przelotnym blasku latarni zobaczył swojego dawnego kompana, Boba Harveya. Ale ten, sądząc, że Ayrton już od dawna nie żyje, nie poznał go.

³⁷³rufówka — nadbudowa na rufie statku, sięgająca od burty do burty. [przypis edytorski]

— Co tu robisz? — zapytał Bob Harvey, chwytając Ayrtona za pasek od spodni.

Ayrton nie odpowiedział ani słowa, silnym pchnięciem odtrącił herszta piratów i usiłował wtargnąć do prochowni. Jeden strzał z rewolweru w środek beczek z prochem i wszystko by się skończyło!...

— Do mnie, chłopcy! — huknął Bob Harvey.

Na ten okrzyk przebudziło się dwóch czy trzech piratów. Zerwali się na nogi i rzuciwszy się na Ayrtona, próbowali go powalić. Silny Ayrton wyrwał się z ich rąk. Zagrzmiąły dwa strzały z rewolweru i dwaj bandyci padli na ziemię; lecz w tej samej chwili pchnięciem noża, którego Ayrton nie mógł się odparować, rozcięło mu ramię.

Zrozumiał, że zdoła już wykonać swojego zamiaru. Bob Harvey zamknął z powrotem drzwi od prochowni, a na pokładzie wszczął się ruch, świadczący o tym, że wszyscy piraci się przebudzili. Ayrton musiał ocalić życie, by móc walczyć przy boku Cyrusa Smitha. Pozostawała mu tylko ucieczka.

Ale ucieczka była jeszcze możliwa? Wątpliwe, lecz Ayrton postanowił próbować wszystkiego, aby tylko powrócić do swych towarzyszy.

Pozostały mu jeszcze cztery kule. Dwie już wystrzelił, w tym jedną w kierunku Boba Harveya, ale albo go wcale nie trafił, albo tylko niegroźnie. Korzystając z chwilowego cofnięcia się nieprzyjaciół, rzucił się do schodów zejściowych, chcąc dostać się na pokład. Przebiegając obok latarni, stukł ją uderzeniem kolby, wskutek czego zapanowała zupełna ciemność, sprzyjająca ucieczce.

W tej chwili dwaj czy trzej obudzeni hałasem piraci schodzili po schodach. Piąty strzał oddany z rewolweru przez Ayrtona zrzucił jednego z nich ze stopni, a reszta rozpierzchła się, nie rozumiejąc, co się dzieje. Ayrton w dwóch susach znalazł się na pokładzie statku, a w trzy sekundy później, wypaliwszy ostatni strzał prosto w twarz pirata, który go chwycił za kark, przeskoczył reling³⁷⁴ i rzucił się w morze.

Odplynał zaledwie sześć sążni od statku, gdy posypał się wokół niego grad kul.

Co przeżywał Pencroff, ukryty między skałami na wysepce! Co przeżywali Cyrus Smith, reporter, Harbert i Nab schowani w Kominach, gdy usłyszeli huk strzałów na pokładzie statku! Wybiegli wszyscy na brzeg morza ze strzelbami na ramieniu, gotowi odeprzeć każdy atak.

Nie mieli żadnych wątpliwości. Byli pewni, że Ayrton został schwytyany i zamordowany przez piratów i że nędznicy, korzystając z ciemności, spróbują wylądować na wyspie.

Pół godziny upłynęło w śmiertelnej trwodze. Strzały ucichły, lecz ani Ayrton, ani Pencroff nie powracali. Może piraci zaatakowali wysepkę? Może należało biec na pomoc Ayrtonowi i Pencroffowi? Ale jak? Trwał przypływ i cieśnina była nie do przebycia. Drugiego czołna nie mieli. Można sobie wyobrazić, jak straszliwy niepokój ogarnął Cyrusa Smitha i jego towarzyszy.

Wreszcie w pół do pierwszej po północy do brzegu przybiło czołno z dwoma ludźmi. Byli to Ayrton, lekko ranny w ramię, i Pencroff, zdrow i cały. Przyjaciele przyjęli ich z otwartymi ramionami.

Natychmiast wszyscy schronili się w Kominach. Tu Ayrton opowiedział o wszystkim, co się stało, nie przemilczając także swego zamiaru wysadzenia brygu w powietrze.

Wszyscy wyciągnęli do niego ręce, on zaś nie ukrywał, że ich położenie jest bardzo groźne. Piraci zostali zaalarmowani, wiedzieli już teraz, że Wyspa Lincolnna jest zamieszkała. Wylądują w znacznej liczbie i dobrze uzbrojeni. Nie będą oszczędzać nikogo i niczego. Jeśli koloniści wpadną w ich ręce, niech nie spodziewają się żadnej litości.

— No cóż! Będziemy umieli umrzeć! — powiedział reporter.

— Wróćmy zatem i czuwajmy — odparł inżynier.

— Czy mamy jakąś szansę wyjść z tego cało, panie Cyrusie? — zapytał marynarz.

— Tak, Pencroffie.

— Hm! Sześciu przeciwko pięćdziesięciu!

— Tak! Sześciu!... Nie licząc...

— Kogo? — zapytał Pencroff.

Cyrus zamiast odpowiedzi wskazał tylko ręką na niebo.

³⁷⁴reling — barierka ochronna biegnąca wokół pokładu statku, zabezpieczająca przed wypadnięciem za burtę ludzi i przedmiotów, zbudowana ze słupków połączonych prętami, rurkami lub linami. [przypis edytorski]

ROZDZIAŁ III

Mgła się podnosi. — Zarządzenia inżyniera. — Trzy posterunki. — Ayrton i Pencroff. — Pierwsza łódź. — Dwie następne. — Na wysepce. — Sześciu łotrów ląduje. — Statek podnosi kotwicę. — Pociski ze „Speedy’ego”. — Rozpaczliwa sytuacja. — Niespodziewane rozwiązanie.

Noc upłynęła bez żadnego zdarzenia. Koloniści byli ciągle w pogotowiu, nie opuszczając Kominów. Piraci ze swej strony nie próbowali lądować. Od chwili, gdy przebrzmiały ostatnie strzały za Ayrtonem, żaden huk, żaden hałas nie zdradzał obecności brygu w pobliżu wyspy. Można by pomyśleć, że piraci w przekonaniu, że mają do czynienia ze zbyt silnym nieprzyjacielem, podnieśli kotwicę i opuścili te strony.

Sprawy miały się jednak inaczej i gdy zaczęło świtać, koloniści ujrzeli w porannej mgłę jakiś niewyraźny kształt. Był to „Speedy”.

— Przyjaciele — powiedział wtedy inżynier — sądzę, że powinniśmy podjąć odpowiednie przygotowania, zanim mgła całkiem się podniesie. Na razie ukrywa nas przed oczyma piratów, możemy więc działać, nie zwracając na siebie ich uwagi. Przede wszystkim trzeba w tych opryszkach wzbudzić przekonanie, że mieszkańcy wyspy są liczni, a tym samym zdolni stawić im opór. Proponuję zatem, abyśmy się podzielili na trzy grupy, z których jedna zajmie stanowisko w samych Kominach, a druga przy ujściu Rzeki Dziękczynienia. Co do trzeciej grupy, najlepiej będzie umieścić ją na wysepce, żeby jeśli nie wstrzymała, to przynajmniej opóźniła wylądowanie tam piratów. Mamy do dyspozycji dwa karabiny i cztery strzelby. Każdy z nas będzie zatem uzbrojony, a ponieważ mamy pod dostatkiem prochu i kul, nie będziemy oszczędzali strzałów. Nie musimy się obawiać ani ich ręcznej broni, ani nawet armat. Cóż one zrobią tym skałom? Ponieważ nie będziemy strzelali z okien Granitowego Pałacu, więc piratom nie przyjdzie na myśl, żeby posyłać tam pociski, które mogłyby wyrządzić niepowetowane straty. Najbardziej należy się obawiać walki wręcz, ponieważ mają znaczną przewagę liczebną. Trzeba więc przede wszystkim przeciwdziałać każdej próbie wylądowania, nie odsłaniając się jednak. A zatem nie oszczędzajmy amunicji. Strzelajmy często, ale strzelajmy celnie. Na każdego z nas przypada ośmiu do dziesięciu wrogów do zabicia, więc niech stara się ich zabić!

Cyrus Smith dokładnie określił sytuację, a mówił to wszystko głosem tak spokojnym, jak gdyby chodziło o pokierowanie jakąś pracą, a nie o planowanie bitwy. Towarzysze w milczeniu przyjęli jego dyspozycje. Pozostało tylko zająć natychmiast wskazane stanowiska, zanim mgła zupełnie się rozproszy.

Nab i Pencroff udali się natychmiast do Granitowego Pałacu i przynieśli odpowiednią ilość amunicji. Gedeon Spilett i Ayrton, obaj wyborni strzelcy, dostali dwa precyzyjne karabiny, które niosły na miłę. Pozostałe cztery strzelby rozdzielono między Cyrusa Smitha, Naba, Pencroffa i Harberta.

Posterunki obsadzono w następujący sposób:

Cyrus Smith z Harbertem ukryli się w Kominach, skąd mogli ostrzeliwać całe wybrzeże w dość szerokim promieniu.

Gedeon Spilett z Nabem ukryli się pomiędzy skałami u ujścia Rzeki Dziękczynienia, na której podniesiono wszystkie mosty i mostki. Mieli za zadanie udaremnić przeprawienie się łodzią i wylądowanie na przeciwległym brzegu.

Ayrton z Pencroffem zepchnęli czółno na wodę, aby przepłynąć cieśninę i zająć dwa oddzielne posterunki na wysepce. W ten sposób odzywające się z czterech różnych punktów strzały podsuwałyby piratom przekonanie, że wyspa jest gęsto zaludniona i dobrze broniona. Na wypadek gdyby Ayrtonowi i Pencroffowi nie udało się przeszkodzić wylądowaniu piratów lub gdyby groziło im odcięcie przez jakąś łódź wysłaną z brygu, mieli powrócić czółnem na wyspę i pospieszyć w najbardziej zagrożone miejsce.

Przed udaniem się na posterunki koloniści po raz ostatni uścisnęli sobie dłonie. Pencroff ledwie zapanował nad wzruszeniem, gdy ścisnął Harberta, swoje dziecko... i tak się rozstali.

W chwilę później Cyrus Smith z Harbertem z jednej strony, a reporter z Nabem z drugiej zniknęli między skałami, a w pięć minut potem Ayrton z Pencroffem, przepły-

nąwszy szczęśliwie cieśninę, wylądowali na wysepce i ukryli się w rozpadlinach skalnych na wschodnim brzegu.

Żadnego z nich nie można było zobaczyć, gdyż oni sami ledwo rozróżniali bryg majaczący we mgle.

Było w pół do siódmej rano.

Wkrótce mgła w górze stopniowo się rozrzedziła i z oparów wynurzyły się szczyty masztów brygu. Jeszcze przez kilka chwil wielkie kłęby mgły przetaczały się po powierzchni morza, po czym zerwał się wiatr i szybko je rozproszył.

„Speedy” ukazał się w całej okazałości, stojący na dwóch kotwicach, dziobem zwrócony na północ, a lewą burtą do wyspy. Tak jak oszacował Cyrus Smith, znajdował się nie dalej niż o milę i ćwierć od brzegu. Powiewała na nim złowieszcza, czarna bandera.

Inżynier dostrzegł przez lunetę, że cztery działa stanowiące uzbrojenie statku wymierzone były prosto w wyspę. Były gotowe na pierwszy znak dać ognia.

Na razie jednak „Speedy” milczał. Na pokładzie krążyło ze trzydziestu piratów. Kilku z nich poszło na rufę, dwaj inni, siedząc na rei bramsła, uważnie śledzili wyspę przez lunety.

Z pewnością Bob Harvey i jego kamraci nie bardzo potrafili zdać sobie sprawę z tego, co wydarzyło się w nocy na pokładzie brygu. Czy ten na pół nagi człowiek, który chciał wyłamać drzwi do prochowni, z którym walczyli, który sześć razy wypalił do nich z rewolweru, który jednego z nich zabił, a dwóch innych ranił, czy ten człowiek zdołał uciec przed ich kulami? Czy udało mu się wrócić wpław na brzeg? Skąd się wziął? Po co przyszedł na statek? Czy rzeczywiście miał zamiar wysadzić statek w powietrze, jak to przypuszczał Bob Harvey? Wszystko to było dla zbójców niezrozumiałe. Nie mogli tylko wątpić, że ta nieznaną wyspą, u brzegów której zakotwiczył „Speedy”, była zamieszka-
na, może nawet przez liczną kolonię gotową do jej obrony. Jednak ani na wybrzeżu, ani na nadbrzeżnych wzgórzach nie było widać żywej duszy. Wybrzeże wydawało się całkiem bezludne. W każdym razie nie było widać ani śladu domostwa. Czyżby mieszkańcy schronili się w głębi wyspy?

Takie pytania musiał sobie zadawać herszt piratów i bez wątpienia jako człowiek przeczorny chciał wprerw rozpoznać sytuację, zanim wysadzi na ląd swoją bandę.

Upłynęło półtorej godziny, a na pokładzie brygu nie widać było żadnych przygotowań do ataku ani do wylądowania. Widocznie Bob Harvey się wahał. Przez najlepsze lunety nie mógł dostrzec żadnego z kolonistów ukrytych między skałami. Jego uwagi nie zwróciła też kotara z zielonych gałęzi i lian zasłaniająca okna Granitowego Pałacu i dziwnie odcinająca się od nagiej skały. Jak mógłby sobie wyobrazić, że na takiej wysokości we wnętrzu litego granitowego masywu wykuto mieszkanie? Począwszy od Przylądka Szponu aż po Przylądek Szczęki, wzdłuż całej Zatoki Stanów Zjednoczonych, nie mógł dostrzec żadnych śladów, że wyspa była lub jest zamieszkała przez ludzi.

Wreszcie około ósmej koloniści zauważyli pewien ruch na pokładzie „Speedy’go”. Zaczęto ciągnąć na blokach łodzie i jedną z nich spuszczone na wodę. Wsiadło do niej siedmiu ludzi uzbrojonych w strzelby. Jeden z nich zasiadł przy sterze, czterech przy wiosłach, a dwaj pozostali, przykucnąwszy na dziobie, gotowi do strzału obserwowali wyspę. Niewątpliwie ich celem było dokonanie wstępnego rozpoznania, gdyż w przypadku lądowania zapewne byłoby ich więcej.

Piraci siedzący na masztach aż po reje bramsła mogli łatwo dostrzec, że wybrzeże osłania wysepka, oddzielona od niego cieśniną szerokości mniej więcej pół mili. Wkrótce Cyrus Smith, śledząc bieg łodzi, zauważył, że piraci przed wpłynięciem do cieśniny chcieli najprerw wylądować na wysepce, co było zresztą z ich strony zrozumiałą ostrożnością.

Pencroff i Ayrton, ukryci każdy z osobna w ciasnych rozpadlinach skalnych, zobaczyli łódź z piratami płynącą wprost do nich i czekali, aż się zbliży na odległość strzału.

Łódź zbliżała się bardzo ostrożnie. Wiosła zanurzały się w wodzie w długich odstępach czasu. Można było zauważyć, że jeden z siedzących na dziobie łotrów trzymał w ręku sondę i starał się zmierzyć głębokość łożyska wyzłobionego przez prąd Rzeki Dziękczynienia. Znaczyło to, że Boba Harvey miał zamiar podpłynąć brygiem jak najbliżej brzegu. Około trzydziestu piratów, uczeptwszy się want, śledziło każdy ruch łodzi i wyszukiwało szczegóły wybrzeża, które pozwoliłyby na bezpieczne lądowanie.

Łódź zbliżyła się na dwa kable do wysepki i zatrzymała się. Człowiek siedzący u steru szukał najdogodniejszego miejsca do wylądowania.

Nagle zagrzmiały jednocześnie dwa strzały. Ponad skałami wysepki uniósł się lekki dymek. Sternik i człowiek z sondą upadli na wznak do łodzi. Kule Ayrtona i Pencroffa dosięgły ich obu w tym samym momencie.

Prawie równocześnie rozległ się silniejszy huk. Z boku brygu buchnął kłęb dymu i pocisk uderzył w szczyty skał osłaniających Ayrtona i Pencroffa, roztrzaskując je na kawałki, jednak strzelcy nie odnieśli szwanku.

Łódź, z której rozlegały się straszliwe przekleństwa, natychmiast ruszyła dalej. Sternika zastąpił jeden z kamratów i wiosła żwawo zapluskwały w wodzie. Zamiast jednak zawrócić do statku, jakby się można było spodziewać, łódź popłynęła wzdłuż wysepki, tak aby okrążyć ją od południowego cypla. Piraci wiosłowali z całych sił, żeby jak najprędzej znaleźć się poza zasięgiem strzałów. W ten sposób zbliżyli się na odległość pięciu kabli od wklęsłej części wybrzeża zakończonej Cyplem Znaleziska, a opłynąwszy go półkolem, pod ciągłą osłoną dział brygu, skierowali się do ujścia Rzeki Dziękczynienia.

Było jasne, że mają zamiar wpłynąć od tej strony do cieśniny i odciąć drogę kolonistom znajdującym się na wysepce, którzy w ten sposób, niezależnie od tego, ilu ich było, zostaliby wzięci w dwa ognie — z łodzi i z brygu — co postawiłoby ich w bardzo niekorzystnym położeniu.

Upłynął kwadrans, a łódź cały czas posuwała się w tym samym kierunku. W powietrzu i na morzu panowała zupełna cisza i spokój.

Pencroff i Ayrton, chociaż wiedzieli, że narażają się na odcięcie, nie opuścili swoich posterunków, częściowo dlatego, że nie chcieli się jeszcze pokazywać napastnikom i wystawiać się na strzały armatnie „Speedy’ego”, częściowo zaś, ponieważ liczyli na Naba i Gedeona Spiletta, zaczajonych przy ujściu rzeki, i na Cyrusa Smitha i Harberta, ukrytych wśród skał Kominów.

W dwadzieścia minut od chwili, gdy padły pierwsze strzały, łódź z piratami była już tylko niespełna o dwa kable od Rzeki Dziękczynienia. Ponieważ zaczął się właśnie przypływ, jak zwykle gwałtowny w tym wąskim miejscu między brzegami, piraci poczuli, że prąd wody wciąga ich do rzeki, i tylko wiosłując z całych sił zdołali utrzymać się pośrodku cieśniny. Lecz gdy zbliżyli się na odległość strzału do ujścia Rzeki Dziękczynienia, powitały ich dwie kule i dwóch z nich padło na dno łodzi. Nab i Spilett nie chybili.

Z brygu natychmiast wysłano drugi pocisk w miejsce, które zdradzał dym wystrzałów, ale wyszczerbił tylko skały.

W tej chwili w łodzi zostało tylko trzech mężczyzn zdolnych do walki. Porwana prądem, pomknęła cieśniną jak strzała, minęła Cyrusa Smitha i Harberta, którzy widząc, że strzał byłby niepewny, powstrzymali się i przepuścili ją. Łódź, opłynąwszy północny cypel wysepki siłą pozostałych jeszcze dwóch wiosł, skierowała się do brygu.

Jak dotąd koloniści nie mieli powodu do narzekań. Pierwsze starcie wypadło niekorzystnie dla wrogów, którzy mieli już czterech ciężko rannych, a może nawet zabitych, podczas gdy koloniści wyszli bez szwanku i nie zmarnowali ani jednego strzału. Gdyby piraci w dalszym ciągu atakowali ich w ten sposób, gdyby ponawiali próby wylądowania łodzią, można by ich wystrzelać jednego po drugim.

Okazało się teraz, jak słuszne były zarządzenia inżyniera. Piraci mogli uwierzyć, że mają do czynienia z liczny i dobrze uzbrojonym przeciwnikiem i że nie łatwo dadzą sobie z nim radę.

Upłynęło pół godziny, zanim łódź, walcząca z silnym prądem morza, dobiła do brygu. Rozległy się straszliwe krzyki, gdy wynoszono rannych na pokład, oddano jeszcze trzy czy cztery strzały armatnie, oczywiście bez żadnego skutku.

Wówczas jednak dwunastu innych zbójców, oszołomionych wściekłością, a może i wczorajszą pijatyką, rzuciło się do łodzi. Zaraz potem spuszczone na wodę także drugą łódź, do której wsiadło ośmiu ludzi. Podczas gdy pierwsza skierowała się prosto na wysepkę, aby wyprzeć z niej kolonistów, druga manewrowała tak, żeby opanować ujście Rzeki Dziękczynienia.

Sytuacja stawała się bardzo groźna dla Pencroffa i Ayrtona. Zrozumieli, że muszą powrócić na wyspę.

Zaczekali jednak, aż pierwsza łódź zbliży się na odległość strzału, a wtedy dwie celnie wymierzone kule sprawiły popłoch wśród jej załogi. Następnie Pencroff i Ayrton porzucili posterunki, wśród gradu kul pobiegli co tchu przez wysepkę, wskoczyli do czółna, przepłynęli cieśninę w chwili, gdy druga łódź piracka dotarła do południowego cypla, po czym schronili się w Kominach.

Ledwie dołączyli do Cyrusa Smitha i Harberta, piraci z pierwszej łodzi wylądowali na wysepce i rozbiegli się we wszystkich kierunkach.

Niemal w tym samym momencie przy ujściu Rzeki Dziękczynienia, do którego szybko zbliżała się druga łódź z piratami, zagrzmiały nowe strzały. Na ośmiu ludzi, którzy stanowili jej załogę, dwóch zostało śmiertelnie ranionych przez Gedeona Spiletta i Naba, a sama łódź, pędzona niepowstrzymaną siłą na skały, rozbiła się przy ujściu Rzeki Dziękczynienia. Sześciu pozostałych przy życiu zbrodniarzy, unosząc broń nad wodę, by ją uchronić od zamoczenia, zdołało wdrapać się na prawy brzeg rzeki. Potem, widząc, że są zbyt narażeni na kule, puścili się pędem w kierunku Cypla Znaleziska, poza zasięg strzałów.

Sytuacja wyglądała więc następująco: na wysepce znajdowało się dwunastu opryszków, w tym z pewnością kilku rannych, ale nadal mieli do dyspozycji łódź; na wyspie wylądowało wprawdzie sześciu, ale ci nie byli w stanie dotrzeć do Granitowego Pałacu, gdyż nie mogli się przedostać na drugi brzeg rzeki, na której podniesiono wszystkie mosty.

— Doskonale idzie! — powiedział Pencroff, wbiegając do Kominów. — Doskonale idzie, panie Cyrusie! A pan jak myśli?

— Myślę — odparł inżynier — że walka przybierze teraz inny obrót, bo nie można posądzać piratów o tak wielki nierozsądek, żeby chcieli ją dalej prowadzić w tak niekorzystnych dla siebie warunkach.

— W każdym razie nie przedostaną się przez cieśninę — powiedział marynarz. — Karabiny Ayrtona i Spiletta ich powstrzymają. Wie pan, że niosą na miłę!

— Niewątpliwie — odparł Harbert — ale co znaczą dwa karabiny przeciwko armatom brygu?

— Cóż, wydaje mi się, że bryg jeszcze nie jest w cieśninie — odparł Pencroff.

— A jeśli wejdzie do cieśniny? — zapytał Cyrus Smith.

— Niemożliwe, gdyż ryzykowałby, że osiadzie na mieliźnie, a to byłoby dla niego zgubą.

— Jednak to możliwe — odparł Ayrton. — Piraci mogą skorzystać z przypływu, żeby wejść do cieśniny, choćby nawet podczas odpływu osiedli na mieliźnie. Wtedy pod ostrzałem z armat nie damy rady utrzymać się na posterunkach.

— Do kroćset diabłów! — zawołał Pencroff — Wygląda na to, że te lotry przygotowują się do podniesienia kotwicy!

— Może będziemy zmuszeni schronić się do Granitowego Pałacu? — zauważył Harbert.

— Zaczekajmy jeszcze — odparł Cyrus Smith.

— Ale Nab i Spilett?... — zapytał Pencroff.

— Zdołają do nas dołączyć w odpowiednim czasie. Niech pan będzie w pogotowiu, Ayrtonie. Teraz kolej na wasze karabiny, pana i Spiletta.

Przypuszczenie Cyrusa wydawało się sprawdzać. „Speedy” obrócił się na kotwicy i wyglądało na to, że zamierza zbliżyć się do wysepki. Przypływ miał trwać jeszcze półtorej godziny, a ponieważ prąd rzeki już był przelamany, więc brygiem łatwo było manewrować. Mimo to Pencroff, wbrew opinii Ayrtona, nie przypuszczał, aby bandyci ośmielili się wprowadzić statek do cieśniny.

Tymczasem piraci, którzy opanowali wysepkę, stopniowo zbliżali się do przeciwnego brzegu, tak że od wyspy oddzielała ich tylko cieśnina. Uzbrojeni tylko w strzelby, nie mogli nic złego zrobić kolonistom ukrytym bądź w Kominach, bądź przy ujściu Rzeki Dziękczynienia. Nie wiedząc jednak, że przeciwnicy posiadają dalekonośne karabiny, sądzili, że nic im nie grozi. Nie kryjąc się wcale, kręcili się po wysepce i podchodzili do samego brzegu.

Ich złudzenia nie trwały długo. Karabiny Ayrtona i Gedeona Spiletta przemówiły nagle i musiały zapewne coś nieprzyjemnego powiedzieć dwóm zbrodniarzom, bo od razu padli na ziemię.

Wtedy wybuchł ogólny popłoch. Pozostali bandyci, nie zabrawszy nawet ze sobą swoich rannych i zabitych kamratów, uciekli co tchu na drugi brzeg wysepki, powskakiwali do łodzi, którą przy płynęli, i wiosłując co sił popłynęli w stronę statku.

— Ośmiu mniej! — zawołał Pencroff. — Doprawdy jakby pan Spilett i Ayrton umawiali się, żeby strzelać jednocześnie!

— Panowie — odparł Ayrton, ładując ponownie karabin — rzecz sytuacja staje się groźniejsza. Bryg szykuje się, żeby ruszyć!

— Podnoszą kotwicę!... — zawołał Pencroff.

— Tak, już ją wciągają.

Słychać było wyraźnie szczęk łańcucha i zgrzyt windy. „Speedy” najpierw szarpnął się na kotwicy, a gdy ją wyciągnięto z dna, zaczęło go znosić w stronę brzegu. Wiał wiatr od morza. Rozwinięto fok oraz mały marsel i statek powoli zbliżał się do lądu.

Z posterunków przy ujściu Rzeki Dziękczynienia i w Kominach śledzono manewry statku, nie dając znaku życia, ale z pewnym niepokojem. Sytuacja kolonistów stawała się straszna: byłiby wystawieni na bliski ogień armat brygu, nie mogąc skutecznie odpowiedzieć. Jak mogliby wtedy powstrzymać piratów przed wylądowaniem?

Cyrus Smith dobrze to rozumiał i zastanawiał się, co można zrobić. Wkrótce trzeba będzie podjąć jakąś decyzję. Ale jaką? Zamknąć się w Granitowym Pałacu, dać się oblegać tygodniami, nawet całymi miesiącami, gdyż żywności mieli pod dostatkiem? Dobrze, ale co potem? Piraci i tak opanowaliby całą wyspę, spustoszyliby ją do woli, a wreszcie z czasem zmusiliby oblężonych do poddania się.

Była jeszcze jedna szansa: gdyby Bob Harvey nie odważył się wprowadzić statku do cieśniny i zakotwiczył poza wysepką. Wówczas będzie oddalony pół mili od wybrzeża, a z tej odległości strzały armatnie być może nie wyrządzą zbyt wielkich szkód.

— Nie, nigdy, przenigdy! — powtarzał Pencroff. — Bob Harvey, jeśli jest dobrym marynarzem, nigdy nie wejdzie do cieśniny! Przecież wie, że w przypadku niepogody naraziłby statek na zgubę! A co by zrobił bez statku?

Tymczasem jednak statek zbliżył się do wysepki i widać było, że sterował w stronę niższego krańca. Wiatr wiał łagodny, a ponieważ prąd znacznie osłabł, więc Bob Harvey mógł kierować statkiem, jak chciał.

Trasa, którą płynęły wysłane wcześniej łodzie, pozwoliła mu zorientować się w wodach cieśniny, toteż śmiało wprowadzał do niej bryg. Jego plan był aż nadto widoczny: chciał zakotwiczyć statek przed Kominami i stamtąd odpowiadać pociskami na kule, które do tej pory zdziesiątkowały mu załogę.

„Speedy” niebawem dotarł do cypla wysepki i okrążył go bez trudu. Wówczas rozpięto grot i bryg, płynąc z wiatrem, znalazł się wkrótce naprzeciw ujścia Rzeki Dziękczynienia.

— Bandyci! Płyną tu! — zawołał Pencroff.

W tej chwili do Cyrusa Smitha, Ayrtona, marynarza i Harberta dołączyli Nab i Gedeon Spilett.

Reporter i jego towarzysz uznali za stosowne porzucić swój posterunek przy ujściu Rzeki Dziękczynienia, skąd nie mogli nie więcej działać przeciw statkowi. Postąpili mądrze, gdyż lepiej było, aby koloniści trzymali się razem w chwili, gdy bez wątpienia dojdzie do rozstrzygającej walki. Gedeon Spilett i Nab przybiegli chyłkiem, kryjąc się za skałami, wśród gradu kul, z których jednak żadna ich nie tknęła.

— Spilecie! Nabie! — zawołał inżynier. — Nie jesteście ranni?

— Nie — odparł reporter — tylko kilka siniaków od rykoszetów! Ale ten przeklęty bryg płynie prosto do cieśniny!

— Tak — odparł Pencroff — za dziesięć minut rzuci kotwicę na wprost Granitowego Pałacu!

— Czy ma pan jakiś plan, Cyrusie? — zapytał reporter.

— Musimy się schronić w Granitowym Pałacu, dopóki jeszcze czas i bandyci nas nie dostrzegli.

— Też tak sędzę — odparł Gedeon Spilett — ale gdy się tam zamkniemy...

— Wówczas będziemy działać stosownie do okoliczności — odparł inżynier.

— A zatem w drogę, spieszmy się! — powiedział reporter.

— Nie chciałby pan, panie Cyrusie, żebym tutaj został z Ayrtonem? — zapytał marynarz.

— Po co? — odparł Cyrus Smith. — Nie, Pencroffie. Nie rozłączajmy się!

Nie było chwili do stracenia. Koloniści opuścili Kominy. Niewielki załom granitowej ściany zasłaniał ich przed wzrokiem załogi brygu, ale dwa czy trzy wystrzały i łoskot kul roztrzaskujących skały dały im znać, że „Speedy” jest już niedaleko.

W jednej chwili wskoczyli do windy, podciągnęli się do drzwi Granitowego Pałacu, gdzie Top z Jupem siedzieli zamknięci od wczoraj, i wpadli do głównej sali.

Schronili się w samą porę: przez gałęzie zasłaniające okna Granitowego Pałacu ujrzeli, jak otoczony kłębam dymu „Speedy” wpływa do cieśniny. Musieli nawet usunąć się na bok, ponieważ strzelano bez przerwy, a pociski armatnie waliły na ślepo to w opuszczony posterunek przy ujściu Rzeki Dziękczynienia, to w Kominy. Od pocisków pękały skały, a każdemu wystrzałowi towarzyszyły dzikie okrzyki radości.

Można jednak było mieć nadzieję, że Granitowy Pałac uniknie zniszczeń dzięki zapobiegliwości Cyrusa Smitha, który nakazał zamaskowanie okien, gdy nagle pocisk przeleciał przez otwór wejściowy i wpadł na korytarz.

— Przekleństwo! Odkryli nas! — zawołał Pencroff.

Możliwe, że bandyci nie zauważyli kolonistów, ale z pewnością Bob Harvey uznał, że należy wysłać pocisk między podejrzaną gałęzie, zasłaniającą część wysokiej granitowej ściany. Wkrótce zdwoił ostrzał, gdy następny pocisk przedarł kotarę z zieleni i odsłonił obszerny otwór ziejący w skale.

Sytuacja kolonistów była rozpaczliwa. Odkryto ich schronienie. Nie byli w stanie przeciwstawić się pociskom ani zabezpieczyć granitowego muru, którego odłamki latały dookoła. Nie zostawało im nic innego, jak tylko schronić się do górnego korytarza i zostawić mieszkanie na spustoszenie. Wtem usłyszeli głuchy huk, a po nim straszliwe krzyki!

Cyrus Smith i jego towarzysze rzucili się do okien.

Bryg, uniesiony w górę, jak gdyby przez trąbę wodną, właśnie przełamał się na pół i w niespełna dziesięć sekund fale morskie pochłonęły go wraz z całą jego zbrodniczą załogą.

ROZDZIAŁ IV

Na wybrzeżu. — Ayrton i Pencroff ratują szczątki. — Rozmowa przy śniadaniu. — Rozmowa Pencroffa. — Dokładne oględziny kadłuba brygu. — Prochownia nienaruszona! — Nowe skarby. — Ostatnie szczątki. — Kawatek rozerwanego cylindra.

— Wylecieli w powietrze! — zawołał Harbert.

— Rzeczywiście, zupełnie jakby Ayrton podpalił prochownię! — odparł Pencroff, wskakując do windy równocześnie z Nabem i Harbertem.

— Ale co się stało? — zapytał Gedeon Spilett, nie mogąc jeszcze ochłonąć ze zdumienia, w jakie wprawilo go niespodziewane zakończenie walki.

— Ach, tym razem się dowiemy! — odparł żywo inżynier.

— Czego się dowiemy?

— Później, później! Teraz chodźmy, Spilecie. Najważniejsze, że piraci zostali wytopieni do nogi!

Po tych słowach Cyrus Smith pociągnął za sobą reportera i Ayrtona i pospieszył w ślad za Pencroffem, Nabem i Harbertem na wybrzeże.

Bryg zniknął pod wodą, nie było widać nawet masztów. Gdy został uniesiony przez trąbę morską, położył się na boku i w tej pozycji zatonął, zapewne wskutek jakiejś ogromnej wyrwy. Ponieważ jednak w tym miejscu cieśnina miała nie więcej niż dwadzieścia stóp głębokości, nie ulegało zatem wątpliwości, że burty zatopionego statku wynurzą się w czasie odpływu.

Na powierzchni morza pływały rozmaite szczątki: zapasowe maszty i reje, klatki z żywym jeszcze drobiem, skrzynie i beczułki, które stopniowo wypływały na powierzchnię

przez luki. Nie widać było jednak żadnych szczątków samego statku, ani desek z pokładu, ani poszycia kadłuba, tak że nagle zatonięcie „Speedy’ego” stawało się jeszcze bardziej zagadkowe.

Wkrótce jednak oba maszty, które złamały się o kilka stóp ponad pokładem, zrywając wanty i sztagi, wypłynęły na powierzchnię razem z żaglami, z których jedno było rozwinięte, a inne ściągnięte. Nie można było pozwolić, żeby odpływ porwał te wszystkie skarby, toteż Ayrton i Pencroff wskoczyli natychmiast do czółna, by przyholować pływające przedmioty bądź do brzegu wyspy, bądź do wysepki.

Gdy już mieli odbijać, powstrzymała ich uwaga Gedeona Spiletta:

— A tych sześciu złoczyńców, którzy wylądowali na prawym brzegu Rzeki Dziękczynienia?

Istotnie, nie wolno było zapominać, że sześciu ludzi, których łódź roztrzaskała się o skały, wyszło na ląd w pobliżu Cypla Znaleziska.

Koloniści spojrzeli w tę stronę, ale nigdzie nie dostrzegli żadnego ze zbiegów. Prawdopodobnie na widok tonącego brygu wszyscy uciekli w głąb wyspy.

— Zajmiemy się nimi później — powiedział Cyrus Smith. — Mogą być jeszcze niebezpieczni, bo są dobrze uzbrojeni, ale w końcu sześciu przeciwko sześciu, szanse są równe. Zabierzmy się teraz za to, co pilniejsze.

Ayrton z Pencroffem popłynęli szybko w stronę pływających po morzu szczątków.

Morze było spokojne, a stan wody bardzo wysoki, gdyż od dwóch dni trwał nów. Wrak brygu mógł wynurzyć się spod wody nie wcześniej niż za godzinę.

Ayrton i Pencroff mieli dość czasu, by przymocować maszty i belki za pomocą lin, których końce wyrzucono na wybrzeże pod Granitowym Pałacem. Tam koloniści wspólnymi siłami przyciągnęli je do brzegu. Po czym pozbierano do czółna wszystkie inne przedmioty pływające po wodzie, jak klatki z drobiem, beczułki i skrzynie. Wszystko to od razu przeniesiono do Kominów.

Na wodzie pływało też kilka ciał piratów. Ayrton rozpoznał wśród nich zwłoki Boba Harveya i wskazując je swemu towarzyszowi, powiedział wzruszonym głosem:

— Oto kim byłem, Pencroffie!

— Ale kim dziś już pan nie jest, Ayrtonie! — odparł marynarz.

Wydawało się bardzo dziwne, że na powierzchnię wypłynęło tak mało ciał. Było ich tylko pięć czy sześć, a odpływ już unosił je na otwarte morze. Prawdopodobnie zaskoczeni nagłą katastrofą piraci nie mieli czasu na ucieczkę, a gdy statek przewalił się na bok, większość pozostała pod nadburciem. Morze, unosząc zwłoki tych nędzników, zaoszczędziło kolonistom smutnego obowiązku pogrzebania ich w jakimś zakątku wyspy.

Przez dwie godziny Cyrus Smith i jego towarzysze zajęci byli wyłącznie wyciąganiem masztów na nadbrzeżny piasek, odczepianiem rei i wyciąganiem na ląd żagli, zresztą nie-naruszonych. Rozmawiali niewiele, bo praca całkowicie ich zaprzętała, ale ile myśli krążyło im po głowach! Bryg, albo raczej to, co się na nim znajdowało, stanowiło dla nich prawdziwy skarb. Każdy statek jest jakby małym światem, toteż dobytek kolonii powiększył się o wiele pożytecznych rzeczy. Było to jakby wielkim odpowiednikiem skrzyni znalezionej na Cyplu Znaleziska.

„A właściwie — myślał Pencroff — dlaczego by nie wydobyć brygu z wody i go naprawić? Jeśli ma tylko jedną dziurę, to przecież można ją zatkać, a bryg o wyporności trzystu do czterystu ton to prawdziwy statek w porównaniu z „Bonawenturą”! Takim statkiem można daleko popłynąć. Można nim dopłynąć, dokąd się chce! Musimy razem z panem Cyrusem i Ayrtonem dokładnie zbadać tę sprawę! Dalibóg, warto!”

Rzeczywiście, gdyby bryg nadawał się jeszcze do żeglugi, to szanse kolonistów Wyspy Lincolna na powrót do ojczyzny znacznie by wzrosły. Jednak aby móc rozstrzygnąć tę ważną kwestię, trzeba było poczekać na odpływ, gdyż dopiero wtedy będzie można dokładnie zbadać każdą część kadłuba statku.

Gdy już wszystkie wydobyte przedmioty zostały bezpiecznie złożone na plaży, Cyrus Smith i jego towarzysze poświęcili kilka chwil na zjedzenie śniadania. Dosłownie umierali z głodu. Na szczęście niedaleko była spiżarnia, a Nab był doskonałym kuchmistrem. Posilono się w pobliżu Kominów, a podczas jedzenia nie rozmawiano oczywiście o niczym innym, tylko o niespodziewanym zdarzeniu, które w tak cudowny sposób ocaliło kolonię.

— „Cudowny” to właściwe słowo — powtarzał Pencroff — bo trzeba przyznać, że te łajdaki wyleciały w powietrze w odpowiednim momencie! W Granitowym Pałacu zaczęło już być dziwnie niewygodnie.

— A jak pan sądzi, Pencroffie — zapytał reporter — w jaki sposób to wszystko się stało i co mogło spowodować ten wybuch?

— Cóż, panie Spilecie, to bardzo proste — odparł Pencroff. — Na statku pirackim nie na takiego porządku jak na okręcie wojennym. Zbiegli skazańcy to nie marynarze. Z pewnością prochownia była otwarta, bo strzelali do nas bez ustanku, a wystarczy jeden nieostrożny czy niezgrabny człowiek, aby cały statek wyleciał w powietrze.

— Najbardziej mnie dziwi, panie Cyrusie — odezwał się Harbert — że ten wybuch nie spowodował znacznie większych skutków. Detonacja nie była głośna, a na wodzie pływa niewiele rozerwanego drewna i desek. Wygląda na to, że statek raczej zatonął, niż został wysadzony.

— To cię dziwi, mój chłopcze? — zapytał inżynier.

— Tak, panie Cyrusie.

— I mnie to także dziwi, Harbercie — odparł inżynier. — Ale gdy tylko obejrzymy wrak z bliska, na pewno znajdziemy wyjaśnienie.

— Ach, panie Cyrusie — powiedział Pencroff — chyba nie zamierza pan twierdzić, że „Speedy” po prostu zatonął jak statek, który wpadł na skałę?

— Dlaczego nie — zauważył Nab — jeśli w cieśninie są skały podwodne?

— Co znowu, Nabie! — odparł Pencroff. — Chyba nie patrzyłeś w odpowiedniej chwili. Widziałem wyraźnie, jak bryg na chwilę przed zatonięciem najpierw uniósł się na olbrzymiej fali, a potem opadł na bakburtę³⁷⁵. Otóż gdyby po prostu uderzył o skałę, to zatonąłby całkiem spokojnie, jak przystało na uczciwy statek, kiedy idzie na dno.

— Otóż to właśnie, że to nie był uczciwy statek — odparł Nab.

— Wkrótce się przekonamy, Pencroffie — powiedział inżynier.

— Na pewno się przekonamy — dodał marynarz — ale stawiam głowę, że w cieśninie nie ma żadnych skał. Niech pan powie, panie Cyrusie, czy i w tym zdarzeniu widzi pan coś cudownego?

Cyrus Smith nie odpowiedział.

— W każdym razie — powiedział Gedeon Spilett — czy to się stało wskutek uderzenia o skałę, czy wskutek wybuchu, musi pan przyznać Pencroffie, że nastąpiło w samą porę.

— Tak... Tak... — odparł marynarz. — Ale tu nie o to chodzi. Pytam się pana Smitha, czy widzi w tym wszystkim coś nadprzyrodzonego.

— Nie wypowiadam się co do tego, Pencroffie — powiedział inżynier. — To wszystko, co mogę powiedzieć.

Odpowiedź bynajmniej nie zadowoliła Pencroffa. Obstawał przy eksplozji i nie chciał ustąpić. Nigdy nie zgodził się przyznać, żeby w cieśninie, którą nieraz w czasie odpływu przechodził w bród i której dno podobnie jak plażę pokrywa drobny piasek, miałyby się ukrywać jakaś niezauważona skała. Zresztą w chwili, gdy statek zatonął, był przyplływ, to znaczy, że w cieśninie było więcej wody niż potrzeba, żeby statek swobodnie przepłynął ponad wszystkimi rafami nieodsłoniętymi podczas odpływu. Zatem statek nie mógł zawadzić o żadną skałę. Zatem nie rozbił się. Zatem wyleciał w powietrze.

Trzeba przyznać, że rozumowanie marynarza nie było pozbawione pewnej słuszności.

Około wpół do drugiej po południu koloniści wsiedli do czołna i popłynęli na miejsce katastrofy. Szkoda, że nie ocalała żadna z dwóch łodzi brygu; jedna z nich, jak wiemy, roztrzaskała się przy ujściu Rzeki Dziękczynienia i była zupełnie niezdatna do użytku, druga zaś zniknęła, kiedy tonął bryg, i już nie wypłynęła na powierzchnię, zapewne zmiądzona przez statek.

Kadłub „Speedy’ego” zaczął się właśnie wynurzać się z wody. Bryg nie leżał nawet na boku. Przesuwający się balast przewalił się cały na jedną stronę i swoim ciężarem podruzgotał maszty, tak że statek leżał teraz prawie do góry dnem. Został rzeczywiście przewrócony przez jakąś niewytłumaczalną, ale straszliwą siłę podwodną, która jednocześnie przejawiała się w postaci olbrzymiej trąby wodnej.

³⁷⁵bakburtą — lewa burta statku. [przypis edytorski]

Koloniści opłynęli wrak dookoła, a w miarę jak morze opadało, mogli poznać jeśli nie samą przyczynę katastrofy, to przynajmniej jej skutki.

Na przodzie statku, z obu stron kilu, o siedem lub osiem stóp od stewy dziobowej³⁷⁶, boki brygu były straszliwie rozdarte na długości co najmniej dwudziestu stóp. Widniały tam dwa szerokie otwory, nienadające się do zatkania. Zniknęły nie tylko mośiężne poszycie i deski, zapewne starte na proch, ale nie został też nawet ślad po wręgach, żelaznych kołkach ani dyblach³⁷⁷, które je spajały. Wzdłuż całego kadłuba aż do rufy wszystkie klamry, porozrywane, puściły. Nadstępka³⁷⁸ została wyrwana z niepojętą siłą, a sama stępka³⁷⁹, wyłamana w kilku miejscach, pękła na całej długości.

— Do kroćset diabłów! — zawołał Pencroff. — Ten statek trudno będzie naprawić!

— To całkiem niemożliwe — powiedział Ayrton.

— W każdym razie — powiedział Gedeon Spilett do marynarza — wybuch, jeśli to rzeczywiście był wybuch, wywołał dziwne skutki. Roztrzaskał dolną część kadłuba zamiast wysadzić pokład i nadbudówki. Te wielkie otwory wyglądają raczej na powstałe wskutek uderzenia statku o skałę niż od wybuchu prochowni.

— W cieśninie nie ma skal! — odparł marynarz. — Zgodzę się na wszystko, co pan chce, z wyjątkiem uderzenia o skałę!

— Spróbujmy dostać się do wnętrza brygu — powiedział inżynier. — Może wtedy dowiemy się czegoś o przyczynie jego zagłady.

Było to najlepsze wyjście, tym bardziej że należało obejrzeć skarby znajdujące się na pokładzie i zająć się ich uratowaniem.

Wejście do wnętrza statku było teraz łatwe. Woda wciąż opadała, a po spodniej części pokładu, która po wywróceniu się statku znalazła się na wierzchu, można było wygodnie chodzić. Balast składający się z ciężkich brył żeliwnych przebił go w kilku miejscach. Słychać było szmer wody wypływającej przez pęknięcia kadłuba.

Cyrus Smith i jego towarzysze z siekierami w rękach szli po rozbitym pokładzie. Zawalony był różnego rodzaju skrzyniami, a ponieważ przebywały w wodzie bardzo krótko, można było oczekiwać, że ich zawartość nie uległa uszkodzeniu.

Pracowano więc nad tym, by cały ten ładunek przenieść w bezpieczne miejsce. Przepływ miał nastąpić dopiero za kilka godzin i pozostały czas wykorzystano w jak najlepszy sposób. Ayrton z Pencroffem zamocowali obok jednego z otworów w kadłubie blok, za pomocą którego wyciągali do góry beczułki i skrzynie. Pakowano je do czółna i odwożono natychmiast na brzeg. Zabierano wszystko bez wyboru, odkładając na później sortowanie znalezionych rzeczy.

W każdym razie koloniści od razu zauważyli, ku swojemu wielkiemu zadowoleniu, że bryg posiadał bardzo zróżnicowany ładunek, złożony z najrozmaitszych artykułów, narzędzi, wyrobów przemysłowych i przyrządów, jakie zwykle przewożą statki żeglujące pomiędzy wyspami Polinezji. Spodziewali się więc znaleźć wszystkiego po trochu, a tego właśnie potrzeba było kolonii na Wyspie Lincolna.

Cyrus Smith zauważył ze zdziwieniem, że nie tylko kadłub brygu, jak już powiedziano, niezmiernie ucierpiał od jakiegoś uderzenia, które spowodowało katastrofę, lecz także całe wewnętrzne urządzenie statku, zwłaszcza z przodu, zostało zniszczone. Przegrody i podpory pokładowe były podruzgotane, jak gdyby we wnętrzu brygu rozerwał się jakiś straszliwy granat. Koloniści mogli z łatwością przejść z dziobu na rufę, usuwając wcześniej skrzynie, które stopniowo wydobywano na zewnątrz. Nie były to ciężkie, trudne do ruszenia paki, lecz zwyczajne skrzynie, których zewnętrzne opakowanie było już zniszczone.

Dostali się w ten sposób na tył statku, w miejsce, gdzie wcześniej znajdowała się kajuta rufowa. Według wskazówek Ayrtona tu właśnie należało szukać prochowni. Cyrus Smith sądził, że jeśli nie wyleciała w powietrze, to może uda się uratować kilka beczulek, w których proch, zwykle zamknięty w obiciu z blachy, mógł nie ucierpieć od wody.

³⁷⁶stewa dziobowa a. dziobnica — wygięta w górę belka stanowiąca przedłużenie stępki (kilu) statku w kierunku dziobu. [przypis edytorski]

³⁷⁷dybel — obustronnie zaostrzony kołek łączący dwa drewniane elementy. [przypis edytorski]

³⁷⁸nadstępka — belka przymocowana od góry do stępki na części jej długości, mająca za zadanie rozłożyć obciążenie wynikające z nacisku masztu na dno kadłuba. [przypis edytorski]

³⁷⁹stępka a. kil — najniższa belka statku ciągnąca się od dzioba do rufy. [przypis edytorski]

Tak też było. Wśród stosów pocisków armatnich znaleziono ze dwadzieścia beczulek obitych wewnątrz blachą miedzianą i wydobyto je z jak największą ostrożnością. Pencroff przekonał się teraz na własne oczy, że „Speedy” nie został zniszczony przez eksplozję. Właśnie ta część kadłuba, w której znajdowała się prochownia, ucierpiała najmniej.

— Może i tak — odparł uparty marynarz. — Ale co do skał, to żadnych w cieśninie nie ma!

— Więc co się stało? — zapytał Harbert.

— Nie wiem — odparł Pencroff. — Pan Cyrus też nie wie i nikt nie wie, i nigdy nie będzie wiedzieć.

Na tych rozmaitych poszukiwaniach upłynęło kilka godzin i dawał się już odczuć przypływ. Trzeba było przerwać dalsze wylądowanie statku. Zresztą nie było obawy, żeby morze zabrało ze sobą wrak, gdyż ugrzązł w piasku tak mocno, jakby stał na kotwicy.

Można było zatem spokojnie czekać na następny odpływ, by wznowić prace. Sam statek był jednak skazany na zagładę i trzeba się było spieszyć, by ocalić szczątki kadłuba, zanim pochłoną go ruchome piaski na dnie cieśniny.

Była piąta po południu. Koloniści mieli ciężki dzień. Z wielkim apetytem zjedli więc posiłek, po czym, pomimo zmęczenia, nie mogli się oprzeć pokusie obejrzenia skrzyń, z których się składał ładunek „Speedy’ego”.

Większość zawierała gotowe ubrania, które powitano oczywiście z wielkim zadowoleniem. Było ich tyle, że można by ubrać, zaopatrzyć w bieliznę i w obuwie choćby całą wielką kolonię.

— Teraz jesteśmy aż nazbyt bogaci! — zawołał Pencroff. — Co my zrobimy z tym wszystkim?

Co chwila z ust rozochoconego marynarza wydobywały się gromkie „hurra” na widok beczulek z rumem, fasek³⁸⁰ z tytoniem, broni palnej i białej, całych bel bawełny, narzędzi rolniczych, ciesielskich, stolarskich, skrzyń z ziarnem rozmaitego gatunku i tym podobnych rzeczy, którym krótki pobyt w wodzie wcale nie zaszkodził. Ach, jak pożądane byłoby to wszystko dwa lata temu! Mimo to i teraz, chociaż pracownicy koloniści sami zaopatrzyli się w potrzebne rzeczy, skarby były bardzo przydatne.

W magazynach Granitowego Pałacu nie brakowało miejsca, jednak dzień się kończył i nie było już czasu na przeniesienie wszystkiego. Nie można było zapominać, że sześciu ocalałych członków załogi „Speedy’ego” wylądowało na wyspie i że byli to zapewne lotrzy pierwszej klasy, przed którymi trzeba było mieć się na baczności. Pomimo że most na Rzece Dziękczynienia i wszystkie mostki były podniesione, takich zbójów nie odstraszyłyby zapewne jakaś rzeka czy potok, a znajdując się w rozpaczliwym położeniu, mogli być niebezpieczni.

Postanowiono, żeby nad tym, jak wobec nich postąpić, zastanowić się później, tymczasem zaś trzeba było pilnować skrzyń i pak zgrupowanych w pobliżu Kominów. Koloniści czuwali przy nich na przemian przez całą noc.

Noc upłynęła jednak bez żadnej próby napaści ze strony bandytów. Pan Jup i Top, strzegący Granitowego Pałacu, niewątpliwie natychmiast daliby znać o ich przybyciu.

Przez trzy następne dni, 19, 20 i 21 października, wynoszono ze statku wszystko, co mogło mieć jakąkolwiek wartość lub przydatność, tak z ładunku, jak i z osprzętu. Podczas odpływu morza opróżniano statek, a podczas przypływu składano uratowane przedmioty do magazynu. Dużą część masyżnego poszycia statku zdarto z kadłuba, który z każdym dniem zapadał głębiej. Zanim jednak piasek pochłonął cięższe przedmioty, które poszły na dno przez dziury w kadłubie, Ayrton z Pencroffem zanurkowali kilka razy na dno cieśniny i znaleźli tam łańcuchy i kotwice, żelazne bryły balastu, a nawet cztery działa, które udało się wydobyć na ląd, przywiązując do nich puste beczulki.

Tak więc zbójownia Granitowego Pałacu wzbogaciła się o przedmioty ocalone z statku nie mniej niż spiżarnie i magazyny. Pencroff, jak zwykle entuzjastyczny w swoich planach, mówił już o postawieniu baterii artyleryjskiej, która mogłaby strzec cieśniny i ujścia rzeki. Mając do dyspozycji cztery armaty, gotów był powstrzymać całą flotę, „choćby najpotężniejszą”, od zbliżenia się do Wyspy Lincoln.

³⁸⁰fása (daw.) — drewniane naczynie z klepek spiętych obręczami; kształtem przypominało beczkę, posiadało jednak tylko jedno dno w szerszym końcu, na którym stało pionowo. [przypis edytorski]

Po tym wszystkim, gdy już z całego statku pozostał tylko bezużyteczny szkielet, nadeszła burza i zniszczyła go do reszty. Cyrus Smith miał zamiar wysadzić go w powietrze, by potem szczątki pozbierać przy brzegu, lecz silny wicher z północnego wschodu i wzburzone morze zaoszczędziły mu trudu i prochu. W nocy z 23 na 24 października szkielet statku został zupełnie zgruchotany, a część jego szczątków fale wyrzuciły na brzeg.

Jeśli chodzi o dokumenty statku, to nie trzeba dodawać, że Cyrus Smith starannie przetrząsnął wszystkie szafy i schowki w kajucie, ale nigdzie ich nie znalazł. Widocznie piraci zniszczyli wszystko, co dotyczyło kapitana lub właściciela „Speedy’ego”, a ponieważ na rufie nie było tabliczki z nazwą portu macierzystego, trudno było określić, z jakiego kraju pochodził. Mimo to Pencroff i Ayrton z kształtu dziobnicy przypuszczali, że zbudowano go w Anglii.

W tydzień po katastrofie, a raczej po szczęśliwym, chociaż zagadkowym zdarzeniu, któremu kolonia zawdzięczała ocalenie, nie było już widać ani śladu po statku, nawet przy najniższym stanie wody. Szczątki rozproszyło morze, a Granitowy Pałac wzbogacił się o prawie cały jego ładunek.

Tajemnica zagłady statku zapewne nigdy by się nie wyjaśniła, gdyby 30 listopada Nab, wałęsając się po wybrzeżu, nie znalazł przypadkiem kawałek grubego, żelaznego cylindra, na którym widoczne były ślady eksplozji. Cylinder był powykręcany i poszarpany, jak gdyby skutek działania jakiejś substancji wybuchowej.

Nab przyniósł ten kawałek żelaza swemu panu, który wraz z towarzyszami zajęty był właśnie pracą w Kominach.

Cyrus Smith obejrzał uważnie cylinder, po czym zwracając się do Pencroffa, powiedział:

— Więc pan, przyjacielu, nadal obstaje przy tym, że „Speedy” nie zatonął wskutek zderzenia?

— Tak, panie Cyrusie — odparł marynarz. — Wie pan tak samo dobrze jak ja, że w cieśninie nie ma żadnych skał.

— A co, jeżeli zderzył się z tym kawałkiem żelaza? — zapytał inżynier, pokazując zniszczony cylinder.

— Co?! Z tym kawałkiem rurki?! — zawołał Pencroff tonem pełnym niedowierzania.

— Przyjaciele — powiedział Cyrus Smith — czy przypominacie sobie, że przed zatonieniem bryg wznosił się do góry na szczycie trąby wodnej?

— Tak, panie Cyrusie — odparł Harbert.

— Dobrze, a czy chcecie wiedzieć, co spowodowało tę trąbę? Właśnie to — powiedział inżynier, wskazując na cylinder.

— To? — zapytał Pencroff.

— Tak. Ten cylinder jest resztką torpedy.

— Torpedy? — zawołali chórem towarzysze inżyniera.

— A kto ją tam umieścił, tę torpedę?³⁸¹ — zagadnął Pencroff, nie chcąc się jeszcze poddać.

— Tyle tylko mogę wam powiedzieć, że nie ja — odparł Cyrus Smith. — Ale na pewno tam była i sami mogliście ocenić siłę jej wybuchu.

ROZDZIAŁ V

Twierdzenia inżyniera. — Wielkie hipotezy Pencroffa. — Bateria powietrzna. — Cztery pociski. — Rozmowa o ocalałych piratach. — Wahanie Ayrtona. — Wspaniałomyślność Cyrusa Smitha. — Pencroff z żalem ustępuje.

Tak więc wszystko tłumaczyło się podwodnym wybuchem torpedy. Cyrus Smith, który podczas wojny często miał okazje wypróbować tego strasznego środka zniszczenia, nie mógł się co do tego mylić. Nie ulegało wątpliwości, że to pod działaniem takiego cylindra wypełnionego substancją wybuchową, nitrogliceryną, pikrynianem czy

³⁸¹*kto ją tam umieścił, tę torpedę?* — do poł. XIX w. torpedami (*torpedo*, *torpille*) nazywano różne ładunki wybuchowe umieszczane pod wodą w celu uszkodzenia wrogich okrętów. Po skonstruowaniu w 1866 torpedy samobieżnej, wystrzeliwanej w kierunku jednostki pływającej, stopniowo zaczęto stosować nazwę torpeda do tego rodzaju pocisków, zaś nieruchome ładunki wybuchowe określać mianem min morskich. [przypis edytorski]

inną substancją tego rodzaju, woda w cieśninie wzniosła się jak trąba wodna i bryg, zdruzgotany od dołu, w mgnieniu oka poszedł na dno. Właśnie dlatego zupełnie nie dało się go naprawić, że zniszczenia kadłuba były zbyt wielkie. „Speedy” nie mógł się oprzeć torpedzie zdolnej zniszczyć pancerną fregatę³⁸² tak łatwo, jakby to była łódź rybacka.

Tak, wszystko się wyjaśniało, wszystko... oprócz tego, w jaki sposób torpeda znalazła się w cieśninie.

— Przyjaciele — zaczął po chwili na nowo Cyrus Smith — nie możemy już dłużej wątpić o obecności jakiejś tajemniczej istoty, może jakiegoś podobnego do nas rozbitka, porzuconego przez swoich na tej wyspie. A mówię to dlatego, aby Ayrtona wtajemniczyć w te wszystkie dziwne wydarzenia, które zaszły w ciągu dwóch lat. Kim jest ten nieznanый dobroczyńca, którego zbawiennej interwencji doznaliśmy w tylu okolicznościach, tego sobie nie potrafię wyobrazić. Co go skłania do takiego postępowania, do ukrywania się po tylu oddanych nam przysługach? Nie mogę tego zrozumieć. Niemniej jednak przysługi te są faktem i należą do tych, jakie może oddać tylko człowiek rozporządzający cudowną prawie mocą. Ayrton powinien mu być wdzięczny tak samo jak my, bo jeżeli to ten tajemniczy nieznanый uratował mnie z fal po upadku balonu, to widocznie nie kto inny, tylko on napisał dokument i rzucił butelkę do cieśniny, powiadamiając nas o położeniu naszego towarzysza. Dodam i to, że skrzynię, tak obficie zaopatrzoną we wszystko, czego nam brakowało, także on musiał wyrzucić na ląd na Cyplu Znależiska, że to on zapalił ogień na wyżynach wyspy, dzięki któremu zdołaliście dopłynąć do brzegu, że ziarnko śrutu znalezione w ciele pekari pochodziło z jego broni, że torpedę, która zniszczyła bryg, także on pogrążył w wodach cieśniny; słowem, że te wszystkie niepojęte zdarzenia, których nie mogliśmy zrozumieć, zawdzięczamy tej tajemniczej istocie. Zatem kimkolwiek jest ten człowiek, rozbitkiem czy wygnańcem, bylibyśmy niewdzięcznikami, gdybyśmy choć przez chwilę nie poczuli się do wdzięczności względem niego. Zaciągnęliśmy dług i mam nadzieję, że go kiedyś spłacimy.

— Ma pan rację, drogi Cyrusie — odpowiedział Gedeon Spilett. — Tak, gdzieś na wyspie ukrywa się istota prawie wszechmocna, której wpływ był nadzwyczaj pożyteczny dla naszej kolonii. A trzeba dodać, że ten nieznanый wydaje się rozporządzać prawie nadprzyrodzonymi środkami, gdyby w zdarzeniach codziennego życia można było przyjmując działania sił nadprzyrodzonych. Czy to on potajemnie podsłuchuje nas przez studnię w Granitowym Pałacu i w ten sposób dowiaduje się o wszystkich naszych zamiarach? Czy to on podrzucił nam tę butelkę, gdy nasza łódź odbywała pierwszy rejs po morzu? Czy to on wyrzucił Topa z wód jeziora i uśmiercił diugonia? Czy to on, jak zresztą wszystko na to wskazuje, wyratował pana z fal morskich, Cyrusie, i to w takich okolicznościach, w których zwykły człowiek nie zdołałby nic zdziałać? Jeżeli to on, to posiada moc dającą mu władzę nad żywiołami.

Wszyscy czuli, że spostrzeżenie reportera było słuszne.

— Tak — odpowiedział Cyrus — jeżeli nie wątpimy w interwencję nieznanego człowieka, to przyznaję, że rozporządza środkami wykraczającymi poza te, którymi dysponuje ludzkość. W tym właśnie nadal tkwi tajemnica, ale jeżeli jednak uda się nam odkryć człowieka, odkryjemy także tajemnicę. Pytanie brzmi: czy powinniśmy uszanować incognito³⁸³ tej wspaniałomyślniej istoty, czy zrobić wszystko, żeby do niej dotrzeć? Jakie macie zdanie na ten temat?

— Moim zdaniem — odpowiedział Pencroff — kimkolwiek on jest, to przyzwoity człowiek i zasłużył na szacunek.

— Zgoda — odezwał się Cyrus Smith — ale to jeszcze nie odpowiedź, Pencroffie.

— Mój panie — wtrącił w tym miejscu Nab — myślę, że możemy szukać tego pana, o którym mowa, ile nam się podoba, a i tak go nie znajdziemy, dopóki sam tego nie zechce.

— Wiesz, że to niegłupie, coś powiedział, Nabie — powiedział Pencroff.

³⁸²*fregata pancerna* — historyczna klasa pancernych okrętów wojennych, najwcześniejszy rodzaj pancerników. Pierwszą fregatę pancerną, La Gloire, zbudowano w 1860 we Francji. Były to wielkie jednostki pełnomorskie, silnie opancerzone, uzbrojone w ciężkie działa burtowe, napędzane maszynami parowymi, choć posiadały także pomocnicze żagle. Stanowiły najpotężniejsze jednostki floty, przeznaczone do wygrywania bitew artyleryjskich i niszczenia wrogich okrętów. [przypis edytorski]

³⁸³*incognito* (z łac.) — zatajanie swojego nazwiska, tożsamości. [przypis edytorski]

— Podzielał zdanie Naba — odezwał się Gedeon Spilett — ale to nie powód, żebyśmy mieli zrezygnować poszukiwań. Czy znajdziemy tę tajemniczą istotę, czy też nie, przynajmniej spełnimy nasz obowiązek wobec niej.

— A ty, mój chłopcze, co o tym sądzisz? — powiedział inżynier, zwracając się do Harberta.

— Ach! — zawołał Harbert z płonącymi oczami. — Chciałbym podziękować człowiekowi, który uratował najpierw pana, a potem nas wszystkich.

— Bardzo dobrze, mój chłopcze — odparł Pencroff. — I ja także, i my wszyscy!... Nie należę do ciekawskich, ale oddałbym jedno oko, żeby stanąć twarzą w twarz z tym jegomościem. Wydaje mi się, że musi być piękny, wysoki, silny, że wspaniała broda, z włosami jak promienie słońca i że spoczywa na obłokach, trzymając wielką kulę w dłoni.

— Ależ Pencroffie — zawołał Gedeon Spilett — przecież pan nam tu obraz Boga Ojca odmalowuje!

— Możliwe, panie Spilett — odparł marynarz — ale tak go sobie wyobrażam.

— A pan, Ayrtonie? — spytał inżynier.

— Panie Smith — odparł Ayrton — nie mam w tej sprawie zdania. Tak jak pan zrobi, będzie dobrze. Jeżeli zechce pan wziąć mnie ze sobą na poszukiwania, jestem gotów w każdej chwili.

— Dziękuję panu za tę gotowość, Ayrtonie — odparł Cyrus Smith — ale chciałbym usłyszeć od bardziej bezpośrednią odpowiedź na moje pytanie. Jest pan naszym towarzyszem, nieraz już narażał pan dla nas życie i tak jak każdy z nas ma pan prawo wypowiedzieć swoje zdanie, kiedy chodzi o powzięcie ważnej decyzji. Proszę mówić.

— Panie Smith — odezwał się na to Ayrton — moim zdaniem powinniśmy zrobić wszystko, co możliwe, żeby odnaleźć tego nieznanego dobroczyńcę. Kto wie, może jest samotny? Może cierpi? Może życie jego potrzebuje odrodzenia? Ja także, jak sam pan wspominał, zaciągnąłem względem niego dług wdzięczności. Przecież to on, nikt inny, przybył na wyspę Tabor, znalazł tam nieszczęśnika, jakim byłem, gdyście mnie poznali, i dał wam znać, że jest tam nieszczęsna istota potrzebująca ratunku. To dzięki niemu znowu stałem się człowiekiem. O nie, nigdy tego nie zapomnę!

— Więc postanowione — odezwał się Cyrus Smith. — Zaczniemy poszukiwania jak można najprędzej. Nie pozostawimy ani kawałeczka wyspy bez zbadania. Przeszukamy ją aż do najtajniejszych kryjówek i niech nieznan przyjaciel wybaczy nam to ze względu na nasze dobre intencje.

Przez kilka dni koloniści intensywnie pracowali przy sianokosach i żniwach. Przed przystąpieniem do zamierzonego zbadania nieznanych jeszcze części wyspy postanowili skończyć wszelkie niezbędne prace. Była to także pora zbierania rozmaitych jarzyn sprowadzonych z wyspy Tabor. Trzeba było wszystko przechować, a na szczęście w Granitowym Pałacu nie brakowało miejsca i można by tam było zmagazynować wszystkie bogactwa całej wyspy. Ułożono tam zatem wszystkie produkty w metodycznym porządku, w bezpiecznym miejscu, niedostępnym dla zwierząt i ludzi. Pośrodku tego litego granitowego bloku nie trzeba było się też obawiać wilgoci. Kilka naturalnych pieczar, znajdujących się w górnym korytarzu, powiększono i poszerzono bądź to za pomocą oskardów, bądź min, dzięki czemu Granitowy Pałac stał się głównym magazynem, mieszczącym zapasy żywności, amunicję, zapasowe narzędzia i sprzęty, słowem — cały dobytek osady.

Armaty pochodzące z brygu, piękne sztuki z kutej stali, pod wpływem nalegań Pencroffa wciągnięto za pomocą lin i wielokrążków aż do wejścia do Granitowego Pałacu. Następnie między oknami wykuto otwory strzelnicze i wkrótce z granitowego muru wynurzyły się błyszczące paszcze dział. Z tej wysokości armaty rzeczywiście panowały nad całą Zatoką Stanów Zjednoczonych. Był to niby mały Gibraltar³⁸⁴ i każdy statek, który starałby się podплыnąć od strony wysepki, byłby nieuchronnie wystawiony na ogień tej powietrznej baterii.

³⁸⁴*Gibraltar* — przylądek na południowym krańcu Płw. Iberyjskiego, z górującą nad otoczeniem wapienną Skałą Gibraltarską, wznoszącą się na 426 m n.p.m. Ufortyfikowany Gibraltar od wieków zapewniał kontrolę nad Cieśniną Gibraltarską, łączącą M. Śródziemne z Atlantykiem i oddzielającą Afrykę od Europy. Od 1713 Gibraltar stanowi terytorium zamorskie Wlk. Brytanii i od tamtej pory pomimo prób nigdy nie został zdobyty. [przypis edytorski]

— Panie Cyrusie — odezwał się pewnego dnia Pencroff, a było to 8 listopada — teraz, kiedy już ukończyliśmy uzbrojenie wyspy, warto by było spróbować, jak daleko niosą nasze działa.

— Myśli pan, że to potrzebne? — odpowiedział inżynier.

— Więcej niż potrzebne, to konieczne! Bez tego skąd się dowiemy, na jaką odległość można będzie wysłać jeden z tych pięknych pocisków, w które jesteśmy zaopatrzeni?

— Zrobmy więc próbę, Pencroffie — odpowiedział inżynier. — Myślę jednak, że do tego doświadczenia powinniśmy do niej użyć nie zwykłego prochu, którego zapasy wolałbym oszczędzać, ale piroksyliny, której nam nigdy nie zabraknie.

— Ale czy te armaty wytrzymają wybuch piroksyliny? — spytał reporter, który nie mniej niż Pencroff pragnął wypróbować artylerię Granitowego Pałacu.

— Sądzę, że tak. Zresztą będziemy ostrożni.

Inżynier jako znawca wyrobów artyleryjskich był pewny, że działa są doskonałej jakości. Były z kutej stali, nabijane od tyłu, musiały wytrzymać duży nabój, a zatem mieć wielki zasięg.

I w istocie, jeżeli idzie o skuteczność działania, tor pocisku powinien być jak najbardziej wydłużony, to zaś daje się uzyskać jedynie wtedy, gdy pociskowi nada się bardzo dużą prędkość początkową.

— Otóż — powiedział Cyrus Smith do towarzyszy — prędkość początkowa jest proporcjonalna do zużytego prochu. Zatem w produkcji dział całe zagadnienie sprowadza się do użycia jak najbardziej wytrzymałego metalu. Takim zaś metalem jest niewątpliwie stal. Przypuszczam więc, że nasze działa zniosą bez szwanku napór gazów z piroksyliny i że otrzymamy świetne wyniki.

— Będziemy jeszcze pewniejsi, gdy je wypróbujemy — odpowiedział Pencroff.

Rozumie się samo przez się, że wszystkie cztery armaty były w doskonałym stanie. Od chwili wydobycia ich z wody marynarz sumiennie je czyścił. Wiele godzin poświęcił na ich na wycieranie, natuszczanie, polerowanie, rozebranie i wyczyszczenie całego mechanizmu, zatyczki, zamka, iglicy. Teraz wszystkie części lśniły, jak gdyby działa znajdowały się na pokładzie fregaty należącej do marynarki Stanów Zjednoczonych.

Tego samego dnia w obecności wszystkich mieszkańców kolonii, z Jupem i Topem włącznie, wypróbowano kolejno wszystkie cztery armaty. Nabito je piroksyliną, uwzględniając jej siłę wybuchu, która, jak już wspomniano, jest czterokrotnie większa od siły zwyczajnego prochu. Pocisk przeznaczony do próby był cylindryczno-stożkowy³⁸⁵.

Pencroff, trzymając w ręku lont, stał gotowy do oddania strzału.

Na znak dany przez Cyrusa Smitha zagrzmiął wystrzał. Wycelowany w morze pocisk przeleciał ponad wysepką i spadł daleko, w odległości, której dokładnie nie można było określić.

Drugą armatę wycelowano na najdalsze skały Cypla Znaleźiska i pocisk, uderzywszy w spiczasty głaz, znajdujący się w odległości blisko trzech mil od Granitowego Pałacu, roztrzaskał go na kawałki.

Z tej armaty celował i strzelał Harbert, dumny z wyniku swojej pierwszej próby. Ale jeszcze bardziej dumny był Pencroff. Taki świetny strzał przynosił niemały zaszczyt jego ukochanemu chłopcu.

Trzeci pocisk, wystrzelony tym razem prosto w wydmy tworzące górny brzeg Zatoki Stanów Zjednoczonych, uderzył w piasek w odległości co najmniej czterech mil, a potem, odbiwszy się, wpadł do morza, wzbijając obłok piany.

Gdy przyszła kolej na czwarte działo, Cyrus Smith powiększył nieco ładunek, żeby zorientować się w maksymalnym zasięgu broni. Wszyscy usunęli się na bok, na wypadek gdyby armatę rozerwało, po czym zapalono długi lont.

Rozległ się potężny huk, ale armata nie pękła i koloniści, rzuciwszy się do okna, zobaczyli, że pocisk zawadził o skały Przylądka Szczęki, odległe o około pięć mil od Granitowego Pałacu, i zniknął w Zatoce Rekinów.

³⁸⁵ pociski cylindryczno-stożkowe a. pociski stożkowe — używane w broni palnej wydłużone pociski o stożkowym wierzchołku (w odróżnieniu od powszechnych wcześniej pocisków o kształcie kulistym); wynalezione w 1830 przez fr. kapitana Henri-Gustave'a Delvigne, udoskonalone w 1847 przez Claude'a Étienne Minié. [przypis edytorski]

— No cóż, panie Cyrusie — zawołał Pencroff, którego głośnie „hurra!” mogły rywalizować z hukami wystrzałów. — Co pan powie o naszej baterii? Niech się tu pokażą przed Granitowym Pałacem wszyscy piraci oceanu. Nikt teraz nie wylądował bez naszego pozwolenia.

— Proszę mi wierzyć, Pencroffie — odpowiedział inżynier — że lepiej, żebyśmy się o tym nie przekonali.

— Ale, ale — ciągnął dalej marynarz — co zrobimy z sześcioma łotrami, którzy się włóczą po wyspie? Czy pozwolimy im bezkarnie grasować po naszych lasach, naszych polach, naszych łąkach? Przecież to prawdziwe jaguary, ci piraci, i wydaje mi się, że powinniśmy bez wahania potraktować ich tak samo. Co pan o tym sądzi, Ayrtonie? — dodał Pencroff, obracając się do swego towarzysza.

Ayrton zawahał się przez chwilę z odpowiedzią, a Cyrusowi Smithowi zrobiło się przykro, że Pencroff bez zastanowienia zadał to pytanie. Mocno go więc wzruszyło, gdy Ayrton odpowiedział pokornym tonem:

— Byłem jednym z takich jaguarów, panie Pencroff, nie mam więc prawa zabierać głosu...

I oddalił się powoli.

Pencroff teraz dopiero zrozumiał.

— Co za przekłete bydlę ze mnie! — wykrzyknął. — Biedny Ayrton. Przecież ma takie samo prawo się wypowiadać jak każdy z nas!...

— Niewątpliwie — powiedział Gedeon Spilett — ale ta powściągliwość przynosi mu zaszczyt i należy uszanować jego uczucia pozostałe po smutnej przeszłości.

— Zrozumiałem, panie Spilett — odpowiedział marynarz. — Już nigdy tego nie zrobię. Wolalbym ugryźć się w język niż sprawić przykrość Ayrtonowi. Ale wróćmy jednak do rzeczy. Myślę, że ci bandyci nie zasługują na żadną litość i że powinniśmy jak najszybciej oczyścić z nich wyspę...

— Czy to pańskie ostateczne zdanie, Pencroffie? — spytał inżynier.

— Najostateczniejsze.

— I zanim zaczniesz ich pan bezwzględnie tępić, nie zaczeka pan na jakieś wrogie działania z ich strony?

— Czy nie wystarczy to, co już zrobili? — spytał Pencroff, nie rozumiejąc tych wszystkich wahań.

— Mogą zacząć przejawiać inne uczucia, może odczuwają skruchę — powiedział Cyrus Smith.

— Skruchę! Oni! — zawołał marynarz, wzruszając ramionami.

— Pencroffie, pomyśl o Ayrtonie — powiedział Harbert, biorąc marynarza za rękę. — Znowu stał się uczciwym człowiekiem.

Pencroff popatrzył po kolei na towarzyszy. Nigdy by mu nie przyszło do głowy, że jego propozycja wzbudzi jakieś wątpliwości. Jego prosta natura nie mogła zrozumieć, że można wchodzić w jakieś układy z łotrami, którzy wylądowali na wyspie, ze współnikami Boba Harveya, mordercami załogi brygu „Speedy”. Dla niego byli dzikimi bestiami, które należało wytepić bez wahania i bez skrępulów.

— Coś takiego! — powiedział. — Mam wszystkich przeciwko sobie. Chcecie się bawić we wspaniałomyślność wobec tych nędzników? No, niech i tak będzie. Żebyśmy tylko tego nie pożałowali!

— Co może nam grozić — spytał Harbert — jeżeli zachowamy ostrożność?

— Hm! — odezwał się reporter, który nie wypowiedział jeszcze swojego zdania. — Jest ich sześciu, i to dobrze zbrojnych. Niech tylko każdy z nich zaczai się w jakimś kącie i strzeli do jednego z nas, to wkrótce staną się panami kolonii.

— Dlaczego więc dotąd tego nie zrobili? — odparł Harbert. — Niewątpliwie dlatego, że nie mają takich zamiarów. Zresztą nas też jest sześciu.

— Dobrze, dobrze — zniecierpliwiał się Pencroff, którego żadne rozumowanie nie mogło przekonać. — Pozwólmy tym pocziwcom zajmować się swoimi sprawami i nie myślimy już o nich.

— Ależ, Pencroffie — powiedział Nab — nie udawaj takiego bezwzględnego człowieka. Gdyby jeden z tych nieszczęśników stał tu przed tobą, w zasięgu strzelby, na pewno nie strzeliłbyś do niego...

— Wypaliłbym jak do wściekłego psa, Nabie — odpowiedział zimno Pencroff.

— Pencroffie — odezwał się inżynier — często polegał pan na moim zdaniu. Czy nie zechciałby pan i w tej sprawie zdać się na mnie?

— Zrobię, jak pan uzna za właściwe, panie Smith — odpowiedział marynarz, bynajmniej nie przekonany.

— A więc czekajmy i nie atakujmy, dopóki na nas nie uderzą.

Tak oto zdecydowano zachowywać się wobec piratów, choć Pencroff nie wróżył z tego nic dobrego. Postanowiono nie atakować ich, ale mieć się na baczności. Koniec końców wyspa była wielka i żyzna. Jeżeli na dnie duszy tych nędzników została jakaś resztką uczciwości, to mogli się jeszcze poprawić. Czyż nie leżało w ich interesie, żeby w tych nowych warunkach zacząć nowe życie? Tak czy owak, choćby tylko przez poczucie człowieczeństwa, należało poczekać. Oczywiście koloniści nie będą już mogli tak swobodnie i bez obaw przemierzać wyspy. Dotychczas musieli strzec się tylko dzikich zwierząt, teraz zaś grasowało na wyspie sześciu skazańców, może najgorszego rodzaju. Sytuacja była niewątpliwie poważna i ludzie mniej odważni całkiem straciliby poczucie bezpieczeństwa. Mniejsza o to wszystko! W tej chwili wbrew Pencroffowi koloniści mieli rację. Czy będą ją mieć i w przyszłości? To się dopiero okaże.

ROZDZIAŁ VI

Projekt wyprawy. — Ayrton w zagrodzie. — Wizyta w Przystani Balonowej. — Uwagi Pencroffa na pokładzie „Bonawentury”. — Depesza wysłana do zagrody. — Nie ma odpowiedzi Ayrtona. — Wymarsz następnego dnia. — Czemu telegraf nie działa? — Strzał.

Sprawą najbardziej zajmującą kolonistów było szczegółowe zbadanie wyspy, już postanowione i mające teraz podwójny cel. Po pierwsze chodziło o odnalezienie tajemniczej istoty, której istnienie nie podlegało już dyskusji, a równocześnie o stwierdzenie, co się stało z piratami, gdzie sobie wybrali kryjówkę, co robią i czego można się z ich strony obawiać.

Cyrus Smith chciał natychmiast wybrać się w drogę, ponieważ jednak wyprawa miała zająć kilka dni, uznano za stosowne załadować na wóz różne przedmioty niezbędne do rozbicia obozowiska oraz do zorganizowania popasów³⁸⁶. Tymczasem akurat jeden z onagrów zranił się w nogę i nie można go było zaprzęgać. Potrzebował co najmniej kilku dni spoczynku, więc koloniści uznali, że można odłożyć wyjazd o tydzień, czyli do 20 listopada.

Listopad na tej szerokości geograficznej jest odpowiednikiem maja na półkuli północnej. Była to najpiękniejsza pora roku. Słońce dochodziło do Zwrotnika Koziorożca, zaczynały się najdłuższe dni w roku. Był to więc okres najbardziej odpowiedni na planowaną wyprawę, która gdyby nawet nie osiągnęła swojego głównego celu, mogła okazać się płodna w odkrycia, zwłaszcza bogactw naturalnych, ponieważ Cyrus Smith zamierzył zbadać gęste Lasy Dalekiego Zachodu, rozciągające się aż do krańca Półwyspu Wężowego.

Koloniści postanowili, że w ciągu dziewięciu dni poprzedzających wyjazd skończą wszystkie prace na Płaskowyżu Pięknego Widoku.

Tymczasem Ayrton musiał jeszcze wrócić do zagrody, żeby zaopiekować się udomowionymi zwierzętami. Zdecydowano więc, że spędzi tam dwa dni i powróci do Granitowego Pałacu dopiero, gdy zaopatrzy budynki inwentarskie³⁸⁷ w solidne zapasy paszy.

Gdy wyruszał w drogę, Cyrus Smith zapytał go, czy nie chciałby, aby ktoś z nich mu towarzyszył, zwracając uwagę, że wyspa stała się mniej bezpieczna, niż była dawniej.

Ayrton odpowiedział, że to zbędne, że pracę może wykonać sam i poza tym niczego się nie boi. Gdyby w zagrodzie lub w jej pobliżu zaszedł jakiś wypadek, to natychmiast zawiadomi o tym kolonistów za pośrednictwem telegrafu.

³⁸⁶popas (daw.) — postój w czasie podróży w celu nakarmienia koni i odpoczynku. [przypis edytorski]

³⁸⁷budynek inwentarski — budynek do trzymania zwierząt gospodarskich, np. obora, chlewnia, owczarnia, kurnik. [przypis edytorski]

Ayrton wyruszył zatem dziewiątego o świcie, zabierając ze sobą wóz zaprzęzony w jednego onagra, a w dwie godziny potem sygnał elektryczny oznajmił, że w zagrodzie wszystko w porządku.

Przez dwa dni Cyrus Smith zajmował się realizacją pewnego projektu mającego całkowicie zabezpieczyć Granitowy Pałac przed wszelką niespodziewaną napaścią. Chodziło mianowicie o to, żeby zupełnie ukryć górny otwór dawniejszego odpływu wody w południowym rogu Jeziora Granta, już zamurowany i do pewnego stopnia zamaskowany krzewami i trawą. Było to całkiem łatwe. Wystarczyło podnieść o dwie czy trzy stopy poziom wody w jeziorze, żeby zatopić otwór bez śladu.

Aby podnieść poziom wody, trzeba było tylko wybudować tamę na każdym z dwóch odpływów z jeziora, które zasilają Potok Glicerynowy i Rzekę Wodospadu. Wszyscy pozostali koloniści wzięli udział w pracy i z mocno scementowanych głazów szybko powstały dwie tamy, nieprzekraczające sześciu stóp szerokości i trzech stóp wysokości.

Kiedy skończyli pracę, nikt nie mógł się nawet domyślić, że istniał tu kiedyś jakiś podziemny kanał odprowadzający nadmiar wód z jeziora.

Nie trzeba dodawać, że małeńka odnoga zasilająca zbiornik w Granitowym Pałacu i napędzająca windę została starannie zabezpieczona, tak żeby w żadnym wypadku nie zabrakło wody. Obecnie po podciągnięciu windy na górę Granitowy Pałac stał się pewnym i wygodnym schronieniem, zabezpieczonym przed wszelkimi niespodzianymi napasciami.

Praca ta została wykonana tak szybko, że Pencroff, Gedeon Spilett i Harbert znaleźli jeszcze czas na odwiedzenie Przystani Balonowej. Marynarz bardzo chciał się dowiedzieć, czy zatoczki, w której stał „Bonawentura”, nie odwiedzili bandyci.

— Bo właśnie — zauważył — ci dżentelmeni wylądowali na południowym wybrzeżu, a jeżeli szli wzdłuż niego, to należy się obawiać, że odkryli nasz mały port, a w takim wypadku nie dałbym i pół dolara za naszego „Bonawenturę”.

Obawy Pencroffa nie były bezpodstawne i wizyta w Przystani Balonowej wydawała się bardzo wskazana.

Marynarz i jego towarzysze, dobrze uzbrojeni, wyruszyli 10 listopada po południu. Pencroff, ładując ostentacyjnie kule do obydwu luf swojej strzelby, kręcił głową, co nie wróżyło nic dobrego każdemu, kto by się zanadto do niego zbliżył, „zwierzę czy człowiek”, jak mówił. Gedeon Spilett i Harbert również wzięli strzelby i około trzeciej wszyscy trzej opuścili Granitowy Pałac.

Nab odprowadził ich aż do zakrętu Rzeki Dziękczynienia, a gdy tylko przeszli na drugą stronę, podniósł most za nimi. Umówili się, że koloniści o swoim powrocie dadzą znać wystrzałem, a na ten sygnał Nab przyjdzie i przywróci połączenie między obydwooma brzegami rzeki.

Grupka ruszyła w stronę południowego wybrzeża wyspy, drogą wiodącą prosto do przystani. Odległość wynosiła tylko trzy i pół mili, ale Gedeonowi Spilettowi i jego towarzyszom przebycie jej zajęło dwie godziny. Przeszukali bowiem cały skraj drogi, tak od strony gęstego lasu, jak i od strony Bagna Kazarek. Nigdzie nie znaleźli ani śladu zbiegów, którzy niewątpliwie, nie mając jeszcze pojęcia o liczbie kolonistów i ich możliwościach obrony, musieli ukrywać się w mniej dostępnych częściach wyspy.

Gdy przybyli do Przystani Balonowej, Pencroff z niezmierną radością przekonał się, że „Bonawentura” spokojnie stoi na kotwicy w ciasnej zatoczce. Zresztą Przystań Balonowa była tak dobrze ukryta wśród wysokich skał, że nie można jej było odkryć ani z morza, ani z lądu, chyba że się było ponad nią albo w środku.

— No! — zawołał Pencroff. — Te lotry jeszcze tu nie trafiły! Gady wolą ukrywać się w gęstwinie i pewnie znajdziemy ich w Lasach Dalekiego Zachodu.

— Całe szczęście — odpowiedział Harbert — bo gdyby znaleźli „Bonawenturę”, zabrałiby go, aby na nim uciec, a wówczas nie moglibyśmy powtórnie popłynąć na wyspę Tabor.

— Rzeczywiście — powiedział reporter. — A musimy zawieść tam dokument powiadający o położeniu geograficznym Wyspy Lincolna i o nowym miejscu pobytu Ayrtona, na wypadek gdyby przybył po niego szkocki jacht.

— Cóż, panie Spilett — powiedział marynarz — „Bonawentura” jest na swoim miejscu, a jego załoga gotowa do wypłynięcia na pierwszy znak.

— Sądzę, Pencroffie, że przyjdzie na to pora po ukończeniu naszej wyprawy w głąb wyspy. Możliwe przecież, że ten nieznajomy, jeżeli uda się go znaleźć, wie coś więcej zarówno o Wyspie Lincoln, jak i o wyspie Tabor. Nie zapominajmy, że jest niewątpliwym autorem znalezionej przez nas dokumentu i być może wie, co sądzić o powrocie jachtu.

— Do stu tysięcy diabłów! — zawołał Pencroff. — Kto to może być? Ten człowiek nas zna, a my go nie znamy! Jeżeli to tylko rozbitek, dlaczego się ukrywa? Przecież jesteś przyzwoitymi ludźmi, jak mi się zdaje, a towarzystwo przyzwoitych ludzi nikomu nie sprawia przykrości! Czy przybył tu dobrowolnie? Czy może opuścić wyspę, kiedy zechce? Czy jest tu jeszcze, czy go już nie ma?...

Tak rozmawiając, Pencroff, Harbert i Gedeon Spilett weszli na statek i przechadzali się po pokładzie „Bonawentury”. Nagle marynarz, przyjrawszy się palowi, wokół którego okręcona była lina kotwicy, zawołał:

— A to co znowu?! Nie, tego już za wiele!

— Co takiego, Pencroffie? — spytał reporter.

— Co?! To, że to nie ja wiązałem ten węzeł!

Mówiąc to, wskazał linkę mocującą linę kotwicy do pala i zabezpieczającą przez rozwinieciem.

— Jak to, nie pan? — zapytał Gedeon Spilett.

— Nie! Mogę przysiąc! To węzeł płaski, a ja zwykle robię wyblinkę³⁸⁸.

— Musiał się pan pomylić, Pencroffie.

— Nie pomyliłem się! — upierał się marynarz. — To się ma w ręce, a ręka się nie myli!

— Czyżby więc piraci weszli na pokład? — zapytał Harbert.

— Nie wiem — odpowiedział Pencroff — ale to pewne, że ktoś podniósł kotwicę „Bonawentury”, a potem rzucił ją ponownie. O, patrzcie! Nowy dowód! Widocznie rozwijano linę kotwiczną, bo jej osłona³⁸⁹ nie jest już w otworze kluzu. Powtarzam wam, że ktoś korzystał z naszego statku...

— Ależ gdyby to byli piraci, splądrowaliby go albo zabrali i uciekli...

— Uciekli! A dokąd?... Na wyspę Tabor?... — odparł Pencroff. — Myślisz, że by się odważyli puścić na morze na tak niewielkim statku?

— Zresztą musielibyśmy założyć, że znają położenie tej wyspy — zauważył reporter.

— Tak czy owak — powiedział marynarz — jakem Bonawentura Pencroff z Vineyard, tak nasz „Bonawentura” pływał bez nas.

Marynarz powiedział to tak stanowczo, że ani Gedeon Spilett, ani Harbert nie mogli się sprzeciwić. Było oczywiste, że od czasu, gdy Pencroff zostawił go w Przystani Balonowej, statek nie stał przez cały czas na miejscu. Dla marynarza nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że kotwica została podniesiona, a później ponownie spuszczone na dno. Ale po co to zrobiono, jeżeli statku nie użyto do jakiejś wyprawy?

— Czy moglibyśmy nie zauważyć „Bonawentury” przepływającego w pobliżu wyspy? — spytał reporter, który chciał wyrazić wszystkie możliwe wątpliwości.

— Ech, panie Spilett — odparł marynarz — wystarczy wypłynąć nocą przy pomyślnym wietrze, a w dwie godziny później jest się już poza zasięgiem wzroku.

— Zgoda — ciągnął dalej Gedeon Spilett — ale w takim razie pytam się raz jeszcze, w jakim celu bandyci mieliby korzystać z „Bonawentury” i dlaczego potem odprowadzili go z powrotem do portu?

— Cóż, panie Spilett — odparł marynarz — zaliczmy to do rzeczy niewytłumaczalnych i nie myślmy już o tym. Najważniejszą rzeczą było, żebyśmy zastali „Bonawenturę” na miejscu, i jest tutaj. Gdyby piraci dostali go w swoje ręce po raz drugi, moglibyśmy już go tu nie zastać.

— Może więc byłoby bezpieczniej, Pencroffie, przeprowadzić „Bonawenturę” z powrotem przed Granitowy Pałac? — odezwał się Harbert.

— I tak, i nie — odpowiedział Pencroff. — Ale raczej nie. Ujście Rzeki Dziękczynienia nie jest dogodnym miejscem dla statku, morze jest tam zaledwie burzliwe.

— Gdybyśmy go jednak wyciągnęli na piasek pod same Kominy?...

³⁸⁸wyblinka — rodzaj węzła marynarskiego mającego tę zaletę, że zawsze pozostaje ciasny. [przypis autorski]

³⁸⁹osłona nie jest już w otworze kluzu — część liny kotwicznej owija się kawałkiem płótna (osłoną), aby przesuwając się przez otwór kluzu, mniej się wycierała. [przypis edytorski]

— Może i tak... — odpowiedział Pencroff. — W każdym razie ponieważ mamy wyruszyć na dość długą wyprawę i opuścić Granitowy Pałac, to sądzę, że podczas naszej nieobecności „Bonawentura” będzie bezpieczniejszy tutaj i że lepiej zrobimy, pozostawiając go w tym miejscu, dopóki całkiem nie oczyścimy wyspy z tych łotrów.

— Jestem tego samego zdania — powiedział reporter. — Przynajmniej w razie niepogody będzie mniej narażony, niż byłby przy ujściu Rzeki Dziękczynienia.

— A co jeśli zbiegowie zechcą go znowu odwiedzić? — zauważył Harbert.

— No cóż, mój chłopcze — odpowiedział Pencroff. — Gdyby nie znaleźli statku tutaj, zaraz poszliby go szukać w okolicy Granitowego Pałacu, a podczas naszej nieobecności nikt by im nie przeszkodził w zabraniu go. Dlatego zgadzam się z panem Spilettem, że należy go zostawić w Przystani Balonowej. Ale jak tylko wrócimy, a wyspa nie będzie jeszcze wolna od tych łotrów, rozsądnie będzie przyprowadzić statek pod Granitowy Pałac i trzymać go tam do czasu, gdy nie będziemy się musieli obawiać żadnych niepożądanych wizyt.

— Zgoda. A teraz w drogę! — zakończył reporter.

Powróciwszy do Granitowego Pałacu, Harbert, Pencroff i Gedeon Spilett opowiedzieli inżynierowi wszystko, co im się zdarzyło, a on pochwalił powzięte przez nich postanowienia tak na teraz, jak i co do przyszłości. Przyrzekł nawet marynarzowi, że zbada część cieśniny pomiędzy wysepką a wybrzeżem, żeby się zorientować, czy nie będzie można za pomocą tamy zbudować w tym miejscu sztucznego portu. W ten sposób „Bonawentura” byłby zawsze pod ręką, a w razie potrzeby — jak gdyby zamknięty.

Tego samego wieczoru wysłano do Ayrtona telegram z prośbą, aby sprowadził z zagrody parę kóz, które Nab zamierzał hodować na łąkach płaskowyżu. Co dziwne, Ayrton nie potwierdził otrzymania telegramu, jak to zwykle robił. Bardzo zdziwiło to inżyniera. Mogło się jednak zdarzyć, że Ayrtona nie było w tej chwili w domu albo znajdował się już w drodze do Granitowego Pałacu. Upłynęły już dwa dni od jego odejścia, a postanowiono, że ma powrócić dziesiątego wieczorem lub najpóźniej jedenastego rano.

Koloniści oczekiwali więc na pojawienie się Ayrtona na Płaskowyżu Pięknego Widoku. Nab i Harbert czuwali nawet w pobliżu mostu, aby go opuścić, gdy tylko przyjdzie ich towarzyszy.

Dochodziła dziesiąta, a Ayrton nie dawał znaku życia. Uznano więc, że należy wysłać jeszcze jedną depeszę, prosząc o natychmiastową odpowiedź.

Dzwonek elektryczny w Granitowym Pałacu ani drgnął.

Koloniści poważnie się zaniepokoiли. Co się stało? Czy Ayrtona nie było już w zagrodzie, czy też jeśli tam był, to czy nie utracił swobody ruchów? Może w tę ciemną noc należało biec do zagrody?

Poddano tę kwestię pod dyskusję. Jedni chcieli zaraz wyruszać, inni radzili się wstrzymać.

— Kto wie — powiedział Harbert — może aparat telegraficzny się uszkodził i nie działa?

— To możliwe — odparł reporter.

— Zaczekajmy więc do jutra — odezwał się Cyrus Smith. — Może rzeczywiście Ayrton nie odebrał naszej depeszy albo jego telegram nie dotarł do nas.

Czekali więc, jak łatwo pojąć, pełni niepokoju.

Nazajutrz, 11 listopada, gdy tylko zaczęło świtać, Cyrus Smith jeszcze raz włączył prąd aparatu, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Powtórzył to samo po raz drugi — z tym samym skutkiem.

— W drogę! Do zagrody! — zawołał wówczas.

— I to porządnie uzbrojeni! — dodał Pencroff.

Postanowiono nie pozostawiać Granitowego Pałacu bez opieki i straż nad nim powierzono Nabowi. Po odprowadzeniu towarzyszy aż do Glicerynowego Potoku miał podnieść most, po czym ukryć się za drzewem i oczekiwać na powrót ich lub Ayrtona.

W przypadku gdyby piraci się zjawili i próbowali przeprawy, miał starać się powstrzymać ich strzałami, a gdyby mu się nie udało, wycofać się do Granitowego Pałacu, gdzie po wciągnięciu windy byłby zupełnie bezpieczny.

Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Harbert i Pencroff mieli udać się prosto do zagrody, a gdyby tam Ayrtona nie było, poszukać go w okolicznych lasach.

O szóstej rano inżynier i jego trzech towarzysze przeszli na drugą stronę Glicerynowego Potoku, zostawiając za sobą Naba ukrytego na lewym brzegu strumienia za niewielkim pagórkiem porośniętym dużymi smokowcami.

Koloniści opuścili Płaskowyż Pięknego Widoku i poszli drogą prowadzącą wprost do zagrody. Trzymali broń w pogotowiu, gotowi strzelać przy pierwszym pojawieniu się wrogów. Dwa karabiny i dwie strzelby nabito kulami.

Z obu stron drogi zarośla były tak gęste, że złoczyńcy z łatwością mogli się w nich ukryć, a dzięki swojej broni byłiby bardzo groźni.

Koloniści posuwali szybko i w milczeniu. Top biegł przed nimi, bądź to trzymając się drogi, bądź skręcając w las, nie szczekał jednak i nie sprawiał wrażenia, że wyczuwa coś niezwykłego. Można było liczyć na to, że wierny pies nie da się zaskoczyć i że zaszczeka przy najmniejszym nawet niebezpieczeństwie.

Idąc drogą, osadnicy sprawdzali jednocześnie linię telegraficzną łączącą zagrodę z Granitowym Pałacem. Przeszli już ze dwie mile i dotychczas nie zauważyli żadnego uszkodzenia. Słupy były w dobrym stanie, izolatory nienaruszone, drut prawidłowo napięty. Jednak w pewnej chwili inżynier zauważył, że drut jest coraz słabiej naciągnięty, a gdy doszli do słupa numer 74, idący na przedzie Harbert zatrzymał się z okrzykiem:

— Linia przerwana!

Jego towarzysze przyspieszyli kroku i wkrótce stanęli w miejscu, gdzie zatrzymał się młodzieniec.

Tu w poprzek drogi leżał przewrócony słup. Drut został przerwany i było oczywiste, że depesze z Granitowego Pałacu nie mogły dotrzeć do zagrody i odwrotnie.

— To nie wiatr przewrócił ten słup — zauważył Pencroff.

— O nie! — odpowiedział Gedeon Spilett. — Ziemia dokoła niego jest rozkopana, został wyrwany ręką ludzką.

— Poza tym drut zerwano siłą — dodał Harbert, pokazując oba końce drutu, noszące ślady gwałtownego szarpnięcia.

— Czy ślad rozerwania jest świeży? — zapytał Cyrus Smith.

— Tak — odpowiedział Harbert — niewątpliwie stało się to niedawno.

— Do zagrody! Do zagrody! — zawołał inżynier.

W tej chwili koloniści znajdowali się w połowie drogi pomiędzy Granitowym Pałacem i zagrodą. Mieli do przebycia jeszcze dwie i pół mili. Puścili się biegiem.

Istotnie, należało się obawiać, że w zagrodzie zaszło jakieś poważne zdarzenie. Bez wątplenia Ayrton mógł wysłać telegram, który nie dotarł do celu, ale to nie było jeszcze powodem do niepokoju. Martwił ich niezrozumiały fakt, że Ayrton mimo obietnicy, że powróci poprzedniego dnia wieczorem, do tej pory się nie pokazał. Wreszcie przecież nie bez powodu została zerwana komunikacja pomiędzy zagrodą i Granitowym Pałacem, a któż inny mógł mieć w tym interes, jeżeli nie piraci?

Koloniści biegli z sercami ściśniętymi niepokojem. Szczerze przywiązali się do swego towarzysza. Czyżby mieli go znaleźć zabitego ręką tych, którym niegdyś przewodził?

Wkrótce przybyli do miejsca, w którym droga ciągnęła się wzdłuż maleńkiego strumyka, stanowiącego dopływ Czerwonego Potoku i nawadniającego łąki zagrody. Tu zwolnili kroku, żeby nie przybyć bez tchu, w chwili gdy być może konieczne będzie podjęcie walki. Odbezpieczoną broń trzymali w pogotowiu. Każdy wpatrywał się w las. Top głucho warczał, co nie wróżyło nic dobrego.

Wreszcie pomiędzy drzewami ukazała się palisada zagrody. Nigdzie nie było widać śladu zniszczeń. Brama była zamknięta jak zwykle. W zagrodzie panowała głęboka cisza, nie słychać było ani zwykłego beczenia muflonów, ani głosu Ayrtona.

— Wejdzmy — powiedział Cyrus Smith.

Poszedł naprzód, podczas gdy jego towarzysze stanęli dwadzieścia kroków za nim, gotowi do strzału.

Cyrus Smith odsunął wewnętrzną zasuwę i zamierzał odepchnąć skrzydło bramy, gdy nagle Top zaszczekał wściekle. Ponad palisadą rozległ się wystrzał i odpowiedział mu okrzyk bólu.

Harbert ugodzony kulą padł na ziemię.

ROZDZIAŁ VII

Reporter i Pencroff w zagrodzie. — Przeniesienie Harberta. — Rozpacz marynarza. — Narada reportera i inżyniera. — Sposób leczenia. — Trochę nadziei. — Jak zawiadomić Naba? — Posłaniec pewny i wierny. — Odpowiedź Naba.

Na krzyk Harberta Pencroff rzucił broń i skoczył do niego.

— Zabili go! — zawołał. — Zabili moje najdroższe dziecko!

Cyrus Smith i Gedeon Spilett pobiegli w stronę Harberta. Reporter pochylił się, aby usłyszeć, czy serce biednego młodzieńca bije jeszcze.

— Żyje! — zawołał w końcu. — Ale trzeba go przenieść.

— Do Granitowego Pałacu? To niemożliwe — odpowiedział inżynier.

— A więc do zagrody! — zawołał Pencroff.

— Chwileczkę! — powiedział Cyrus Smith.

I pobiegł w lewo, żeby okrążyć ogrodzenie. Nagle ujrzał przed sobą jednego ze zbiegłych bandytów, który wycelował do niego i przeszył mu kulą kapelusz. Zanim jednak miał czas strzelić po raz drugi, padł ugodzony w samo serce sztyletem Cyrusa, jeszcze pewniejszym od jego strzelby.

Tymczasem Gedeon Spilett i marynarz wdrapali się na częstokół, przeszli górą, skoczyli do zagrody, odsunęli podpory blokujące bramę od wewnątrz i wpadli do domku. Nie było tam nikogo. W kilka minut później Harbert spoczął na posłaniu Ayrtona. Za chwilę Cyrus Smith również znalazł się przy nim.

Na widok leżącego bez życia Harberta marynarz wpadł w straszliwą rozpacz. Łkał, płakał, chciał tłuc głową o ścianę. Reporter i inżynier na próżno starali się go uspokoić. Ich także wzruszenie prawie pozbawiało tchu. Nie mogli wykrztusić ani słowa.

Pomimo to robili wszystko, co było w ich mocy, ażeby wydrzeć śmierci biednego chłopca konającego na ich oczach. Gedeon Spilett po tylu przygodach przebytych w ciągu życia miał pewną wiedzę medyczną i chirurgiczną. Znał się na wszystkim po trosze i już nieraz zdarzyło mu się pielęgnować rany zadane bądź to bronią białą, bądź palną. Toteż z pomocą Cyrusa Smitha przystąpił natychmiast do pierwszych zabiegów, jakich wymagał stan Harberta.

Reportera przede wszystkim uderzyło ogólne odrętwienie chłopca, będące wynikiem czy to krwotoku, czy też wstrząsu, jeżeli kula uderzyła w kość z siłą dostateczną do wywołania podobnego skutku.

Harbert był niezmiernie słaby i miał tak słaby puls, że Gedeon Spilett ledwo wyczuwał uderzenia tętna, i to z długimi przerwami, jak gdyby życie lada chwila miało się zatrzymać. Chłopiec był nieprzytomny i wyglądało na to, że prawie całkowicie stracił czucie. Objawy były bardzo poważne.

Spilett obnażył pierś Harberta i po zatamowaniu krwi chustkami do nosa obmył ją zimną wodą.

Wówczas ukazała się rana. Był to owalny otwór pomiędzy trzecim a czwartym zębem. Tam kula ugodziła Harberta.

Cyrus Smith i Gedeon Spilett przewrócili biednego chłopca na drugi bok. Z jego piersi wydobył się przy tym tak słaby jęk, iż można było sądzić, że to ostatnie tchnienie.

Na plecach Harberta ziała druga rana, w miejscu, którędy wyszła kula.

— Dzięki Bogu! — zawołał reporter. — Kula nie utkwiała w ciele, nie trzeba jej będzie wydobywać.

— A serce? — spytał Cyrus Smith.

— Nieuszkodzone, inaczej Harbert byłby już nieżywy.

— Nieżywy! — zawołał Pencroff z jękiem.

Usłyszał tylko ostatnie słowa reportera.

— Nie, Pencroffie, nie! — zawołał Cyrus Smith. — On żyje! Jego plus wciąż jeszcze bije. Przed chwilą nawet jęknął. Ale błagam pana dla dobra tego dziecka, niech się pan uspokoi. Musimy zachować zimną krew. Niech pan nas nie wytrąca z równowagi, przyjacielu.

Pencroff zamilkł, ale o tym, co przeżywał, świadczyły wielkie łzy spływające mu po twarzy.

Tymczasem Gedeon Spilett usiłował skupić swoje wspomnienia i zdobyć się na jakąś metodę. Z tego, co widział, zdawało mu się niewątpliwe, że kula wpadła z przodu, a wyszła z tyłu. Ale jakie spustoszenia zrobiła, przechodząc? Jakie ważne narządy zostały naruszone? Oto pytania, na które w tej chwili trudno byłoby odpowiedzieć zawodowemu chirurgowi, a coś dopiero reporterowi.

Wiedział jednak dobrze, że należało zapobiec wystąpieniu zakażenia, a następnie zwalczyć zapalenie miejscowe i gorączkę, niewątpliwy wynik tej rany, kto wie, może śmiertelnej. Ale jakich użyć środków, jak zwalczyć stan zapalny?

W każdym razie najważniejszą rzeczą było niezwłocznie opatrzyć obie rany. Gedeon Spilett uznał, że obmywanie ran ciepłą wodą i ściskanie brzegów wywoła nowy niepożądany wpływ krwi. Krwotok już i tak był bardzo obfity i utrata krwi zanadto osłabiła Harberta.

Reporter więc uznał za stosowne poprzestać na obmyciu ran zimną wodą.

Harberta ułożono na lewym boku i utrzymywano w tej pozycji.

— Nie powinien się ruszać — powiedział Gedeon Spilett. — Ta pozycja jest najbardziej korzystna, żeby ropa swobodnie odpływała z ran na piersi i na plecach, a poza tym konieczny jest absolutny spokój.

— Jak to? Więc nie można go przenieść do Granitowego Pałacu? — spytał Pencroff.

— Nie, Pencroffie — odpowiedział reporter.

— Przekleństwo! — zawołał marynarz, wznosząc zacisniętą pięść ku niebu.

— Pencroffie! — napomniał go Cyrus Smith.

Gedeon Spilett ponownie z największą uwagą zabrał się do badania rannego chłopca. Harbert był nadal tak straszliwie blady, że reporter niepokoił się.

— Cyrusie — powiedział — nie jestem lekarzem, dręczy mnie straszna niepewność... Musi mi pan pomóc swoją radą, swoim doświadczeniem.

— Niech się pan uspokoi, przyjacielu — odpowiedział inżynier, ściskając mu dłoń.

— Niech pan rozważa wszystko z zimną, myśląc tylko o jednym: trzeba ocalić Harberta!

Te słowa przywróciły Gedeonowi Spilettowi opanowanie, które pod wpływem poczucia odpowiedzialności utracił w chwili zwątpienia. Podniósł się i usiadł tuż przy łóżku Harberta. Cyrus Smith stanął przy nim. Pencroff rozdarł swoją koszulę i machinalnie zaczął skubać szarpie³⁹⁰.

Tymczasem Gedeon Spilett wyjaśnił Cyrusowi Smithowi, że trzeba przede wszystkim powstrzymać wpływ krwi, ale nie zamykać ran ani nie starać się o ich jak najszybsze zabliznienie się, ponieważ doszło do obrażeń wewnętrznych, a nie można dopuścić, by ropa gromadziła się w klatce piersiowej.

Cyrus Smith całkowicie się z nim zgodził. Postanowiono opatrzyć obie rany, jednak bez ich zamykania przez zbliżanie brzegów.

Ale czy koloniści mieli skuteczny środek przeciwko zapaleniu, które mogło wystąpić?

Tak, taki środek mieli pod ręką, przyroda wszystkich hojnie nim obdarzyła. Mieli zimną wodę, a więc najpotężniejszą broń przeciwko zapaleniu ran, najskuteczniejszy czynnik terapeutyczny w przypadkach najbardziej groźnych, obecnie przyjęty już przez wszystkich lekarzy. Zimna woda ma to do siebie, że zapewnia ranie całkowity spokój i usuwa potrzebę natychmiastowego obandażowywania, co stanowi znaczącą zaletę, gdyż nie dopuszcza do zetknięcia się rany z powietrzem, co, jak to pokazało doświadczenie, w pierwszych dniach bywa zgubne.

Tak rozumowali Gedeon Spilett i Cyrus Smith, kierując się tylko wrodzonym zdrowym rozsądkiem, a nie mogliby rozumować lepiej, będąc najbieglejszymi chirurgami. Na rany biednego Harberta przyłożono więc kompresy z płótna i stale zwilżano je zimną wodą.

Marynarz zaraz po wypadku rozniecił ogień w domku, w którym nie brakowało rzeczy niezbędnych do życia. Cukier klonowy i rośliny lecznicze, te same, które młodzieniec zebrał niegdyś na brzegach Jeziora Granta, ułatwiły przyrządzenie orzeźwiających ziółek,

³⁹⁰szarpie — daw. materiał na opatrunki sporządzany z nitek wyskubywanych z kawałków płótna. [przypis edytorski]

które wiano w usta Harbertowi, wciąż jeszcze nieprzytomnemu. Biednego młodzieńca dręczyła bardzo silna gorączka. Minął cały dzień i noc, a wciąż jeszcze nie odzyskał przytomności. Jego życie wisiało na włosku, który mógł się lada chwila zerwać.

Nazajutrz, 12 listopada, Cyrus Smith i jego towarzysze zaczęli mieć jakąś nadzieję. Harbert odzyskał przytomność. Otworzył oczy i poznał Cyrusa Smitha, reportera i Pencroffa. Wymówił nawet dwa czy trzy słowa. Nie wiedział jednak jeszcze, co się z nim stało. Gedeon Spilett opowiedział mu o wszystkim, zaklinając, aby się wystrzegł najmniejszego poruszenia, i zapewniając go, że jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo, a rany w ciągu kilku dni się zablizną. Harbert prawie nie czuł bólu, a woda, którą bez ustanku skrapiano okłady, zapobiegała zapaleniu ran. Wydzielanie ropy było normalne, gorączka się nie zwiększała, można więc było się spodziewać, że ta okropna rana nie pociągnie za sobą żadnej katastrofy. Pencroff czuł, jak ma powoli spada kamień z serca. Czuwał jednak wciąż nad Harbertem jak siostra miłosierdzia, jak matka przy łóżku swego dziecka.

Harbert ponownie zasnął, snem, jak się zdawało, o wiele spokojniejszym.

— Niech mi pan powtórzy, że ma pan nadzieję, panie Spilett — odezwał się Pencroff.
— Niech pan powtórzy, że uratuje pan Harberta!

— O tak, uratujemy go! — odpowiedział reporter. — To ciężka rana, a kto wie nawet, czy kula nie przeszła płuc, ale przebicie tego narządu nie jest śmiertelne.

— Oby pana Bóg wysłuchał!... — zawołał Pencroff.

Jak łatwo się domyśleć, przez pierwsze dwadzieścia cztery godziny pobytu w zagrodzie koloniści zajmowali się tylko Harbertem. Nie zastanawiali się nad niebezpieczeństwem, które mogłoby im grozić w przypadku powrotu piratów, ani o środkach ostrożności, które należałoby podjąć na przyszłość.

Ale tego dnia, podczas gdy Pencroff czuwał u łóżka chorego, Cyrus Smith i reporter oddalili się na chwilę, żeby porozmawiać o tym, co zrobić.

Przede wszystkim obeszlą całą zagrodę. Nigdzie nie było ani śladu Ayrtona. Czyżby uprowadzili go dawni wspólnicy? Czyżby napadli go znienacka w zagrodzie? A w takim razie może walczył i zginął? To ostatnie przypuszczenie aż nadto było prawdopodobne. W chwili przechodzenia przez częstokół Gedeon Spilett widział wyraźnie, jak jeden z bandytów uciekał w stronę południowego stoku Góry Franklina, a Top rzucił się za nim. Był to jeden z tych piratów, których łódź rozbiła się o skały przy ujściu Rzeki Dziękczynienia. Zresztą zabity przez Cyrusa Smitha złoczyńca, którego ciało znaleziono poza palisadą, należał niewątpliwie do bandy Boba Harveya.

W samej zagrodzie nie było żadnych zniszczeń. Wrota były zamknięte, więc zwierzęta nie mogły rozbiec się po lesie. Nie było widać żadnych śladów walki, żadnych uszkodzeń ani w palisadzie, ani w domu.

— Nieszczęśnik — powiedział Cyrus Smith, myśląc o Ayrtonie. — Musieli go napaść znienacka, a ponieważ niewątpliwie się bronił, więc go zabili.

— Tak, też się tego obawiam! — odpowiedział reporter. — Następnie zapewne zakwaterowali się w zagrodzie, gdzie znaleźli wszystkiego pod dostatkiem, i dopiero kiedy nas zobaczyli, uciekli. To całkiem pewne, że w tym momencie Ayrtona, żywego czy martwego, już tu nie było.

— Należałoby przeszukać las — powiedział inżynier — i uwolnić wyspę od tych nędzników. Przeczucia Pencroffa nie zawiodły go, gdy radził zrobić na nich obławę jak na dzikie bestie. Iluż by to nieszczęść nam oszczędziło!

— To prawda — odpowiedział reporter — ale teraz mamy prawo postępować bez litości!...

— W każdym razie — zauważył inżynier — musimy pozostać w zagrodzie do chwili, gdy będzie można bez ryzyka przenieść Harberta do Granitowego Pałacu.

— A co z Nabem? — spytał reporter.

— Nab jest bezpieczny.

— A jeżeli zaniepokojony naszą nieobecnością odważy się tu przyjść?

— Nie możemy do tego dopuścić — odpowiedział żywo Cyrus Smith. — Zamordowano by go w drodze.

— A jednak to bardzo prawdopodobne, że spróbuje do nas dołączyć.

— Ach, gdyby telegraf jeszcze funkcjonował, moglibyśmy go uprzędzić. Ale teraz to niemożliwe! A nie możemy też zostawić tutaj samego Pencroffa z Harbertem... Ha!... Więc pójdę do Granitowego Pałacu sam.

— Nie, nie, Cyrusie! — zawołał reporter. — Nie wolno się panu w ten sposób narażać! Na nic by się nie zdała cała pańska odwaga. Ci nędznicy najpewniej pilnują zagrody, założyłbym się, że siedzą w zasadzce w otaczających lasach, więc gdyby pan wyruszył w drogę, wkrótce mielibyśmy do oplakiwania dwa nieszczęścia zamiast jednego.

— Ale co z Nabem?... — powtórzył inżynier. — Od dwudziestu czterech godzin nie miał od nas żadnych wiadomości. Gotów do nas przyjść.

— A ponieważ będzie mniej ostrożny niż my, zginie! — zawołał Gedeon Spilett.

— Czy nie ma sposobu, żeby go ostrzec?

Inżynier zastanawiał się nad tym, gdy nagle jego wzrok padł na Topa, który kręcił się tu i tam, jakby chcąc powiedzieć: „A ja? Cóż to, czy zapomnieliście o mnie?”.

— Top! — zawołał Cyrus Smith.

Zwierzę podbiegło na głos swego pana.

— Tak, Top pójdzie! — zawołał reporter, zrozumiawszy od razu myśl inżyniera. — Top przejdzie tam, gdzie my nie dalibyśmy rady! Zaniesie do Granitowego Pałacu wiadomość z zagrody i przyniesie nam stamtąd odpowiedź!

— Prędkiej! — odpowiedział Cyrus Smith. — Spieszmy się!

Gedeon Spilett szybko wydarł kartkę ze swojego notatnika i skreślił na niej następujące słowa:

Harbert ranny. Jesteśmy w zagrodzie. Miej się na baczności. Nie opuszczaj Granitowego Pałacu. Czy piraci pojawili się gdzieś w okolicach Pałacu? Odpowiedz przez Topa!

Ten zwinny list zawierał wszystko, co Nab powinien wiedzieć, a równocześnie zapytywał o wszystko, czego chcieli się dowiedzieć koloniści. Złożono kartkę i w sposób bardzo widoczny przymocowano do obroży Topa.

— Top, mój piesku! — zawołał wówczas inżynier, głaszcząc wierne zwierzę. — Nab, Topie! Nab! Ruszaj! Naprzód!

Top na te słowa skoczył naprzód. Widocznie zrozumiał czy odgadł, czego od niego wymagano. Droga z zagrody do Granitowego Pałacu i z powrotem była mu doskonale znana. Mógł ją przebyć w niespełna pół godziny i było pewne, że tam, gdzie Cyrus Smith ani reporter nie uniknęliby niebezpieczeństwa, Top, przemykając się w wysokiej trawie lub skrajem lasu, przejdzie niepostrzeżony.

Inżynier podszedł do bramy ogrodzenia i otworzył jej skrzydło.

— Nab! Topie, Nab! — powtórzył raz jeszcze i wyciągnął rękę w kierunku Granitowego Pałacu.

Top wyskoczył za bramę i prawie natychmiast zniknął z oczu.

— Dotrze na miejsce — powiedział reporter.

— Niewątpliwie dotrze i powróci, wierne zwierzę.

— Która godzina? — spytał Gedeon Spilett.

— Dziesiąta.

— Za godzinę może już być z powrotem. Będziemy go wyglądali.

Bramę zagrody ponownie zamknięto. Inżynier i reporter powrócili do domu. Harbert był pogrążony w głębokim śnie. Pencroff dbał, żeby okłady na ranach były cały czas wilgotne. Gedeon Spilett, nie mając w tej chwili nic innego do roboty, zajął się przyrządzaniem posiłku, jednocześnie nie spuszczać z oka części ogrodzenia przylegającej do zbocza góry, skąd najprędzej można było się obawiać napadu.

Koloniści z wielkim niepokojem czekali na powrót Topa. Na kilka chwil przed jedenastą Cyrus Smith i reporter z bronią w ręku zaczęli się za bramą, gotowi otworzyć ją przy pierwszym szczeknięciu wiernego psa. Nie mieli wątpliwości, że jeżeli tylko Topowi udało się szczęśliwie dotrzeć do Granitowego Pałacu, to Nab natychmiast odesłał go z powrotem.

Czekali tak już z dziesięć minut, gdy nagle zabrzmiał strzał, a po nim rozległo się gwałtowne szczekanie.

Inżynier szybko otworzył bramę i widząc jeszcze resztki dymu unoszące się w odległości stu kroków na skraju lasu, wypalił w tym kierunku.

Prawie w tej samej chwili Top wpadł do zagrody. Natychmiast zamknięto za nim bramę.

— Top! Top! — zawołał z niepokojem inżynier, przyciskając do piersi poczciwy łeb dzielnego psa.

Do obroży przymocowana była kartka, z której Cyrus Smith odczytał następujące słowa, nakreślone niezgrabnymi literami przez Naba:

Ani śladu piratów w pobliżu Granitowego Pałacu. Nie ruszę się z miejsca.

Biedny pan Harbert!

ROZDZIAŁ VIII

Piraci w pobliżu zagrody. — Tymczasowe zakwaterowanie. — Dalsze leczenie Harberta. — Pencroff zaczyna się cieszyć. — Rzut oka w przeszłość. — Co przyniesie przyszłość. — Pogląd Cyrusa na tę sprawę.

Tak więc, jak się okazało, piraci wciąż znajdowali się w pobliżu, nie spuszczając z oka zagrody, zdecydowani wymordować kolonistów jednego po drugim. Nie pozostało nic innego, jak tylko traktować ich jak dzikie bestie. Należało podjąć poważne środki ostrożności, gdyż w tej chwili ci nędznicy mieli przewagę, mogli wszystko obserwować, sami nie będąc widziani, mogli zaskoczyć kolonistów niespodziewanym atakiem, sami nie potrzebując się tego obawiać.

Cyrus Smith urządził zatem wszystko w ten sposób, aby umożliwić kolonistom dłuższy pobyt wewnątrz zagrody, której zasoby mogły wystarczyć na dość długo. Mieszkanie Ayrtona zaopatrzone było we wszystkie rzeczy niezbędne do życia, których bandyci, sploszeni niespodziewanym zjawieniem się kolonistów, nie mieli czasu zrabować. Prawdopodobnie, jak zauważył Gedeon Spilett, wszystko potoczyło się w następujący sposób: sześciu piratów po wylądowaniu na wyspie poszło południowym wybrzeżem, obesli brzeg Półwyspu Wężowego, a nie chcąc zapuszczać się w Las Dalekiego Zachodu, dotarli do ujścia Rzeki Wodospadu. Stamtąd prawym brzegiem rzeki doszli do zboczy Góry Franklina, gdzie oczywiście zaczęli szukać jakiegoś schronienia i odkryli zagrodę, wówczas niezamieszkaną. Zapewne ulokowali się w niej, czekając na odpowiedni moment, żeby wprowadzić w czyn swoje ohydne zamiary. Przybycie Ayrtona musiało ich zaskoczyć, ale zdolali obezwładnić nieszczęśnika i... resztę łatwo już było odgadnąć.

Teraz ci bandyci, wprawdzie już tylko w pięciu, ale dobrze uzbrojeni, włoczyli się po okolicznych lasach, tak że zapuszczanie się tam byłoby wystawianiem się na ich ataki bez możliwości odparcia lub uprzedzenia niebezpieczeństwa.

— Musimy czekać! To tylko nam pozostało w tej chwili — powtarzał Cyrus Smith. — Gdy tylko Harbert wyzdrowieje, będziemy mogli urządzić obławę na wyspie i pokonamy wreszcie tych nędzników. To powinno być głównym celem naszej wielkiej wyprawy, podobnie jak...

— Odszukanie naszego tajemniczego opiekuna — dodał Gedeon Spilett, kończąc myśl inżyniera. — Ach! Trzeba przyznać, drogi Cyrusie, że tym razem jego opieki zabrakło, i to właśnie w chwili, gdy jej najbardziej potrzebowaliśmy!

— Kto wie? — odpowiedział inżynier.

— Co pan przez to rozumie? — spytał reporter.

— Że może nie jesteśmy jeszcze u kresu naszych utrapień, drogi Spilecie, i potężna moc naszego opiekuna będzie miała jeszcze okazję się objawić. Ale nie o to chodzi. Teraz najważniejsze jest życie Harberta.

Istotnie, była to największa troska kolonistów. Minęło kilka dni i stan biednego chłopca na szczęście nie pogorszył się. A w takiej chorobie zyskanie na czasie znaczy już bardzo wiele. Zimna woda, utrzymywana ciągle w odpowiedniej temperaturze, zapobiegła wytworzeniu się stanu zapalnego ran. Reporterowi wydawało się nawet, że ta woda, trochę siarkowa — co można było wyjaśnić bliskością wulkanu — miała jakiś bardziej

bezpośredni wpływ na gojenie się ran. Ropa wydzielala się mniej obficie, zaś dzięki nieustannym staraniom, którymi go otaczano, Harbert zaczął powracać do sił, coraz mniej gorączkując. Pozostawał zresztą na ścisłej diecie, co znacznie go osłabiło. Ponieważ jednak nie żałowano mu ziółek ani spokoju, jego stan coraz bardziej się poprawiał.

Cyrus Smith, Gedeon Spilett i Pencroff nabrali wielkiej zręczności w opatrywaniu chorego młodzieńca. Na bandażu poświęcono całą znajdującą się w domu bieliznę. Rany Harberta, pokryte szarpiami i okładem, nie były ani nazbyt, ani niedostatecznie ściśnięte, ale o tyle, aby doprowadzić do ich zabliznienia się bez wywołania reakcji zapalnej.

Reporter przykładał do tych opatrywań szczególne znaczenie, wiedząc dobrze, jak są ważne, i wciąż powtarzał swoim towarzyszom to, co uznaje większość lekarzy: że niewątpliwie rzadziej się zdarza widzieć dobrze opatrzoną ranę niż dobrze wykonaną operację.

Po upływie dziesięciu dni, 22 listopada, stan Harberta znacznie się polepszył. Młodzieniec zaczął już nawet przyjmować niewielkie ilości pokarmu. Na policzki powróciły mu rumieńce, a jego dobre oczy uśmiechały się do opiekunów. Zaczął też trochę mówić, pomimo wysiłków Pencroffa, który chcąc mu przeszkodzić, plótł bez ustanku, opowiadał najbardziej nieprawdopodobne historie. Harbert zapytał o Ayrtona, dziwiąc się, że go nie widzi w pobliżu, i sądząc, że musi być w zagrodzie. Marynarz, nie chcąc martwić młodzieńca, odpowiedział, że Ayrton poszedł do Naba i razem pilnują Granitowego Pałacu.

— Ach, ci piraci! — wołał od czasu do czasu. — Ci dżentelmeni stracili już prawo do jakichkolwiek względów! A pan Smith chciał apelować do ich sentymentów!... Dałbym ja im sentyment, ale ołowiany, i to dobrego kalibru!

— Nie pokazali się już ponownie? — spytał Harbert.

— Nie, mój chłopcze — odpowiedział marynarz — ale znajdziemy ich sami, a kiedy wyzdrowiejesz, przekonamy się, czy ci nędznicy, odważni, gdy uderzają od tyłu, ośmielają się stanąć przeciwko nam twarzą w twarz!

— Ale jestem jeszcze bardzo słaby, mój biedny Pencroffie.

— Ech, powoli wrócą ci siły! Cóż to jest kula przez pierś? Ot, drobnostka! Nie takie już rzeczy przeżyłem, a czuję się nie najgorzej.

Wszystko zdawało się jak najlepiej układać i dopóki nie pojawiłyby się jakieś komplikacje, wyzdrowienie Huberta można było uważać za pewne. Ale jakie byłoby położenie kolonistów, gdyby jego stan się pogorszył, gdyby na przykład kula utkwiała w ciele lub gdyby trzeba by było amputować rękę albo nogę?

— Nie! — powtarzał nieraz Gedeon Spilett. — Nigdy nie mogłem myśleć o podobnej ewentualności bez drżenia.

— A jednak, gdyby trzeba było — odpowiedział mu pewnego dnia Cyrus Smith — na pewno by się pan nie zawahał.

— Nie, Cyrusie! — odpowiedział Gedeon Spilett. — Ale Bogu niech będą dzięki, że mi oszczędził podobnej próby.

Jak w wielu innych przypadkach, tak i w tym koloniści odwoływali się po prostu do zdrowego rozsądku, który im tyle razy tak dobrze posłużył i po raz kolejny, dzięki ogólnej wiedzy, jaką posiadali, także ich nie zawiodł. Ale czy nie należało się obawiać, że może nadejść taka chwila, w której cała ich wiedza nie wystarczy? Byli sami na wyspie. Tymczasem ludzie, żyjąc w społeczeństwie, uzupełniają się, są sobie nawzajem potrzebni. Cyrus Smith dobrze o tym wiedział i czasem zadawał sobie pytanie, czy nie zajdzie taka okoliczność, wobec której okażą się bezradni.

Poza tym wydawało mu się, że on i jego towarzysze, dotąd tak szczęśliwi, weszli naraz w jakiś fatalny okres. Od przeszło dwóch i pół roku, czyli od czasu jak uciekli z Richmond, wszystko, można powiedzieć, szło im jak z płatka. Wyspa dostarczyła im w obfitości minerałów, roślin, zwierząt, a oni dzięki swej wiedzy umieli korzystać z tego, co im oferowała. Kolonia osiągnęła zupełny dobrobyt. Co więcej, w pewnych okolicznościach jakaś niezwykła moc przychodziła im z pomocą!... Ale to wszystko mogło się nagle skończyć.

Słowem, Cyrusowi Smithowi zdawało się, że szczęście się od nich odwróciło.

Istotnie, na wodach wyspy pojawił się okręt piratów i chociaż razem z załogą został zniszczony, jeśli się tak można wyrazić, niemal cudem, to sześciu bandytów uniknęło katastrofy. Wylądowali na wyspie, a pięciu pozostałych przy życiu było prawie nieuchwytnych.

nych. Nie ulegało wątpliwości, że Ayrton został zamordowany przez tych nędzników, posiadających broń palną i władających nią tak dobrze, że przy pierwszym wystrzale ich kula ugodziła Harberta prawie śmiertelnie. Czy nie były to przypadkiem pierwsze ciosy nieprzychylnego losu, który odtąd miał dręczyć kolonistów? To pytanie wciąż zadawał sobie Cyrus Smith. Oto co często powtarzał reporterowi i obu im się wydawało, że ta niezwykła, lecz skuteczna pomoc, której dotychczas tyle razy doznawali, teraz ich zawiodła. Czyżby ta tajemnicza istota, której istnieniu, kimkolwiek była, nie mogli zaprzeczyć, opuściła wyspę? A może z kolei ona sama uległa jakiemuś nieszczęściu?

Na te pytania nie można było udzielić odpowiedzi. Nie należy jednak sądzić, że Cyrus Smith i jego towarzysz rozmawiali o tym, ponieważ stracili nadzieję. Bynajmniej! Zdawali sobie jasno sprawę ze swego położenia, analizowali szanse, przygotowywali się na każdą okazję, z podniesionym czołem szli na spotkanie przyszłości, a gdyby jakieś przeciwności miały na nich uderzyć, napotkałyby ludzi gotowych do nieustraszonej walki.

ROZDZIAŁ IX

Brak wiadomości od Naba. — Odrzucona propozycja Pencroffa i reportera. — Wypadki Gedeona Spilletta. — Strzęp płótna. — Wiadomość. — Pospieszny wymarsz. — Przybycie na Płaskowyż Pięknego Widoku.

Ranny młodzieniec stopniowo powracał do zdrowia. Należało teraz życzyć sobie tylko jednego: żeby stan Harberta pozwolił na przeniesienie go do Granitowego Pałacu. Jakkolwiek dom w zagrodzie był dobrze urządzone i zaopatrzone, nie mógł się jednak równać z wygodnym i zdrowym mieszkaniem z granitu. Co więcej, nie zapewniał podobnego bezpieczeństwa i jego chwilowi mieszkańcy pomimo całej ostrożności wciąż byli narażeni na możliwe strzały piratów. Tam zaś, w Granitowym Pałacu, wewnątrz niezdobitych i niedostępnych ścian, nie było się czego obawiać, gdyż wszystkie zakusy przeciwko nim nieuchronnie spełzyły na niczym. Toteż z niecierpliwością oczekiwali właściwej chwili, by przetransportować Harberta bez zagrożenia dla jego zdrowia. Byli zdecydowani go przenieść, pomimo że przebycie Lasu Złotopióra nastęczało wiele trudności.

Od Naba nie było wprawdzie wiadomości, ale nie budziło to niepokoju kolonistów. Dzielny Murzyn, dobrze ukryty w głębi Granitowego Pałacu, nie dałby się zaskoczyć. Nie posłano do niego ponownie Topa, żeby nie narażać niepotrzebnie wiernego psa na strzały bandytów, które mogłyby pozbawić kolonistów najpożyteczniejszego pomocnika.

Kolonisci czekali więc, chociaż pragnęli jak najprędzej powrócić do Granitowego Pałacu. Inżynierowi ubolewał, że ich siły są rozdzielone, co sprzyjało piratom. Od czasu zniknięcia Ayrtona kolonistów było już tylko czterech przeciwko pięciu, gdyż Harbert nie mógł się jeszcze liczyć. Biedny młodzieniec martwił się, gdyż rozumiał, że mają z jego powodu kłopoty.

29 listopada, w czasie gdy pograżony we śnie Harbert nie mógł ich słyszeć, Cyrus Smith, Gedeon Spillett i Pencroff zaczęli się naradzać, jakie działania w obecnych warunkach należy podjąć przeciwko opryszkom.

— Przyjaciele — powiedział reporter po krótkiej rozmowie na temat Naba i niemożności skomunikowania się z nim — popieram wasze zdanie, że zaryzykować wyjście na drogę prowadzącą do zagrody znaczy tyle, co wystawić się na strzały bez możliwości odwetu. Czy nie sądzicie więc, że najwłaściwsze w tej chwili byłoby po prostu urządzenie polowania na tych nędzników?

— Też tak myślałem — odpowiedział Pencroff. — Nikt z nas, jak sądzę, nie obawia się kulki, a jeżeli pan Cyrus się ze mną zgodzi, gotów jestem natychmiast ruszyć do lasu. Cóż u diabła! Żaden z nas nie jest mniej wart niż któryś z nich.

— Ale czy tyle, co pięciu? — spytał inżynier.

— Przyłączę się do Pencroffa — odpowiedział reporter — a we dwóch, dobrze uzbrojeni, mając ze sobą Topa...

— Drodzy przyjaciele — odpowiedział Cyrus Smith — rozważmy na zimno. Gdyby piraci ukryli się w pewnym konkretnym miejscu na wyspie, gdybyśmy je znali i gdyby chodziło tylko o wykurzenie ich stamtąd, popierałbym bezpośredni atak. Ale czy nie należy się obawiać sytuacji odwrotnej, to znaczy, że to oni zaczną strzelać pierwsi?

— Cóż, panie Cyrusie, nie każda kula trafia pod właściwy adres!

— Ta, która dosięgła Harberta, nie zblądziła po drodze, Pencroffie — odpowiedział inżynier. — Zresztą zwróćcie uwagę i na to, że jeżeli obydwaj opuścicie zagrodę, to do jej obrony zostaną tylko ja sam. A czy możecie ręczyć za to, że bandyci nie zobaczą, jak wychodzicie, i że nie pozwolą wam zapaść się spokojnie w las, po to aby skorzystać z waszej nieobecności i uderzyć na zagrodę, wiedząc, że znajdują tu tylko rannego chłopca i jednego obrońcę?

— Ma pan rację, panie Cyrusie! — zawołał Pencroff, choć piersi rozpierał mu głuchy gniew. — Ma pan rację. Gotowi zrobić wszystko, żeby ponownie zawładnąć zagrodą, gdyż wiedzą, że jest dobrze zaopatrzona. A sam jeden nie zdołałby się pan im oprzeć. Ach, gdybyśmy byli w Granitowym Pałacu!

— Gdybyśmy byli w Granitowym Pałacu — odpowiedział inżynier — sytuacja byłaby inna. Tam nie obawiałbym się zostawić Harberta z jednym z nas, a pozostali wyruszyliby, żeby przetrząsnąć lasy na wyspie. Ale jesteśmy w zagrodzie i musimy w niej pozostać do chwili, aż będziemy mogli opuścić ją wszyscy razem.

Nie można było się nie zgodzić z rozumowaniem Cyrusa Smitha i jego towarzysze dobrze to rozumieli.

— Gdyby przynajmniej Ayrton był z nami! — zawołał Gedeon Spilett. — Biedak! Jak krótko trwało jego ponowne życie wśród ludzi!

— Jeżeli nie żyje... — dodał Pencroff dziwnym tonem.

— Czyżby miał pan nadzieję, że ci niegodziwcy darowali mu życie? — zapytał Gedeon Spilett.

— Tak, jeżeli mieli w tym jakiś interes.

— Jak to?! Przypuszcza pan, że Ayrton, odnalazszy swoich dawnych kamratów, zapomniał o wszystkim, co nam zawdzięcza?...

— Kto wie? — odpowiedział marynarz, z pewnym wahaniem stawiając to przykre podejrzenie.

— Pencroffie — odezwał się Cyrus Smith, biorąc marynarza za rękę — ma pan nie-dobre myśli i bardzo by mnie pan zmartwił, gdyby pan przy nich obstawał. Ręczę za wierność Ayrtona.

— I ja również — dorzucił żywo reporter.

— Tak, tak, panie Cyrusie, zblądziłem — odpowiedział Pencroff. — To była rzecz-wście niedobra myśl, której nic nie usprawiedliwia. Ale co panowie chcecie? Nie wiem już, dalibóg, co się ze mną dzieje. To uwięzienie w zagrodzie mnie męczy okropnie. Nigdy nie byłem tak rozdrażniony jak dziś.

— Cierpliwości, Pencroffie — odpowiedział inżynier. — Jak pan sądzi, drogi Spilecie, jak prędko będzie można przetransportować Harberta do Granitowego Pałacu?

— Trudno powiedzieć, Cyrusie — odpowiedział reporter — gdyż najmniejsza nie-ostrożność mogłaby wywołać fatalne skutki. Niemniej jednak rekonwalescencja przebiega prawidłowo, więc może za tydzień odzyska siły, a wtedy zobaczymy.

Cały tydzień! Zatem powrót do Granitowego Pałacu mógłby nastąpić dopiero w pierwszych dniach grudnia.

Wiosna trwała już od dwóch miesięcy. Pogoda była prześliczna i upały zaczynały się wzmaczać. Lasy na wyspie okryły się liśćmi i zbliżał się czas, w którym trzeba było rozpocząć zbiory. Po powrocie na Płaskowyż Pięknego Widoku koloniści powinni zająć się intensywnymi pracami rolnymi, które przerwać miała tylko zamierzona wyprawa w głąb wyspy.

Łatwo zatem zrozumieć, jak doskwierało kolonistom to zamknięcie w zagrodzie. Musieli jednak nagiąć się wobec konieczności, chociaż poddawali się temu nie bez mocnego zniecierpliwienia.

Raz czy dwa reporter odważył się wyjść za bramę zagrody i obejść wkoło palisadę. Towarzyszył mu Top, a on sam, trzymając odbezpieczony karabin, był przygotowany na wszelką ewentualność.

Nie spotkał nikogo ani nie spostrzegł w pobliżu zagrody żadnych podejrzanych śladów. Zresztą pies ostrzegłby go o niebezpieczeństwie, a ponieważ nie szczeknął ani razu, można było przypuszczać, że przynajmniej w tej chwili nie ma powodu do obaw i że piraci znajdują się w jakiejś innej części wyspy.

Podczas drugiego wypadu, 27 listopada, Gedeon Spilett, zapuściwszy się ze ćwierć mili w las na południowym zboczu góry, zauważył, że Top coś wywęszył. Pies stracił swoją zwykłą obojętną postawę. Biegał tam i z powrotem, wietrząc po kępach trawy i krzakach, jak gdyby węch ujawnił mu coś podejrzanego.

Gedeon Spilett podążył za psem, szcując go i zachęcając głosem, a jednocześnie czujnie rozglądając się dookoła, trzymając karabin w pogotowiu i kryjąc się za drzewami. Było mało prawdopodobne, aby Top wyczuł obecność człowieka, bo w takim przypadku oznajmiłby ją na pół stłumionym, głuchym szczekaniem ze oznakami złości. Tymczasem teraz ani warknął, co znaczyło, że w pobliżu nie ma niebezpieczeństwa.

Tak upłynęło z pięć minut, w ciągu których Top ciągle węszył i szukał, a reporter szedł za nim ostrożnie, gdy nagle pies skoczył w gęste krzaki i wyciągnął stamtąd strzęp jakiegoś płótna.

Był to kawałek ubrania, poplamiony i podarty. Gedeon Spilett zaniósł go natychmiast do zagrody. Koloniści obejrzeni go uważnie i rozpoznali w nim kawałek kamizelki Ayrtona, uszytej z filcu wyrabianego jedynie w pracowni Granitowego Pałacu.

— Widzi pan, Pencroffie — powiedział, zwracając się do niego, Cyrus Smith — oto dowód oporu nieszczęsnego Ayrtona. Bandyci uprowadzili go wbrew jego woli. Czy wątpi pan jeszcze w jego uczciwość?

— Nie, panie Cyrusie — odpowiedział marynarz. — Już dawno pozbyłem się tej chwilowej podejrzliwości. Wydaje mi się jednak, że z tego faktu można wyciągnąć pewien wniosek.

— A mianowicie? — spytał reporter.

— Że Ayrtona nie zabito w zagrodzie. Uprowadzono go żywcem, skoro stawiał opór. Może więc jeszcze żyje.

— Istotnie, możliwe — odpowiedział inżynier w zamyśleniu.

Był to promyk nadziei, którego mogli uczepić się towarzysze Ayrtona. Jeszcze niedawno uważali, że Ayrton napadnięty zniemacka w zagrodzie padł od kuli tak jak Harbert. Jeżeli jednak, jak się obecnie pokazało, bandyci nie zabili go od razu, jeżeli go uprowadzili żywcem w jakąś inną część wyspy, to czy nie można było mieć nadziei, że żyje nadal jako więzień? A kto wie nawet, czy któryś z rozbójników nie rozpoznał w Ayrtonie dawnego kamrata z Australii, Ben Joyce'a, herszta zbiegłych więźniów, i czy nie powzięli zuchwałej nadziei przyciągnięcia go na swoją stronę? Gdyby tylko udało im się nakłonić go do zdrady, bardzo by im się przydał.

Znalezienie strzępka tkaniny uznano w zagrodzie za pomyślny znak i odtąd odnalezienie Ayrtona przestało wydawać im się niemożliwe. Zresztą nie ulegało wątpliwości, że jeżeli Ayrton żyje i jest w niewoli, to ze swej strony zrobi wszystko, co będzie w jego mocy, aby wyrwać się z rąk bandytów, a wtedy koloniści zyskaliby potężnego pomocnika.

— W każdym razie — zauważył Gedeon Spilett — jeżeli Ayrtonowi uda się szczęśliwie wydostać z rąk porywaczy, niewątpliwie pospieszy wprost do Granitowego Pałacu, gdyż nic nie wie o morderczym zamachu, którego ofiarą padł Harbert, a więc nie może mu przyjść na myśl, że jesteśmy zamknięci w zagrodzie.

— Ach, chciałbym, żeby już był w Granitowym Pałacu, a my razem z nim! — zawołał Pencroff. — Bo koniec końców, chociaż ci hultaje nie mogą niczego zrobić przeciwko naszemu mieszkaniu, to mogą spustoszyć płaskowyż, nasze plantacje, naszą ptaszarnię.

Pencroff stał się już prawdziwym rolnikiem, oddanym całym sercem swoim uprawom. Trzeba jednak przyznać, że najpilniej do Granitowego Pałacu było Harbertowi, gdyż zdawał sobie sprawę, jak niezbędną była tam obecność kolonistów, a to przecież tylko ze względu na niego pozostawali w zagrodzie. Toteż zawładnęła nim jedna jedyna myśl: opuścić zagrodę, i to za wszelką cenę! Wydawało mu się, że ma dosyć siły, aby znieść transport do Granitowego Pałacu. Zapewniał, że dużo szybciej nabierze sił w swoim pokoju, pełnym świeżego powietrza i z widokiem na morze.

Kilkakrotnie naciskał Gedeona Spiletta, ale reporter, słusznie obawiając się, że rany młodzińca, jeszcze słabo zabliznione, mogą się w drodze otworzyć, nie chciał wydać hasła do odejścia.

Tymczasem jednak zaszedł wypadek, który skłonił Cyrusa Smitha i jego obu przyjaciół do tego, że ulegli naleganiom Harberta, ale Bóg tylko wie, ile to postanowienie kosztowało ich żalu i wyrzutów sumienia.

Było to 29 listopada. O siódmej rano trzech koloniści rozmawiali w pokoju Harberta, gdy nagle usłyszeli donośne szczekanie Topa.

Na ten dźwięk Cyrus Smith, Pencroff i Gedeon Spilett chwycili zawsze gotowe do strzału strzelby i wypadli z domu.

Top biegł wzdłuż palisady, skacząc i szczekając, ale najwyraźniej z radości, nie ze złości.

— Ktoś idzie.

— Tak.

— I to nie wróg...

— Może Nab?

— Lub Ayrton?

Ledwie inżynier i jego towarzysze zdolali zamienić tych parę słów, gdy jakaś postać przesadziła palisadę i stanęła przed nimi. Był to Jup, pan Jup we własnej osobie, Jup, którego Top witał jak prawdziwego przyjaciela!

— Jup! — zawołał Pencroff.

— To Nab go nam przysłał! — odpowiedział reporter.

— Jeśli tak — odezwał się reporter — to musi mieć przy sobie jakąś kartkę.

Pencroff pospieszył do orangutana. Jeżeli Nab chciał przekazać jakąś ważną wiadomość swemu panu, to z pewnością nie mógł użyć pewniejszego i szybszego posłańca od Jupa, potrafiącego przemknąć się tam, gdzie ani kolonistom, ani może nawet Topowi by się nie udało.

Cyrus Smith się nie mylił. Na szyi Jupa wisiał małeńki woreczek, a w nim znajdowała się kartka skreślona ręką Naba.

Można sobie wyobrazić rozpacz Cyrusa Smitha i jego towarzyszy, gdy przeczytali następujące słowa:

Piątek, szósta rano.

Piraci opanowali płaskowyż.

Nab

Koloniści spojrzeli po sobie w milczeniu i wrócili do domu. Co mieli zrobić? Piraci na Płaskowyżu Pięknego Widoku to klęska, spustoszenie, ruina!

Harbert, ujrawszy wracających inżyniera, reportera i Pencroffa, odgadł, że sytuacja musiała się pogorszyć, a kiedy zobaczył Jupa, nie wątpił już, że jakieś nieszczęście zagraża Granitowemu Pałacowi.

— Panie Cyrusie! — zawołał. — Chcę stąd wyruszyć. Czuję, że zniosę drogę. Chcę jechać!

Gedeon Spilett zbliżył się do młodzieńca. Stanął i przyjrzał mu się przez chwilę, a potem powiedział:

— Ruszajmy więc!

Szybko rozstrzygnięto kwestię, czy Harberta należy przetransportować na noszach, czy w wózku sprowadzonym do zagrody przez Ayrtona. Na noszach ranny nie odczuwałby tak bardzo wstrząsów, ale wymagały dwóch ludzi do niesienia, to znaczy, że w razie napadu w drodze zabrakłoby dwóch strzelby do obrony.

Czy z drugiej strony, używając wózka, nie można by było mieć do dyspozycji wszystkich rąk? Czy nie dałoby się umieścić na nim materacy, położyć na nich Harberta i posuwać się tak ostrożnie, żeby uniknąć wstrząsów? Owszem, można było.

Wytoczono więc wózek. Pencroff zaprzął onagra. Cyrus Smith i reporter podnieśli materace z Harbertem i położyli na dnie wózka, pomiędzy burtami.

Pogoda była piękna. Jasne promienie słońca przebiły się przez gałęzie drzew.

— Czy broń jest pogotowiu? — zapytał Cyrus Smith.

Wszystko było w porządku. Inżynier i Pencroff, każdy uzbrojony w dubeltówkę, oraz Gedeon Spilett ze swoim karabinem w rękę byli gotowi do drogi.

— A ty, Harbercie, jak się czujesz? — spytał inżynier.

— Ach, panie Cyrusie — odpowiedział młodzieniec — może pan być spokojny, nie umrę w drodze!

Kiedy to mówił, widać było jednak, że biedny chłopiec przywołuje całą swoją energię i siłę woli, aby powstrzymać siły gotowe go lada chwila opuścić.

Inżynier poczuł, jak mu się serce boleśnie ściska. Zawahał się raz jeszcze z wydaniem hasła do odjazdu. Ale zrezygnować z tego zamiaru oznaczałoby doprowadzić Harberta do rozpacz, kto wie, zabić go może.

— Naprzód! — odezwał się Cyrus Smith.

Otwarto wrota zagrody. Jup i Top, którzy wiedzieli, kiedy milczeć, pobiegli naprzód. Wyprowadzono wózek, zamknięto bramę i prowadzony przez Pencroffa onager ruszył wolnym krokiem.

Oczywiście byłoby lepiej udać się inną drogą, a nie tą, która prowadziła bezpośrednio z zagrody do Granitowego Pałacu, ale wózkiem bardzo trudno byłoby jechać przez las. Nie pozostawało więc nic innego, jak podążać tą drogą, choć zbiegli bandyci musieli już ją znać.

Cyrus Smith i Gedeon Spilett szli po obu stronach wózka, gotowi odeprzeć każdy napad. Było jednak mało prawdopodobne, aby zbiegowie opuścili już Płaskowyż Pięknego Widoku. Nab zapewne skreślił i wysłał kartkę od razu, gdy tylko zobaczył tam napastników. Na kartce była podana godzina szósta rano, a zwinny orangutan, przywykły często biegać do zagrody, nie potrzebował zapewne więcej niż trzy kwadransy na przebycie pięciu mil, które dzieliły ją od Granitowego Pałacu. W tej chwili droga powinna więc być bezpieczna i jeżeli skądś miał paść jakiś strzał, to prawdopodobnie dopiero w pobliżu Granitowego Pałacu.

Mimo to na wszelki wypadek koloniści zachowywali czujność. Top z Jupem, uzbrojonym w swoją pałkę, to biegnąc przodem, to myszkując po lesie otaczającym drogę, nie sygnalizowali żadnego niebezpieczeństwa.

Wózek kierowany przez Pencroffa toczył się powoli. Wyprawa wyruszyła z zagrody o wpół do ósmej. W godzinę później z pięciu mil drogi mieli za sobą już cztery, i to bez żadnego wypadku.

Droga była pusta, podobnie jak cała część Lasu Złotopióra rozciągająca się pomiędzy Rzeką Dziękczynienia a jeziorem. Gęstwiny krzaków wydawały się tak samo bezludne, jak w dniu wylądowania kolonistów na wyspie.

Płaskowyż już był blisko. Jeszcze tylko mila i będzie widać mostek na Glicerynowym Potoku. Cyrus Smith nie wątpił, że mostek będzie opuszczony, ponieważ piraci albo musieli tędy przejść na płaskowyż, albo też jeżeli przeszli przez któryś z potoków opasujących płaskowyż, opuścili go przez ostrożność, żeby zabezpieczyć sobie odwrót.

Wreszcie pomiędzy ostatnimi drzewami zabłysło morze. Wózek toczył się dalej jak dotychczas, bo żaden z jego obrońców nie chciał nawet myśleć o tym, żeby go tu zostawić.

Nagle Pencroff zatrzymał onagra i krzyknął straszliwym głosem:

— Ach, nędznicy!

I wskazał ręką na gęste kłęby dymu unoszące się nad młynem, stajnią i zabudowaniami dla ptactwa.

W dymie uwijał się jakiś człowiek.

Był to Nab.

Jego towarzysze wydali okrzyk. Usłyszał i pobiegł w ich stronę.

Piraci opuścili płaskowyż niespełna pół godziny wcześniej, po spustoszeniu wszystkiego.

— A pan Harbert?! — zawołał Nab.

Gedeon Spilett czym prędzej wrócił do wózka.

Harbert leżał nieprzytomny.

ROZDZIAŁ X

Przeniesienie Harberta do Granitowego Pałacu. — Nab opowiada, co zaszło. — Cyrus Smith ogląda płaskowyż. — Ruiny i zgliszcza. — Koloniści bezradni wobec choroby. — Kora wierzbowa. — Śmiertelna gorączka. — Top znowu szczeka.

Koloniści nie myśleli już o bandytach, o niebezpieczeństwach zagrażających Granitowemu Pałacowi, ani o spustoszeniach na płaskowyżu. Najważniejszy był stan zdrowia

Harberta. Czyżby transport, wywołując jakieś obrażenia wewnętrzne, okazał się dla niego zgubny? Reporter nie umiał na to odpowiedzieć i wraz z resztą towarzyszy był w rozpacz.

Wózek doprowadzono do zakrętu rzeki. Tutaj zrobiono nosze z gałęzi i złożono na nich materace, na których bez znaku życia leżał Harbert. W dziesięć minut później Cyrus Smith, Gedeon Spilett i Pencroff byli już u podnóża Granitowego Pałacu, powierzwszy Nabowi odprowadzenie wózka na Płaskowyż Pięknego Widoku.

Uruchomiono windę i wkrótce Harbert spoczywał na swoim łóżku w Granitowym Pałacu.

Starania, których mu nie szczędzono, przywróciły go do życia. Uśmiechnął się przelotnie, gdy zobaczył, że jest w swoim pokoju, jednak był tak osłabiony, że mógł wyszeptać zaledwie jednak kilka słów.

Gedeon Spilett obejrzał rany. Obawiał się głównie tego, że nie będąc jeszcze całkiem zabliźnione, mogły się na nowo otworzyć. Nic podobnego się nie stało. Skąd więc wziął się ten nagły ubytek sił? Czemu stan Harberta się pogorszył?

Chłopiec znowu zapadł w gorączkowy sen. Pencroff z reporterem pozostali przy jego łóżku.

W tym czasie Cyrus Smith opowiadał Nabowi o wszystkim, co zaszło w zagrodzie, a Nab zaś opisał swemu panu zdarzenia, które miały miejsce na płaskowyżu.

Dopiero ubiegłej nocy bandyci pokazali się na skraju lasu, w pobliżu Glicerynowego Potoku. Nab, który znajdował się wówczas przy ptaszarni, nie wahał się ani chwili i wypalił do jednego z piratów, zamierzającego właśnie przekroczyć strumień, ale ponieważ noc była ciemna, nie wiedział, czy trafił nędznika. W każdym razie strzał nie wystarczył, żeby odstraszyć bandę, i Nab ledwo zdążył wycofać się do Granitowego Pałacu, gdzie przynajmniej był bezpieczny.

Ale co miał robić dalej? Jak zapobiec zniszczeniom, które zagrażały płaskowyżowi? Czy Nab mógł w jakiś sposób ostrzec swojego pana? A poza tym nie wiedział, w jakiej sytuacji znajdują się koloniści w zagrodzie.

Cyrus Smith i jego towarzysze wyjechali 11 listopada, a był już dwudziesty dziewiąty. Upłynęło zatem dziewiętnaście dni, podczas których Nab nie otrzymał od nich żadnej wiadomości oprócz tej fatalnej przyniesionej przez Topa: że Ayrton zginął, Harbert ciężko ranny, inżynier i reporter niemal uwięzieni w zagrodzie.

„Co robić?” — zadawał sobie pytanie biedny Nab. Sam nie musiał się niczego obawiać, gdyż bandyci nie mogli się dostać do Granitowego Pałacu. Ale budynki, plantacje, całe gospodarstwo było na łasce rabusiów! Czy nie należałoby zatem zwrócić się do Cyrusa Smitha po wskazówki, co ma robić, a przynajmniej ostrzec go o grożącym niebezpieczeństwie?

Wówczas Nab wpadł na pomysł wysłania Jupa z kartką. Znał przecież nadzwyczajną inteligencję orangutana, niejednokrotnie już wypróbowaną. Jup rozumiał słowo: „zagroda”, tak często przy nim powtarzane, i nieraz powoził tam wózkami, jeżdżąc w towarzystwie Pencroffa. Dzień jeszcze nie zaświtał. Szybki orangutan mógł więc prześliznąć się niepostrzeżenie przez lasy, w których zresztą bandyci mogli go wziąć za jednego z naturalnych mieszkańców tych okolic.

Nab nie wahał się ani chwili dłużej. Napisał kartkę i przywiązał ją do szyi Jupa. Następnie przyprowadził go do drzwi Granitowego Pałacu, z których spuścił długą linę, sięgającą aż do ziemi, i powtórzył kilkakrotnie:

— Jup! Jup! Zagroda! Zagroda!

Zwierzę zrozumiało, o co chodzi, pochwyciło za sznur, zsunęło się błyskawicznie na wybrzeże i znikło w ciemnościach, nie budząc podejrzeń rozbójników.

— Dobrze zrobiłeś, Nabie — powiedział Cyrus Smith — ale może lepiej by było, gdybyś nas nie zawiadamiał.

Mówiąc to, Cyrus Smith miał na myśli Harberta, któremu przewiezienie bardzo zaszkodziło.

Nab kończył swoje opowiadanie. Piraci nie pokazali się na wybrzeżu. Nie wiedząc, ilu jest mieszkańców wyspy, mogli sądzić, że Granitowego Pałacu broni znaczna załoga. Mogli sobie przypomnieć, że w czasie ataku brygu powitało ich mnóstwo strzałów z różnych miejsc jednocześnie, i zapewne nie chcieli się narażać. Ale Płaskowyż Pięknego Widoku, znajdujący się poza zasięgiem obstrzału z Granitowego Pałacu, stał przed nimi

otworem. Toteż na nim pofolgowali sobie swoim niszczyielskim popędem, plądrując i pałac dla samej przyjemności czynienia zła; wycofali się stamtąd dopiero na pół godziny przed przybyciem kolonistów, o których zapewne sądzili, że pozostają zamknięci w zagrodzie.

Zaraz po ich odejściu Nab opuścił swoje schronienie. Wdrapał się na płaskowyż i narażając się na kule, usiłował stłumić pożar trawiący budynki ptaszarni. Bezskutecznie walczył z ogniem do chwili, gdy na skraju lasu pojawił się wózek.

Takie były najważniejsze wypadki. Obecność piratów stanowiła bezustanne zagrożenie dla kolonistów Wyspy Lincoln, tak szczęśliwych do tej pory; teraz mogli się spodziewać jeszcze większych nieszczęść.

Gedeon Spilett z Pencroffem pozostali przy Harbercie w Granitowym Pałacu, a tymczasem Cyrus Smith wyszedł w towarzystwie Naba, żeby osobiście ocenić rozmiar strat.

Na szczęście bandyci nie zapędzili się aż do podnóża Granitowego Pałacu, gdyż warsztaty w Kominach nie uniknęłyby zniszczenia. Bądź co bądź jednak te szkody łatwiej byłoby naprawić niż ruiny nagromadzone na Płaskowyżu Pięknego Widoku.

Cyrus Smith i Nab skierowali się ku Rzece Dziękczynienia i przeszli jej lewym brzegiem, nie znajdując nigdzie ani śladu opryszków. W gęstwinie lasu na drugim brzegu rzeki również nie zauważyli niczego podejrzanego.

Nasuwały się dwa prawdopodobne przypuszczenia: albo rozbójnicy wiedzieli o powrocie kolonistów do Granitowego Pałacu, gdyż dostrzegli ich na drodze z zagrody, albo też zaraz po spustoszeniu płaskowyżu, idąc wzdłuż Rzeki Dziękczynienia, zagłębili się w Las Złotopióra i dlatego nic nie wiedzieli o powrocie kolonistów.

W pierwszym przypadku musieli zapewne powrócić do zagrody, obecnie niebronionej, a zawierającej różne cenne dla nich zasoby. W drugim zaś zapewne wrócili do swojego obozowiska, aby tam oczekiwać na nową okazję do napadu.

Należało więc ich uprzedzić; jednak wszelkie próby pozbycia się ich z wyspy były uzależnione od stanu zdrowia Harberta. Istotnie, do takiej wyprawy niezbędne były wszystkie siły, a w tej chwili nikt nie mógł opuścić Granitowego Pałacu.

Inżynier i Nab przybyli na płaskowyż. Żal było na niego patrzeć. Pola były stratowane. Dojrzałe kłosa, czekające na żniwa, leżały na ziemi. Inne plantacje również ucierpiały. Ogród warzywny był zupełnie zdewastowany. Na szczęście w Granitowym Pałacu pozostawała rezerwa nasion, pozwalająca na naprawienie tych szkód.

Co do młyna, zabudowań dla ptactwa i stajni dla onagrów, to pożar zniszczył je doszczętnie. Kilka spłoszonych zwierząt błądziło po płaskowyżu, a ptactwo, które w czasie pożaru szukało schronienia na wodach jeziora, powracało już powoli na swe zwykłe miejsce i pluskało się przy brzegu.

Wszystko trzeba było odbudowywać.

Twarz Cyrusa Smitha, bledsza niż zazwyczaj, zdradzała z trudem hamowany gniew, ale z ust inżyniera nie wydobyło się ani jedno gwałtowne słowo. Raz jeszcze spojrzął na spustoszone pola, na kłęby dymu unoszące się jeszcze nad zgłiszczami i powrócił do Granitowego Pałacu.

Następne dni były najsmutniejsze ze wszystkich, jakie koloniści przeżyli na wyspie. Osłabienie Harberta wyraźnie się wzmagало. Wyglądało na to, że zagraża mu jakaś poważna choroba, będąca następstwem głębokiego wstrząsu, jakiego doznał. Gedeon Spilett przewidywał, że może nastąpić takie pogorszenie się stanu zdrowia, którego nie będzie umiał zwalczyć.

Harbert pozostawał w stanie niemal ciągłego snu czy też półprzytomności i zaczął od czasu do czasu majaczyć. Tymczasem jedynym środkiem, jaki mieli do dyspozycji koloniści, były orzeźwiający napary. Gorączka nie była jeszcze zbyt duża, ale wkrótce okazało się, że zapewne będzie nawracać w postaci regularnych ataków.

Gedeon Spilett rozpoznał chorobę 6 grudnia. Palce, nos i uszy biednego młodzieńca nagle silnie pobladły, następnie opanowały go lekkie, a potem coraz silniejsze i gwałtowniejsze dreszcze. Puls miał słaby i nierówny, suchą skórę, męczyło go wielkie pragnienie. Później zrobiło mu się gorąco. Twarz się ożywiła, skóra poczerwieniała, tętno zaczęło galopować. Następnie wystąpiły obfite poty, po których gorączka jakby spadła. Cały atak trwał około pięciu godzin.

Choroba

Gedeon Spilett nie opuścił ani na chwilę Harberta, który miał atak febry³⁹¹ — to było więcej niż pewne. Tę niszczącą chorobę trzeba było zwalczyć za wszelką cenę, zanim przybierze groźniejsze rozmiary.

— Żeby go wyleczyć — powiedział Gedeon Spilett do Cyrusa Smitha — niezbędny jest jakiś środek antyfebryczny.

— Środek antyfebryczny! — odpowiedział inżynier. — Niestety, nie mamy ani kory chinowca³⁹², ani siarczanu chininy.

— To prawda — odezwał się Gedeon Spilett — ale na brzegu jeziora rosną wierzby, których kora może niekiedy zastąpić chininę.

— Spróbujmy więc, nie tracąc ani chwili! — zawołał Cyrus Smith.

Rzeczywiście, podobnie jak kasztanowiec indyjski, liście ostrokrzewu³⁹³, kokornaka³⁹⁴ itp., korę wierzbową słusznie uważa się za środek zastępujący chininę. Chociaż swoim działaniem nie dorównuje chininie, trzeba jej było spróbować, i to stosując w stanie naturalnym, ponieważ koloniści nie mieli możliwości wyodrębnić z niej alkaloidu, czyli salicyny³⁹⁵.

Cyrus Smith wyciął z drzewa należącego do gatunku wierzby czarnej³⁹⁶ kilka kawałków kory. Przyniósł je do Granitowego Pałacu i roztarł na proszek, który jeszcze tego samego wieczoru podano Harbertowi.

Noc upłynęła bez poważnych wypadków. Harbert trochę majaczył, ale w ciągu nocy gorączka nie pojawiła się ponownie, nie powróciła też następnego dnia.

Pencroffowi zaczęła wracać nadzieja. Gedeon Spilett nic nie mówił. Możliwe, że nawroty febry nie będą występować codziennie, mogła to być trzydniówka³⁹⁷, mogąca na jutro powrócić. Toteż oczekiwano tego dnia z największym niepokojem.

Zauważono poza tym, że w czasie tego okresu bezgorączkowego Harbert leżał wycieńczony, miał ciężką głowę i skłonność do zawrotów. Wystąpiły też inne objawy, które skrajnie przerażyły reportera. U Harberta nastąpił obrzęk wątroby, a wkrótce nasilenie się majaczeń zaczęło wskazywać na to, że mózg także został zaatakowany.

Ta nowa komplikacja zupełnie przytłoczyła Gedeona Spiletta. Odprowadził inżyniera na stronę.

— To złośliwa febra³⁹⁸! — powiedział.

— Złośliwa febra! — zawołał Cyrus Smith. — Musi się pan mylić, Spilecie. Złośliwa febra nie pojawia się samoistnie. Trzeba nosić w sobie jej zalążek.

— Nie myślę się — odpowiedział reporter. — Harbert musiał się jej nabawić na bagnach, a to wystarcza. Pierwszy atak już miał. Jeżeli przyjdzie drugi i jeśli nie zdołamy zapobiec trzeciemu — chłopiec jest zgubiony!...

— A kora wierzbowa?

— Nie wystarcza, a trzeci atak złośliwej febry, jeżeli nie zostanie powstrzymany chininą, bywa zawsze śmiertelny!

Na szczęście Pencroff nie usłyszał z tej rozmowy. Inaczej oszalałby.

Łatwo więc pojąć, w jakim niepokoju reporter i inżynier przeżyli ten dzień i następną noc.

Choroba

³⁹¹febra — malaria, tropikalna choroba pasożytnicza przenoszona przez komary, objawiająca się nawracającą gorączką i silnymi dreszczami. [przypis edytorski]

³⁹²chinowiec (bot.) — rodzaj drzew tropikalnych, których kora zawiera chininę, stosowaną jako lek przeciwmalaryczny w postaci białego, gorzkiego proszku (zwykle dostarczany jako sól: chlorowodorek lub siarczan chininy). [przypis edytorski]

³⁹³ostrokrzew (bot.) — rodzaj roślin o ciemnozielonych, ząbkowanych liściach i okrągłych, czerwonych, silnie trujących owocach. [przypis edytorski]

³⁹⁴kokornak, *Aristolochia* (bot.) — rodzaj roślin z rzędu pieprzowców; kokornak wężowy (*A. serpentaria*), występujący naturalnie w Płn. Ameryce, był używany jako lek przeciwmalaryczny o własnościach podobnych jak chinina. [przypis edytorski]

³⁹⁵salicyna (chem.) — organiczny związek chemiczny o działaniu przeciwgorączkowym, wyodrębniony po raz pierwszy z kory wierzby (łac. *salix*) w 1828; od salicyny historycznie pochodzi kwas acetylosalicylowy (pot. aspiryna). [przypis edytorski]

³⁹⁶wierzba czarna, *Salix nigra* (bot.) — gatunek wierzby pochodzący ze wsch. części Ameryki Płn. [przypis edytorski]

³⁹⁷trzydniówka (febra) — w daw. klasyfikacji, zaproponowanej w starożytności przez Hipokratesa, okresowe gorączki (febry) dzielono na trzy rodzaje: trzydniówkę, czterodniówkę oraz jednodniówkę (codzienną), wiążąc je z różnymi warunkami klimatycznymi i środowiskowymi. [przypis edytorski]

³⁹⁸złośliwa febra (daw.) — ciężka, czasami śmiertelna forma malarii. [przypis edytorski]

Mniej więcej w południe nastąpił drugi, bardzo silny atak. Harbert czuł, że kona. Wyciągnął ręce do Cyrusa Smitha, do Spilett, do Pencroffa. Nie chciał umierać... Była to scena rozdzierająca serce. Pencroffa trzeba było wyprowadzić.

Atak trwał pięć godzin. Było oczywiste, że trzeciego Harbert nie wytrzyma.

Nastąpiła okropna noc. W gorączce Harbert majaczył, mówił rzeczy raniące serca towarzyszom. Bredził, walczył z piratami, przywoływał Ayrtona. Błagał o pomoc tę tajemniczą istotę, obrońcę, który teraz gdzieś zniknął, a którego obraz majaczył przed nim bez ustanku. Po tym wszystkim, zupełnie wyczerpany, zapadał w głębokie omdlenie... Gedeon Spilett kilka razy myślał, że biedny chłopak już nie żyje.

Następny dzień, 8 grudnia, był jednym ciągiem następujących po sobie zawrotów i omdleń. Wychudłe ręce Harberta kurczowo ścisnęły prześcieradło. Podano mu kolejne dawki sproszkowanej kory, ale reporter niczego się już po tym środku nie spodziewał.

— Jeżeli do jutra rana — powiedział — nie damy mu mocniejszego środka antyfebrycznego, Harbert umrze.

Nadeszła noc przyszła, zapewne ostatnia dla tego dzielnego, rozumnego, dobrego, poważnego jak na swój wiek chłopca, którego wszyscy towarzysze kochali jak rodzzonego syna. Jedyne go środka, jaki istniał przeciwko tej strasznej złośliwej febrze, jedyne go specyfiku zdolnego ją zwalczyć, na Wyspie Lincolna nie było.

W nocy z 8 na 9 grudnia Harbert zaczął jeszcze silniej majaczyć. Wątroba była okropnie nabrzmiała, mózg zaatakowany i chłopiec nie poznawał już nikogo.

Czy dożyje następnego dnia i trzeciego ataku, który go na pewno zabije? Było to mało prawdopodobne. Jego siły zupełnie się wyczerpały, a w przerwach między atakami leżał jak martwy.

Około trzeciej nad ranem Harbert krzyknął przejmująco. Wydawało się, że się wije w ostatecznych konwulsjach. Nab, który był wtedy przy nim, w przerażeniu wpadł do sąsiedniego pokoju, gdzie czuwali pozostali towarzysze.

W tej samej chwili Top dziwnie zaszczekał.

Koloniści natychmiast wbiegli do pokoju i ledwo zdolali utrzymać konającego młodzieńca, który chciał wyskoczyć z łóżka. Gedeon Spilett, wzięwszy go za rękę, poczuł, że puls staje się coraz słabszy.

Była piąta rano. Promienie wschodzącego słońca zaczynały oświetlać pokoje Granitowego Pałacu. Zapowiadał się piękny dzień, a miał być ostatnim dniem dla biednego Harberta...

Promień słońca padł na stolik stojący przy łóżku.

Nagle Pencroff krzyknął i wskazał ręką jakiś przedmiot leżący na stoliku.

Było to podłużne pudełeczko, na którego pokrywce widniał napis:

Siarczan chininy.

ROZDZIAŁ XI

Niepojęta tajemnica. — Powrót Harberta do zdrowia. — Tereny do zbadania. — Przygotowania do wyprawy. — Pierwszy dzień. — Noc. — Drugi dzień. — Kauri. — Parakazuarów. — Ślady w lesie. — Przybycie na Jaszczurczy Cypel.

Gedeon Spilett otworzył pudełko. Zawierało około dwustu granów³⁹⁹ białego proszku; wziął kilka okruchów do ust. Niezwykła gorycz substancji nie pozostawiała wątpliwości. Był to rzeczywiście cenny alkaloid z kory chinowca, najlepszy środek antyfebryczny.

Należało niezwłocznie podać proszek Harbertowi. W jaki sposób znalazł się pod ręką, można było się zastanawiać później.

— Kawy! — zawołał Gedeon Spilett.

Po paru chwilach Nab przyniósł filiżankę gorącego wywaru. Gedeon Spilett wrzucił do niego osiemnaście granów⁴⁰⁰ chininy i tą miksturą zdołał napoić Harberta.

Był już najwyższy czas, bo w każdej chwili mógł nastąpić trzeci atak febry.

³⁹⁹gran (z ang. *grain*: ziarno) — niewielka jednostka masy używana w krajach anglosaskich; 200 granów to ok. 13 gramów. [przypis edytorski]

⁴⁰⁰osiemnaście granów — ok. 1 gram. [przypis redakcyjny]

Ale do trzeciego ataku miało już nie dojść.

Nadzieja wstąpiła w serca kolonistów. Tajemnicza moc znowu zadziałała, i to w ostatniej chwili, kiedy już zupełnie w nią zwątpili.

Po kilku godzinach Harbert spał już o wiele spokojniej. Wówczas koloniści mogli porozmawiać o tym zdarzeniu. Pomoc nieznanego była tym razem bardziej oczywista niż kiedykolwiek. Ale w jaki sposób zdołał przedostać się w nocy do Granitowego Pałacu? To było całkiem niewytłumaczalne i doprawdy sposób działania opiekuńczego ducha wyspy był nie mniej dziwny niż on sam.

Przez cały dzień regularnie co trzy godziny Harbertowi podawano siarczan chininy. Następnego dnia stan zdrowia młodzieńca wyraźnie się poprawił. Oczywiście Harbert nie był jeszcze zupełnie wyleczony, gdyż w febrze zdarzają się częste i niebezpieczne nawroty, ale pozostawał pod troskliwą opieką. Mieli już pod ręką odpowiedni lek, a bez wątpienia niedaleko znajdował się ten, który go dostarczył. Nareszcie nadzieja napeliła wszystkim serca.

Nadzieja ich nie zawiodła. Dziesięć dni później, 20 grudnia, Harbert zaczął powracać do zdrowia. Nadal był bardzo osłabiony i pozostawał na ścisłej diecie, ale ataki ustały. Zresztą posłuszny młodzieniec tak chętnie poddawał się wszystkim zaleceniom! Tak bardzo pragnął wyzdrowieć!

Pencroff przypominał człowieka wydobytego z samego dna przepaści. Chwilami jego radość dochodziła prawie do szału. Gdy tylko została zażegnana groźba trzeciego ataku, uściskał reportera tak mocno, że mało go nie udusił. Od tej pory nie nazywał go inaczej, jak tylko „doktorem Spilettem”.

Pozostawało jeszcze odkryć prawdziwego doktora.

— Znajdziemy go! — powtarzał marynarz.

Z pewnością, kimkolwiek był ten człowiek, mógł się spodziewać potężnego uścisku ze strony pocziwego Pencroffa.

Kończył się grudzień, a wraz z nim i rok 1867, w ciągu którego koloniści Wyspy Lincoln doświadczyli tylu ciężkich prób. Rok 1868 zaczął się śliczną, upalną pogodą, tropikalną temperaturą, którą na szczęście chłodził wiatr od morza.

Harbert wracał do zdrowia i z łóżka postawionego przy jednym z okien Granitowego Pałacu wdychał odświeżające, przesycone morską solą powietrze, które przywracało mu siły. Zaczynał już jeść, a Nab przyrządzał mu same lekkie i smakowite potrawy.

— Dla samych tych przysmaków warto było być umierającym — mawiał Pencroff.

Przez cały ten czas piraci ani razu nie pokazali się w pobliżu Granitowego Pałacu. Od Ayrtona nie było żadnych wiadomości, toteż tylko inżynier i Harbert zachowywali jeszcze pewną nadzieję na odnalezienie go, ale reszta towarzyszy nie miała już wątpliwości, że nieszczęśnik zginął. Wszystkie zagadki jednak powinny zostać rozwiązane i dlatego postanowiono, że gdy tylko Harbert wróci do zdrowia, podejmą wyprawę, której rezultat mógł mieć dla nich tak wielkie znaczenie. Na to należało jednak poczekać jeszcze co najmniej miesiąc, gdyż do pokonania piratów konieczne było zmobilizowanie wszystkich sił kolonii.

Harbert z każdym dniem miał się coraz lepiej. Obrzęk wątroby ustąpił, a rany całkiem się zabiłiły.

W ciągu stycznia na Płaskowyżu Pięknego Widoku wykonano ważne prace, a mianowicie uratowano, co się jeszcze dało, ze stratowanych warzyw i zboża. Zebrano nasiona i rośliny, aby zapewnić sobie nowe zbiory w następnym sezonie. Z odbudowaniem budynków ptaszarni, młyna i stajni Cyrus Smith wolał na razie poczekać. W czasie, gdy on i jego towarzysze byliby zajęci pogonią za piratami, ci mogliby znowu nawiedzić płaskowyż, nie należało więc im dawać im okazji do kolejnych rabunków i podpaleń. Po oczyszczeniu wyspy ze złoczyńców będzie pora pomyśleć o odbudowaniu wszystkiego.

W drugiej połowie stycznia przychodzący do zdrowia młodzieniec zaczął wstawać z łóżka, początkowo na godzinę, potem na dwie i trzy. Miał silny organizm, więc sił przybywało mu niemal w oczach. Skończył już wówczas osiemnaście lat, był wysoki i zapowiadało się, że wyrośnie z niego przystojny mężczyzna o szlachetnym wyglądzie. Od tego czasu powrót Harberta do pełnego zdrowia, choć wymagający jeszcze pewnych starań i ostrożności, których przestrzegał surowo „doktor” Spilett, regularnie postępował naprzód.

Pod koniec miesiąca Harbert odbywał już spacer po Płaskowyżu Pięknego Widoku i wybrzeżu. Kilka kąpeli morskich, których zażywał w towarzystwie Pencroffa i Naba, doskonale mu posłużyło. Cyrus Smith stwierdził, że może już wyznaczyć termin wyprawy i ustalił go na 15 lutego. Noce, bardzo jasne o tej porze roku, sprzyjały zamierzonym poszukiwaniom na całej wyspie.

Rozpoczęto niezbędne przygotowania do wyprawy. Przygotowywano się starannie, ponieważ koloniści przysięgli sobie, że nie powrócą do Granitowego Pałacu, dopóki nie osiągną obu celów, to jest dopóki nie zniszczą piratów i nie odnajdą Ayrtona, jeżeli jeszcze żył, oraz dopóki nie odszukają tego, który wywierał tak wielki wpływ na losy kolonii.

Koloniści poznali dokładnie całe wschodnie wybrzeże Wyspy Lincoln, od Przylądka Szponu aż do Przylądka Szczęki, rozległe Bagna Kazarek, okolice Jeziora Granta, Las Złotopióra, leżący pomiędzy drogą do zagrody a Rzeką Dziękczynienia i Czerwonym Potokiem, i wreszcie zbocza Góry Franklina, do których przylegała zagroda. Zbadali także, choć tylko pobieżnie, przylegający do Zatoki Waszyngtona duży pas wybrzeża od Przylądka Szponu aż do Jaszczurczego Cypla, zalesiony i błotnisty brzeg zachodni oraz niekończące się wydmy, dochodzące półotwartej paszczy Zatoki Rekinów.

Natomiast nie znali dotąd wcale lasów pokrywających Półwysep Wężowy, całego prawego brzegu Rzeki Dziękczynienia, lewego brzegu Rzeki Wodospadu ani całej płataniny wzgórz i dolin, na której wspierały się trzy czwarte podstawy Góry Franklina od zachodu, północy i wschodu, gdzie przecież musiało znajdować się mnóstwo trudno dostępnych kryjówek. Zatem kilka tysięcy akrów powierzchni wyspy pozostawało niezbadanych przez kolonistów.

Postanowiono, że wyprawa skieruje się przez Lasy Dalekiego Zachodu, tak żeby poszukiwaniami objąć cały teren na prawym brzegu Rzeki Dziękczynienia.

Być może lepiej byłoby udać się najpierw do zagrody, gdyż można się było obawiać, że piraci ponownie się tam schronili, czy to w celu rabunku, czy też, żeby osiąść na stałe. Jednak albo spustoszenie zagrody było już faktem dokonany i wówczas było za późno, żeby temu zapobiec, albo też celem piratów było się tam usadowić, a w takim przypadku zawsze będzie czas, żeby ich stamtąd później wyprzeć.

Po namyśle utrzymano pierwotny plan i koloniści postanowili przejść lasami aż do Jaszczurczego Cypla. Zamierzali sobie wyrąbywać drogę siekierą, zapoczątkowując w ten sposób przyszyły szlak łączący Granitowy Pałac z krańcem cypla, długości szesnastu do siedemnastu mil.

Wózek był w doskonałym stanie, wypoczęte onagry zdolne do długiej podróży. Na wózek załadowano zapasy żywności, przedmioty niezbędne do urządzenia obozowiska, przenośną kuchenkę i różne inne sprzęty, jak również broń i amunicję, starannie wybrane z tak kompletnego obecnie arsenału Granitowego Pałacu. Nie wolno było też zapominać, że bandyci mogli się włóczyć po lasach i że w gęstwinie łatwo o strzał, i to celny. Dlatego też grupka kolonistów musiała trzymać się razem i nie rozdzielać się pod żadnym pozorem.

Postanowiono również, że nikt nie pozostanie w Granitowym Pałacu. Nawet Top i Jup mieli wziąć udział w wyprawie. Niedostępne mieszkanie mogło się samo obronić.

14 lutego, w przeddzień odjazdu, wypadła niedziela⁴⁰¹. Poświęcono ją w całości na wypoczynek i modlitwy dziękczynne, jakie koloniści winni byli Stwórcy. Dla Harberta, całkiem zdrowego, ale jeszcze nieco osłabionego, przygotowano specjalne miejsce na wózku.

Nazajutrz o świcie Cyrus Smith podjął niezbędne środki ostrożności, żeby zabezpieczyć Granitowy Pałac przed wszelką napaścią. Drabiny, które służyły niegdyś do wchodzenia do domu, przyniesiono do Kominów i zakopano głęboko w piasku, tak aby je można było odnaleźć i użyć po powrocie, gdyż windę wraz z całym jej oprzyrządowaniem zdemontowano. Pencroff pozostał jako ostatni w Granitowym Pałacu, żeby skończyć tę pracę. Potem opuścił się na dół po podwójnej linii, której obydwa końce przytrzymywano u dołu w ten sposób, że gdy ją wreszcie ściągnięto, zostało przerwane połączenie pomiędzy wejściem do Granitowego Pałacu a wybrzeżem.

Pogoda była wspaniała.

⁴⁰¹ 14 lutego (...) wypadła niedziela — 14 lutego 1868 roku wypadł wtorek. 14 lutego była niedziela w roku 1869. [przypis edytorski]

— Zapowiada się gorący dzień! — zawołał radośnie reporter.

— Ba, doktorze Spilett — odpowiedział Pencroff — będziemy szli przez lasy, więc nawet nie zauważymy słońca.

— W drogę! — odezwał się inżynier.

Wózek już oczekiwał na nich przed Kominami. Reporter kazał Harbertowi zająć w nim miejsce przynajmniej podczas kilku pierwszych godzin podróży i młodzieniec musiał posłuchać zalecenia swego lekarza.

Nab prowadził onagry. Cyrus Smith, reporter i marynarz mieli iść przodem. Top podskakiwał z radosną miną. Harbert zaofiarował Jupowi miejsce przy sobie i Jup przyjął je bez ceremonii.

Dano hasło do odjazdu i grupka ruszyła w drogę. Wózek skręcił najpierw przy ujęciu ujścia rzeki, a następnie ujechawszy milę po lewym brzegu Rzeki Dziękczynienia, przebył most, od którego droga prowadziła prosto do Przystani Balonowej. Drogę tę jednak koloniści zostawili po lewej stronie i zapuścili się w cień olbrzymich lasów nazwanych Lasem Dalekiego Zachodu.

Przez pierwsze dwie mile rzadko rosnące drzewa pozwalały na łatwy przejazd. Od czasu do czasu trzeba było przeciąć kilka lian lub przerąbywać krzaki, ale dotąd żadna poważniejsza przeszkoda nie powstrzymała kolonistów.

Gęste listowie drzew utrzymywało chłodny cień. Cedry, daglezie, kazuaryny, bankse, drzewa gumowe, smokowce i inne znane im już drzewa rozciągały się przed nimi w nieskończoność. Cały światek ptactwa właściwego wyspie znajdował się tu w komplecie: periokury, złotopióry, bażanty i cała szczebiotliwa rodzina kakadu i papug. Aguti, kangury, kapibary przemykały wśród traw, a wszystko to przypominało kolonistom ich pierwsze wyprawy podjęte po przybyciu na wyspę.

— Zauważyłem — odezwał się Cyrus Smith — że wszystkie te zwierzęta, zarówno czworonogi, jak i ptactwo, są bardziej płochliwe niż kiedyś. Widocznie przez te lasy niedawno przechodzili piraci i niewątpliwie powinniśmy natrafić na ich ślady.

Istotnie, w wielu miejscach można było rozpoznać mniej lub bardziej świeże ślady świadczące o przejściu grupy ludzi: tu nacięcia na drzewach, zapewne w celu znakowania drogi, ówdzie popiół z wygasłego ogniska lub odciski stóp w gliniastych miejscach terenu. Nic jednak nie wskazywało, żeby w pobliżu było jakieś stałe obozowisko.

Inżynier zalecił towarzyszom, aby powstrzymali się od polowania. Huk broni palnej mógł zwrócić uwagę piratów włóczących się być może po lesie. Zresztą łowy z pewnością odciągnęłyby kolonistów na pewną odległość od wózka, a chodzenie w pojedynkę zostało przecież surowo zakazane.

Po południu, mniej więcej o sześć mil od Granitowego Pałacu, przejazd stał się trudniejszy. Chcąc przebyć niektóre gęstwiny, trzeba było ścinać drzewa i w ten sposób torować sobie drogę. Przed zapuszczeniem się w takie miejsca Cyrus Smith za każdym razem wysyłał najpierw w gęstwinę Topa i Jupa, którzy wywiązywali się sumiennie z tego, czego po nich oczekiwano. Kiedy pies i orangutan powracali bez żadnych oznak niepokoju, znaczyło to, że się nie ma czego obawiać ani ze strony piratów, ani ze strony drapieżników — dwu gatunków królestwa zwierzęcego stojących ze względu na dzikie swoje instynkty na jednym poziomie.

Wieczorem pierwszego dnia koloniści obozowali mniej więcej o dziewięć mil od Granitowego Pałacu, na brzegu małego dopływu Rzeki Dziękczynienia, nieznanego im do tychczas, niewątpliwie jednak należącego do systemu wód, któremu gleba zawdzięczała swoją zadziwiającą żyzność.

Po obfitej kolacji, do której koloniści zasiedli z mocno zaostrzonym apetytem, przedsięwzięto odpowiednie środki ostrożności na noc. Gdyby inżynier miał tylko do czynienia z dzikimi zwierzętami, jaguarami czy innymi, kazałby po prostu rozpalić ognie wokół obozowiska i to wystarczyłoby do obrony; jednak blask płomienia prędzej przywabiłby piratów, niż ich powstrzymał, słuszniejsze więc wydawało się w tym przypadku zaszyć się w głębokich ciemnościach.

Nie zapomniano też o zorganizowaniu straży. Dwóch kolonistów miało czuwać razem, a co dwie godziny mieli ich zmieniać inni towarzysze. Ponieważ pomimo wszelkich protestów Harberta odsunięto go od obowiązku warty, więc Pencroff z Gedeonem Spilettem, a następnie inżynier z Nabem stali kolejno na straży w pobliżu obozowiska.

Noc zresztą trwała zaledwie kilka godzin. Ciemności były spowodowane raczej gęstwiną gałęzi niż schowaniem się słońca. Głębką ciszę mąciły tylko chrapliwe wycia jaguarów i chichoty małp, które szczególnie irytowały pana Jupa.

Noc minęła bez żadnego wypadku, a nazajutrz, 16 lutego, rozpoczęli dalszy pochód przez lasy, nie tyle trudny, co powolny.

Tego dnia koloniści przeszli zaledwie sześć mil, co chwila bowiem trzeba było torować sobie drogę siekierą. Jak prawdziwi „osadnicy” koloniści oszczędzali wielkie i piękne drzewa, których ścinanie zresztą kosztowałoby ich mnóstwo trudu, i poświęcali mniejsze. Wskutek tego droga odbiegała od linii prostej i wydłużały ją liczne zakręty.

Tego dnia Harbert odkrył kilka gatunków roślin, których dotychczas jeszcze nie spotkali na wyspie, jak olbrzymie paprocie ze zwisającymi liśćmi, podobnymi do wody wylewającej się z fontanny, i drzewa świętojańskie⁴⁰², z których onagry chciwie zjadały długie strąki zawierające słodki, smaczny miąższ. Tu koloniści napotkali także rosnące w kępach wspaniałe kauri⁴⁰³, których walcowate pnie uwieńczone stożkiem zieleni wznosiły się do wysokości dwustu stóp. Były to królewskie drzewa Nowej Zelandii, tak sławne jak libańskie cedry⁴⁰⁴.

Fauna nie przedstawiała innych okazów prócz znanych już myśliwym. Zobaczyli tylko, choć nie mogli się do nich zbliżyć, parę wielkich ptaków charakterystycznych dla Australii, będących pewnym rodzajem kazuarów⁴⁰⁵ nazywanym emu⁴⁰⁶. Miały pięć stóp wysokości, czarne opierzenie, należały do rzędu szczudłowatych⁴⁰⁷. Top rzucił się za nimi całym pędem swoich czterech łap, ale kazuary, biegające z niemal cudowną szybkością, bez trudu zostawiły go daleko za sobą.

Ślady pozostawione przez piratów w lesie znaleziono jeszcze w kilku miejscach. W pobliżu ogniska, które wyglądało na niedawno zgaszone, koloniści spostrzegli odciski stóp, które dokładnie zbadali. Po zmierzeniu długości i szerokości każdego odcisku z łatwością ustalili, że były to ślady stóp pięciu ludzi. Niewątpliwie obozowało tutaj pięciu piratów, ale — i to właśnie było przedmiotem tak dokładnego badania — nie zdołano znaleźć szóstego odcisku, który byłby śladem Ayrtona.

— Ayrtona nie było z nimi — odezwał się Harbert.

— Nie — odpowiedział Pencroff. — A jeżeli go nie było, to znaczy, że ci nędznicy musieli już go zabić! Czy nie mają ci niegodziwcy jakiegoś legowiska, gdzie można by ich było wytropić i osaczyć jak tygrysa?

— Nie — odpowiedział reporter — najprawdopodobniej błąkają się bez celu i nie zamierzają tego zmieniać, dopóki nie staną się panami wyspy.

— Panami wyspy! — zawołał marynarz. — Panami wyspy!... — powtórzył zduszonym głosem, jak gdyby żelazna dłoń ścisnęła go za gardło. Po chwili odezwał się nieco spokojniejszym tonem: — Czy wie pan, panie Cyrusie, jaką to ja kulą nabilem moją strzelbę?

— Nie, Pencroffie.

— Tą samą, która przeszyła pierś Harberta, i zaręczam panu, że nie chybi ona celu!

Jednak nawet najszlachetniejszy odwet nie mógł przywrócić Ayrtonowi życia, a ze zbadania śladów pozostawionych na ziemi trzeba było niestety wnioskować, że nie ma już nadziei na zobaczenie go kiedykolwiek.

⁴⁰²*drzewo świętojańskie* (pot.), właśc. *szarańczym strąkowy* (bot.) — gatunek drzewa z rodziny bobowatych występujący w regionie śródziemnomorskim; jego duże strąki (do 20 cm dł.) są bogate w cukry (do 50%). [przypis edytorski]

⁴⁰³*kauri* a. *agatis nowozelandzki*, *Agathis australis* (biol.) — drzewo z rodziny araukariowatych występujące na Wyspie Północnej w Nowej Zelandii, wysokie do 50 m, cenione ze względu na swoje drewno i żywicę. [przypis edytorski]

⁴⁰⁴*cedr libański* (bot.) — gatunek drzew z rodziny sosnowatych, występujących na stokach Libanu, pasma górskiego w państwie o tej samej nazwie; eksploatowany od czasów staroż. jako cenny materiał budowlany, wspominany w Biblii, ob. rzadki. [przypis edytorski]

⁴⁰⁵*kazuary* (biol.) — rodzina nielotnych ptaków zamieszkujących Nową Gwineę i pln.-wsch. Australię, a także wyspy leżące pomiędzy nimi. [przypis edytorski]

⁴⁰⁶*emu* (biol.) — podrodzina ptaków z rodziny kazuarowatych, obejmująca nielotne i szybko biegające ptaki, zamieszkujące całą Australię. [przypis edytorski]

⁴⁰⁷*szczudłowate* (daw. biol.) — wyróżniany dawniej rząd ptaków o długich, szczudłowatych nogach, zwykle brodzących na płytkich wodach lub na mokradłach. [przypis edytorski]

Tego wieczora założono obóz o czternaście mil od Granitowego Pałacu, a Cyrus Smith oszacował, że muszą się znajdować nie dalej niż o pięć mil od Jaszczurczego Cypla.

Rzeczywiście, nazajutrz koloniści, przeszedłszy las na całej jego długości, dotarli do krańca półwyspu. Jednak jak dotąd nie znaleźli ani schronienia piratów, ani też ukrytej siedziby tajemniczego nieznajomego.

ROZDZIAŁ XII

Zbadanie Półwyspu Wężowego. — Obozowisko przy ujściu Rzeki Wodospadu. — O sześćset kroków od zagrody. — Gedeon Spilett i Pencroff wysłani na zwiady. — Ich powrót. — Naprzód! — Otwarte wrota. — Światło w oknie. — Przy blasku księżyca.

Następny dzień, 18 lutego, poświęcono na zbadania zalesionej części wyspy ciągnącej się od Jaszczurczego Cypla aż do Rzeki Wodospadu. Koloniści dokładnie przeszukali las, ograniczony oboma brzegami Półwyspu Wężowego i mający szerokość zaledwie od trzech do czterech mil.

Wysokość drzew i grubość ich konarów świadczyły o nadzwyczajnej żyzności gleby, większej tutaj niż w którejkolwiek innej części wyspy. Był to jak gdyby jakiś zakątek dziewiczych lasów Ameryki czy Afryki Środkowej przeniesiony w strefę umiarkowaną. Prowadziło to do przypuszczenia, że ta wspaniała roślinność musiała znaleźć w glebie — wilgotnej po wierzchu, ale wewnątrz rozgrzanej przez wulkaniczne ognie — ciepło niespotykane zwykle w klimacie umiarkowanym. Najczęściej występowały tu drzewa kauri i eukaliptusy, osiągające gigantyczne rozmiary.

Jednakże celem kolonistów nie było podziwianie tych wspaniałych okazów roślinności. Wiedzieli dobrze, że pod tym względem Wyspa Lincoln mogłaby zająć pierwsze miejsce w grupie Wysp Kanaryjskich⁴⁰⁸, którym pierwotnie nadano nazwę Szczęśliwych. Niestety, obecnie wyspa nie należała już wyłącznie do nich, wtargnęli tu, deptali po niej zbrodniarze, których trzeba było doszczętnie wytępić.

Na zachodnim wybrzeżu mimo najstaranniejszych poszukiwań koloniści nie napotkali już żadnych śladów. Nie było tam ani odcisków stóp, ani nacięć na drzewach, ani wystygłych popiołów, ani opuszczonych obozowisk.

— Nie dziwi mnie to wcale — powiedział Cyrus Smith do towarzyszy. — Rozbójnicy wylądowali w okolicach Cypla Znaleziska i natychmiast zagłębili się w Lasy Dalekiego Zachodu, po przejściu przez Bagno Kazarek. Szli więc prawie tą samą drogą, co my po wyjściu z Granitowego Pałacu. W ten sposób można wytłumaczyć ślady, które napotkaliśmy w lesie. Kiedy jednak znaleźli się na wybrzeżu, piraci zrozumieli, że nie ma tu dla nich odpowiedniego schronienia, a wówczas skierowali się na północ i odkryli zagrodę...

— Do której prawdopodobnie powrócili — powiedział Pencroff.

— Nie sądzę — odpowiedział inżynier — gdyż powinni przypuszczać, że nasze poszukiwania skierują się właśnie w tym kierunku. Zagroda jest dla nich miejscem zaopatrzenia, a nie stałym obozowiskiem.

— Zgadzam się ze zdaniem Cyrusa — odezwał się reporter. — Według mnie piraci znaleźli sobie kryjówkę gdzieś pomiędzy skałami Góry Franklina.

— Ruszajmy więc, panie Cyrusie, prosto do zagrody! — zawołał Pencroff. — Trzeba wreszcie z nimi skończyć, bo dotychczas tylko marnowaliśmy czas!

— Nie, przyjacielu — odpowiedział inżynier. — Zapomina pan, że musimy się dowiedzieć, czy w Lesie Dalekiego Zachodu nie kryje się jakaś siedziba ludzka. Przecież nasza wyprawa ma podwójny cel, Pencroffie. Prawda, że z jednej strony mamy zbrodnię do ukarania, z drugiej jednak mamy do spłacenia dług wdzięczności.

— Pięknie powiedziane, panie Cyrusie — powiedział marynarz. — Ale zdaje mi się, że znajdziemy tego dżentelmena dopiero wtedy, kiedy on sam tego zechce.

Doprawdy, Pencroff wyraził opinię ogółu. Prawdopodobnie kryjówka nieznajomego była równie tajemnicza, jak on sam.

⁴⁰⁸Wyspy Kanaryjskie — grupa górzystych wysp pochodzenia wulkanicznego położonych na Atlantyku na płn.zach. od Afryki; niekiedy utożsamiane z legendarnymi, leżącymi na Atlantyku, Wyspami Szczęśliwymi, na których wg mit. gr. przebywali po śmierci (lub nawet jeszcze za życia) sławni bohaterowie. [przypis edytorski]

Tego wieczoru wózek zatrzymał się przy ujściu Rzeki Wodospadu. Nocleg urządzono jak zwykle, z zachowaniem niezbędnych środków ostrożności.

Harbert, który był znowu silny i zdrowy jak przed chorobą, korzystał z przyjemnością z pobytu na świeżym powietrzu, wśród powiewów od oceanu i ożywiającej atmosfery lasów. Nie zajmował już miejsca na wózku, ale szedł na czele karawany.

Nazajutrz, 19 lutego, koloniści, opuściwszy wybrzeże, na którym za ujściem rzeki piętrzyły się malowniczo bazalty rozmaitych kształtów, udali się lewym brzegiem w górę rzeki. Droga była już częściowo uitorowana podczas poprzednich wypraw, odbytych z zagrody na zachodnie wybrzeże. W tej chwili koloniści znajdowali się w odległości sześciu mil od Góry Franklina.

Plan inżyniera był następujący: przebadać szczegółowo całą dolinę, której kotlina tworzyła łożysko rzeki, i zachowując wszelkie środki ostrożności, dotrzeć w okolice zagrody. Jeżeli zagroda będzie zajęta, należy odbić ją siłą; jeżeli zaś nie będzie — umocnić się w niej i stworzyć z niej bazę wypadową do wypraw mających za cel zbadanie Góry Franklina. Plan został jednogłośnie przyjęty przez kolonistów, gdyż wszystkim było pilno ponownie wejść w posiadanie całej wyspy.

Ruszyli więc dalej ciasną doliną rozdzielającą dwa olbrzymie zbocza Góry Franklina. Drzewa, stojące gęsto na wybrzeżu rzeki, stawały się coraz rzadsze, w miarę jak wspinali się w górę wulkanu. Teren był pagórkowaty, dość nierówny, sprzyjający zasadzkom, toteż zwiększono środki ostrożności. Top i Jup biegli przodem jako zwiadowcy i rzucając się to w lewo, to w prawo w gęstwinę, współzawodniczyli w sprycie i zręczności. Nic jednak nie wskazywało, aby brzegi rzeki były przez kogoś niedawno odwiedzane, nic nie zapowiadało obecności lub bliskości piratów.

Około piątej po południu wózek zatrzymał się o mniej więcej sześćset kroków od palisady otaczającej zagrodę. Przed wzrokiem przybywających nadal ukrywała ją półkulista zasłona z wysokich drzew.

Konieczne było dokonanie rozpoznania, czy zagroda jest zajęta. Udać się do niej otwarcie w świetle dnia, kiedy być może piraci się tam zaczęli, byłoby narażaniem się na strzał, jak się to przytrafiło Harbertowi. Lepiej więc było poczekać do zmroku.

Tymczasem Gedeon Spilett chciał, nie zwlekając dłużej, przekonać się, co się dzieje w zagrodzie, a zniecierpliwiony Pencroff zaproponował, że będzie mu towarzyszył.

— Nie, przyjaciele — odezwał się inżynier. — Czekajcie do zmierzchu. Nie pozwolę żadnemu z was narażać się w biały dzień.

— Ależ, panie Cyrusie... — zaczął marynarz niezbyt skłonny do posłuszeństwa.

— Proszę pana o to, Pencroffie — powiedział inżynier.

— Więc niech i tak będzie! — zawołał marynarz i zwracając swój gniew w inną stronę, obsypał bandytów najsoczystszymi przezwiskami z marynarskiego słownika.

Koloniści pozostali więc w pobliżu wózka, zwracając baczną uwagę na pobliskie lasy. Tak minęły trzy godziny. Wiatr ucichł i pod wielkimi drzewami zapanowała zupełna cisza. Z łatwością usłyszano by trzask łamanej gałązki, szelest kroków na suchych liściach, szelest ciała czołgającego się w trawie. Panował całkowity spokój. Top, leżąc na ziemi z łbem opartym na łapach, nie zdradzał najmniejszego niepokoju.

O ósmej było już na tyle ciemno, że można było podkraść się pod zagrodę w sprzyjających warunkach. Gedeon Spilett oświadczył, że gotów jest wyruszyć w towarzystwie Pencroffa. Cyrus Smith wyraził zgodę.

Top i Jup mieli zostać z inżynierem, Harbertem i Nabem, gdyż szcęknięcie lub krzyk mogły przedwcześnie zbudzić czujność nieprzyjaciół.

— Nie zapuszczajcie się zbyt daleko — zalecił Cyrus Smith marynarzowi i reporterowi. — Waszym zadaniem nie jest opanowanie zagrody, ale tylko przekonanie się, czy jest zajęta.

— Tak zrobimy — powiedział Pencroff.

I obaj z reporterem wyruszyli w drogę.

Pod drzewami dzięki gęstym liściom i gałęziom panowały takie ciemności, że poza promieniem trzydziestu do czterdziestu stóp niczego nie było widać. Reporter i Pencroff zatrzymywali się przy każdym podejrzanym szeleście i posuwali się naprzód z największą ostrożnością. Szli w pewnej odległości od siebie, aby nie stanowić zbyt łatwego celu dla kul. Szczercze mówiąc, spodziewali się w każdej chwili usłyszeć huk wystrzału.

W pięć minut po oddaleniu się od wózka obydwaj zwiadowcy doszli do skraju lasu i stanęli przed polanką, w głębi której widać było palisadę zagrody.

Tu się zatrzymali. Kilka ostatnich promieni słońca oświetlało jeszcze łąkę огоłoconą z drzew. O trzydzieści kroków przez nimi czerniała brama zagrody, jak się zdawało, zamknięta. Te trzydzieści kroków, oddzielających polankę od palisady, stanowiło strefę zagrożenia, używając terminu z dziedziny balistyki⁴⁰⁹. Rzeczywiście, jedna lub kilka kul wysłanych ze szczytu palisady mogły powalić na ziemię każdego, kto by się wysunął na tę otwartą przestrzeń.

Gedeon Spilett i marynarz nie należeli do ludzi cofających się przed podobnym niebezpieczeństwem, rozumieli jednak, że najmniejsza nierozwaga z ich strony, której stałoby się ofiarami, odbiłaby się następnie na towarzyszach. Gdyby się dali zabić, co by się stało z Cyrusem Smithem, Nabem, Harbertem?

Mimo tych refleksji Pencroff, podekscytowany tym, że jest tak blisko zagrody, w której, jak przypuszczał, ukryli się bandyci, już miał skoczyć naprzód, gdy silna ręka reportera osadziła go na miejscu.

— Za kilka minut stanie się całkiem ciemno — szepnął Gedeon Spilett marynarzowi do ucha — i wtedy będzie odpowiednia chwila do działania.

Pencroff, ściskając kurczowo kolbę karabinu, pohamował się i pozostał w miejscu, pomrukując.

Wkrótce ostatnie pobłyski zachodzącego słońca zgasły zupełnie. Mrok, zdający się wychodzić z gęstwiny lasu, zalał całą łączkę. Góra Franklina wznosiła się na zachodzie jak olbrzymi ekran zasłaniający horyzont i w mgnieniu oka zapanowała nieprzenikniona ciemność, jak się to zwykle zdarza w okolicach położonych na tej szerokości geograficznej. Nadeszła właściwa chwila.

Reporter i Pencroff od czasu zatrzymania się na skraju gęstwiny ani na chwilę nie spuścili z oka palisady. Zagroda wydawała się zupełnie opuszczona. Szczyt palisady rysował się jednostajną linią, nieco ciemniejszą od otaczającego mroku i w żadnym miejscu nieprzerwaną. A przecież jeżeli piraci znajdowali się w zagrodzie, to powinni wystawić w tym miejscu kogoś na straży, żeby zabezpieczyć się przed niespodziewanym atakiem.

Gedeon Spilett uściśnął dłoń swego towarzysza i obydwaj poczołgali się w stronę zagrody, z bronią gotową do strzału.

Dotarli aż do bramy ogrodzenia, a ciągle najmniejsze światełko nie przebiło mroków.

Pencroff popróbowował popchnąć bramę, ale okazało się, że tak jak przypuszczał reporter, jest zamknięta. Jednakże marynarz zauważył, że nie założono zewnętrznych sztab. Można więc było wnioskować, że piraci znajdują się w zagrodzie i że prawdopodobnie zabezpieczyli tylko bramę tak, aby nie można jej było otworzyć siłą.

Gedeon Spilett i Pencroff wyżeżyli słuch.

Z wnętrza nie dochodził najmniejszy szelest. Muflony i kozice, zapewne śpiące w obórkach, nie przerywały ciszy nocnej.

Nie słysząc nic, reporter i marynarz zastanawiali się, czy powinni wspiąć się na palisadę i górą wejść do zagrody. Byłoby to wbrew instrukcjom Cyrusa Smitha.

Co prawda zamiar mógł się powieść, ale mógł także skończyć się niepowodzeniem. Jeżeli piraci niczego nie podejrzewali, jeżeli nic nie wiedzieli o skierowanej przeciw nim wyprawie, jeżeli wreszcie istniała w tej chwili szansa, żeby ich zaskoczyć, to czy wolno było narażać się na utratę tej szansy, próbując nierozważnie przechodzić przez palisadę?

Reporter uważał, że nie powinni tego robić. Sądził, że rozsądniej będzie poczekać, aż zbiorą się wszyscy razem, i wtedy dopiero próbować wejść do zagrody. Jedno ustalili na pewno: można było niepostrzeżenie dojść aż do samej palisady, a ogrodzenie chyba nie było strzeżone. Po ustaleniu tego faktu pozostawało już tylko wrócić do wózka i tam naradzić się wspólnie, co robić dalej.

Pencroff zapewne podzielał zdanie reportera, gdyż bez sprzeciwu poczołgał za nim z powrotem w stronę lasu.

Po kilku minutach inżynier znał już całą sytuację.

— Cóż — powiedział po chwili namysłu — zdaje mi się, że piratów nie ma w zagrodzie.

⁴⁰⁹balistyka — nauka o miotaniu i ruchu pocisków. [przypis edytorski]

— Dowiemy się o tym na pewno, kiedy przejdziemy przez palisadę — odpowiedział Pencroff.

— Do zagrody więc, przyjaciele! — zawołał Cyrus Smith.

— Czy zostawimy wózek w lesie? — spytał Nab.

— Nie — odpowiedział inżynier — to nasz furgon z żywnością i amunicją, a w razie potrzeby może nam posłużyć za szaniec.

— Naprzód więc! — odezwał się Gedeon Spilett.

Za chwilę wyprowadzony z lasu wózek zaczął się bezszelestnie toczyć w stronę palisady. Wciąż panowała głęboka ciemność i zalegała taka sama cisza, jak w chwili, gdy Pencroff z reporterem, czolgając się, oddalali się od zagrody. Gęsta trawa całkowicie tłumiała odgłos kroków.

Koloniści trzymali broń w pogotowiu. Jup na rozkaz Pencroffa trzymał się z tyłu. Nab prowadził Topa na smyczy, żeby nie mógł wyskoczyć naprzód.

Wkrótce ukazała się polanka. Była zupełnie pusta. Grupka bez wahania skierowała się w stronę ogrodzenia. Szybko przebyli niebezpieczną strefę. Nie padł żaden strzał. Przed samą palisadą zatrzymano wózek. Nab pozostał przy onagrach, trzymając je na wzdzy. Inżynier, reporter, Hubert i Pencroff ruszyli do bramy, żeby przekonać się, czy jest zabarykadowana z wewnątrz...

Jedno skrzydło było otwarte na oścież.

— Co mi opowiadaliście? — spytał inżynier, obracając się do marynarza i Gedeona Spiletta.

Na twarzach obydwu malował się wyraz najwyższego osłupienia.

— Jak pragnę zbawienia! — zawołał wreszcie Pencroff. — Przed chwilą brama była zamknięta!

Koloniści zawahali się. Czyżby piraci znajdowali się w zagrodzie w chwili, gdy Pencroff i reporter zbliżyli się do niej na zwiady? To chyba nie ulegało wątpliwości, gdyż bramę, wówczas zamkniętą, tylko oni mogli otworzyć. Czy byli tam jeszcze, czy może jeden z nich wyszedł?

Wszystkie te pytania natychmiast przysły do głowy kolonistom, ale jak znaleźć na nie odpowiedź?

W tej chwili Harbert, który zrobił kilka kroków za ogrodzenie, cofnął się gwałtownie i chwycił Cyrusa Smitha za rękę.

— Co się stało? — spytał inżynier.

— Światło!

— W domu?

— Tak!

Cała piątka ruszyła do bramy i rzeczywiście, przez szyby okna położonego naprzeciw nich ujrzeli drżące, słabe światelko. Cyrus Smith szybko powziął decyzję.

— To jedyna okazja — zawołał — żeby zaskoczyć piratów zamkniętych w domu i niespodziewających się niczego!... Mamy ich w pułapce! Naprzód!

Na to hasło koloniści wśliznęli się za ogrodzenie, trzymając broń gotową do strzału. Wózek pozostawiono zewnątrz pod strażą Topa i Jupa, których na wszelki wypadek uwiązano do niego.

Cyrus Smith, Pencroff i Gedeon Spilett z jednej strony, zaś Harbert i Nab z drugiej, skradając się wzdłuż palisady, nie spuszczali z oka części zagrody pogrążonej w ciemności i zupełnie pustej.

Po kilku minutach wszyscy znajdowali się już przy domu, przed zamkniętymi drzwiami.

Wówczas Cyrus Smith dał towarzyszom znak ręką, aby się nie ruszali z miejsca, a sam podszedł do okna, słabo oświetlonego przez jakieś światelko wewnątrz.

Inżynier zagłębił wzrok w jedynym pokoju, stanowiącym parter domu.

Na stole płonęła latarnia. Obok stołu stało łóżko, które kiedyś służyło Ayrtonowi. Na łóżku leżało ciało jakiegoś człowieka.

Nagle Cyrus Smith cofnął się i zawołał przytłumionym głosem:

— Ayrton!

W mgnieniu oka przez drzwi, raczej wyłamane niż otwarte, koloniści wdarli się do pokoju.

Ayrton zdawał się być pogrążony w śnie. Jego twarz świadczyła o długich i okrutnych cierpieniach. Na nadgarstkach i kostkach nóg miał szerokie, sine ślady.

Cyrus Smith pochylił się nad nim.

— Ayrtonie! — zawołał, chwytając za ramię towarzysza odnalezionego w tak nieoczekiwanych okolicznościach.

Na dźwięk jego głosu Ayrton otworzył oczy i wpatrzył się w twarz Cyrusa Smitha, a potem w pozostałych towarzyszy.

— To wy? — zawołał. — To wy?

— Ayrtonie! Ayrtonie! — powtórzył Cyrus Smith.

— Gdzie jestem?

— W domu w zagrodzie.

— Sam?

— Tak.

— Ale oni wrócą! — zawołał Ayrton. — Brońcie się, brońcie!

I upadł bez sił na łóżko.

— Spilecie — odezwał się w tej chwili inżynier — lada chwila możemy się spodziewać ataku. Wprowadźcie wózek za ogrodzenie, a potem zabarykadujcie bramę i wracajcie tu wszyscy.

Pencroff, Nab i reporter rzucili się z pośpiechem do wykonania rozkazów inżyniera. Nie było chwili do stracenia. Kto wie, może wózek już wpadł w ręce piratów!

W mgnieniu oka reporter i dwaj jego towarzysze przebiegli przez zagrodę i dopadli bramy, za którą słychać było głuchy warkot Topa.

Inżynier opuścił na chwilę Ayrtona i także wyszedł z domu z bronią gotową do strzału. Harbert stanął przy nim. Obydwaj obserwowali zbocza góry wznoszącej się nad zagrodą. Jeżeli piraci czaili się tam w zasadzce, to mogliby bez trudu wystrzelać kolonistów jednego po drugim.

W tym momencie nad czarną zasłoną lasu na wschodzie pojawił się księżyc i powódź srebrzystego światła zaalała wnętrze zagrody. Blask oświetlił obejście, przylegające kępy drzew, nawadniający zagrodę strumyk i obszerny dywan traw. Od strony góry odcinał się na czarnym tle biały dom i część palisady. Z przeciwnej strony, od bramy, ogrodzenie kryło się w mroku.

Wkrótce ukazała się jakaś ciemna bryła. Był to wózek wchodzący w krąg światła, a zaraz potem Cyrus Smith usłyszał łoskot bramy, którą zamykali i barykadowali od wewnątrz jego towarzysze.

W tej samej chwili Top raptownie zerwał się ze smyczy i wściekle szczekając, rzucił się w głąb zagrody na prawo od domu.

— Uwaga, przyjaciele, przygotujcie się! — zawołał Cyrus Smith.

Koloniści złożyli się do strzału, czekając na odpowiedni moment. Top nie przestawał zaciekle szczekać, a Jup, podbiegłszy do niego, wydawał ostre gwizdy.

Koloniści podążyli za nim i po chwili znaleźli się nad strumykiem ocienionym wielkimi drzewami.

I cóż tam ujrzeli w świetle księżycy?

Pięć ciał leżących na brzegu.

Były to trupy piratów, którzy przed czterema miesiącami wylądowali na Wyspie Lincoln.

ROZDZIAŁ XIII

Opowiadanie Ayrtona. — Zamiary jego dawnych kamratów. — Zajęcie przez nich zagrody. — Wymierzający sprawiedliwość na Wyspie Lincoln. — „Bonawentura”. — Poszukiwania wokół Góry Franklina. — Wyższe doliny. — Podziemne grzmoty. — Odpowiedź Pencroffa. — W głębi krateru. — Powrót.

Co się stało? Kto zabił piratów? Czy to był Ayrton? Nie, skoro jeszcze przed chwilą obawiał się ich powrotu.

Ale Ayrton pogrążony był teraz w tak głębokim śnie, że nie dało się go obudzić. Po kilku wymówionych przed chwilą słowach ponownie opanowało go otępienie i padł bez ruchu na łóżko.

Szarpani tysiącem sprzecznych myśli koloniści spędzili noc w stanie niezwykłego podniecenia, nie opuszczając ani na chwilę domu Ayrtona ani nie wracając na miejsce, gdzie leżały ciała zabitych piratów. Ayrton prawdopodobnie nie mógłby im nic powiedzieć o okolicznościach, które towarzyszyły śmierci tych bandytów, gdyż nie wiedział nawet, że znajduje się w domu w zagrodzie. Ale chyba przynajmniej mógłby opowiedzieć o tym, co się działo przed tą straszną egzekucją.

Nazajutrz Ayrton był trochę przytomniejszy i towarzysze serdecznie wyrazili mu swoją radość, że go znów widzą, prawie zdrowego i całego po stu czterech dniach rozłąki.

Wówczas Ayrton opowiedział im w paru słowach, co się stało, o tyle przynajmniej, o ile mu było wiadomo.

Nazajutrz po jego przybyciu do zagrody, 10 listopada, z nastaniem zmierzchu zniecka napadli go bandyci, którzy przeleźli przez ogrodzenie. Związali go i zakneblowali, a następnie uprowadzili ze sobą do jakiejś jaskini u stóp Góry Franklina, gdzie mieli kryjówkę.

Jego śmierć była postanowiona, następnego dnia mieli go zabić, gdy nagle jeden z bandytów poznał go i nazwał po imieniu, jakie nosił niegdyś w Australii. Nędznicy chcieli zamordować Ayrtona, ale szanowali Ben Joyce'a.

Od tej chwili Ayrton stał się przedmiotem nieustannych nalegań i namów ze strony dawnych kamratów. Chcieli go przyciągnąć znowu do siebie, liczyli na niego, że pomoże im zawładnąć Granitowym Pałacem, dostać się do tej niedostępnej warowni i po wymordowaniu kolonistów zostać panami wyspy.

Ayrton opierał się. Dawny skazaniec, skruszony i przyjęty do grona ludzi uczciwych, raczej poniósłby śmierć, niż zdradził swoich towarzyszy.

Związany, zakneblowany i czujnie strzeżony, przeżył w tej jaskini cztery miesiące.

Tymczasem piraci, którzy odkryli zagrodę prawie zaraz po swoim wylądowaniu na wyspie, korzystali ze zgromadzonej tam żywności, ale w niej nie mieszkali. 11 listopada dwaj bandyci, zaskoczeni przybyciem kolonistów, strzelali do Harberta i jeden z nich po powrocie przechwalał się, że zabił któregoś z mieszkańców wyspy. Powrócił jednak sam. Towarzysz jego, jak wiemy, padł od sztyletu Cyrusa Smitha.

Można sobie wyobrazić niepokój i rozpacz Ayrtona na wieść o śmierci Harberta. Kolonistów było już tylko czterech, jak się wydawało, zdanych na łaskę piratów.

Wskutek tego zdarzenia przez cały czas, w którym choroba Harberta zatrzymywała kolonistów w zagrodzie, piraci nie ruszyli się ze swojej jaskini i nawet po spustoszeniu Płaskowyzu Pięknego Widoku nie uważali za rozsądne, żeby opuścić tę kryjówkę.

Z Ayrtonem zaczęli się obchodzić jeszcze gorzej. Na jego rękach i nogach wciąż widniały krwawe ślady więzów krępujących go w dzień i w nocy. Każdej chwili oczekiwał na śmierć, której zdawało się, że w żaden sposób nie uniknie.

Tak było do trzeciego tygodnia lutego. Piraci, czatując wciąż na sprzyjającą okazję, rzadko opuszczali swą kryjówkę i zrobili zaledwie kilka wycieczek myśliwskich, bądź to w głąb wyspy, bądź też w stronę jej południowego wybrzeża. Ayrton nie miał żadnych wiadomości o swoich towarzyszach i stracił wszelką nadzieję, że jeszcze ich kiedyś zobaczy.

Wreszcie, osłabiony strasliwym traktowaniem, zapadł w głębokie otępienie i nic już nie widział ani nie słyszał. Od tej chwili, to jest od dwóch dni, nie mógł powiedzieć, co się działo.

— Ale, panie Smith — dodał — byłem uwięziony w jaskini, więc jak to się stało, że jestem tu, w zagrodzie?

— A jak się to stało, że piraci leżą martwi, tu, wewnątrz ogrodzenia? — odpowiedział reporter.

— Martwi?! — zawołał Ayrton, mimo całego osłabienia zrywając się z łóżka.

Towarzysze podtrzymali go. Chciał się koniecznie podnieść, na co mu wreszcie pozwolono, i wszyscy udali się w stronę strumyczka.

Było już całkiem widno.

Na brzegu, w pozycji, w jakiej ich zaskoczyła śmierć, widocznie błyskawiczna, leżało pięć ciał piratów.

Ayrton stał w osłupieniu. Cyrus Smith i towarzysze patrzyli na niego bez słowa.

Na znak dany przez inżyniera Nab i Pencroff obejrzeni zeszywniały już ciała.

Nie było na nich żadnych śladów obrażeń.

Dopiero po bardzo uważnym zbadaniu Pencroff dostrzegł na czole u jednego, u drugiego na piersiach, u trzeciego na plecach, u czwartego na szyi małą czerwoną plamkę, jakby ledwo widoczny ślad uderzenia, której pochodzenie trudno było rozpoznać.

— Tu zostali ugodzeni — powiedział Cyrus Smith.

— Ale jaką bronią?

— Jakąś piorunującą bronią, której nie znamy.

— A kto ich zabił? — spytał Pencroff.

— Wielki wykonawca sprawiedliwości na wyspie — odpowiedział Cyrus Smith — ten sam, który przeniósł tutaj Ayrtona, którego dobroczynną moc znowu poculiśmy, który robi dla nas, czego sami nigdy nie zdołalibyśmy dokonać, a zrobiwszy, ukrywa się przed nami.

— Szukajmy go więc! — zawołał Pencroff.

— Tak, szukajmy — odpowiedział Cyrus Smith — ale nie znajdziemy tej potężnej istoty, dokonującej takich cudów, dopóki sama nie zechce nas do siebie wezwać.

Ta tajemnicza opieka, która sprawiała, że ich własne działania były niczym, głęboko wzruszała, a zarazem drażniła inżyniera.

Stwierdzał swoją niższość, co raniło jego dumną duszę. Wspaniałomyślność objawiająca się w taki sposób, aby uniknąć wszelkich oznak wdzięczności, zdradzała rodzaj pogardy w stosunku do dłużników, pogardy, która w oczach Cyrusa do pewnego stopnia obniżała wartość dobrodziejstw nieznajomego.

— Szukajmy — ciągnął dalej — i dałby Bóg, żebyśmy kiedyś mogli dowieść temu wyniosłemu opiekunowi, że nie ma do czynienia z niewdzięcznikami! Ileż bym dał za możliwość odplacenia mu się jakąś wielką przysługą, choćby z narażeniem życia!

Od tego dnia poszukiwanie nieznajomego stało się jedynym celem działań kolonistów Wyspy Lincoln. Wszystko popychało ich do odkrycia odpowiedzi na tę zagadkę, odpowiedzi, która mogła być tylko imieniem człowieka obdarzonego prawdziwie niepojętą, prawie nadludzką mocą.

Po kilku chwilach koloniści powrócili do domu, gdzie ich starania wkrótce przywróciły Ayrtonowi równowagę psychiczną i fizyczną.

Nab i Pencroff przenieśli trupy do lasu, z dala od zagrody, i pogrzebali je głęboko.

Następnie opowiedziano Ayrtonowi wszystko, co zaszło podczas jego uwięzienia. Dowiedział się o przygodzie Harberta, o wszystkich ciężkich doświadczeniach kolonistów i o tym, jak stracili już całkiem nadzieję zobaczenia go ponownie, sądząc, że go spotkała bezlitosna śmierć z rąk piratów.

— A teraz — odezwał się Cyrus Smith, kończąc swoją opowieść — pozostaje nam jeszcze jeden obowiązek do spełnienia. Wykonaliśmy połowę naszego zadania, ale tego, że nie musimy się już obawiać piratów i że ponownie staliśmy się jedynymi panami wyspy, nie zawdzięczamy samym sobie.

— Przeszukajmy więc — powiedział Gedeon Spilett — cały ten labirynt skał i kotlin Góry Franklina. Zajrzyjmy do każdego wgłębienia, do każdej dziury. Ach, przyjaciele, nie wiem, czy kiedykolwiek jakiś reporter stanął wobec bardziej poruszającej do głębi tajemnicy niż ja!

— I nie powrócimy do Granitowego Pałacu — odpowiedział Harbert — zanim nie znajdziemy naszego dobroczyńcy.

— O tak! — powiedział inżynier — zrobimy wszystko, co w ludzkiej mocy... Ale powtarzam wam, że nie znajdziemy go wcześniej, niż sam tego zechce.

— Czy pozostaniemy w zagrodzie? — spytał Pencroff.

— Pozostaniemy — odpowiedział Cyrus Smith. — Mamy tu pod dostatkiem zapasów, a co najważniejsze, leży w samym centrum kręgu naszych poszukiwań. Zresztą, jeśli zajdzie potrzeba, można podjechać wózkami do Granitowego Pałacu.

— Dobrze — odpowiedział marynarz. — Ale jeszcze jedna uwaga...

— Jaka?

— Przed nami lato, a nie powinniśmy zapominać, że mamy przed sobą wycieczkę morską...

— Wycieczkę morską? — spytał Gedeon Spilett.

— Owszem, na wyspę Tabor — odpowiedział Pencroff. — Musimy zostawić tam notatkę podającą położenie naszej wyspy, na której znajduje się obecnie Ayrton, na wypadek gdyby przybył po niego szkocki jacht. Kto wie, czy już i tak nie jest za późno?

— Ale w jaki sposób, Pencroffie — spytał Ayrton — zamierza pan odbyć tę wycieczkę?

— Na „Bonawenturze”.

— Na „Bonawenturze”! — zawołał Ayrton. — Już go nie ma.

— Co, mojego „Bonawentury” nie ma?! — zaryczał Pencroff, zrywając się z miejsca.

— Niestety! — odpowiedział Ayrton. — Zaledwie osiem dni temu piraci odkryli go w małej zatoczce, wypłynęli nim na morze i...

— I?... — zapytał Pencroff z bijącym sercem.

— I nie mając ze sobą Boba Harveya, który by go poprowadził, wpadli na skały, tak że statek rozbił się doszczętnie.

— Ach, nędznicy! Zbóje! Podłe lotry! — wrzeszczał Pencroff.

— Pencroffie — odezwał się Harbert, chwytając go za rękę — zrobimy drugiego „Bonawenturę”, i to większego. Przecież mamy teraz do dyspozycji wszystkie okucia i całe ożaglowanie brygu.

— Ale czy wiecie — odpowiedział Pencroff — że na zbudowanie statku mającego trzydzieści do czterdziestu ton wyporności potrzeba co najmniej pięć do sześciu miesięcy?

— Znajdziemy czas — odpowiedział reporter — a w tym roku zrezygnujemy z wycieczki na wyspę Tabor.

— Cóż zrobić? — powiedział inżynier. — Trzeba się poddać konieczności, a mam nadzieję, że opóźnienie nie przyniesie nam żadnej szkody.

— Ach, mój „Bonawentura”! Mój biedny „Bonawentura”! — jęczał Pencroff, mocno dotknięty stratą statku, z którego był taki dumny.

Zniszczenie „Bonawentury” było rzecz jasna przykre dla wszystkich kolonistów i dlatego postanowiono jak najszybciej naprawić tę szkodę. Zdecydowawszy o tym, zajęli się tylko jednym, to jest wyprawą w celu przeszukania najskrytszych części wyspy.

Poszukiwania rozpoczęto jeszcze tego samego dnia, 19 lutego, i prowadzono je przez cały tydzień. U podnóża góry, pomiędzy grzbietami zboczy i ich licznymi rozgałęzieniami, ciągnął się labirynt kapryśnie rozrzuconych dolin i wąwozów. Właśnie tam, w głębi tych wąskich rozpadlin, kto wie, może nawet w samym środku góry, należało prowadzić najdokładniejsze poszukiwania. Żadna inna część wyspy nie nadawała się bardziej na kryjówkę dla człowieka, który chciałby pozostać nieznanym. Labirynt dolin był jednak tak zawity, że Cyrus Smith uznał, iż badania trzeba prowadzić bardzo metodycznie.

Kolonisci zwiedzili więc najpierw całą dolinę rozpościerającą się na południowym stoku wulkanu, gdzie wypływała Rzeka Wodospadu. Tutaj Ayrton pokazał im jaskinię, w której ukrywali się piraci i gdzie go trzymali aż do chwili przeniesienia do zagrody. Jaskinia wyglądała tak, jak wtedy, kiedy Ayrton w niej przebywał. Znalaziono w niej jeszcze pewna ilość amunicji i zapasów żywności, które piraci zabrali z zagrody, żeby stworzyć sobie tutaj rezerwę.

Zbadano jak najdokładniej całą przylegającą do jaskini dolinę, ocienioną pięknymi drzewami, wśród których przeważały drzewa iglaste. Następnie zaś, po okrążeniu południowo-zachodniego zbocza, kolonisci zapuścili się w wąski wąwóz kończący się malowniczymi zwałami bazaltów na wybrzeżu.

Tu drzewa były rzadsze. Kamień wypierał roślinność. Po skałach przeskakiwały kozice i muflony. W tym miejscu rozpoczynała się jałowa część wyspy. Można było zauważyć, że z tych licznych dolin rozgałęziających się od podnóża Góry Franklina, tylko trzy były zalesione i obfitowały w pastwiska, tak jak dolina, w której była zagroda, granicząca na zachodzie z doliną Rzeki Wodospadu, a na wschodzie z doliną Czerwonego Potoku. Oba te strumienie, które po przyjęciu różnych dopływów przemieniały się niżej w rzeki, zbierały wszystkie wody spływające z góry i były przyczyną żyzności jej południowej części. Rzeka Dziękczynienia była zasilana bardziej bezpośrednio przez obfite źródła ukryte w głębi Lasu Złotopióra; podobnego rodzaju źródła, sączące się tysiącem nici, nawilżały glebę Półwyspu Wężowego.

Jedna z tych trzech dolin, gdzie nie brakowało wody, mogła służyć za schronienie jakiemuś samotnikowi, który znalazłby w niej wszystko, co niezbędne do życia. Ale koloniści już je dokładnie zbadali i nigdzie nie znaleźli ani śladu obecności człowieka.

Czyżby więc schronienie nieznanego miało się znajdować w głębi tych jałowych wąwozów, wśród rumowisk skalnych, w dzikich jarach⁴¹⁰ na północy, wśród zastygłych potoków lawy?

Północne zbocze Góry Franklina miało u podnóża dwie szerokie i niezbyt głębokie doliny, pozbawione zieleni, usiane głazami, poprzerzynane głębokimi szczelinami, wybrukowane lawą, poorane zwalami skalnymi pokrytymi obsydianami⁴¹¹ i labradorami⁴¹². Ten teren wymagał długich i trudnych poszukiwań. Istniały tu tysiące rozpadlin, zapewne niezbyt wygodnych, ale doskonale ukrytych i trudno dostępnych. Koloniści zagłębiali się nawet w mroczne tunele, pochodzące z czasów aktywności wulkanu, nadal poczerwiałe od ówczesnych ogni, prowadzące w głąb samej góry. Szli przez te ciemne korytarze, oświetlając sobie drogę smolnymi pochodniami, zbadali najmniejsze zagłębienia, sprawdzili każdy otwór. Wszędzie panowała cisza i ciemność. Nie wyglądało na to, żeby kiedykolwiek jakaś istota ludzka stąpała po tych odwiecznych korytarzach, aby czyjaś ręka przesunęła któryś z głazów. Leżały tak samo, jak wtedy gdy wulkan wyrzucił je ponad powierzchnię wody, w epoce, kiedy wyspa wynurzyła się z dna morskiego.

Jednak chociaż te podziemne przejścia były całkiem puste i pogrążone w głębokiej ciemności, to nie panowała w nich zupełna cisza, jak się o tym przekonał Cyrus Smith.

Kiedy inżynier dotarł do końca jednej z tych mrocznych rozpadlin, rozciągających się na kilkaset stóp w głąb góry, ze zdziwieniem usłyszał głuche pomruki wzmacniane echem otaczających go skał.

Towarzyszący mu Gedeon Spilett, również usłyszał ten daleki warkot, wskazujący na uaktywnienie się podziemnych ogni. Obaj kilkakrotnie nastuchiwali i doszli do wspólnego wniosku, że we wnętrzu ziemi zachodzi jakiś proces chemiczny.

— A więc wulkan nie wygasł zupełnie? — odezwał się reporter.

— Możliwe — odpowiedział Cyrus Smith — że od czasu, gdy badaliśmy krater, w głębszych warstwach zaszły jakieś zmiany. Widocznie każdy wulkan pomimo pozornego wygaśnięcia może zbudzić się na nowo.

— Jeżeli jednak zanosi na wybuch Góry Franklina, to czy Wyspie Lincoln nie zagraża niebezpieczeństwo? — spytał Gedeon Spilett.

— Nie wydaje mi się — odpowiedział inżynier. — Istnieje przecież krater, czyli klapa bezpieczeństwa, więc nadmiar gazów i lawy wydostanie się nim, jak niegdyś, swoją zwykłą drogą.

— Żeby tylko lawa nie utorowała sobie nowego przejścia w kierunku żywnych części wyspy.

— A to dlaczego, drogi Spilecie? — odpowiedział Cyrus Smith. — Dlaczego nie miałyby popłynąć naturalnie wytyczoną drogą?

— Ech, wulkany są kapryśne — powiedział reporter.

— Proszę zauważyć — odpowiedział inżynier — że nachylenie całego masywu Góry Franklina sprzyja wylewaniu się mas wulkanicznych w kierunku dolin, które teraz badamy. Po to, żeby zmienić kierunek tego przepływu, jakieś trzęsienie ziemi musiałyby przesunąć środek ciężkości góry.

— Ależ w podobnych warunkach zawsze należy się obawiać trzęsienia ziemi — zauważył Gedeon Spilett.

— Zawsze — odpowiedział inżynier — zwłaszcza gdy siły podziemne poczynają się budzić, a wewnątrz ziemi może być zapchane wskutek długiej bezczynności. Toteż, drogi Spilecie, wybuch byłby dla nas sprawą niesłychanie poważną i lepiej byłoby, żeby nasz wulkan nie nabrał ochoty na przebudzenie się. Ale nic na to nie poradzimy, prawda? W każdym razie nie wydaje mi się, żeby naszej posiadłości na Płaskowyżu Pięknego Widoku mogło coś naprawdę zagrażać. Pomiędzy nią a górą grunt jest znacznie zagłębiony,

⁴¹⁰jar — wąwóz o wąskim dnie i stromych zboczach. [przypis edytorski]

⁴¹¹obsydian — skała wulkaniczna złożona niemal wyłącznie ze szkliwa wulkanicznego, powstająca w wyniku natychmiastowego stygnięcia lawy. [przypis edytorski]

⁴¹²labradora — magmowa skała głębinowa z dużą zawartością labradoru, minerału z gromady krzemianów, występującego w postaci kruchych, przezroczystych kryształów o migotliwej barwie. [przypis edytorski]

a gdyby kiedykolwiek lava skierowała się w stronę jeziora, zostałaby odrzucona w stronę wydm i terenów sąsiadujących z Zatoką Rekinów.

— Dotychczas nie widzieliśmy na szczycie góry żadnego dymu zapowiadającego bliski wybuch — odezwał się Gedeon Spilett.

— Istotnie — odparł Cyrus Smith — z krateru nie wznosi się najmniejszy dymek, a wczoraj dokładnie obserwowałem jego szczyt. Możliwe jednak, że w dolnej części kominu z biegiem lat nagromadziły skały, popioły i zastygła lava i że ta wspomniana przeze mnie kłapa bezpieczeństwa jest chwilowo pod zbyt wielkim naciskiem. Ale przy pierwszym poważniejszym wysiłku te wszystkie przeszkody znikną i może pan być pewny, drogi Spilecie, że ani wyspa będąca kotłem, ani wulkan służący za komin nie wylecą w powietrze pod ciśnieniem gazów. W każdym razie, powtarzam, byłoby lepiej, gdyby nie było wybuchu.

— A jednak zmysły nas nie huczają — odparł reporter. — Słysząc przecież wyraźnie głuche pomruki w samym wnętrzu wulkanu.

— Istotnie — odpowiedział inżynier, nastawiwszy raz jeszcze uszu z wyteżoną uwagą — istotnie, niemożliwe, abyśmy się mylili. Odbywa się tam jakiś proces, a my nie możemy ocenić ani jego rozmiarów, ani ostatecznego rezultatu.

Po wyjściu i odnalezieniu towarzyszy Cyrus Smith i Gedeon Spilett powiadomili ich o swoich spostrzeżeniach.

— Ha! — zawołał Pencroff. — Temu wulkanisku zbiera się na figle! Niech no tylko spróbuje! Znajdzie się ktoś, kto mu na to nie pozwoli!...

— Kto taki? — spytał Nab.

— Nasz duch opiekuńczy, Nabie, nasz duch, który mu zaknebluje krater, jak tylko będzie go chciał rozdziawić!

Jak widać, zaufanie marynarza do specjalnego bożka wyspy nie miało granic. Rzeczywiście, jego tajemnicza potęga, przejawiająca się dotychczas tyloma niepojętymi faktami, wydawała się bezgraniczna. Udało mu się nawet ująć najskrupulatniejszym poszukiwaniom kolonistów, tak że pomimo wszelkich wysiłków, mimo gorliwości, pomimo zawziętych poszukiwań dotychczas nie zdołali odkryć jego kryjówki.

Od 19 do 25 lutego rozszerzono zasięg poszukiwań na całą północną część Wyspy Lincoln, gdzie przetrząsnęto najtajniejsze zakamarki. Koloniści doszli wreszcie do tego, że opukiwali każdą ścianę skalną, jak to robią agenci sprawdzający mury podejrzanego domu. Inżynier sporządził nawet bardzo dokładny plan całej góry i przeprowadził poszukiwania aż podtrzymujących ją dolnych partii skał. Zbadano ją do samego szczytu ściętego stożka kończącego pierwszą kondygnację góry, a następnie aż do górnej krawędzi tego olbrzymiego kapelusza, w głębi którego otwierał się krater.

Co więcej, koloniści zagłębili się także w samą gardziel krateru, wciąż jeszcze wygasłą, ale z głębi której wyraźnie dochodziły pomruki. Na razie jednak ani dym, ani para, ani najmniejsze rozgrzanie się ścian nie wskazywały na zbliżający się wybuch wulkanu. I ani tutaj, ani w żadnej innej części Góry Franklina koloniści nie znaleźli śladów tego, którego szukali.

Wówczas przeniesiono poszukiwania w okolice wydm. Przeszukano starannie wysokie urwisko z lawy w Zatoce Rekinów, od podstawy do szczytu, pomimo że zejście do samego poziomu zatoki nastęrczało ogromne trudności. Nikogo! Niczego!

Te dwa słowa streszczały w sobie tyle trudów poniesionych na marne, tyle bezowocnej wytrwałości, że w duszy Cyrusa Smitha i jego towarzyszy do uczucia zawodu dołączył rodzaj gniewu.

Trzeba było pomyśleć o powrocie, bo poszukiwania nie mogły się przedłużyć w nieskończoność. Koloniści mieli doprawdy prawo wierzyć, że ta tajemnicza istota nie mieszkała na powierzchni wyspy, i w ich pobudzonej wyobraźni powstawały najbardziej szalone hipotezy. Zwłaszcza Nab i Pencroff, nie poprzestając już na tym, co było dziwne, dawali się unosić w świat nadprzyrodzony.

25 lutego koloniści powrócili do Granitowego Pałacu i dzięki podwójnie złożonej linie, zarzuconej na podest za pomocą strzały, przywrócili połączenie pomiędzy swoim mieszkaniem a ziemią.

W miesiąc później, 25 marca, obchodzili trzecią rocznicę swego przybycia na Wyspę Lincoln.

ROZDZIAŁ XIV

Upłynęły trzy lata. — Sprawa nowego statku. — Co postanowiono? — Dobrobyt kolonii. — Stocznia. — Mrozy na półkuli południowej. — Pencroff rezygnuje. — Pranie bielizny. — Góra Franklina.

Trzy lata upłynęły od ucieczki więźniów z Richmond. Ileż to razy przez ten czas rozmawiali o swojej ojczyźnie, zawsze obecnej w ich myślach!

Nie wątpili, że wojna domowa musiała się już skończyć i wydawało im się niemożliwe, żeby słuszna sprawa Północy nie odniosła zwycięstwa. Ale jak przebiegała ta straszliwa wojna? Ile krwi kosztowała? Którzy z ich przyjaciół polegli w tej walce? Często o tym rozmawiali, nie mogąc nawet przewidzieć, kiedy znowu zobaczą swój kraj. Pragnęli powrócić do swojej ziemi choćby na kilka dni, nawiązać z powrotem więzi z zamieszkanym światem, nawiązać jakąś komunikację pomiędzy ojczyzną a tą wyspą, a następnie spędzić najdłuższy, najlepszy może okres swego życia w tej kolonii, którą założyli i która wówczas należałaby do metropolii. Czyżby było to marzeniem niemożliwym do spełnienia?

Były tylko dwa środki urzeczywistnienia tej nadziei: albo pewnego dnia w pobliżu Wyspy Lincolna pojawi się jakiś statek, albo też koloniści sami zbudują statek dostatecznie wytrzymały, żeby dopłynąć nim do najbliższego lądu.

— Chyba że — mawiał Pencroff — chyba że nasz dobry duch dostarczy nam innych środków umożliwiających powrót do ojczyzny.

Z pewnością, gdyby ktoś przyszedł do Pencroffa i Naba i powiedział, że okręt o wyporności trzystu ton oczekuje na nich w Zatoce Rekinów lub w Przystani Balonowej, nie okazaliby najmniejszego zdziwienia. Jeżeli chodziło o tajemniczego opiekuna, spodziewali się po nim wszystkiego.

Jednak Cyrus Smith, mniej naiwny, radził im powrócić do rzeczywistości i pomyśleć o budowie statku, sprawie naglącej, ponieważ trzeba było jak najprędzej zawieźć na wyspę Tabor dokument wskazujący nowe miejsce pobytu Ayrtona.

„Bonawentury” już nie było, zaś zbudowanie nowego statku wymagało co najmniej sześciu miesięcy. Tymczasem zbliżała się zima, więc podróż nie mogła się odbyć przed nadejściem wiosny.

— Mamy więc dosyć czasu na przygotowania przed nadejściem lata — powiedział inżynier, rozmawiając o tym z Pencroffem. — Sądzę zaś, przyjacielu, że będąc zmuszeni zbudować na nowo statek, powinniśmy mu nadać większe rozmiary. Przybycie szkockiego jachtu na wyspę Tabor jest rzeczą bardzo niepewną. Możliwe nawet, że przypłynął już przed kilkoma miesiącami i po daremnych poszukiwaniach śladów Ayrtona odpłynął z powrotem. Czy nie byłoby zatem wskazane zbudować statek, którym w razie potrzeby można by popłynąć na archipelagi polinezyjskie lub do Nowej Zelandii? Co pan o tym sądzi?

— Sądzę, panie Cyrusie, że potrafi pan tak samo zbudować wielki statek, jak i mały. Ani drzewa, ani narzędzi nam nie zabraknie. To tylko kwestia czasu.

— A ile czasu wymagałoby zbudowanie statku o wyporności dwustu pięćdziesięciu do trzystu ton? — spytał Cyrus Smith.

— Co najmniej siedem do ośmiu miesięcy — odpowiedział Pencroff. — Nie należy jednak zapominać, że zbliża się zima i że przy silnych mrozach obróbka drzewa jest trudna. Musimy przewidzieć kilka tygodni przerwy w pracy, więc będziemy mieli szczęście, jeżeli zdążymy ukończyć statek na listopad.

— Cóż — odpowiedział Cyrus Smith — to jest akurat najbardziej odpowiednia pora na podjęcie dłuższego rejsu, czy to na wyspę Tabor, czy też do odleglejszego lądu.

— Rzeczywiście, panie Cyrusie — potwierdził marynarz. — Niech więc pan sporządzi plany; robotnicy czekają, a myślę, że i Ayrton potrafi nam doskonale pomóc przy tej pracy.

Pozostali koloniści, spytani o zdanie, zgodzili się na projekt inżyniera, bo też rzeczywiście było to najlepsze wyjście. Co prawda zbudowanie dwustu do trzystutonowego statku było nie lada zadaniem, ale koloniści wierzyli we własne siły, co usprawiedliwiały dotychczasowe liczne sukcesy.

Cyrus Smith zajął się opracowaniem planu statku i wykonaniem modelu. W tym czasie jego towarzysze zabrali się do wyrębu i zwożenia drzewa potrzebnego na wręgi, kadłub i poszycie. Las Dalekiego Zachodu dostarczył najlepszych dębów i wiązów. Skorzystano z traktu wyciętego podczas ostatniej wyprawy, żeby utorować wygodną drogę, której nadano nazwę Drogi Dalekiego Zachodu, zaś drewno zwieziono do Kominów, gdzie urządzono stocznię. Wprawdzie droga przebiegała nieco krętą linią, gdyż o jej przebiegu decydował głównie duży wybór odpowiednich drzew, ułatwiała jednak dostęp do znacznej części Półwyspu Wężowego.

Drzewa trzeba było szybko ściąć i obrobić, gdyż nie można ich było użyć świeżo po ścięciu, a na wyschnięcie potrzebowały dość dużo czasu. Ciesłe pracowali więc gorliwie przez cały kwiecień, podczas którego nie zaszło nic ważnego oprócz kilku gwałtownych wichur w okresie zrównania dnia z nocą. Pan Jup zręcznie pomagał, bądź to włącząc na szczyty drzew i umocowując liny służące do ich zwalania na ziemię, bądź też dźwigając na swoich potężnych barkach pozbawione gałęzi pnie.

Następnie całe drewno złożono w obszernej szopie z desek zbudowanej w pobliżu Kominów, gdzie miało czekać na rozpoczęcie budowy statku.

Kwiecień był dosyć piękny, jak często bywa październik na półkuli północnej. W tym samym czasie zabrano się również gorliwie do pracy na roli i wkrótce wszelkie ślady спустoszenia znikły z Płaskowyżu Pięknego Widoku. Młyn odbudowano, a na miejscu dawnych zabudowań ptaszarni stanęły nowe. Trzeba je było koniecznie powiększyć, ponieważ liczba ptasich mieszkańców ogromnie wzrosła. W stajni było obecnie pięć onagrów, z których cztery silne, dobrze wyćwiczone nadawały się do zaprzęgu i jazdy wierzchem, a piąty właśnie się urodził. Inwentarz kolonii powiększył się o pług i onagrów użyto do orki jak prawdziwe woły z Yorkshire⁴¹³ lub Kentucky⁴¹⁴. Każdy z kolonistów miał przydzieloną część pracy i żadna para rąk nie próżnowała. Toteż robotnicy mieli świetne zdrowie i niezrównany humor ożywiały wieczory w Granitowym Pałacu, gdy układali tysiące projektów na przyszłość.

Rzecz jasna Ayrton żył i pracował wspólnie z kolonistami, i nie było już nawet mowy o tym, żeby mieszwał w zagrodzie. Zawsze jednak był smutny i małowówny, raczej przyłączał się do pracy niż do rozrywek swoich towarzyszy. Za to przy pracy był niezastąpiony — silny, zręczny, pomysłowy i inteligentny. Wszyscy go szanowali i lubili, co nie mogło ujść jego uwagi.

Nie zaniedbywano także zagrody. Co dwa dni jeden z kolonistów wózkiem lub wierzchem na onagrze udawał się tam, żeby doglądnąć stada muflonów i kozic, i powracał z zapasem mleka do spiżarni Naba. Wycieczki te stanowiły zarazem okazję do polowań. Toteż Harbert i Gedeon Spilet, z Topem na przedzie, częściej od reszty towarzyszy przemierzali drogę do zagrody, a ponieważ mieli doskonałą broń, w domu nigdy nie brakowało kapibar, aguti, kangurów, dzików, a także kaczek, kuraków, bażantów, złotopiórów i bekasów. Królikarnia, ławica ostryg, kilka schwytych żółwi, nowy połów wybornych łososi, które wpłynęły znowu do Rzeki Dziękczynienia, warzywa z Płaskowyżu Pięknego Widoku, dzikie owoce z lasu — całego tego bogactwa było tyle, że kuchmistrz Nab ledwie znajdował miejsce, żeby je przechować.

Rzecz jasna linia telegraficzna łącząca zagrodę z Granitowym Pałacem została naprawiona i korzystano z niej, gdy któryś z kolonistów, będąc w zagrodzie, uważał za konieczne tam przenocować. Zresztą wyspa była obecnie bezpieczna, nie trzeba się było obawiać napaści, przynajmniej ze strony ludzi.

Niemniej jednak to, co się stało, mogło się jeszcze powtórzyć. Zawsze można było się spodziewać wylądowania piratów lub zbiegłych przestępców. Możliwe, że towarzysze i wspólnicy Boba Harveya nadal odsiadujący karę w Norfolk byli wtajemniczeni w jego plany i mogli wpaść na pomysł, żeby pójść za jego przykładem. Dlatego też koloniści nie przestawali zwracać czujnej uwagi na miejsca odpowiednie do lądowania na wyspie i codziennie przeszukiwali lunetą szeroki horyzont pomiędzy Zatoką Stanów Zjednoczonych a Zatoką Waszyngtona. Kiedy przebywali w zagrodzie, nie mniej uważnie obserwowali

⁴¹³Yorkshire — hrabstwo w płn. Anglii. [przypis edytorski]

⁴¹⁴Kentucky — jeden ze stanów USA. [przypis edytorski]

zachodnią część morza, a gdy wspinali się na zbocza Góry Franklina, mogli ogarnąć wzrokiem duży odcinek zachodniego horyzontu.

Wprawdzie nic podejrzanego się nie pojawiło, ale trzeba było mieć się na baczności.

Pewnego wieczoru inżynier przedstawił przyjaciółom wymyślony przez siebie plan ufortyfikowania zagrody. Uważał, że należy podwyższyć palisadę i zbudować przy niej coś w rodzaju blokhauzu⁴¹⁵, w którym w razie potrzeby koloniści mogliby się bronić przeciw nieprzyjaciółom. Ponieważ Granitowy Pałac ze względu na jego położenie należało uważać za niemożliwy do zdobycia, zatem celem usiłowań piratów, kimkolwiek by oni byli, którzy wylądowaliby na wyspie, byłaby zawsze zagroda ze swymi budynkami, zapasami i zwierzętami. Na wypadek gdyby koloniści byli zmuszeni w niej się zamknąć, powinni mieć korzystne warunki do obrony.

Projekt ten jednak wymagał gruntownego przemyślenia. Zresztą jego wykonanie z konieczności trzeba było odłożyć do przyszłej wiosny.

Około 15 maja stępka nowego statku leżała na miejscu w stoczni, a wkrótce znalazły się tam także wznoszące się prawie prostopadle dziobnica i tylnica, połączone na obu końcach czopami. Zrobiona z mocnego dębu stępka miała sto dziesięć stóp długości, co pozwalało nadać konstrukcji szerokość dwudziestu pięciu stóp. Jednak było to wszystko, co cieśle zdążyli zrobić przed nastaniem zimy i niepogody. Przez następny tydzień przymocowali jeszcze pierwsze wręgi rufowe, a potem trzeba już było przerwać prace.

W ostatnich dniach maja pogoda była wyjątkowo zła. Wiatr ze wschodu wiał chwilami z gwałtownością huraganu. Inżynier niepokoił się o los stoczni, której zresztą nie można było postawić w żadnym innym miejscu w pobliżu Granitowego Pałacu, ponieważ wysepka nie całkiem zasłaniała wybrzeże przed furią otwartego morza i podczas wielkich burz fale uderzały o samo podnóże granitowej ściany.

Na szczęście obawy się nie ziściły. Wiatr wiał częściej z południowego wschodu, a w tych warunkach wybrzeże Granitowego Pałacu było całkowicie osłonięte przez Cypel Znaleziska.

Pencroff i Ayrton, dwaj najgorliwsi budowniczy nowego statku, nie przerywali pracy, jak tylko mogli najdłużej. Nie zwracali uwagi na wicher targający im włosy, na przenikający do kości deszcz, a uderzenie młotka jest tak samo dobre w piękną, jak i w złą pogodę. Ale kiedy po deszczach przyszły ostre mrozy, drewno, którego włókna nabrały twardości żelaza, stało się zbyt trudne do obróbki i około 10 czerwca trzeba było ostatecznie przerwać budowę statku.

Cyrus Smith i jego towarzysze od dawna zauważyli, jak dokuczliwa była pogoda podczas zimy na Wyspie Lincolna. Zimno było porównywalne z panującym w położonych mniej więcej w tej samej odległości od równika stanach Nowej Anglii⁴¹⁶. Na półkuli północnej, a przynajmniej tam, gdzie leży Nowa Brytania⁴¹⁷ i północna część Stanów Zjednoczonych, zjawisko powyższe tłumaczy się płaskim ukształtowaniem tych terenów, położonych w okolicach biegun i niemających wzniesień, które stwarzałyby przeszkody wichrom podbiegunowym. Na Wyspie Lincolna jednak takie wyjaśnienie nie dało się zastosować.

— Zauważono nawet — powiedział pewnego dnia Cyrus Smith do towarzyszy — że na tych samych szerokościach wyspy i części przybrzeżne mniej są narażone na mrozy niż okolice leżące w głębi lądu. Często zdarzało mi się słyszeć, że na przykład zimy w Lombardii⁴¹⁸ są ostrzejsze niż w Szkocji, a bierze się to stąd, że morze zwraca w zimie ciepło otrzymane w ciągu lata. Wyspy więc znajdują się w najlepszych warunkach, jeśli chodzi o korzystanie z tego zwrotu.

— Ale w takim razie, panie Cyrusie — spytał Harbert — dlaczego Wyspa Lincolna wydaje się wyłamywać z tego ogólnego prawa?

⁴¹⁵*blokhauz* (z niem.) — niewielki ufortyfikowany budynek ze strzelnicami, przystosowany do samodzielnej obrony z kilku stron. [przypis edytorski]

⁴¹⁶*Nowa Anglia* — region USA położony na płn.-wschodzie kraju, składający się z 6 stanów. [przypis edytorski]

⁴¹⁷*Nowa Brytania* (hist.) — w XVII–XIX w. nazwa wschodnich i środkowych terenów ob. Kanady, obejmujących Płw. Labrador oraz ob. stany Manitoba i Nunavut; obecnie nazwę N. Brytania nosi wyspa należąca do Papui-Nowej Gwincei. [przypis edytorski]

⁴¹⁸*Lombardia* — kraina w płn. Włoszech, położona u podnóży Alp. [przypis edytorski]

— Trudno to wytłumaczyć — odparł inżynier. — Byłbym jednak skłonny przypuszczać, że przyczyną tej osobliwości jest położenie naszej wyspy na półkuli południowej, która, jak ci to wiadomo, mój chłopcze, jest o wiele chłodniejsza od północnej.

— Rzeczywiście — odpowiedział Harbert — pływające góry lodowe spotyka się ma mniejszych szerokościach geograficznych na południu niż na północy Pacyfiku.

— Najprawdziwsza prawda — wtrącił Pencroff. — Ja sam, gdy zajmowałem się wiewolbictwem, widziałem góry lodowe aż na wysokości przylądka Horn⁴¹⁹.

— Dokuczliwe zimna na Wyspie Lincoln — powiedział Gedeon Spilett — dałyby się zatem wytłumaczyć obecnością pól i lawic lodowych⁴²⁰ w stosunkowo niedalekiej odległości.

— Pańskie zdanie jest bardzo prawdopodobne, drogi Spilecie — odparł Cyrus Smith — i zapewne nasze ostre zimy zawdzięczamy bliskości jakiegoś pola lodowego. Muszę też zwrócić uwagę, że istnieje jeszcze jedna przyczyna fizyczna, która powoduje, że półkula południowa jest zimniejsza od północnej. Ponieważ Słońce znajduje się bliżej tej półkuli w czasie lata, w zimie z konieczności musi być dalej. To wyjaśnia dużą rozpiętość temperatury w obu kierunkach: jeżeli bowiem uważamy zimy na Wyspie Lincoln za bardzo surowe, to nie zapominajmy, że lata są tu bardzo skwarne.

— Ale dlaczego, przepraszam bardzo — spytał Pencroff, marszcząc brwi — panie Smith, dlaczego nasza półkula, jak pan mówi, dostała taki kiepski udział? To niesprawiedliwie!

— Przyjacielu — odpowiedział inżynier, śmiejąc się — czy to sprawiedliwe, czy nie, nic na to nie poradzimy. Przyczyna tej właściwości jest następująca. Ziemia opisuje wokół Słońca nie koło, ale elipsę, jak to wynika z praw mechaniki. Słońce zajmuje jedno z ognisk tej elipsy, zatem Ziemia w pewnym okresie swego obiegu znajduje się w aphelium, to znaczy w punkcie swej największej odległości od Słońca, a w innym okresie w perigeum, czyli najbliżej Słońca. Otóż tak się składa, że właśnie w czasie zimy na półkuli południowej Ziemia znajduje się w punkcie najdalszym od Słońca, a więc w warunkach sprowadzających najsilniejsze mrozy. Na to nie ma rady i nawet najbardziej uczeni ludzie, Pencroffie, nie zdołają nigdy niczego zmienić w porządku kosmograficznym⁴²¹, ustanowionym przez samego Boga.

— A jednak — dodał Pencroff, który łatwo nie ustępował — a jednak ludzie są bardzo uczeni. Co by to za grubą księgę można było złożyć, panie Cyrusie, z tego, co ludzie wiedzą.

— A o ile grubszą z tego, czego nie wiedzą — odparł Cyrus Smith.

W każdym razie, z tej czy z owej przyczyny, w czerwcu jak zwykle nadeszły silne mrozy i koloniści najczęściej musieli przebywać w zamknięciu w Granitowym Pałacu.

To przymusowe zamknięcie było dokuczliwe dla wszystkich, a najbardziej chyba dla Gedeona Spiletta.

— Widzisz — powiedział pewnego dnia do Naba — darowałbym ci chętnie aktem notarialnym prawa do wszelkich spadków, jakie mi kiedykolwiek przypadną, gdybyś był tak dobry i poszedł wszystko jedno gdzie, żeby zaprenumerować dla mnie jakiś dziennik!... Stanowczo najbardziej brakuje mi do szczęścia, żeby codziennie rano dowiedzieć się, co się wydarzyło poprzedniego dnia gdzieś indziej niż tutaj.

Nab zaczął się śmiać.

— Doprawdy — odpowiedział — a mnie najbardziej obchodzi moja codzienna praca!

Rzeczywiście, tak w domu, jak i na zewnątrz nie brakowało zajęcia.

Kolonia Wyspy Lincoln przeżywała w tym czasie okres największego rozkwitu, osiągniętego dzięki trzem latom ciężkiej pracy. Zniszczony bryg stał się nowym źródłem bogactwa. Nie mówiąc już bowiem o kompletnym ożaglowaniu, mogącym się przydać do budującego się statku, magazyny Granitowego Pałacu były teraz wypełnione po brzegi wszelkiego rodzaju sprzętami i narzędziami, bronią i amunicją, odzieżą i instrumentami.

⁴¹⁹przylądek Horn — najbardziej na pd. wysunięty przylądek Ameryki Płd. [przypis edytorski]

⁴²⁰pola i lawice lodowe — rodzaje pływającej pokrywy lodowej morza, występującej na obszarach polarnych; dryfujący lód o średnicy powyżej 10 km jest nazywany polem lodowym, zaś mający mniejszą średnicę lawica lodowa. [przypis edytorski]

⁴²¹kosmograficzny — związany z kosmografią, daw. nauką opisującą wszechświat i jego funkcjonowanie. [przypis edytorski]

Nie trzeba już było uciekać się do wyrobu grubej tkaniny filcowej. Wprawdzie koloniści podczas pierwszego zimowania na wyspie wiele ucierpieli wskutek zimna, ale teraz wcale nie obawiali się nadejścia surowej pory roku. Bielizny mieli także pod dostatkiem, zresztą dbali o nią z wielką sumiennością. Z chlorku sody, który jest niczym innym jak solą morską, Cyrus Smith z łatwością wyodrębnił sodę i chlor. Soda, którą można było bez trudu przemienić w węglan sodu, jak i chlor, z którego inżynier wytworzył chlorek wapna i inne pochodne, przydały się do wielu czynności domowych, a przede wszystkim do prania bielizny. Zresztą urządzano tylko cztery prania na rok, jak to było niegdyś w zwyczaju w staromodnych domach. Warto dodać, że Pencroff i Gedeon Spilett, wciąż czekający na roznosiciela gazet, okazali niezwykle zdolności jako pracze.

Tak upłynęły miesiące zimowe: czerwiec, lipiec i sierpień. Były bardzo zimne, średnia temperatura nie przekraczała ośmiu stopni Fahrenheita (13°,33 Celsjusza poniżej zera), była więc niższa niż poprzedniej zimy. Toteż w kominkach Granitowego Pałacu stale huczał ogień, zostawiając czarne długie smugi dymu na granitowych ścianach. Nie oszczędzono opału, gdyż rósł o kilka kroków od domu. Zresztą nadwyżka drewna przeznaczonego na budowę statku pozwoliła zaoszczędzić węgla, bardziej kłopotliwego do transportowania.

Ludzie i zwierzęta mieli się doskonale. Trzeba przyznać, że pan Jup okazał się trochę zmarzlakiem. Była to chyba jego jedyna wada i uporano się z nią, szyjąc mu ciepły, dobrze watowany szlafrok. Za to jaki był z niego sługa — zręczny, gorliwy, niestrudzony, dyskretny, niegadatliwy. Można go było stawiać za wzór służącego wszystkim jego dwunożnym kolegom w Starym i w Nowym Świecie.

— Chociaż — mawiał Pencroff — wstyd by było, mając cztery ręce do dyspozycji, nie uwijać się jak należy przy robocie.

Rzeczywiście inteligentny czwororęki pracował bardzo dobrze.

Przez siedem miesięcy, które upłynęły od ostatnich poszukiwań wokół góry, i przez cały wrzesień, odznaczający się już piękną pogodą, nie było mowy o opiekuńczym duchu wyspy. Jego moc nie przejawiała się w żadnej okoliczności. Co prawda i tak byłaby zbyt cenna, ponieważ nie zaszło nic takiego, co wystawiałoby kolonistów na jakąś ciężką próbę.

Cyrus Smith zauważył, że jeżeli nawet komunikowanie się nieznanego z mieszkańcami Granitowego Pałacu odbywało się poprzez masyw granitowy, zaś Top niejako wyczuwał go swoim instynktem, to w ciągu tego całego okresu nic się podobnego nie zdarzyło. Dziwne warczenie psa całkowicie ustało, tak samo jak i niepokój orangutana. Obaj przyjaciele — jakimi rzeczywiście byli Jup i Top — nie kręcili się już przy wylocie wewnętrznej studni, pies nie szczekał, a orangutan nie wydawał już tych dziwnych pomruków, które od razu zwróciły uwagę inżyniera. Ale czy Cyrus Smith mógł ręczyć, że wszystko na temat tej zagadki zostało powiedziane i że nigdy nie znajdzie jej rozwiązania? Czy mógł twierdzić stanowczo, że nie zajdzie jakiś wypadek i nie wprowadzi znowu na scenę tajemniczej postaci? Kto może wiedzieć, co przyniesie przyszłość?

Wreszcie zima dobiegła końca, ale właśnie pierwszych dniach wiosny zaszło pewne zdarzenie, które mogło przynieść poważne konsekwencje.

7 września Cyrus Smith, przypatrując się uważnie szczytowi Góry Franklina, spostrzegł wijący się nad kraterem dym, którego pierwsze kłęby rozprasały się właśnie w powietrzu.

ROZDZIAŁ XV

Przebudzenie się wulkanu. — Lato. — Wznowienie prac. — Wieczór 15 października. — Telegram. — Wezwanie. — Odpowiedź. — W drodze do zagrody. — Kartka. — Przedłużenie linii. — Bazaltowe wybrzeże. — Podczas przyptywu morza. — Podczas odpływu. — Pieczara. — Olsniwające światło.

Koloniści, powiadomieni przez inżyniera, przerwali pracę i w milczeniu obserwowali szczyt Góry Franklina.

A więc wulkan się przebudził i wyziewy przedarły się przez warstwę mineralną nagromadzoną w głębi krateru. Czy jednak te podziemne ognie spowodują gwałtowny wybuch? Tej ewentualności nie dało się zapobiec.

Jednakże nawet w przypadku wybuchu prawdopodobnie nie cała Wyspa Lincoln by ucierpiała. Wylewy law wulkanicznych nie zawsze bywają niszczące. Wyspa już kiedyś doświadczyła czegoś co podobnego, jak o tym świadczyły smugi zastygłej lawy na północnym zboczu góry. Poza tym zapadnięcie wyżłobione na górnej krawędzi krateru powinno poprowadzić ognisty wylew w stronę przeciwną, a nie na żyzne części wyspy.

Z drugiej strony to, co się stało w przeszłości, nie stanowi rękojmi na przyszłość. Nieraz bowiem na szczycie wulkanu dawne kratery zamykają się, a otwierają się nowe. Przypadki takie miałyby miejsce na obu półkulach, na Etnie⁴²², na Popocatepetlu⁴²³, na Orizabie⁴²⁴, toteż w przededniu wybuchu można obawiać się wszystkiego. Wystarczy zresztą trzęsienie ziemi, zjawisko czasami towarzyszące wybuchom wulkanów, żeby zmienił się wewnętrzny układ góry i by rozżarzona lava utorowała sobie nowe drogi.

Cyrus Smith wytłumaczył to wszystko towarzyszom i nie wyolbrzymiając powagi sytuacji, zapoznał ich ze sprzyjającymi i niekorzystnymi okolicznościami.

Zresztą nic nie można było na to poradzić. Granitowy Pałac nie wydawał się zagrożony, chyba że w przypadku trzęsienia ziemi, które zachwiałoby fundamentami wyspy. Ale o zagrodę należało się poważnie obawiać, gdyby jakiś nowy krater otworzył się od południowej strony Góry Franklina.

Od tego dnia na szczycie Góry Franklina nie przestawały się gromadzić wyziewy. Dym stawał się coraz gęstszy i sięgał coraz wyżej, jak dotąd jednak wśród kłębow nie było widać płomieni. Zatem ogniste wrzenie koncentrowało się w dolnych częściach głównego przewodu.

Mimo obaw z nadejściem ładnej pogody zabrano się na nowo do przerwanych prac. Koloniści spieszyli się z budową statku. Wykorzystując nadbrzeżny wodospad, Cyrus Smith uruchomił wodny tartak, tnący szybko pnie na deski i belki. Mechanizm tego urządzenia był równie prosty jak wiejskich tartaków w Norwegii. Należało wprawić kłoc drewna w ruch poziomy, a piłę w ruch pionowy. Zadanie to inżynier rozwiązał za pomocą koła, dwóch walców i odpowiednio rozmieszczonych bloków.

Pod koniec września kadłub statku, mającego być szkunerem⁴²⁵, stał już w stoczni. Wręgi były prawie całkiem skończone i prowizorycznie przymocowane, tak że można już było ocenić kształty przyszłego statku. Wysmukły z przodu, szerszy z części rufowej, wyglądał na zdalny do odbicia dalekiej wyprawy w razie potrzeby; jednak wykonanie odyłowania⁴²⁶, pokładu oraz ułożenie klepek poszycia wymagało jeszcze dużo czasu. Na szczęście z katastrofy brygu wywołanej podwodnym wybuchem ocalono okucia. Z uszkodzonych desek i wręg Pencroff i Ayrton powyciągali sworznie i mnóstwo mosiężnych gwoździ. Zaoszczędziło to pracy i czasu kowalom, ale cieślom zostawało jeszcze wiele roboty.

Prace budowlane trzeba było przerwać na tydzień na żniwa, sianokosy i zwózkę zbiorów z Płaskowizy Pięknego Widoku. Po ukończeniu tego zadania każdą chwilę poświęcano odtąd wyłącznie szkunerowi.

Z nadejściem nocy robotnicy byli już całkiem wyczerpani. Ażeby nie marnować czasu, zmienili godziny posiłków: jedli obiad w południe, a kolację dopiero, gdy się całkiem ściemniło. Wówczas powracali do Granitowego Pałacu i szybko kładli się spać.

Niekiedy jednak, gdy zawiązała się rozmowa na jakiś ciekawy temat, godzina snu opóźniała się nieco. Koloniści snuli plany na przyszłość i chętnie zastanawiali się nad zmianami, jakie mogła spowodować w ich sytuacji wyprawa szkunerem do najbliższego lądu. Ale wszystkim tym projektom towarzyszyła zawsze myśl o późniejszym powrocie na Wyspę Lincoln. Nigdy nie przyszło im do głowy, żeby całkiem opuścić tę kolonię, założoną z takim trudem i z takim powodzeniem, kolonię, która dzięki ustaleniu komunikacji z Ameryką zyskałaby nowe możliwości rozwoju.

⁴²²*Etna* — czynny wulkan na wsch. wybrzeżu Sycylii, najwyższy (3340 m n.p.m.) i największy w Europie stożek wulkaniczny. [przypis edytorski]

⁴²³*Popocatepetl* (w jęz. nahuatl: dymiąca góra) — czynny wulkan w Meksyku, drugi co wysokości (5452 m n.p.m.) szczyt w tym kraju. [przypis edytorski]

⁴²⁴*Orizaba* — wulkan będący najwyższym szczytem Meksyku (5636 m n.p.m.); obecnie uspiomy, ostatni jego wybuch miał miejsce w 1846 r. [przypis edytorski]

⁴²⁵*szkuner* — żaglowiec mający dwa lub więcej masztów o ożaglowaniu skośnym. Typowy szkuner posiada dwa maszty, przy czym tylny jest wyższy od przedniego. [przypis edytorski]

⁴²⁶*odyłowanie* — konstrukcja z dyli (belek drewnianych), tu: z dyli mocowanych do wręg. [przypis edytorski]

Zwłaszcza Pencroff i Nab mieli nadzieję dokonać na niej żywota.

— Harbercie — mawiał marynarz — prawda, że nigdy nie opuścisz Wyspy Lincoln?

— Nigdy, Pencroffie, zwłaszcza jeżeli i ty postanowisz tu pozostać.

— Już dawno postanowiłem, mój chłopcze — odpowiadał Pencroff. — Zaczekam tu na ciebie. Sprowadzisz tu swoją żonę i dzieci, a ja twoich malców wychowam na nie lada zuchów!

— No, więc postanowione — kończył Harbert, śmiejąc się i rumieniąc zarazem.

— A pan, panie Cyrusie — ciągnął dalej Pencroff porwany zapałem — pan pozostanie gubernatorem wyspy... Hm, ile by też ona mogła wyżywić mieszkańców? Co najmniej dziesięć tysięcy.

Tak sobie rozmawiali; nikt nie powstrzymywał Pencroffa i od słowa do słowa kończyło się na tym, że reporter zakładał na wyspie dziennik „New Lincoln Herald”.

Tak to już jest z człowiekiem. Potrzeba zbudowania trwałego dzieła, dzieła, które by go przeżyło, to oznaka jego wyższości nad wszystkim, co żyje na ziemi. Właśnie ta cecha ugruntowała i usprawiedliwia jego panowanie na całym świecie.

Zresztą kto wie, czy Jup i Top nie mieli także swoich własnych, niewielkich marzeń o przyszłości?

Milczący Ayrton myślał, że chciałby ponownie ujrzeć lorda Glenervana i stanąć wobec wszystkich jako człowiek zrehabilitowany.

Pewnego wieczoru, 15 października, rozmowa na temat różnych planów przeciągnęła dłużej niż zwykle. Była już dziewiąta. Przeciągle, z trudem ukrywane ziewnięcia wskazywały, że pora na spoczynek, a Pencroff już szedł do łóżka, gdy nagle dzwonek elektryczny umieszczony w sali odezwał się ostrym dźwiękiem.

Wszyscy znajdowali się na miejscu: Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Harbert, Pencroff, Ayrton i Nab. Nikogo z kolonistów nie było w zagrodzie.

Cyrus Smith wstał z krzesła. Pozostali spoglądali po sobie, sądząc, że się przesłyszeli.

— Co to ma znaczyć?! — wykrzyknął Nab. — Chyba diabeł dzwoni?

Nikt mu nie odpowiedział.

— Mamy dziś burzę — zauważył Harbert. — Może pod wpływem elektryczności...

Urwał i nie skończył. Inżynier, na którego zwrócili się oczy wszystkich, potrząsnął przecząco głową.

— Zaczekajmy — odezwał się wówczas Gedeon Spilett. — Jeśli to sygnał, to ktośkolwiek go nadał, znowu go powtórzy.

— Ale któż by to mógł być? — zapytał Nab.

— No — odparł Pencroff — ten, który...

Słowa marynarza przerwał ponowny dźwięk dzwonka.

Cyrus Smith podszedł do aparatu telegraficznego i włączywszy prąd, wysłał do zagrody następujące zapytanie:

„O co chodzi?”

W kilka chwil później wskazówka obracająca się na tarczy z alfabetem podała odpowiedź mieszkańcom Granitowego Pałacu:

„Przyjdźcie jak najszybciej do zagrody”.

— Nareszcie! — zawołał Cyrus Smith.

Tak! Nareszcie!... Tajemnica miała się wyjaśnić. Wobec niezmiernej ciekawości, która przyciągała ich do zagrody, całe znużenie kolonistów gdzieś znikło, z potrzeby odpoczynku nie zostało ani śladu. Nie mówiąc ani słowa, w ciągu paru chwil opuścili Granitowy Pałac i wkrótce znaleźli się na wybrzeżu. Tylko Jup i Top zostali w domu. Można się było bez nich obyć.

Noc była ciemna. Księżyc, w tym dniu w nowiu, zniknął wraz ze słońcem. Jak zauważył Harbert, olbrzymie burzliwe chmury utworzyły rodzaj niskiego, ciemnego sklepienia, nieprzepuszczającego najmniejszego promyka gwiazd. Kilka błysków ognia, odbłasków jakiejś odległej burzy oświetlało od czasu do czasu horyzont. Możliwe, że za kilka godzin pioruny zahuczą nad samą wyspą. Była to złowroga noc.

Ale ciemność, choćby najgłębsza, nie mogła powstrzymać ludzi dobrze znających drogę do zagrody. Poszli lewym brzegiem Rzeki Dziękczynienia, doszli do płaskowyzu, przeszli przez most na Glicerynowym Potoku i ruszyli dalej lasem.

Szli szybkim krokiem, mocno wzruszeni. Nie ulegało już najmniejszej wątpliwości, że mieli wreszcie poznać tak długo poszukiwane rozwiązanie zagadki, imię tajemniczej istoty, która tak głęboko była związana z ich życiem, tak wspaniale z nimi postępowała, tak potężnie działała. Czyż bowiem ten nieznajomy nie musiał niejako żyć wspólnie z nimi, aby znać najdrobniejsze szczegóły, słyszeć wszystko, co się mówiło w Granitowym Pałacu, i działać zawsze we właściwej chwili?

Wszyscy, pogrążeni w myślach, przyspieszali kroku. Pod sklepieniem drzew panowały takie ciemności, że nie było widać nawet skraju drogi. W lesie panowała głęboka cisza. Czworonożne zwierzęta i ptaki, przytłoczone ciężką atmosferą, nie ruszały się i nie wydawały żadnych dźwięków. Najłżejszy powiew nie poruszał liśćmi. W ciemnościach słychać było tylko odgłos kroków kolonistów idących po stwardniałej ziemi.

Milczenie panujące przez pierwszy kwadrans drogi przerwała jedynie uwaga Pencroffa:

— Należało wziąć ze sobą latarnię.

I ta odpowiedź inżyniera:

— Znajdziemy inną w zagrodzie.

Cyrus Smith z towarzyszami opuścił Granitowy Pałac o dziewiątej dwanaście. O dziewiątej czterdzieści siedem przebyli już trzy z pięciu mil dzielących ujście Rzeki Dziękczynienia od zagrody.

W tej chwili nad wyspą zajaśniały olbrzymie, białawe błyskawice, przy których świetle czarno odcinały się postrzępione kontury listowia. Potężne błyski olśniewały i zaćmiewały wzrok. Wkrótce miała rozpuścić się burza. Błyskawice robiły się coraz częstsze i coraz jaskrawsze. W głębi nieba przetaczały się dalekie grzmoty. Robiło się coraz duszniej.

Koloniści szli naprzód, jakby popychani jakąś nieodpartą siłą.

Kwadrans po dziesiątej w świetle jaskrawej błyskawicy ujrzeli ogrodzenie zagrody i le dwie weszli za bramę, gdy rozległ się potężny grzmot.

W mgnieniu oka przebiegli podwórko i znaleźli się przed domem.

Możliwe, że w domu znajdował się nieznajomy, ponieważ telegram mógł zostać wysłany tylko stąd. Jednak z okna nie pobłyskiwało żadne światło.

Inżynier zastukał do drzwi.

Nie było odpowiedzi.

Wówczas Cyrus Smith otworzył drzwi i koloniści weszli do pokoju, w którym panował głęboki mrok.

Nab skrzesał ognia i w chwilę później przy świetle zapalonej latarni obejrzano wszystkie zakamarki pokoju.

Nigdzie nikogo nie było. Wszystkie rzeczy leżały w tych samych miejscach, w których je ostatnio pozostawiono.

— Czyżbyśmy padli ofiarą złudzenia? — szepnął Cyrus Smith.

Nie! To było niemożliwe! Telegram nakazywał przecież wyraźnie: „Przyjdźcie jak najszybciej do zagrody”.

Podeszli do stołu, gdzie stała aparatura telegraficzna. Wszystko było na swoim miejscu: zarówno pudełko z baterią, jak i aparat odbiorczy i nadawczy.

— Kto tu był ostatni? — spytał inżynier.

— Ja, panie Smith — odpowiedział Ayrton.

— A to było?...

— Przed czterema dniami.

— Ach! Notatka! — zawołał Harbert, wskazując kartkę leżącą na stole.

Na kartce widniały napisane po angielsku słowa:

Idźcie w ślad za nowym drutem.

— W drogę! — zawołał Cyrus Smith. Zrozumiał, że depezę wysłano nie z zagrody, ale z tajemniczej kryjówki, którą nowy drut, przyczepiony do dawnego, łączył bezpośrednio z Granitowym Pałacem.

Nab wziął zapaloną latarnię i wszyscy opuścili zagrodę.

Burza rozszalała się z niesłychaną gwałtownością. Przerwy pomiędzy każdą nową błyskawicą a grzmotem były coraz krótsze. Wkrótce burza miała zapanować nad Górą Franklina i całą wyspą. W świetle przerywanych błysków widać było szczyt wulkanu zwieńczony pióropuszem dymu.

Pomiędzy domem a ostrokołem nie było dodatkowego drutu, ale gdy wyszli za bramę, inżynier, podbiegłszy do pierwszego słupa, zauważył przy świetle błyskawicy nowy drut ciągnący się od izolatora do ziemi.

— Oto on! — zawołał.

Drut leżał na ziemi, ale na całej długości pokryty był substancją izolującą, jak kabel podmorski, co zapewniało swobodny przepływ prądu. Kierunek drutu wskazywał, że biegnie przez lasy i południowe zbocza góry, a więc na zachód.

— Chodźmy za nim — powiedział Cyrus Smith.

Koloniści, oświetlając sobie drogę latarnią, a częściowo korzystając z światła błyskawic, podążali drogą wskazywaną przez drut.

Grzmiało bez przerwy, i to tak głośno, że nie można było usłyszeć ani słowa. Zresztą nie chodziło o to, aby mówić, tylko by szybko posuwać się naprzód.

Cyrus Smith i jego towarzysze wspięli się na zbocze góry wznoszące się pomiędzy zagrodą a doliną Rzeki Wodospadu i pokonali je w najwyższym miejscu. Drut, czasem spoczywający na dolnych gałęziach drzew, czasem leżący wprost po ziemi, prowadził ich pewnie.

Inżynier sądził, że ta metalowa nić urwie się gdzieś w głębi doliny i że tam będzie się schronienie nieznanego.

Mylił się jednak. Musieli wspiąć się na południowo-zachodnie zbocze, a następnie zejść na jałowy płaskowyż, zakończony ścianą malowniczo spiętrzonych bazaltów.

Od czasu do czasu jeden z kolonistów schylał się, dotykał ręką drutu i w miarę potrzeby korygował kierunek marszu. Nie ulegało już jednak wątpliwości, że drut zmierzał prosto do morza. Tam zapewne, w głębi jakichś wulkanicznych skał, znajdowało się bezskutecznie dotychczas poszukiwane schronienie.

Niebo było całe w ogniu. Błyskawica wyprzedzała błyskawicę. Niektóre z piorunów uderzały w szczyt wulkanu i wpadały w głąb krateru wśród gęstych kłębow dymu. Chwilami można było sądzić, że góra bucha płomieniem.

Kilka minut przed jedenastą koloniści dotarli do wysokiej skarpy górującej nad oceanem od zachodu. Zerwał się wiatr. O pięćset stóp pod nimi ryczały fale oceanu.

Cyrus Smith obliczył, że od zagrody przeszli około półtorej mili.

W tym miejscu drut zapuszczał się pomiędzy skały, schodząc po dosyć stromej pochyłości wąskim, fantazyjnie zarysowanym wąwozem.

Koloniści zapuścili się w ślad za nim, ryzykując spowodowanie osunięcia się niestabilnych głazów, które porwałyby ich do morza. Schodzenie było niezwykle niebezpieczne, ale koloniści przestali zwracać uwagę na niebezpieczeństwo, przestali być panami swojej woli, nieodparta siła ciągnęła ich do tajemniczego celu, jak magnes przyciąga żelazo.

Toteż niemal nieświadomie zeszli w wąwóz, który nawet w pełnym świetle dnia był prawie nie do przebycia. Kamienie toczyły się i wpadając w smugi światła, lśniły jak rozpalone kule. Cyrus Smith szedł na czele, Ayrton zamykał pochód. W jednym miejscu trzeba było iść krok po kroku, gdzie indziej znowu ześlizgiwali się bez tchu z wypolerowanej skały, podnosili się i szli dalej.

Na koniec drut gwałtownie skręcił i dotarł do gęsto rozsianych skał nabrzeżnych, o które rozbijało się morze podczas przyprływu. Koloniści doszli do podnóża bazaltowej ściany. Od tego miejsca odchodził wąski gzyms, biegnący poziomo, równoległe do brzegu. Koloniści podążyli za ciągnącym się wzdłuż niego drutem. Nie uszli nawet stu kroków, gdy okazało się, że gzyms łagodnym spadkiem obniża się do samego poziomu morza.

Inżynier chwycił za drut i stwierdził, że zagłębia się w morzu.

Jego towarzysze stanęli przy nim jak wręci.

Z piersi wydarł im się okrzyk rozczarowania, prawie krzyk rozpacz. Czyżby trzeba było rzucić się w fale i szukać jakiejś podwodnej jaskini? W tym stanie pobudzenia psychicznego i fizycznego, w jakim się znajdowali, uczyniliby to bez wahania.

Powstrzymała ich tylko uwaga inżyniera. Cyrus Smith zaprowadził towarzyszy do zagłębienia pomiędzy skałami, a gdy tam stanęli, powiedział:

— Zaczekajmy. Teraz trwa przyprływ. Kiedy nadejdzie odpływ, droga się odsłoni.

— A dlaczego pan tak przypuszcza? — spytał Pencroff.

— Nie wezwałby nas, gdyby nie było możliwości, żeby się do niego dostać.

Cyrus Smith wypowiedział to z takim przekonaniem, że nikt nie odważył się zaprotestować. Zresztą jego uwaga była całkiem logiczna. Należało przypuszczać, że u podnóża skalnej ściany istniał jakiś otwór, dostępny w czasie odpływu, choć teraz zalany przez fale.

Chodziło więc tylko o kilka godzin cierpliwości. Koloniści przesiedzieli je w milczeniu, skuleni w zagłębieniu o kształcie portyku⁴²⁷ wyłobionego w skale. Zaczął padać deszcz i wkrótce rozdarte przez pioruny chmury zamieniły się w istne spadające potoki. Echo powtarzało grzmoty i nadawało im majestatyczny rozdźwięk.

Poruszenie kolonistów sięgało zenitu. Tysiące dziwnych myśli przelatywały im przez głowy, przed oczyma stawała jakaś nadludzka zjawą, odpowiadająca wyobrażeniu, jakie sobie wyrobili o opiekuńczym duchu wyspy.

O północy Cyrus Smith, zabrawszy ze sobą latarnię, zszedł nad sam brzeg morza, żeby zorientować się w konfiguracji skał. Odpływ trwał już dwie godziny.

Inżynier się nie mylił. Nad wodą zaczęło się zarysowywać sklepienie jakiegoś obszernego wydrążenia. Drut, skręcając pod kątem prostym, zagłębiał się w tę ziejącą czeluść.

Cyrus Smith wrócił do towarzyszy i powiedział po prostu:

— Za godzinę można będzie wejść w otwór...

— A więc istnieje? — spytał Pencroff.

— Czyżby pan w to wątpił? — odparł Cyrus Smith.

— Ale ta pieczara do pewnej wysokości będzie napełniona wodą — zauważył Harbert.

— Albo całkowicie wysycha — odpowiedział Cyrus Smith — a w tym przypadku przejdziemy ją piechotą, albo nie wysycha, a wtedy na pewno znajdziemy do swojej dyspozycji jakiś środek transportu.

Minęła godzina. W ulewnym deszczu wszyscy zeszli nad samo morze. W ciągu trzech godzin poziom wody obniżył się o piętnaście stóp. Szczyt łuku zakreślonego przez sklepienie pieczary wznosił się co najmniej osiem stóp nad poziomem fal. Wyglądał jak arkada mostu, pod którą przepływała spieniona woda.

Schyliwszy się, inżynier spostrzegł jakiś ciemny obiekt unoszący się na powierzchni morza. Przyciągnął go do siebie.

Była to łódź przywiązana liną do jakiegoś miejsca wewnątrz jaskini. Zrobiona była z nitowanej blachy. Na dnie, pod ławkami, leżały dwa wiosła.

— Wsiadajmy — powiedział Cyrus Smith.

Za chwilę koloniści siedzieli już w łodzi. Nab i Ayrton wzięli się do wiosła, Pencroff usiadł u steru. Cyrus Smith, stojąc na dziobie i opierając latarnię o burzę, oświetlał drogę.

Sklepienie, pod które wpłynęła łódź, początkowo bardzo niskie, zaczęło się nagle podnosić, ale ciemność była zbyt głęboka, a światło latarni za słabe, aby można było zorientować się w rozmiarach pieczary, oszacować jej szerokość, wysokość i głębokość. W bazaltowej jaskini panowała uroczysta cisza. Z zewnątrz nie przenikały żadne odgłosy i nawet huk piorunów nie mógł się przedrzeć przez masywne ściany.

W niektórych częściach globu istnieją takie olbrzymie pieczary, rodzaj naturalnych krypt⁴²⁸, pochodzących z odległych epok geologicznych. Jedne są zalane wodami morza, inne mieszczą w sobie całe jeziora. Do takich należy Grota Fingala na Wyspie Staffa, jednej z Hebrydów⁴²⁹, grotty Morgat nad zatoką Douarnenez w Bretanii⁴³⁰, grotty Bonifacego na Korsyce, Lysefjordu w Norwegii, ogromna Jaskinia Mamucia⁴³¹ w Kentucky, wysoka na pięćset stóp i długa na ponad dwadzieścia mil. W wielu punktach globu przyroda wyłobiała takie krypty i zachowała je na podziw ludzi.

Czy pieczara, którą koloniści właśnie badali, ciągnęła się aż do środka wyspy? Już od kwadransa łódź posuwała się naprzód, skręcając według wskazówek, które inżynier krótko przekazywał Pencroffowi.

Naraz zawołał:

— Bardziej na prawo!

⁴²⁷ portyk — popularny w staroż. architekturze greckiej i rzymskiej rodzaj otwartej frontowej części budowli z rzędem kolumn wspierających dach. [przypis edytorski]

⁴²⁸ krypta — sklepiena podziemna komora grobowa a. pomieszczenie w podziemiach kościoła przeznaczone do pochówku znamienitych zmarłych, czasem też do przechowywania relikwii świętych. [przypis edytorski]

⁴²⁹ Hebrydy — grupa wysp przy płn.-zach. wybrzeżach Szkocji. [przypis edytorski]

⁴³⁰ Bretania — region w północno-zachodniej Francji. [przypis edytorski]

⁴³¹ Jaskinia Mamucia — najdłuższa jaskinia świata, o łącznej długości korytarzy równej ok. 650 km, znajdująca się w Stanach Zjednoczonych, w stanie Kentucky. [przypis edytorski]

Łódź zmieniła kierunek i popłynęła pod prawą ścianę pieczary. Inżynier słusznie chciał się upewnić, czy drut nadal biegnie wzdłuż tej ściany.

Był tam, istotnie, przyczepiony do występów skalnych.

— Naprzód! — odezwał się Cyrus Smith.

Obydwa wiosła, zanurzając się jednocześnie w czarnych toniach, uniosły łódź.

Tak płynęli jeszcze około kwadransa i od wejścia do pieczary musieli już przebyć z pół mili, gdy nagle rozległ się znowu głos Cyrusa Smitha.

— Stójcie! — zawołał.

Łódź zatrzymała się i koloniści ujrzeli jaskrawe światło zalewające olbrzymią kryptę wyżłobioną głęboko we wnętrzościach ziemi.

Na wysokości stu stóp nad ich głowami wznosiło się zaokrąglone sklepienie podtrzymywane bazaltowymi słupami, które wyglądały jak odlane z jednej formy. Na tych kolumnach, wzniesionych tysiącami przez naturę w pierwszych epokach formowania się kuli ziemskiej, wspierały się nieregularne łuki i fantazyjnych kształtów gzymsy. Odlamki bazaltu, spiętrzone jedno na drugich, wznosiły się na wysokość od czterdziestu do pięćdziesięciu stóp, a woda, zupełnie tutaj spokojna pomimo wzburzenia panującego na zewnątrz, obmywała ich podstawy. Jaskrawe promienie światła, na które zwrócił uwagę inżynier, wpadały w każde zagłębienie, załamywały się w różnych kierunkach i wydawały się przenikać ściany, jak gdyby były one przezroczyste, zamieniając najmniejsze występy skalne w migoczące klejnoty. Wszystkie te blaski odbijały się na powierzchni wody, tak iż łódź zdawała się unosić pomiędzy dwiema skrzącymi się taflami.

Nie można było się mylić co do źródła światła, którego ostre i proste promienie załamywały się na każdym kącie ścian, na każdym gzymsie krypty. Było to światło elektryczne i już sam jego biały kolor dostatecznie o tym przekonywał. Było dla tej pieczary jak słońce, oświetlające ją całą.

Na znak dany przez Cyrusa Smitha wiosła zanurzyły się, wywołując istny deszcz diamentów, łódź skierowała się w stronę źródła światła i wkrótce oddzielało ją od niego tylko pół kabla.

W tym miejscu szerokość tafli wodnej wynosiła około trzystu pięćdziesięciu stóp, a z tyłu, za olśniewającym centrum, widać było ogromną bazaltową ścianę, zamykającą pieczarę od tamtej strony. W tym miejscu pieczara rozszerzała się znacznie i morze utworzyło tu rodzaj małego jeziora. Sklepienie, ściany boczne, wszystkie te kamienne graniastosłupy, walce, stożki pławiły się w świetle elektrycznym, tak że zdawało się, iż same je wydzielają i można by powiedzieć, że te kamienie, oszlifowane niczym drogocenne diamenty, pocą się światłem.

Pośrodku jeziora na powierzchni wody unosił się jakiś długi wrzecionowaty przedmiot, nieruchomy i cichy. Z obu jego boków bił blask jak z dwóch rozpalonych do białości otworów hutniczego pieca. Aparat ten, podobny do ogromnego wieloryba, miał około dwustu pięćdziesięciu stóp długości i wynurzał się na dziesięć do dwunastu stóp ponad powierzchnię wody.

Łódź zbliżyła się do niego powoli. Siedzący na dziobie Cyrus Smith wstał. Patrzył, ulegając gwałtownemu wzruszeniu. Nagle obrócił się i chwycił reportera za ramię.

— Ależ to on! — zawołał. — Nikt inny tylko on! On!

Po czym opadł na ławkę, wymawiając szeptem jakieś imię, które usłyszał tylko Gedeon Spilett.

Niewątpliwie i reporter znał to imię, bo wywarło ono na nim wielkie wrażenie, i przytłumionym głosem odpowiedział:

— On! Człowiek wyjęty spod prawa!

— Tak, to on! — odpowiedział Cyrus Smith.

Na rozkaz inżyniera łódź zbliżyła się do tego dziwnego pływającego aparatu. Potem przybiła do jego lewego boku, z którego przez grubą szybę tryskał strop światła.

Cyrus Smith i towarzysze weszli na platformę. Przed sobą zobaczyli otwartą na oścież kłapę luku. Wszyscy zeszli przez otwór.

Na dole drabinki znajdował się wewnętrzny korytarz oświetlony światłem elektrycznym. Na jego końcu były drzwi. Cyrus Smith je otworzył.

Bogato zdobiony salon, przez który koloniści szybko przeszli, przylegał do rzęsiście oświetlonej biblioteki.

W głębi biblioteki zobaczyli szerokie, zamknięte drzwi. Inżynier otworzył je.

Oczom kolonistów ukazała się obszerna sala, rodzaj muzeum, w którym obok skarbów świata mineralnego tłoczyły się dzieła sztuki i cuda przemysłu. Kolonistom zdawało się, że zostali magicznie przeniesieni do świata snów.

Na pięknej otomanie⁴³² leżał mężczyzna, który zdawał się nie dostrzegać ich obecności.

Wówczas Cyrus podniósł głos i ku niesłychanemu zdziwieniu towarzyszy powiedział:

— Kapitanie Nemo, pan nas wzywał? Oto jesteśmy.

ROZDZIAŁ XVI

Kapitan Nemo. — Jego pierwsze słowa. — Historia bohatera niepodległości. — Nienawiść do najeźdźców. — Towarzysze. — Życie pod wodą. — Samotny. — Ostatnie schronienie „Nautilusa” na Wyspie Lincoln. — Tajemniczy duch wyspy.

Na te słowa człowiek leżący na otomanie uniósł się i jego twarz ukazała się w pełnym świetle. Piękna głowa, wysokie czoło, dumne spojrzenie, biała broda i bujne, odrzucone w tył włosy.

Oparł rękę o wezglowie otomany, z której wstał. Spojrzenie miał spokojne. Widać było, że jakaś powolna choroba podkopuje jego zdrowie, ale jego głos wydawał się jeszcze silny, gdy powiedział po angielsku, tonem wyrażającym najżywsze zdziwienie:

— Nie mam nazwiska, proszę pana.

— Znam pana — odpowiedział Cyrus Smith.

Kapitan Nemo wbił w inżyniera palające spojrzenie, jakby chciał go unicestwić. Potem, osuwając się na poduszki otomany, szepnął:

— Zresztą to nie ma znaczenia. I tak umieram!

Cyrus Smith zbliżył się do kapitana Nemo, zaś Gedeon Spilett wziął go za rękę i stwierdził, że jest rozpalona. Ayrton, Pencroff, Harbert i Nab stali z szacunkiem na boku, w jednym z kątów wspaniałej sali, której powietrze przesycały wzywy elektryczne.

Kapitan Nemo cofnął rękę i skinieniem zaprosił inżyniera i reportera, aby usiedli.

Wszyscy patrzyli na niego z podziwem i wzruszeniem. To więc był ten tajemniczy człowiek, którego nazywali duchem opiekuńczym wyspy, potężna istota, której interwencja w tylu okolicznościach okazała się skuteczna, dobroczyńca, któremu winni byli tak wiele wdzięczności! Przed sobą mieli tylko człowieka, choć Pencroff i Nab spodziewali się znaleźć prawie bóstwo, i to człowieka bliskiego śmierci.

Ale jak to się stało, że Cyrus Smith znał kapitana Nemo? I dlaczego kapitan zareagował tak żywo, gdy usłyszał swoje nazwisko, które, jak sądził, nikomu nie było znane?

Kapitan ponownie położył się na otomanie i podpierając głowę ręką, spoglądał na siedzącego obok inżyniera.

— Zna pan nazwisko, które nosiłem? — zapytał.

— Znam je — odpowiedział Cyrus Smith — tak samo jak nazwę tego godnego podziwu podmorskiego aparatu.

— „Nautilus”? — powiedział, uśmiechając się lekko, kapitan.

— „Nautilus”.

— Ale czy wie pan... czy wie pan, kim jestem?

— Wiem.

— Przecież już od trzydziestu lat nie mam żadnego kontaktu ze światem, od trzydziestu lat żyję w głębinach morza, w jedynym miejscu, gdzie znalazłem wolność. Któż więc mógł zdradzić moją tajemnicę?

— Człowiek, który nie miał nigdy wobec pana, kapitanie Nemo, żadnych zobowiązań, a więc nie można go oskarżać o zdradę.

— Ten Francuz, którego przypadek rzucił na mój pokład szesnaście lat temu?

— Tak, to on.

⁴³²otomana — rodzaj niskiej kanapy z wałkami po bokach zamiast poręczy i miękkim oparciem. [przypis edytorski]

— A więc ten człowiek wraz ze swymi dwoma towarzyszami nie zginął w malstromie⁴³³, w który wpadł „Nautilus”?

— Nie, nie zginęli i ukazała się książka pod tytułem *Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi*, w której opisano pana dzieje.

— Moje dzieje w ciągu kilku miesięcy tylko, proszę pana — odpowiedział żywo kapitan.

— To prawda — powiedział Cyrus Smith — ale kilka miesięcy tego niezwykłego życia wystarczyło, żeby pana poznać.

— Jako wielkiego winowajcę, nieprawdaż? — dokończył kapitan Nemo i na jego ustach pojawił się wyniosły uśmiech. — O tak, jako buntownika, być może wyrzutka poza nawias ludzkości.

Inżynier nic nie odpowiedział.

— Cóż, czy nie tak, proszę pana?

— Nie do mnie należy wydawanie sądów o kapitanie Nemo — odezwał się wreszcie Cyrus Smith — przynajmniej w tym, co dotyczy jego dawnego życia. Tak jak wszyscy inni nie znam powodów tej niezwyklej egzystencji, nie mogę więc osądzać skutków, nie znając przyczyn. To jednak wiem, że dobroczynna dłoń stale roztaczała opiekę nad nami od chwili naszego przybycia na Wyspę Lincolna, że wszyscy zawdzięczamy życie dobrej, wspaniałej i potężnej istocie i że tą istotą potężną, dobrą i wspaniałą jest pan, kapitanie Nemo.

— Tak, to ja — odpowiedział z prostotą kapitan.

Inżynier i reporter powstali. Ich towarzysze się zbliżyli i wdzięczność przepelniająca im serce już miała wyrazić się w gestach i słowach...

Ale kapitan Nemo powstrzymał ich ruchem ręki i głosem bardziej wzruszonym, niż tego chciał to okazać, powiedział:

— Najpierw mnie wysłuchajcie⁴³⁴.

I tak zaczawszy, w zwięzłych, szybko wypowiedzianych zdaniach opowiedział im całe swoje życie.

Jego historia była krótka, a jednak musiał skupić resztę sił, aby móc ją dokończyć. Widać było, że walczy z wielkim osłabieniem. Kilkakrotnie Cyrus Smith prosił go, aby odpoczął, ale kapitan potrząsał głową jak człowiek, do którego jutro już nie należy, a gdy reporter zaoferował mu swoją pomoc, powiedział:

— To zbędne. Moje godziny są policzone.

Kapitan Nemo był Hindusem, nazywał się książę Dakkar, był synem radży niepodległego wówczas Bundelkundu⁴³⁵, a bratankiem bohatera Indii Tippto-Sahiba⁴³⁶. Gdy miał dziesięć lat, ojciec wysłał go do Europy, aby tam zdobył gruntowne wykształcenie, z ukrytą intencją, że w przyszłości będzie walczył jak równy z równym z tymi, których uważał za ciemnościeli swego kraju.

Od dziesiątego do trzydziestego roku życia książę Dakkar, człowiek niezwykle uzdolniony, wielkiego serca i umysłu, kształcił się w naukach ścisłych, w literaturze i sztuce i osiągnął wspaniałe wyniki.

Książę Dakkar zwiedził całą Europę. Urodzenie i majątek sprawiały, iż był pożądanym gościem w towarzystwie, ale uroki wielkiego świata nigdy go nie pociągały. Chociaż młody i przystojny, pozostawał zawsze poważny, ponury, pożerany pragnieniem wiedzy, z nieubłaganą nienawiścią w sercu.

⁴³³*malstrom* — prąd morski o silnych wirach wywoływany pływami w fiordach północnej Norwegii. [przypis edytorski]

⁴³⁴Historia kapitana Nemo została rzeczywiście ogłoszona pod tytułem *Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi*. Tutaj także należy powtórzyć ostrzeżenie, już raz umieszczone przy okazji przygód Ayrtona, co do niezgodności niektórych dat. Czytelnicy zechcą łaskawie zajrzeć do powyższego przypisu. (Przypis wydawcy). [przypis redakcyjny]

⁴³⁵*Bundelkund* — zapewne przekreślona nazwa Bundelkhand, rejonu w środkowych Indiach, ob. w stanie Madhya Pradesh oraz częściowo w stanie Uttar Pradesh. [przypis edytorski]

⁴³⁶*Tippto-Sahib* a. *sultan Tipu* (1750–1799) — władca królestwa Majsuru w płd. Indiach, wslawiony stawianiem twardego oporu imperializmowi brytyjskiemu; z powodzeniem walczył przeciwko wojskom brytyjskim w drugiej wojnie majsurskiej, został jednak pokonany w trzeciej i w czwartej wojnie majsurskiej przez połączone siły Wlk. Brytanii i sąsiadów Majsuru; zginął podczas obrony swojej stolicy, Seringatam. [przypis edytorski]

Książę Dakkar nienawidził. Nienawidził jedyne go kraju, którego nigdy nie chciał odwiedzić, jedyne go narodu, którego wszelkie oznaki przychylności stale odrzucał. Nienawidził Anglii i to tym mocniej, że niejedno musiał w niej podziwiać.

Ten Hindus skupił w sobie całą zacieklą nienawiść zwyciężonego do zwycięzcy. Najęźdźca nie mógł znaleźć łaski u najechanego. Syn jednego z tych władców, nad którymi Zjednoczone Królestwo⁴³⁷ zyskało tylko tytularne zwierzchnictwo, książę z rodu Tipposahiba wychowany w duchu odwetu i zemsty, żywiący wielką miłość do swego poetycznego kraju zakutego w angielskie kajdany, nie chciał nigdy postawić stopy na przeklętej ziemi, która narzuciła Indiom niewolę.

Książę Dakkar stał się artystą, na którym dzieła sztuki wywierały głębokie wrażenie, uczonym, któremu nie była obca żadna dziedzina wiedzy, mężem stanu wychowanym na europejskich dworach. W oczach wszystkich, którzy go obserwowali powierzchownie, mógł uchodzić za jednego z tych kosmopolitów⁴³⁸, ciekawych wiedzy, ale gardzących czynem, za jednego z tych bogatych podróżników o wyniosłym i abstrakcyjnym umyśle, którzy stale przemierzają cały świat, nie należąc właściwie do żadnego kraju.

A jednak były to tylko pozory. Ten artysta, ten uczony, ten człowiek pozostał w głębi serca Hindusem, pozostał Hindusem przez żądzę zemsty, Hindusem przez ożywiającą go nadzieję, że kiedyś zdoła upomnieć się o prawa swojego kraju, wypędzić zeń cudzoziemców i przywrócić mu niepodległość.

Książę Dakkar powrócił do Bundelkundu w roku 1849. Poślubił szlachetną Hinduskę, której serce krwawiło, tak jak jego własne, nad nieszczęściami ojczyzny. Miał z nią dwoje dzieci, które niezmiernie kochał. Ale szczęście domowe nie pozwoliło mu zapomnieć o niewoli Indii. Oczekiwał tylko na okazję. Wreszcie się zdarzyła.

Jarzmo angielskie zbyt ciężko ciążyło ludom Indii. Książę Dakkar stał się głosem niezadowolonych. Przełał w nich całą nienawiść, jaką pałał przeciw cudzoziemcom. Przemierzył nie tylko wciąż niezależne kraje Półwyspu Indyjskiego, ale także tereny bezpośrednio podległe administracji angielskiej. Przypomniał wszystkim wielkie dni Tipposahiba, bohaterko poległego pod Seringapatam w obronie rodzinnego kraju.

W 1857 roku wybuchło wielkie powstanie sipajów⁴³⁹. Książę Dakkar był jego duszą. Zorganizował ogromne powstanie. Oddał dla sprawy swoje zdolności i bogactwa. Nie szczędził samego siebie i walczył w pierwszych szeregach; narażał życie jak każdy z prostych bohaterów, którzy powstali, żeby wyzwolić kraj z niewoli; był dziesięć razy ranny w dwudziestu starciach i nie znalazł śmierci nawet wówczas, gdy ostatni żołnierze niepodległości padli pod angielskimi kulami.

Nigdy władza angielska w Indiach nie była w takim niebezpieczeństwie i gdyby tylko sipajowie otrzymali jakąś pomoc z zewnątrz, na co liczyli, kto wie, czy nie byłby to kres wpływów i panowania Zjednoczonego Królestwa w Azji.

Imię księcia Dakkara stało się wówczas sławne. Bohater nie ukrywał się i toczył otwartą walkę. Za jego głowę wyznaczono nagrodę i chociaż nie znalazł się zdrajca, który by go wydał, to jednak jego ojciec, matka, żona i dzieci zapłacili za niego życiem, zanim dowiedział się o grożącym im z jego powodu niebezpieczeństwie.

Kolejny raz prawo uległo sile. Sipajów zwyciężono, a kraj dawnych radźów popadł pod jeszcze bardziej bezwzględna władzę Anglików.

Książę Dakkar, nie znalazłszy śmierci, powrócił w góry Bundelkundu. Tutaj, teraz całkiem samotny, przejęty głębokim wstrętem do wszystkiego, co nosi imię człowieka, pełen nienawiści i obrzydzenia do cywilizowanego świata, pragnąc uciec przed nim na zawsze, sprzedał resztki swojej fortuny, zebrał dwudziestkę najwierniejszych towarzyszy i pewnego dnia wszyscy zniknęli.

⁴³⁷Zjednoczone Królestwo — tu: Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii i Irlandii, państwo brytyjsko-irlandzkie w latach 1801–1922. [przypis edytorski]

⁴³⁸kosmopolita — człowiek nieodczuwający związku ze swoim krajem, traktujący cały świat jako swoją ojczyznę. [przypis edytorski]

⁴³⁹powstanie sipajów (1857–1858) — wielkie powstanie w Indiach przeciwko Brytyjskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej, działającej jako niezależna władza kolonialna w imieniu Korony brytyjskiej. Zostało zapoczątkowane przez bunt oddziałów sipajów, czyli żołnierzy indyjskich w armii brytyjskiej, i było wspierane przez lokalnych książąt. Skutkiem krwawo stłumionego powstania było zlikwidowanie Kompanii Wschodnioindyjskiej i przejęcie władzy w Indiach bezpośrednio przez Koronę brytyjską. [przypis edytorski]

Gdzie książkę Dakkar zamierzał znaleźć tę wolność, której mu odmówiono na zamieszkałej ziemi? Pod wodą, w głębinach mórz, gdzie nikt nie mógłby go osiągnąć.

Wojownik stał się uczonym. Na bezludnej wyspie na Pacyfiku postawił stocznię, w której jego planów został zbudowany okręt podwodny. Elektryczność, której niezmierną siłą mechaniczną umiał wykorzystywać za pomocą środków, jakie kiedyś staną się znane, i którą uzyskiwał z niewyczerpanych źródeł, zaspokoila wszystkie potrzeby jego pływającego aparatu, zarówno jako siła napędowa, jak też świetlna i ciepła. Niezliczone skarby morza, miriady ryb, wodorosty i porosty, olbrzymie ssaki i nie tylko to, czego dostarcza natura, ale i to wszystko, co utracili ludzie, wystarczało w zupełności na zaspokojenie potrzeb księcia i jego załogi. W ten sposób spełniało się jego najgorętsze pragnienie, gdyż nie chciał już mieć żadnego kontaktu z ziemią. Ochrzcił swój podwodny okręt mianem „Nautilus”⁴⁴⁰, sam przybrał imię kapitana Nemo⁴⁴¹ i zniknął pod powierzchnią mórz.

Przez wiele lat kapitan przemierzał wszystkie oceany od jednego do drugiego bieguna. Parias⁴⁴² zamieszkanego świata, zebrał w tych nieznanach światach godne podziwu skarby. Miliony utracone w 1702 roku w wodach zatoki Vigo⁴⁴³ przez galeony hiszpańskie stały się dla niego niewyczerpaną kopalnią bogactw, z której stale korzystał, anonimowo wspierając narody walczące o niepodległość swych krajów⁴⁴⁴.

Od wielu lat kapitan nie miał żadnego kontaktu z ludźmi, gdy nagle w nocy 6 listopada 1866 przypadek rzucił trzech ludzi na jego pokład. Był to pewien francuski profesor, jego służący oraz wielorybnik kanadyjski. Ci trzej ludzie wpadli do morza wskutek zderzenia „Nautilusa” z fregatą Stanów Zjednoczonych „Abraham Lincoln”, która go ścigała.

Kapitan Nemo dowiedział się od profesora, że „Nautilus”, którego jedni uważali za olbrzymiego ssaka z rodziny wielorybów, a inni za statek podwodny z załogą złożoną z piratów, jest ścigany na wszystkich morzach.

Kapitan Nemo mógł zwrócić oceanowi trzech ludzi, których los postawił w ten sposób na jego tajemniczej drodze życia. Nie zrobił tego jednak, lecz trzymał ich jako więźniów. Przez siedem miesięcy mieli możliwość podziwiania cudów podróży odbytej pod wodą na przestrzeni dwudziestu tysięcy mil.

Pewnego dnia, 22 czerwca 1867 roku, ci trzej ludzie, nieznający bynajmniej przeszłości kapitana Nemo, zawładnąwszy jedną z łodzi „Nautilusa”, zdołali się wymknąć. Ponieważ w tym czasie Nautilus” wpadł wiry malstromu przy wybrzeżach Norwegii, kapitan sądził, że uciekinierzy, pochyceni w ten przerażający prąd, ponieśli śmierć w odmętach. Nie wiedział o tym, że Francuz i jego dwaj towarzysze zostali jakimś cudem wyrzuceni na brzeg, że znaleźli ich rybacy z Lofotów⁴⁴⁵ i że profesor po powrocie do Francji wydał książkę, w której opisał i ujawnił ciekawości ludzkiej te siedem miesięcy niezwyklej, pełnej przygód żeglugi „Nautilusa”.

Długo jeszcze kapitan Nemo prowadził ten tryb życia, pływając się po różnych morzach. Powoli jednak jego towarzysze powymierali i znaleźli spoczynek na koralowym cmentarzu na dnie Pacyfiku. Na „Nautilusie” robiła się coraz większa pustka i wreszcie kapitan Nemo pozostał jedynym żyjącym ze wszystkich, którzy wraz z nim schronili się w głębinach oceanu.

Kapitan Nemo miał wówczas sześćdziesiąt lat. Kiedy został sam, zdołał doprowadzić swego „Nautilusa” do jednego z podwodnych portów, które czasami służyły mu za bazy.

Port ten wyżłobiony był pod Wyspą Lincolna i on to właśnie udzielał teraz „Nautilusowi” schronienia.

Od sześciu lat kapitan pozostawał tutaj, nie żeglując, oczekując śmierci, to znaczy chwili, kiedy połączy się z towarzyszami, gdy przypadkowo stał się świadkiem upadku

⁴⁴⁰nautilus (łac. z gr.) — żeglarz. [przypis edytorski]

⁴⁴¹nemo (łac.) — nikt. [przypis edytorski]

⁴⁴²parias — członek najniższej kasty w Indiach; przten. wyrzutek. [przypis edytorski]

⁴⁴³bitwa w zatoce Vigo (22 października 1702) — bitwa morską przy atlantyckim wybrzeżu Hiszpanii, w której okręty floty angielsko-holenderskiej zaatakowały i pokonały hiszpańską flotę ze skarbami, płynącą z Hawany i chronioną przez eskortę francusko-hiszpańską. [przypis edytorski]

⁴⁴⁴wspierając narody walczące o niepodległość swego kraju — mowa tu o powstaniu Kandyjczyków, które zwyciężyło w ten sposób kapitan Nemo wspierał [Kandia to daw. nazwa m. Heraklion na wyspie Krecie; chodzi o greckie powstanie na Krecie przeciwko Imperium Osmańskiemu w l. 1866–1869; red. WL]. [przypis autorski]

⁴⁴⁵Lofoty — archipelag na Atlantyku u płn.-zach. wybrzeży Norwegii. [przypis edytorski]

balonu unoszącego jeńców zbiegłych z niewoli Południowców. Ubrany w swój skafander nurkowy kapitan przechadzał się pod wodą, w odległości kilku kabli od brzegu, właśnie w chwili, gdy inżynier wpadł do morza. Pod wpływem szlachetnego odruchu kapitan ocalił życie Cyrusowi Smithowi.

Z początku kapitan chciał uciec przed tymi pięcioma rozbitkami, ale jego port był zamknięty, gdyż na skutek przesunięcia się bloków bazaltu, spowodowanego działaniem sił wulkanicznych, jego statek nie mógł się już wydostać przez wejście do krypty. Tam, gdzie było jeszcze dosyć wody dla lekkiej łódki, brakowało jej już dla „Nautilusa”, mającego stosunkowo duże zanurzenie.

Kapitan Nemo musiał więc pozostać na miejscu, a potem zaczął się przypatrywać tym ludziom, wyrzuconym bez środków do życia na bezludną wyspę. Nie chciał być jednak przez nich widziany. Stopniowo, gdy przekonał się, że są uczciwi, energiczni, przywiązani do siebie braterską przyjaźnią, zaczął interesować się ich działaniami. Jakby pomimo swojej woli przeniknął wszystkie tajemnice ich życia. Łatwo mu było w skafandrze docierać na dno studni w Granitowym Pałacu, a stamtąd wpinać się po wystęпах skalnych aż do górnego wylotu, gdzie słuchał kolonistów opowiadających o swojej przeszłości, rozważających teraźniejszość i przyszłość. Dowiedział się od nich o olbrzymich zmaganiach, jakie podjęła Ameryka przeciw Ameryce, żeby znieść niewolnictwo. O tak! Ci ludzie mogli pogodzić kapitana Nemo z ludzkością, którą tak szlachetnie reprezentowali na wyspie.

Kapitan Nemo ocalił życie Cyrusowi Smithowi. On to również doprowadził psa do Kominów, wyrzucił Topa z jeziora, on także podrzucił na Cyplu Znaleziska skrzynię wyładowaną tyłoma pożytecznymi dla kolonistów przedmiotami, puścił czółno z prądem Rzeki Dziękczynienia, zrzucił drabinę z progu Granitowego Pałacu podczas napadu małp, dał znać o obecności Ayrtona na wyspie Tabor przez umieszczenie dokumentu w butelce, wysadził bryg wybuchem torpedy założonej na dnie cieśniny, uratował Harberta od pewnej śmierci, dostarczając siarczaniu chininy, wreszcie uśmiercił piratów pociskami elektrycznymi, których tajemnicę budowy znał i których używał w swoich podmorskich polowaniach. Tak oto wyjaśniały się rozmaite fakty, które wydawały się nadprzyrodzone, a które wszystkie razem świadczyły o wspaniałomyślności i potędze kapitana.

Wciąż jeszcze ten wielki odludek czuł pragnienie czynienia dobra. Chciał jeszcze przekazać swoim protegowanym wiele użytecznych rad. Czując, jak serce mięknie mu w obliczu zbliżającej się śmierci, wezwał, jak wiadomo, kolonistów z Granitowego Pałacu za pomocą drutu, którym połączył zagrodą z „Nautilusem”, także wyposażonym w aparat telegraficzny. Może nie zrobiłby tego, gdyby wiedział, że Cyrus Smith zna wystarczająco jego dzieje, żeby powitać go imieniem kapitana Nemo.

Kapitan skończył swą opowieść. Wówczas Cyrus Smith przypomniał wszystkie zdarzenia, które wywarły tak zbawienny wpływ na życie kolonistów, i w imieniu swoich towarzyszy oraz swoim własnym podziękował wspaniałomyślnemu człowiekowi, któremu tyle zawdzięczali.

Ale kapitan Nemo nie wymagał podziękowań za oddane przysługi. Niepokoila go ostatnia myśl i zanim uściśniętą wyciągniętą rękę inżyniera, powiedział:

— A teraz, proszę pana, teraz, kiedy poznał pan moje życie, proszę je osądzić.

Mówiąc to, kapitan najwyraźniej robił aluzję do tragicznego wydarzenia, którego świadkami byli trzej cudzoziemcy rzućeni na pokład „Nautilusa”. Wydarzenie to francuski profesor niewątpliwie opisał w swojej książce i musiało ono wywołać straszliwe wrażenie.

Otóż na kilka dni przed ucieczką profesora i jego dwóch towarzyszy „Nautilus”, ścigany przez jakąś fregatę na północnym Atlantyku, uderzył w nią jak taran i bez litości ją zatopił.

Cyrus Smith zrozumiał aluzję, ale powstrzymał się od odpowiedzi.

— To była fregata angielska! — zawołał kapitan Nemo, stając się na chwilę znowu księciem Dakkarem. — Angielska, rozumie pan? Zatakowała mnie! Byłem uwięziony w wąskiej i płytkiej zatoce!... Musiałem się wydostać i... wydostałem się!...

A po chwili dodał, spokojnym już głosem:

— Po mojej stronie była słuszność i prawo — dodał. — Wszędzie robiłem tyle dobrego, ile zdołałem, i tyle złego, ile musiałem. Sprawiedliwość nie polega wyłącznie na przebaczeniu.

Przez kilka chwil panowała cisza, po czym kapitan Nemo przemówił ponownie:

— Cóż więc o mnie myślicie, panowie?

Cyrus Smith wyciągnął rękę do kapitana i poważnym głosem odpowiedział:

— Kapitanie, całą pańską winą jest to, że wierzył pan, że można wskrzesić przeszłość, i że walczył pan przeciwko nieuchronnemu postępowi. To jeden z tych błędów, które jedni podziwiają, a inni potępiają, ale tylko Bóg jest ich sędzią, a rozum ludzki musi je rozgrzeszyć. Z tym, kto się myli co do intencji, którą uważa za dobrą, można walczyć, ale nie wolno przestać go szanować. Błąd pański należy do takich, które nie wykluczają podziwu, zaś pana imię może się nie obawiać sądu historii. Kocha ona bowiem bohaterские szaleństwa, choć jednocześnie potępia ich skutki.

Pierś kapitana Nemo uniosła się w westchnieniu, a jego ręka wyciągnęła się ku niebu.

— Czy błądziłem, czy miałem słuszność? — wyszeptał.

Cyrus Smith ciągnął dalej.

— Wszystkie wielkie czyny powracają do Boga, bo od niego pochodzą. Kapitanie Nemo, zebrani tutaj uczciwi ludzie, którym tyle razy pan pomagał, nigdy nie przestaną pana oplakiwać.

Harbert zbliżył się do kapitana. Przykląkł, ujął go za rękę i pocałował.

Łza się stoczyła z oczu umierającego:

— Moje dziecko — wyszeptał. — Niech cię Bóg błogosławi.

ROZDZIAŁ XVII

Ostatnie godziny kapitana Nemo. — Wola umierającego. — Pamiętka dla jednodniowych przyjaciół. — Grobowiec kapitana Nemo. — Kilka rad dla kolonistów. — Ostatnia chwila. — Na dnie morza.

Tymczasem nadszedł dzień. Do głębokiej krypty nie docierał najmniejszy promyk słońca. Przypływ morza zalał otwór, ale sztuczne światło tryskające długimi snopami przez ściany „Nautilusa” nie słabło ani na chwilę, toteż zwierciadło wody otaczające statek wciąż lśniło tak samo.

Kapitan Nemo, skrajnie wyczerpany, opadł na otomanę. O przeniesieniu go do Granitowego Pałacu nie było co nawet myśleć, gdyż stanowczo oznajmił, że chce pozostać wśród bezcennych cudów „Nautilusa” i tu oczekiwać na nadchodzącą śmierć.

Podczas dość długiego okresu osłabienia, które prawie pozbawiło chorego świadomości, Cyrus Smith i Gedeon Spilett uważnie obserwowali jego stan. Widać było, że kapitan powoli gaśnie. Wkrótce miało zupełnie zabraknąć sił temu niegdyś tak potężnemu ciału, dziś zaś kruchej powłoce duszy zbierającej się do odlotu. Resztką życia skupiała w sercu i w głowie.

Inżynier i reporter naradzili się po cichu. Czy można było coś jeszcze zrobić dla umierającego? Czy dałoby się, jeżeli nie ocalić go, to przynajmniej przedłużyć mu życie o kilka dni? Nie, on sam oświadczył, że nie ma już dla niego żadnego ratunku i ze spokojem oczekiwał śmierci.

— Nic nie możemy zrobić — powiedział Gedeon Spilett.

— Na co on umiera? — spytał Pencroff.

— Po prostu gaśnie — odpowiedział reporter.

— Ale gdybyśmy go — ciągnął dalej marynarz — wynieśli na świeże powietrze, na słońce, może by przyszedł do siebie?

— Nie, Pencroffie — odparł inżynier — to by nic nie pomogło. Zresztą kapitan Nemo nie zgodziłby się nigdy na opuszczenie statku. Od trzydziestu lat żyje na „Nautilusie” i na „Nautilusie”, a nie gdzie indziej, chce umrzeć.

Zapewne kapitan Nemo usłyszał odpowiedź Cyrusa Smitha, ponieważ podniósł się i słabym, ale jeszcze zrozumiałym głosem powiedział:

— Ma pan rację. Powinienem i chcę umrzeć tutaj. Dlatego mam prośbę.

Cyrus Smith i jego towarzysze zbliżyli się do otomany i ułożyli jej poduszki tak, aby umierający miał wygodniejsze oparcie.

Wówczas jego wzrok zaczął błądzić po wszystkich cudach tego salonu, oświetlonego elektrycznym blaskiem rozpraszonym przez arabeski świetlny sufitu. Popatrzył kolejno

na obrazy zawieszane na wspaniałych obiciach ścian, na arcydzieła mistrzów włoskich, flamandzkich, francuskich i hiszpańskich, na rzeźby z marmuru i brązu, stojące na postumentach, na wspaniałe organy oparte o przepierzenie tylnej ściany, na szklane gabloty rozstawione wokół basenu znajdującego na środku salonu, w których błyszcząły najbardziej godne podziwu płody morza: morskie rośliny, jamochłony, sznury pereł nieocenionej wartości, a wreszcie jego wzrok zatrzymał się na dewizie wypisanej na frontonie tego muzeum, na dewizie „Nautilusa”:

*Mobilis in mobili*⁴⁴⁶.

Zdawało się, jakby chciał po raz ostatni popieścić wzrokiem te arcydzieła sztuki i przyrody, do których ograniczył swój świat w ciągu długoletniego pobytu w głębinach mórz.

Cyrus Smith uszanował milczenie kapitana Nemo. Czekał, aż umierający sam zacznie mówić.

Po kilku chwilach, w czasie których zapewne przesunęło mu się przed oczyma całe jego życie, kapitan Nemo zwrócił się do kolonistów i powiedział:

— Czy uważacie, panowie, że macie wobec mnie dług wdzięczności?

— Kapitanie, oddalibyśmy swoje życie, aby przedłużyć pańskie!

— To dobrze — ciągnął dalej kapitan Nemo — to dobrze. Przyrzeknijcie mi więc wypełnić moją ostatnią wolę, a wynagrodzicie mi za wszystko, co dla was uczyniłem.

— Przyrzekamy! — odpowiedział Cyrus Smith.

Obietnicą tą wiązał zarazem siebie i swoich towarzyszy.

— Panowie — podjął kapitan — jutro już mnie nie będzie.

I powstrzymując ruchem Harberta, który chciał zaprzeczać, powiedział:

— Tak jest. Jutro już mnie nie będzie, a nie chciałbym mieć innego grobowca niż „Nautilus”. To moja trumna. Wszyscy moi przyjaciele spoczywają na dnie morza i ja też chciałbym tam spocząć.

Głębokie milczenie było odpowiedzią na te słowa kapitana Nemo.

— Wysłuchajcie mnie uważnie, panowie — mówił dalej — „Nautilus” jest uwięziony w tej grocie, gdyż jej próg się podniósł. Jeśli jednak statek nie może opuścić swojego więzienia, to może przynajmniej zapaść się w otchłań, która jest pod nim, i pochować w jej głębi moją śmiertelną powłokę.

Kolonisci w skupieniu słuchali słów umierającego.

— Jutro po mojej śmierci, panie Smith — mówił dalej kapitan — pan i pańscy towarzysze opuścicie „Nautilusa”, gdyż wszystkie skarby, które się w nim znajdują, powinny zniknąć wraz ze mną. Jedna tylko pamiątka pozostanie po księciu Dakkarze, którego historię teraz już znacie. Ta oto szkatułka zawiera diamenty wartości wielu milionów, w większości pochodzące z epoki, gdy będąc ojcem i mężem, prawie uwierzyłem w szczęście, oraz zbiór pereł wydobytych przeze mnie i moich przyjaciół z głębi mórz. Dzięki tym skarbowi będziecie mogli dokonać wiele dobrego. W rękach takich jak pańskie, panie Smith, i pańskich towarzyszy pieniądze nie mogą spowodować złych następstw. Będę więc tam z wysoka współnikiem waszych poczynań i jestem o nie spokojny.

Po paru chwilach odpoczynku, jakiego wymagało jego niezmierne osłabienie, kapitan Nemo ciągnął dalej:

— Jutro zabierzecie szkatułkę i opuścicie ten salon, zamykając za sobą drzwi. Potem wyjdziecie na platformę „Nautilusa” i zamkniecie klapę luku, mocując ją sworzniami.

— Zrobimy to, kapitanie — odpowiedział Cyrus Smith.

— Dobrze. Następnie wsiądzicie do łódki, na której tu przyплыnęliście. Jednak przed opuszczeniem „Nautilusa” udacie się na rufę i otworzycie tam dwa wielkie kurki znajdujące się na linii wodnej. Wówczas woda dostanie się do zbiorników i „Nautilus” powoli zanurzy się, żeby spocząć na dnie otchłani.

A gdy Cyrus Smith zrobił gest, jakby chciał coś zauważyć, kapitan dodał:

— Nie obawiajcie się o nic. Pochowacie tylko zmarłego.

Ani Cyrus Smith, ani żaden z jego towarzyszy nie ośmielił się sprzeciwić kapitanowi Nemo. Wyraził swoją ostatnią wolę i nie pozostało im nic innego, jak ją spełnić.

— Czy przyrzekacie mi to, panowie? — dodał kapitan Nemo.

⁴⁴⁶*Mobilis in mobili* (łac) — ruchome w ruchomym. [przypis edytorski]

— Tak, kapitanie — odpowiedział inżynier.

Kapitan podziękował ruchem głowy i prosił kolonistów, żeby na parę godzin zostawili go samego. Gedeon Spilett chciał koniecznie pozostać przy nim, na wypadek gdyby nastąpił kryzys, ale umierający odmówił:

— Będę żył do jutra.

Opuścili więc wszyscy salon, przeszli przez bibliotekę, salę jadalną i dotarli do maszynowni na dziobie, gdzie znajdowały się aparaty elektryczne, dostarczające „Nautilusowi” ciepło, światło, a także siłę mechaniczną. „Nautilus” był arcydziełem mieszczącym w sobie arcydzieła. Inżynier podziwiał go w zdumieniu.

Koloniści wyszli na platformę, wznoszącą się na siedem do ośmiu stóp nad wodą. Tu położyli się przy grubej, soczewkowej szybie osłaniającej coś w rodzaju wielkiego oka, z którego tryskał snop światła. Za nim widać było kabinę mieszczącą koła sterowe, gdzie przebywał sternik, gdy prowadził „Nautilusa” przez tonie morskie, oświetlane na znaczną odległość przez promienie światła elektrycznego.

Cyrus Smith i jego towarzysze początkowo milczeli, gdyż wszystko, co przed chwilą widzieli i słyszeli, wywarło na nich wielkie wrażenie i serce im się ścisnęło na myśl o tym, że człowiek, który tyle razy im pomagał, ich obrońca, którego znali zaledwie kilka godzin, znajduje się na progu śmierci. Jakikolwiek wyrok wydaliby potomni o czynach tej, można omalże powiedzieć, nadludzkiej istoty, książkę Dakkar pozostanie na zawsze jedną z tych niezwykłych postaci, o których pamięć nigdy nie zginie.

— To dopiero człowiek! — zawołał Pencroff. — Wprost nie do wiary, że żył w ten sposób na dnie oceanu! A pomyśleć jeszcze, że może i tam nie znalazł więcej spokoju niż gdzie indziej...

— Może „Nautilus” — zauważył Ayrton — mógłby nam się przydać, żeby opuścić Wyspę Lincolna i dotrzeć do jakiegoś zamieszkałego lądu.

— Do krocset diabłów! — krzyknął Pencroff. — Ja nie odważyłbym się kierować podobnym statkiem. Pływać po morzu — zgoda! Ale pod morzem — nigdy!

— Wydaje mi się — odparł reporter — że manewrowanie takim aparatem podwodnym jak „Nautilus” musi być bardzo łatwe, Pencroffie, i że prędko byśmy się to tego przyzwyczaili. Nie trzeba się na takim statku obawiać burzy ani uderzenia o inny statek. Kilka stóp pod powierzchnią morze jest spokojne jak jezioro.

— Bardzo możliwe — upierał się marynarz — ale wolę uczciwy podmuch wiatru na pokładzie solidnie zbudowanego i ożaglowanego statku. Statki są do pływania po wodzie, a nie pod nią.

— Przyjaciele — odpowiedział inżynier — nie ma co teraz dyskutować o okrętach podwodnych, przynajmniej jeśli chodzi o „Nautilusa”. „Nautilus” nie należy do nas i nie mamy prawa nim rozporządzać. Zresztą w żadnym wypadku nie moglibyśmy z niego skorzystać. Nie tylko bowiem nie może się wydostać z pieczary, której wejście zamknęło znaczne wyźwignięcie się skał bazaltowych, ale ponadto kapitan Nemo życzy sobie, aby po jego śmierci statek został zatopiony razem z jego ciałem. Taka jest jego wyraźna wola i ją spełnimy.

Po dłuższej rozmowie Cyrus Smith i jego towarzysze zeszli znowu do wnętrza „Nautilusa”. Tam posilili się nieco i wrócili do salonu.

Kapitan Nemo ocknął się z odrętwienia i jego oczy zapłonęły dawnym blaskiem. Na jego ustach zarysowywał się lekki uśmiech. Koloniści podeszli do niego.

— Panowie — odezwał się do nich kapitan — jesteście odważnymi, uczciwymi i dobrymi ludźmi. Poświęciliście się wszyscy całym sercem wspólnemu dziełu. Często was obserwowałem.. Pokochałem was, kocham was!... Proszę mi podać rękę, panie Smith!...

Cyrus Smith wyciągnął dłoń, a kapitan uścisnął ją serdecznie.

— Jak to dobrze! — szepnął.

A potem dodał:

— Ale dosyć o mnie. Musze porozmawiać o was i o Wyspie Lincolna, gdzie znaleźliście schronienie... Czy chcecie ją opuścić?

— Z tym, żeby później na nią powrócić, kapitanie! — odparł żywo Pencroff.

— Powrócić? Rzeczywiście, Pencroffie — odpowiedział kapitan, uśmiechając się. — Wiem przecież, jak kocha pan tę wyspę. Dzięki waszym staraniom zmieniła się zupełnie i niezaprzeczalnie należy do was.

— Mamy zamiar, kapitanie — odezwał się Cyrus Smith — ofiarować ją Stanom Zjednoczonym i założyć na niej bazę dla naszej marynarki, bardzo dogodnie położoną w tej części Pacyfiku.

— Myślicie o swojej ojczyźnie, panowie — odpowiedział kapitan. — Pracujecie dla jej pomyślności, dla jej sławy. Macie rację. Ojczyzna!... Właśnie tam trzeba wrócić!... Tak, tam się powinno umrzeć!... A ja umieram z dala od wszystkiego, co ukochałem.

— Czy ma pan może do przekazania jakiegoś ostatniego rozporządzenia? — zawołał żywy inżynier. — Może jakąś pamiątkę do wręczenia przyjaciółom, których pozostawił pan w górach Indii?

— Nie, panie Smith. Nie mam już przyjaciół. Jestem ostatnim ze swojego rodu i dawno już umarłem dla wszystkich, którzy mnie znali. Powróćmy jednak do was. Samotność, odosobnienie to rzeczy smutne, przewyższające ludzkie siły. Ja umieram, gdyż uwierzyłem, że można żyć samotnie. Musicie zrobić wszystko, żeby opuścić Wyspę Lincolną i znów ujrzeć ziemię rodzinną. Wiem, że ci nędznicy zniszczyli zbudowany przez was statek...

— Teraz budujemy nowy — odezwał się Gedeon Spilett — i to statek tak duży, abyśmy mogli na nim popłynąć do najbliższych lądów; ale jeśli prędzej czy później zdołamy opuścić Wyspę Lincolną, powrócimy na nią. Zbyt wiele wspomnień nas z nią wiąże, abyśmy mogli kiedykolwiek o niej zapomnieć.

— Tutaj poznaliśmy kapitana Nemo — odezwał się Cyrus Smith.

— I tylko tutaj wszystko nam będzie pana przypominać — dodał Harbet.

— I tu właśnie odpocznę snem wieczystym, jeżeli... — Kapitan zawahał się i zamiast dokończyć zaczętego zdania, powiedział: — Panie Smith, chciałbym z panem pomówić... tylko z panem.

Towarzysze inżyniera, szanując życzenie umierającego, wyszli z sali.

Cyrus Smith tylko parę minut pozostał sam na sam z kapitanem Nemo. Wkrótce przywołał przyjaciół, ale nie wyjawiał im ani słowa z tajemnic, które powierzył mu umierający.

Gedeon Spilett przyjrzał się bacznie choremu. Widać było, że kapitana podtrzymywała już tylko siła ducha, która jednak wkrótce już nie wystarczy, żeby powstrzymać narastające osłabienie fizyczne.

Dzień dobiegł końca, nie przynosząc żadnej ważnej zmiany. Koloniści ani na chwilę nie opuścili „Nautilusa”. Nadeszła noc, choć w krypcie nie można było tego rozpoznać.

Kapitan Nemo nie cierpiał, ale gaśł. Jego szlachetne oblicze, okryte bladeścią zbliżającej się śmierci, było spokojne. Z ust wymykały się niekiedy prawie niezrozumiałe słowa, odnoszące się do rozmaitych zdarzeń z jego niezwykłego życia. Czuło się, że życie powoli opuszcza to ciało; ręce i nogi były już zimne.

Raz czy dwa odezwał się jeszcze do stojących przy nim kolonistów i uśmiechnął się do nich tym ostatnim uśmiechem, którego nieraz nawet śmierć nie zaciera.

Wreszcie krótko po północy kapitan Nemo ostatnim wysiłkiem zdołał skrzyżować ręce na piersiach, jak gdyby pragnął umrzeć w tej pozycji.

Około pierwszej nad ranem resztką życia skupiła się już tylko w jego spojrzeniu. Ostatni błysk zaświecił w źrenicach, niegdyś płonących takim ogniem. Potem, szepcząc „Bóg i Ojczyzna”, oddał ostatnie tchnienie.

Cyrus Smith, pochylwszy się nad nim, zamknął oczy temu, który był niegdyś księciem Dakkarem, a w tej chwili przestał być nawet kapitanem Nemo.

Harbert i Pencroff płakali, Ayrton ukradkiem ocierał łzy. Nab klęczał obok reportera stojącego jak posąg.

Wśród tej ciszy Cyrus Smith uniósł rękę nad głowę zmarłego i powiedział:

— Niech Bóg ma w opiece jego duszę! — Potem, zwracając się do przyjaciół, dodał: — Módlmy się za tego, którego straciliśmy!

Kilka godzin później koloniści spełnili obietnicę daną kapitanowi, wykonując ostatnią wolę umierającego.

Cyrus Smith i jego towarzysze opuścili „Nautilusa”, zabierając ze sobą jedyną pamiątkę pozostawioną im przez dobroczyńcę — szkatułkę zawierającą majątek wart kilka fortun.

Starannie zamknęli drzwi wspaniałego salonu, wciąż zalanego powodzią światła. Przytwierdzili sworzniami metalową pokrywę luku, tak aby ani kropla wody nie mogła przeniknąć do wnętrza „Nautilusa”.

Następnie koloniści zeszli do łódki przycumowanej do burty statku podwodnego. Podpłynęli do rufy. Tu na linii wodnej znajdowały się dwa duże kurki połączone ze zbiornikami służącymi do zanurzania statku.

Odkręcili kurki, zbiorniki napełniły się wodą i „Nautilus”, zagłębiając się powoli, zniknął pod powierzchnią wody.

Koloniści długo jeszcze widzieli statek przez warstwę wody. Jego potężne reflektory oświetlały przejrzystą toń, podczas gdy w krypcie powoli stawało się coraz ciemniej. Wreszcie snop światła elektrycznego zniknął i „Nautilus”, zamieniony w grobowiec kapitana Nemo, spoczął na dnie morza.

ROZDZIAŁ XVIII

Rozmyślenia kolonistów. — Wznowienie prac nad budową statku. — 1 stycznia 1869. — Pióropuszc na szczycie wulkanu. — Pierwsze oznaki bliskiego wybuchu. — Ayrton i Cyrus Smith w zagrodzie. — Badania w Krypcie Dakkara. — Co kapitan Nemo powiedział inżynierowi.

O świcie koloniści w milczeniu dotarli do wylotu grotu, której na pamiątkę kapitana Nemo nadali nazwę Krypty Dakkara. Trwał odpływ, więc z łatwością przepłynęli pod arkadą, o której bazaltowe filary uderzały fale.

Łódź pozostawili na miejscu, poza zasięgiem fal. Przez nadmiar ostrożności Pencroff, Nab i Ayrton wyciągnęli ją niewielką plażą przylegającą z jednej strony do krypty, w miejsce, gdzie nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo.

Z nadejściem dnia burza ustała. Ostatnie pomruki grzmotu cichły gdzieś na zachodzie. Deszcz przestał padać, ale niebo jeszcze pokryte było chmurami. Ogólnie rzecz biorąc październik, który na półkuli południowej jest początkiem wiosny, nie zapowiadał się zbyt obiecująco, zaś wiatr ciągle zmieniał kierunek, co nie pozwalało liczyć na stałą pogodę.

Cyrus Smith i jego towarzysze, opuściwszy Kryptę Dakkara, udali się z powrotem do zagrody. Po drodze Nab i Harbert zajęli się zwijaniem drutu przeciągniętego przez kapitana pomiędzy zagrodą a kryptą, który mógł się przydać na później.

W drodze koloniści mało mówili. Wydarzenia nocy z 15 na 16 października wywarły na nich silne wrażenie. Ten nieznamy, który tak skutecznie im pomagał, człowiek, z którego ich wyobraźnia uczyniła opiekuńczego ducha, kapitan Nemo — już nie żył. Jego „Nautilus” wraz z nim spoczywał w otchłani morza. Toteż wszyscy czuli się osamotnieni jeszcze bardziej niż dawniej. Przyzwyczaili się liczyć na tę potężną pomoc, której im teraz miało zabraknąć. Nawet Gedeon Spilett i Cyrus Smith nie mogli się otrząsnąć z tego wrażenia, toteż wszyscy podczas całej drogi do zagrody zachowywali głębokie milczenie.

Około dziewiątej rano koloniści znaleźli się znowu w Granitowym Pałacu.

Postanowili wszyscy, że trzeba się jak najszybciej ponownie zabrać do pracy przy budowie statku. Cyrus Smith poświęcił temu zadaniu bardziej niż kiedykolwiek swój czas i troskę. Nikt nie mógł przewidzieć, co przyniesie przyszłość. Dlatego tak ważne było dla kolonistów posiadanie solidnie zbudowanego statku, zdolnego utrzymać się na morzu nawet w czasie burzy i dostatecznie dużego, aby można było na nim wyruszyć w dłuższy, dalszy rejs. Gdyby po wykończeniu statku koloniści nie zdecydowali się jeszcze na opuszczenie Wyspy Lincoln i popłynięcie na archipelag polinezyjski na Pacyfiku bądź też na wybrzeża Nowej Zelandii, to przynajmniej powinni jak najszybciej udać się na wyspę Tabor, żeby pozostawić tam notatkę o Ayrtonie. Był to konieczny środek ostrożności, na wypadek gdyby szkocki jacht zjawił się znowu na tych wodach, i pod tym względem nie wolno było niczego zaniedbać.

Zabrano się więc znowu gorliwie do pracy. Cyrus Smith, Pencroff i Ayrton przy pomocy Naba, Gedeona Spiletta i Harberta, kiedy tych ostatnich nie odrywało jakieś ważne zajęcie, pracowali bez przerwy. Trzeba było koniecznie skończyć nowy statek w ciągu pięciu miesięcy, czyli do początku marca, jeżeli chcieli odwiedzić wyspę Tabor, zanim silne wiatry występujące podczas zrównania dnia z nocą uniemożliwią podróż. Toteż cieśle

nie marnowali ani chwili. Zresztą nie musieli się troszczyć o maszty i ożaglowanie, bo wszystko to już mieli w spadku po „Speedym”. Chodziło przede wszystkim o skończenie kadłuba statku.

Wśród tych ważnych zajęć, którym prawie wszystkie inne ustąpiły miejsca, minął koniec roku 1868. Po dwóch i pół miesiącach pracy zamocowano wszystkie wręgi i rozpoczęto układanie klepek poszycia. Można już było ocenić, że plany Cyrusa Smitha były znakomite i że statek będzie się dobrze trzymał na wodzie. Pencroff poświęcał się tej pracy z zapalczywą gorliwością i zrzędził, gdy któryś z towarzyszy zamieniał na jakiś czas topór ciesielski na strzelbę myśliwską. A przecież trzeba było z myślą o zimie uzupełnić zapasy Granitowego Pałacu. Ale to Pencroffa nie obchodziło. Dzielny marynarz był niezadowolony, gdy w stoczni brakowało robotników. W takich wypadkach, mrucząc i zrzędząc, z wielkiej irytacji pracował za sześciu.

Całe lato było brzydkie. Przez kilka dni trwały nieznośne skwary, wskutek których nadmiar elektryczności w powietrzu wyładowywał się w gwałtownych burzach. Rzadko kiedy nie było słychać dalekich grzmotów. Był to jakby głuchy, ale stały pomruk, jaki słyszy się zwykle w okolorównikowych regionach globu.

1 stycznia 1869 rozszalała się niesłychanie gwałtowna burza, w czasie której pioruny kilkakrotnie uderzyły w wyspę. Trafiły i strzaskały wysokie drzewa, między innymi jeden z olbrzymich wiązowców ocieniających ptaszarnię na południowym brzegu jeziora. Czy to zjawisko atmosferyczne miało jakiś związek z procesami zachodzącymi we wnętrzu ziemi? Czy istniała jakaś łączność pomiędzy zaburzeniami atmosfery a zaburzeniami w głębinach globu? Cyrus Smith przypuszczał, że tak, ponieważ nasilenie burz zbiegało się ze zwiększoną aktywnością wulkanu.

3 stycznia Harbert, wszedłszy o świcie na Płaskowyż Pięknego Widoku, żeby osiodłać onagra, spostrzegł olbrzymi pióropusz dymu wznoszący się na szczycie wulkanu.

Natychmiast zawiadomił o tym towarzyszy, którzy zaraz dołączyli do niego, aby obserwować Górę Franklina.

— Ho, ho! — zawołał Pencroff. — Tym razem to już nie zwykła para. Zdaje mi się, że olbrzym nie poprzestaje już tylko na oddychaniu, ale i fajkę pali!

Obrazowe określenie użyte przez marynarza dobrze opisywało zmiany, jakie zaszły w kraterze wulkanu. Od trzech miesięcy z krateru wydobywała się mniej lub bardziej gęsta para, ale pochodząca tylko z wrzenia składników mineralnych wewnątrz ziemi. Tym razem zamiast pary widać było gęste kłęby dymu wznoszące się w postaci szarawej kolumny, szerokiej u podstawy na ponad trzysta stóp i rozrastającej się jak olbrzymi grzyb na wysokości siedmiuset do ośmiuset stóp ponad szczytem góry.

— W kominie płonie ogień — powiedział Gedeon Spilett.

— A nie jesteśmy w stanie go zgasić! — odpowiedział Harbert.

— Powinno się właściwie czyścić wulkany jak kominy — zauważył Nab najpoważniejszym w świecie tonem.

— Znakomicie, Nabie! — zawołał Pencroff. — A może ty byś chciał zostać kominiarzem wulkanów?

I marynarz wybuchnął głośnym śmiechem.

Cyrus Smith uważnie obserwował gęsty dym wydobywający się z Góry Franklina, a nawet nasłuchiwał, jak gdyby chcąc pochwycić jakieś odległe pomruki. Po chwili porwócił do towarzyszy, od których się nieco oddalił, i powiedział:

— Rzeczywiście, przyjaciele, nie ma co ukrywać, że zaszły poważne zmiany. Produkty wulkaniczne są już nie tylko w stanie wrzenia, ale zajęły się ogniem i z całą pewnością grozi nam bliski wybuch.

— No cóż, panie Smith — powiedział marynarz — przyjrzymy się temu wybuchowi, a jak będzie udany, to będziemy go okłaskiwać. Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli się czym przejmować.

— Nie, Pencroffie — odparł Cyrus Smith. — Wprawdzie dawny szlak lawy pozostaje otwarty i dzięki jego położeniu do tej pory zawsze wypływała z krateru na północ, ale jednak...

— Jednak — podjął reporter — ponieważ wybuch nie może nam przynieść żadnej korzyści, byłoby lepiej, żeby nie nastąpił.

— Kto wie? — powiedział marynarz. — Może w tym wulkanie znajduje się jakaś cenna i pożyteczna substancja, którą będzie łaskaw wyrzucić, a my z niej skorzystamy.

Cyrus Smith potrząsnął głową jak człowiek niespodziewający się niczego dobrego po zjawisku, które tak nagle się rozwinęło. Nie zapatrywał się na następstwa wybuchu tak lekko jak Pencroff. Chociaż wylew lawy dzięki układowi krateru nie zagrażał bezpośrednio zalesionym i uprawnym częściom wyspy, ale mogły się pojawić inne groźne skutki. Nierzadko zdarza się, że wybuchom wulkanów towarzyszy trzęsienie ziemi, a wyspa tego rodzaju jak Wyspa Lincolna, uformowana z tak różnorodnych materiałów — z jednej strony z bazaltów, z drugiej z granitów, z lawy na północy, z luźnego gruntu na południu — z materiałów, które nie mogły się ze sobą bardzo silnie zespolić, narażona byłaby na ryzyko rozpadnięcia się. Chociaż więc wylew substancji wulkanicznych nie stanowił zbyt groźnego niebezpieczeństwa, to wszelkie ruchy skorupy ziemskiej, które wstrząsnęłyby wyspą, mogły doprowadzić do katastrofalnych skutków.

— Wydaje mi się — powiedział Ayrton, który leżał z uchem przyłożonym do ziemi — że słyszę głuchy turkot, jak gdyby wozu wyładowanego sztabami żelaza.

Pozostali zaczęli uważnie się przysłuchiwać i stwierdzili, że Ayrton się nie mylił. Do turkotu dołączało się od czasu do czasu jakieś podziemne wycie, które tworzyło rodzaj *rinforzando*⁴⁴⁷, i stopniowo słabło, jak gdyby przez wnętrze globu przelatował jakiś gwałtowny wicher. Ale jak dotąd nie dawało się słyszeć nic podobnego do huku wybuchu. Z tego można było wnioskować, że para i dym znajdowały swobodne ujście przez główny przewód, a ponieważ ta kłapa bezpieczeństwa była dość szeroka, nie należało się obawiać wstrząsów ani wybuchu.

— Ha! — zawołał, słysząc te wnioski, Pencroff. — Czy możemy wrócić do pracy? Niech tam sobie Góra Franklina dymi, ryczy, jęczy, miota ogniem i płomieniem — to jeszcze nie powód, żeby nic nie robić... Dalej, Ayrtonie, Nabie, Harbercie, panie Cyrusie, panie Spilett! Wszyscy dziś muszą zabrać się do dzieła. Dzisiaj będziemy kłaść wzdłużniki, a przy takiej robocie tuzin rąk to wcale nie za dużo! Chciałbym, żeby za dwa miesiące nasz nowy „Bonawentura” — bo zachowamy tę nazwę, prawda? — unosił się już na wodach Przystani Balonowej! A więc nie ma czasu do stracenia!

Wszyscy koloniści, których rąk domagał się Pencroff, zeszli do stoczni i zabrali się do układania wzdłużników, belek opasujących statek i wiążących ze sobą poprzeczne wręgi kadłuba. Była to ważna i ciężka praca, toteż wszyscy wzięli w niej udział.

Przez cały dzień 3 stycznia pracowali gorliwie, nie martwiąc się wulkanem, którego zresztą z wybrzeża pod Granitowym Pałacem nie było widać. Tylko raz czy dwa wielkie cienie przesłoniły słońce, odbywające swoją dzienną wędrówkę po wyjątkowo czystym niebie, co było wskazówką, że gęsty obłok dymu przeszedł pomiędzy tarczą słoneczną a wyspą. Wiewjący od morza wiatr unosił te wszystkie wyziewy na zachód. Cyrus Smith i Gedeon Spilett zauważyli te przejściowe zaćmienia i kilkakrotnie wymienili parę zdań na temat wyraźnego postępu w aktywności wulkanu, ale nikt nie przerywał pracy. Ukończenie statku w jak najkrótszym czasie było dla kolonistów z wielu względów sprawą najważniejszą. Wobec okoliczności, jakie się mogły pojawić, statek zwiększał bezpieczeństwo kolonistów. Kto wie, czy ten statek nie stanie się dla ich jedynym schronieniem.

Wieczorem po kolacji Cyrus Smith, Gedeon Spilett i Harbert weszli znowu na Płaskowyż Pięknego Widoku. Noc już całkiem zapadła i w ciemności łatwiej było rozpoznać, czy oprócz nagromadzonej u wylotu pary i dymu wulkan wyrzuca z krateru płomienie lub rozżarzone głązy.

— Krater w ogniu! — zawołał Harbert, który jako zwinniejszy od swoich towarzyszy pierwszy dotarł na płaskowyż.

Góra Franklina, odległa o jakieś sześć mil, wyglądała teraz jak gigantyczna pochodnia, na szczycie której wily się jęzory burch płomieni. Z ogniem mieszała się tak wielka ilość dymu, a zapewne też popiołów i żużli, że pomimo nocnych ciemności jego blask nie był zbyt jaskrawy. Jednak nad wyspą roztaczała się jakaś płowa poświata, w której odcinały się mgliste zarysy lasów na pierwszym planie. Niebo zasnuwały olbrzymie kłęby splątanych dymów, przez które tu i ówdzie przebłyskiwały gwiazdy.

⁴⁴⁷*rinforzando* (muz.) — nagle wzmocnienie dźwięku, używane do zaakcentowania pojedynczego dźwięku lub akordu. [przypis edytorski]

— To postępuje bardzo szybko — odezwał się inżynier.

— Nic dziwnego — odpowiedział reporter. — Wulkan przebudził się już jakiś czas temu. Przypomina pan sobie, Cyrusie, że pierwsze obłoki pary pojawiły się mniej więcej w tym czasie, kiedy przeszukiwaliśmy podnóża Góry Franklina, żeby znaleźć kryjówkę kapitana Nemo. To było, jeśli się nie mylę, około piętnastego października.

— Tak — odpowiedział Harbert. — A od tego czasu minęło już dwa i pół miesiąca.

— Podziemne ognie dojrzewały zatem przez dziesięć tygodni — powiedział Gedeon Spilett — i nic dziwnego, że teraz rozwijają się z taką gwałtownością.

— Czy nie czujecie jakby lekkiego drżenia ziemi? — zapytał Cyrus Smith.

— Rzeczywiście — odpowiedział powoli reporter — ale od tego do trzęsienia ziemi...

— Nie twierdzą, że nam zagraża trzęsienie ziemi — odpowiedział Cyrus Smith — i niech Bóg nas przed tym chroni. Bynajmniej. To drżenie jest wynikiem wrzenia ognia wewnętrznego. Skorupa ziemska to nic innego jak ściany kotła parowego, a wiadomo, że ściany kotła pod ciśnieniem gazów drgają jak membrana. Z takim właśnie zjawiskiem mamy teraz do czynienia.

— Co za wspaniałe snopy ognia! — zawołał Harbert.

W tej chwili z krateru wystrzelił jak gdyby fajerwerk, którego blasku nie zdołały przytłumić nawet gęste wyziewy. Tysiące iskier i ognistych okruchów rozpryskiwały się na wszystkie strony. Niektóre z nich wznosiły się ponad kopułę dymów, przecinając ją szybko i pozostawiając po sobie jarzący się pył. Towarzyszyły temu następujące po sobie wystrzały przypominające terkot całej baterii kartaczownic⁴⁴⁸.

Po spędzeniu całej godziny na Płaskowyżu Pięknego Widoku Cyrus Smith, reporter i towarzyszący im młodzieniec zeszli na wybrzeże i powrócili do Granitowego Pałacu. Inżynier był zamyślony, a nawet przygnębiony do tego stopnia, że Gedeon Spilett uznał, że powinien zapytać go, czy przeczuwa jakieś bliskie niebezpieczeństwo związane bezpośrednio lub pośrednio z wybuchem wulkanu.

— Tak i nie — odpowiedział Cyrus Smith.

— Czy jednak — podjął znowu reporter — największym nieszczęściem, jakie mogłoby nas spotkać, nie byłoby trzęsienie ziemi, które mogłoby zniszczyć wyspę? Wydaje mi się, że nie musimy się tego obawiać, ponieważ wyziewy i lawy znalazły już swobodne ujście.

— Toteż — odparł Cyrus Smith — nie obawiam się trzęsienia ziemi w tym znaczeniu, jakie się nadaje zwykle wstrząsom powodowanym przez rozszerzanie się gazów podziemnych. Ale inne przyczyny mogą sprowadzić na nas straszne klęski.

— Jakże, drogi Cyrusie?

— Tego jeszcze za bardzo nie wiem... muszę się przekonać... odwiedzić górę i dobrze się przyjrzeć. Za kilka dni będę wiedział coś pewnego na ten temat.

Gedeon Spilett nie nalegał. Wkrótce pomimo coraz głośniejszych huków wulkanu, powtarzanych przez wszystkie echa wyspy, mieszkańcy Granitowego Pałacu pogrążyli się w głębokim śnie.

Upłynęły trzy dni, 4, 5 i 6 stycznia. Praca przy budowie statku nie ustawała, a inżynier, nie wdając się w wyjaśnienia, wszelkimi siłami starał się przyspieszyć prace. Góra Franklina miała teraz na sobie jakby kaptur z czarnej, groźnie wyglądającej chmury i wraz z płomieniami wyrzucała rozżarzone odłamki skał, z których część spadała z powrotem do krateru. Toteż Pencroff, który traktował to zjawisko tylko od strony humorystycznej, powiedział:

— Patrzcie! Olbrzym bawi się bilbokietem⁴⁴⁹! Olbrzym żongluje!

Rzeczywiście, wyrzucone produkty wulkaniczne spadały z powrotem do otchłani i nie wyglądało na to, żeby lawa, wypychana ciśnieniem od wewnątrz, podniosła się już do otworu krateru. Przynajmniej przez częściowo widoczną szczybę, wyżłobioną na północno-wschodnim na brzegu krateru, nie wylewał się żaden ognisty strumień na północne zbocze góry.

⁴⁴⁸kartaczownica — dawna szybkostrzelna broń wielolufowa; w odróżnieniu od karabinu maszynowego wymagała przeladowywania ręcznego, dźwignią lub korbą. [przypis edytorski]

⁴⁴⁹bilbokiet (z fr. *bilboquet*) — zabawka składająca się z ostro zakończonych kijka połączonego sznurkiem z przedziurawioną drewnianą kulką; zabawa bilbokietem polega podrzucaniu kulki i łapaniu jej na kijek. [przypis edytorski]

Tymczasem, jakkolwiek prace przy budowie statku były niezmiernie pilne, inne zajęcia również wymagały obecności kolonistów w różnych miejscach wyspy. Przede wszystkim trzeba było udać się do zagrody, aby uzupełnić zapasy paszy dla zamkniętych w niej stad muflonów i kozic.

Uzgodniono, że Ayrton pójdzie tam nazajutrz, 7 stycznia. Zwykle sam radził sobie z tą pracą i zdążył się do tego przyzwyczaić, toteż Pencroff i inni zdziwili się, gdy usłyszeli, jak inżynier odezwał się do Ayrtona:

— Skoro idzie pan jutro do zagrody, będę panu towarzyszył.

— Ależ, panie Cyrusie — zawołał na to marynarz — pracę mamy wyliczoną co do dnia i jeżeli pan też pójdzie, to będziemy mieli o cztery ręce mniej!

— Jutro wrócimy — odpowiedział Cyrus Smith — ale muszę iść do zagrody. Chciałbym rozpoznać, jak się mają sprawy z wybuchem wulkanu.

— Wybuchem! Wybuchem!... — zawołał Pencroff z mocno niezadowoloną miną. — Też mi to ważna rzecz ten wybuch! Wcale się nim nie przejmuję.

Pomimo zastrzeżeń marynarza inżynier nie zmienił zdania. Harbert miał ochotę towarzyszyć Cyrusowi Smithowi, ale nie chciał jeszcze bardziej denerwować Pencroffa.

Nazajutrz o świcie Cyrus Smith i Ayrton wsiedli na wózek zaprzężony w dwa onagry i klusem⁴⁵⁰ odjechali do zagrody.

Ponad lasem przesuwają się grube chmury, bezustannie zasilane sadzami przez krater Góry Franklina. Chmury te, ciężko pełzące w powietrzu, składały się wyraźnie z różnorodnych substancji. Sam tylko dym z wulkanu nie mógłby być tak dziwnie nieprzejrzysty i ciężki. W gęstych kłębach były zawieszony rozpylone substancje mineralne, pucolana⁴⁵¹ i szarawy popiół, miarki jak najdrobniejsza mączka. Popioły te są tak lekkie, że nieraz utrzymywały się w powietrzu całymi miesiącami. Po wybuchu wulkanu na Islandii w roku 1783⁴⁵² przez ponad rok atmosfera była tak przesycona pyłami wulkanicznymi, że promienie słońca ledwie się mogły przebić.

Najczęściej jednak takie sproszkowane substancje mineralne opadają na ziemię i tak właśnie stało się tym razem. Ledwie Cyrus Smith i Ayrton przybyli do zagrody, gdy spadł jakiś czarny śnieg, podobny do drobnego prochu strzelniczego i w mgnieniu oka zmienił wygląd otaczającego ich terenu. Drzewa, łąki — wszystko dookoła zniknęło pod ciemną warstwą o grubości kilku cali. Na szczęście wiał wiatr z północnego wschodu i większą część chmury zapędził nad morze.

— To dziwne, panie Smith — odezwał się Ayrton.

— To poważna sprawa — odpowiedział inżynier. — Ta pucolana, te sproszkowane pumeksy, słowem cała ta mineralna kurzawa wskazuje, jak wielkie zaburzenia zachodzą w dolnych warstwach wulkanu.

— Czy można na to coś poradzić?

— Nic, tylko śledzić postępy tego zjawiska. Niech pan się zajmie, Ayrtonie, wszystkim, co jest do zrobienia w zagrodzie. Ja zaś w tym czasie pójdę w górę źródeł Czerwonego Potoku i zbadam stan góry na jej północnym stoku. A potem...

— A potem, panie Smith?

— A potem odwiedzimy Kryptę Dakkara... Chciałbym zobaczyć... Zresztą przyjdę po pana za dwie godziny.

Ayrton wszedł na dziedziniec zagrody i w oczekiwaniu na powrót inżyniera zajął się muflonami i kozicami, które wydawały się zaniepokojone pierwszymi oznakami wybuchu.

Cyrus Smith w tym czasie wspiął się na grzbiet wschodniego zbocza, okrążył Czerwony Potok i doszedł wreszcie do miejsca, gdzie w trakcie pierwszej wyprawy badawczej razem z towarzyszami odkrył źródło siarczane.

⁴⁵⁰klus — bieg czworonożnego zwierzęcia, w trakcie którego jednocześnie podnosi ono nogi znajdujące się na przekątnej. [przypis edytorski]

⁴⁵¹pucolana — drobny popiół lub pył wulkaniczny, składający się głównie z krzemionki; wykorzystywany w budownictwie z powodu zdolności do wiązania wapna. [przypis edytorski]

⁴⁵²Po wybuchu wulkanu na Islandii w roku 1783 — chodzi o katastrofalny wybuch szczelinowego wulkanu Laki (isl. Lakagigar), trwający od 8 czerwca 1783 do lutego 1784, kiedy doszło do otwarcia mierzącej 25 km szczeliny ze 130 kraterami, zaś chmury trujących gazów i pyłów zawędrowały nad Europę, gdzie stały się przyczyną śmierci dziesiątków tysięcy osób, i unosząc się w atmosferze, spowodowały zmianę pogody na całym świecie. [przypis edytorski]

Jakże się tu wszystko zmieniło! Zamiast jednego słupa dymu naliczył ich trzynaście, strzelających z ziemi, jak gdyby je gwałtownie wypychał jakiś tłok. Było oczywiście, że skorupa ziemską podlegała w tym miejscu straszliwemu ciśnieniu. Powietrze było przesycone oparami siarki, wodorem, kwasem węglowym i parą wodną. Cyrus Smith czuł pod stopami drganie tufów⁴⁵³ wulkanicznych, którymi usłana była cała dolina, będących niczym innym jak popiołami stwardniałymi z upływem czasu na kamień. Wciąż jednak nie zauważył ani śladu świeżej lawy.

Jeszcze dokładniej sprawdził to, obserwując północne zbocze Góry Franklina. Z krateru wydobywały się kłęby i płomienie, na ziemię padał grad żużli, ale z gardzieli nie wylewała się lava, co dowodziło, że jej poziom nie osiągnął jeszcze górnego otworu głównego komina.

— Wolalbym, żeby się to już stało — powiedział sam do siebie Cyrus Smith. — Miałbym przynajmniej pewność, że lava popłynęła swoją zwykłą drogą. Kto wie, czy przeleje się przez jakieś nowe ujście? Ale niebezpieczeństwo nie na tym jeszcze polega. Kapitan Nemo doskonale to przeczuwał. Nie, nie to stanowi niebezpieczeństwo!

Cyrus Smith podszedł na skraj olbrzymiej grobli, której przedłużenie okalało wąską Zatokę Rekinów. Mógł teraz dokładnie przyrzeć się z tej strony starym pasmom lawy. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że ostatni wybuch miał miejsce w bardzo odległej epoce.

Potem zawrócił, nasłuchując uważnie podziemnych pomruków, brzmiących jak nieprzerwany grzmot akcentowany niekiedy mocniejszymi wybuchami. O dziewiątej rano był już z powrotem w zagrodzie.

Ayrton czekał na niego.

— Zwierzęta oporządzone, panie Smith — powiedział, witając go.

— Bardzo dobrze, Ayrtonie.

— Wydają się niespokojne, panie Smith.

— Tak, przemówił w nich instynkt, a instynkt nigdy się nie myli.

— Kiedy chce pan...

— Niech pan weźmie ze sobą pochodnię i krzesiwo, Ayrtonie — odpowiedział inżynier — i ruszajmy.

Ayrton wykonał polecenie. Wyprężone onagry spacerowały po zagrodzie. Bramę zamknięto z zewnątrz i Cyrus Smith, wyprzedzając Ayrtona, poszedł wąską ścieżką wiodącą na zachód, na brzeg morza.

Szli po ziemi grubo pokrytej popiołem opadłym z chmur. W lesie nie pokazało się żadne zwierzę. Nawet ptaki gdzieś znikły. Niekiedy przelotny wiatr unosił w górę tumany popiołu i koloniści, otoczeni gęstymi kłębami, nie widzieli się nawzajem. Musieli zasłaniać sobie chusteczkami oczy i usta, żeby pył ich nie oślepił i nie udusił.

W tych warunkach Cyrus Smith i Ayrton nie mogli iść szybko. W dodatku powietrze było tak ciężkie, jak gdyby część tlenu się wypaliła, przez co stało się niezdadne do oddychania. Co sto kroków musieli stawać, żeby złapać oddech. Było już po dziesiątej, gdy inżynier i jego towarzysz dotarli do szczytu tego ogromnego spiętrzenia skał bazaltowych i porfirowych⁴⁵⁴, które tworzyły północno-zachodnie wybrzeże wyspy.

Ayrton i Cyrus Smith zaczęli schodzić z tego stromego brzegu, idąc mniej więcej tą samą okropną drogą, która tamtej burzliwej nocy przywiodła ich do Krypty Dakkara. W biały dzień schodzenie było mniej niebezpieczne, a zresztą warstwa popiołów pokrywająca wypolerowane skały pozwalała pewniej stawiać stopy na tych pochyłościach.

Wkrótce dotarli do skarpy stanowiącej przedłużenie brzegu na wysokości czterdziestu stóp. Cyrus Smith przypomniał sobie, że skarpa schodziła łagodnym spadkiem aż do poziomu morza. Chociaż trwał w tej chwili odpływ, ani kawałek wybrzeża nie był odsłonięty i fale, zbrudzone pyłem wulkanicznym, uderzały bezpośrednio o bazaltowe skały przybrzeżne.

Cyrus Smith i Ayrton bez trudu odnaleźli wejście do Krypty Dakkara i zatrzymali się przy ostatniej skale, tworzącej rodzaj nadmorskiego proggu.

⁴⁵³tuf wulkaniczny — lekka, porowata skała złożona gł. z piasków i popiołów wulkanicznych. [przypis edytorski]

⁴⁵⁴porfir — skała magmowa składająca się z drobnoziarnistego ciasta skalnego, w którym są osadzone wkrystalizowane wcześniej duże kryształy. [przypis edytorski]

— Łódź powinna być tutaj — odezwał się inżynier.

— Jest, panie Smith — odpowiedział Ayrton, przyciągając do siebie lekką, blaszaną łódkę ukrytą pod arkadą.

— Wsiadajmy, Ayrtonie.

Dwaj koloniści usiedli w łodzi. Lekkie kołysanie fal popchnęło ją głębiej pod niskie sklepienie krypty. Ayrton, skrzęsawszy ognia, zapalił latarnię i postawił ją na dziobie łodzi, tak aby świeciła do przodu. Potem chwycił za wiosła. Cyrus Smith ujął ster i skierował łódź w mroki krypty.

Nie było już „Nautilusa”, który by oświetlał tę ciemną pieczarę. Być może światło elektryczne, wciąż zasilane potężnym źródłem energii, nadal rozchodziło się w głębinach wód, ale z otchłani, gdzie spoczął kapitan Nemo, nie dochodził żaden odbłask.

Światło latarni, chociaż słabe, pozwalało im jednak posuwać się naprzód, trzymając się prawej strony krypty. Pod sklepieniem panowała grobowa cisza, przynajmniej w przedniej części, ponieważ wkrótce Cyrus Smith usłyszał wyraźne pomruki dochodzące z wnętrza góry.

— To wulkan — powiedział.

Po chwili do tych odgłosów dołączył ostry zapach związków chemicznych, a wzywiewy siarki chwyciły za gardło inżyniera i jego towarzysza.

— Oto czego się obawiał kapitan Nemo — szepnął Cyrus Smith i twarz mu lekko pobleadła. — Ale musimy dotrzeć do końca.

— Dalej więc — odpowiedział Ayrton, pochyliwszy się nad wiosłami, i popchnął łódź w głąb krypty.

Dwadzieścia pięć minut po wypłynięciu do groty łódź przybiła do zamykającej ją ściany i tu się zatrzymała.

Cyrus Smith, stanąwszy na ławeczce, oświetlał latarnią różne części tej ściany, oddzielającej kryptę od centralnego komina wulkanu. Jaka była jej grubość, czy wynosiła to sto stóp, czy tylko dziesięć, tego nie dało się stwierdzić, ale podziemne odgłosy dochodziły tak wyraźnie, że nie mogła być zbyt gruba.

Obejrawszy ścianę na wysokości wzroku, inżynier przymocował latarnię na końcu wiosła i oświetlił nią bazaltową skałę na większej wysokości.

Tu, przez ledwo widoczne szczeliny, przez luźno połączone bloki skalne wydobywał się gryzący dym, zatruwający powietrze jaskini. Ścianę przecinały pęknięcia; niektóre z nich, wyraźniej zarysowane, szły w dół do zaledwie dwóch czy trzech stóp ponad powierzchnią wody.

Cyrus Smith trwał kilka chwil w głębokiej zadumie. Potem wyszeptał:

— Tak. Kapitan miał rację! Tu się kryje niebezpieczeństwo, i to niebezpieczeństwo straszliwe.

Ayrton nic nie odpowiedział, tylko na znak Cyrusa Smitha pochwycił znowu za wiosła i w pół godziny potem obaj opuścili Kryptę Dakkara.

ROZDZIAŁ XIX

Opowiadanie Cyrusa Smitha. — Przyspieszenie prac przy budowie statku. — Ostatnia wizyta w zagrodzie. — Walka ognia z wodą. — Co pozostało z wyspy. — Decyzja o spuszczeniu statku na wodę. — Noc z 8 na 9 marca.

Nazajutrz rano, 8 stycznia, po spędzeniu całego dnia i nocy w zagrodzie, gdzie wszystko pozostawili w należyтым porządku, Cyrus Smith i Ayrton powrócili do Granitowego Pałacu.

Inżynier natychmiast zebrał towarzyszy i oznajmił im, że Wyspie Lincoln zagraża wielkie niebezpieczeństwo, któremu żadna siła ludzka nie zdoła zapobiec.

— Przyjaciele — dodał głosem zdradzającym głębokie wzruszenie — Wyspa Lincoln nie należy do tych, które mogą przetrwać tak długo, jak sama kula ziemską. Skazana jest prędzej czy później na zagładę, której przyczyna tkwi w niej samej i nic nie może jej usunąć.

Koloniści popatrzyli po sobie, a potem wszyscy zwrócili wzrok na inżyniera. Nie mogli go zrozumieć.

— Proszę nam to wytłumaczyć, Cyrusie — powiedział Gedeon Spilett.

— Zaraz wytłumaczę, albo raczej powtórzę tylko to, co w ciągu kilku chwil poufnej rozmowy powiedział mi kapitan Nemo.

— Kapitan Nemo! — wykrzyknęli koloniści.

— Tak. I to jest ostatnia przysługa, jaką chciał nam wyświadczyć przed śmiercią.

— Ostatnia przysługa! — zawołał Pencroff. — Ostatnia przysługa! Przekonacie się, że chociaż martwy, wyświadczy nam jeszcze niejedną!

— Ale co takiego powiedział panu kapitan Nemo? — spytał reporter.

— Zaraz się dowiecie, przyjaciele — odpowiedział inżynier. — Wyspa Lincolnna znajduje się w innej sytuacji niż inne wyspy na Pacyfiku. Pewna szczególna cecha jej budowy, o której powiedział mi kapitan Nemo, musi prędzej czy później doprowadzić do rozpadu jej podmorskich fundamentów.

— Rozpadu Wyspy Lincolnna?! Cóż znowu! — zawołał Pencroff, mimo całego szacunku do Cyrusa Smitha nie mogąc się powstrzymać od wzruszenia ramionami.

— Proszę posłuchać, Pencroffie — odparł na to inżynier. — Oto co stwierdził kapitan Nemo i co ja sam sprawdziłem podczas wczorajszych oględzin w Kryptcie Dakkara. Krypta ciągnie się pod wyspą aż do wulkanu i od centralnego komina oddziela ją tylko ściana na końcu. Otóż ta ściana poprzerzynana jest pęknięciami i szczelinami, przez które przedzierają się już gazy siarczane wytworzone we wnętrzu wulkanu.

— No to co? — spytał Pencroff, marszcząc czoło.

— Otóż stwierdziłem, że pęknięcia powiększają się pod wpływem ciśnienia wewnętrznego, bazaltowa ściana powoli pęka i po pewnym czasie przedrą się przez nią wody morza wypełniające pieczarę.

— Świetnie! — zawołał Pencroff, usiłując jeszcze raz obrócić wszystko w żart. — A więc morze zagasi wulkan i już po wszystkim!

— Tak, i już po wszystkim! — odpowiedział Cyrus Smith. — W dniu, gdy morze przedrze się przez ścianę i wpadnie centralnym kominem do wnętrza wyspy, gdzie kipi lava, w tym dniu, Pencroffie, cała Wyspa Lincolnna wyleci w powietrze, jakby wyleciała w powietrze Sycylia, gdyby Morze Śródziemne dostało się w głąb Etny!

Koloniści nie odpowiedzieli ani słowem na tak stanowcze zdanie inżyniera. Zrozumieli, jak wielkie niebezpieczeństwo im zagraża.

Trzeba zresztą powiedzieć, że Cyrus Smith ani trochę nie przesadzał. Wielu ludziom przychodziło już do głowy, że może dałoby się gasić wulkany, które prawie zawsze wznoszą się nad brzegami mórz i jezior, wpuszczając w ich wnętrza wody. Ale nie rozumieli, że w ten sposób część kuli ziemskiej wyleciałaby w powietrze, podobnie jak kocioł parowy zostaje rozsadzony przez zbyt wielkie ciśnienie pary. Woda, wpadając do zamkniętej przestrzeni, gdzie temperatura wynosi może tysiące stopni, zamieniłaby się w parę tak gwałtownie, że żadna skorupa nie zdołałaby się oprzeć.

Nie ulegało zatem wątpliwości, że wyspa, zagrożona przerażającym i bliskim rozsadzeniem, przetrwa tylko tak długo, jak długo wytrzyma ściana Krypty Dakkara. Nie było to już nawet kwestią miesięcy ani tygodni, ale dni, kto wie, może godzin.

Pierwszym uczuciem kolonistów był głęboki żal. Nie myśleli nawet o niebezpieczeństwie, które zagrażało bezpośrednio im samym, ale o zniszczeniu tej ziemi, gdzie znaleźli schronienie, wyspy, którą użyźnili własną pracą, wyspy, którą ukochali i którą chcieli kiedyś doprowadzić do rozkwitu. Tyle trudów poniesionych na darmo, tyle straconej pracy!

Pencroff nie mógł powstrzymać wielkiej łzy, która stoczyła mu się po twarzy, i nie próbował jej nawet ukryć.

Rozmowa trwała jeszcze przez jakiś czas. Rozważano możliwości ratunku, jakie jeszcze pozostały. Koniec końców uznano, że nie ma ani chwili do stracenia i że prace nad wykończeniem i osprzętowaniem statku trzeba prowadzić z jak największym pośpiechem, gdyż w tym właśnie kryła się teraz jedyna nadzieja ocalenia dla mieszkańców Wyspy Lincolnna.

Wszyscy zabrali się do pracy. Zresztą na cóż by się teraz przydało żęcie, zbieranie, polowanie, zwiększanie zapasów w Granitowym Pałacu? To, co zawierały jeszcze maga-

zyny i spiżarnia, wystarczało aż nadto na zaopatrzenie statku choćby na najdłuższy rejs. Chodziło tylko o to, aby mieć ten statek do dyspozycji, zanim nastąpi nieunikniona katastrofa.

Prace wznowiono więc z gorączkowym zapalem. Około 23 stycznia statek był już w połowie pokryty poszyciem. Do tego czasu na szczycie wulkanu nic się nie zmieniło. Z krateru wciąż buchała para i dym, pomieszane z płomieniami, i wylatywały rozżarzone kamienie. Ale w ciągu nocy z dwudziestego trzeciego na dwudziesty czwarty pod naporem lawy, która dotarła już do poziomu pierwszej kondygnacji wulkanu, zwalił się stożek tworzący kapelusz krateru. Rozległ się straszliwy huk. Koloniści myśleli z początku, że wyspa się rozpada. Wybiegli wszyscy z Granitowego Pałacu.

Było około drugiej nad ranem.

Niebo stało w ogniu. Górny stożek, masa kamienia wysoka na tysiąc stóp i ważąca miliardy funtów, runął na wyspę, która się zatrzęsała w posadach pod tym ciosem. Na szczęście stożek był pochylony na północ, więc upadł na równinę pokrytą piaskiem i tufami, rozciągającą się pomiędzy wulkanem a morzem. Z szeroko otwartego krateru bił w niebo tak intensywny blask, że powietrze wydawało się rozpalone do czerwoności. Jednocześnie wezbrany potok lawy rozlał się z nowego szczytu długimi kaskadami jak woda przelewająca się z pełnego naczynia i tysiące ognistych węży pelzło po zboczach wulkanu.

— Zagroda! Zagroda! — zawołał Ayrton.

Rzeczywiście, skutek utworzenia się nowego, inaczej nachylonego krateru lawa wylewała się w stronę zagrody, a więc żywym częściom wyspy, źródłom Czerwonego Potoku, Lasowi Złotopióra zagrażało natychmiastowe zniszczenie.

Na krzyk Ayrtona koloniści rzucili się do stajni onagrów. Zaprzężono je do wózka. Wszyscy myśleli tylko o jednym: pędzić do zagrody i uwolnić zamknięte w niej zwierzęta.

Przed trzecią nad ranem przybyli do zagrody. Straszliwe ryki świadczyły o przerażeniu, jakie ogarnęło muflony i kozice. Ze zbocza góry na łąkę spadał już potok rozżarzonej lawy i płynnych minerałów, już nadzierał z jednej strony palisadę. Ayrton gwałtownym ruchem otworzył bramę i oszalałe z trwogi zwierzęta rozbiegły się na wszystkie strony.

Godzinę później wrząca lawa wypełniła zagrodę, zamieniła wodę z małego strumyka w parę, zapaliła dom, który spłonął jak wiązka słomy; ogień pochłonął wszystko aż do ostatniej belki z palisady. Z zagrody nie pozostało ani śladu.

Koloniści próbowali walczyć z żywiołem, ale był to wysiłek daremny i szalony, człowiek bowiem jest bezsilny wobec podobnych wielkich kataklizmów.

Nadszedł 24 stycznia. Cyrus Smith i jego towarzysze chcieli przed powrotem do Granitowego Pałacu zbadać, w jakim kierunku ostatecznie popłynie potok lawy. Ogólne nachylenie terenu biegło od Góry Franklina do wschodniego wybrzeża i należało się obawiać, że pomimo gęstwiny Lasu Złotopióra strumienie lawy sięgną aż do Płaskowizny Pięknego Widoku.

— Jezioro nas osłoni — odezwał się Gedeon Spilett.

— Mam nadzieję — odpowiedział Cyrus Smith.

Koloniści chcieli się dotrzeć do równiny, na którą runął stożek Góry Franklina, ale strumienie lawy zagroziły im drogę. Spływały z jednej strony doliną Czerwonego Potoku, z drugiej — doliną Rzeki Wodospadu, zamieniając po drodze obie rzeki w parę. Nie było najmniejszej możliwości przedostać się przez potok lawy, trzeba było z konieczności przed nim się cofnąć. Pozbawiony szczytu wulkan był nie do poznania. Obecnie kończył się płaską jak stół powierzchnią, zastępującą dawny krater. Przez dwie szczyby, powstałe na południowej i wschodniej krawędzi, bezustannie wylewała się lawa, rozgałęziając się na dwa osobne strumienie. Ponad nowym kraterem chmura dymu i popiołów mieszała się z parą unoszącą się nad wyspą. Potężne grzmoty łączyły się z głuchymi pomrukami góry. Z paszczy wulkanu wylatywały rozpalone gazy, wznosiły się na ponad tysiąc stóp w górę i pękały w chmurach, rozpryskując się jak kartacze⁴⁵⁵. Na wybuchy wulkany niebo odpowiadało błyskawicami.

Około siódmej rano koloniści nie mogli się już utrzymać w tym miejscu, toteż wycofali się na skraj Lasu Złotopióra. Mało tego, że dookoła nich zaczęły się sypać wulkaniczne

⁴⁵⁵*kartacz* — pocisk artyleryjski zawierający w lekkiej obudowie odłamki metali lub ołowiane kule rozpryskujące się przy wybuchu; używany do XIX w., zastąpiony szrapnelami i pociskami odłamkowymi. [przypis edytorski]

paciski, ale w dodatku lawa, przelewając się z koryta Czerwonego Potoku, zagrażała odcięciem drogi do zagrody. Pierwsze rzędy drzew zajęły się płomieniem, a ich sok, nagle zamieniony w parę, rozsadał je z hukiem, podczas gdy inne, mniej wilgotne, na razie pozostały nienaruszone w środku ognistej powodzi.

Koloniści wrócili na drogę do zagrody. Szli powoli, jak gdyby cofając się. Wskutek pochyłości terenu potok lawy szybko płynął na wschód i gdy tylko niższe warstwy nieco stwardniały, natychmiast pokrywały je nowe wrzące strumienie.

Główny nurt, płynący doliną Czerwonego Potoku, stawał się z każdą chwilą groźniejszy. Cała ta część lasu stała w ogniu i olbrzymie kłęby dymu unosiły się nad drzewami, których pnie podgryzała lawa.

Koloniści zatrzymali się w pobliżu jeziora, o pół mili od ujścia Czerwonego Potoku. Tutaj się miały się rozstrzygnąć ich losy: życie czy śmierć?

Cyrus Smith, przyzwyczajony do trudnych sytuacji i wiedząc, że mówi do ludzi, którym można wprost powiedzieć prawdę, bez względu na to, jaka by była, odezwał się:

— Albo jezioro powstrzyma potok lawy i wówczas część wyspy ocaleje przed całkowitym zniszczeniem, albo lawa zaleje Lasy Dalekiego Zachodu i wtedy na powierzchni ziemi nie pozostanie ani jedno drzewo, ani jedna roślina. Wówczas naszą jedyną perspektywą na tych nagich skałach będzie śmierć, a nie będziemy na nią czekać zbyt długo, bo wyspa wyleci w powietrze.

— W takim razie — zawołał Pencroff, krzyżując ramiona na piersi i tupiąc nogą — nie ma co już pracować nad statkiem, prawda?

— Pencroffie — odpowiedział Cyrus Smith — należy spełnić obowiązek aż do końca!

W tej chwili rzeka lawy, utworowawszy sobie drogę wśród pięknych drzew, które pochłonęła, dotarła aż na skraj jeziora. Tu znajdowało się małe wzniesienie, które gdyby było trochę wyższe, mogłoby powstrzymać ognisty potok.

— Do dzieła! — zawołał Cyrus Smith.

W mgnieniu oka wszyscy zrozumieli, co ma na myśli. Na drodze potoku lawy należało zbudować tamę i zmusić go, żeby popłynął do jeziora.

Koloniści pobiegli do stoczni. Przynieśli stamtąd łopaty, kilofy i topory i w kilka godzin z ziemi oraz ściętych drzew wzniesli tamę wysoką na trzy stopy i długą na kilkaset kroków. Gdy skończyli, wydawało im się, że pracowali zaledwie kilka minut.

Był już najwyższy czas. Prawie jednocześnie z chwilą ukończenia tamy lawa dotarła do jej podnóża. Wezbrała jak prawdziwa rzeka w czasie największego przyboru i groziła przelaniem się przez jedyną przeszkodę nie pozwalającą jej wtargnąć do Lasów Dalekiego Zachodu. Na szczęście tama zdołała powstrzymać ogniste nurty. Przez kilka straszliwych chwil lawa jakby wahała się, a wreszcie cały potok stoczył się w jezioro, spadając z wysokości dwudziestu stóp.

Koloniści stali nieruchomo w milczeniu, z zapartym tchem oglądając walkę dwóch żywiołów.

Cóż to było za widowisko ta walka ognia z wodą! Jakie pióro zdołałoby opisać tę scenę pełną wspaniałej grozy, jaki pędzel potrafiłby ją odmalować? Woda syczała, zmieniając się w parę przy zetknięciu z kipiącą lawą. Kłęby pary, wyrzucone w powietrze, wirowały, unosząc się na niezmierną wysokość, jak gdyby nagle otwarto zawory ogromnego parowego kotła. Ale choć jezioro zawierało ogromne masy wody, musiały w końcu zostać pochłonięte, ponieważ nic ich nie uzupełniało, podczas gdy potok lawy, zasilany z niewyczerpanego źródła, toczył wciąż nowe fale rozżarzonych substancji wulkanicznych.

Pierwsze strumienie lawy, które spadły w jezioro, zastygły natychmiast i spiętrzyły się w wodzie, wystając nad powierzchnią. Po nich płynęły nowe strumienie, które także zastygały, posuwając dalej się w kierunku środka jeziora. W ten sposób utworzyła się grobla, a kamieniejąca lawa groziła stopniowym wypełnieniem jeziora, które nie mogło się przelać przez brzegi, gdyż nadmiar wody ulatniał się w postaci pary. W powietrzu rozlegały się ogłuszające syki i trzaski, para wodna, unoszona przez wiatr, spadała nad morzem w postaci deszczu. Grobla wydłużała się coraz bardziej, a skamieniałe bloki lawy spiętrzały się jedno na drugich. Tam, gdzie niedawno rozciągały się spokojne wody jeziora, teraz sterczały gromady dymiących głazów, jak gdyby ziemia uniosła się i wypchnęła w górę podwodne skały. W trzy godziny po wtargnięciu niepowstrzymanego potoku lawy do

jeziora wyglądało ono tak, jakby jego wzburzone huraganem wody zostały nagle ścięte przez dwudziestostopniowy mróz.

Tym razem woda miała ulec ogniowi.

Dla kolonistów była to pomyślna okoliczność, że strumienie lawy udało się skierować do Jeziora Granta. Mieli przed sobą kilka dni wytchnienia. Płaskowyż Pięknego Widoku, Granitowy Pałac i stocznie były na pewien czas ocalone. Tych kilka względnie spokojnych dni należało wykorzystać na dokończenie poszycia statku i uszczelnienie go. Potem będzie go można spuścić na wodę i szukać na nim schronienia, odkładając założenie masztów i ożaglowanie do czasu, gdy będzie już w swoim żywiole. Wobec groźby wybuchu zagrażającego zniszczeniem całej wyspy pozostawanie na lądzie stało się niebezpieczne. Schronienie w Granitowym Pałacu, dotychczas tak pewne, teraz mogło się lada chwila zawalić.

Przez sześć następnych dni, od 26 do 30 stycznia, koloniści pracowali nad statkiem za dwudziestu. Prawie nie odpoczywali, a blask płomieni buchających z krateru umożliwiał im pracę dniem i nocą. Lawa nadal wypływała z wulkanu, może tylko mniej obficie. Całe szczęście, gdyż Jezioro Granta było już prawie całkiem wypełnione i gdyby nowe potoki spłynęły na powierzchnię dawnych, lawa musiałaby się przelać na Płaskowyż Pięknego Widoku, a stąd na wybrzeże.

Chociaż po tej stronie wyspa była do pewnego stopnia zabezpieczona, to w części zachodniej sprawa wyglądała inaczej.

Drugi strumień lawy, toczący się szeroką doliną Rzeki Wodospadu, gdzie teren po obu stronach potoku był wklęsły, nie napotkał żadnej przeszkody. Ognisty płyn zalał Lasy Dalekiego Zachodu. O tej porze roku, gdy skwar wysuszył drzewa, ogień w mgnieniu oka objął cały las, rozprzestrzeniając się równocześnie przy podstawach pni oraz wysoko górą, gdzie splątane gałęzie ułatwiały szerzenie się pożaru. Zdawało się nawet, że płomienie na wierzchołkach drzew posuwają szybciej niż potoki lawy u ich podnóża.

Opetane trwożą zwierzęta: jaguary, dziki, kapibary, koale, razem z ptactwem szukały schronienia nad brzegami Rzeki Dziękczynienia i na Bagnie Kazarek, poza drogą do Przystani Balonowej. Ale koloniści byli zbyt zajęci swoją pracą, aby zwracać uwagę na najgroźniejsze nawet zwierzęta. Zresztą sami opuścili Granitowy Pałac, nie chcieli nawet szukać schronienia w Kominach i obozowali pod namiotem w pobliżu ujścia Rzeki Dziękczynienia.

Cyrus Smith i Gedeon Spilett codziennie wspinali się na Płaskowyż Pięknego Widoku. Niekiedy towarzyszył im Harbert, nigdy zaś Pencroff, który nie chciał oglądać wyspy w stanie tak strasliwego zniszczenia.

Rzeczywiście, widok był przygnębiający. Cała zalesiona część wyspy była teraz zupełnie оголоcona. Jedyna kępa zielonych drzew uchowała się jeszcze na samym krańcu Półwyspu Wężowego. Tu i ówdzie sterczało kilka poczerniałych, оголоconych z gałęzi pni. Miejsce, gdzie kiedyś rósł las, było jeszcze większym pustkowiem niż Bagna Kazarek. Lawy zniszczyła wszystko. Gdzie niegdyś pyszniła się wspaniała zieleń, obecnie grunt pokrywało dzikie spiętrzenie tufów wulkanicznych. Z dolin Rzeki Wodospadu i Rzeki Dziękczynienia nie spływała już do morza ani kropla wody i gdyby Jezioro Granta wyschło do całkowicie, koloniści nie mieliby czym zaspokoić pragnienia. Na szczęście lawa oszczędziła południowy koniuszek jeziora, gdzie powstał jakby mały staw, przechowujący całą słodką wodę pozostałą jeszcze na wyspie. W kierunku północnego zachodu wznosiły się chropowate, ostre zarysy zboczy wulkanu, tworzące jakby olbrzymie szpony zatopione w powierzchni ziemi. Jakże smutny widok, co za przerażający obraz! Jak bolesny dla kolonistów, którzy z żyznej posiadłości, pokrytej lasami, zraszanej rzekami, bogatej w uprawy, naraz zostali przeniesieni na оголоconą skałę, gdzie gdyby nie ich zapasy, nawet nie mieliby nic do jedzenia.

— Serce pęka! — odezwał się pewnego dnia Gedeon Spilett.

— O tak, Spilecie — odpowiedział inżynier. — Oby tylko niebiosy dały nam czas na skończenie statku, naszego jedynego schronienia!

— Czy nie uważa pan, Cyrusie, że wulkan jakby się uspokajał? Wyrzuca jeszcze lawę, ale mniej obficie, jeżeli się nie mylę.

— To nieważne — odpowiedział Cyrus Smith. — We wnętrzu góry wciąż płonie ogień, a woda morska może tam wtargnąć lada chwila. Jesteśmy w sytuacji podróży

na statku pochłanianym przez pożar, którego nie są w stanie ugasić, i wiedzą, że prędzej czy później ogień dotrze do prochowni. Do pracy, Spilecie, do pracy! Nie traćmy ani chwili!

Jeszcze przez następny tydzień, czyli do 7 lutego, lawa nie przestawała się wylewać, nie przekraczając jednak dotychczasowych granic. Cyrus Smith najbardziej obawiał się, żeby ogniste strumienie nie przelały się na wybrzeże, gdyż w takim przypadku stoczni nie dałoby się uratować. Mniej więcej w tym samym czasie koloniści zaczęli wyczuwać jakieś drgania w fundamentach wyspy, które zaniepokoiły ich w najwyższym stopniu.

Nadszedł dzień 20 lutego. Potrzeba było jeszcze co najmniej miesiąca, żeby statek był gotowy do spuszczenia na wodę. Czy wyspa wytrzyma do tej pory? Pencroff i Cyrusa Smitha zamierzali zwodować statek, gdy tylko kadłub będzie dostatecznie uszczelniony. Pokład, urządzenie wewnętrzne i takielunek można było zostawić na później; najpilniejsze było, żeby zapewnić sobie jakieś schronienie poza wyspą. Może nawet trzeba będzie zaprowadzić statek do Przystani Balonowej, czyli jak najdalej od centrum wybuchu, gdyż przy ujściu Rzeki Dziękczynienia, pomiędzy wysepką a granitową ścianą, był narażony na zmiążdżenie w razie rozpadnięcia się wyspy. Wszystkie wysiłki kolonistów skoncentrowały się więc teraz na wykończeniu kadłuba statku.

Nadszedł 3 marca, a koloniści obliczyli, że będą mogli zwodować statek za jakieś dziesięć dni.

Nadzieja powróciła do serc kolonistów, którzy w czwartym roku pobytu na Wyspie Lincolna przeszli tyle ciężkich prób. Nawet Pencroffa stał się mniej ponury i małowówny, trochę ochłonął z żalu, w którym pograżyły go ruina i zniszczenie ich siedliska. Co prawda, teraz jego myśli zajmował tylko statek, w którym była cała ich nadzieja.

— Dokończymy go — mawiał do inżyniera — dokończymy, panie Cyrusie. Najwyższy czas, bo dni mijają i wkrótce będziemy mieli zrównanie dnia z nocą. Cóż, jeżeli będzie trzeba, to udamy się na wyspę Tabor i tam przezimujemy! Ale wyspa Tabor po Wyspie Lincolna!... Ach, co za nieszczęście! Nigdy bym nie uwierzył, że doczekam czegoś podobnego!

— Spieszmy się! — niezmiennie odpowiadał mu inżynier.

Toteż pracowali bez wytchnienia, nie tracąc ani chwili.

— Mój panie — zapytał Nab kilka dni później — czy sądzi pan, że gdyby kapitan Nemo nadal żył, zdarzyłoby się to wszystko?

— Niewątpliwie, Nabie — odpowiedział inżynier.

— A ja wcale tak nie sądzę — szepnął Pencroff do ucha Nabowi.

— Ani ja — odpowiedział poważnie Nab.

W pierwszym tygodniu marca Góra Franklina znowu stała się groźna. Tysiące szklanych nici, powstałych z płynnej lawy, spadało jak ulewa na ziemię. Krater znowu wypełnił się wrzącą lawą, która wylewała się na wszystkie zbocza wulkanu. Jej strumienie spływały po powierzchni stwardniałych tufów i do reszty zniszczyły wątle szkielety drzew, które się oparły pierwszemu wylewowi. Rzeka lawy tym razem popłynęła wzdłuż południowo-zachodniego brzegu Jeziora Granta poza Glicerynowy Potok i wtargnęła na Płaskowyż Pięknego Widoku. Ten ostatni cios zadany dziełu kolonistów był straszliwy. Z młyna, budynków ptaszarni, ze stajni nic nie pozostało. Przeżalone ptactwo rozpięchło się we wszystkich kierunkach. Top i Jup okazywali najwyższe przerażenie, instynkt ostrzegał ich przed zbliżającą się katastrofą. Wiele zwierząt na wyspie zginęło podczas pierwszego wylewu. Te, które go przeżyły, schroniły się na Bagnie Kazarek, a niektóre na Płaskowyżu Pięknego Widoku. Ale i ten ostatni zakątek został odcięty i rzeka lawy, staczając się z grzbietu granitowej ściany, runęła na wybrzeże w ognistych wodospadach. Żadne słowa nie są w stanie opisać majestatycznej grozy tego widowiska. W nocy wyglądało to jak Niagara roztopionego metalu z unoszącymi się ponad nią chmurami rozżarzonych oparów i wrzącymi masami u dołu.

Koloniści zostali wyparci z ostatniego schronienia, więc chociaż górne szwy kadłuba statku nie były jeszcze uszczelnione, postanowili spuścić go na wodę.

Pencroff i Ayrton przystąpili zatem do odpowiednich przygotowań, a sama operacja miała nastąpić nazajutrz rano, 9 marca.

Jednak w nocy z 8 na 9 marca z krateru wśród przerażających huków wzniósł się na wysokość ponad trzech tysięcy stóp olbrzymi słup pary. Ściana Krypty Dakkara najwyraźniej musiała ustąpić pod ciśnieniem gazów, a wody morza wpadły przez centralny komin w ognistą przepaść i przemieniły się nagle w parę. Powietrzem wstrząsnął wybuch, który zapewne słychać było o sto mil dalej. Kawały gór runęły w Pacyfik i w ciągu kilku minut fale morskie pokryły miejsce, gdzie niegdyś znajdowała się Wyspa Lincoln.

ROZDZIAŁ XX

Samotna skała na Pacyfiku. — Ostatnie schronienie kolonistów Wyspy Lincoln. — Perspektywa śmierci. — Niespodziewany ratunek. — Dlaczego i skąd przybył? — Ostatnie dobrodziejstwo. — Wyspa na lądzie. — Grobowiec kapitana Nemo.

Samotna skała, długa na trzydzieści stóp, szeroka na piętnaście, wystająca z wody zaledwie na dziesięć — oto jedyny skrawek lądu, którego nie pochłonęły fale oceanu.

Tylko tyle pozostało z Granitowego Pałacu. Skalny mur runął, potem rozpadł się, kilka głazów tworzących niegdyś wielką salę spiętrzyło się i utworzyło ten sterczący szczyt. Wokół niego wszystko zniknęło w otchłani: dolny stożek Góry Franklina, rozdarty wybuchem, szczęki Zatoki Rekinów, Płaskowyż Pięknego Widoku, Wysepka Wybawienia, granity Przystani Balonowej, bazalty Krypty Dakkara, nawet długi Półwysep Wężowy, chociaż tak odległy od centrum wybuchu. Z Wyspy Lincoln pozostała tylko ta wąska skała, obecne schronienie sześciu kolonistów i ich psa Topa.

W katastrofie zginęły wszystkie zwierzęta wyspy — tak ptaki, jak i czworonogi — zmiażdżone lub utopione. Niestety, nawet biedny Jup poniósł śmierć w jakiejś rozpadlinie.

Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Harbert, Pencroff, Nab i Ayrton przeżyli tylko dzięki temu, że znajdując się tej nocy w namiocie, zostali razem wyrzuceni do morza, gdy szczątki wyspy rozlatywały się na wszystkie strony.

Wypłynawszy na powierzchnię, nie dostrzegli nic poza tym zwałem skał, sterczącym o pół kabla od nich; podплыnęli do niego i wdrapali się na górę.

Na tej nagiej skale żyli już dziewięć dni. Mieli tylko trochę zapasów żywności zabranych przed katastrofą z magazynu w Granitowym Pałacu i nieco słodkiej wody, która zebrała się po deszczu w wydrążeniu skały. Statek — ich ostatnia nadzieja — został roztrzaskany. Nie mieli jak opuścić tej skały. Nie mieli ognia ani nie mieli go jak zdobyć. Skazani byli na śmierć.

Tego dnia, 18 marca, pozostało im żywności jeszcze tylko na dwa dni, chociaż jedli tylko tyle, żeby zaspokoić najgwałtowniejszy głód. W tej sytuacji cała ich wiedza ani rozum nic nie mogli zaradzić. Ich los zależał jedynie od woli Boga.

Cyrus Smith był spokojny. Bardziej nerwowi Gedeon Spilett oraz pełen głuchego gniewu Pencroff chodzili po skale w tę i z powrotem. Harbert nie odstępował inżyniera i wpatrywał się w niego, jakby prosząc o pomoc, której Cyrus Smith nie był w stanie udzielić. Nab i Arton z rezygnacją poddali się losowi.

— Ach, nieszczęście, nieszczęście!... — powtarzał ciągle Pencroff. — Gdybyśmy mieli choć łupinę orzecha, żeby zabrać się na wyspę Tabor! Ale nie ma nic, nic!

— Kapitan Nemo dobrze zrobił, że umarł! — odezwał się pewnego razu Nab.

Przez pięć następnych dni Cyrus Smith i jego nieszczęśliwi towarzysze żyli niezmiernie oszczędnie, jedząc tylko tyle, aby nie umrzeć z głodu. Wszyscy byli wycieńczeni do ostatnich granic. Harbert i Nab zaczęli już majaczyć.

Czy w tej sytuacji mogli zachować choćby iskierkę nadziei? Nie! Jaka była ich jedyna szansa? Że w pobliżu skały będzie przepływał jakiś statek? Wiedzieli dobrze z doświadczenia, że statki nigdy nie odwiedzały tej części Pacyfiku. Czy mogli liczyć na to, że jakimś prawdziwie opatrnościowym zbiegiem okoliczności szkocki jacht właśnie teraz przyplynie, żeby zabrać Ayrtona z wyspy Tabor? To było bardzo mało prawdopodobne. Zresztą zakładając nawet, że tak by się stało, to ponieważ koloniści nie zdołali złożyć na wyspie Tabor notatki o zmianach, jakie zaszły w sytuacji Ayrtona, kapitan jachtu po daremnym przeszukaniu wysepki popłynąłby z powrotem i skierował się w stronę niższych szerokości geograficznych.

Nie! Nie mogli mieć żadnej nadziei na ratunek. Na tej skale czekała ich tylko śmierć, przerażająca śmierć z głodu i pragnienia. Leżeli nieruchomo na skale, bez sił, nieświadomi, co się wokół nich dzieje. Tylko Ayrton ostatnim wysiłkiem unosił niekiedy głowę i zrozpaczonym spojrzeniem ogarniał puste morze.

Ale oto rankiem 24 marca Ayrton wyciągnął ramiona w stronę jakiegoś punktu na horyzoncie, podźwignął się najpierw na kolana, potem wstał i jak gdyby dawał ręką jakieś znaki...

Na morzu widać było statek! Najwyraźniej nie przypadkiem tędy przepływał. Skala była celem, do którego zdążał w prostej linii, całą parą, i gdyby nieszczęśni koloniści mieli dosyć sił, żeby obserwować horyzont, zobaczyliby go już kilka godzin wcześniej.

— „Duncan”! — szepnął Ayrton i padł bez zmysłów.

Gdy wreszcie dzięki troskliwym staraniom, jakimi ich otoczono, Cyrus Smith i jego towarzysze odzyskali przytomność, zauważyli, że są w kajucie jachtu parowego, i nie mogli pojąć, w jaki sposób uniknęli śmierci.

Jedno słowo Ayrtona wyjaśniło im wszystko.

— „Duncan” — szepnął.

— „Duncan” — powtórzył Cyrus Smith i podnosząc ręce ku niebu, zawołał: — Ach, Boże Wszechmogący! A więc chciałeś, żebyśmy zostali ocaleni!

Był rzeczywiście „Duncan”, jacht lorda Glenasvana, w tej chwili pozostający pod dowództwem Roberta, syna kapitana Granta. Wysłano go na wyspę Tabor w celu odszukania Ayrtona i przywiezienia go do kraju po dwunastu latach pokuty.

Koloniści byli uratowani i wracali do ojczyzny.

— Kapitanie Robercie — zapytał Cyrus Smith — gdy odbił pan od wyspy Tabor, nie znalazłszy tam Ayrtona, skąd przyszedł panu do głowy pomysł, aby popłynąć o sto mil dalej na północny wschód?

— Panie Smith — odpowiedział Robert Grant — popłynąłem tam nie tylko po Ayrtona, ale także po pana i pańskich towarzyszy.

— Po moich towarzyszy i po mnie?

— Niewątpliwie! Na Wyspę Lincolna!

— Na Wyspę Lincolna! — zawołali jednogłośnie Gedeon Spilett, Harbert, Nab i Pencroff, zdumieni w najwyższym stopniu.

— Skąd pan wiedział o Wyspie Lincolna — zapytał Cyrus Smith. — skoro nie ma jej na żadnej mapie?

— Dowiedziałem się o niej z notatki, którą pozostawiliście na wyspie Tabor — odpowiedział Robert Grant.

— My, notatkę? — zawołał Gedeon Spilett.

— A tak, oto ona — odpowiedział Robert Grant, podając im kartkę, na której była wskazana długość i szerokość geograficzna Wyspy Lincolna „obecnego miejsca pobytu Ayrtona i pięciu amerykańskich kolonistów”.

— Kapitan Nemo!... — zawołał Cyrus Smith, przeczytawszy notatkę pisaną tym samym charakterem pisma, co list znaleziony w zagrodzie.

— Ach! — zawołał Pencroff — Więc to on używał naszego „Bonawentury”, to on sam jeden odważył się popłynąć aż na wyspę Tabor!...

— Żeby zostawić tam notatkę — dokończył Harbert.

— A więc miałem rację, mówiąc, że nawet z za grobu kapitan odda nam jeszcze ostatnią przysługę! — zawołał marynarz.

— Przyjaciele — odezwał się Cyrus Smith głęboko wzruszonym głosem — niechaj Bóg miłosierny przyjmie duszę kapitana Nemo, naszego zbawcy!

Koloniści odkryli głowy przy tych ostatnich słowach Cyrusa Smitha i szeptem powtórzyli imię kapitana.

W tej chwili Ayrton podszedł do inżyniera i zapytał naturalnym tonem:

— Gdzie umieścić tę skrzynkę?

Była to szkatułka z klejnotami, którą Ayrton ocalił z narażeniem życia w chwili zagłady wyspy. Teraz wręczał ją inżynierowi.

— Ayrtonie! Ayrtonie! — powiedział głęboko wzruszony Cyrus Smith. Potem zwrócił się do Roberta Granta:

— Zamiast winowajcy znajduje pan dzisiaj człowieka, który długą pokutą wrócił na drogę uczciwości. Jestem dumny, mogąc uścisnąć mu dłoń.

Robert Grant dowiedział się wtedy o zadziwiającej historii kapitana Nemo i kolonistów na Wyspie Lincolna. Po jej wysłuchaniu zanotował pozycję samotnej skały, której od tej pory należało się miejsce na mapie Pacyfiku, po czym wydał rozkazy odpłynięcia.

Dwa tygodnie później koloniści wylądowali w Ameryce i zastali w ojczyźnie pokój po straszliwej wojnie, która skończyła się tryumfem sprawiedliwości i prawa.

Większość skarbów ze szkatułki przekazanej kolonistom Wyspy Lincolna przez kapitana Nemo została użyta na zakup dużej posiadłości w stanie Iowa⁴⁵⁶. Najpiękniejszą perłę przesłano lady Glenarvan w imieniu sześciu rozbitków zwróconych ojczyźnie przez „Duncana”.

W swojej posiadłości koloniści zaprosili do wspólnej pracy, czyli do budowania dobrobytu i szczęścia, wszystkich, którym zamierzały ofiarować gościnę na Wyspie Lincolna. Założyli tu dużą kolonię, której nadali imię wyspy pograżonej w głębinach Pacyfiku. Płynąca tam rzeka otrzymała nazwę Rzeki Dziękczynienia, górę nazwano Górą Franklina, niewielkie jeziorko było Jeziorem Granta, zaś lasy stały się Lasami Dalekiego Zachodu. Była to jak gdyby wyspa na stałym lądzie.

Tutaj pod sprawnym zarządem inżyniera i jego towarzyszy wszystko rozkwitało. Dawni osadnicy wyspy Lincolna postanowili, że nigdy się nie rozłączą, żyli więc wszyscy razem: Nab, nieodstępujący swego pana, Ayrton, zawsze gotowy do poświęceń, Pencroff, który stał się bardziej farmerem niż był kiedykolwiek marynarzem, Harbert, który zdobył wykształcenie pod kierunkiem Cyrusa Smitha, i Gedeon Spilett, założyciel gazety „New Lincoln Herald”, najlepiej poinformowanego dziennika na świecie.

Tutaj Cyrusa Smitha i jego towarzyszy kilkakrotnie odwiedzili lord i lady Glenarvan, kapitan John Mangles z żoną, siostrą Roberta Granta, a także sam Robert Grant i major Mac Nabbs — słowem, wszyscy związani w jakikolwiek sposób z podwójną historią kapitana Granta i kapitana Nemo.

Tu wreszcie wszyscy żyli szczęśliwie, złączeni przyjaźnią tak jak dawniej. Nigdy jednak nie zapomnieli o wyspie, na którą przybyli ubodzy i nadzy, o wyspie, która przez cztery lata zaspokajała wszystkie ich potrzeby, a z której pozostał tylko odłam granitu chłostany falami Pacyfiku — grobowiec tego, który zwał się kapitanem Nemo.

⁴⁵⁶Iowa — równinny stan w centralnej części Stanów Zjednoczonych, wcześniej terytorium francuskie, przyjęty do Unii w 1846. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/verne-tajemnicza-wyspa/>

Tekst opracowany na podstawie: Jules Gabriel Verne, Tajemnicza wyspa, Nakładem księgarni Seyfartha i Czajowskiego, Lwów 1875.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Justyna Lech, Kotwica Wojciech, Michał Bień, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-5607-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.